

HORYZONTY

ZDARZEŃ

MARCIN SERGIUSZ

# PRZYBYŁEK



**GAMEDEC**  
OBRAZKI Z IMPERIUM

CZEŚĆ 1



REBIS

HORYZONTY

ZDARZEŃ



MARCIN SERGIUSZ  
**PRZYBYŁEK**

**GAMEDEC**

OBRAZKI Z IMPERIUM

**CZĘŚĆ 1**



REBIS

# Książki o Gamedecu:

Przed Imperium:

1. *Gamedec. Granica rzeczywistości*
2. *Gamedec. Sprzedawcy lokomotyw*
3. *Gamedec. Zabaweczki*

Młode Imperium:

4. *Gamedec. Czas silnych istot*

Wielkie Imperium:

5. *Gamedec. Obrazki z Imperium*

# Podziękowania

Bardzo dziękuję wszystkim wspaniałym Fanom i Fankom za wsparcie przez wszystkie lata, gdy tworzona była saga „Gamedec”. Tylko ja wiem, ile Wam zawdzięczam.

Dziękuję także rodzinie, w szczególności żonie Ani i córeczce Kalinie, za nieustającą wiarę w moje twórcze wysiłki. Tysiąc całusów, dziewczyny.

# Do beta readerów

*Obrazki z Imperium* to najobszerniejsza i najbardziej ambitna odsłona przygód Torkila. Tekst ten jest tak złożony, że chwilami brakło mi sił, żeby go samodzielnie dźwigać. Na szczęście z pomocą przyszli beta readerzy, którzy byli na tyle szaleni i oddani sprawie, że odważyli się przeczytać jedną z pierwszych wersji tej powieści i podzielić się swoimi obserwacjami. Kochani, wiele Waszych uwag uwzględniłem, a wszystkie były wartościowe. Dzięki Wam *Obrazki z Imperium* są po prostu lepsze. Wybaczcie, że nie dziękuję każdemu z osobna, wymieniając Wasze spostrzeżenia, bo musiałbym poświęcić na to kilkadziesiąt stron. Mam nadzieję, że się nie obrazicie, jeśli po prostu umieszczę poniżej w alfabetycznej kolejności wasze nazwiska.

1. Sylwester Bartnicki
2. Dominik Buczkowski
3. Mateusz Cisowski
4. Arkadiusz Grabiński
5. Paweł Jasiński
6. Kamil „Tygrzyk” Muzyka
7. Adam Podlewski
8. Protazy „Protsi” Rejmer

9. Witold Siekierzyński
10. Paweł Walkiewicz
11. Wojciech „Troy” Woszczek
12. Halszka „Dracia” Wysocka
13. Dawid „Kthaara” Zgud

Moja krew dla Was i za Was.

*Ewelinie Wiechuckiej  
i Kamilowi Tyszkiewiczowi  
dedykuję*

# Prolog

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Sektor 8543/434  
06 Decimi, 10.03 H

Astra Frey, blondynka o zwichrzonych włosach i ostrym spojrzeniu ciemnych oczu, patrzyła na mapę sektora 8543/432 Drogi Mlecznej i wskazywała palcem punkt, gdzie, jak twierdził atlas, niczego nie było. Obok niej wisiała Neena Roh, rudowłosa i piegowata przyjaciółka, uwielbiająca pikantne potrawy i głośną muzykę, oraz dimenka Queena Beech, z przekonania i zachowań anarchistka, podobnie zresztą jak dwie pozostałe Sitki.

– Tutaj, dziewczyny – sapnęła Astra. – Tu coś jest. Widzicie? Lej grawitacyjny. To system. System planetarny, o którym mamy nie wiedzieć. Czułam to, burwa, czułam.

Ojciec Astry, Roman Frey, dopuścił się kilkadziesiąt cykli temu Wielkiego Zła i został zesłany na Sofię. Gdy wrócił, zaszczepił Astrze plugawy sofijski slang i nienawiść do Imperium. „Jebanegio Jemperium”, jak mawiał, nim znowu dopuścił się Wielkiego Zła i ponownie został zesłany na Sofię.

– Tak – odezwała się Neena i podrapała po piegowatym nosie. – Widzę.



Jest, ale nie ma.

– Kolejna tajemnica Jemperium – syknęła Astra.

– Lecimy tam? – Dimenka Beech błysnęła jedynym czujnikiem optycznym, który widniał nie w okolicy czoła, ale dryfował przed jej twarzą, co chwila zmieniając położenie. Tak naprawdę zupełnie nie wyglądał na czujnik optyczny. Bardziej przypominał ozdobną broszkę. Reszta jej mechanicznej twarzy była zupełnie pozbawiona rysów i nie miała ruchomych elementów.

– Oczywiście – odparła Astra i wydała mentalne polecenie, by Tyr, jej airvill, wykonał skok.

– *Ostrzeżenie* – odezwał się mózg domostwa. – *Wstęp do sektora 8543/432 Drogi Mlecznej jest zarezerwowany dla wąskiej grupy Sitów. Ty, Astro Frey, nie należysz do tej puli.*

– No i, burwa, własny dom mnie poucza – warknęła Siti. – Skacz, jebana maszyno.

– *Mam ostrzeżenie, że wtargnięcie do tego sektora skończy się dla nas fatalnie.*

– Sratalnie.

– Czekaaj – Queena wyciągnęła metalową rękę – jeśli to taka tajemnica, przygotujmy się.

Astra Frey spojrzała na nią zdziwiona.

– Czyli?

Queeną pochyliła się nad mapą, wpatrując lewitującym okiem w pusty obszar.

– Mówiłaś, że masz przyjaciela.

– Jedyne facet, z którym chce mi się rozmawiać. I to też tylko od czasu do czasu.

– Han Fierce, tak? – Oko dimenki spojrzało na przyjaciółkę.

– Tak.

– Masz jego adres?

– Jego airvilla? *Grendela*? Oczywiście. – Frey wydeła blade usta.

– Przygotuj teleport i nastaw na jego adres.

Astra uniosła brew.

– Po co?

Do rozmowy wtrąciła się Neena, znowu drapiąc się długim, animowanym w złote lwy paznokciem po piegowatym nosie:

– Wiesz, jeśli miałybyśmy zginąć...

– Srinąć – prychnęła Asha. – To kolejna ściema Jemperium! Mamy Czasy Szczęśliwości! Sitowie nie giną ot tak! Wierzycie w to? Kolejne kłamstwo ImBu!

Neena uśmiechnęła się.

– Oczywiście, ale wiesz, na wszelki wypadek. Poza tym wypadaloby wreszcie pokręcić się trochę w męskim gronie. To nasze lesbijstwo już mi bokiem wychodzi...

Queena zarechotała.

– Więc – ciągnęła Neena – warto by było, żeby ten Fierce dostał hotki tego, co zobaczymy. On zna jakichś facetów?

Frey pokręciła głową.

– Jeżeli już, to tylko takich porąbanych jak my.

– Już mi się podoba – orzekła dimenka. – Anarchista?

– Jak cholera. Większy od nas razem wziętych.

– Dimen?

– Organik.

– Szkoda. No dobra. Tak czy owak, weź to. – Queena wyciągnęła na rękę... swoje oko.

Astra spojrzała na nią zaskoczona.

– Nie bój nic – uspokoiła ją Beech. – To oko to przykrywka. Zawsze tak było. Owszem, sprawdza się jako lorneta, ale naprawdę widzę całą powierzchnię twarzy.

– Wiesz co, miałam ci to powiedzieć już dawno temu, ale trochę mnie przerażasz.

Kobieta robot roześmiała się.

– Masz jeszcze jakieś tajemnice? – spytała Frey.

Dimenka oparła smukłą rękę na mechanicznym biodrze.

– Niejedną, złotko.

Astra wzięła przypominające broszkę oko i umieściła je przed czarnym O'Toolem, który zawisnął tuż obok niej.

– Jon – odezwała się do drona – wyślesz to do Hana Fierce'a cetnię po tym, jak wykonamy skok.

– Tak, proszę pani.

Blondynka spojrzała na dimenkę.

– Oko porobi hotki?

– O tak, w tym czasie zapisze ich tysiące.

– Zatem co, dziewczyny? – Astra wyciągnęła rękę do przyjaciółek.

Chwyciły się za dłonie.

– Anarchia? – spytała Frey.

– Anarchia! – krzyknęły Sitki.

– Tyr, skacz.

– *Uprzedzam, Siti Frey, miejsce docelowe jest święte, nie wolno mi...*

– Tobie nie wolno, ale mnie wolno. Mamy Wolną Wolę.

– *Możemy tam wszyscy zginąć.*

– Nie możemy. To Jebane Cukrowe Jemperium. Nikt nawet muchy nie skrzywdzi. Skacz.

– *Tak, Siti.*

Ledwie wygładziły się zmarszczki teraźniejszości, oczom anarchistek ukazała się dziwaczna, jaśniejąca błękitnym blaskiem planeta. Wyglądała, jakby była porośnięta długim błękitnobiałym włosiem.

– Co to?!

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
System Gilgamesh  
Sektor 8543/432  
06 Decimi, 10.06 H

Komandor Jack Frost, kapitan pancernika *Śmiały*, jednostki klasy *Invincible*, patrzył na strzępy airvilla, które leciały w stronę globu.

– Frank – zwrócił się do oficera technicznego – śledzisz trajektorię tych drobin?

– Tak – odparł mężczyzna. – Uderzą w pierścień.

– To niedobrze.

– Są za małe, żeby narobić szkód.

– Sprawdź to.

– Oczywiście.

# **Panorama 1**

**Niezbadane są ścieżki ImBu**

## Obraz 1

# Przedszkole

Droga Mleczna  
Rubieże  
Planeta Nowa Polinezja, raj  
Sektor B 43253  
08 Decimi 232 EI, 07.34 H

– Do abordażu! – krzyknął Ben Torres i rzucił się w stronę airvilla lecącego pięćdziesiąt metrów od jego *Biegnącej po falach*.

Załoga, składająca się z barwnie przystrojonych korsarzy, których pancerze połyskiwały złotem, srebrem, rubinami i szmaragdami, których kapelusze powiewały na wietrze i których generatory anti-g odkształcały obraz tego, co znajdowało się za nimi, krzyknęła gromkie „Hurra!”, po czym wyjąwszy z hipoków samopały i rusznice, także ruszyła w bój.

Dookoła nich trwało, poznaczone nielicznymi różowymi cumulusami, karmazynowe, płonące niebo rozciągające się w każdym kierunku, w górę i w dół także. W dali połyskiwały światła latających miast, długich karawan i odległych filarów rajy. Wszystko to wisiało w arealnym półprzezroczystym

labiryntie powietrznych szlaków, serwisów informacyjnych i najnowszych wiadomości z różnych planet WayEmpire.

Torres nie miał jednak czasu na podziwianie uroków rajy Nowej Polinezji, jednej z piękniejszych planet Rubieży. Był zajęty! Od masywnych naramienników jego karmazynowego pancerza oddzieliły się trzy samobieżne działka i rozpoczęły ostrzał tarasów wrogiego airvilla, które niczym satelity krążące wokół głównego globu, kręciły się dookoła domostwa wyglądającego jak latający magiczny zamek z bajki dla grzecznych dziewczynek. Z siedziby wyleciało kilkadziesiąt ciemnozielonych droidów, które zaczęły ostrzeliwać się fosforyzującymi na tle czerwonego nieba impulsami elektromagnetycznymi, ale działka *Biegnącej po falach* natychmiast zneutralizowały salwy, a roboty zestrzeliły.

– *Dobra maszynka!* – Ben wysłał do mózgu swojego statku pak okraszony satysfakcją i pochwałą.

*Biegnąca po falach* odpowiedziała jowialnym:

– *Zawsze do usług, kapitanie.*

Dymiące droidy opadły bezwładnie na tarasy siedziby, a kilka z nich, nie znalazłszy oparcia, szybowało w dół, ku bezkresnemu szkarłatowi, błyskając polerem pancerzy. Ben polecił swojemu airvillovi, by wysłał drony i przechwycił spadający złom. Skorupy mogłyby upaść na kogoś, zanim zdążą się zreperować, i byłaby katastrofa...

Wiatr szumiał w rondzie kapelusza kapitana, gdy wyciągał z podprzestrzeni dwa wielkie, złote samopały ozdobione motywami trupich czaszek i orłów. Gdy właściciel siedziby, odziany w długie, kremowe szaty do złudzenia przypominające materiał, a nie pancerz, wyskoczył z głównego wejścia i wzleciał w niebo, został przez Bena zdjęty celnym strzałem z lewej ręki. Oczywiście kapitanowi pomagał frin, wyświetlając animację toru przeciwnika oraz obraz arealnego ułożenia dłoni i oręża.

Załoga *Biegnącej po falach* już była w środku i ze śmiechem wyfruwała przez okna obarczona srebrem, platyną i złotem. Do Bena podpłynęła jego flama, Vivien Lacroix, odziana tak jak on, w karmazyn i złoto. Machnęła zalotnie skrzącym się w świetle zachodu złoto-czarnym kapeluszem.

– Dobra robota, piracie. – Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

Torres pogładził krótką hiszpańską bródkę.

– Ba.

Z rabowanego airvilla wypłynęła, otoczona animowanymi białymi flagami, kobieta w zielonej pelerynie. Była, zdaje się, partnerką właściciela.

– O co wam chodzi?! – krzyknęła. – Dlaczego zabieracie nasze rzeczy?!

Jej głos został wzmocniony przez sieć i cała załoga *Biegnącej po falach* słyszała ją doskonale.

– Nie zabieramy, droga pani, tylko kradniemy – odparł Ben, a jego podkomendni zarechotali.

– No właśnie! – zawołała kobieta. – Czy wy jesteście jacyś nienormalni?

– *Nareszcie jakiś opór* – Torres rzucił mentalnie do Vivien. – *W Macierzy wszystko nam oddawali i jeszcze się śmiali.*

– *Bawi cię to?*

– *Ludzie w Rubieżach byli zawsze bardziej zadzierzyści. To dziedzictwo Sparty.*

– *Jesteś dziwny.*

– *Jestem piratem.*

– *I tak cię kocham.*

– *To oczywiste.* Nie, droga pani – odezwał się na głos, dworsko się kłaniając – jesteśmy korsarzami! – Podleciał do kobiety, zostawiając Vivien za sobą, i dotknął krążących wokół jej szyi dwóch talizmanów. – Aktywne, prawda? – spytał.

– A co ci do tego, Sit?!



Zgarnął je jednym ruchem ręki i schował do zasobnika w udowej części pancerza. Kieszeń zamknęła się z cichym sykiem zasuwanej płyty.

– Ależ co to...?! – Rezydentka rabowanego airvilla pozostała na wdechu. – Bezczelność!

Torres podleciał do jej mężczyzny, który już zbierał się z tarasu po krótkim szoku. Jemu także flibustier zabrał dwa talizmany. Zgrabnie ominął jeden z tarasów domostwa i wrócił na latającą łódź.

– Moje talizmany! Zgłupieście! – darła się niewiasta. – Zaraz wyślę na was część domostwa i zepsuje wam tę krypę!

– Ach, o niczym innym nie marzę! – odparł Torres.

Kobieta machnęła ręką i zerknęła na męża, który właśnie wzlatywał, otrzepując się z żółtego kwiecica.

– No co się tak patrzysz? – zmitygowała go. – Zrób coś!

Sit zerknął na kapitana. Przez chwilę wokół jego głowy latały dziwne zielone szmaty, zapewne wizualizacje, które, gdy był w normalnym stanie emocjonalnym, przedstawiały flagi, oriflamy czy proporce, teraz jednak były niezrozumiałymi kleksami.

– A niech idą do cholery!

– Ale nasze rzeczy!

Kobieta wyrzuciła oskarżycielski palec w stronę piratów lądujących na trzech pokładach *Biegnącej po falach*. Z paznokcia wystrzeliła animowana włócznia i poszybowała w stronę żagli airvilla.

– Zamówimy sobie nowe – rzekł mężczyzna.

– Ale talizmany!

– Też weźmiemy nowe.

Widząc, że z mężem nic nie zwojuje, kobieta spojrzała ze złością na korsarzy.

– Wezwę Błogosławionego! Albo ImBu się poskarżę! Besebu wezwę!

– Droga pani, jeśli dotąd nie złapał nas ani Brat Besebu, ani inny Anioł Śmierci, a ImBu nas nie ukarał, to znaczy, że mimo wszystko podoba im się nasza działalność!

– Popieprzony ten świat – mruknęła kobieta. – A gadałeś – spojrzała na mężczyznę – że w raju będzie pięknie! Ja ci od razu mówiłam, że źle się czuję, gdy samo powietrze dookoła i żadnego gruntu pod nogami. Wracamy na powierzchnię! Mama była Grondem i ja jestem Grondem!

Mężczyzna spojrzał błagalnie na kapitana *Biegnącej po falach* i wysłał prywatny animowany przekaz. Litery rozbłysły tuż przed oczami Bena.

– *Zabierzcie i tę cholere.*

Otaczały go arealne strzępki scen, w których kobieta krzyczała na niego, oskarżała go i ogólnie ciosała mu kołki na głowie. Przez ułamek cetni Ben Torres zastanawiał się, dlaczego są razem. Przecież w dzisiejszych czasach nie musieli. Ale sceny, które wciąż dosyłał mężczyzna, były tak komiczne, że korsarz roześmiał się w głos.

– Wiwat kapitan Torres! – krzyknął jeden z piratów.

– Wiwaaat! – wrzasnęła załoga, a jej głos został wzmocniony i potoczył się w powietrzu niczym grom.

Vivien roześmiała się z innymi, a potem z udawanym politowaniem pokiwała głową.

– *I po co ci to wszystko?*

Ben spojrzał na nią z ukosa, potem zaś ogarnął wzrokiem załogantów.

– Nic tak nie cieszy, jak kradzione! – krzyknął, a frin wzmógł jego tembr tak, że odbił się echem od ścian airvilla.

– Na pohybel Stellarom!

Droga Mleczna

Macierz  
Planeta Ziemia, Raj  
Dystrykt Warsaw City  
Sektor A 12344  
08 Decimi 232 EI, 07.40 H

– Dzieci, to jest Sitizen Torkil Aymore. Przywitajcie się.

– Dzień dobry, Błogosławiony!

Dwanaścioro niewinnych buziek patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Przebiegają nimi po trzymetrowym, skrzącym się w słońcu pancerzu typu Coremour Wzór X zdobionym motywami anhelicznych i demonicznych skrzydeł współtworzących ze smoczymi stylizacjami złożone mozaiki. Patrzą na moje metalowe, powoli falujące skrzydła zostawiające arealne, jasnoniebieskie smugi. Uśmiecham się szeroko i liczne źrenice okolone wielobarwnymi, nierzadko animowanymi tęczęwkami natychmiast wkłuwają się w moje zęby, wyłuskując kły masywniejsze i dłuższe od normalnych. Ruchliwe oczka są jak szpiedzy, którzy chcą z każdego zakamarka zbroi wydobyć tajemnicę legendarnego wojownika Imperium. Szkraby ubrane są w pancerzyki pełne iluzji smoków, kwiatków, słoneczek, serduszek, gwiazdeczek i innych infantylnych deseni. Wystają z nich skrzydełka (chcą wyglądać jak ja), pelerynki, świecące czułki. Każdy berbeć pragnie się czymś wyróżnić. To typowe dla Wielkiego Imperium. Gdy podrosną, połowa z nich zrezygnuje z ciała i będzie mogła się wyróżniać nie tylko jego kształtem, ale także rozmiarem. Na razie, zgodnie z sugestią Imperatora, powinny poznać, czym są wzrost i rozwój żywego organizmu. Bez tego mogą zatracić ważną część człowieczeństwa.

Za nimi, nad i pod nimi, wszędzie dookoła, kołysze się rój tarasów z dziećmi z innych przedszkoli. Frin je policzył i ze zwykłą dla siebie

dokładnością oświadczył, że jest ich równo sto tysięcy. Nic dziwnego, że widzę je jak okiem sięgnąć. Pośród platform dryfują trójwymiarowe ekrany wielkości połowy areny Gladiatorów. Wyświetlają moją twarz. W tle króluje niebywale mocno nasycony, jakby ktoś rozlał gęstą farbę, błękit nieba. Po nim żeglują cumulusy rozsiane na wielu warstwach. Te najdalsze są ledwie widoczne z za niebieskiej zasłony.

Wracam wzrokiem do gromadki, która dostąpiła zaszczytu przebywania w mojej obecności. Przyspieszam do pięciu, mięśnie karku minimalnie sztywnieją, otoczenie nieruchomieje, tańczące w słońcu pyłki zatrzymują się, usta dzieci szepczące coś w zachwycie zwalniają falowanie. Robię zbliżenie ultramarynowego oka najbliższej wiszącej dziewczynki. Usuwam refleksy światła i powiększam. Teraz obraz wypukłej, jakby metalicznej, wypolerowanej powierzchni jej rogówki wypełnia niemal całe pole widzenia. Widzę siebie, wiszącego wraz z nimi kilkanaście centymetrów nad wielką platformą spacerową, zakotwiczonego do podłoża animowaną stalową kulą. Dalej, za moimi plecami stoi Tell. Naprawdę stoi, czyli opiera wielkie łapy o podłoże i, jakby chcąc się popisać, co chwila rozpościera pomarańczowo-złoto-cyjanowe skrzydła i bije szafirowo-pirytowym ogonem w metaliczną posadzkę, która wdzięcznie dzwoni, co z pewnością zagłuszałoby rozmowę, gdyby inteligentne friny nie wyciszały tego hałasu. Smocze skrzydła i ogon pozostawiają po sobie czerwone smugi. Animacje te podobne są do tych, które generują moje skrzydła czy czary Siewcy. Friny niemal wszystkich obywateli WayEmpire tworzą i odbierają takie efekty. Nikt już się nie zastanawia, czy są prawdziwe, czy nie. W naszym świecie Ran i Smok nie istnieją bez magicznych błękitnych lub czerwonych śladów w powietrzu. Zresztą prawie każdy obywatel otacza się iluzjami – niektórymi naprawdę animowanymi w powietrzu, ale o wiele częściej wyłącznie cyfrowymi, czyli reistycznie nieistniejącymi.

Nad Tellem wisi mój O'Tool w kształcie zgrabnej, czarnopłytej gynoidki, która w każdej chwili może ułożyć ręce w równe koło i stworzyć w ten sposób teleportacyjną bramę, przez którą z Worplanu zostanie dostarczone praktycznie każde moje zamówienie. Obok niej połyskuje SaintDroid, rozrzucając refleksy światła, gdy rotuje wokół długiej osi. Dalej kołyszą się trzy ArtDroidy, z których zwisają długie cyjanowo-karmazynowe proporce ze złotym godłem Imperium. Na lewo od Tella wisi Lea Stone zakotwiczona do podłogi iluzorycznym złotym orłem wznoszącym skrzydła do lotu, na prawo zaś także lewituje Mars Gradivus związany z podłożem podobną animacją. Oboje są w złotych, ciężkich Hegarach. Pełnią obowiązkową wartość przy Błogosławionym. Najwyżej królują dwa ślepe serafy bijące skrzydłami. Te byty z kolei nie są zrozumiałe dla nikogo, również dla naszych frinów. W WayEmpire po prostu fruują serafy. Za nimi widzę sine od odległości wieże Warsaw City.

Tak jest, Warsaw City.

A jeszcze dalej ledwie widoczny gigantyczny filar rajy ciągnący się od powierzchni globu w górę, w błękit. Jest gruby jak jedna trzecia polii.

Tak, to wszystko widziałem w rogówce małej dziewczynki.

Przestaję zoomować, wyłączam przyspieszenie. Głosy podnoszą się o kilka oktaw, pyłki znowu wirują w powietrzu, usteczka szepczących dzieci poruszają się szybko jak skrzydła owadów.

– Zgadza się – mówi przedszkolanka.

Jej głos słyszą w głowach tysiące przybyłych na spotkanie, ale tylko ona i jej grupa będą ze mną rozmawiać.

– Sit Torkil jest Błogosławionym.

– Siti – odzywa się niższa od innych dzieci blondyneczka ubrana w złotą sukienkę składającą się z drobnych łusek. Boi się. Czuję to. Jakby odrywały się od niej krwawe strzępy. Okropne uczucie.

– Tak, Genevieve?

– Czy Błogosławiony nie... użyje upiorów?

Przedszkolanka patrzy na mnie pytająco.

– Oczywiście, że nie, kochanie – odzywam się bardzo niskim głosem. – Mój pancerz uruchamia upiory tylko wtedy, gdy czuję, że zbliża się niebezpieczeństwo. Teraz go nie ma. Nie masz się czego bać.

– Na pewno, Błogosławiony?

Przyklękam i dotykam pancernym palcem jej twarzyczki. Moja opuszka przykrywa niemal cały jej policzek.

Używam Siewcy, który błyskawicznie analizuje jej mózg, i wysyłam do niej kojący grin.

Wstaję. Mrugam do przedszkolanki. Ta oddycha głębiej.

– Tak, dzieci, Sit Torkil jest Błogosławionym. Skąd wiemy, że tak jest? Czy pamiętamy, co to znaczy? Bert?

Pucołowaty chłopiec o kędzierzawych brązowych włosach i orzechowych oczach opuszcza rączkę. Jest ubrany w pancerzyk przypominający zbroję średniowiecznego rycerza. Mógłby nie podnosić dłoni, bo nad jego głową świeci się czerwona kula, która emanuje także ciepłem (oczywiście frinowym, nie reistycznym), wskazując, że chłopak chce zabrać głos. Nad czuprynkami pozostałych dzieci również świecą się kule, lecz i tak wszystkie berbecie trzymają rączki w górze. Dzieci, jak przed wiekami, są ruchliwe i entuzjastyczne.

– Przy Błogosławionym jest zawsze Imperator! – krzyczy chłopiec.

– To nie zawsze widać! – mityguje go wisząca obok, wyższa o pół głowy płowowłosa dziewczynka ubrana w błękitną szatę, która dopiero po bliższej inspekcji okazuje się również pancerzykiem. Napis nad jej główką głosi, że to Theresa.

– Ale u tego widać! Aureolę i SaintDroida!

– Tak – dodaje niska dziewczynka w czerwonej zbroi wyglądającej jak sukienka balowa. – SaintDroida i Aureolę!

– SaintDroid nie błyska – mówi Bert – więc teraz Błogosławiony nie rozmawia z Imperatorem!

Nikt nie wie, jak powstaje SaintDroid, nie można go sobie zamówić, nie wiadomo, na którym Worplanie jest produkowany (o ile wytwarzany jest tylko w jednym miejscu). Jest nieomylnym znakiem Błogosławionego. Wygląda jak symbol Imperium – anielica i demon spleceni są w miłosnym uścisku, ogon demona owija ich nogi spiralą, skrzydła są rozwinięte, symetrycznie ułożone. SaintDroid świeci, promieniuje jasnym światłem i powoli się obraca. Zwiesza się z niego gonfalon z imieniem i nazwiskiem Namaszczonego. To całkiem miłe: łopoce nad tobą wizytówka o powierzchni trzech metrów kwadratowych.

Tak jak usiłowania podrobienia tego robota spełzyłyby na niczym, bo ImBu od razu by to wykrył i unicestwił projekt, nikt także nie potrafi imitować aury. To blask dookoła głowy układający się w okrąg. Coś jak u starodawnych świętych. Sam zainteresowany dostrzega jedynie ikonę w polu widzenia informującą o obecności aureoli, bo realny blask oślepiłby go. Za to aż nadto wyraźnie widzą ją inni. Tylko ImBu steruje programem, dzięki któremu osiągany jest ten efekt, podobnie jak smugi wokół skrzydeł i wszelkie inne animowane fajerwerki.

– I Smok! Smok jest znakiem Błogosławionego! – dodaje czerwony z podniecenia brunecik, znad którego ramion wystają metaliczne skrzydła nietoperza.

– Ale nie każdego! – kontruje Bert.

– Każdego!

– Dzieci! – Przedszkolanka jest niezadowolona. Ciało limbiczne jej mózgu pulsuje negatywną ekscytacją. – Uspokójcie się! Oczywiście, że nie przy

każdym Błogosławionym jest Smok. Jak inaczej mówimy na Smoki?

– Suverzy!!! – krzyczy czereda.

– A nie, bo Dragonoidy albo Dragony – prostuje Bert. – Suverzy to szersza nazwa i obejmuje także rzadkich, ale innych przedast... przedstawicieli tej grupy. Smoki to Dragonoidy.

– Ale tak się mówi. Wszyscy mówią na Smoki „Suverzy” – kontruje mały rudzielec Kevin.

– I źle, prawda, Siti?

Przedszkolanka kiwa głową.

– Bert ma rację, ale rację ma też Kevin. Suver to pojęcie szersze, ale innych Suverów jest tak mało, że większość obywateli używa tego słowa jako synonimu Smoka.

Bert pochyla głowę i coś do siebie szepcze.

– I, Siti, to Suver wybiera Błogosławionego, nie odwrotnie! – mówi z zapalem Kevin.

– Świetnie, Kev, tak właśnie jest. Tamten wspaniały Dragon jak się nazywa?

– Tell! – krzyczą dzieci.

– Oczywiście. Widzimy nad nim napis, prawda?

– Taaak!

Od ponad stu cykli każdy nowo narodzony obywatel WayEmpire widzi wiszące w powietrzu nierealne napisy, nieistniejących nauczycieli, animowane ozdoby, czuje dotyk metowych reprezentacji ludzi, którzy reistycznie przebywają zupełnie gdzie indziej, wyłącznie cyfrowych towarzyszy, może także ich dotykać oraz wciągać ich zapachy, odczuwa ich nieistniejące ciepło itepe, a to wszystko dzięki sieci. Nikomu w obecnej dobie nie przyszłoby do głowy dziwić się takim zjawiskom, a jednak były czasy, gdy nie było to normalne. I ja je podobno pamiętam, tylko że w tym



momencie nie za bardzo umiem cokolwiek sobie przypomnieć. Obszary pamięciowe mam zapchane innymi wspomnieniami, w dodatku od jakiegoś czasu, podobnie jak inne dinozaury, nie kontroluję chronologii zdarzeń. Robi to za mnie frin, ale jest niezbyt przekonujący. Po prostu przestało być dla mnie ważne, co kiedy się działo. Jestem płynącym na fali żeglarzem czasu. Mógłbym dodać „zagubionym”, ale brzmiałoby to zbyt pretensjonalnie i nieprawdziwie. Nie czuję się zagubiony. Przeciwnie, mam wrażenie, że sekwencyjne widzenie czasu jest pułapką. Wyzwoliłem się z niej, być może dzięki rzadkim, ale bardzo intensywnym frinowym przekazom od Jeffa „Spacemana” Raya, czyli mnie samego mieszkającego we Łzie Cheronei.

– Siti, przy Błogosławionych są też serafy! – dodaje drobniutka blondyneczka, ta, w której dużych, ultramarynowych oczach przed chwilą się przeglądałem.

– Brawo, Esterko, rzeczywiście często przy nich przebywają.

Estera. Gwiazda. Ładne imię.

– Ile widzimy bodhisattwów? – pyta przedszkolanka.

– Dwa! – krzyczą dzieci.

– Tak jest. Może Sit Torkil zdradzi nam, jak się nazywają?

Kręcę głową i uśmiecham się przepraszająco.

– Niestety serafy są tajemnicze. Nie rozmawiają z nami, więc nie zdradzają swoich imion. Ale nawet gdyby to zrobiły, powiedziałyby, że to dla nich nieistotne. Anioły nie rozumieją czasu ani przestrzeni. Są zawieszony w nieskończoności i wieczności, na jednej z kart Libri Mundi. Jeśli powiemy o nich, że „żyją”, to słowo będzie miało dla nich zupełnie inne znaczenie. Dla naszego sposobu postrzegania rzeczywistości są jakby martwe, ale nie tak nieruchome jak Księga Świata.

Przedszkolanka patrzy na podopiecznych uważnie. Uśmiecha się.

– Czy zrozumieliśmy, o czym mówił Sit Torkil?

– Taaak! – krzyczą dzieci.

– *Nie sądzę* – rozlega się telepatyczny przekaz Tella. Zawiera w nim przerażenie ogromem wiedzy, jaką trzeba mieć, by próbować wyobrazić sobie świat mający więcej niż cztery wymiary.

– Friny podpowiedziały? – pyta opiekunka.

– Taaak!

– *No niech będzie* – komentuje Suver, okraszając komunikat ironicznym emocjonalnym zabarwieniem, co można by opisać: „I co z tego, że frin przekaże im odpowiednie definicje? Jakim cudem czteroletnie bobasy mogą cokolwiek zrozumieć z teorii Libri Mundi?”.

– Świetnie. Pochwalmy się przed Błogosławionym swoją wiedzą, dobrze?

– Przedszkolanka układa dłonie w znak Imperium i pochyla się nad trzódką.

Relikt przeszłości. Teraz dostęp do niemal każdej wiedzy jest szybki i prosty. Petry, które ma każdy obywatel, co dek uczą Sitów różnych rzeczy – nawet takich, których sobie do końca nie uświadamiamy. (Jako Błogosławiony wiem, że to z reguły wdruki bojowe). Kultywuje się jednak stare formy edukacyjne, by stymulować rozwój społeczny, rozwijać umiejętności współpracy i wzmacniać linearny sposób rozumowania, który dla mnie staje się coraz bardziej obcy. Wizja przyczyn i skutków wydaje mi się jedną z najbardziej prymitywnych idei świata. W sam raz dla czterolatków. Świat jest. Czas jest. Człowiek porusza się w nim raz w górę, raz w dół i sprawia, że rzeczy się dzieją. Nie ma przypadków, a rezultaty naszych działań są często tam, gdzie racjonalny umysł – już na szczęście nie mój – nie umiałby ich zidentyfikować.

– Doskonale – cieszy się kobieta i obnaża duże, równe, białe zęby, zgodnie ze starą modą lekko świecące, ale na szczęście nie animowane. Takich nie lubię. – Kiedy po raz pierwszy pojawił się w Imperium seraf?

Pierwszy rączkę podnosi kędzierzawy Bert.

– Czekał, Bert, daj szansę innym.

Kobieta wywołuje czarnowłosego, szczupłego chłopczyka stojącego za nim. Dotąd się nie odzywał.

– Kris?

– W dziewięćdziesiątym dziewiątym cyklu Ery Imperium. Oficjalna doktr... doktryna mówi, że najprawd... najprawdopodobniej Mardok Enea uratował wtedy uciekinierów z Cheronei.

Mam na ten temat inne zdanie. Mardok nie mógł być serafem. Ale nie będę dzieciom mieszał w głowie.

– Zgadza się! Brawo, Kris! – chwali go kobieta.

Chłopczyk marszczy nos i pociera go rączką. Ma do powiedzenia coś niezręcznego.

– Siti, czy musimy mówić? Nie możemy przejść na tot?

O właśnie.

– Kris, wiesz, że waszym obowiązkiem jest używanie werbalizacji. Nie udawaj, że nie pamiętasz. Czy ktoś przypomni, dlaczego komunikowanie się za pomocą aparatu mowy jest ważne?

Wszystkie rączki, tak świeże, pulchne i czyste, są w górze. Nad podnieconymi główkami goreją czerwone kule sygnalizujące palącą potrzebę udzielenia odpowiedzi.

Spoglądam w dal. Na setkach platform dookoła nas dzieci także podnoszą ręce. Tarasy wyglądają za ich sprawą, jakby płonęły. Czuję ich przemożną chęć wypowiedzenia się. Jest jak rozgorączkowana, radosna fala, która omywa mnie niczym ciepłą, pachnącą wodą. Przypominam sobie dzieciństwo – nie jakąś konkretną scenę, ale ogólne odczucie. Trudno powiedzieć, czy wspomnienie pochodzi z mojego mózgu, bo ten jest szczelnie wypełniony, jak siodło Suvera, gdy dosiada go Ran. Być może ulotne przeżycie ma źródło w samoświadomym bycie zwanym potocznie duszą? Dookoła pobrzmiwa

szum tysięcy głosów. Miły, prawie relaksujący miękki huk, jakby na wietrze gięły się niezliczone kłosa pszenicy.

Kobieta wywołuje rudą, śniadą dziewczynkę. Włosy w kolorze miedzi i ciemna karnacja. Gdybym to opowiedział matce, nie uwierzyłaby. Jakies dwieście sześćdziesiąt cykli temu, całkiem niedaleko, we Wrocławiu.

– Tak, Pamelko?

Mała kobietka wyciąga do przodu ręce, jakby chciała uchwycić wodze jakiegoś rumaka.

– Musimy uczyć się mówić i oper... operować czystym imperialnym, by potrafić się komunikować z każdym owybatelem Imperium. Obywatelem.

– Ślicznie! A dlaczego jest to ważne?

– Bo się rodzi – wykrzykuje Bert, nie czekając na pozwolenie – mnóstwo, mnóstwo ludzi w Imperium i ci nowi, na odległych planetach muszą mówić tak jak my, bo inaczej się nie porozumiemy!

– To znaczy – wchodzi mu w słowo Theresa – że gdy używamy totu, tylko myślimy, nasze intencje przekazujemy innej osobie i nie używamy w ogóle słów, a ośrodki mózgowie odpowiedzialne za mowę...

– Są niewykorzystywane! – wykrzykuje Bert.

– Właśnie – nie daje za wygraną Theresa. – A chodzi o to, żeby je trenować!

– Tak. Bardzo ładnie, dzieci. – Przedszkolanka rzuca Bertowi karcące spojrzenie.

Widzę jej mózg i wiem, że wysłała mu totowe upomnienie. Chłopak lekko się rumieni. Kobieta opanowuje się.

– Skoro jesteśmy przy planetach, ile liczy ich dzisiaj Imperium Drogi?

Znowu wszystkie rączki są w górze.

– Proszę, Klaro.

– Mój frin podaje, że tysiąc dwadzieścia cztery.

- Zgadza się. Co ile jest zasiedlany nowy glob?
- Co półtorej undukili! – krzyczy czereda.
- Brawo! Jak długo będzie trwał ten trend? Lucas?

Blondynek o bardzo jasnych oczach, kryjący się do tej pory za innymi dziećmi, mówi przytłumionym głosem:

– Stale akcie... akcelerujący trend terr... terraformingu nowych planet będzie postępował, aż zostanie skolonizowane siedemdziesiąt procent możliwych do zamieszkania globów Drogi Mlecznej.

– Idealnie. – Przedszkolanka uspokaja się. Wreszcie jej podopieczni zaczynają się właściwie zachowywać. – A ile procent układów naszej Galaktyki nadaje się do zamieszkania? Gabrielle?

Dziewczynka o niebieskich, metalicznie połyskujących włosach i takich samych tęczęwkach recytuje:

– Żółtych karłów jest trzy procent, z czego siedemdziesiąt pięć zgromadzonych jest w centrum Galaktyki. Z tego wynika, że dostępnych eksploracji mamy siedemset pięćdziesiąt milionów, ale trochę z nich znajduje się za daleko od centrum Drogi Mlecznej, trochę przebywa zbyt blisko skupisk nadolbrzymów, pewna część siedzi w obłokach pyłu i w gęstszych fragmentach ramion Galaktyki, więc zostaje sześćset, z czego siedemdziesiąt procent to układy elipsoidalne i niestabilne podwójne, trudne do zamieszkania... Pozostaje około stu pięćdziesięciu milionów systemów, ale że Imperator chce stworzyć trzydziestoprocentową rezerwę, ekspansja zatrzyma się po skolonizowaniu stu milionów planet, co przy obecnym postępie nastąpi za...

- Sto trzydzieści trzy tysiące cykli! – wykrzykuje Bert.
- Bert, zwolnij, proszę, nieładnie jest przyspieszać operacje mentalne, gdy inni tego nie robią.
- Przepraszam.

– Ponadto trzeba pamiętać, że jak mówił Lucas, tempo kolonizacji stale wzrasta i możliwe, że uda się sterraformować pożądaną liczbę planet dużo szybciej, prawda?

– Taaak!

– Ale Siti – odzywa się Bert – dlaczego wszyscy nie przyspieszymy?

Przedszkolanka uśmiecha się łagodnie. Słyszę z innych platform śmiech dzieci. Dobry humor przetacza się wokół nas jak spieniona, miękka fala.

– Bert, przecież wiesz, że wtedy nie moglibyśmy mówić.

– I byłoby świetnie. Przeszlibyśmy na tot. Ja się z Krisem zgadzam.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Yimr, grunt

Polia Roomney, dystrykt Oomba

08 Decimi 232 EI, 07.47 H

Bunkier Gutberga Warwicka był jak zawsze pogrążony w półmroku, oświetlony tylko zielonymi snopami światła przedzierającego się przez siatki maskujące rozwieszane pod świetlikami w suficie. Han Fierce, mężczyzna o prostokątnej twarzy okolonej ciemnymi włosami, przekreślonej wąskimi wargami i punktowanej drobnymi, jasnymi oczami, odziany w odrapany szarostalowy pancerz, wszedł do środka, lekko się pochylając pod nisko sklepionym, wyokrąglonym wejściem.

– Frag, Gut, nie powiększysz tego wjazdu? – odezwał się zachrypłym, dość wysokim głosem.

– Salut. – Warwick, ciemnoskóry, mocno zbudowany mężczyzna ubrany w zbroję udekorowaną umbrowymi barwami obronnymi, machnął ręką na

powitanie. – Nie.

– Why?

– Żaden Ran nie będzie mi się tu wpierdalał. Zwłaszcza ze Smokiem.

Hanowi spodobała się ta odpowiedź. Wyszczrzył mocne zęby koloru kości słoniowej. Jego wąskie usta wyglądały teraz jak cienkie kreseczki.

– Budynek się dostosuje do Rana – skwitował.

Gut także wyszczrzył zęby, mocniejsze i większe.

– Nie ten.

Fierce otworzył szerzej oczy.

– ImBu pozwolił ci zaingerować w algorytm domostwa? Przecież każdy dom, nawet grondowy, musi mieć możliwość wpuszczenia...

– Jak się okazuje, nie każdy – cmoknął Gut.

Han oparł się z wrażenia o wysoki kontuar, za którym unosił się jego rozmówca, i zaczął podrzucać wydobyty z udowego zasobnika przedmiot. Wyglądał jak ozdobna brosza albo dziwnie zdobiony sensor optyczny dimena.

– W mordę... – szepnął w zamyśleniu.

– Wolna Wola, bracie. – Warwick zabębnił palcami o blat. – Potrzebujesz czegoś?

Wydał mentalną dyspozycję i znajdująca się za nim ściana zdematerializowała się, ukazując wiszące jeden obok drugiego rotujące moduły bojowe.

– Pokazujesz mi stałe? – spytał Fierce, obracając w ręce broszę.

– I stałe, i hipokowe. Do wyboru, do koloru. Jak chcesz, zrosną się z pancerzem i zostaną. Jak nie, będą wyskakiwały z podprzestrzeni na życzenie. Udowe, nagoleniowe, przedramienne, ramienne, barkowe, na głowę, a jak chcesz, nawet starożytne, trzymane w garści, jak te quilldao Aristosów. Co chcesz?

Han milczał chwilę. Wciąż wpatrywał się w dziwny klejnot. Warwick wiedział, że to nie wróży niczego dobrego. Fierce milczał tylko przed naprawdę doniosłymi stwierdzeniami.

– Coś, co będzie w stanie przebić Coremour Wzór X.

No i stało się. Po tym zdaniu cisza w pomieszczeniu jakby zgęstniała, a temperatura wzrosła.

– Co ty powiedziałeś? – wyszeptał Gutberg. – Jesteś normalny? – Rozejrzył się lękliwie. – Przecież za chwilę ImBu urwie ci dupę!

Han poczekał kilkanaście cetni, jakby liczył, że zaraz przez niskie wejście bunkra Warwicka wkroczy jakaś piękność. Popatrzył na sufit i cicho zagwizdał. W tym czasie Gutberg liczył uderzenia serca. Mimo natychmiastowej ingerencji frina puls nie chciał zwolnić.

– Jak widzisz, jakoś nie urwał – szepnął Fierce.

Gut westchnął głęboko, a wokół jego pancerza zawirowały wizerunki nagich kobiet. To go uspokajało.

– Ja pierdołę – sapnął.

– Wolna Wola, bracie. – Han uśmiechnął się. Wokół jego pancerza nie wirowały animacje. Nigdy. Starał się też nie latać. Preferował chodzenie.

– Ale dlaczego chcesz strzelać do Rana? – Gut oblizał nagle wyschnięte pulchne wargi.

– Nie do Rana. Do Błogosławionego.

Fierce z zadowoleniem stwierdził, że nawet taki stary wyjadacz jak Gutberg, handlarz nie do końca legalną bronią, potrafi zblednąć.

– Pojebało cię?!

– Nie. Widzisz to? – Wskazał broszkę.

– Widzę.

– Miałem znajomą. Fajna dziewczyna.

– Julia? Ramona? O nich mówisz?



- Nie, o innej. O Astrze Frey.
- Nie słyszałem.
- Bo o niej nie opowiadałem. Julia i Ramona są świetne, ale nie tak radykalne jak Astra...
- Anarchistka? – domyślił się Gut.
- Ta... Widzisz, nie mam od niej żadnych wieści.
- Nie rozumiem.
- No, nie odzywa się. Nie mam z nią kontaktu. Dostałem to coś dwa dni temu i potem już nic... Zniknęła.
- Jak to: „Zniknęła”?
- Rozpłynęła się w powietrzu. A tutaj, w tym oku, utrwalone są hotki czegoś dziwnego...
- Pokaż! A nie – Warwick zreflektował się i wyciągnął rękę w obronnym geście – nie chcę wiedzieć.
- I słusznie, bo to, zdaje się, jedna z tajemnic Imperium. I za jej poznanie Astra oddała życie.
- Niemożliwe. W Czasach Szczęśliwości?!
- Widzisz, przyjacielu, nasze, jak to określasz – Fierce obnażył zęby i wysyczał – *Czasy Szczęśliwości* są obarczone pewnymi nieszczęściami... Handlarz bronią pokręcił głową.
- Niemożliwe. Nie wierzę.
- Han pokiwał filozoficznie głową. Nie miał zamiaru przekonywać rozmówcy, tym bardziej że, jak sądził, byłoby to niebezpieczne.
- Tak czy owak, mam wrażenie, że nade mną też już zawisł wyrok, zatem... – Westchnął. – Chcę wiedzieć, czy te skurczybyki są zniszczalne. I będzie to moja wendeta.
- Frin ci nie pozwoli.
- Zobaczę.

Gut potarł spocone czoło.

– Han, nie bądź głupi. Po co ci to?

– Nie za dużo pozwalasz swojemu ciału? W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak się pocił. Frin ci nawalił?

Warwick machnął ręką.

– Eksperymentuję.

– Widzisz, ty też.

Fierce mocniej oparł się o blat i wydał mentalną komendę barmatowi, który kręcił się kilka metrów dalej. Chwilę później podleciała do niego szklaneczka whiskey. Szkło było tak przemyślnie wycięte, że wydrążenie zawierające ciecz miało kształt trupiej czaszki. Był to patent Guta, z tego, co Han wiedział, ani nieudostępniiony do sieci przez Buddę, ani nieprzehandlowany przez samego Warwicka.

– Wgrałem sobie ostatnio wiedzę filozoficzną – odezwał się Fierce, chowając mechaniczne oko do zasobnika w udzie.

Gut, który także zamówił drinka, prychnął i opluł sobie rękę. Podleciało do niego pięć minidronów, wylądowało na grzbiecie dłoni, w ciągu cetni skwapliwie wyczyściło naskórek i odleciało.

– Jaką?

– A wiesz, filozoficzną. To bardzo ciekawe i w sumie proste sprawy. Takie, rozumiesz, życiowe. – Han popił ze szklaneczki. – Ta cała Wolna Wola to poważna rzecz. Cały czas mamy w sobie friny. Friny są non stop połączone z ImBu. Tworzą razem sieć, to wie każde dziecko. Teoretycznie jesteśmy częściami sieci, która nas obserwuje i kontroluje. Patrzy na nas superszybki Budda i podobno całkiem ludzki Imperator, którego ja, purwa, na oczy nie widziałem ani na uszy nie słyszałem.

– No ja w zasadzie też...

– Prawda jest taka, że jak trafisz na Sofię, to tam frin rzeczywiście nie

pozwoli ci kilku rzeczy zrobić. Ale jeśli tu będę chciał do Namaszczanego...

– Namaszczanego.

– Namaszczanego, wiem, co mówię. Twierdzisz, że jak będę chciał mu w ryj wypaskudzić, frin mi nie pozwoli. Unieruchomi palec, zatrzyma rękę, coś w tym stylu. – Fierce pokręcił głową i obnażył zęby. – Otóż sądzę, że głęboko się, brachu, mylisz. Frin nie może mi tego zabronić, nie może wstrzymać ruchu ręki, bo to by znaczyło, że mamy gównno, nie Wolną Wolę. Ludzkość nie będzie się mogła rozwijać, rozumiesz, w poczuciu, że stale ją ktoś obserwuje i ocenia. Gdyby tak było, zamienilibyśmy się w gromadę srających pod siebie dzieci, a założę się, że Ezra, chuj mu na zdrowie w cyfrową dupę, tego nie chce. On stworzył Wolną Wolę naprawdę. I ona naprawdę istnieje. My jesteśmy, jak to się mówi, sprawczy. Proaktywni, kumasz? Nie mamy cyfrowej smyczy, która by nas powstrzymała, gdy chcemy pierdnąć czy inną paskudną rzecz zrobić. Gdyby tak było, już bylibyśmy skończeni jako gatunek, kumasz?

Gut od dłuższego czasu trzymał w połowie drogi do ust szklaneczkę, w której połyskiwała bursztynowa od whiskey trupia czaszka, i patrzył na znajomego szeroko otwartymi oczami.

– Ja pierdolę. Zawsze uważałem, że zawarta w sieci wiedza to wspaniała sprawa, ale nie sądziłem, że...

– ...taki chłopek-roztropek jak ja tak się rozgada na filozoficzne tematy?

– No tak!

– Widzisz. Ja muszę to sprawdzić. Udowodnić, że Wolna Wola naprawdę istnieje. Robię to, jak widzisz, ideowo. Dla ludzkości.

– No i się mścisz.

Fierce uśmiechnął się wąskimi ustami.

– To dodaje mojej misji dodatkowy, osobisty wymiar.

– Tylko dlaczego Błogosławiony?!

– Bo nie ma już królów i prezydentów. Gdybyśmy mieli żywego pojedynczego Imperatora, to jego bym próbował...

– Na Buddę, co ty mówisz?! – Gut błyskawicznie wypił kolejkę i wystawił pustą szklaneczkę do barmata. Ten skwapliwie ją nappełnił.

– Ale teraz nie ma. Są Błogosławieni. To któremuś z nich łeb rozwałę.

– Ale na Sofię cię wsadzą!

– Nie na całe życie.

– He. Hehehehehe... No może nie na całe, ale wiesz, teraz żyje się długo...

– Się nie rechocz, tylko pokaż, co masz.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Ziemia, Raj

Dystrykt Warsaw City

Sektor A 12344

08 Decimi 232 EI, 07.59 H

– Wracając do Drugiej Wojny z Thirami – mówi przedszkolanka – oprócz pojawienia się pierwszego serafa, co jeszcze ciekawego wydarzyło się w tym okresie?

– Powstali pierwsi Święci! – krzyczą dzieci.

– I Łza Cheronei!

– Suverzy!

– Talizmany!

– Doskonale. Katharine opowie o Świętych.

Dziewczynka o długich, szafirowych włoskach ozdobionych różowymi,

błyskającymi koralikami otwiera szeroko buzię. Widzę ząbki animowane w jasnoróżowe kwiatuszki. To coś, do czego wciąż trudno mi przywyknąć.

– Podczas Drugiej Wojny z Thirami zaistnieli Święty Felix Duran, Święty Valo Godiva, Święty Hun Drake, Święty Sylvio Fusca i Święty Julius Emel. Wszyscy poświęcili swoje życie, by żyć mogli inni.

– Zgadza się, bardzo ładnie, Kat. Kim byli ci Święci?

– Ranami!

– Oprócz Juliusa Emela – prostuje Bert. – To był Człowiek Brama.

– Znakomicie, Bert, jak zwykle przykładasz wagę do precyzji wypowiedzi... A wiecie, kim jest Torkil Aymore?

– Ranem!

– I Aniołem Śmierci! – dodaje puciołowaty blondynek w zielonej łuskowej zbroi imitującej dinozaura lub smoka.

– O, brawo, Frank. Zauważyłeś złoty wdruk śmierci Imperatora na piersi Błogosławionego?

– Tak! To wyjątkowe wyróżnienie! Niewielu Ranów w Imperium nosi takie pieczęcie!

– Co one oznaczają?

Czereda milknie. Śmierć i inne poważne tematy są dla nich zbyt trudne do ogarnięcia. Przedszkolanka patrzy na mnie pytająco.

– *Ty, nie każ pani czekać* – słyszę telepatyczny przekaz Tella.

– Ten znak – odzywam się – oznacza wrażliwość i delikatność. Kiedyś śmierć wyobrażano sobie jako ponurego żniwiarza, kogoś okrutnego, zimnego i bezwzględnego, wyrządzającego zło. Dzisiaj wiemy, że Aniołem Śmierci może być tylko ktoś niezwykle ostrożny w sprawach komunikacji z drugim człowiekiem. Dlatego widzicie na tym medalu sylwetkę archanioła, który otula rękami i skrzydłami umierającego towarzysza.

– *To trochę ciężki temat, Siti* – wysyłam pak do przedszkolanki. – *Może*

*przejdźmy dalej?*

– *Tak jest, Błogosławiony* – odpowiada i dodaje komponent pospiesznych przeprosin. Nie udaje jej się skryć niewielkiej dozy paniki, za którą, niczym zdradliwa jaszczurka, przemyka wstyd, że nie umie opanować silnych emocji.

Uruchamiam Siewcę i łagodzę jej emocje. Wypełnia ją gładka fala rozluźnienia. Napięte mięśnie mimiczne rozluźniają się, a spuchnięte gardło przyjmuje normalny tonus. Uśmiecha się.

– Doskonale. Crow, może opowiesz o Łzie Cheronei?

Brunecik o mimice urzędnika zaczyna przemowę:

– Wskutek do dzisiaj niewyjaśnionego zbiegu okoliczności, na który składały się... – na cetnię zatrzymuje się i widać, że doczytuje coś z frina – ...działania Świętego Juliusa Emela, interwencja imperialnych Charonów, wpływ pierwszej społeczności z Arki Lamy oraz być może wtargnięcie do systemu Cheronei zbiega z Sofii, Zabulona Dorisa...

– I jeszcze Pandora 2 tam wybuchła!

– Bert, uspokój się.

– Ale, Siti, tak było. Mój czwarty tata, Arnold Sooth, twierdzi, że to bardzo ciekawa hito... hipoteza. Że cyfrowa bestia w jakiś sposób wpłynęła na materię w tej bardzo smok... skomplikowanej sytuacji paktycznej. Taktycznej.

– Tak, Bert, słyszeliśmy te teorie. Nie mówimy, że nie mają sensu, ale pozostają poza oficjalną doktryną, prawda?

– Mój czwarty tata twierdzi, że tylko ten się rozwija, kto podważa doktryny.

Siti unosi brwi. Brzdąc ma oczywiście rację.

– Mądrego masz tatę – odzywam się. – Tak rzeczywiście jest. Należy ciągle zadawać pytania.

Chłopiec puchnie z dumy.

– Ale powinieneś wiedzieć – ciągnę – że przepychanie się przez życie łokciami świadczy o niedelikatności.

Z berbecia jakby ktoś wypuścił powietrze.

– Zbalansowanie chęci mówienia i słuchania jest bardzo ważne. Popracuj nad tym.

Bert rumieni się i cofa o pół metra. Siti patrzy na mnie z wdzięcznością.

– Crow – odzywa się – możesz kontynuować?

– Wskutek... – brzdąc usiłuje sobie przypomnieć, gdzie przerwał, słucha podpowiedzi frina, a potem jego oblicze rozjaśnia się – ...wcześniej wymienionych czynników i, jak niektórzy mówią, działania Pandory 2 powstała wyrwa w czasoprzestrzeni, która obecnie zajmuje obszar o średnicy półtora roku świetlnego... Łza Cheronei połknęła cały układ Tau Ceti i teraz panuje tam inna... fizyka.

Bert podnosi nieśmiało rękę. Przedszkolanka łaskawie pozwala mu się odezwać.

– Inna fizyka nie jest wcale inną fizyką – mówi cicho.

– No dobrze, Bert – kobieta wykrzywia twarz w pobłażliwym uśmiechu – wytłumacz to nam i Sitowi Aymore'owi.

– Inna fizyka przenika cały wszechświat, a jej najsilniejszym ogniskiem jest Łza Cheronei, mniejszymi ogniskami zaś...

– Można też mówić „soczewkami”, prawda?

– ...soczewkami są Ranowie, w ogóle soulerzy: Narowie, Ludzie Bramy, Charoni. Inna fizyka zasadza się na wirtualnych cząstkach charakte... charakteryzujących się oddziaływaniem, którego natura jest dotąd niepoznana...

– Tajna jest – przerywa mu milczący dotąd ciemnowłosy chłopczyk o ponurym spojrzeniu metalicznie niebieskich oczu.

– A właśnie...

– Wystarczy, chłopcy. Wszyscy wiemy, że ekspertami od sił nowej fizyki są Ranowie. To dzięki nowej fizyce moce Błogosławionych są wzmocnione.

Kto opowie o Suverach?

– Ja! Ja! – Czereda tłoczy się.

Patrzą na mnie, chcą się popisać.

– Flora, mów.

– A więc...

– Zasady czystego imperialnego mówią, że nie zaczynamy zdania od...?

– A więc! – recytuje stadko.

– Flora, jeszcze raz, słonko.

– Suverzy to, oprócz rzadkich wyjątków, Smoki wyhodowane z ludzi przez Verów, dawniej Thirów, którzy zamieszkują Spartę, dawniej Spes. Suverowie byli kiedyś ludźmi, ale wskutek genetycznych modyfikacji już nie są. Zamieszkują podarowaną przez Imperatora planetę o nazwie Dragonia oraz dziewięć innych. Mam wymienić ich nazwy?

– Znakomicie, Flora, nie trzeba.

– *Podarowaną?* – słyszę w głowie głos Tella. – *Podarowaną?* „Przekazaną” to rozumiem, ale my nie potrzebujemy darowizn, że się tak wyrażę...

Wyczuwam, że Smok wpada w typowe dla siebie gadulstwo.

– *Tell, zamknij się.*

– *Tak jest, nadkomisarzu.*

Przedszkolanka, wyraźnie z siebie zadowolona, zerka na mnie. Dzieci wykazały się znakomitą wiedzą, oglądają, a nawet, z wyjątkiem Berta, delikatnością. Ma się z czego cieszyć. W Wielkim Imperium progenitura jest uczona w sposób o wiele bardziej interaktywny i zabawowy niż w czasach mojego dzieciństwa. Nie odbiera się jej beztroski. Muzyka, plastyka, taniec,



nauki ściśle, wszystko to wchodzi do ślicznych główek dzieci podczas gier rozwijających wszelkie możliwe inteligencje. Dlatego społeczeństwo jest całkiem nieźle rozwinięte. Wystarczyło kilka pokoleń, żeby zrobić naprawdę zauważalny skok. Ludzie kochają, myślą.

Przyglądam się garderobie nauczycielki. Błękitna suknia lamowana złotem i srebrem. Wstawki czerwieni i oranżu. Bogata biżuteria, tak dzisiaj modna, wysyłająca nad powierzchnię ubrania subtelne animacje. Skanuję ją. Dis. Digital Servant. Cyfrowy sługa. Wobec braku chętnych do większości zawodów Imperium w końcu stworzyło niewolników – dimenów o zmodyfikowanej psychice, zawsze zadowolonych, nigdy niekwestionujących poleceń ImBu. Pomyśleć, że kiedyś burzyliśmy się, widząc, co z ludźmi zrobili Thirowie, a pewien senator na Ziemi był sądzony za seksualne skrzywienie stworzonych przez siebie dimenek...

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Wiz, grunt  
Polia Tris, dystrykt Hook  
08 Decimi 232 EI, 07.68 H

– Dziadku, poczaruj jeszcze!

Dziewczynka ma na sobie srebrną, powiewającą przy każdym skoku sukienkę, która przypomina o tym, że jest jednocześnie pancierzem, tylko gdy błysnie w promieniach słońca wpadających przez wysokie witrażowe okna. Tańczy i klaszcze. Zawisa w powietrzu, obraca się i wciąż skanduje:

– Jeszcze, jeszcze!

– Dobrze, Zoe, uspokój się.

Mężczyzna siedzi za wielkim, częściowo przeziernym biurkiem, nad którym wisi wiele zamówionych niedawno w O'Toolu przedmiotów. Wyciąga ręce. Wydobywają się z nich płomienie i błyski, po czym przedmioty zaczynają unosić się wyżej i kręcić w magicznym tańcu: starożytny sekstans, stary globus, szachy z ciężkich, szlachetnych metali, metronom, który przechylając się, zaczyna tykać. Wszystko, co wisiało nad biurkiem, powolne woli starca żegluję po dużej komnacie.

– Brawo, dziadku, brawo! Jak to robisz?

Mężczyzna gładzi krótko przystrzyżoną białą bródkę lewą ręką, a prawą ciągle kontroluje „czar”. Błyskają gwiazdy na jego granatowym stroju.

– Nie mam pojęcia, drogie dziecko. To dar od ImBu. Wujek Ezakaja umie patrzeć głęboko w systemy gwiazdne, i to te niezamieszkałe, gdzie nie ma TIO, jakby miał w oczach teleskop. To też dar od ImBu.

– A ja będę miała takie dary?

– Kto wie, drogie dziecko, kto wie...

– Ale jak one latają, te przedmioty?

– Wszystkie składają się z technofraktali, które, gdy chcą, mogą lewitować.

– Z fłofów?

– Tak. Ale ja nie znam ich algorytmów, nie umiem ich zaprogramować.

Wystarczy, że pomyślę, a one mnie słuchają.

– To niezwykle!

– Też tak sądzę.

– Czy na innych planetach ludzie także otrzymują dary od ImBu?

– Mam wrażenie, że nie, Zoe. Wiz to wyjątkowa planeta. ImBu przeprowadza tu jakiś eksperyment...

– Pokażesz wujkowi Samowi i cioci Sarze swoje nowe sztuczki?

– Oczywiście. Jak tylko przylecą z gwiazdnego targu.

- Dziadku?
- Tak?
- Dlaczego oni są dimenami?
- Dlaczego nie mają ciał?
- Yhm.
- Taki był ich wybór.
- Ale dlaczego?
- Ciało mechaniczne ma wiele zalet i mało wad. Dlatego, promyczku.
- To dlaczego my nie staniemy się dimenami?
- A chciałabyś?
- Zastanawiam się.
- Jak pojawią się wujek Sam i ciocia Sara, zapytaj ich o zdanie.
- I będzie impreza?
- Jak zwykle, gwiazdeczko.
- Cudownie!

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, Raj  
Dystrykt Warsaw City  
Sektor A 12344  
08 Decimi 232 EI, 07.79 H

- Czy od czasu Drugiej Wojny z Thirami pojawiło się więcej serafów?
  - Taaak! – krzyczy cała czereda.
  - Kim są serafy?
  - To Ranowie, którzy odeszli w Eynet i postanowili wrócić, by nam

pomagać!

- Słudzy Imperatora!
- Zgadza się. Jak inaczej ich nazywamy?
- Bodhisattwami!
- Znakomicie.

Ściśle rzecz biorąc, nie do końca wiadomo, czym są serafy. Prowadzone są badania i istnieje kilka hipotez, w tym jedna główna, ale poprawne naukowe wyjaśnienie byłoby zbyt skomplikowane nie tylko dla progenitury, ale i dla większości dorosłych. Ich forma bywa różna i zaskakująca. Bywają rogate, zdarzają się całkiem ładne, czasami są okrągłe i tłuste, innym razem zaopatrzone w błoniaste skrzydła i kopyta. Jedno pozostaje niezmiennie: ich oczy są zawsze pozbawione tęczówek i źrenic.

- Kto opowie o talizmanach? – pyta kobieta.

Podnosi się las rączek. Zerkam na przysłuchujące się nam tysiące dzieci. Są podniecone. Wśród komponentów tej ekscytacji wyczuwam zdenerwowanie i frustrację spowodowane niemożnością uczestniczenia w rozmowie. Te cząstki, jeszcze kilka mon temu względnie słabe, nasilają się. Czuję to coraz wyraźniej, jakby fale przyływu wznosiły się i uderzały mokrymi palcami w twarde skały nabrzeża. Jednak każda nagromadzona energia w końcu znajduje ujście. Czereda zastępuje publiczną wypowiedź rozmowami. Zaczyna wokół nas szumieć, a wraz z tym szumem, jak w szmerze sosnowych igieł, rozplywa się spiętrzone napięcie. Znowu omywa mnie błogość.

Dużo spotkań w Wielkim Imperium odbywa się na zasadzie teatru: kilkanaście osób w centrum i tysiące widzów. Kwestia skali. Ludzkość już dawno przekroczyła bilion obywateli.

- Klara? – zachęca Dis.
- Pierwotnym talizmanem, ale takim dużym, który do dzisiaj istnieje

w niezmienionej postaci, jest Arka Lamy, skrzynia-komputer, w którym zostali stworzeni przez Sergia Lamę pierwsi mieszkańcy talizmanów, Myoni, zwani także Weenami. Weeni są istotami żywymi, ludźmi takimi jak my, ale cyfrowymi, niezdającymi sobie sprawy z istnienia innego świata poza arką. Ich życie zostało wielokrotnie przyspieszone...

– Stukrotnie – wykrzyknął Bert.

Siti gromi go wzrokiem. Chłopiec zerka na mnie lękliwie.

– Tak, stukrotnie – ciągnie dziewczynka – dlatego ich rozwój przebiegał stosunkowo szybko. Weeni być może pomogli w zwycięstwie nad Thirami i, niestety, pewnie także przyczynili się do powstania Łzy Cheronei. W arce przebywają talisman dwellers – Taldowie, pionierzy talizmanów, którzy dobrowolnie dali się skopiować do tego świata, by pomóc nam w walce z Thirami. W tej chwili czas w tym miejscu nie jest przyspieszony w stosunku do naszego, aby Taldowie nie mieli przykrego poczucia, że są od nas starsi o tysiące cykli. Współczesne talizmany, o wiele mniejsze od Arki Lamy, mogące stanowić kamień pierścienia lub oczko wisiora, mają na początku czas przyspieszony dziesięć tysięcy razy, aż skończy się okres intuba... inkubacyjny. Potem są rozdawane i wtedy czas w nich zwalnia stukrotnie. Ludzi je zamieszkujących, na pamiątkę Arki Lamy, wciąż nazywamy Weenami albo Myonami.

– Świetnie, Klaro! Po co nam są talizmany?

– Istoty ludzkie w nich zawarte mają wielką siłę sprawczą. Wierzą we własną moc, bo nie została im odebrana przez grzech pier... pierworodny, czyli nieprawidłowy rozwój społeczny spowodowany brutalnie wprowadzonym pojęciem boga. Jeśli do społeczności talizmanu wprowadzi się odpowiednich mesjaszy, powodują oni, że społeczności te zaczynają chwalić i adorować boga, którym jest właściciel talizmanu. Wielomiliardowe ludy talizmanów swoimi myślami i chęciami zmieniają prawdopodobieństwo

zdarzeń i powodują, że ten, kto je nosi, ma większe powodzenie w życiu. Jest to możliwe dzięki „innej fizyce”.

– Doskonale, Klaro.

Nie do końca zgadzałem się z tą wykładnią. Weeni istotnie byli silnymi istotami, ale zbyt często wprowadzanie wiary zachodziło nadto gwałtownie, było właśnie grzechem pierworodnym i odbierało im sprawczość. Stałem na stanowisku, że inepcja religii w tych światach jest niemoralna. Czy miałem im to powiedzieć?

– *Co się czaisz, Efendi?* – usłyszałem przekaz Tella.

– *Daj mi spokój.*

– Czy któreś z was ma już swój talizman? – spytała Dis.

– Nie – odezwał się Bert. – Można je dostać dopiero po osiągnięciu pełnoletności, czyli po dwudziestym uniwersalnym cyklu życia.

Bert zerka zazdrośnie na prawe przedramię przedszkolanki. Powoli rotują wokół niego, niczym małe księżycy, dwa opracione w złoto klejnoty: akwamaryn i szmaragd. Kilkoro dzieci patrzy na moje talizmany – rubinowy i szafirowy – krążące wokół pieczęci Anioła Śmierci, tuż nad powierzchnią pancerza. Gdybym chciał, mogłyby wisieć lub wirować w dowolnym innym miejscu, uznałem jednak, że aranżacja w pobliżu mojego serca jest dostatecznie ostentacyjna i autoironiczna. Oba klejnoty były dziewicze, nieskażone. I niech tak zostanie. Żyły tam jakieś społeczności, ale nie miałem pojęcia, jak wygląda ich rozwój. Kiedyś z pewnością do nich zajrzę, bo Ruben Troy, twórca zawartych tam światów, w końcu się na mnie obrazi.

– Zgadza się. To teraz jeszcze wymieńcie Ery Ludzkości i oddamy głos Sitowi Torkilowi. Vlad?

Białowłosego chłopczyka, ubranego w srebrzysty strój przypominający mojego Coremoura, szczerzy szczerbate zęby. Wreszcie może się wypowiedzieć. Napina ciało, zaciska piąstki, przełyka ślinę. Czuję wybuch jego

entuzjazmu, jakby gorący gejzer wreszcie wydostał się spod ziemi. Tchnienie tej radości omywa moje policzki.

– *Ale się podniecił* – rzuca Tell.

– Dzieje ludzkości dzielimy na trzy podstawowe Ery: Przed Imperium, która kończy się Pierwszą Wojną z Thirami, czyli Wielką Przegraną, i utratą Ziemi; Młode Imperium, która kończy się Drugą Wojną z Thirami, przejściem Spes przez WayEmpire i odzyskaniem Damnaty; oraz Wielkie Imperium, która to Era trwa do dzisiaj. A jeśli chodzi o kalendarz, mówimy ogólnie „Era Imperium”, gdy określamy, który jest cykl.

– Ślicznie, dzieci!

Kobieta znowu na mnie zerka. Jest bardzo zadowolona. To się nigdy nie zmienia: potrzeba wykazania się, uznania swoich wysiłków przez autorytety, a dzięki temu podtrzymanie wysokiej samooceny. Dobrze, że nasi wrogowie, jeśli tacy istnieją, nie znają tej słabości rodzaju ludzkiego. Przez tę drobną skazę jesteśmy strasznie manipulowalni. Można nas podbić i zniewolić, dozuując krytykę, zaszczyty, nagrody i pochwały, ubezwłasnowolnić w ten sposób całe populacje. Pokazali to dawno temu Duces na Spes.

– *Droga Siti* – wysyłam pak – *gdyby pokazała pani swoje czteroletnie pociechy najlepszym przedszkolankom z Ziemi Przed Imperium, pękłyby z zazdrości. Może być pani z siebie dumna.*

Kobieta rumieni się i rozciąga usta w uśmiechu. Złote szpilki wbite w jej włosy zaczynają świecić i wyświetlać animację bardzo subtelnie ornamentowanej aureoli.

– O, pani jest z nas zadowolona – komentuje Bert.

Dzieci skaczą i biją brawo.

Przedszkolanka przełyka ślinę.

– Sit Torkil jest Ziemianinem, wiecie?

– Wieceemy!

– To ważna informacja, prawda?

– Praaaaawda!

– Imperium Drogi ma ponad bilion czterysta miliardów obywateli, prawdziwych Ziemiaków zaś są niespełna trzy miliardy, z czego wynika, że zaledwie jeden na pięciuset Sitów pochodzi z Kulebki Ludzkości. Zgadza się?

– Taaaak!

– A my pochodzimy z jakiej planety?

– Z Catalonii!

W tym momencie docierają do nas zwielokrotnione pogłosem krzyki z innych platform. Mieszają się w nich entuzjastycznie wyartykułowane nazwy setek planet. Dla każdego z tych berbeci jego kulka jest najważniejsza, jedyna w swoim rodzaju, święta. Ale szybko oduczamy je lokalnego patriotyzmu. Wszystkie globy są ważne, piękne i zamieszkane przez mądrych ludzi. Taką politykę wprowadził Imperator i trudno zarzucić jej brak słuszności.

– Lubimy naszą planetę?

– Bardzo!

– Oczywiście, że tak. Ale powinniśmy pamiętać, że po pierwsze, wszystkie planety WayEmpire są piękne i ważne...

O, właśnie.

– I po drugie, że cała ludzkość pochodzi z Ziemi. Ziemia jest tu, pod nami. Tu narodził się rodzaj ludzki, Imperator Gorgon Nemezjus Ezra, który poświęcił najpierw swoją firmę, a potem życie, by czuwać nad nami... Właśnie, kiedy to było? Bert?

– Imperator oddał swoją firmę, Way Dao, na początku Ery Młodego Imperium, a życie na początku Ery Wielkiego Imperium. Teraz jest w każdym z nas.



- A najczęściej w Błogosławionych, prawda?
- Tak. Przekazał im władzę, dlatego mówi się, że władza jest rozpr... rozproszona.
- Doskonale. Ilu jest Błogosławionych?
- Tysiące. I nigdy nie wiadomo, kto zostanieznaczony.
- Tak jest.
- Ja bym chciał, żeby nade mną pojawił się SaintDroid – szepcze Kris, zerka na mnie i oblewa się rumieńcem.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Tomahawk, raj  
Arena Gladiatorów *Hero's Heart*  
08 Decimi 232 EI, 07.85 H

Dookoła w wielkim krzyku zdzierają gardła tysiące widzów. Peter „Crash” Kytes zerknął na trójwymiarową minimapę mającą w lewym dolnym rogu pola widzenia. Przedstawiała przestrzeń, w której na wielu poziomach zawieszane były niewielkie wyspy. Platformy bitewne. Mapa *Broken Heaven* należała do bardziej popularnych w mistrzostwach Gladiatorów. Wysłane przez niego minisondy penetrowały różne zakątki areny, ale nie dostrzegły przeciwników. A kryło się ich jeszcze pięćoro. Dobrze się chowali. Pod górną krawędzią pola widzenia widniały sylwetki aktywnych członków wrogiej drużyny. Pierwszy, Joe Sanders, przyodziany był w ciężki rdzawy pancerz, z którego wysuwały się lufy najróżniejszych kalibrów. Drugi, Alex Sol, polatywał na krótkich skrzydłach przyczepionych do grzbietu srebrnego kirysu. Trzecia, Eva Rav, tkwiła nieruchomo niemal wtopiona w szarzejący

za nią ułomek muru dzięki dozwolonej w Gladiatorach opcji kamuflażu. Czwarty i piąty widnieli na jednym obrazie. Byli to bracia Zan Utah i Nar Utah. Po swojemu krążyli wokół siebie jak bliźniacze słońca i skanowali pole ostrzału.

„Że też musiałem się zgodzić na ten sparring – wyrzucał sobie Crash. – Stary pierdziel wciąż musi udowadniać swoją wartość młokosom? Przecież oni nie tylko nie widzieli Ziemi, oni Pierwszej i Drugiej Wojny z Thirami nie wąchali! Dzieci! I dlatego przyjąłem wyzwanie dziesięcioro na jednego?” Parsknął ze złością. Prawy naramiennik jego zbroi kończył autoregenerację. To nie było arealium. Zawody Gladiatorów były prawdziwe i niebezpieczne, o ile w Wielkim Imperium można mówić o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Cieszyły się rosnącym zainteresowaniem miliardów Sitów. To była prawdziwa adrenalina i prawdziwe emocje.

A Peter, na swoje nieszczęście, podobnie jak wielu innych graczy z Ziemi, był chodzącą legendą. Lecz jeśli nie uda mu się pokonać pozostałej piątki, legenda rozpadnie się jak zwietrzała ruina uderzona silnym podmuchem wiatru.

Cholera. Te dzieciaki urodziły się z frinami wrośniętymi w mózgi, ich odpowiedzi neuronalne były szybkie, nieomyłne, a stary grzyb objijający się w mózgowiaszce Kytosa wielokrotnie już był łatany, naprawiany i modyfikowany, nie mówiąc o tym, że bardzo dawno temu, jeszcze na Ziemi, poddany został działaniu wielu medykamentów...

No, ale teraz... teraz był teoretycznie sprawny, prawie nowy i obarczony milionami wspomnień arealnych pól bitew.

Crash warknął i wybił się w powietrze. Na jego pancerzu zmaterializował się zespół wspomaganie lotu: krótkie skrzydła i stery. Poszybował w górę i na prawo, kierując się wyłącznie dziwną, trudną do opisanie estetyką gry, którą rozumieją tylko starzy gamerzy: Nie wiesz, dokąd biec? Nie wiesz,

gdzie się skryć? Wczuj się w rytm gry, wyobraź sobie różne warianty ruchu i wybierz najbardziej „płynny”, najestetyczniejszy, a wtedy, nie wiadomo jak, nie wiadomo dlaczego, znajdziesz przeciwnika od tyłu, zaskoczysz go, będziesz we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Tak się stało. Pod sobą, na platformie bitewnej, na której tkwiły ruiny składające się z kilku pokruszonych ścian, dostrzegł Joego Sandersa zaopatrzonego w najcięższy pancerz. Z nim będzie trudno. Musi wylądować tuż za nim, zrywając z niego stopami część płyt grzbietowych, a potem siec i strzelać ze wszystkiego, co ma, nim tamten zareaguje. Przed oczami Crasha pojawił się trójwymiarowy celownik obejmujący obszar tuż za przeciwnikiem. Czempion Bezbolesnych wydał dyspozycję pełnego ciągu.

Wyrwane płyty zbroi fruwały jeszcze dookoła, gdy Sanders próbował odzyskać równowagę po tym, jak Peter potężnie uderzył w grunt, wzniesając tuman pyłu. W plecy Joego zaczęły się wbijać hartowane pociski z głównych, naramiennych luf Petera, plazmowe gluty z działek udowych usiłowały poszatkować osłony bioder i pośladków, a miecze, których klingi wyglądały jak zwoje srebrzystych, wijących się i kłających smoków, raz po raz zanurzały się między łopatkami zwalistego woja, wyrzucając z jego płuc fontanny krwi.

Kytes, widząc, że atak się udał i że to już koniec Joego, zaklął i zanurkował pod platformę, na której rozegrała się jatka. „To jednak nie dla mnie” – skonstatował, obserwując na podglądzie, jak część hełmu Sandersa oddziela się od głowy i ratuje psyche konającego.

Ledwo czempion Bezbolesnych usłyszał za sobą szum wrogich silników, pomknął w górę, wykonał pętlę i uderzył od tyłu w braci Utah. Wyprowadził symetryczne cięcia w szyje przeciwników. Głowy odpadły od karków i zaczęły lecieć w dół, ciągnąc za sobą spirale krwi. Znowu prawdziwej. Kytes zmełł w ustach przekleństwo.

Schował się za załomem muru platformy znajdującej się poniżej. Typowa taktyka młodszych graczy polega na tym, że po zwycięstwie nad przeciwnikiem lokują się wyżej. To trudne do przewyciężenia przyzwyczajenie: człowieka ponosi po tryumfie, chce się wznieść i ukryć, by obserwować pole bitwy na podobieństwo orła lecącego nad ziemią. To błąd. W Gladiatorach nie ma dołu, góry, lewej czy prawej strony. Arena, zawieszona wysoko w raju Tomahawka, ma kształt kuli, dookoła której wciąż wrzeszczą rozemocjonowani widzowie wiszący w swoich wielobarwnych zbrojach.

Jeszcze dwie cetnie i Crash zobaczył, jak nad miejscem rzezi braci Utah pojawia się Alex Sol. Taki drugi Nexus. Też uwielbia awiację, więc nieustannie szybuje, jest ruchliwy i szybki, a przez to niebezpieczny.

Kytes odfrunął dalej i schował się za murem dryfującym tuż przy niewidzialnej ścianie areny. Przywołał karabin snajperski. Podłużny kształt składający się z wielu lewitujących elementów wychynął z nicości i ułożył się nad ramieniem Petera, a pięć niezależnych luf zaczęło śledzić ledwie widocznego z tej odległości Alexa. Kytes wziął głęboki wdech. Ryzykował. Pozostanie w jednym miejscu jest zawsze błędem. Zawsze. Przebywanie w jednej lokacji dłużej niż kilkanaście cetni to wystawianie się na strzał. Nie wiadomo, gdzie jest Eva, cicha zabójczyni, która z pewnością stara się go podejść. Może to jednak zły pomysł z tym strzałem? Nagle estetyka gry została zaburzona. To brzydkie miejsce i brzydki pomysł!

Olśniło go: Eva wie, gdzie Peter pokonał braci Utah i z której strony nadleciał teraz jej przyjaciel, więc ma prawo podejrzewać, że Crash jest teraz właśnie tutaj...

Warknął i skoczył w ostatnim momencie. Mur, za którym się chował, rozprysnął się pod potężną salwą oddaną z małej odległości. Kończąc spiralę, czempion Bezbolesnych zobaczył ją niespełna dziesięć metrów od siebie

pędzącą w lewą stronę. Ależ tak! Alex był wabikiem, miał skłonić Kytesa do wyciągnięcia snajperki, która teraz z sykiem zasysanego powietrza chowała się w podprzestrzeni. Peter zawył, wyciągając dwa smocze miecze. Skoro Eva była tak blisko, z całą pewnością za chwilę Alex znajdzie się za jego plecami. Miał bardzo mało czasu, a Eva była piekielnie szybka! Nie za nią! To pułapka! W dół, pod platformę i na prawo, nie w lewo!

Jak Peter się spodziewał, gorąca krew wygrała z wyrachowaniem i Eva, nie czekając na Alexa, pomknęła za nim, sądząc, że ucieka, bo jest ranny. Zaskoczenie na jej twarzy było ogromne, gdy zobaczyła dwa srebrzyste smocze miecze, na których klingach nieustannie wiły się gady wyrrywające z jej ciała metalowymi pazurami kolejne bryzgi krwi. Jeden w piersi, drugi w brzuchu. Fragment jej hełmu oddzielił się i uratował psyche. Wiotkie ciało wciąż osuwało się, gdy Peter, usłyszawszy silniki Alexa, obrócił się, wyrrywając w górę, i ciął obydwojoma mieczami równolegle, z półobrotu. Pozbawił Alexa nóg, a ułamek cetni potem połowy tułowia, wygrywając tym samym kolejny mecz.

Widownia szalała, gdy pojawił się w centrum areny, wznosząc w teatralnym geście obie klingi.

– *Prooooooszę państwa! Drodzy Sitizeni!* – emocjonował się komentator Sancho Rex. – *Niebywałe, niebywałe! Oto widzimy, co znaczy stara, można powiedzieć, starożytna szkoła! Lider legendarnych Bezbolesnych, mieszkańiec arealnego Redlandu, weteran Pierwszej i Drugiej Wojny z Thirami, Peter „Crash” Kytes wygrał z Klanem Skorpiona w kapitalnym stylu, nie oddając ani jednego strzału! Brawo, Peter! Brawo dla czarodzieja areny!*

Huk aplauzu nasilił się.

– *Peter zasłużył na kolejne laury! Co prawda wieniec, jak wszystkie wyróżnienia w WayEmpire, zniknie w ciągu trzech hekt, ale przez ten czas*

*ciesz się nim, Kytes. Zasłużyłeś!*

Nad głową zwycięzcy pojawił się jaśniejący, bijący światłem błękitny wieniec laurowy i delikatnie osiadł na jego skroniach. Pancierz Petera pojaśniał i strzelił białymi promieniami we wszystkich kierunkach. Tak program areny dekorował zwycięzców.

*– Peter, masz coś do powiedzenia? Dla wyjaśnienia dodam, że reistycznie, metowo i arealnie oglądało twoje wyczyny, bagatela, ponad trzysta miliardów Sitów!*

Ikona w lewym dolnym rogu pola widzenia poinformowała, że wszystko, co teraz powie zwycięzca, zostanie nadane w całym WayEmpire.

*– Gratuluję Skorpionom ambicji ubicia mnie w boju bezpośrednim i, oczywiście, współczuję bólu, który im zadałem...*

Rozległ się śmiech. Kytes zrozumiał, że Klan Skorpiona używa plexów, które odcinają w mózgu emocjonalny komponent bólu. Dzięki temu gracz wie, że boli, czuje, że boli, ale nie cierpi. On osiągał to samo, ale medytacją. Ledwie zauważalnie pokiwał głową.

*– Tak, plexy z pewnością im pomogły, jednak utrata ciała to zawsze przykrość.*

*I znowu śmiechy.*

*– Klan Skorpiona to dobra drużyna i cieszę się, że się ze mną starli.*

*– Jak ich pokonałeś?*

Peter chwilę milczał. Wreszcie podniósł głowę i uśmiechnął się.

*– Walka to taniec. Im piękniejsze wykonasz pas, tym lepiej grasz.*

Prezenter roześmiał się, a z nim rzesze Sitów.

*– I tym pięknym akcentem...*

Peter nie słuchał go. Ukrył miecze w pochwach na plecach i podleciał do wyjścia z areny. Sprawdził czas. O, niedługo spotkanie z Torkilem. Umówił się z nim kilka dni temu. Trzeba lecieć na Ziemię.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, Raj  
Dystrykt Warsaw City  
Sektor A 12344  
08 Decimi 232 EI, 07.97 H

– Teraz oddajmy głos Sitizenowi Torkilowi Aymore’owi – odzywa się przedszkolanka – Ranowi, Błogosławionemu, Aniołowi Śmierci, Wybranemu przez Suvera. Pozwolicie, że zadam mu pierwsze pytanie?

– Taaak!

– Sit, jak wyglądało życie na Ziemi? Przed Imperium?

Na RanStone rotujący w przeziernym relikwiarzu mojego pancerza... Oczywiście wiedziałem, że to pytanie padnie, i oczywiście nie miałem pojęcia, jak mu podołam. Na szczęście siedzi we mnie nieoceniony frin połączony z ImBu. Zagląda mi do mózgu i wgrywa najstarsze wspomnienia z Ziemi. Czuję zawrót głowy: do naczynia pamięci wlewają się jęczory bladej zieleni, które zaczynają się mieszać z krystalicznie przezroczystą dotychczasową osobowością, i tworzą nowy, starszy typ psyche. Odzywają się dawno zapomniane kompleksy i schematy myślenia. Uf, jak ja mogłem być tak, nomen omen, niezmiernie prosty? Szczęście, że moja tożsamość jest w stanie utrzymać się na powierzchni tej świeżej, szmaragdowej osobowości, dzięki czemu mogę pozostać sobą, cokolwiek to określenie znaczy. To naprawdę niezwykle zjawisko. Poczucie „ja” pozostaje niezmiennie, chociaż przeobraża się... osobowość. A może „ja” jest to samo w przypadku wszystkich istot mających samoświadomość? Czy mówiąc „ja”, mówią o tym

samym? To by znaczyło, że znaleźliśmy boga. Jest nim po prostu wspólne „ja”, które odbieramy niczym jakieś, bo ja wiem? Radia? Uśmiecham się do tej myśli.

– *Ale dałeś czadu* – komentuje telepatycznie Smok. – *Niezła teoryjka.*

– *Cicho, Tell.*

– *Tak, Efendi.*

Zawrót głowy wywołany tworzeniem nowej psychiki mija i widzę przed oczami utworzony przez frin zgrabny diagram wypowiedzi.

– Zacznę od tego, drogie dzieci, że Przed Imperium, trochę podobnie jak w Młodym Imperium, ale w o wiele większym stopniu, Ziemią rządził pieniądz...

– Nie rządy? – wrywa się Bertowi.

Inne dzieci gromią go wzrokiem. Jak śmiał przerwać Błogosławionemu? Przedszkolanka to jedno, ale Anioł Śmierci?!

Uśmiecham się do niego jowialnie, a dzieci rozdziawiają różowe pyszczki i patrzą na mnie z uwielbieniem. Błogosławiony przebaczył.

– Oczywiście niby-rządy, ale niezależnie od tego, czy istniały, czy nie, każdy chciał mieć pieniądze, bo tylko dzięki nim można było cokolwiek posiadać. Więc metaforycznie, czyli w przenośni, pieniądze były ważniejsze od rządów.

– W jaki sposób pieniądze umożliwiały posiadanie? – pyta ciemnoskóra bruneteczka, nad którą unosi się napis „Vivien”.

To imię dobrze mi się kojarzy. Przez ułamek cetni migają wspomnienia z Aquala „Mały Lew”, dawno temu, gdzieś nad Oceanem Spokojnym, na Damnacie. Zerkam w górę, w stronę Raju. Wisi tam w mojej Karawanie Wielki Lew. I jest tam oczywiście ta sama Vivien.

– Zdobywało się jakieś dobro poprzez kupowanie.

– Co to jest kupowanie?



Dzieci na pewno wiedzą to z frinów i opowieści. Ale wypada zapytać.

– Rodzaj wymiany. Człowiek dawał komuś pieniądze, a dostawał przedmiot. Na przykład za tysiąc kredytów można było nabyć komputer.

– Nabyć? Komputer? Jak to?

– Dawniej komputery istniały na zewnątrz człowieka jako zwykłe przedmioty, takie wiszące w powietrzu kule. Teraz ich nie potrzebujemy, bo wszystkie funkcje medialne załatwia frin, a skomplikowane liczenie zostawiamy Buddzie, ale kiedyś frinów nie było.

– Śmieszne! – wyrywa się Larze, dziewczynce o białych, mieniących się włosach i oranżowych oczach.

– Jak wyglądały pieniądze? – pyta Bert.

Jestem przekonany, że to także wie, a odzywa się, by podtrzymać rozmowę. Większa część naszej konwersacji jest przedstawieniem, reliktem dawnych zwyczajów, bo dzieci wszystkiego mogą się dowiedzieć od frinów, ale przecież musimy czasami rozmawiać. Poza tym ludzie lubią gadać, nie są automatami ściągającymi dane od ImBu. Poza tym czym innym jest sucha informacja, a czym innym punkt widzenia. Punkt widzenia zawiera nie tylko wiedzę, ale także ocenę, wartościowanie. Uwypukla jedne rzeczy, inne pozostawia w cieniu. To dzięki punktowi widzenia możesz poznać drugą osobę, a to przecież w życiu najważniejsze. Dlatego więcej się dowiesz o życiu w danej epoce, czytając Hemingwaya czy Tolstoja, niż zapoznając się z podręcznikiem historii. Dzieci są tego uczone od najmłodszych lat. Dzięki temu „człowieczeństwo” wsiąka w nie jak światło w kryształ.

– Dawno temu były z papieru i metalu...

– Złota? – odzywa się Kris.

– Nie, to były stopy cyny, miedzi...

– Niewiele warte! – śmieje się Vivien.

Znowu dziecko mi przerwało. Dzieciarnia szybko się uczy. Jeszcze kilka

mon temu byłem niedostępnym, nieco złowrogim Ranem ze Smokiem, dwójką Agonai, SaintDroidem, parą ArtDroidów i serafami za plecami, posiadaczem złowrogich upiorów i straszliwych skrzydeł. Teraz staję się wujkiem Torkilem, kolejnym tatą, z którym można pogwarzyć.

Co do kruszcu, Vivien ma rację. Dzisiaj złota mamy mnóstwo, mimo to wciąż je cenimy.

– Dzieci – odzywa się Siti – dajcie Błogosławionemu mówić, nie zakrzykujcie go!

Czereda milknie.

– Problem z pieniędzmi był tak skomplikowany, że niemal nikt nie rozumiał, skąd się bierze ich wartość. Dawno, dawno temu kawałek papieru był dokumentem, obietnicą, że jego posiadacz dostanie za niego określoną ilość złota, a złoto, tak wtedy, jak i dzisiaj, jest cenne. Dlatego pieniądz był czymś w rodzaju złota. Ale potem, w 1970 roku Przed Imperium, czyli dwieście trzydzieści cykli temu plus dwieście trzydzieści ziemskich lat...

– O, to naprawdę dawno!

– Naprawdę. Był więc taki pan, ktoś w rodzaju Imperatora, ale rządzący tylko jednym krajem, w tym czasie najważniejszym i najpotężniejszym na globie. Nazywał się Richard Nixon i był prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki. On, jak to się mówi, zniósł parytet złota, czyli stwierdził, że od tej pory pieniądz nie ma już pokrycia w tym metalu.

– Co to znaczy?

– Mniej więcej tyle, że od tego momentu żaden normalny obywatel już nie rozumiał, skąd się bierze wartość pieniądza. Kontrola nad nim została przekazana spekulantom, bardzo sprytnym ludziom, którzy zaczęli używać swojej matematycznej i gospodarczej wiedzy, by wykorzystywać nieświadomych obywateli. Warto wiedzieć, że w tamtych czasach wydawało się, że już niedługo, dosłownie za kilka cykli, dobrobyt ogarnie całą planetę.

Snuto plany, marzono o lekkiej pracy i wygodnym życiu. Tak by się pewnie stało, gdyby nie czyn Sita Nixona, który spowodował, że dobrobytu zaznał tylko jeden procent społeczeństwa, ci, którzy byli spekulantami.

– Ojej!

– Właśnie, ojej.

Grupka się śmieje. Nad główkami dziewczynek polatują barwne motylki, nad chłopięcymi widzę statki kosmiczne. To z pewnością oznaka rozbawienia. Na platformach też rechoczą. Błogosławiony zrobił coś śmiesznego. Nietrudno być uwielbianym, gdy się ma taką pozycję. Wystarczy, że zachowasz się jak człowiek albo zrobisz głupią minę. Wciąż podatni jesteśmy na kult jednostki. Ludzkość wcale tak bardzo się nie zmieniła.

– Właśnie dlatego – ciągnę – Imperator w Młodym Imperium zakazał oddzielania pieniądza od dóbr materialnych, powiedział, że za pieniądż można kupić tylko realną rzecz, usługę bądź arealny towar, a nie jakieś dziwne „narzędzia finansowe”. Zlikwidował firmy ubezpieczeniowe, banki, giełdy. W rodzącym się WayEmpire imperiały odzyskały swoją wartość i przestały ją tracić...

– Jak to? – pyta Bert.

„I tu, smyku, pytasz, bo naprawdę nie wiesz. I ja ci się nie dziwię”.

– *Masz, bracie, problem* – słyszę telepatycznie głos Tella. Zdaje sobie sprawę, że muszę wyjaśnić coś, czego sam nie rozumiem.

– *Co ja bym bez ciebie zrobił, druhu kochany.*

– *Też zadaję sobie to pytanie.*

– *Z pewnością codziennie.*

– *Ach, co hektę.*

– Przed Imperium żył bardzo inteligentny matematyk. Nazywał się Albert Einstein. Twierdził bardzo dowcipnie, że największą tajemnicą

rzeczywistości jest...?

– Czasoprzestrzeń?

– Hiperprzestrzeń?

– Liber Mundi?

Śmieję się.

– W jego czasach nie znano tego pojęcia, ale dwa poprzednie już tak. Sit Albert, owszem, zadawał pytania na te tematy, ale powiedział kiedyś, że największą i wciąż niezbadaną tajemnicą rzeczywistości jest... inflacja.

– Co takiego?

– Inflacja, czyli spadek wartości pieniądza.

– Ale co to jest?! – pytają dzieci.

– Załóżmy, że wciąż używamy imperiałów, dobrze?

– Dobrze!

Błyszczą im oczy. Lubią się bawić w udawanie.

– Teraz sobie wyobraźcie, że jeszcze dziesięć cykli temu mogliście za sto tysięcy imperiałów kupić airvill o kubaturze dwudziestu tysięcy metrów sześciennych...

Litościwy frin generuje przede mną animację całkiem ładnego latającego domostwa w różu, żółci i błękicie. Kilka dziewczynek zakrywa usta i coś szepcze, chichocząc. Podoba im się. Nad budowlą pojawia się zielona liczba „100 000 I”, a wyżej niebieski napis „10 cykli”.

– ...a dzisiaj już tylko niewielki pneumobil.

Frin przesuwa obraz airvilla w lewo, a w jego miejscu umieszcza animację pneumobila. Także świeci nad nią zielona liczba „100 000 I”, ale wyżej widać nie błękitne „10 cykli”, lecz „Teraz”.

– Dlaczego?! – pyta, otwierając buzię, Vivien.

Dzieci patrzą na oba obrazy, ich oczka przeskakują z liczb na obiekty, z obiektów na daty, wreszcie na mnie.

– Bo pieniądź stracił wartość. Jest go tyle samo, ale można za niego kupić mniej. To jest inflacja. Zjawisko to było powszechne na całej Ziemi i tylko najbardziej świątli ludzie zadawali sobie pytanie, skąd się bierze. Brało się z bardzo dziwnego prawa. Banki... wiecie, czym są banki?

Dzieci kiwają główkami. Założę się, że tak naprawdę nie wiedzą, ale co robić.

– Banki zatem potrafiły pożyczyć pieniądze, nie mając ich, rozumiecie?

Czereda milknie.

– No, Bert, wyobraź sobie, że prosisz mnie o jakąś zabawkę... Czym lubisz się bawić?

– Ranem! – wykrzykuje chłopczyk.

Dzieci wybuchają śmiechem.

Figurki Ranów są popularne wśród chłopców. To wysoka na trzydzieści centymetrów miniatura o fantastycznych możliwościach. Sam miałbym czasami ochotę się pobawić...

– Świetnie. Zatem prosisz mnie, bym pożyczył ci Rana. Sięgam do kieszeni, okazuje się, że mam tę zabawkę, i ci ją pożyczam. To logiczne, prawda?

– Taaaak! – krzyczą dzieci.

– A teraz wyobraźcie sobie, że mówię: „Bert, nie mam Rana, ale jak podejdziesz do magicznej skrzynki z moim błogosławieństwem, ona wyda ci tę zabawkę. Wyprodukuje ją specjalnie dla ciebie”.

– Jak Worplan? – dziwi się Vivien.

– *Torkil, polegniesz* – nadaje Tell.

– No coś jak Worplan. Ale wtedy Worplanów nie było. Jeśli takich Bertów będzie trzystu i każdy dostanie ode mnie błogosławieństwo, w Imperium pojawi się trzysta zabawek więcej, prawda?

– Taaaak!

– Banki robiły podobną rzecz. Pożyczały pieniądze, których nie miały. Pieniądze były produkowane dla klientów i robiło się ich coraz więcej. A liczba produktów pozostawała ta sama albo rosła tylko nieznacznie. Dlatego kosztowały coraz więcej, rozumiecie?

Na szczęście frin ilustruje wszystkie moje słowa animacjami, więc, mam nadzieję, dzieci jednak coś z tego rozumieją...

– To powodowało, że nikt nie mógł zaoszczędzić pieniędzy na starość, bo...

– *Powiedziałeś, brachu, „starość”. Ładujesz się w niezłe bagno – zarechotał Tell.*

– Bo – ciągnę – można było za nie coraz mniej kupić, rozumiecie? Oszczędzanie pieniędzy nie miało sensu, gdyż za największe nawet sumy można było kupić mniej i mniej. Dlatego nasz Imperator zahamował to zjawisko, a potem, w cyklu sto pięćdziesiątym, zniósł gospodarkę pieniężną, uznawszy, że potencjał produkcyjny Wielkiego Imperium jest wystarczająco duży, by wszystko było za darmo. Ale to nasze Czasy Szczęśliwości.

Dzieci powoli kiwają głowami. Mam wątpliwości, czy klarownie im wszystko wyłożyłem.

Tell przesyła mi totowo swój chichot. Zaraz go czymś zdieję...

– Dawniej papier i metal – kontynuuję – były coś warte jako przedmioty, ale potem, przed moimi narodzinami, ta forma pieniądza zniknęła. Pozostał pieniądz wirtualny, dzisiaj powiedzielibyśmy: arealny. Były różne jego odmiany, w zależności od regionu. Nazywaliśmy go kredytem europejskim, afrykańskim, amerykańskim... Każdy z tych rodzajów pieniądza, to trochę skomplikowane, miał inną wartość, więc można było „kupować pieniądze” i je sprzedawać, rozumiecie: za dwa kredyty afrykańskie jeden amerykański, potem poczekać trochę, aż afrykański straci na wartości, i wtedy sprzedać amerykańskie za dwa i pół afrykańskiego...

Niestrudzony frin usunął dotychczasowe mirażę i w ich miejscu przedstawił moje tłumaczenie, pokazując kupki złotych monet.

– To głupie! – Vivien śmieje się.

– To było dozwolone? – oburza się Bert.

– W ten sposób wielu ludzi zarabiało, nie robiąc praktycznie nic poza wydawaniem komend komputerowi. Każdy Sit wiedział, że nie robią pożytecznych rzeczy, ale pozwalano na ich istnienie. Były też specjalne komputery, takie boty, które dokonywały zakupów i sprzedaży w ciągu ułamków cetni. W ten sposób korzystały na minimalnych wahaniach wartości różnych dóbr. Pieniądz nie istniał reistycznie, ale że wszystko było za pieniądze, każdy chciał mieć ich jak najwięcej.

– Po co ludzie chcieli mieć pieniądze?

To zdumiewające, ale dzieci wciąż nie rozumieją.

Tell znowu przesyła mi swoje rozbawienie. W oddali przepływa latające miasto. Frin wyczuwa moją desperację i aplikuje mi małą dawkę plexu podnoszącego nastrój i przyspieszającego myślenie.

– No właśnie tłumaczę: jeśli chciałeś coś mieć, nie mogłeś tego tak po prostu dostać.

– Neeeeee? – Patrzące na mnie oczka okrągłej.

Dookoła wzmaga się szum. Słuchające mnie szkraby nie mogą pojąć, że były czasy, w których niczego nie można było dostać ot tak, po prostu. Dla nich to naprawdę szokująca informacja. Z pewnością rodzice nieraz im o tym wspominali, ale co innego słyszeć bajki od starych, a co innego usłyszeć oficjalne potwierdzenie od Namaszczonego.

– Nie. Nie było wtedy O’Tooli, które każdy przedmiot, już istniejący i dopiero przez nas wymyślony, mogą nam przesłać z Worplanu w ciągu kilku mon. Na Ziemi istniały sklepy, wielkie gmachy, w których było mnóstwo towarów, ale nie były za darmo. Żeby nabyć przedmiot, trzeba było

po pierwsze, najpierw udać się do takiego sklepu...

– Na nogach? Pójść?

– Można było podlecieć pneumobilem, a potem się przejść, tak. Chodzenie było niezbędne w tamtych czasach. Dzisiaj chodzimy dla sportu, a niektórzy chodzą, bo uważają, że to zdrowe. Na przykład ja często chodzę.

Mimowolnie zerkam na stópki dzieciarni. Wszystkie wiszą nad podłogą. Są zakotwiczone do podłoża animowanymi łańcuchami, promieniami, roślinami. Rolę kotwic odgrywają wyobrażenia ich ulubionych zabawek – widzę tam spacemobile, zwierzątka, domki z ogródkami. Platforma pod nimi wygląda jak cudowny toyland. Tylko Suver za moimi plecami uparcie trzyma się gruntu.

Dzieci znowu chichoczą.

– Nie śmiecie się. Wy też biegacie na lekcjach wychowania fizycznego, prawda?

– I Petry nami targają!

– No właśnie. Kiedyś bez tej umiejętności nie dałoby się załatwić większości spraw.

– Dziwne... Nie mogli latać?

– Latanie nie było wtedy tak powszechne jak dzisiaj. W zasadzie tylko posiadacze motombów mogli sobie ot tak pofruwać, ale było ich mało. Za moich czasów ludzie mieli bardzo często cienkie ręce, zwłaszcza kobiety, bo nie używaliśmy ich, jak nasi przodkowie, do chodzenia po drzewach.

Dzieci chichoczą.

– Dzisiaj nie mamy ani cienkich rąk, ani cienkich nóg. Ćwiczymy. To ważne. Tak czy owak, trzeba było pójść do sklepu, a za wybrany towar „zapłacić”, czyli przelać...

– Przelać?

– Tak się kiedyś mówiło. Przesłać.



– Aha...

– Przez sieć, oczywiście, pewną liczbę pieniędzy na konto tego, od kogo dostawaliśmy towar. Prawie zawsze był to pośrednik, czyli nie ten, który przedmiot wyprodukował, ale ten, kto go sprzedawał.

– To nie to samo?

– Nie. Przed Imperium kto inny produkował, kto inny przewoził, a kto inny sprzedawał. I każdy dostawał za to pieniądze.

Frin znowu wyświetla łańcuszek przedstawiający moje słowa. Dzieci śledzą uważnie animowany obszar „producenta”, „pośrednika” i „sprzedawcy”. Zerkają na mnie.

– To głupie – konstatuje Kris. – I po co to przewozić? Nie było teleportów?

– Pierwsze teleporty pojawiły się na początku Młodego Imperium.

– Liczby się przesyłało? – pyta Vivien.

– Liczby.

– To też niemądre. Ty, Bert, prześlę ci liczbę!

Gromadka się śmieje. Wszystkie inne dzieci także. Polatuje nad nimi coraz więcej motyli, małych srebrzystych jaskółek gubiących opalizujący pył i samolocików. Słyszę rechot Tella, chichot Leyi i Marsa.

Krzywię twarz w grymasie bezradności. Smok za moimi plecami śmieje się coraz głośniejszym. Czuję na łopatkach drżenie pancerza od jego basowych parsknięć.

– *Ty, Tori, ja ci też liczbę przeleję!* – Przekaz opatruje rozbawieniem i zdumieniem, że były czasy, w których twierdzono, że nierealna cyfra ma wartość.

Nigdy nie widział Ziemi, którą pamiętam, nie widział też Spes, bo urodził się już w Wielkim Imperium, na Dragonii. Jego dziadkowie nie opowiadali o papierowych pieniądzech, bo chociaż miał dziadków, urodzili się za późno,

by je widzieć. Ale rozumie mnie. Suwerzy dobrze rozumieją przyjaciół.

– Ludzie nie zawsze o tym mówili – ciągnę – ale nieustannie myśleli. Ich uwaga była skupiona na tym, jak zdobyć pieniądze, żeby kupić dom, pneumobil, ubranie...

– Ubranie?!

– Dzieci, wszystko, wszystko było za pieniądze. Mówiono: „Wszystko ma swoją cenę” i „Nie ma nic za darmo”.

– Ojej! Ale głupie przysłowia!

– Dzisiaj wydają się głupie, ale wtedy były tak wtopione w kulturę, że nikt nie potrafił pomyśleć, że mogłoby być inaczej. Twierdzono, że nawet człowieka można kupić.

– Człowieka?!

– Jego poglądy. Za pieniądze niektórzy mówili i robili rzeczy, z którymi wewnątrznie się nie zgadzali.

– Niemożliwe! Za liczby? – Kris lekko się unosi.

– Jak to? Za airvill też trzeba było komuś dawać pieniądze? – pyta Bert.

– Wtedy airvilli nie było, ale gdyby istniały, tak, trzeba by było producentowi zapłacić.

– Ale po co Fabryce Świata arealne liczby?

– Te arealne liczby miały wtedy wartość, przebywały na specjalnych stronach sieciowych zwanych kontami bankowymi. Liczby znajdujące się w innych miejscach wartości nie miały. Liczby na kontach były wartościowe, bo można było je na coś wydać...

– A nie mógł ich ktoś sobie zrobić, tych liczb? W arealium?

– Oczywiście, ale było to bardzo trudne, a próbę taką określano jako przestępstwo. Coś bardzo złego, za co można było pójść do więzienia.

– Takiego jak Sofia?

– Dużo mniejszego. Wtedy więzieniami nie były całe planety, tylko

ogrodzone budynki. Nie było teleportów, więc niełatwo było się z nich wyrwać. Ludzie nie umieli latać, więc tym bardziej.

– No to mieli strasznie. Nie było wtedy Stellarów czy Aniołów, Sit? – pyta Bert.

– Nie, dzieci. Byli tylko Grondzi i oni nie mogli się stać ani Stellarami, ani Aniołami. Nie było rajów ani karawan.

– O rany...

– Wracając do pytania, trudno było podrobić pieniądze, bo liczb tych pilnowały banki. Miały świetnych programistów. (I prawników, chciałem dodać, ale ugryzłem się w język. Wyczuł to Tell i jak zwykle wysłał mi telepatycznie chichot). Banki rządziły pieniędzmi. A gromadziły je w taki sposób, że pożyczaly je, nie mając tego, co pożyczaly, kazały zaś sobie zwracać dużo więcej. Naprawdę więc nie było sytuacji „pożyczam, odzyskuję”, ale „stwarzam nowy pieniądz, który pożyczkobiorca wkrótce mi da”.

– To nieładne! I nic innego nie robiły?

– W zasadzie nic produktywnego. Ale robiły, owszem. Banki wymyśliły wiele wzorów matematycznych, których prawie nikt nie rozumiał. Nazwały je „narzędziami finansowymi” i bogaciły się jeszcze bardziej. Ktoś wcześniej mówił o Worplanach, prawda?

– Taaak!!!

– To kolejna różnica między dzisiejszymi czasami a dawnymi. Wtedy przedmiotów nie wytwarzały Worplany, tylko grupy ludzi pracujące w firmach. Powiedzmy, sto tysięcy osób wytwarzało komputery...

– Komputery?!

– Zły przykład. Ludzie wytwarzali pneumobile. Ponieważ spędzali większość życia, pracując...

– Jak to?

– Wrócimy do tego. A ponieważ musieli pracować...

– Musieli?!

– Tak, niestety musieli.

– Ojej! A dużo ludzi pracowało?

– Prawie wszyscy. Musieli to robić, żeby mieć pieniądze. Pracowali, często wykonując czynności, których nie lubili, które męczyły. Mimo to codziennie kilka hekt, powiedzmy siedem, poświęcali na pracę i wracali do domu zmęczeni...

– To straszne!

Dookoła wzmagają się dyskusje berbeci. Szumią coraz bardziej. Co za okropne czasy! Co za upiorna rzeczywistość!

– Tacy ludzie, na przykład pracujący w placie wytwarzającym pneumobile, mieli pieniądze ze sprzedaży pojazdów. By być dokładniejszym, dostawali część zarobionych pieniędzy od człowieka, który dowodził firmą, i mogli sami sobie kupić pneumobil.

– To jakby koło zamknięte – stwierdza Bert.

– Jakby. Fortunę udawało się zbić mało komu, chociaż każdy o niej marzył. Istniały w związku z tym loterie, które dawały ludziom złudzenie, że może uśmiechnie się do nich szczęście i zostaną milionerami.

– Loterie? Co to jest?

– W jednym na czternaście milionów losów była główna wygrana, powiedzmy pięć milionów starych imperiałów. Los kosztował pięć imperiałów. Na jednym losowaniu – frin wyświetla odpowiednie animacje i równania – firma urządzająca loterię zarabiała...

– Siedemdziesiąt milionów imperiałów! – wchodzi mi w słowo Bert.

Przedszkolanka gani go wzrokiem, ale uspokajam ją gestem.

– Czyli po oddaniu głównej nagrody i nagród drugorzędnych zarabiała na czysto najmniej sześćdziesiąt. A ludzie wciąż żyli nadzieją, że im się

poszcześci. Były holmy o Sitach, którym udało się wzbogacić dzięki wytrwałości, obywatele żyli iluzją potencjalnego bogactwa. Większość życia spędzali, próbując zgromadzić dużą sumę, potem chorowali, bo źle się prowadzili, wreszcie umierali, nie pamiętając, że żyli. Zwrócił na to uwagę Dalajlama, filozof buddyjski.

– Umierali?! – Vivien otwiera szerzej oczy.

– Na Ziemi Przed Imperium ludzie umierali i ja pamiętam te czasy. Ostatnie dwa lub trzy cykle przed Wielką Przegraną przestali. Ale też nie wszyscy. To był... bardzo smutny okres. Bywały pary, wiecie, starych ludzi, z których jedno odeszło, a drugie żyło, i temu, które przetrwało, było żal. Często ci ludzie nie decydowali się na nieśmiertelność, bo zbyt tęsknili za tymi, którzy umarli.

– Ale Sit, jak ludzie mogli żyć ze świadomością, że umrą?! – pyta wystraszona Esterka.

– *Co za dojrzałe zdanie!* – odbieram przekaz Tella.

Patrzę w szeroko otwarte oczy, które wyraźnie domagają się odpowiedzi.

– Po prostu starali się o tym nie myśleć.

I znowu dzieci zaczynają szumieć. W Imperium Tao promuje się odwagę i stawianie czoła przeciwnościom losu. Kultura nadaktywnych mechanizmów obrony osobowości, a taka właśnie panowała Przed Imperium, wymyka się małym umysłom.

– Wracając do pieniędzy, bo jeszcze coś mi się przypomniało – kontynuuję, przekrzykując szum – ci, którzy ich nie mieli, a byli nieprzystosowani, prosili o nie. Nazywano ich żebrakami. Siedzieli w różnych miejscach, nic nie robili, zupełnie jak spekulanci, i po prostu prosili o mały przelew, czyli przesył liczb. I dostawali niewielkie sumy od współczujących obywateli. Ale byli nieszczęśliwi. Żyli w złych warunkach i nikt ich nie szanował. Ci z kolei, którzy zarabiali bardzo dużo, nie zbierali

gór pieniędzy dlatego, że robili więcej niż inni.

– Jak to?

– Odpowiedzialna za to była bardzo gęsta hierarchia. Człowiek na szczycie firmy dostawał najwięcej pieniędzy, bo pracowało na niego tysiące ludzi. Człowiek stojący niżej w hierarchii zarabiał mniej, bo na jego pensję...

– Pensję?

– Każdy dostawał co pendek przesył liczb na konto. To była pensja.

– Aha...

– Tak więc człowiek stojący niżej w hierarchii dostawał niższą pensję, czyli mniej pieniędzy, bo pracowało na niego mniej ludzi. A człowiek na samym dole hierarchii zarabiał na siebie plus na wszystkich nad nim.

Frin przedstawił trójwymiarową animację piramidy, na której szczycie tkwił prezes. Strzałki jednoznacznie wskazywały wędrówkę pieniędzy z dołu na szczyt.

– To tamci na górze oszukiwali!

– Praca trwała cały cykl oprócz krótkiego okresu odpoczynku zwanego urlopem. Urlop trwał około dwóch deków.

– Strasznie mało!

Dzieci aż się skuliły ze zgrozy. Głośniejsz zaszumiały skrzydełka na pancerzykach. Po zbroi jednego z chłopców zaczął galopować mały, całkowicie reistyczny smok. Być może berbec przechodził terapię kontrolowania emocji i mały gad zwracał mu uwagę na wzburzenie. Malec poczerwieniał, skupił się i gad wniknął w jedną z kieszeni pancerza.

– Zgadzam się. Wtedy ludzie wyjeżdżali, żeby odpocząć. Ale nie własnymi domami. Żyli z reguły w jednym miejscu. Zresztą ten trend istniał także w Młodym Imperium.

– To znaczy?

– Domy były stacjonarne. Tak jak mówiłem, nie było Stellarów. Nie

można było tak po prostu wznieść się posesją i polecieć gdzieś na wakacje.

– To jak podróżowali?

– Małymi pojazdami, czyli pneumobilami, albo transportem publicznym. Jeździli do ładnych miejsc, przystawali na to, by mieszkać w niedużych pokojach, bardzo drogich, w tak zwanych hotelach. I tak upływał czas ich życia: praca, urlop, praca, urlop. Wszyscy się na to godzili.

– Dlaczego?!

Dzieciarnia zwraca się ku sobie. Gestykują, wykrzywiają główki, nie rozumieją. Przedszkolanka patrzy na mnie pytająco: Czy mam je uciszyć, Błogosławiony? Mrugam do niej, że dam sobie radę. Wyciągam ręce, wokół których przez chwilę wirują błękitne smugi złożone z małych liter tworzących zdania z *Księgi Słowa*. Na ten znak czereda natychmiast milknie.

– *Efendi...*

– Na Ziemi ludzie nie mieli poczucia, że są coś warci. Wszystko dookoła wmawiało im, że są słabi, że nic od nich nie zależy, że świat jest rządzony przez wielkich graczy. Nie było wtedy Tamaoizmu...

– To co było?

– Wiele religii, w przeważającej mierze szkodliwych, takich zabobonów...

– Co to jest zabobon? – pyta Theresa. Skubie małymi palcami dolną wargę.

Uśmiecham się do niej.

– Co byś powiedziała, gdybym ci oświadczył, że gdy ktoś zobaczy dwóch Suverów, którzy mają jeden rodzaj łusek dokładnie tego samego koloru, spotka go coś przykrego?

– Że to zwykły zbieg oklo... okoliczności. Przypadek. I żeby w to nie wierzyć.

– Brawo. A gdybyś spotkała stu ludzi, którzy twierdzą, że zobaczenie dwóch Suverów mających łuski tego samego koloru przynosi pecha?

– Powiedziałabym, że powinni się leczyć!

Dzieci wybuchają śmiechem. Czuję tę radość, jakby przez moje ciało przelewał się strumień krystalicznie czystej, przeziernej, czerwonej wody.

– Brawo. W czasach Przed Imperium zbiory takich przekonań, często bardzo złożone i wewnętrznie sprzeczne, składały się na religie. Ludzie wierzyli w mnóstwo zabobonów, które były nazywane dogmatami, i obrażali się na wszystkich, którzy się z nich śmiali. Było nawet prawo, które zabraniało wyśmiewania zabobonów. Religie powodowały, że ludzie byli przekonani, że ktoś patrzy na nich z góry i ich ocenia. W ten sposób powodowały, że obywatele przestawali myśleć o sobie jako o istotach, które same potrafią stwierdzić, co jest dobre, a co lepsze, bo wszystko oceniał domniemany bóg.

– Ojej, ale na nas teraz przecież patrzy Imperator...

– Może patrzy teraz, może później, tego nie wiemy, ale wiemy z pewnością, że on istnieje, i nie musimy wierzyć w jego egzystencję. Gorgon Nemezjus Ezra po prostu jest i wraz z Buddą pomaga ludzkości się rozwijać. Dawne religie mówiły inaczej: nie ma dowodów, że bóg istnieje, nikt go naprawdę nie widział, ale nie musimy mieć dowodów. To kwestia wiary. Jeśli ktoś twierdzi, że nie istnieje, niech to udowodni!

– To głupie – stwierdza Bert. – Jeśli uważamy, że coś istnieje, powinniśmy to udowodnić, a nie prosić tych, którzy twierdzą inaczej, żeby udowodnili nieistnienie.

– Bardzo zgrabny dowód, Bert. Zgadzam się. Religie mówiły: dostaniesz wszystko za darmo, znaczy bez pieniędzy, ale dopiero gdy umrzesz, i tylko wtedy, gdy dasz nam pieniądze...

– To religie potrzebowały pieniędzy? – dziwi się Esterka. Wokół jej twarzyczki od jakiegoś czasu krążą złote gwiazdki.

– Kościoły były firmami, które zarabiały je niezwykle skutecznie. Mówiły:



dostaniesz dużo wspaniałych rzeczy, ale dopiero gdy się do nas zapiszesz, gdy uwierzysz we wszystko, co mówimy, i gdy będziesz nas regularnie odwiedzał, bo tylko my wiemy, jak się po śmierci dostać do miejsca, w którym będziesz szczęśliwy i w którym wszystko będzie za darmo.

– One kłamały! – wykrzykuje Vivien.

– Tak, ale wierzyły im miliardy ludzi.

– Dlaczego?

– Bo kościoły nie szły do dorosłych, którzy słysząc ich dogmaty, roześmieliby się w głos, tylko do małych dzieci, takich jak wy. Wmawiały im swoje zabobony, a dzieci dorosłym wierzą, tak jak wy wierzycie mnie, prawda?

Mali słuchacze posłusznie kiwają główkami. Patrzą na mnie wciąż jak na świętego. Niejeden słabszy człowiek na moim miejscu pokochałby funkcję guru, wszystkie te ozdoby, animacje, skrzydła, splendor...

– *Torkil, nie rozplýwaj się* – słyszę głos Tella.

– *To była refleksja, jełopie.*

– *A, to pardon.*

– Gdy podrasłały – mówię dalej – najczęściej nie umiały już się wyzwolić z tego, co usłyszały w przedszkolu i w szkole. Ludzie ci jako dorośli płodzili dzieci i pozwalali, by przedstawiciele religijnych firm wmawiali im podobne rzeczy, zwłaszcza że pracownicy kościołów nie zachowywali się jak biznesmeni usiłujący wcisnąć towar, którego nie potrzebujemy, ale jak niosący pociechę terapeutów. – Widzę, że to kolejna metafora, której dzieci nie pojmują, ale obserwuję je przez dwie cetnie i widzę, że friny pracowicie uzupełniają w ich główkach wszystkie niedopowiedzenia. Co byśmy bez nich i bez ImBu zrobili, naprawdę nie wiem. – Było to bardzo sprytne zachowanie, bo o ile sprzedawcę można odesłać z kwitkiem, mówiąc „nie potrzebuję tego”, o tyle trudno to powiedzieć człowiekowi, który nazywa

siebie naszym wybawcą i twierdzi, że zna rozwiązanie naszych problemów.

Dzieci powoli kiwają główkami. Ze zdumieniem stwierdzam, że rozumieją mój wywód. Naprawdę niezwykle. Zerkam na wyświetlany przez frin diagram wypowiedzi. Cholera, sugeruje kolejną dygresję, o której należałoby wspomnieć...

– Warto też wiedzieć, że praktycznie wszystkie religie dyskryminowały kobiety...

– Jak to? – Nad głową Flory pojawiają się ciemne chmury.

– Uważały, że dziewczynki są gorsze. W większości wyznań... Zajrzyjcie do frinów, żeby poznać to słowo... Już? Okej. W większości wyznań bogiem był mężczyzna, w wielu kobiety nie mogły być kapłankami, czyli takimi urzędniczkami religijnymi. Były religie, w których kobietom zabraniano wręcz wstępu do niektórych miejsc...

– To okropne! – Tym razem to Esterka wyraża swój gniew. Gwiazdki krążące wokół jej głowy zamieniają się w płonące meteoryty, które pędzą, sycząc i pozostawiając za sobą cienkie ogony czarnego dymu.

– Zgadzam się, Esterko. Z tego, co pamiętam, nie zaglądając do frina, tylko dżinizm był całkowicie egalitarny, ale to była bardzo mało znana religia. Poza nią wszędzie dziewczynki traktowane były gorzej. Tak się to toczyło przez wieki, aż przyszedł Imperator i rzecz uciął.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Umbra, raj

Gwiezdne targowisko *Rainbow's Edge*

Sektor J 96743

08 Decimi 232 EI, 08.02 H

Sam Yon i Sara Bor, dimeni ubrani w podobne, misternie zdobione srebrzysto-pomarańczowe motomby, wisieli przed straganem unoszącym się w przestrzeni gwiazdnego targowiska, które zajmowało tak wielką kubaturę, że gdy człowiek patrzył w górę lub w dół, w prawo bądź w lewo, w przód czy w tył, nie widział jego końca. Wszędzie mieniły się kolorami lewitujące stanowiska mające milionami animacji i zachęcające potencjalnych barterowców do wymiany. Gdzie spojrzeć, ginęły w błękitnej powietrznej perspektywie, bo targowisko tradycyjnie zbierało się w rajach Umbry, gościnnej planety Imperium, która znana była z wyśmienitej kuchni i jowialnych gospodarzy.

Sam, stwierdziwszy, że na straganie, który obejrzał, nie ma dla niego niczego interesującego, pociągnął Sarę za sobą. Podlecieli do kolejnego stanowiska, ozdobionego markizą w biało-czerwone paski, dookoła której latał tuzin trójwymiarowych animacji przedstawiających wynalazki sprzedawcy.

– Genialne – sapnął Yon, sięgając po dziwacznie wyglądający, złożony moduł, który leżał na blacie pośród wielu innych srebrzących się polerem przedmiotów.

Na targowisku mówiono głośno i rzadko używano totu. Taka była tradycja tego miejsca. Tu musiało być gwarno, głośno i radośnie, radośniej niż we wszystkich rajach WayEmpire razem wziętych.

Sara spojrzała na trzymany przez niego dziwny przedmiot.

– Można? – Yon popatrzył srebrnymi mechanicznymi oczami na właściciela stanowiska, wysokiego, śniadego mężczyznę ubranego w niebiesko-żółtą, pasiastą szatę i szkarłatny turban.

– Proszę, Sit.

Właściciel wydał mentalną instrukcję i trzymany przez Sama przedmiot

rozłożył się w coś, co przypominało dużą kokardę. Yon przyjrzał się przedmiotowi, który był dla niego widoczny nie tylko reistycznie, ale i arealnie, a w widoku tym była instrukcja, co należy zrobić, by urządzenie zadziałało. Chwycił je za skrajne wysięgniki i założył na pancerne barki. Urządzenie wyczuło jego rozmiary, dopasowało się i ułożyło w kształt bardzo obszernych naramienników, z których za chwilę wysunęły się i wygięły do tyłu dysze silników, a z przodu wykwitły lufy karabinów.

– Rewelacja – zachłysnął się Sam.

Sara pokręciła głową, połyskując zdobięcymi ją roślinnymi motywami. Dookoła niej zatańczyły animacje rozkrzyczanych chłopców.

– Faceci to wieczne dzieci.

– Ależ Siti – sprzedawca jowialnie się uśmiechnął – na tym polega magia bycia mężczyzną!

– Czym to strzela? – Sam wskazał lufy nad ramionami.

– Laser. Wystarczy, że umówisz się, Sit, z kilkoma kolegami, a urządzenie wykryje ich zbroje i za chwilę będziecie mieli animacje, jakbyście strzelali prawdziwymi wysokoenergetycznymi plazmowymi ładunkami. Pełna reprezentacja zmysłowa. Zbroje będą reagować, jakby naprawdę otrzymywały trafienia.

– Ale bez bólu?

Mężczyzna za ladą zachnął się i machnął ręką. Błysnęły jego białe, podświetlane zęby, a w niebieskich tęczówkach zagrały animacje Ranów skradających się na pustyni w księżycową noc.

– W Czasach Szczęśliwości?! Sit!

– To nie dział dla Gladiatorów – szepnęła Sara.

– Co za to chcesz? – spytał Yon.

– A co masz?

Bor wiedziała, co się teraz stanie: jej partner zacznie wymieniać

wymyślone przez siebie urządzenia. Wiszący przy nim cały czas O'Tool, wysoki dron z rękami złożonymi w duże koło, będzie je teleportować z airvilla, który zostawili niedaleko targowiska, albo wprost z prywatnego hipoka. Westchnęła, a odgłos ten powtórzył jej motomb. Słońce Umbry zatańczyło na jej misternie wykrojonych mechanicznych ustach. Rozejrzała się po targowisku. To niesamowite, jak wiele rzeczy wymyślali ludzie. I niezwykle, że tak wielu wynalazków ImBu nie udostępnia w ogólnej sieci. Mimo że nie mieli już pieniędzy, pozostała jakaś część własności – własność pomysłu. Jeśli był wystarczająco nieciekawym z punktu widzenia rozwoju ludzkości tudzież przydatności, ImBu nie wymuszało jego udostępnienia. Właściciel zatrzymywał patent. Mógł go wymienić na targowisku na inne patenty. Nie trzeba było odwiedzać tego miejsca reistycznie. Można było być arealnie i metowo – wiele straganów było animowanych, co sygnalizowały ikony wyświetlające niewielkie niebieskie „A” nad ich wizjami. Nie miało znaczenia, czy sprzedawca jest prawdziwy, czy nie, bo patent i tak był cyfrowy. Jeśli jej Sam za chwilę kupi ten dziwny naramienny moduł wpasowujący się w jego motomb na podobieństwo egzotycznego kraba, to i tak nie weźmie realnego przedmiotu, a jedynie cyfrowy projekt, który następnie poda O'Toolowi, by po upływie kilkunastu mon cieszyć się przeteleportowanym do rąk własnych realnym przedmiotem.

– *Kiedy podlecimy do czegoś, co mnie interesuje?* – Przesłała partnerowi pak z delikatnie zaznaczonym zniecierpliwieniem, oczywiście podkreślonym rozbawieniem wynikłym z obserwacji Sama – dużego dziecka.

– *Kochanie, tak się umówiliśmy, prawda? Najpierw moje zabawki, bo ja barteruję szybko, potem twoje, bo to trwa pięć razy tyle, prawda?*

– *No prawda.*

– Ładnie wyglądam? – spytał na głos.

Na jego motomb nałożyła się animacja nagiego Sama odzianego tylko

w zwiewną przepaskę biodrową. Przybrał pozę atlety. Zagrały nierealne mięśnie piersiowe i zębate. Moduł, który właśnie nabył za projekt wyjątkowo wymyślnych filiżanek do kawy, ożył na jego barkach. Z dysz buchnął czerwony płomień, w uszy uderzył huk, a sztuczny nos Sary poczuł zapach gorących gazów. Na ramionach Yona ożyły działka.

– *Czy zgadzasz się na wgranie w pancerz subalgorytmu „FireFun 8.4503”?* – usłyszała w głowie głos swojego frina.

– *Tak.*

– Ha! – krzyknął Sam, odsunął się od niej dwa metry, zatoczył koło i ostrzelał ją z działek.

W tym czasie ich O'Tool dystyngowanie odplynał kilka metrów do tyłu, by nie psuć zabawy.

Pancerz Sary mocno podskoczył, jakby trafiony prawdziwymi salwami. Pokrycie mechanicznych piersi żarzyło się od nierealnych uderzeń plazmy.

– Ty wariacie!

Sprzedawca śmiał się, gładząc brzuch.

– Rewelacja! – zachłysnął się Sam. – Pokażę to Dionizemu i Zoe!

– I Krisowi, i Ralphowi, i całej czeredzie na Wizie, jak zwykle. A oni będą czarować, popisując się darami od ImBu – dodała Sara.

– Oooczywiście!

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, Raj  
Dystrykt Warsaw City  
Sektor A 12344  
08 Decimi 232 EI, 08.13 H

– Ktoś z was – podjąłem – zapytał na początku naszego spotkania o rządy. Tak, władały krajami, bo wtedy na Ziemi były dziesiątki oddzielnych terytoriów, na których panowały różne języki...

– Nie imperialny? – spytał Bert.

– Gdy byłem w waszym wieku, genglish już obowiązywał na całej planecie, ale moi rodzice i ich rodzice pamiętali czasy, w których ten obyczaj dopiero się rodził i miliony osób mówiły bardzo różnymi językami. Wracając do wątku, były państwa, a w nich rządy. Rządy składały się z kilkunastu lub kilkudziesięciu osób, ale naprawdę sprawowanie władzy było rozpisane na dziesiątki tysięcy tak zwanych „urzędników”.

– Ojej! Po co?

– Dobre pytanie. Urzędnicy dostawali pieniądze, a pamiętamy, że każdy chciał je mieć. Żeby je dostać, nie musieli zbyt dużo robić i na niczym się znać. Podzielono ziemię na bardzo małe obszary... – frin wyświetlił teren Europy Środkowej, zrobił zbliżenie na obszar byłej Polski (oczywiście wiedział, skąd pochodzę) i przedstawił gęstą siatkę podziału administracyjnego – ...a szefem każdego z nich był urzędnik, który zarządzał kilkunastoma lub kilkudziesięcioma innymi urzędnikami. Mieli w ten sposób w miarę lekką pracę, a pieniądze dostawali z tego, co zarabiali inni.

– Czyli zabierali te pieniądze?

– Tak. Nazywali to podatkami.

– Nieuczciwe – skwitował sucho Kris. Przed jego twarzą zapikował statek kosmiczny i rozbił się o niewielką planetoidę. Stojący obok Bert stuknął go łokciem w bok. Obaj stłumili śmiech.

– Te pieniądze musiały być bardzo ważne – stwierdza Estera.

– Widzicie? Cały czas do nich wracamy. Żeby mieć bardzo dużo pieniędzy, królowie największych firm zwanych korporacjami kierowali całą

planetą. Wywoływali nawet wojny, żeby na nich zarabiać.

– Jak to?

– Na wojnie psuje się dużo sprzętu, a sprzęt był robiony przez firmy, które kazały sobie za niego płacić, same zaś pożyczaly na produkcję pieniądze od banków.

– I kto płacił za ten sprzęt?

– Państwa. Najczęściej także pożyczając pieniądze. Albo różni walczący przywódcy, którzy płacili na przykład złotem lub brylantami. W tych przypadkach producentom broni zależało na tym, żeby wciąż się bili. Dzięki temu mieli cenne kruszce po atrakcyjnych cenach.

– Państwa pożyczaly pieniądze? – dziwi się Bert.

– Tak. Teraz widzicie, kto naprawdę rządził.

– Banki! – wykrzykuje Kris.

– Pieniądz! – dodaje Esterka.

Nad główkami dzieci rozgrywa się apokalipsa. Walczą superbohaterowie, wybuchają latające pojazdy.

– Ale ja nie rozumiem – odzywa się Bert. – Państwo kupowało bojowe spacemobile od firmy i płaciło, chociaż szło o obronę terytorium, na którym mieszkała ta firma?

– Nie mieszkała, tylko miała siedzibę. Trochę to dziwne, prawda? Broń powinna być za darmo, ale nie była. Kazano za nią płacić, wywoływano wojny, dzięki czemu sprzedaż rosła, i tak to się kręciło...

– To bardzo dziwne, Sit. Dziwne, okropne i niesprawiedliwe – stwierdza Estera.

Dzieciarnia rechocze.

– Chociaż na Ziemi było bardzo dużo ludzi, którzy mieli wiele pieniędzy, ponad miliard osób głodowało. – Dzieci milkną. – W czasach rodziców moich dziadków w Federacji Afrykańskiej, czy może raczej po prostu



w Afryce, bo wtedy federacji jeszcze nie było, mnóstwo ludzi nie miało co jeść. Wówczas nie było O'Tooli, dzięki którym obywatele mogliby zamówić jedzenie. Trzeba było po nie iść do sklepu, a tam chcieli pieniędzy.

– To straszne! Ludzie umierali z głodu, bo nie mieli pieniędzy? – pyta Estera.

– Nie mieli czym zapłacić i umierali.

– To niemożliwe – oświadcza kategorycznie dziewczynka i krzyżuje ręczki na piersiach.

Wzdycham.

– A jednak.

Dzieci nie mogą znieść tej wiedzy. Dyskutują, unoszą się głosiki na naszej platformie i wszystkich dookoła. Błyskają animacje wokół ich rąk i głów, skaczą iskierki z drobnych palców. „Przesadziłeś, Sit, przesadziłeś. Trzeba było tego nie mówić”. Friny pracują ze zdwojoną siłą. Uspokajają, łagodzą emocje. To naprawdę straszna wiedza. Takich rzeczy nie mówi się przedszkolakom.

– *Hmm... chciałem coś powiedzieć, ale raczej nie muszę, prawda?* – odzywa się telepatycznie Tell.

– *Nie.*

– *Już chyba się uspokajają.*

– *Tak.*

– *Rzuć coś innego, zmień temat.*

Racja. Rozpościeram powierzchnie nośne. Błyskają w dalekim słońcu potężne lotki otoczone błękitnymi animacjami. Zgromadzeni otwierają usta w zachwycie. Owszem, teraz każdy Sit umie latać, a jak chce, zrobi sobie skrzydła, ale tylko Ranowie mają swoisty, niemożliwy do podrobienia rysunek piór, pióra te zaś, czyli quille, są śmiercionośną bronią. Od skrzydeł zaczynają bić promienie.

– *Bracie...* – słyszę głos Tella.

Wyciągam ręce i wytryskują z nich wijące się spirale wersetów *Księgi Słowa*. Owijają się wokół tysięcy platform jak sieci pająka. Słysząc podniosły akord i niski, basowy pomruk, od którego łaskoczą podeszwy stóp. Używam Siewcy, który bez problemu radzi sobie z uspokojeniem wszystkich słuchaczy.

Znowu jest cicho. Tylko przedszkolanki patrzą na mnie jak na objawienie. Spirale zwijają się, wracają do mnie i znowu kręcą się wokół pancerza.

Odczekuję jeszcze kilka cetni, w których trakcie słyszeć tylko wiatr.

– Warto – podejmuję i chrząkam, bo zaschło mi w gardle. – Warto zaznaczyć, że w tamtych czasach wszystko się psuło.

Dzieci przez moment mrugają. Nie rozumieją.

– Psuło? – pyta Bert. – Ale za chwilę się naprawiało? – upewnia się.

– To były inne czasy. Urządzenie, które przestawało poprawnie funkcjonować, nie potrafiło samo się zdiagnozować i naprawić. Najczęściej wymieniano w nim jakąś część albo wymieniano je w całości. Przedmioty były tak produkowane, żeby się psuły dosyć szybko.

– Dlaczego?! – wykrzykuje Esterka.

– Żeby obywatel kupił następny przedmiot.

– Po co? – dopytuje się mała.

– Żeby producent mógł zarabiać pieniądze.

– Ojej! – Nad głową małej Flory stojącej na lewo i za Esterą pojawia się miniaturowa burza.

– W ten sposób – ciągnę – odbierano obywatelom spokój, energię i czas, bo zamiast cieszyć się życiem, musieli podróżować do sklepów, by mieć sprawne urządzenia. Wciąż pojawiały się produkty o nowych nazwach, cały czas krzyczano „Nowość! Nowość!”, to było jak hipnoza. Miłość do nowości. W WayEmpire od stu cykli wiele nazw się nie zmieniło i niewiele

przybyło nowych produktów, co najwyżej stare zostały udoskonalone albo stały się bardziej uniwersalne. Nie ma potrzeby mnożenia bytów. Przed Imperium co dek pojawiały się neologizmy, nazwy kolejnych „nowszych” i „lepszych” przedmiotów. Wymyślano wyrazy, by dać ludziom wrażenie, że kupią coś lepszego, innego.

– Te pieniądze to było jakieś uzależ... uzależnienie! – wykrzykuje Kris.

– Ba. Sam ich potrzebowałem.

– Ty, Sit?

– Gdy byłem młody i mieszkałem na Ziemi, nie byłem Ranem. Nie było Imperatora, to znaczy był, ale nie rządził ludźmi. Musiałem zarabiać, żeby mieć z czego żyć. Potrzeba pieniędzy była tak silna i powszechna, że ludzie cieszyli się z cudzej niedoli, gdy tylko mogli na niej zarobić.

– Niemożliwe! – buntuje się Bert.

– A jednak. Były na przykład firmy farmaceutyczne...

– Co to znaczy, Sit? – pyta Flora.

– Kiedy w twoim organizmie dzieje się coś złego, spada odporność albo atakują go bakterie czy wirusy, twój frin tak steruje metabolizmem, żeby organizm się obronił, prawda?

– Dzięki temu nie choruję. – Dziewczynka uśmiecha się, ukazując ząbki w niebieskie kwiatuszki. Niezbyt piękny to widok, ale kim jestem, by kwestionować dziecięcą modę?

– Tak jest. Kiedyś wyglądało to inaczej. Gdy człowiek źle się czuł, gdy już zachorował, co i u nas się zdarza, jeśli frin na to pozwala, szedł do lekarza, czyli do człowieka, prosił o pomoc...

– To trzeba było o nią prosić? – nie wytrzymuje Bert.

– Nawet płacić za nią. Wtedy lekarz programował kartę IN obywatela... Wiecie, czym była ta karta? Już sprawdziliście? Świetnie. Zatem lekarz programował ją w taki sposób, żeby chory mógł otrzymać w specjalnym

sklepie zwanym apteką lekarstwo, czyli substancję chemiczną w postaci takiego jakby cukierka, rozumiecie?

Czereda kiwa główkami.

– Lekarstwa były płatne. Produkowały je firmy farmaceutyczne. Ludzie chorowali najczęściej późną jesienią i wczesną wiosną. Zresztą każda pora roku... bo na Ziemi były pory roku. Wiecie, co to jest?

– Taaak! Na Caledonii też je mamy!

– *Uf. Co byś powiedział, gdyby nie mieli?* – pyta telepatycznie Tell.

– *Prawie każda planeta WayEmpire ma pochyloną oś.*

– *Biedne nasze królestwo...*

– Zatem każda pora roku miała charakterystyczne dla siebie zachorowania: przeziębienia...

– Co to jest przeziębienie, Sit? – pyta Flora.

– Bolało gardło, człowiek kichał, kasłał, miał podwyższoną temperaturę...

– Łał! Ja też to miałam! – cieszy się Laura, drobna blondyneczka w zielonej sukience przystrojonej w żółte płatki. Wysuwa się zza Flory i podskakuje. – Jadłam wtedy dużo lodów!

– Aaaale fajnie! – zazdrości jej czereda.

– Przeziębienia i anginy były latem i jesienią, złamania zimą, problemy z sercem latem, wiosną osłabienie, jesienią i wiosną kłopoty z żołądkiem i tak dalej. Te dziwne wyrazy, które wymieniłem, to nazwy chorób. Friny odpowiedziały?

– Taaak!

– Właściciele firm farmaceutycznych bardzo się cieszyli, gdy ludzie zaczęli chorować, radowały ich zwłaszcza tak zwane epidemie, czyli okresy, gdy...

– Sit – przerywa mi Bert – my doczytujemy wszystkie nieznane słowa z frinów, więc nie musisz się trudzić wyjaśnianiem...

– Bert! – gromi go przedszkolanka.

Uspokajam ją gestem.

– Dziękuję ci, Bert, za informację. To mi ułatwi opowiadanie. Ale na przyszłość dołóż starań, by mówić z większą delikatnością, dobrze?

Stukam palcem w pieczęć Anioła Śmierci. Pancerna opuszka dzwoni o złoty emblemat. Inteligentny pancierz oraz wszechobecny ImBu wzmacniają dźwięk i zamieniają go w donośny, głęboki grzmot. Przez chwilę robi się cicho, nawet na odległych platformach. Dzieci otwierają buźki. To zawsze wywiera wrażenie. Jeszcze kilkadziesiąt cykli wstecz ten gest mógłby oznaczać groźbę. Dzisiaj jest tylko wezwaniem do empatii.

– *Primus, ale dałeś popis* – nadaje Tell.

– Dobrze, Błogosławiony – odzywa się Bert. – Przepraszam, chciałem po prostu jak najszybciej to przekazać, a Siti zabroniła totu...

Uśmiecham się.

– Rozumiem. Nic się nie stało.

Spoglądam na słuchające nas rzesze. Latające miasto zbliżyło się na bezpieczną odległość i zawisło. Wywiesza proporce z krawędzi. Robię błyskawiczny zoom. Mieszkańcy wylegli na tarasy i obserwują nasze zbiegowisko.

– Wracając do wątku – podejmuję – pracownicy firm farmaceutycznych nazywali okresy epidemii „sezonem”. Wtedy zarabiali najwięcej, bo ludzie kupowali dużo lekarstw. Tak było w każdej branży. Dziadek mi opowiadał, że gdy poruszano się jeszcze pojazdami kołowymi, naziemnymi... Wiecie, co mam na myśli?

– Taaak!

– Bardzo się cieszone, gdy nadchodziła zima i śniegi. Cieszono się, bo wtedy pojazdy kołowe ślizgały się na traktach komunikacyjnych i uderzały czasami jeden w drugi. Ponieważ nie potrafiły same się naprawiać i były

robione z łatwo się rysujących i gnących materiałów, właściciel mobila udawał się do specjalnego miejsca, gdzie go reperowano. Im więcej było takich wypadków, tym więcej zarabiali właściciele miejsc napraw. Dlatego się cieszyli, gdy padał śnieg.

– Dlaczego ludzie byli tacy okrutni, Sit? – pyta dziewczynka, dookoła której głowy zaczyna latać biały gołąbek. To Vanessa. Do tej pory się nie odzywała.

– Nie byli okrutni, Vanesso. Po prostu koncentrowali się na swojej działalności. Mieli mnóstwo spraw, bardzo wiele rzeczy odwracało ich uwagę, cieszyli się, że będą mogli zarobić pieniądze.

– Nie martwili się, że to wszystko jest bez sensu?

– *O, to bardzo dobre pytanie* – komentuje w mojej głowie Tell.

Zgadza się, przyjacielu. Zerkam na pytającego. To Drake, rudawy chłopczyk o nienaturalnie niebieskich oczach.

– Świetne pytanie. Zgadza się z Drakiem?

Z platform dookoła nas dochodzi szum. Świecą czerwone bąble nad główkami. Czuję ich zaangażowanie jak gorący, wilgotny wiatr.

– Bardzo niewielu ludzi było w stanie spojrzeć na cały ten świat z dystansu. Przeciętny człowiek martwił się tylko o swoją branżę. Dlatego tak ważne jest, by jak najczęściej rozważać to, co widzimy, w szerokim kontekście. W tamtych czasach, gdy ktoś zaczynał zadawać pytanie o sens, często spotykał się z krytyką: „Nie filozofuj”, „Przestań stwarzać problemy” i tak dalej. Ludzie woleli cierpieć i nie myśleć.

Dzieci znowu zaczynają dyskutować. Wokół nich kręci się coraz więcej zabawek. Pod wpływem emocji i być może znużenia rozmową coraz częściej muszą skupiać uwagę na miłych obiektach.

– Sit, ten świat był chory. – To znowu Drake.

Czuję, że to souler. Przekazuję informację do ImBu. Otrzymuję

potwierdzenie i zapewnienie, że Imperator zadba o jego przyszłość. Będzie z niego Ran, Człowiek Brama, Charon albo Nar.

– No cóż – odpowiadam – rządzą nim psychopaci.

– Co masz na myśli, Błogosławiony? – pyta rudzielec.

– Wielkie firmy. Gdybyśmy sobie wyobrazili, że firma to człowiek i ten człowiek sprzedaje drogo coś, co się popsuje i nie jest warte swojej ceny, cieszy się z nieszczęścia drugiej osoby, bo na nim zarobi, i nie dba o tych, którym coś sprzedaje, to co powiemy o takim człowieku?

– Że jest bez serca – odpowiada Estera.

– Inaczej, że jest psychopatą.

Dzieci kiwają główkami.

– Dlaczego ludzie nic z tym nie robili? – pyta Bert.

– Wszystkiego, całego tego systemu, broniło prawo – wyjaśniam.

– Takie jak Prawo Imperialne?

– Ha, ha! To by było dobre, Bert. Prawo Imperialne jest tak proste, że pewnie już je znacie, prawda?

– Tak, Sit! – krzyczy czereda.

– Dzieci, pochwalicie się przed Błogosławionym? – pyta przedszkolanka.

– Taaak!

– Eva?

Dziewczynka ubrana w powłóczystą zieloną suknię składającą się z drobnych metalicznych romboidalnych łusek uśmiecha się równymi, tym razem nie animowanymi, lecz po prostu świeącymi ząbkami i zaczyna recytować, a w trakcie deklamacji co chwila połyskuje jej oświetlony różowy języczek.

– Punkt pierwszy: Każdy obywatel Imperium Drogi ma frin, a frin, chociaż mógłby to robić, nie ogranicza jego Wolnej Woli. Punkt drugi: Imperator i Budda, zwani razem ImBu, sprawują wraz z frinami kontrolę nad

WayEmpire i rozwijają nasze państwo. Zawsze mają rację. Punkt trzeci: Widoczną manifestacją władzy ImBu są Błogosławieni, których głos jest głosem ImBu. Imperator może się manifestować w każdym obywatelu, ale najczęściej robi to poprzez Błogosławionych. Punkt czwarty: Jeśli obywatel użyje swojej Wolnej Woli, by czynić to, co ImBu uzna za Wielkie Zło, zostanie przetransportowany na Sofię i spędzi tam określony przez ImBu czas. Na planecie więziennej frin odbiera obywatelowi Wolną Wolę.

– Bravo. – Przedszkolanka uśmiecha się do dziewczynki.

Dzieci poważnie kiwają głowami. Stojące najbliżej koleżanki Evy szepczą jej coś do ucha.

– No właśnie – odzywam się. – Można to wszystko zapisać czytelnym, bardzo dużym drukiem na powierzchni jednego standardowego okna, prawda?

– Taaak!

– Prawo Przed Imperium było tak skomplikowane, że nie było człowieka, który znałby je całe. Dzieliło się na wielką liczbę działów i nawet poznanie jednego było niezwykle trudne. W dodatku każdy kraj miał inne prawo, więc tym bardziej nie było człowieka, który mógłby to wszystko ogarnąć. Przepisy, czyli nakazy i zakazy, nieustannie się zmieniały. Prawnicy, ludzie teoretycznie znający prawo, byli strażnikami finansistów. Ani prawa, ani matematycznych wzorów będących narzędziami finansowymi praktycznie żaden normalny obywatel nie rozumiał. Dlatego grupy prawno-finansowe rządziły Ziemią. Prawo było tak dziwaczne, że zgodnie z jego literą ludzie nawzajem się truli.

– Jak to, Sit?

– Tamte czasy znamionował całkowity upadek wartości. Nikt już nie pamiętał, że ważne są prawda, rozwój, osobowość i wewnętrzna harmonia, nikt nie umiał zadawać odpowiednich pytań, świat wartości został zasypany



masą komercyjnego śmiecia. Dlatego producenci żywności dodawali do jedzenia dużo niezdrowych substancji, dzięki którym miało ładniejszy kolor, przyjemniejszy zapach, nie psuło się i tak dalej. Taka żywność była jednak szkodliwa.

– Jej! – jęczy Bert.

Widzę, że lubi jeść.

– Nie w ten sposób, żeby ktoś od razu się źle czuł, ale każdy wiedział, że na dłuższą metę może zachorować. Mimo to wszyscy ją jedli, bo nie było wyboru. To znaczy najbogatsi, ci, którzy mieli dużo pieniędzy, mogli mieć żywność „zdrową”, czyli nie z dużych sklepów. Ale to były wyjątki. Przed Imperium właściwie każdy każdego oszukiwał. Kłamstwo było narzędziem biznesu.

– Jak ludzie nie wariowali, Sit? – pyta Flora.

– Człowiek ma wielką umiejętność adaptacji. Poza tym, jeśli urodzi się w jakiejś rzeczywistości, uznaje ją za normalną. Gdybym Przed Imperium opowiedział komuś o naszym świecie, o tym, że za nic nie trzeba płacić, że w ogóle nie ma pieniędzy, że każdy przedmiot jest tak dobry, jak to tylko możliwe, że ludzie nie chorują, bo dbają o nich friny, że są świadomi i mają czas na myślenie, że rozwijają siebie i swoje zainteresowania, gdybym opisał społeczność bez prawa, urzędników, banków, firm i reklam, ten ktoś powiedziałby, że oszalałem i że takie państwo jest niemożliwe. Widzicie, śmiejecie się. On śmiałyby się tak samo.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Gaja, raj  
*Airvill Bashing*

Nad Leżem zachodziło słońce i w *Bashingu* całe stado szykowało się do snu: Kaja, Tamara, Wanda oraz trzech młodych synów Laurusa i Kai – Matthew, Michael i Max. Drony sprzątały stoły po sutej kolacji, chłopcy się myli, Tamara i Wanda wisały nad głównym tarasem i rozmawiały, podziwiając spektakularny zachód słońca, Laurus i Kaja zaś siedzieli naprzeciwko siebie i błogo się uśmiechali. Wieczera była okraszona doskonałym winem.

Wilehadowi już od dawna chodziła po głowie pewna myśl i postanowił skorzystać z bardzo dobrego nastroju partnerki, by spróbować ją przeforsować. Ryzykował, bo próbował wiele razy i nigdy nie przyniosło to rezultatu, ale czas mija i leczy rany, może więc tym razem się uda...

– Ka, słuchaj, dawno się nie widzieliśmy z Aymore’ami...

Kobieta o orzechowych oczach i włosach ściągniętych w zgrabny koński ogon zastygła.

– Laur, mówiliśmy o tym setki razy...

– Nienawidzisz Pauline, wiem, ale to jest jakieś nienormalne...

– Na początku naszego związku przyrzekłeś, że nie będziesz naciskał ani się dopytywał. To prosty układ, na który przystałeś, tymczasem permanentnie go łamiesz. Czy Ranom tak koślawią głowy, że przestają cokolwiek rozumieć?

Kaja wstała od stołu i odpłynęła w stronę głównego wyjścia z hallu airvilla. Zatrzymała się nad progiem.

– Ka... proszę cię. – Laurus podleciał do niej i dotknął jej ramienia.

Strząsnęła jego dłoń.

– Przestań.

– Dlaczego nie chcesz się z nią spotkać? To przecież chore... Od tyłu

cykli...

– Mieliśmy umowę. Trzymaj się jej albo omówimy koniec tego partnerstwa. Mam dość tej kolacji. Idę spać.

Droga Mleczna  
Rubieże  
Planeta Feloce, grunt  
Polia Tyr, dystrykt Xantha  
08 Decimi 232 EI, 08.21 H

Samuel Kroz, nazywam się Samuel Kroz...

Besebu-Ran odziany był w czarny Coremour Wzór X ozdobiony czerwono-złotym deseniem przypominającym jęzory ognia i otoczony dyskretnymi animacjami smug ciemnego dymu, który, jak się zdawało, pozostawiały za sobą końcówki jego antracytowych skrzydeł. Leciał wśród strzelistych zabudowań Xanthy, dzielnicy Tyru, jednej z wielu polii Drumy. Ten rozległy kontynent wraz z pięcioma innymi wielkimi zielonymi lądami urozmaicał krajobraz Feloce, cieplej, nieco wilgotnej i wietrznej planety Rubieży WayEmpire, stosunkowo młodej, więc pozbawionej raju. Po prawej i lewej ręce Kroza migąły przyłączone do dachów wież zielone oriflamy ozdobione złotym symbolem Feloce – siedzącym lwem, na którego głowie lądował gołąb. Dziwne to godło symbolizowało ponoć myśl, że każda siła i powaga stają się puste lub wręcz groźne bez odrobiny dystansu i poczucia humoru. Gdyby Besebu-Ran miał czas na kontemplację tej myśli, z pewnością uznały, że jest trafna, a nawet doszedł do głębszych wniosków, jednak tego nie uczynił, bo był pochłonięty czymś innym.

Samuel powtarzał bezgłośnie swoje imię, gdy do jego świadomości

zaczynały się dobijać poczucie utraty tożsamości i bezsensu istnienia, a to zdarzało się ostatnimi czasy coraz częściej. Odczucia tego typu towarzyszą osobom wrażliwym, mawiali nauczyciele. Sam to wiedział i pamiętał, lecz przez to uczucia nie były mniej dojmujące.

Bractwo Besebu nie ma racji bytu.

Thirowie zostali pokonani, thiroza nie istnieje.

Co ja tutaj robię?

Dlaczego wstąpiłem do formacji Besebu, a nie do Maodionu?

Powodów było kilka.

W razie konfliktu braci Besebu nie rzuca się na pierwszą linię frontu. Samuel nie był typem wojownika.

Besebu strzegą porządku, nie wywołują wojen. Kroz był pacyfistą.

No i naczytał się, tuż przed decyzją, el-booków o inkwizycji i egzorcystach.

Frag!

A matka mówiła: Jesteś za młody, uważaj na siebie, zostań Narem, jeśli koniecznie chcesz, a w ogóle po co ci to? Nie musisz nic robić! Mamy Czasy Szczęśliwości!

Ale Samuel chciał. Po prostu chciał być przydatny. Na takich jak on, mówiono, Imperator patrzy życzliwym okiem. Kroz potrząsnął głową. Głupie myśli. Nie po to Sit chce być dobrym człowiekiem, by zbierać nagrody. Takie stawianie sprawy wykrzywia osobowość, korumpuje wewnętrznie. Nie po to dążysz do rozwoju, by karleć w oczekiwaniu na pochwałę.

Ran wciągnął głęboko powietrze.

Poczuł coś w rodzaju dumy.

Besebu są potrzebni. ImBu kieruje ich w mroczne obszary, tam gdzie wdziera się zwątpienie, gdzie ludzie zapominają albo przestają wierzyć w opiekę Imperatora, a Wolna Wola staje się złą wolą.

Właśnie taki problem Samuel Kroz, Maod-An osiemset piątej Centurii BB, leciał rozwiązać. Zerknął na mapę. Przy tej prędkości miał do celu niecałą hektę. Wzniósł się wyżej, ponad poziom kanałów powietrznych. Xantha zmalala, skurczyła się, a za nią cały Tyr. Polia, która jeszcze przed chwilą ciągnęła się od horyzontu po horyzont, zrobiła się nie większa od dłoni Samuela. Gdy mróz zaczął szczypać go w twarz, a pancerz poinformował, że w atmosferze brakuje tlenu, owinął hełm wokół głowy. Leciał wyżej. Kiedy gazy rozrzedziły się na tyle, że zaczął widzieć gwiazdy, złożył skrzydła tak, że tworzyły już tylko po trzy grube wypustki na bokach pancerza. A gdy znalazł się na orbicie, przywołał z podprzestrzeni kabinę Dragonforce'a. Pomieszczenie zmaterializowało się wokół niego i z sykiem zaczęło generować atmosferę. Na nim nadbudowywały się kolejne moduły, tworząc pojazd Braci Besebu. Jeszcze kilka odgłosów nakładających się na siebie warstw pancerza statku i Samuel ruszył korytarzem wiodącym do krypty.

Wpłynął do oblanego białym światłem pomieszczenia i spojrzał na hiperbosa przypominające starożytne sarkofagi. W dwóch z nich, w błękitnej mgłę, spoczywały jego potężne, trzymetrowe ranowe ciała. W jednym – zaledwie dwumetrowa cywilna powłoka. Wiedział, że to tylko animacje – naprawdę nie sposób zobaczyć ciała znajdującego się w innym wymiarze. Czwarty hiperbos był pusty. Kroz stanął przed nim i wydał mentalną komendę. Ze ściany za nim wyłonił się majordomus pojazdu przypominający pająka. Samuel opadł do tyłu, zawisł w powietrzu pod kątem do podłogi, jego zbroja otworzyła się i pozwoliła, by wypłynął na polu dryfowym i ulokował się tuż nad mglistą powierzchnią hiperbosa. Majordomus otoczył łapą grawitacyjną głowę Samuela i wyciągnął z niej duszę Besebu-Rana. Nieprzytomne ciało opadło w czeluść sarkofagu. Cichy pisk, który rozległ się po chwili, świadczył o tym, że ciało zniknęło z trójwymiarowej czasoprzestrzeni. Majordomus przepłynął do katafalku, na którym

spoczywała cywilna powłoka Kroza. Wydał bezgłośnie instrukcję, poczekał, aż naga postać wyłoni się ze skrzyni, otoczył jej głowę swoimi długimi palcami i poczekał, aż Maod-An otworzy oczy. Samuel zamrugał, napiął mięśnie i dał się sprowadzić grawitacyjnym poduchom do pionu. Dotknął podłogi. Jeden ze slotów mieszczących lekkie pancerze Yari zaśnił wewnętrznym światłem, a stojąca tam zbroja już wykonywała pierwszy krok w kierunku pana, ale Ran zatrzymał ją gestem.

– Nie teraz. Cywilne ubranie.

Tym razem zapaliło się światło w innej części pomieszczenia, a z wnętrza wysunął się i podleciał do Samuela lekki zielony pancerz przypominający łuski smoka. Strój owinał się wokół Brata Besebu i po chwili Kroz wyglądał jak organiczny, niezbyt ekstrawagancki obywatel Imperium, czyli, mówiąc krótko, dziwak. Bo w WayEmpire wypadało się czymś różnić od innych: jeśli nie wzrostem, to chociaż fantazyjną odzieżą.

Aristos uniósł się, przepłynął do sterówki, zawisł w wygodnej pozycji i pozwolił, żeby fotel dowodzenia przydryfował i wymorfował tak, by dopasować się do jego mniejszego ciała. Maod-An wydał dyspozycję i Dragonforce z ogromną prędkością wniknął w atmosferę planety, wzniesając wokół poszycia płomień, a chwilę później, gdy ognie przygasły, znalazł się nad oceanem i zbliżył do zachodniej granicy Waylandu, pływającej polii w niektórych miejscach porośniętej archiflorą, jednej ze starszych na Feloce. Miasto urosło w oczach, a jego wieże wystrzeliły wysoko w niebo. Pojazd wylądował na wysuniętym nad stromymi falami lądowisku. Kroz wstał z fotela i podpłynął korytarzem do śluzy. Poczekał, aż otworzy się właz, i wyleciał z pojazdu. Wisiał moment nad lądowiskiem, lustrując ścianę wysokich zabudowań, wreszcie ruszył i wleciał między wieże. Gdy oddalał się od Dragonforce'a, statek zmienił kształt i stał się cywilnym spacemobilem przypominającym zielonego smoka.

ImBu donosił, że w obszarze wskazanym na trójwymiarowej mapie, którą Samuel widział przed oczami, doszło do wielokrotnego nadużycia Wolnej Woli.

Imperator sugerował ingerencję incognito.

Samuel skinął powoli głową.

*Zasady Primusa* mówią:

Jeśli rozpoczynasz negocjacje, prezentując wyższy status bądź siłę, zmniejszasz prawdopodobieństwo, że partner w negocjacjach dojdzie do pożądanego wniosku drogą autonomicznego rozumowania. Najpewniej powierzchownie zgodzi się z tobą, a gdy odejdziesz, wróci do poprzednich przekonań.

Dlatego Kroz często przywracał ład w WayEmpire, nie pokazując, że jest Bratem Besebu. To byłoby zbyt łatwe. Aristos uwielbiał Primusa, chociaż nigdy nie miał okazji go spotkać. Jego *Zasady* znał na pamięć, bez użycia frina.

Mijał granatowo-srebrne kolumny miasta z nielicznymi przyczepionymi do nich airvillami, ignorując labirynt animowanych informacji migających dookoła traktu powietrznego, i cicho recytował mantrę skupienia. Żadnych plexów. Tylko dyscyplina mentalna. Plexy zbyt ułatwiają pracę mózgu. Jedynie wysiłkiem woli można osiągnąć doskonałość. Primus urodził się w czasach, w których nie było frinów. Wszystko, do czego doszedł, posiadał dzięki pracy nad sobą, nie technologii.

Kroz zbliżył się do zaznaczonego przez ImBu obszaru. Teren zasłonięty był tylko kilkoma długimi cieniami wielkich wież kotwicznych miasta przypominających złoto-zielono-granatowe drzewa. Wiedział, że przybył o właściwej porze. Podpowiadał mu to instynkt Rana.

Schował się za wiszący holobim. Tkwił tam kilka mon, cierpliwie, jak drapieżnik czekający na ofiarę. Wreszcie usłyszał szum. Wysłał nad krawędź

holobimu kilkanaście mikrokamer. Obrazy z nich pojawiły się pod górną krawędzią pola widzenia. Z nieba spłynęło kilkanaście sylwetek: byli to ludzie dosiadający pojazdów przypominających mechaniczne konie. Wszyscy nosili się na czarno, ich odzienie znaczyły srebrne trupie czaszki, piszczele i wijące się kolczaste róże. Mimo jednorodnego ubrania różnili się kolorem skóry, a nawet liczbą kończyn. Mignął ogon wystający z nadzgrabnej pupy niebieskoskórej blondynki. Samuel dostrzegł też trzecią rękę wystającą z nad barku lecącego obok niej oranżowego draba i coś w rodzaju wielostawowego ramienia sterczącego pomiędzy łopatek rosłego młodziana, który był prawdopodobnie liderem grupy. Miejscowe mutacje pozwalały na takie czasowe ekscesy i nie wpływały na główny genotyp właścicieli. Kroz był przyzwyczajony do podobnych modyfikacji. Szczególne zamięłowanie do takich manifestacji przejawiała zbuntowana młodzież. Rumaki przybyłych dudniły nisko, jakby wbudowano w nie starożytne silniki spalinowe. Kroz zrobił najazd na tył jednego z wehikułów i ze zdumieniem stwierdził, że są tam rury wydechowe, z których unosi się czarny dym. Prześwietlił statki i stwierdził, że tylko imitują spalanie pochodnych ropy. Iluzje, ale bardzo udane. Między jeźdźcami przez chwilę unosiła się animowana chmura dymu, a w niej połyskiwał ułożony z błyskawic napis „Loosers”.

Z położonego kilka metrów wyżej balkonu siedziby, która była zakotwiczona w gnieździe najbliższej wieży, wyleciał zażywny jegomość w jasnym pancerzu kojarzącym się na pierwszy rzut oka z długą, szarosrebrną koszulą.

– Dlaczego znowu zakłóćcie nasz spokój? Czego od nas chcecie?

Obok niego pojawiła się kobieta w różowym koronkowym wdzianku.

– To już czwarty pendek! Lećcie sobie gdzie indziej!

W tym momencie gang wyrównał szyk, ruszył z dudnieniem maszyn w stronę siedziby i otworzył ogień do jej wieżyczek i zabudowań.



W powietrzu zawirowwały odłamki tworzywa. Kroz poczuł zapach palonego materiału budowlanego. Strzelają z działek plazmowych starego typu, pomyślał. Skąd je wzięli? Dlaczego ImBu na to pozwolił?

Jedna z wieżyczek siedziby złamała się u podstawy i runęła z głośnym rumorem, niszcząc dwa mniejsze tarasy porośnięte barwnym kwieciem.

– Skaranie z wami! – krzyknęła kobieta.

– Jest Wolna Wola! – roześmiał się młodzieniec opatrzony trzecim, skorpionowatym ramieniem. Jego skóra była zupełnie biała, a długie, srebrne włosy powiewały tak, jakby dął silny wiatr. – Nie chcecie zakosztować śmierci?

Samuel przeskanował jego mózg. Albo użył przed chwilą odurzającego funplexu, albo był pod wpływem alkoholu. Prześwietlił mózgi pozostałych. Wszyscy byli odurzeni. Jest Wolna Wola. Możesz pić i sterować pojazdem. Ale czy ImBu nie przesadza z tą dowolnością? Do czego to doprowadzi? Niby każdy Sit odpowiada za siebie, niby mamy czasy odpowiedzialności, niby pojazdy są inteligentne i nie dopuszczają do katastrofy, ale co z tymi? Oni nie są odpowiedzialni!

– Jest Wolna Wola, ale nie po to, by komuś zdrowie psuć! – krzyczy kobieta. – I nie, nie kolekcjonujemy śmierci!

Kolekcjonerzy Śmierci. Death Reapers. Samuel słyszał o nich. Sekty lubujące się w odbieraniu sobie na różne sposoby życia tylko po to, by gromadzić wrażenia konania, wychodzenia duszy z ciała i jej arunowej wędrówki do dibeka. Swoisty nałóg, sport ekstremalny.

– Mamy przywołać jakieś bestie z O'Toola, żeby ciebie i was wszystkich – właścicielka domostwa zatoczyła łuk ręką, wokół której lśniły dwa talizmany – ścigały?

– Proszę bardzo, będzie zabawa!

Kobieta załamała rękę.

– Ach, gdzie jest Besebu, gdy go potrzeba!

– Nie przyjdzie – odparł srebrnowłosey. – Bo to wszystko oszustwo.

– Jak to oszustwo?

– Imperatora nie ma. Możemy robić, co chcemy i jak chcemy. Nie rozumiesz tego, starucho? – Przywódca odrzucił głowę do tyłu. Jego długie włosy wciąż falowały, a ramię skorpiona zatoczyło w górze krąg, jakby było lassem, na które młodzieniec ma zamiar złowić wiszącą przed nim parę.

– „Starucho”? – Kobieta zlustrowała swoją nienaganną figurę.

Kroz przyznał, że nie ma się do czego przyczepić. Ale Loosers musieli znać tę parę od dawna i wiedzieli, ile mają cykli. Maod-An wziął głęboki wdech i postanowił się ujawnić. Wzniósł się wyżej, wychynął zza holobimu i zatrzymał się, gdy osiągnął pułap, na którym wisiał przywódca zgrai.

– Czy mogę się wtrącić? – spytał.

– To nie twoja sprawa, Sit – powiedział cicho prowadzyciel.

– Nie chcę się narzucać, dlatego pytam.

– No to wynocha – rzucił rudzielec siedzący na prawo od srebrnowłosego, ten z trzecią ręką wyrastającą z barku.

– Sit – krzyknęła kobieta z balkonu – pomóż nam! Tutaj nikt nie przylatuje, nie ma Besebu ani Aristoi! Ostatni raz widzieliśmy Świętą Karawanę pięć cykli temu, a i to tylko przez chwilę, bo Feloce nie ma rajtu!

– Otóż to, starucho. Nie ma rajtu, nie ma piekła, jesteśmy my. Młodzi obywatele zasranego Imperium. Ci, którzy nic nie wiedzą, nic nie umieją, nie mają doświadczeń i wspomnień, straceni zaraz po urodzeniu, bo staruchy takie jak wy przerastają nas pod każdym względem. Ale mamy Wolną Wolę, naszą jedyną broń! – Lider Loosers potrząsnął srebrną grzywą.

Samuel wiedział, o czym mówi przywódca gangu. Młodzież WayEmpire musiała się mierzyć ze smutną prawdą – w porównaniu z ludźmi mającymi sto i więcej cykli, a takich w Imperium było naprawdę dużo, prezentowała

żałosny zasób wiedzy i doświadczeń. Musiała gonić elitę, która oddalała się w ekspotencjalnym tempie, chociażby dzięki Tweenom i Threenom. Ale Kroz nie odczuwał tego tak boleśnie. Po prostu się uczył. Miał przed sobą milion nowych dni. To napawało go radością, nie smutkiem.

– Ależ to nieprawda – odezwał się właściciel domu. – Sit, powiedz mu! Przecież jest ImBu! On jest! Każdy to wie!

– ImBu jest pierdoloną maszyną, programem, nie Imperatorem! – rzekł lider gangu lekko zamazaną mową. Musieli przyjąć ten funplex niedawno. – Taka jest prawda! Mówił kiedyś do ciebie Imperator? No właśnie. Do mnie też nie. Do nikogo nie mówi! To mit! Zastrana legenda! Żyjemy w świecie bez boga! I my, Losers, to udowodnimy!

Przywódca wznosił rękę i działka unoszące się na dryfowych polach po bokach pojazdów znowu zagdakały. Kolejna wieżyczka domu rozsypała się, a gruz zaśmiecił taras i obszar pod domostwem. Jego fragmenty, podobnie jak te, które powstały po poprzednim ostrzale, już się unosiły na kształt chmury, by odtworzyć zniszczenia, ale Kroz wiedział, że nie pójdzie to szybko. Uszkodzone flofy budowlane nie regenerują się tak chętnie jak te używane do pancerzy czy motombów.

Gdy ucichły działa i śmiech gangsterów, Samuel odezwał się głosem cichym, ale wzmocnionym przez zielony pancerz:

– Ja rozmawiałem z Imperatorem.

Przywódca spojrzał na niego złym okiem.

– Doprawdy? Kiedy? I o czym?

*Zasady Primusa* mówią:

Najpierw określ, czy masz z kim rozmawiać. Jeśli tak, używaj pytań, poznawaj potrzeby, argumentuj. Jeśli nie, nie trać czasu, który mógłbyś poświęcić bardziej wartościowym obywatelom.

Samuel stwierdził, że ma z kim rozmawiać. W jasnoblękitnych oczach przywódcy oprócz złości, buty i odurzenia była też ciekawość. Kroz czuł, że młodzieniec będzie za chwilę próbował ośmieszyć jego słowa, użyje techniki uogólnienia i obalenia, jednak tliła się w nim iskra zainteresowania. Besebu-Ran oparł się pokusie zastosowania Siewcy, który był wszyty w strukturę cywilnego pancerza i tylko czekał na rozkazy.

Pamiętaj, że SOW jest drogą na skróty. Czasami nieodzowną, ale niedającą takiej radości jak chwila, w której rozmówca sam przekonuje się do jakiejś prawdy.

– Miałem wątpliwości. Szukałem sensu – odparł.

– I przyszła do ciebie światłość? – Srebrnowłosa zarechotał, a z nim jego gang. Zagdakało kilka działek i znowu tworzywo posypało się do wtóru jęków pani domu.

– Nie. Na początku nic nie przyszło.

– No właśnie!

– A potem co? Plex sobie zapodałeś? – krzyknął rudy. – Jak nie masz swojego, użyjemy ci naszego!

Reszta bandy roześmiała się.

– Dobry stuff! – krzyknęła niebieskoskóra, zaopatrzona w ogon dziewczyna o bardzo długich czarnogranatowych, metalicznych włosach.

– Nie. Potem myślałem – rzekł spokojnie Kroz.

– No nie. Zaraz zwymiotuję. – Kobieta pochyliła się nad wolantem swojego rumaka, a końcem ogona odgarnęła niesforne włosy.

– Słuchaj, Sit – odezwał się przywódca – przynudzasz. Masz dwadzieścia cetni na powiedzenie czegoś, co mnie zainteresuje. Jeśli tego nie zrobisz, będę dalej rozwaliał tę siedzibę i wiele okolicznych. Loosers nie mają niczego do stracenia.

Samuel rozejrzył się. Z sąsiednich siedzib wylegli mieszkańcy i z lękliwą

ciekawością przyglądali się scenie.

– A może ty powiesz mi coś ciekawego? – rzucił.

– Imperatora nie ma. To jest, kurwa, ciekawe!

Samuel zmusił się do milczenia.

Jeśli nie masz nic do powiedzenia, zadawaj pytania. Jeśli nie masz pytań, po prostu milcz. Pauza jest potężnym komunikatem i zawsze przypisuje się jej o wiele głębsze znaczenie, niż jest w istocie.

W polu widzenia migająy cetnie. Lider patrzył na niego z rosnącym napięciem.

Pierwszy krok to pozyskanie zainteresowania. Partner w negocjacjach będzie z tobą rozmawiał tylko wtedy, gdy sam tego zechce. Jeśli go przymusisz, negocjacje zakończą się fiaskiem.

Właściciel nieustannie powiewających srebrnych włosów zacisnął wargi.

– No? Czas upłynął. Mów albo spierdalaj.

Kroz machnął ręką i zaczął się powoli odwracać.

– Co, burwa?! – krzyknął przywódca. – Co? Nie warto z nami gadać? Ze śmieciami nie rozmawiasz? Skąd się w ogóle wzięłeś? Nie znam cię!

– To Samuel Kroz z Grigorii. Dziennikarz – rzuciła ogoniasta. – Zeskanowałam go.

Wyświetliła przed swoim pojazdem szereg trójwymiarowych okien przedstawiających twarz i sylwetkę Samuela. Były oczywiście fałszywe.

– Singiel? – spytał przywódca.

– Tak.

– I czego tu szukasz, gamoniu? – Srebrnowłosa zwrócił spojrzenie metalicznych niebieskich oczu na Besebu-Rana. – Feloce to zadupie, a ta

pływająca miłośnica, Wayland, to zadupie zadupia.

– Ja tak nie uważam.

– Co tu jest pięknego?

– Wy.

Wódz wybałuszył oczy, a potem parsknął śmiechem. Zagrały gardła gangsterów.

– Mogę wam zrobić kilka hotek? – spytał Kroz.

– Pewnie już zrobiłeś, pismaku! – odezwała się niebieskoskóra. – To i to sobie zrób!

Nagle jej pancerz odsłonił dużą, zgrabną pierś.

– Kyla! – warknął ze złością przywódca.

– No co? Będę sławna!

Gangster pokręcił głową.

– Ty, dla jakiego zinu piszesz? – spytał oranżowy.

– „Phantasm”.

– Nie znam.

– Popularny w północnej części Urgii, jednego...

– ...z sześciu kontynentów Grigorii – przerwała mu Kyla. – My też mamy friny.

– W dupę plazmione – dodał siedzący obok niej blondyn. – Timur, długo mamy tak pieprzyć? Nudzi mi się.

– Czekał. – Wódz spojrział na Aristosa. – Czyli powiadasz, że my jesteśmy piękni? To nas przyleciałeś obejrzeć? Nie wiedziałem, że jesteśmy sławni! – Jego skorpion ogon ustawił się w kształt sierpa, a palczasta końcówka zawisała tuż nad głową.

– Przyleciałem z wami porozmawiać.

– O czym?

– O was.

– Kaznodzieja się znalazł. – Kyla odrzuciła włosy i zmierzyła Samuela znudzonym spojrzeniem. – Timur, zjeżdżamy stąd, to bez sensu.

– Czekaj. – Srebrnowłosy wyciągnął do niej rękę. Spojrzał na Kroza. Ten wykonał zoom. Po rtęciowej powierzchni jego tęczówek żeglowała samotna białobłękitna łódź. – O nas? – rzekł ciszej.

– W tej chwili pytam Imperatora, jakimi przemówić do was słowami.

– I? – Przywódca zacisnął wąskie usta.

– Milczy.

– No właśnie. Jak zwykle.

– Ale co by zmieniło, gdyby się odezwał?

– Jak to co? Wiedzielibyśmy, że jest. I pewnie podpowiedziały ci coś sensownego.

– I warto tak żyć i rozmawiać? Według podpowiedzi? Zacząłbyś postępować tak, jak on każe?

Timur przez chwilę milczał. Potem odpowiedział:

– Nie. Mamy Wolną Wolę.

– No właśnie. A gdyby ci powiedział, że krzywdzisz ludzi i że to złe, przestałbyś?

– Nie.

– A gdyby ci powiedział, żebyś to robił dalej?

Timur zamilkł.

Zamiast niego odezwał się blondyn:

– W chuj byśmy rozpierdalali!

Kyla się roześmiała.

Ale nie Timur. Jego twarz była pobrużdżona. Zrozumiał coś bardzo prostego. To mianowicie, że zachowywał się głupio.

Pamiętaj: jeśli twój rozmówca zacznie rozumieć swój błąd, jest to bardzo delikatny moment. Jego ego jest wtedy kruche jak kryształ. Nie naciskaj, daj mu czas. Okaż

wiarę, że sam rozwiąże problem, i szacunek dla jego wewnętrznej pracy.

Samuel milczał. Patrzył na Timura i powstrzymywał uśmiech.

Jeśli uda ci się nie ulec dumie i nie dasz znać swoją mimiką, że to ty jesteś ojcem sukcesu, twój rozmówca będzie ci wdzięczny i nagle okażesz się jego przyjacielem.

Timur potrząsnął srebrną grzywą. Obejrzał się na swoich podopiecznych. A potem zwrócił wzrok na Samuela i ten już wiedział, że rozmówca zna odpowiedź.

Czasami widać po twarzy, że partner w negocjacjach odnalazł właściwą ścieżkę. Nie poganiaj wtedy, nie dopytuj się, nie wyciągaj z niego przyznania się do błędu. Daj mu czas.

– Jesteśmy straceni. Za mało umiemy – szepnął Timur.

– Jestem z twojego pokolenia. Nie uważam tak. Idziemy swoją ścieżką. Elity Imperium nie osiągnęły obecnego poziomu bez upływu wielu cykli.

– Kim jesteś? – spytał przywódca Losers.

Samuel Kroz odczekał trzy uderzenia serca, po czym pozwolił, by jego druga kopia, tym razem trzymetrowa, odziana w pancerz typu Coremour Wzór X w barwach Bractwa Besebu, wychynęła zza pobliskiej wieży. Członkowie gangu krzyknęli na ten widok i cofnęli latające rumaki. Gdy bliźniak Kroza zawisnął nad nim, rozpościerając skrzydła, rozpoznali jednak, że to kopia, i powstrzymali się od ucieczki. Od dwóch Samuelów buchnął blask przemieszany z dymem.

– O kurwa, Besebu – jęknęła Kyla, a jej ogon schował się za silnik powietrznego pojazdu.

Timur miał wciąż zaciśnięte usta, ale nie okazał strachu. Powoli, ledwie



zauważalnie kiwał głową, podziwiając potęgę bijącą od trzymetrowego Kroza i odwagę dwumetrowego, udającego cywila.

– Czy naprawdę potrzebujesz mojej obecności, by przekonać się o moim istnieniu? – Samuel odezwał się nieswoim, bardzo grubym głosem, a gdy to się stało, dookoła Coremoure’a rozbłysło światło.

– To... głos Imperatora? – wyszeptała Kyla.

Kroz skinął głową.

– Dlaczego od razu się nie pojawił?

Timur obejrzał się na nią i odpowiedział:

– Bo to by nie miało sensu.

– Bracie Besebu – krzyknęła kobieta – dziękujemy! Wreszcie! Czy to znaczy, że te osiłki dadzą nam już spokój?

Kopia Maod-Ana odziana w Coremour uśmiechnęła się.

– Nie umiem tego powiedzieć. Mamy Wolną Wolę.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Ziemia, Raj

Dystrykt Warsaw City

Sektor A 12344

08 Decimi 232 EI, 08.33 H

– Może nie będziemy już męczyć Błogosławionego. Jeszcze tylko dwa pytania, zgoda, Sit? – odzywa się przedszkolanka.

Jowialnie kiwam głową.

– Tak, Esterko?

Dziewczynka nieśmiało podnosi oczy.

– Błogosławiony, a jaka była średnia wzrostu Przed Imperium?

Widzę po jej twarzy, że zna odpowiedź. Ale wypada grać w tę grę.

– Około stu osiemdziesięciu centymetrów. Ranów nie było, więc jej nie zawyżali.

Dzieci dziwią się. Tacy mali byli ludzie! Teraz każdy obywatel ma najmniej dwa metry, a my – równo trzy.

Rękę podnosi oczywiście Bert.

– Sit, jaki kolor skóry mieli wtedy obywatele?

– Byli tacy jak większość w WayEmpire, opaleni, brązowi. Ale byli też biali...

– Biali?

– No, różowi. Zdarza się czasami taki Sit, prawda?

– Ja widziałam takiego!

– Właśnie. Byli też ciemnobrązowi, prawie czarni.

– Ojej!

– Mieli grube usta i szerokie nosy. Teraz także można takich spotkać. No i byli żółci.

– Tak jak na Raah?

– Na Raah ludzie mają żółtą skórę, ale są wysocy. Na Ziemi żółci byli dość niscy i mieli bardziej płaskie twarze.

– To kto jest ładniejszy, my czy oni? – pyta Esterka i zalotnie się uśmiecha.

– Ludzkość jeszcze nigdy nie była tak piękna – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Rozlegają się brawa. Ich fala rozlewa się coraz szerzej, zalewa nas głośny szum. Czuję, jakbym stał pod wodospadem.

Siti dziękuje mi za poświęcony czas, chociaż w erze nieśmiertelności i braku pracy jest to anachronizm. Teraz wszyscy mają czas. Właśnie.

Zapomniałem o tym powiedzieć. Ale nie odzywam się. Dookoła zbliżają się platformy z tysiącami dzieci z innych planet. Dzieciaki patrzą na mnie, na moje skrzydła, na serafy, na Tella, ArtDroidy, SaintDroida, Leę, Marsa i całe zamieszanie, do którego już zdążyłem się przyzwyczaić.

– Może – odzywa się Siti – Błogosławiony zademonstruje nam, jak się lata na Smoku?

– Taaak!

Pociechy zgromadzone na platformach szaleją. Ich głosy generują lekki, wonny wiatr.

Odwracam się i zerkam na Tella. Jakby tylko na to czekał. Jego smocza, złoto-niebieska gęba śmieje się od ucha do ucha.

– *Bez wyglupów* – przesyłam mu men, okraszając komunikat kilkoma wspomnieniami jego szarży, które nawet dla Rana odzianego w najnowszy pancerz typu Coremour mogły być niebezpieczne.

– *Oczywiście, szefie* – odpowiada, dodając ujęcia, na których z niego spadam i muszę lecieć, używając własnego napędu.

Suver nosi Rana nie z musu, ale dlatego, że chce, trochę jak rodzic podnoszący dziecko i sadzający je sobie na ramionach. Smoki są wesołe i uwielbiają być w centrum uwagi. Podobnie jak atleci prężący muskuły przed publicznością, kochają się popisywać i prezentować rzeźbę spotworniałych mięśni. Może odziedziczyły to po przodkach występujących na arenach. To w wielu wymiarach wciąż ludzie, łącznie z cielesnym wstydem – każdy Dragonoid nosi coś w rodzaju częściowo animowanej, zasłaniającej genitalia przepaski biodrowej ozdobionej nierealnymi łańcuchami i wisiorami. Smoczyce latają topless.

Wyskakuję w powietrze i czterokrotnie przyspieszam. Nie dlatego, że muszę, ale że chcę. Lubię czasami oglądać rzeczywistość w zwolnionym tempie, zwłaszcza podczas skoków, lotu, w chwilach dużej dynamiki. Widzę

rozdziawione buzie dzieci, rączki układające się do klaskania. Moja zbroja obudowuje się na wysokości bioder i pośladków odpowiednimi występami i zaczepami. Dzieje się to majestatycznie, powoli. Talizmany w zwolnionym tempie wirują wokół pieczęci Anioła Śmierci, nic sobie nie robiąc z rekonfiguracji pancerza. Moje skrzydła z niskim sapaniem dzielą się na trzy części, które składają się, by utworzyć długie lance. Te przeobrażają się dalej i formują na bocznych stronach moich pleców trzy kanciaste, masywne wypustki. Tell także wyskakuje w górę z rykiem, który można porównać do odgłosu dobywającego się z gardzieli lwa, pod warunkiem że jest on dwadzieścia razy większy od swojego kuzyna z Afryki. Rozkłada skrzydła, jego mięśnie drżą. Dookoła wielkiego cielska wyłania się przy akompaniamencie głośnych, głębokich szczęknięć egzozskielet. Tak, Suverzy też je mają – siłowniki między skrzydłami a korpusem, połyskliwe krawędzie natarcia, dźwigary oplatające powierzchnie nośne. Prawie cały jest już zakryty zbroją, a dzieciarnia, widząc i słysząc, jak pancerz pokrywa coraz większe połacie cielska, piszczy z uciechy. Gdyby chciał, okryłby je całe, ale jest na to zbyt próżny. Lubi się chwalić swoim ubarwieniem, bardzo, przyznam, gustownym. Gdy ląduję na jego grzbiecie z głośnym „dumm”, oczywiście wzmacnianym przez friny i ImBu, który chyba uwielbia efekty, zespalam się z Tellem, o czym informuje cichy syk mechanizmów i kilka ikon w polu widzenia. Wyłączam przyspieszenie. Wszystkie dźwięki lecą w górę, świat ożywa. Moja miednica i uda nieruchomieją, są przygwożdżone do wielkiego, drżącego, twardego jak kamień cielska. Dzieci wiwatują, pojawiają się nad nimi animowane powiewające proporce, a Tell raz po raz ryczy tak nisko i donośnie, że drży platforma spacerowa, włosy stają na karku, a wokół pyska Dragona formują się czerwone smugi świętych suverskich symboli. Machnięcia jego skrzydeł są tak potężne, że powietrze wokół huczy gromem i jaśniej od animowanych taśm. Za każdym razem

jego grzbiet silnie uderza mnie w pośladki i ugina kręgosłup. Nasze umysły widzą ten sam interfejs lotu wyświetlający arealny tor podróży i uzgadniają go w ułamkach cetni. Najpierw nurkowanie ku estakadom Warsaw City, by nabrać prędkości. Tell startuje (mocne uderzenie w pośladki i kręgosłup, przez chwilę kręci się w głowie), wylatujemy za krawędź platformy, gad pochyla się i składa skrzydła. Połyskują po obu moich stronach, a wiatr coraz głośniej gwizdże na ich krawędziach. Huk w uszach. Rosną budowle Warsaw City. Zgromadzeni nad nami wiwatują, Smok ryczy, a ja całym ciałem czuję vibracje wywołane jego głosem. Ogarnia mnie euforia, jak zawsze w takich momentach. Podnoszę rękę, wokół której lśnią błękitne smugi, literki je tworzące urywają się i zostają gdzieś za nami. Wrzawa wzmagą się. Potwór pode mną rozkłada skrzydła, czuję, jak uderza w nie powietrze niczym w wielkie żagle. Bestia hamuje i robi wariacki piruet, bezwładność chce mnie wyrwać z siodła, głowa zaś ciąży, chcąc się wyrwać zgodnie z siłą odśrodkową, tymczasem Tell zwała się na skrzydło, przez chwilę świat obraca się do góry nogami, czuję szarpnięcie za miednicę i mkniemy dalej pionowo w dół. Mój tułów napina się, mięśnie brzuszne kontrują przeciążenie, przylegam plecami do jego grzbietu. Rozkazuję światu i SaintDroidowi pozostanie w miejscu. Świszczy powietrze, napiera na mnie wał zagęszczonego gazu, a Tell znowu ryczy. Ten gość wie, czym jest wolność i radowanie się chwilą. Otwieram usta i ryczę razem z nim, po czym wybucham śmiechem, jak na Rana przystało. Zbliżają się wysokie chodniki Warsaw City i animowane starodawne pneumobile lecące w powietrznych ciągach. Przez ułamek cetni mam wrażenie, że znowu jestem gamedekiem w starym mieście. Gdybym kiedyś pomyślał, że będę tu latał na Smoku, uznałbym, że ktoś mi coś wstrzyknął. A teraz to po prostu prawda. To po prostu prawda! Śmigamy między pneumobilami, wdzieramy się między estakady i mkniemy niedaleko jednej z wież. W końcu Tell macha mocniej

skrzydłami, piszcą serwomechanizmy jego egzoszkieletu, a siódło napiera na moje lędźwie. Chwytam mocniej relingi, kilka machnięć potężnych powierzchni nośnych i wzbijamy się wyżej, jeszcze wyżej, wreszcie wzlatujemy nad miasto, docieramy do platform z dziećmi i mijamy je łagodnym ślizgiem jak łódź żaglowa płynąca obok portu. Przedszkolaki wiwatują i same chcą lecieć, ale zatrzymują je przedszkolanki, które także piszcą i podskakują razem z podopiecznymi, co wygląda dość komicznie, bo nie można podskakiwać, wisząc w powietrzu. Wzlatujemy nad monitory, nad platformy, zbliżamy się do najbliższego Cumulusa. Kręcimy pod nim piruet, przez moment czuję zawrót głowy, a potem ruszamy wielkim kołem, by pomachać na pożegnanie wszystkim zgromadzonym. Lot mnie wyzwala, zapominam o całym świecie, o ImBu, o starych czasach, o wszystkim. Liczy się tylko chwila.

## Obraz 2

# Wspomnienia

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Tomahawk, raj

Arena Gladiatorów *Hero's Heart*

08 Decimi 232 EI, 08.62 H

Peter „Crash” Kytes wyleciał z obszaru Areny w specjalnym pojeździe przygotowanym dla zawodników. Gdyby nie to, że był oddzielony od świata jego masywnymi burtami, jego wielbicieliby go i nie pozwolili mu się ulotnić. Co prawda kilkunastu dimenów wyglądających jak wielkie bojowe roboty zastawiło mu drogę, ale po krótkiej, żartobliwej wymianie zdań i po tym, jak przesłał im osobisty hologram z unikatowym podpisem, niebywale cenną, niepodrabialną pamiątkę, puścili go.

- Peter? – odezwał się Udo Pax, szef Areny od dwudziestu pięciu cykli.
- Tak?
- Dobry show.
- Dziękuję.

– Pamiętaj, za trzy deki znowu występujesz. Tym razem rzucił ci wyzwanie Klan White Tigers.

– Ilu?

– Dziesięć osób. Jak dzisiaj. Trójka dimenów.

– Słyszałem o nich. Polują pojedynczo.

– Zgadza się. Myślisz, że dasz radę?

– Jeśli ImBu pozwoli...

Udo zarechotał.

– Imperator nie ma z tym nic wspólnego.

Peter westchnął.

– Czasami mam wrażenie, że jestem marionetką w jego rękach. Wygrywam, bo tłum chce, żebym wygrał. Gdy się znudzę gawiedzi, przegram.

– Przestań. Jesteś fatalistą.

– Ale czy to nie brzmi logicznie?

– Nie. Wtedy nasze życie nie miałyby sensu.

– Dlaczego? Były na Ziemi takie wierzenia, że jesteśmy snem boga. Rozumiesz, że nasze życie to scena. I ludzie uważali, że ich istnienie ma sens, jak w sztuce teatralnej czy holmie. Rozumiesz, przeżywamy historię swojego życia. Wcześniej napisaną.

– Nie wyjeżdżaj mi z Damnatą. To starożytność.

– Wtedy się urodziłem.

– Nudny jesteś.

– I vice versa.

– Tak czy owak, pokazałeś klasę, jak zwykle.

– Zawsze do usług.

– Czekam na ciebie trzydziestego ósmego Decimi, nie spóźnij się.

– Ver'n'out.



– Pax, bracie.

Peter zadokował przy tarasie *Bezbolesnego*, który przypominał, na pamiątkę dawnych dni, trójzab ustawiony nie poziomo, jak mógłby sugerować rozsądek, ale pionowo. Główne lądowisko znajdowało się przy szczycie najdłuższego, środkowego zęba. Gdy tylko wyskoczył z kapsuły, ta oddaliła się w kierunku areny. Wyglądała jak mieniący się fasetkami wielościenny diament przepuszczający tęcze światło.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, grunt  
Warsaw City, dystrykt Willanou  
08 Decimi 232 EI, 08.71 H

Ruszyłem z orszakiem na północ, w stronę majaczących w oddali linowców. Łopotały proporce zwieszające się z ArtDroidów i z SaintDroida, O'Tool leciał w milczeniu, podobnie jak ścigające nas ślepe serafy, nie mogę jednak tego powiedzieć o reszcie.

– *Aleś dał spicz* – mruknęła totowo Stone.

– *Jesteś prawdziwym bożyszczem* – potwierdził Gradivus.

– *Dasz mi autograf?* – dorzucił Tell.

Lea i Mars wybuchnęli śmiechem. Suver nie miał pojęcia, czym jest autograf, oni zresztą też.

– *Błogosławiony* – charknął Gradivus, gdy przestał się krztusić – *daj pocałować stópkę*.

– *Albo...* – odezwała się Lea.

– *Nie kończ!* – krzyknął Tell.

– *Stanowczo uważam* – oznajmiła Stone – *że Torkil powinien częściej występować publicznie. Po prostu porywa tłumy.*

– *Ta ich unizoność i poddańczość* – ciągle śmiał się Mars.

– *Prawdziwy dramat będzie, jak nasz gamedec uwierzy w tę całą czołobitność* – zauważyła Lea.

– *O to możecie być spokojni* – odparłem. – *Jestem skromny z natury. Na kolana.*

I znowu zaczęli się śmiać.

I tak to jest być Błogosławionym.

– *Słuchaj, Torkil, uważam, że pomysł ze zwiedzaniem Stockomville jest naprawdę głupi. Dobrze wiesz, że to już nie twój linowiec, tylko atrapa* – odezwał się Harry Norman.

Nie było go z nami. Wisiał kilkaset kilometrów wyżej, w naszym airvillu, który nazwałem kiedyś Thinker's Keep. Potem Anna powiedziała, że nie „Thinker's”, tylko Team Keep, bo stanowimy drużynę, następnie Pauline zauważyła, że w skrócie to prawie TeaKeep i że lepiej po prostu mówić Teacup (czemu Anna przyklasnęła, a Angela natychmiast wydała rozkaz, by na siedzibie pojawił się proporzec z wiadomym obrazem), w rezultacie czego w tej chwili nasza siedziba znana jest jako „filiżanka herbaty”, co nie oddaje ani jej wyglądu, ani ducha, ale nazwa przyłgnęła jak uparty, lepki mem. Jeśli bierzesz baby na pokład, uważaj, żeby nie przejęły władzy. Zapamiętaj moje słowa.

Harry, który nie był członkiem orszaku, nie uczestniczył w uroczystości. Zresztą z pewnością bardzo by się nudził. Widziałem jego półprzezierną sylwetkę na tle miasta. Był ubrany w bardzo lekki beżowy pancerz wyglądający z grubsza jak starodawny lniany garnitur. Z czerwonym, połyskliwym krawatem.

– *Zgadzam się z Harrym* – rzuciła zza jego ramienia Pauline Eim. – *Tylko*

*tracisz czas.*

Ona z kolei była jak zawsze zjawiskowa i jak na WayEmpire, dość staroświecka. Spódniczka mini nie wyglądała na pancerz, podobnie biała koszula z żabotem. Oczywiście jej garderoba w razie potrzeby mogła ją otulić warstwą zbroi, jednak Eim nigdy nie przystosowała się do mechanicznej mody.

– W WayEmpire nie traci się czasu – odparłem.

– *A ja uważam, że Torkil dobrze robi* – rozległ się głos Anny Sokolowsky.

Pauline odsunęła się, żebym mógł ją zobaczyć kąpiącą się w złotej wannie. To było ostatnio jej ulubione zajęcie. Na tyle ukochała tę czynność, że kazała sobie zainstalować wannę niemal pośrodku wielkiego salonu.

– *Jeśli tego nie zrobisz, kochanie, będziesz żałował, będziesz miał wrazenie, że czegoś nie domknąłeś* – dodała.

Harry się skrzywił. Jego twarz mówiła mniej więcej: „Torkil był w Warsaw City już wiele razy, podobnie we Wrocławiu i Tricity. Wciąż wraca do tych samych wspomnień, a Sokolowsky stała się stanowczo zbyt wygadana, odkąd poznała psychologię”.

Teraz każdy obywatel Imperium może się uczyć, czego chce, a niemal każdy może robić, co chce.

– Dziękuję, Aniu.

– *A może tam do ciebie podlecieć?* – Spojrzała zalotnie.

Zoom. Wygląda jak anioł z tym drobnym podbródkiem i błękitnymi oczami.

– Jeśli masz ochotę...

– *Ach, wspomnienia...* – westchnęła. Było to w jej przypadku dość śmieszne, bo sama wspomnień dzieciństwa nie miała. – *Brut* – wezwała swój O'Tool – *parawan*.

Wiszący w jej pobliżu ciemny droid natychmiast rozplótł kończyny

i utworzył z nich kwiecistą czerwoną zasłonę.

– *Bikini* – zakomenderowała.

Strój plażowy podpłynął do niej z latającej kolistej półeczki. Po chwili wyszła zza zasłony przybrana w fantastycznie wycięty dwuczęściowy, szkarłatno-złoty strój plażowy. Przyspieszyłem, żeby móc ją podziwiać w zwolnionym tempie. Dopiero ono pozwala wyłapać wszystkie drgania mięśni i rekonfiguracji perfekcyjnej figury. Była smukła, zgrabna, umięśniona, szczycąca się talią węższą od tej, którą chwaliła się Pauline, opalona i niezmiennie od wieków – półnaga. Jej włosy połyskiwały złotem przy każdym leniwym kroku, a oczy rzucały turkusowe iskry, bez przenośni. Naprawdę jej tęczęwki od czasu do czasu opuszczały włókna kolorowego światła. Kolejny estetyczny prezent od ImBu.

Wyłączyłem przyspieszenie.

– *Lecę do ciebie, Tori* – nadała totowo.

– Świetnie.

– *To może my też?* – Harry spojrzał na Pauline.

– *Nigdzie nie leciecie beze mnie* – usłyszałem niski, zmysłowy głos Angeli Sky.

Wycofałem oko kamery, żeby objęło większą część salonu. Nie było to łatwe, bo główne pomieszczenie airvilla było z grubsza kołem o średnicy pięćdziesięciu metrów. Teraz widziałem kilka wyjść na zewnętrzne tarasy, powiewające zasłony, lewitujące misy, w których płonął animowany ogień, wielkie biurko, przy którym lubiłem siadać, liczne rzeźby, sofy i fotele, z których większość wisiała na różnych, dyskretnie animowanych poziomach, kominki umieszczone w przeziernych kolumnach i generujące płomień na wielu wysokościach, tarasy z meblami, wiszące i leniwie żeglujące na rozmaitych pułapach, animowane rzeźby i zwiewne dymy, wyżej zaś ruchomą, leniwie rotującą wokół pomieszczenia galerię. Była

jeszcze druga i trzecia, a tam liczne wejścia do pomieszczeń, u szczytu salonu zaś tkwiła przezierna kopuła, lecz ich już nie widziałem, bo chowały się za górną krawędzią okna, w którym to wszystko obserwowałem. Angela schodziła z najniższej galerii po rzeźbionych schodach, trzymając się poręczy podtrzymywanej przez galopujące eteryczne konie. Szła powoli i zmysłowo. Miała kasztanowe, poskręcane długie włosy, zielone oczy, pełne, zgrabnie wykrojone usta, mocną szczękę i bardzo gładką cerę. Na lewym policzku delikatnie opalizował animowany karmazynowo-złoty motyl, który co chwila zdawał się wychodzić ze skóry i machać skrzydełkami. Nagle zerwał się, okrążył jej głowę i wylądował na drugim policzku, po czym zastygł i wtopił się w śniadą cerę. Zeszła na dół. Była w trzymetrowym ciele Najlepszej Imperatora i w maksymalnie odchudzonym Coremourze, który niemal idealnie przylegał do jej niezwykle zgrabnej figury. Przy jej anielskich kształtach nawet, zdawałoby się, idealna Ania traciła blask. Sky podeszła do Harry'ego. Była o metr od niego wyższa. Po prostu olbrzymka. Na tle Normana, Pauline i Anny przez chwilę wydawała się nienaturalnie wysoka, ale potem to cała reszta skarłowaciała przy niej.

– *Tak jest, pani gigantyczność.* – Pauline zerknęła na nią.

– *Ja też cię kocham, mater* – odparła Angie niskim głosem.

Zawsze lubiłem w niej to opanowanie i powolny sposób wymawiania słów. Wbrew pozorom Pauline i Angela lubiły się. Dogryzanie sobie było po prostu ich stylem.

– *No to się zbieramy* – rzucił Harry.

Całe szczęście, że Ruben Troy, Levi Chip, Steffi Alland i cała reszta moich serdecznych znajomych mieszkała we własnych airvillach, a Konon, który zajmował jedno z wyższych pomieszczeń *Teacupa*, jak zwykle pogrążony był w sieci. Inaczej za chwilę leciałby do mnie cały szwadron.

– *Ale ciebie kochają te baby* – szepnął Tell.

– *I chłopcy* – dodała Lea.

– To wpływ ImBu. Feromony.

Suver pokręcił wielkim niebiesko-złotym łbem.

– *Tego to mi nie wmówisz.*

Zatrzymaliśmy się. Wisieliśmy kilkaset metrów przed czymś, co kiedyś było moim domem.

Stockomville.

– *Torkil, to atrapa* – odezwał się Gradivus.

Tylko westchnąłem.

– *Poczekajcie tu.*

Poprosiłem Tella, żeby poleciał do przodu. Latanie na Smoku jest czymś zupełnie innym niż samodzielny lot albo dowodzenie pojazdem. Gdy lecisz sam, wytyczasz trajektorię, sterujesz, jesteś autonomiczny. Gdy kierujesz pojazdem, wydajesz dyspozycje i już. Jeśli wybrał cię Dragonoid, wszystko z nim uzgadniasz. Nie wydajesz rozkazu, lecz sugerujesz. W tych rozleniwionych czasach ta procedura zostałaby uznana za zbyt skomplikowaną, gdyby nie jedna cudowna cecha tych stworzeń – są bardzo dobrymi telepatami, więc nawet bez totu rozumieją jeźdźca w ułamkach cetni. Dzięki temu dziwnemu sprzęgowi jeszcze bardziej wzmacnia się nasza zwierzęca natura, a z każdą moną lotu zacieśnia więź między Ranem i Smokiem, nie ma zaś w WayEmpire większego bogactwa niż więzi, rozwój i przeżywanie.

Sunęliśmy wewnątrz animowanego toru, wzdłuż traktu komunikacyjnego miasta, w którym tłoczyły się nierealne pneumobile. Słyszałem ich szum, czułem podmuchy wiatru, które generowały, mój nos rejestrował ich zapach. Co chwila ponad wieże polii startował orbitalny śmig. Miasto wrzało, tętniło i trudno było uwierzyć, że to wszystko tylko przedstawienie. Dolecieliśmy do tarasu parkingowego linowca. Wylądowaliśmy w głośnym poszumie

Tellowych skrzydeł, które z nieodmienną cierpliwością otaczały karmazynowe wstęgi. Ciekawe, czy nadejdzie dzień, gdy przestanę je zauważać albo, mówiąc inaczej, zaakceptuję ich istnienie jako coś całkowicie naturalnego. Jestem pewien, że dla dzieci, z którymi przed chwilą rozmawiałem, to *były* naturalne zjawiska. Świat bez nich musiałby dla nich być obcy i nagi.

Wydałem siedzisku dyspozycję. Syknęły mocowania i moja miednica odzyskała wolność. Stałem w strzemionach, wyskoczyłem w powietrze i wylądowałem na płycie z głośnym hukiem pancernych stóp. Zrobiłem to specjalnie, żeby poczuć tę budowlę. Podłoże przez kilka cetni delikatnie drżało. Stały przede mną pneumobile zalane jasnym słońcem, takie, jakich używano ponad dwieście cykli temu, zanim okazało się, że osobisty lot, bez użycia pojazdu, jest wygodniejszy. Imitacje pojazdów były bardzo przekonujące. Podeszedłem do jednej z nich. Czerwony ChryslAir. Piękny metaliczny karmazyn. Najładniejsza odmiana czerwieni. Nie tak intensywny jak szkarłat, ciemniejszy, z ledwie dostrzegalnym dodatkiem różu. Miałem kiedyś podobny model, tylko srebrny, w zasadzie srebrnobłękitny. Skyliner wzór 305. Ten przede mną był o klasę lepszy. Czteryście piątka. Przeciągnąłem wzrokiem po chromowanych listwach biegnących do tyłu. Linia mojego starego ChryslAira była zbliżona: nieco kanciasta, zwalista, przywodząca na myśl mięśnie ludzkiego ciała, mimo to jednak elegancka. I też miałem te wysokie kształtki zawierające tylne światła, upodabniające wóz do płatowca. Zapatrzyłem się w lakier i z przyjemnością rejestrowałem, jak do bańki mojej psyche wlewa się coraz szerszy strumień wspomnień. Kanały powietrzne pełne niewielkich wozów, moje ręce na wolancie, bo wtedy wieloma pojazdami kierowało się opuszkowo, mechanicznie, nie mentalnie. Światła pneumobili wieczorem, szum, taki jak teraz, tysiące maleńkich biedronek latających swoimi traktami. Spojrzałem na panoramę

miasta. Wszystko wyglądało jak kiedyś. Tysiące ludzi na platformach spacerowych, ruch. Gdyby mój *Teacup* próbował się wpasować w tutejsze ciągi komunikacyjne, zdemolowałby wiele budowli i spowodował mnóstwo kraks. Nie zmieściłby się. Wszedłem w menu projekcji miasta i wyłączyłem dźwięk, potem usunąłem latające obiekty i ludzi.

Nagle otuliła mnie cisza.

Strasznie zadzwoniła w uszach.

Podmuch wiatru.

Ruch kosmyków włosów.

Miałem wrażenie, że brakuje tu jakiejś muzyki, delikatnych uderzeń w klawisze fortepianu. Debussy. Albo Garucci, też lubujący się w brzmieniowym surrealizmie.

Ból.

Jak tu pusto.

Jak strasznie pusto.

Ale taka jest prawda. To miasto nie żyje. Tylko udaje.

Dotykam maski atrapy pojazdu. Czuję, że w środku nie ma silnika, że to tylko skorupa. Nie muszę tego sprawdzać, prześwietlać wehikułu. Martwy przedmiot jest martwym przedmiotem, wyczuwasz to każdym zmysłem. Żywe przedmioty wibrują, świerzbi od nich ręka, swędzi skóra, czasami boli nadgarstek. Tu jest tylko pustka.

Świeci słońce. Prawdziwe słońce. Błękitne niebo. I ta cholerna cisza, jak w wizjach Wellsa w *Wehikule czasu*.

Kochałem Warsaw City jak kobietę.

A teraz moja ukochana jest martwa.

Odwracam się, wybijam i podlatuję do drzwi, które prowadziły kiedyś na korytarz, a z niego wchodziło się do apartamentów, między innymi mojego. Łąduję. Czuję, że są nieprzesuwalne, że to znowu tylko imitacja. Od mojej



ostatniej wizyty niczego nie zmieniono. Mimo to muszę ich dotknąć. Pancerne palce stukają w płytę. Dźwięk jest pusty, suchy, krótki. Usuwam osłony paliczków i opieram miękkie opuszki o gładką płaszczyznę. Na marginesie pola uwagi notuję drobną przyjemność płynącą z odczucia ugięcia żywych tkanek pod naporem powierzchni.

Martwota. Materiał, którego dotykam, jest głuchy, niemy, odrętwiąły. Czuję to całym sobą, jakby huczało we mnie rozgrzane powietrze, jakbym był pustą rurą wentylacyjną dawno opuszczonej budowli.

W tych murach nie ma zaawansowanej troniki. To inteligentny budulec, ale nic poza tym. Nie wyznaczono mu złożonego zadania, ma po prostu tworzyć wydmuszkę. Niczego nie otworzysz. We wszystkich miastach, które odbudowano, wytyczono konkretne szlaki wycieczkowe i tam można zajrzeć do typowego apartamentu, nawet zamówić whiskey u droida udającego człowieka w barze. Ale Stockomville jest wyłącznie bardzo dobrze wykonanym tłem.

W sumie nie wiem, czy Imperator zrobił dobrze, zamieniając Ziemię w muzeum. Nie wystarczyła jedna polia? Kawalek kontynentu?

Teraz to była Święta Ziemia, obiekt pielgrzymek, wycieczek, symbol ludzkości. Były miasta nieodbudowane, z leżącymi linowcami, gruzem i widocznym wszędzie, skrzętnie konserwowanym rozpadem. Były obiekty animowane – ukazujące demonstracje i masakry, które odbywały się w miastach na przełomie Er Przed Imperium i Młodego Imperium. Można było zwiedzać lokacje ukazujące walki ze Stratos Thirii, bo niektóre zamieniono w widowiska historyczne. Koło Paryża, Nowego Tokyo i w kilku innych jeszcze miejscach wciąż rozgrywały się sceny z Drugiej Wojny. Ziemia była swego rodzaju wesołym miasteczkiem z mocnym akcentem historycznym.

Uniosłem się i odpłynąłem zrezygnowany od drzwi. Przecież ich nie

wyłamie. W środku są tylko wzmocnienia.

Nie zajrzę do swojego apartamentu.

Byłem wdzięczny członkom orszaku, że nie rzucili „A nie mówiliśmy?”.

Podniosłem wzrok. Właśnie podlatywała siedziba Auduxa.

Droga Mleczna  
Rubieże  
Planeta Nowa Polinezja, raj  
Sektor B 43254  
08 Decimi 232 EI, 08.98 H

– No i co, piracie? Podobają ci się łupy? – Vivien Lacroix patrzyła drwiąco na Bena Torresa przeszukującego wielką stertę drogocennych przedmiotów, którą załoga *Biegnącej po falach* zgromadziła na głównym pokładzie.

– Nie mieli gustu – stęknął, wyciągając kielich ozdobiony szmaragdami, wygięty tak, żeby można było pewnie i wygodnie go trzymać.

Zerknął na dziób airvilla. Załoga piła grog i weseliła się, słuchając piosenek śpiewanych przez animowaną nimfę powietrzną. Jeden z załogantów, już nie na żarty rozochocony, zażywał seksu z zaprzyjaźnioną komilitonką; oczywiście ich pancerze tak się ustawiły, by zakryć najbardziej wstydlive okolice, ale widok i tak był piękny, co Torres zanotował, każąc frinowi nagrać tę scenę. Rubinowe niebo, refleksy światła odbite od animowanych skrzydeł pary unoszącej się półtora metra nad pokładem dziobowym... Jakby się kochały anioły.

– Ben, po co ci to? – Lacroix nie dawała za wygraną. – Kroczysz po cienkiej linii. Odrobinę więcej przemocy, kradzieży talizmanów i wymagluje cię jakaś pszczołka.

Mężczyzna zadarł głowę i przyjrzał się ukochanej spod randa kapelusza, które wyczuwszy wysiłek prostowników szyi, zmniejszyło z przodu swą szerokość.

– Vivien, naprawdę nie rozumiesz?

Kobieta westchnęła. Wyraz jej twarzy sugerował, że z jednej strony popiera działalność partnera, z drugiej brakuje jej czegoś bardzo ważnego.

– Dzięki mnie – podjął mężczyzna – WayEmpire ma koloryt, żyje, pulsuje. Korsarze są barwnymi cekinami rzuconymi na błądy śnieg Imperium.

– Bardzo poetyckie. Ale... – kucnęła i zajrzała mu w oczy – ...czy to cię naprawdę uszczęśliwia?

Torres spojrział w bezkres czerwonego nieba.

– Czasami... – Westchnął i wyjął z kieszeni cztery skradzione talizmany. Przez chwilę obracał je w palcach. Fasetki szmaragdu, turmalinu, akwamarynu i rubinu odbijały twarz Vivien, fragmenty bogatych w ornamenty ubrań załogantów i ozaglowanie *Biegnącej po falach*. – I tak najważniejszy jest nasz ruch – szepnął.

– Wyzwolenie talizmanów? – Vivien powstrzymała prychnięcie. – Co nam to da? Na każde sto, które wyleczymy, Worplany wyprodukują milion nowych. Nie pomożesz Weenom.

– Mimo wszystko warto.

– Dlaczego?

Torres przesypał klejnoty z ręki do ręki.

– Jesteśmy ludźmi i mamy prawo wyrażać swoje zdanie. – Wskazał wzrokiem rubinowy kamień. – Wejdiesz ze mną?

Vivien głęboko westchnęła.

– Wiesz, że tak.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, grunt  
Warsaw City, dystrykt Cotomou  
08 Decimi 232 EI, 09.05 H

Siedzibą Auduxa było wielkie szmaragdowo-złote zamczysko z licznymi jasnożółtymi wstawkami imitującymi płomienie. Niektóre z nich zostały wkomponowane w strzelistą bryłę, inne krążyły leniwie wokół wież i proporców. Airvill płynął powoli i majestatycznie. Nad jego szczytem rotowało animowane godło WayEmpire otoczone promieniami i ogniem. Czasami rozbłyskało mocniej, jak święty znak, symbol niewidzialnej łaski. Z bocznych ścian siedziby sterczały długie złote lance, z których zwisały błękitno-szkarłatne oriflamy ze złotym godłem Imperium.

Podleciałem z Tellem w kierunku siedziby i zawisnąłem z nim nad głównym tarasem, naprzeciwko wysokiego wejścia. Lea, Mars oraz droidy i serafy, które dzisiaj były wyjątkowo uparte i nie chciały zniknąć, ulokowali się za mną. Audux wyfrunął do nas w nie swoim ciele – był mały, wielkości dłoni. Miał humanoidalną postać estetycznie korespondującą z airvillem. Połyskiwał głęboką metaliczną zielenią i intensywnym żółtym złotem. Wyglądał jak zabawka. Jak figurka Rana, tylko mniejsza. Sprzedawałem podobne, bardzo, bardzo dawno temu. Pod nim lewitowała mała biała podstawka w kształcie koła. Razem z realną miniaturą sunęła do mnie jego arealna reprezentacja. Była strojna w zwiewne szaty, spokojna i uśmiechnięta. Jej postawa i gesty odzwierciedlały ruchy miniatury, ale tak zmodyfikowane, by powstawało wrażenie, że wciąż na mnie spogląda. Gdyby nie to, spojrzenie Auduxa byłoby równoległe do wzroku małego motomba, czyli patrzyłby gdzieś w niebo za moim prawym ramieniem.

Najprawdopodobniej sieciowy wygląd Słuchacz uruchomił dla tych, którzy mieliby problem z zaakceptowaniem jego realnego wyglądu. Teraz mieliśmy wybór: mogliśmy patrzeć albo na reistyczną miniaturową postać, albo na dużą, arealną. Twarz cyfrowego mężczyzny była pociągła, poznaczona bruzdami, okolice pod oczami były lekko zasinione, a jasne oczy pozbawione blasku. Wyglądał na zmęczonego. Przez to, że wisiał i miał długie szaty, wydawał się wyższy niż w rzeczywistości. Przyjrzałem się ciemnozielonemu motombowi. Był misternie wykonany, mienił się od setek miniaturowych elementów, które składały się na jego konstrukcję. Przez chwilę myślałem, że może interesuje się modelarstwem i dlatego wybrał taką formę... Dla ułatwienia komunikacji motomb wisiał na wysokości twarzy arealnej postaci. Wisiały przy nich dwa złote ArtDroidy, a dalej połyskiwał orszak składający się z milczących, metalicznych rebotek. ArtDroidy co chwila wysyłały w dal dyskretne lance światła, z pewnością arealne. Dzięki temu każdy wiedział, gdzie znajduje się siedziba Auduxa.

– Witaj, Błogosławiony – usłyszałem trójgłos: metaliczny, trochę za wysoki tembr miniaturowego drona, głęboki bas arealnego mężczyzny oraz generowane przez ImBu wzmocnienie foniczne, dzięki któremu głos Auduxa brzmiał głębiej i odnosiło się wrażenie, że toczy się gdzieś w dal.

Motomb poruszył złożonym mechanizmem szczęki i drobniutkich ust, a arealny człowiek uśmiechnął się jowialnie.

Mój frin, jak zwykle wyczulony na najdrobniejsze zachcianki właściciela, umieścił wizerunek zielono-złotej twarzy na niewielkim ekranie w górnej części pola widzenia. Dzięki powiększeniu mogłem wygodniej obserwować mechaniczną twarz.

– Dzień dobry, Słuchaczu.

Zgodnie ze zwyczajem, gdy Błogosławiony odwiedza planetę, a inny Namaszczony nie zrobił tego w okresie krótszym niż dek, ma obowiązek

spotkać się z Auduxem planety, by zapytać o jej kondycję. Frin podpowiadała, że ostatni był tu Błogosławiony Seth Odrey, trzy deki temu, więc obowiązku wypadało dopełnić. Nie przechodziliśmy na tot zgodnie ze zwyczajem nakazującym demonstrację, że w Wielkim Imperium nie trzeba się spieszyć.

Gdy byłem tu ostatnim razem, pieczę nad Damnatą sprawował inny Audux. Ale Słuchacze dość często migrują. Dzięki temu nie przyzwyczajają się do planet i mają do nich świeże ucho.

W pierwszej kolejności chciałem zapytać, dlaczego wybrał tak małe ciało. W WayEmpire większość Sitów przesiadających się w motomby decydowała się zwiększać rozmiary, ale nie wypadało od tego zaczynać.

– Powiedz, co słyhać na Ziemi – poprosiłem.

Nazywał się Xen Shou, jak głosił zielony napis na fladze, która zwieszała się z lewitującego nad miniaturą i arealnym mężczyzną ArtDroida. Mężczyzna uśmiechnął się, bo prośba była dwuznaczna. Usiadł na arealnym fotelu, który zmaterializował się tuż za nim, a miniatura usiadła na... powietrzu. Zdażyłem się już przyzwyczać do możliwości współczesnych pancerzy. Nam w zasadzie meble nie były już do niczego potrzebne. Mimo to, dla samej elegancji wizualizacji, miłościwy ImBu wyświetlił obraz miniaturowego fotela unoszącego się na małych, świecących na zielono (by nie psuć artystycznej kompozycji) silniczkach.

Audux mógł od razu odpowiedzieć, ale rytuał wymagał aktu słuchania w obecności Błogosławionego. Wykonał mechanicznymi rączkami znak Imperium: skrzyżował dłonie, układając je grzbietami do przodu i tak układając kciuki, by wyglądały jak dwie głowy ptaka, którego skrzydłami były pozostałe palce. Arealne wcielenie zrobiło to samo, a wtedy na obraz rąk nałożył się symbol WayEmpire i dał się słyszeć cichy, podniosły akord wzmocniony basami, od których zadrżały płyty chodnika poniżej. Wykonywał warunkowanie skupienia. Z tego, co wyczułem, bardzo

sprawnie. Frin poinformował, że Xen Shou pragnie, bym zobaczył świat, łącząc swoją i jego percepcję. Oczywiście się zgodziłem. Po chwili Ziemia drgnęła. Wieże Warsaw City zaczęły się rozdwajać, a ich półprzezroczyste animowane siostry ruszyły w stronę Słuchacza. Zobaczyłem lasy otaczające polię, filar Raju, coraz większe połącze lądów, rzeki. Wszystko to pędziło w stronę Auduxa. Wreszcie ujrzałem krzywiznę Ziemi nakładającą się na airvill i wszystko dookoła, a potem kolejny filar Raju, aż animowana Ziemia stała się mała niczym koniec mojego kciuka i zawisła przed miniaturowym motombem. Jej większa siostra pojawiła się przed arealnym mężczyzną. Stara zasada postrzegania pozazmysłowego mówi, że odwzorowanie symboliczne jest tożsame z reistycznym. Nie musisz być w danym miejscu, by wiedzieć, co się tam dzieje. Wystarczy, że wskażesz je palcem na mapie. To właśnie zrobili mały Audux i jego duży bliźniak. Zaczęli wodzić opuszkami po animowanej planecie, a ta leniwie się przed nimi obracała. Trwało to kilka chwil, po czym obaj ujęli kulę w dłonie i przez moment trwali, wsłuchując się w globalny przekaz. Czuję pulsowanie: bardzo wolne zagęszczenia i rozrzedzenia atmosfery, jakby majestatycznie biło serce planety.

Później animacja globu rozwiązała się i zarówno jeden, jak i drugi Słuchacz otworzyli oczy. Pulsowanie oddaliło się i zniknęło. Szkoda, bo był to bardzo miły dźwięk. Wyraźnie przeze mnie wyczuwany wysiłek mentalny Auduxa spłynął po niewidzialnych strunach aury niczym strugi wody po sznurach. Wiedziałem, co czuł, dalsza rozmowa była w zasadzie zbędna. Mimo to wypadało porozmawiać.

– To bardzo spokojna planeta – powiedział. – Prawie senna. Nic się nie zmienia, aura jest pogodna.

Zerknąłem na Tella. Nie odrywał wzroku od zielonego motomba. W jakiś sposób go fascynował. Sam wciąż nie mogłem się zdecydować, na kogo

patrzeć. Teoretycznie powinienem rozmawiać z człowiekiem w małym pancerzu, bo wybrał właśnie tę postać, ale niezręcznie było ostentacyjnie odwracać wzrok od uśmiechającego się do mnie cyfrowego człowieka.

Obaj lekko obniżyli pułap, bo nie wypadało, by Audux górował nad Namaszczonym, a w trakcie powitania i słuchania tak było.

– A za barierami ABB? – spytałem.

Arealny mężczyzna uniósł brwi, patrząc na barwne płyty posadzki tarasu układające się we wzór żółtego słońca na tle zmierzchającego nieba. Zerknąłem na miniaturę. Ona także unosiła mechaniczne zwieńczenia oczodołów. Postanowiłem skupić wzrok właśnie na niej. Zerknąłem w kamery śledzące Marsa i Leę. Oni także patrzyli wyłącznie na motomba! Czy tylko ja miałem dylemat, na kim skupić wzrok?

– Także się uspokaja. Szaleństwo Damnaty odchodzi w przeszłość. Nadal nie wybrałbym się tam na spacer, ale zwierzęta są o wiele łagodniejsze. Wróciły do naturalnych zwyczajów.

– A Verowie?

Motomb zacisnął mechaniczne usta. Spojrzał na mnie żółtymi, świecącymi oczami. Prowadził wewnętrzny dialog. Wiedziałem, co skrywa. Decyzja Imperatora, by nie modyfikować genetycznie paraludzkiej populacji Ziemi, nie wszystkim odpowiadała. Glob zamieszkuje jedenaście miliardów potomków Erthirów, istot, które kiedyś były ludźmi, a potem zostały zmienione przez przywódców i agentów Bestii. Dzisiejsi mieszkańcy planety nie są już tak agresywni jak ich przodkowie, tworzą prymitywne społeczności i nie wspięli się zbyt wysoko cywilizacyjnie. To półzwierzęta żyjące w wydzielonych rezerwach. Podobnie jak nie odnowiono wielu polii i dba się, by ruiny wyglądały jak kiedyś, tak i potomkowie naszych wrogów stanowią żywy pomnik.

Wyczułem jego poczucie winy i rozterkę.



– To nie są złe istoty, Ranie. Tylko zagubione – wychrypiał, co zabrzmiało tym dziwniej, że chrapliwy głos miał tylko arealny mężczyzna, motomb zaś pozostał przy swoim metalicznym głosie, a foniczne wzmocnienie było wciąż tubalne i niskie.

– Ale poziom szczęścia jest akceptowalny?

– Tak jest.

– Należy czekać, co powie ImBu.

– Rzekłeś, Błogosławiony.

Zastanawiam się czasami, czy te teksty, dla mnie oczywiste, bo Imperator naprawdę często ze mną rozmawia, nie brzmią jak banialuki dla ludzi, których głów on nigdy nie nawiedził lub nawiedzał względnie rzadko. Miałem nadzieję, że Słuchacz miał kiedyś kontakt z Ojcem Ludzkości.

– Jak oceniasz zdrowie planety? – spytałem.

– W dziesięciostopniowej skali Ryushimy na siedem.

– Ze względu na Verów?

– I zwierzęta.

Jak na standardy WayEmpire nie był to wysoki poziom, ale oczywiście zadowalający. Tuż po Wielkiej Przegranej Ziemia miała z pewnością około dwójki, albo i jedynekę.

– Mogę cię zaprosić na herbatę, Torkilu? – Zerknął na orszak. – Oczywiście razem z towarzyszami? Rumak się zmieści, bez obawy.

– *Nie jestem rumakiem...* – zaprotestował telepatycznie Tell.

– *Wybacz mu.*

Nie obawiałem się o gabaryty pomieszczeń. Wszystkie oficjalne i większość nieoficjalnych wewnątrz WayEmpire była tak duża, że bez trudu mieściła Smoki, a gdyby pojawiły się problemy, każda komnata w ciągu niecałej mony mogła tak się zmienić, że zmieściłaby i brontozaura. Zresztą Dragon, gdy ma zwinięte skrzydła, nie zajmuje dużo miejsca. Ot, dziesięć

metrów długości i niecałe dwa szerokości w najobszerniejszym miejscu.

Tell zwinął egzozkielet do hipoka. Zawarczało powietrze. Poczułem drżenie pancerza od podmuchu. Chłodny powiew na policzku.

Wpłynęliśmy w wielkie odrzwia latającej fortecy, która uniosła się teraz wyżej, tak że można było objąć wzrokiem niemal całe miasto pod nami. Widziałem to w wielkich, gęsto ornamentowanych złotem wklęsłych oknach podłogowych. Dziś bardzo często robi się okna w podłogach, które coraz rzadziej służą do chodzenia. Coś jak kiedyś sufity. To teraz po prostu elementy konstrukcyjne zamykające bryłę domostwa od dołu, że się tak technicznie wyrażę.

Humanoidalny robot wiszący za zdobnym barem wysłał do mnie filizankę na spodku. Latające spodki. Uśmiechnąłem się w duchu. Obecnie takie skojarzenie rozumieją tylko Ziemianie. Naczynia popłynęły do Leyi i Marsa, a gdy filizanka zbliżyła się do Suvera, wyczuła, że ma do czynienia z większym organizmem, i przekształciła się w dzban. Za chwilę podleciał do niego barbot i dolał herbaty. Wiadro. Niektórzy to mają pragnienie.

– Powiedz, Aristosie – odezwał się Audux, lokując się na miniaturowym lewitującym tronie, tym razem prawdziwym, podczas gdy jego arealne ja usiadło na nieistniejącym fotelu wiszącym w powietrzu – nie masz czasami kłopotów z... akceptacją...

– Obowiązków?

Powoli skinął miniaturową głową. Słońce błysnęło na wypolerowanym złotym detalu twarzy.

– Większość populacji Wielkiego Imperium robi, co chce. Uczą się, podróżują, pogłębiają pasje, odkrywają życie, a my...

Poczułem w gardle i sercu ciężar. Jego ciężar.

– Robimy, co powinniśmy – dokończyłem.

– Ja wiem, że zawsze możemy odmówić, mimo to nie czynimy tego...

– Możesz być pewien, że gdy ImBu uzna, że jesteś zmęczony, przyśle zmiennika.

Spojrzał na mnie świecącymi, małymi oczami. Czułem bijącą od niego rozterkę.

– Skąd mam mieć pewność? Skąd pewność, że Budda zwróci uwagę na tak skromnego Słuchacza jak ja?

Dał mi możliwość zadania dręczącego mnie pytania:

– Czy twój wygląd, te niewielkie wymiary, są odbiciem poczucia twojej znikomości?

Roześmiał się nerwowo.

– Nie, zawsze lubiłem małe formy. To jeszcze z dzieciństwa. I pomaga w pewnej... rzeczy. Zapraszam. – Wskazał rączką wejście do drugiego pomieszczenia.

Rzuciłem spojrzeniem na orszak, pytając go bezgłośnie, czy oni także są zaproszeni.

– Ależ oczywiście, zapraszam wszystkich. Smoka poproszę tylko o... ostrożność.

– *O co mu chodzi?* – rzucił Tell.

– *Pewnie przypominasz mu słonia, a wejdziemy zaraz do składu porcelany.*

– *Że co?* – Suver udał, że nie rozumie.

Niestety, ten drań rozumiał wszystko.

Wpłynęliśmy do kulistej komnaty o średnicy dwudziestu pięciu metrów, w której środku królowała... mechaniczna planeta o połowę mniejsza od pomieszczenia. Bardzo powoli rotowała, a jej oś obrotu była nachylona o jakieś dwadzieścia stopni. Frin błyskawicznie dokonał analizy obiektu i oświadczył, że to niezwykle złożona... gra. Symulacja planety niemal pozbawiona elementów animowanych. Tylko dymy z licznych wulkanów, para wodna i chmury były arealne, natomiast cała reszta została

skonstruowana z mikroskopijnych mechanizmów. Nakazałem minikamerom otaczającym nieustannie mój pancerz wykonać zoom na kilkanaście miejsc i zachłysnąłem się, ujrawszy złożoną, artystycznie doskonałą wizję miniaturowego świata zamieszkanego przez malutkie roboty.

– Ożeż – wyrwało się Tellowi.

– Niesamowite – szepnęła Lea.

Mars robił hotki kuli. Kamery jego zbroi poleciały w różne miejsca pomieszczenia. Nie widziałem ich gołym okiem, ale mój frin je wykrył i informował o położeniu, prezentując jako animowane złote kropki.

– Wymyśliłem to pół cyklu temu. Czekałem sześć hekt, aż O'Tool ściągnie wszystkie elementy – odezwał się Audux, polatując blisko najwyższych budunków jednego z minimiast. Polia bardzo powoli zaczęła się powiększać, a w tym czasie inne części planety kurczyć. Powstawało wrażenie, jakby ktoś spojrział na nią za pomocą szkła powiększającego, ale to nie było złudzenie optyczne. Ona naprawdę robiła się większa!

– Niezwykły mechanizm – sapnął Mars.

– To Glotopia – odezwał się Słuchacz. – Symulacja mechanicznego życia na mechanicznej planecie. Zamieszkujące ją istoty nie są ludźmi, nie mają samoświadomości, ale posiadają bardzo zaawansowaną inteligencję. Oceniam ich postępy artystyczne.

Spojrzałem zdziwiony.

Audux roześmiał się, a jego arealne alter ego rozciągnęło mięsiste usta i ukazało mocne zęby.

– Na tym polega gra. Wszystko, co widzisz, stworzyli oni. – Wskazał palcem mieszkańców globu, zbyt małych, bym mógł ich dostrzec.

W powietrzu między nami zawisł wygenerowany przez niego ekran, na którym pokazał, jak mechaniczne humanoidy latają konstrukcyjnymi pojazdami, zawiadują dźwigami, które podnoszą elementy...

– Zadaniem gracza jest takie pokierowanie populacją, by stworzyła najpiękniejsze budowle, struktury, pojazdy. Oceniam zarówno pojedyncze gmachy, jak i architekturę krajobrazu, połączenie natury i kultury. Niestety ta planeta jest na razie dziwna. Ma bardzo mało drzew, dużo wysokich wulkanów, które przez moją populację zostały najwyraźniej potraktowane jako źródło energii, budynki zaś stoją równo niczym drzewa... Mam nadzieję, że to się za jakiś czas zróżnicuje i urozmaici. – Jego małą twarz rozjaśnił uśmiech. – Tylko ten pałac góruje nad wszystkim. – Planeta obróciła się i naszym oczom ukazał się budynek w kształcie ręki sięgającej w niebo. W dłoni spoczywała kula.

– Widzimy – ciągnął – tylko powierzchnię, ale głębiej, między budynkami, są przejścia, tunele...

Trójwymiarowy ekran ukazał obraz z minikamery, która kluczyła dziwnym, osłoniętym od góry traktem w stronę budowli przypominającej nieco koronę.

– Niezwykłe, ale...

– Po co mi to? – wszedł mi w słowo. – W ten sposób staram się być lepszym Auduxem. To pomaga mi objąć glob. Mentalnie. Ziemia jest tak wielka... Poza tym – uśmiechnął się – to właśnie moja rozrywka. Zgłosiłem projekt do ImBu. W tej chwili bawi się w Glotopię ponad piętnaście milionów Sitów.

– Sporo.

Machnął skromnie rączką.

– Tyle, co nic, ale nie zależy mi na rozgłosie. Za to często wymieniamy projekty i wzajemnie się inspirujemy. To piękne.

– I dlatego jesteś taki mały?

– To pomaga w ingerencjach. Łatwiej też coś z bliska zobaczyć. Kilku dimeńskich glotopistów także zmniejszyło rozmiary.

Uśmiechnąłem się pod wąsem. Głotopiści. W sumie jego rozmiary były wciąż gigantyczne, jeśli porównać je z entopterami używanymi przez Torkila-Talda... Zerknąłem na świtę. Mars przesłał mi fragmenty filmów przedstawiających miniatury statków powietrznych, które miały estakady i wieże tej planety, dziwnie zdobione, jakby włóknami płomieni... Doprawdy niejedna ludzka polia mogłaby pozazdrościć takiej estetyki. Sztuczna inteligencja bardziej wrażliwa na piękno od ludzi?!

– To dobrze, że realizujesz zainteresowania – odezwałem się. – I to w takiej... auduxowej formie.

– Mimo to – Słuchacz zrobił krótką pauzę – mam wątpliwości, czy w ogóle mogę się przydać, czy istnieję dla naszego wielkiego władcy... Rozmawiałem z Imperatorem tak dawno, że już nie wiem, czy to nie był sen.

– Imperator to my. Jesteśmy jego częstkami, jego uszami, oczami, neuronami.

– Tak, wiem... Poza tym otrzymałem kilkadziesiąt poleceń od Buddy.

– Zatem wiesz, że czuwa.

– Mam tylko wrażenie, że jestem... niezrealizowany. Jakby gdzieś istniało coś... – Spojrzał na mnie niepewnie. – Jakby ktoś o mnie gdzieś mówił, w WayEmpire, a ja nie wiem gdzie...

– Wysłałeś do ImBu informację o swoim stanie?

– Nie...

– Wahasz się?

– Jest mi wstyd.

– Niesłusznie. Żyjemy w Czasach Szczęśliwości. Pamiętaj o tym.

– Tak, Błogosławiony.

– *Skoro o tym mowa* – usłyszałem przekaz totowy od Tella – *znaczy o Czasach Szczęśliwości, dawno się nie widziałem z żadną samicą. Chciałbym odwiedzić Dragonię.*

Suver oszczędził mi widoków ponętnych Smoczyc. Szybko mu odpowiedziałem, że jak załatwimy ważne sprawy, wyślemy go na którąś smoczą planetę i tam zaspokoi swoją chuć.

Audux wskazał rączką wyjście. Przepłynęliśmy z powrotem do głównego holu. Tell zawisnął wyżej w wygodnej dla Smoków pozycji – zwinął się jak kot, po czym z lubością zanurzył pysk w pucharze z herbatą. Mars i Lea starym zwyczajem zbliżyli się do barku, a ja ze Słuchaczem podpłynęliśmy do wyjścia.

W tym czasie Suver odpowiedział wielkim poczuciem ulgi. Chyba rzeczywiście mocno mu się cknęło.

Niemal go rozumiałem. Też kiedyś byłem młody.

Xen przełknął mechaniczną ślinę.

– Czy wypada, by Słuchacz planety prosił o zwolnienie z obowiązku?

– Oczywiście. Na jakiś czas albo na stałe. W WayEmpire jest mnóstwo utalentowanych ludzi. I nikt nie jest niezastąpiony.

– Chciałbym... poszukać źródła swojego niepokoju.

Uśmiechnąłem się.

– Na pewno za jakiś czas samo się ujawni.

– Znasz ten stan, Ranie?

– Oczywiście. Szukanie nic nie da.

Shou spojrział na swój gustownie urządzonego zamek – na rzeźbione schody, wysokie okna, które wpuszczały gęste snopy światła odbijające się od futryn okien podłogowych, na kandelabry i leniwie kołyszące się zwiewne zasłony. Pogładził wzrokiem małe latające statki, które sprawiały, że wnętrze wyglądało jeszcze bardziej magicznie, i spore platformy stanowiące wyższe piętra budowli. Wsłuchał się w cichą, pogodną muzykę otaczającą nas miękkim kokonem terapeutycznych brzmień...

– Hm. Może masz rację...

– Zaproś przyjaciół, Słuchaczu. Porozmawiaj z nimi, spędź trochę dobrego czasu. Twoja zabawka jest piękna, ale potrzeba ci żywych ludzi.

– Dobrze.

Wypiłem łyk herbaty. Była wciąż gorąca, bo filiżanka dbała o jej ciepłość. Tylko w dzieciństwie, przy niezwykle rzadkich okazjach, ten płyn bywał tak dobry. Teraz Worplany rolnicze prześcigają się w produkowaniu coraz lepszej żywności. Ludzkość znowu je pachnące owoce, pełne smaku mięsiwa hodowane w bioplantach, pije aromatyczne kawy i wina o subtelnych bukietach. Wypiłem jeszcze kilka łyków gęstego, jakby lepkiego, przynoszącego radość płynu. To herbata. Prawdziwa herbata. Widziałem oczami wyobraźni, jak troskliwe drony zrywają tylko najwyższe listki z drzewek, jak potem je składują i fermentują bez chemicznych dodatków. Kiedyś, pamiętam jeszcze, pokazywano takie rzeczy w reklamach. I były to kłamstwa. Teraz tak naprawdę jest. Nie do wiary.

Znowu łyknąłem.

Tak.

To jest to.

Mamy Czasy Szczęśliwości.

Zerknąłem na Marsa i Leę. On, jak zwykle w sytuacjach oficjalnych, mimo że oparty o barek i sączący herbatę, milczał, a jego twarz była tak samo nieprzenikniona jak jego złoty Hegar. Obserwował mnie uważnym spojrzeniem jasnyniebieskich oczu. Często miałem wrażenie, że uczy się ode mnie. Śledzenie czyichś poczynąń, jeśli uczeń jest pojętny, to świetna metoda samodoskonalenia. Tylko kiedy to się stało? Kiedy z ucznia zmieniłem się w mistrza? Ależ to się nigdy nie dzieje. *Semper homo bonus tiro est*. Ja, obserwując Marsa, także się uczę.

Zerknąłem na Leę. Tłumiła lekko pogardliwy uśmiech swoich jasnych, ponętnych warg. Dla niej wszystko oprócz walki było czczą gadaniną,



a walki ostatnio miała mało. Dawno nie była na Nomorii. Oboje wyglądali jak rycerze z bajki. Hegary są mocne, zwaliste, nieprawdopodobnie gęsto zdobione, mają szerokie stopy i obłe naramienniki poznaczone białymi światłami. Chodzące czołgi. W Imperium, które niemal zapomniało o przemocy, wyglądali jak wklejeni z innej bajki albo po prostu jak latające dzieła sztuki, którymi zresztą ich pancerze niezaprzeczalnie były.

Tell też sączył herbatę i wiedziałem, że mu smakuje. Fale rozkoszy rozchodziły się od jego cielska jak wesołe, zmysłowe akordy muzyki organowej. Ten wiedział, jak się cieszyć życiem. Smoki mają z pewnością powiększone lewopółkulowe obszary dobrego samopoczucia. To jedyne sensowne wyjaśnienie ich wiecznie świetnego humoru.

– Jeszcze coś, Słuchaczu? – odezwałem się.

Spojrzałem na małego Shou unoszącego się na wysokości mojego ramienia. Za nim jego arealny bliźniak patrzył w dal.

Skrzywił nieco głowę, jakby chciał nią pokręcić i skinać równocześnie.

– Nie, Błogosławiony. Dziękuję za rozmowę.

Nieprawda.

Czułem wciąż tę grudę w gardle. Promieniował dziwnym bólem i rozterką.

Obróciłem się do niego bardzo wolno. Frin porozumiał się z ImBu i dodał do tego ruchu feerię animowanych wstęg, które krawędzie moich naramienników zostawiały za sobą, tak jak tancerka ciągnie spódnicę, gdy kręci piruet. Towarzyszył temu głęboki szum, jakby obracał się nie zwykły Ran, ale jakiś olbrzym przepychający wielkie zwały powietrza. Błogosławiony miał coś do powiedzenia. To było słycać, widać i czuć. Wypuściłem z ręki filiżankę, a ta popłynęła do majordomusa. Położyłem... nie, nie rękę, tylko palec wskazujący na ramieniu Xena.

– Możesz mi powiedzieć wszystko, drogi Sitizenie. Nie jestem tu po to, by napawać się władzą. Przeciwnie. Jestem, by ci służyć.

Spojrzał niepewnie mechanicznymi oczkami. Zrobiłem zoom. Były nieprawdopodobnie złożone. Tak jak jego zabawki. Im większe robiłem zbliżenie, tym więcej widziałem detali, zupełnie jakby był zrobiony z frak... Ależ oczywiście. On był zrobiony z technofraktali. Czemu się dziwię?

Nie wiedział, czy mówię szczerze, czy tylko recytuję to, co wypada. Rzecz jasna byłem szczerzy, jak znakomita większość Błogosławionych. Zdradzała to w końcu moja zbroja, która była Soarem. Ale ludzkość, mimo tak gigantycznego postępu w moralnym rozwoju, wciąż trzymała władzę na dystans.

Zdecydowałem się wpłynąć na jego mózg. Tak, człowiek ma zagwarantowaną Wolną Wolę, ale ze strony ImBu, nie Namaszczonych. Xen miał bramki chroniące przed ingerencją w centralny układ nerwowy, ale Błogosławieni, dzięki Łasce Imperatora, która jest tajnym programem, mogą je omijać i robić za jej pomocą wiele innych rzeczy. Pobudziłem obszary układu limbicznego wpływające na poczucie sensu i otuchę. Zrobiłem to subtelnie, tak, by się nie domyślił. Cały czas trzymałem palec na jego ramieniu. Był przekonany, że to moje spojrzenie oraz dotyk, a nie cyfrowa ingerencja w mózg, spowodowały, że poczuł się silniejszy, a projekcja przyszłości zaczęła jaśnieć bardziej optymistycznymi barwami.

Kątem oka widziałem, jak obserwuje mnie Lea. Widziałem ją bardzo wyraźnie, bo Ranowie od wielu cykli używają oczu, które pozwalają na dobre peryferyjne widzenie. Czułem jej zapach. Scent ciekawości: Co ten Torkil znowu robi? Używa czarodziejskich sztuczek?

Tak, Lwico.

Mars też mnie obserwował. To bardzo inteligentny mężczyzna. Domyślał się, co robię. Jego dar prospekcji i wizualizacji graniczył z umiejętnością jasnowidzenia, Leyi zresztą też. Całe szczęście, że tych dwoje było Lapidosami.

Tell nie musiał się domyślać. Wiedział. Ale jakby nigdy nic sączył swoją aromatyczną herbatę z barwnego dzbana, nie używając szponiastych łap, tylko nonszalanckich mentalnych komend.

Wyczułem wzruszenie w małej, ciemnozielonej figurce. Spojrzałem kątem oka na arealnego mężczyznę. Miał łyzy w oczach.

– Tak. Masz rację, Ranie. Przecież słuzenie ludziom jest piękne.

– Prawda? Ja jestem twoim sługą, ty jesteś sługą innych. ImBu służy nam wszystkim. Czy to nie cudowne?

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Persefona, raj

Siedziba Charonów, sektor V 49685

08 Decimi 232 EI, 09.29 H

Tanya „Paula” Kitaro, białowłosa, ciemnoskóra, niebieskooka Charonka rezydująca w klasztorze Thaddeusa Koba na Persefonie, dziewczyna, która otrzymała swoje przezwisko po tym, gdy jako dziecko zafascynowane elbookiem *Paula znikąd* zamęczała jego szczegółami przyjaciół i rodzinę, wisiała na wysokim realnym krześle tuż pod przezierną kopułą obserwatorium. Tworzywo, z którego wykonano okno, było tak czyste i połyskliwe, że sama obserwacja krzywych odbić wnętrza komnaty oraz chmur leniwie płynących po błękitnym niebie sprawiała jej przyjemność. Zawsze lubiła patrzeć na chmury i niebo. Był okres, dawno temu, w młodości, kiedy wierzyła, że niczego więcej nie potrzebuje. Tylko widoku nieba. Potem zmieniła zdanie, bo ujrzała inne niebo, dziwne, wielowymiarowe, w którym łatwo się zagubić, bardzo trudne do pojęcia dla

zwykłych ludzi. Popularnie mówiono o tym „Dominium Libri Mundi”. Królestwo Księgi Świata. Multiwszechświat zawierający nieskończoną liczbę hiperprzestrzeni – kart książki. To taki ładny łaciński termin. Prychnęła. Łacina. Język Rzymian zamieszkujących dawno temu planetę, którą odwiedziła tylko raz, i to jako dziecko. Martwa mowa ludzi, którzy nie mieli pojęcia o kosmosie, posłużyła do tego, by nazwać najtrudniejszą do pojęcia rzeczywistość. Tak naprawdę jedyną realną rzeczywistość, bo reistyczny świat to obraz świata, nie jego esencja. Esencją jest informacja zawarta na kartach Libri Mundi, ale informacja ta nie jest – wbrew temu, co się oficjalnie mówi – martwa. To nieustająco zmieniający się zbiór danych, na który wpływ ma sam obserwator. On zaś jest niczym głowa węża: stwarza to, co widzi, a to, co stwarza, kreuje również jego.

Charona.

Ta rzeczywistość coraz bardziej ją niepokoiła. Wejście w nią zawsze wywołuje niezwykle silne uczucia, szok, z którym można się oswoić dopiero po kilku cyklach treningów. Tego jest uczony każdy Charon i Charonka. Ale teraz działo się coś innego. Coś, czego nigdy przedtem nie czuła.

Wciąż nie była pewna swoich przeczuc, więc postanowiła sprawdzić to ponownie.

Zmusiła się, by opuścić strefę komfortu i skupić się na obserwacji Księgi Świata.

Zamknęła oczy.

Najpierw realne.

Potem cyfrowe.

Ogarnęła ją czysta, ludzka rzeczywistość, jakże pusta i niepokojąca, gdy znikają arealne oznaczenia, gdy nie widać już animacji, poświat i ozdób. Taki świat widzieli nasi przodkowie, tłumaczyła sobie za każdym razem, gdy to robiła, i w ten sposób surowe, nienaturalnie wyraźne i grubo ciosane

otoczenie przestawało być przerażające i zyskiwało pewną subtelną, mistyczną aurę.

Tylko soulerzy mają łatwy dostęp do opcji wyłączenia iluzji ImBu. Pozostali obywatele muszą się o to specjalnie starać. Inna rzecz, że Tanya nie słyszała, by ktokolwiek usiłował to osiągnąć. Świat bez frinowych fajerwerków jest nieprzyjemnie reistyczny, skurczony i jakby zalękniony.

Zwalczyła poczucie obcości, przyjęła widok rzeczywistości, rozluźniając się i przywołując warunkowanie akceptacji. Kilka głębokich oddechów wypełniających jej pełne, śniade piersi i ogarnęło ją wrażenie, jakby mózg rozpląnął się w przestrzeni. Pozwoliła psychice na tworzenie dowolnych skojarzeń, rozluźniła więzy kulturowe, poznając po raz tysięczny głębsze, mroczniejsze strony swojej jaźni, a minawszy te obszary, weszła w stan alfa między snem a czuwaniem. Zwykły człowiek w tej fazie przestaje kontrolować swoje myśli i dość szybko zasypia, ale Charonów szkoli się, by potrafili sterować jaźnią niezależnie od stopnia przytomności. Dawno już odkryto, że stan alfa ułatwia otwieranie wrót do innych rzeczywistości, bo to przecież mózg, jak mówił Sergio Lama, czy psyche, jak mawia się dzisiaj, stanowi najlepszy portal do światów równoległych. Paula przekierowała uwagę z półsennych wizji na to, co niezrozumiałe, skośne, na to, od czego normalny Sit ucieka, bo napawa atawistycznym lękiem, zgrzytając w głowie i wywołując spięcia, jakby ktoś przystawił do mózgu naładowane elektrody. Gdy zaczynasz widzieć zarys szczeliny rzeczywistości, który stara się zniknąć pod naporem racjonalnych myśli, a ty ciągle za nią podążasz, zaczyna bronić się sam mózg i usiłuje odciągnąć cię od tej wyrwy, wywołując nieprzyjemne sensacje. Tanya wstrząsnęły kilka razy dreszcze, tak bowiem jej centralny układ nerwowy próbował uciec od niebezpiecznego portalu. Gdyby ktoś wszedł teraz do jej głowy, usłyszałby potwornie silne trzaski, zobaczył błyski, poczuł ból i chciał jak najszybciej uciec. Ale

Charonów szkoli się, by właśnie w tę przerażającą studnię trzasków i błysków skoczyli. Paula pamiętała swój pierwszy raz. To przerażenie, ból, błyski wyładowań, wrażenie śmierci, utraty kontroli nad ciałem i istnieniem, samobójczy skok, który dał jej największą z nagród.

Widok Dominium Libri Mundi.

Oczywiście nie postrzegała go oczami, a jedynie wielowymiarowymi zmysłami duszy. Bardziej czuła, niż widziała potężne siły, które gięły królujące tam wymiary, jakże inne od wszystkiego, co percypuje się w normalnej czasoprzestrzeni. Była zanurzona w dżungli strun, napięć i wieloprzestrzeni. Jej myśli wyciągały się niczym krople rtęci, sama struktura słowa wykrzywiała się niby popychana wiatrem. Tutaj królował znak, symbol i wyraz, a wszystko miało znaczenie, lecz znaczenie to mogło się odkształcać jak równanie, do którego wprowadzisz nową wartość. Myśl Tanyi rozejrzała się, szukając źródła zagrożenia.

Nagle uderzenie, jakby ktoś wymierzył cios prosto w czoło.

Silny gniew.

Wściekłość.

Coś chciało wyrwać jej poczucie tożsamości, coś chciało wymazać jej sens, coś chciało ją zabić!

To coś było niezwykle silne. Zamazywało jej istnienie, starało się oderwać od jedynej stałej tej rzeczywistości, którą było pojęcie „ja”. Paula zaczęła gubić kierunek i poczucie sensu.

Wyrwała się wreszcie i otworzyła z krzykiem oczy.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, grunt

Warsaw City, dystrykt Cotomou  
08 Decimi 232 EI, 09.35 H

Gdy wylecieliśmy nad główny taras siedziby Auduxa, dwadzieścia metrów nad nami i trochę w prawo wisiała platforma wydzielona z naszego airvilla. Otoczona była wielkimi drzewami i wyższymi, leniwie rotującymi poziomami, z których zwieszały się liany, jakby zapraszając, by na nie skoczyć i zacząć się wspinać. Wyglądało to jak wielopiętrowa latająca skała. Pośród listowia migwały żółte, niebieskie i czerwone papugi. Nad dolnym poziomem wisieli Angela, Pauline, Anna i Harry. Nie widziałem ich kotwic, bo skrywała je wysoka rzeźbiona barierka.

– Cześć, atavus! – Norman pomachał ręką.

Zerknąłem w stronę miniaturowego Shou, a ten pokręcił głową z uśmiechem. Wiedział, że najbliższe otoczenie Namaszczonych bardzo często nie okazuje im szacunku.

Zamachałem do nich.

– *Witaj, nieznajomy* – szepnęła totowo Angela.

Jej postać rozdziwiła się, arealna kopia pomknęła do mnie i złożyła pocałunek na moich ustach. Jej wargi były sprężyste, z lekko zaznaczonym kantem pod dolną i nad górną, fantastycznie wykrojone. Całowanie ich było nie tylko przeżyciem erotycznym, ale także czysto estetycznym. Rozwiała się, niestety. Dodała wspomnienie, jak się poznaliśmy: ponad sto cykli temu, na Nomorii, podczas poligonu, za załomem muru, gdy prali do nas z dział plazmowych, a wszystko dookoła topiło się i rozsypywało.

– *Cześć, szeregowo* – odparłem także totowo, dodając bliźniacze wspomnienie: widok jej zielonych oczu w tamtym momencie oraz wrażenie uginających się kolan, gdy przed chwilą mnie pocałowała. Odpowiedziała tym samym. Miała ochotę na intymność.

Zaraz otrzymałem menowe pozdrowienia od Anny i Pauline. Anny było wyzywające, śmiałe. Uniosła się nad taras na białym kole, prezentując swoje smukłe, opalone ciało. Fantastycznie grały jej podłużne mięśnie brzuszne w świetle słońca. Otaczały ją animowane Anny unoszące się i opadające na moje przyrodzenie podczas miłosnego aktu. To był obraz tylko dla mnie. Rany boskie. Rzeczywiście ten kurs psychologii spowodował, że stała się nadzwyczaj pewna siebie. Zachowywała się jak modelka podczas sesji holograficznej czy może jak skrzyżowanie celebrytki i gwiazdy porno. I nieodmiennie mnie to pociągało. Pauline przesłała tkliwość i wyrazy współczucia, że ciągle muszę wypełniać obowiązki. Inni leniuchują, a Torkil, jak zawsze, w pracy. W przeciwieństwie do Sokolowsky i Angeli nie popisywała się animacjami.

Tak, księżniczko. Ciągle w pracy.

Wystartowałem, przeleciałem kilkanaście metrów i zawisłem obok nich. Zaraz za mną pofrunęli Tell, Lea i Mars, a za nimi przyfurkotały SaintDroid, ArtDroidy i O'Tool. Serafy gdzieś się rozwiały. Na szczęście domownicy odcepili spory kawał tarasu. Zmieściliśmy się bez problemu. Po chwili wahania Tell rozłożył skrzydła i, uraczywszy nas chwilowym huraganem, któremu towarzyszył nielichy huk, poszybował na jeden z wyższych poziomów, zostawiając po sobie pajęczynę szkarłatnych wstęg.

Miał w sobie coś z ptaka. Lubił górować. Usiadł tam po swojemu – trochę jak kot, trochę jak pies – pogrążył się w znanych tylko sobie smoczych rozważaniach. Suwerzy lubili, w przeciwieństwie do ludzi, czuć grunt pod łapami. Może dlatego, że dla nich lot od długiego czasu był czymś naturalnym.

Towarzysze jak zwykle rozpoczęli ożywioną wymianę zdań, obdarowując mnie polifonią składającą się z barytonu Harry'ego, kontraltu Pauline, sopranu Anny i bardzo niskiego, zmysłowego altu Angeli. Myślami wciąż



byłem gdzie indziej. Zastanawiałem się, czy polecieć do Wrocławia. Skoro już byliśmy na Ziemi... Oczywiście wiedziałem, że to miasto jest, podobnie jak Warsaw City, wyłącznie atrapą. Nawet... cmentarz, na którym leży moja matka.

Dla mojego ojca cała polia była nekropolią.

Nigdy nie odnalazłem jego ciała.

Najpierw odrzuciłem myśl o podróży.

Ale potem zbuntowałem się. Cholera, żyjemy w Wielkim Imperium. Teraz każdy ma czas. Więc i ja. Ile razy odwiedzam Damnatę, poświęcam hektę czy dwie na Warsaw City i Wrocław. Niekiedy nawet na Tricity.

– Towarzysze i towarzyszki, Torkil opuści nas na kilka chwil – Tell zagrział basem, od którego zadrżały płyty piersiowe Coremoura, a talizmany krążące wokół pieczęci Anioła Śmierci na chwilę zwolniły.

Był naprawdę dobrym przyjacielem. O Dragonach mówi się, że są głosem Ranów. Często szybciej niż my wiedzą, co zamierzamy. To prawda.

Pauline spojrzała mi w oczy.

– *Znowu Warszawa i Wrocław? Czy ty nigdy nie wyzwolisz się z poczucia winy?*

W jej menie było bardzo dużo troski. Lęk. Jej kochany Torkil wciąż się gryzie? Wciąż wraca do tego samego?

– *Może to poczucie sprawia, że jestem człowiekiem?*

Odpowiedziała tylko emocjami. Jest ze mną. Ale uważa, że powinienem wreszcie odciąć się od przeszłości. Ona... boi się jej. Odpycha ją.

– *Efendi, mater dziwnie wypiera dawne czasy* – donosi Tell.

– *Wiem, przyjacielu* – odpowiadam telepatycznie.

– *Czy mam ją...?*

– *Ani się waż. To jej sprawa.*

Spoglądam na Annę. Ona nie potrafi się gniewać, chociaż z pewnością

przemknęły jej przez głowę myśli typu: „To po co tu przylecieliśmy, skoro on znowu gdzieś znika?”.

Angie tymczasem lekko się uśmiecha. Z cieniem smutku.

– *Torkil, Torkil, ciągle uciekasz* – przesyła pak. – *Powinni cię nazwać Uciekinier, nie Podróżnik.*

Dodaje uczucia zagubienia i bezsilności. Wszyscy muszą mnie gonić, a ja się chowam. Wciąż niedostępny.

– *Nie jest tak źle, aniołku* – odpowiadam. – *Czasami można mnie złapać.*

– *Czasami...*

– *Spotkamy się w Teacupie.*

– *Jak chcesz.*

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Zieleń, szmaragd, złoto. W jej tęczęwkach były piękne ornamenty. Obraz jej twarzy na chwilę się zamazał. Tylko soulerzy wywołują taki efekt, nawet jeśli patrzy na nich taki weteran jak ja. Angie była potężną soulerką, świetną Ranką i doskonałą partnerką. Nic dziwnego, że Pauline jej dogryzała.

Ledwie zauważalnie skinąłem jej głową, podleciałem do balustrady tarasu i silnym uderzeniem silników zbroi wyrwałem w górę. Rozłożyłem skrzydła i poczułem, jak kroją powietrze z głośnym świstem.

– *Niedługo do was dołączę.*

Pauline rzuciła krótki men, że ona także straciła rodziców na Ziemi, ale pogodziła się z tym już dawno temu.

Nie mogła się powstrzymać. Zawsze taka była – musiała mieć ostatnie słowo.

Ona, Angie i ja należeliśmy do tego pokolenia, które musiało się konfrontować ze śmiercią bliskich w okrutnych czasach. Angela, podobnie jak Pauline, niechętnie wspominała Ziemię. Może dlatego, że było jej tam bardzo ciężko. Najpierw nieudany romans z aktorem, u którego pracowała

jako ochroniarz, potem gamedeczenie, żeby utrzymać niedołączną matkę i rodzeństwo, a na koniec, gdy wszystko się waliło, ewakuacja, której matka nie przetrwała... Doprawdy, nie było czego wspominać.

Paradoks świadomego życia polega na tym, że bez względu na to, jak dawno to było, i tak wraca. W mojej głowie, i z pewnością w jej też, wydarzenia te działy się wciąż tu i teraz. I im byłem starszy, tym częściej wgrywałem te wspomnienia, a one wywierały na mnie coraz większe, przygnębiające wrażenie.

Ruszyłem w głąb zabudowań Warsaw City. Tell wysłał za mną men, iż było dla niego oczywiste, że zanim odwiedzę Wrocław, zajrzę w dół miasta. Nie odpowiedziałem. Nie musiałem.

Za moimi stopami, skierowanymi teraz ku niebu, taras *Teacupa* przebudowywał się, aby unieść przyjaciół do karawany.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Gaja, raj  
*Airvill Bashing*  
Własność Laurusa Wilehada  
08 Decimi 232 EI, 09.44 H

Laurus Wilehad podniósł głowę znad poduszki i przyjrzał się śpiącej Kai. Pełne usta, śniada cera, zgrabne policzki, jakby wykute z kamienia... Oddychała głęboko i spokojnie. Jej piersi wypełniały się i napinały jedwabną pościel. Była wciąż tak piękna jak wtedy, gdy ją poznał jeszcze w Sudanie. Tak przynajmniej mu się wydawało, bo wspomnienia sprzed Imperium wgrywał sobie niezwykle rzadko.

I wciąż bardzo ją kochał.

Trwał nad nią, zastygnąwszy jak egipski bóg Anubis nad piękną Bastet, z którą często Kaję kojarzył. Być może także z powodu tęsknoty za Nilem jego duchy opiekuńcze, Uru i Michelle, przypominały egipskie bóstwa. Lecz akurat w tej chwili nie myślał ani o mitologii, ani o Omnihomo, lecz o zdradzie, której miał się dopuścić.

Westchnął głęboko. Zadrzały jego potężne mięśnie piersiowe i prążkowane naramienne, podobne do wielkich brązowych muszli. Zlustrował otoczenie.

Platforma z ich okrągłym łóżem wznosiła się niezwykle wolno, a razem z nią kilka mniejszych platform, nad którymi unosiły się lustra, toaletki jego partnerki, hiperbos z jego ranowym ciałem i oczywiście gotowy do akcji Coremour Wzór X czuwający nad ich snem niczym wierny ochroniarz. Dookoła dryfowały inne mniejsze platformy ze skomunikowanymi z nimi meblami, tworząc nieustannie morfujące, modyfikujące swój układ wnętrze głównej sypialni. Wszystko było oświetlone przesianym przez żaluzje ciemnoczerwonym światłem nocy. *Bashing* jeszcze przez hektę będzie się utrzymywał w wąskim klinie ciemności, leniwie żeglując przez raj. Potem wypłynie w stronę dnia, a Laurus poleci do Leża.

Mężczyzna znowu westchnął.

Potrafił robić wiele rzeczy, o których wiedział, że będzie ich żałował. Potrafił krzywdzić fizycznie, rozdając ciosy i kopniaki, kaleczyć duchowo i psychicznie, rzucać słowa ostre jak nóż i spojrzenia miażdżące niczym młot. Potrafił przyjmować uderzenia każdego rodzaju, znosić obciążenia i napięcia, wytrzymywać wielki ból i udrękę. Wiedział to, bo przeżył dziesiątki cykli podczas Pugna Eterna na Nomorii i nieraz wystawiał swoją dzielność na próbę. Ale nie umiałby choćby drasnąć, oczywiście metaforycznie, swoich kobiet, najukochańszą z nich zaś od zawsze była Kaja.

Zacisnął wąskie usta. Zagrały mięśnie na jego żuchwie, gdy ledwie zauważalnie skinął palcem ręki uwolnionej spod lekkiej, połyskującej czerwienią kołdry. Do jego dłoni przypląnął i zawisnął nad nią aparat wielkości opuszki palca. RanaR spojrział na Kaję i uruchomił mentalnie Łaskę Imperatora, dzięki czemu ominął zabezpieczenia jej frina. Aparat ruszył i powoli zbliżył się do czoła śpiącej. Wysunęły się z niego cienkie jak włos wypustki i opłotły całą głowę.

Aristos wydał kolejną mentalną dyspozycję.

A potem zastygł.

Dwie mony później urządzenie odkleiło się od głowy kobiety, Laurus zaś zwolnił uścisk Łaski Imperatora. Frin jego pani powrócił do rutynowych funkcji, nie zdając sobie sprawy, że nastąpiła ingerencja w układ nerwowy posiadaczki oraz jego własne pokłady logiczne.

Ran wszystkich Ranów powoli wstał z łóżka i nagi niespiesznym krokiem podszedł do krawędzi platformy. Gdy wykonywał krok w pustkę, pod jego stopą pojawił się stopień. Dom wiedział, dokąd zmierza jego właściciel, wiedział też, że Wilehad nie ma na sobie żadnego urządzenia pozwalającego na dryf, więc stworzył ścieżkę wiodącą metr wyżej, na drugą stronę pomieszczenia, do wielkiej skrzyni unoszącej się kilkanaście centymetrów nad podłożem. Przewidując, że Aristos zabawi tam jakiś czas, airvill zmienił trajektorię przemieszczających się platform mieszkalnych tak, by omijały tamten obszar i nie zakłócały czynności pana domu. Doszedłszy do skrzyni, mężczyzna wydał mentalną dyspozycję. Przestrzeń wokół niej jakby się ugięła i cicho zasyczała, po czym zamek pisnął i kłapy pojemnika, w którym swobodnie mógłby się zmieścić nawet Ran, uchylily się. Wypląnął z niego miecz mierzący tyle, co Laurus od stóp do głów (na czas obcowania z Kają Wilehad przebywał w niskim, cywilnym ciełe). Oręż zawisnął w powietrzu i obrócił się kilka razy, jakby chciał się przypodobać właścicielowi. Maod-

An ocenił jego poler, tronię, zdobienia rękojeści i jelca. Ledwie zauważalnie się uśmiechnął. Wydał mentalny rozkaz. Broń posłusznie podfrunęła do ściany, a ta oplotła ją złotym ornamentem. Miecz przylgnął do niej mocniej i jeszcze przez chwilę dookoła niego morfowała struktura wnętrza, by stworzyć wokół klingi idealnie dopasowane zdobienia. Kilkadziesiąt cetni później miecz wyglądał tak, jakby zawsze tam wisiał. Wilehad uśmiechnął się do siebie. Lubił to ostrze, chociaż nie należało do standardowego wyposażenia Rana. Zamówił je w którymś Worplanie i zawsze zabierał ze sobą, mimo że rzadko używał.

Wydał kolejny rozkaz i ogromna skrzynia zaczęła morfować i maleć, aż zmniejszyła się do rozmiarów niewiele większych od ludzkiego korpusu. Mężczyzna wyciągnął rękę w bok. Z toaletki znajdującej się dwa metry dalej podpłynął do niego piękny topazowy talizman, powoli rotujący i połyskujący złotymi fasetkami, co po zmiksowaniu z bordowym światłem nocy dawało pozór oranżu. Laurus popatrzył na klejnot, wydał jeszcze kilka mentalnych rozkazów, a potem pchnął go lekko przed siebie. Kamień zatrzymał się półtora metra dalej i czekał na dyspozycje.

Aristos znowu westchnął. Czuł, że coś się kończy. Wyraźnie to czuł. Był Ranem, a Ranów nie szkoli się, by podążali przez życie ślepi i głusi na fale losu. Tomo uczy się, jak płynąć po grzbiecie bałwana, co symbolizuje dwójka monet imperialnego Tarota. Mężczyzna uruchomił pole dryfowe platformy, poczuł pchnięcie od strony podłogi, uniósł stopy i zawisnął w powietrzu. Ułożył nogi w pozycję lotosu i wywołał magiczne karty, które po chwili otoczyły go pierścieniem. Zmówił szeptem litanie spokoju, odczekał kilka oddechów i wywołał pierwszą. Metowy obiekt, oprawiony w kamień i metal, błysnął witrażowym wyobrażeniem. RanaR zmrużył oczy, jakby się mierzył z groźnym przeciwnikiem. Potem wywołał drugą i trzecią kartę. Przez moment trwał nieruchomo, jakby toczył bitwę z losem. Gdyby

w pobliżu znalazł się wtedy jakiś Tomo, wyczułby, że Torii walkę tę przegrywa, bo nie da się zwyciężać we wszystkich bitwach, ale na nieszczęście – lub szczęście – nikogo takiego wtedy przy Ranie wszystkich Ranów nie było. Mężczyzna przygryzł górną wargę i wydał rozkaz dematerializacji Tarota. Prostokąty złożyły się w talię za jego głową i zniknęły. Aristos przywołał talizman i przez chwilę obserwował, jak ten powoli obraca się nad jego dłonią. Wydał kilka mentalnych dyspozycji, po czym nakazał mu lot w kierunku skrzyni. Gdy klejnot w niej spoczął, mężczyzna wyłączył pole dryfowe, rozprostował nogi i stanął na podłożu.

Odwrócił się i zaczął iść cienkim mostem z modułowych stopni w kierunku łoża. Skrzynia bezszelestnie się za nim zamknęła.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, grunt  
Warsaw City, dystrykt Cotomou  
08 Decimi 232 EI, 09.51 H

Wleciałem między estakady i chodniki. Kilka kilometrów dalej i na lewo słyszałem szum wycieczki, szczebiot dzieci, głosy przewodników, wszystko odbite od setek obłych ścian, spłaszczone i upodobnione do szemrania strumienia. Tu było prawie cicho. Prawie.

Niżej.

Leciałem wzdłuż grubego kadłuba wieży i czułem wszystkimi zmysłami, że nie jest zrobiony z materiałów, które tworzyły dawne miasta. Wtedy były osobne dźwigary, łącza, śruby, nity i mocowania. Każdy rodzaj budulca śpiewał inną pieśń, inaczej pachniał, inaczej wibrował. Kiedyś czułem to nieświadomie, teraz, być może po wizycie w środku Ziemi marne sto

kilkadziesiąt cykli temu, stałem się wrażliwy na te emanacje. Wieże, chodniki i ciągi, które mnie otaczały, były skonstruowane z inteligentnego, morfującego fraktalowego materiału, który pachniał inaczej, inaczej pochłaniał ciepło słońca, był jakby żywy. Owszem, miał fakturę i kolor dawnych budynków, ale to nie było to samo.

To nie było to samo.

Z pewnością większość Ziemiaków nie zauważyłaby różnicy, ale dla soulera była ona oczywista.

Lecę niżej.

Robi się ciemniej i ciszej. Chodniki są nade mną, dookoła mnie. Znajduję się wśród opasłych podstaw wież. Wszędzie jest za czysto. Nie tak jak dawniej.

Podmiasto. Tu były rośliny, gruzy. Teraz jest za mało ostów, za mało ruin.

To manekin mojego miasta.

Dotykam stopami gruntu.

Zbroja chowa skrzydła.

Wyciągam nagie palce ku suchej ziemi, jakby wyrównanej, wyprasowanej jakimś żelazkiem.

Przed oczami migają mi twarze. Kasia Zebrzydowska. Mieszkała na średnim poziomie. Kochałem się w niej. Kochałem jej proste brązowe włosy i jasne oczy. Sophie Ravensbruck. Chodziła do mojej klasy. Bystra, wesoła. Osobowość. Wróżono jej wielką karierę. Ralph Pulaski. Inteligentny blondas o radiowym głosie. Byłem przekonany, że zostanie holmowcem. Ilona Sparrow. Uzdolniona plastycznie, wysoka, ciemnowłosa. Myślałem przez jakiś czas, w charakterystyczny dla młodego wieku, naiwny sposób, że się pobierzemy. Nie złożyło się. Wolą Jeremiego Gralsky'ego, źle uczącego się łobuza, który jednak miał taki urok, że lubili go zarówno nauczyciele, jak i uczniowie. Żartowaliśmy, że skończy w armii.



Wszyscy tu zostali. Wszyscy.  
I ja ich wciąż pamiętam.

Wystartowałem i od razu przyspieszyłem do czterystu kilometrów na godzinę. Frin ostrzegł, że w obrębie ziemskich polii nie wolno rozwijać takich prędkości. Użyłem Łaski Imperatora. Program się zamknął. Dookoła mnie wyrosły moduły lotu, masywne, chroniące głowę i barki, spowijające mnie technologicznym kokonem. Wieże mignęły po lewej i prawej stronie, rozmyły się w szarą plamę. Mknąłem w ich lesie, słuchając instynktu i frina dzielnie wytyczającego trasę przez labirynt, który nie dopuszczał ani promieni słońca z góry, ani widoku brzegu polii gdzieś tam, na zachodzie, w którym to kierunku zmierzałem. Ominąłem jedną wieżę, drugą, trzecią i czwartą, cały czas przyspieszając. Błysnął promień słońca, wieżyce rozsypały się w bardziej przesiany las i po chwili rozbijałem przestrzeń prędkością trzech tysięcy kilometrów na hektę. Nie słyszałem szumu powietrza, bo zbroja i frin wytłumiły hałas. Przekazałem pancierzowi informację o punkcie docelowym i zamknąłem oczy.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Yimr, grunt  
Polia Roomney, dystrykt Oomba  
08 Decimi 232 EI, 09.56 H

– Osobiste działko kwantowe. – Gutberg Warwick klepnął się w prawe udo, a na nim z sykiem rozpychanego powietrza zmaterializował się duży,

niezgrabny moduł, który po chwili oplótł jego pancerną pachwinę i rozwinął się na zewnętrznej powierzchni nogi w masywną broń. Kanciasta lufa zlustrowała pomieszczenie jak czujny pies, po czym wycelowała w Hana.

Fierce wykonał krok w bok, ale działko nie przestawało go śledzić.

Gut roześmiał się.

– Spokojnie. W programie jest natychmiastowe namierzanie i śledzenie wszystkich obiektów w polu widzenia, przy czym urządzenie koncentruje się na najgroźniejszym.

– Wątpliwy komplement. – Fierce wykrzywił wąskie usta.

– Tutaj jest dysza wsobna. – Warwick wskazał niewielką płytkę, którą trudno było uznać za dyszę. – Trochę szumi, jak wciąga. Oczywiście najlepiej się sprawdza w środowisku gazowym. Przypierdala molekułami rozpędzonymi tak, że po drodze tworzą się czarne dziury, cząstki Higgsa i cała, kurwa, grupa Liego.

– Efekt?

– Miniaturowe czarne dziury w pancerzu. Dwa strzały i przebijasz na wylot nawet Coremoura.

– Posiadacz zginie?

– Będzie miał dziurę, względnie małą. Czy zginie, trudno powiedzieć.

– To jak wielka jest ta dziura?

Gut zassał powietrze przez zaciśnięte zęby. Wiedział, że Han będzie niezadowolony z odpowiedzi.

– Trzy milimetry średnicy.

– W dupę sobie wsadź to działko.

Handlarz ciężko westchnął. Moduł bojowy zniknął z jego uda z kłaśnięciem zassanego powietrza.

– Forddel. Fourth Dimension Diamond Launcher.

Na jego lewym barku pojawił się z trzaskiem rozpychanych gazów moduł,

który uchwycił część płyt piersiowych oraz łopatkowych i wpasował się w naramiennik pancerza. Gutberg zachwiał się i ugiął kolana. Broń była ciężka, a system antyinercyjny nie do końca sprawny.

– Przypierdala syntetycznymi, wzmocnionymi polem siłowym diamentami, używając do ich przyspieszania pola Grigoriewa.

– Niemożliwe!

– Możliwe. Takie cacka ma wojsko. Broń praktycznie bezgłówna. Feler? Ma magazynek, tak jak stare pizdolety. Zapas dwieście sztuk. Potem milczy jak grób, chyba że dokupisz magazynki. Hipok Forddela mieści ich do dwustu pięćdziesięciu. Powyżej, jak znam życie, przypierdoli się ImBu. Czas wymiany magazynka: cetnia.

– Efekt?

Gut zaśmiał się cicho. Wydał mentalną instrukcję i na drugim końcu niskiego pomieszczenia, pięćdziesiąt metrów od nich, wychynęła z bocznego slotu zbroja podobna do Coremoura. Gdy się zatrzymała i skierowała w ich stronę, Warwick ledwie zauważalnie zgiął palce lewej ręki. Han nie był pewien, co usłyszał najpierw – wrzask rozdieranego tworzywa na końcu pokoju czy cichy jęk broni podobny trochę do odległego zawodzenia kobiety. W jego nozdrza uderzył zapach palonego pancerza. Spojrzał w kierunku celu. Ku jego zaskoczeniu zbroja ciągle była cała, chociaż obficie dymiała z klatki piersiowej.

– No i co? Nieprzebity.

– Chwilunia.

Gut oddał drugą salwę, po niej trzecią i czwartą. Han zanotował, że przy ostatnim strzale pancerz zareagował innym dźwiękiem – coś wyraźnie trzasnęło.

– Puścił – skwitował Warwick.

– Za długo. Cztery salwy? Który Ran pozwoli mi na czterokrotne trafienie?

Gutberg zacisnął mocarne szczęki. Mięsiste usta ułożyły się w krzywy grymas. Moduł zwinął się z jego ramienia i z głośnym pomrukiem zniknął w podprzestrzeni. Warwick znowu się zachwiał, łapiąc równowagę. Wyprostował nogi.

– Jesteś upierdliwy.

– Nie upierdliwy, tylko dokładny. A ty jesteś idiotą, pokazując mi badziewie.

Handlarz chwilę milczał, jakby rozważał, czy zdzielić Hana w łeb, czy go grzecznie wyprosić. Wreszcie na drugim końcu pomieszczenia pojawiła się nowa zbroja, a na prawym przedramieniu Gutberga zmaterializował się kolejny moduł, tym razem obejmujący dużą część naręczaka i opachy. Wystawała z niego dość długa lufa. Na pierwszy rzut oka był ciężki, ale Warwick nawet nie stęknął.

– Duży, ale jak widzisz – powiedział – ma antygrawy, które aktywują się natychmiast po uruchomieniu. To Elorhag. Extremely Long Range Hand Gun, zwany też Eleonorą. Sprzęt zwiadu Armii Imperialnej. Ustrzelił muchę na księżycu. Trochę głośny przy rozruchu. Wali tytanową kapsułą zawierającą trzy tryliony mikrobotów, które są w stanie zniszczyć niemal wszystko, co jest złożone z technofraktali.

Fierce przyjrzał się broni z zainteresowaniem. Potarł kanciasty podbródek. Gut wiedział, że to znak podejmowania decyzji. Stłumił uśmiech.

– Efekt? – spytał Han.

Warwick wyszczerzył zęby, trochę jak otoczona liczną rodziną dziewczynka pozująca do pierwszej zbiorowej hotki.

– Patrz.

Wydał mentalną instrukcję. Palec wskazujący jego prawej ręki nieco się zgiął, rozległ się pisk ładowania, a potem głośny jęk, jakby karabin się skarżył, że mężczyzna strzelił. Razem z tym jękiem dało się słyszeć

trzaśnięcie pancerza po drugiej stronie pokoju.

Handlarz ściągnął wielkie wargi w stronę lewego policzka. Był zadowolony.

– Może być? – spytał.

– A nie masz Axela? Albo quilli?

Gutberg roześmiał się.

– Nie, bracie. Axel i skrzydła to broń Ranów. Nikt nie ma do niej dostępu.

Han przyjrzał się Eleonorze.

– Przebije też żywą zbroję? Taką prawdziwą? Wiesz, błogosławioną, oplutą świętą śliną, leżącą na Aristosie?

Obaj wiedzieli, że pusta skorupa to jedno, a żywy pancerz okrywający Najlepszego Imperatora to coś zupełnie innego. Aristoi byli bogami.

Gutberg przekrzywił głowę, jakby zaswędziało go ucho.

– Tego nie wie nikt.

– Poradzi sobie z osłoną RanStone?

Handlarz wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dlatego rada jest jedna. – Przełknął ślinę i lekko wybałuszył oczy, jakby sam nie wierzył w to, co za chwilę powie. – Wal w głowę.

– To może zniszczyć arun – zauważył Han.

– Jeśli tak, inny wydzieli się z dowolnej części pancerza. Poza tym, jak walniesz w łeb, arun nie pomoże.

– Prawda.

– Czyli w gardło.

– Słusznie.

Gutberg otarł pot z czoła.

– Zapytam jeszcze raz: Wiesz, co robisz?

Han spojrzał na broń, którą Warwick ciągle miał na rękę.

– ImBu wie o twoim małym interesie?

Handlarz wygiął masywne usta w podkowę.

– Musi wiedzieć. Wie o wszystkim.

– A mimo to nie zesłał cię na Sofię. Nawet nie upomniał.

– Nie.

– No właśnie. Ta maszyna, ten rządzący nami program zbyt dobrze wie, że to my, ludzie, sami musimy oceniać, co jest dobre, a co złe.

Gutberg schował w podprzestrzeni Elorhaga. Klasnęło zassane powietrze. Odprężył się i poruszył ramionami.

– Myślisz, że dopuści do zbrodni? Jeśli, powiedzmy, zgłupiejesz do reszty i będziesz celował w głowę?

– Powinien.

Warwick skinął na Hana palcem. Podeszli do barku. Barmat nalał do dwóch trupich szklaneczek po miarce whiskey.

– To nie ma sensu – rzucił Gut. – Powinien cię powstrzymać.

Han wypił mały łyk.

– Dlaczego?

Handlarz także zamoczył usta.

– Żeby ochronić życie. Zwłaszcza Błogosławionego. Błogosławiony to jakby Imperator.

– Jeśli mnie powstrzyma, to znaczy, że odbiera ludziom prawo decydowania. On wie, że nie jestem psychopatą, że nie mam zaburzeń. Jestem wolnym Sitem. Muszę to sprawdzić.

Warwick wypił do końca i wystawił szklaneczkę w kierunku barmata. Ten skwapliwie ją napełnił.

– Słuchaj, czy ta maszyna naprawdę nas kontroluje? Wszystkich?

Han też dopił whiskey i wyciągnął rękę z pustym szkłem.

– Co masz na myśli?

– Półtora biliona ludzi. Googole myśli i rozmów. Intencji. Jest w stanie to przeanalizować? Może rzeczywiście w mapie ImBu są czarne dziury? Może jesteśmy w tej chwili dla niego niewidzialni, bo patrzy w inną stronę?

– Budda widzi wszystko. Ale to maszyna. Imperator może być ślepy.

– Z tego by wynikało, że jedno robi swoje, drugie swoje i są...

– W konflikcie?

– Za dużo powiedziane. Po prostu realizują inne cele.

– Cholera go wie. – Han wypił spory haust. – Nigdy nie byłem Imperatorem.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, grunt  
Wrocław, dystrykt południowy  
08 Decimi 232 EI, 09.81 H

„Tak kochana jak żadna inna”, brzmiał napis na nagrobku mojej matki.

Nie było już nagrobka. Wszystko zostało zniszczone. Na sztucznym cmentarzu tkwiły imitacje grobów, żeby dzieci mogły zobaczyć, jak kiedyś chowano zmarłych. Patrzyłem na atrapę nekropolii i nie mogłem sprząc tych dwóch widoków: prawdziwego cmentarza, który ostatni raz odwiedziłem z ojcem, gdy wszystko się rozpadało, i krajobrazu, który był teraz dookoła, czystego, uładzonego, nieprawdziwego.

Szumią topole. Tak, one są prawdziwe.

To prawdziwe drzewa i liście szeleszczą dokładnie tak samo jak kiedyś. To się nie zmienia.

Ale wszystko inne tak.

Scott Fitzgerald w *Wielkim Gatsby* napisał: „Kierujemy swoje okręty pod prąd, który spycha je w przeszłość”.

Czy jakoś tak.

Nie da się wrócić do tego, co minęło, z tego prostego powodu, że to minęło. Przeminięło.

W moim życiu przeminięło już tak wiele rzeczy, że mój okręt, tak jak okręt Baltazara, oszalałego ojca moich dni, zaczyna się gubić pośród wysokich fal. Przestaję ogarniać całokształt życia, jak człowiek nieustannie kołysany w przód i w tył, gdzie w jednym apogeum jest alkohol, a w drugim sen głęboki niczym śmierć.

Torkil, przestań.

Odleć stąd.

Patrzę po atrapach grobów i wzlatuję wyżej.

Do miasta.

Pode mną przesuwają się zalane białym światłem puste imitacje wież mieszkalnych, w uszy uderzają nieprawdziwe odgłosy.

Obniżam lot, by przyrzeć się dużej platformie spacerowej leniwie żeglującej blisko szlaku pneumobili. Tu jadałem lody z rodzicami. Teraz w tym miejscu nie ma lodziarni, jest atrapa sklepu. Nie wszystkie plany się zachowały.

Podlatuję do tarasu Wieży Jaskółki. Tu z Baltazarem rozmawialiśmy o czarnych dziurach, patrząc na gwiazdozbiór Oriona. To nie był głupi facet. Tylko zaburzony.

Lecę dalej, do opasłej struktury okolonej kilkunastoma bąblami przedszkoli. Tu matka mnie odbierała, na tym lądowisku. Wybiegałem do niej tak szybko, że bała się, że się przewrócę. I kilka razy rzeczywiście zdarłem sobie kolana. Dzieci WayEmpire nie zdzierają sobie kolan. A jeśli nawet, wydarzenie to traktują jako coś wyjątkowego.



Wylądowałem na tarasie pachnącym fraktalowym materiałem, kilkadziesiąt metrów od nieaktywnego wejścia do przedszkola.

Tak jasne niebo.

Tak niebieskie.

Tak odległe.

I tak strasznie nie moje.

Boże, jak strasznie nie moje.

Frin odgaduje me intencje i umieszcza za moimi plecami arealny fotel.

Siadam. Mogę to zrobić, bo mój Coremour, używając silników i siłowników, stwarza pełne wrażenie kontaktu z realnym przedmiotem. Dla kogoś, kto nie byłby podłączony do sieci WayEmpire, wyglądałbym kuriozalnie: wychylony do tyłu gość, który wygląda, jakby siedział na niewidzialnym krześle. Facet powinien się przewrócić, ale jakimś cudem pozostaje w tej dziwnej pozycji niczym podtrzymywany magiczną siłą.

Tyle że w Imperium nie ma ani jednej niepodłączonej osoby. To niemożliwe.

Podlatuje O'Tool. O'Toole praktycznie nie rozstają się z Sitami. Można zerwać połączenie z ArtDroidami, nawet z SaintDroidem, ale nie z O'Toolem. Poprosiłem mentalnie o filiżankę kawy. Podobny do cienia czarny dron złączył dłonie i otworzył okno teleportu. Poczekałem trzydzieści cetni i już płynęła w moim kierunku pachnąca arabica w oranżowo-złotej filiżance na takim samym spodku.

Wszystko w Imperium jest przesycone złotem, tego kruszcu mamy teraz pod dostatkiem.

To piękny metal.

Z odległych, nieznanych planet niszczonych przez roje Pożeraczy Światów.

Chwyciłem spodek. Porcelana stuknęła o pancerną rękawicę. Usunąłem

metal z rąk. Dotyk chłodnego szkła. Zaciągnąłem się aromatem. Wanilia, rum, doskonała mieszanka odpowiednio palonych ziaren. Na Ziemi może raz piłem taki nektar. W siedzibie umierającego gнома Petera „Crasha” Kytresa.

Ściśnięte gardło.

Wdech.

Jeszcze raz. Wdech.

Przez nozdrza do mózgu razem z aromatem dochodzą wspomnienia.

Tak, pamiętam.

Tak, pamiętam. Irish whiskey. Pierwszy raz piłem tę kawę jeszcze w liceum. Tutaj, we Wrocławiu. Wydałem polecenie frinowi i wgrał mi wszystkie możliwe do wydobycia wspomnienia z tego okresu czy raczej wspomnienia wspomnień, bo odtworzenie autentycznych śladów pamięciowych z czasów przed obicoinami jest niewykonalne. Wlały się we mnie karmazynowe jęzory obrazów, zapachów, dźwięków i odczuć, zmieszały się z obecnymi i utworzyły nową osobowość.

Przez chwilę kręciło mi się w głowie, ale nieistniejący fotel podtrzymał moje chylące się ciało.

Gra Abyss Pioneers. Moja pierwsza kosmiczna przygoda. Prymitywny, tani typ łoża, który rodzice kupili, zapożyczając się w banku. Nigdy nie potrafili oszczędzać. Wszystko kupowali na kredyt. Łoża. Uśmiechnąłem się do wspomnienia. Wtedy wchodziło się do sieci za pomocą kasków i łoż. Teraz byle pancierz może być jednym i drugim, a efekt gamepilla bez trudu wygeneruje frin. Pamiętam radość, bardzo głęboką, bo odczuwaną przez młode, beztroskie serce. Tę pełną energii ekscytację.

Po wyjściu z sieci pijałem tę kawę. To były szczęśliwe chwile.

Piję kawę w trupie miasta i nagle płyn przestaje mi smakować.

Rozmawiam z duchami.

Odrzucam filiżankę. Ta posłusznie żegluje do teleportu w O'Toolu i znika.

Została przetransportowana do *Teacupa*.

Znowu wdech i wydech.

Wstaję.

Fotel znika.

Startuję.

Przyspieszam.

Wieże Wrocławia uciekają, maleją pod stopami, miasto kurczy się, jakby ktoś wziął jego obraz między kciuk i palec wskazujący, po czym zaczął go zgniatać. Dookoła huczy powietrze. Szarpie włosy, uderza w policzki i oczy. Wybieram potężniejszy pancerz, który owija się grubymi spiralami wokół ciała i oddziela mnie od rzeczywistości. Trzy tysiące na hektę. Cztery. Dziesięć. Na zewnątrz wrzeszczy rozdierana mieszanka gazów, targa zbroją, ale w środku nic nie czuję, nie słyszę. I niech tak już zostanie. Technologia jest jak dobra mamka, która nie pozwoli dziecku słyszeć jęku atmosfery, nie da odczuć żaru rozgrzanego powietrza. Otacza mnie pluszem ciszy, trójwymiarowych ekranów i animacji toru ruchu.

Zza błękitu coraz wyraźniej wychyla się Raj, świat, który zbudowano dookoła Ziemi osiemdziesiąt pięć cykli temu. ImBu zasugerował, by nie osiedlać się na powierzchni Kolebki Ludzkości, i jego sugestia została uszanowana, ale sprytni obywatele pragnący wrócić do korzeni wpadli na pomysł, jak to zrobić, nie naruszając świętej powierzchni Damnaty. Wybudowali wokół globu pierwszą w historii WayEmpire poszerzoną atmosferę, opierając jej konstrukcję na filarach wbitych w planetę niczym widelce w pomarańczę. Kokon gazów gruby na dziesięć tysięcy kilometrów nazwali Rajem, przez duże „R”, w przeciwieństwie do rajów na następnych planetach, których nazwy piszemy już małą literą. Jest to cyanowa przestrzeń pocięta gigantycznymi pionowymi kolumnami i łukowymi podciągami, w których mieszkają miliony ludzi. Filary i podciągi ułożono na

podobieństwo rusztowania, wzmocniono polami siłowymi i podzielono błonami grawitacyjnymi gwarantującymi stabilność ciśnienia na wszystkich poziomach. Między nimi kursują mobipolie, święte i nieświęte karawany, gromada airvilli, miliony Sitów, którzy, niczym mityczne anioły, podróżują na skrzydłach osobistych zbroi lub, ci mniej romantyczni, po prostu używając generatorów anty-g obecnych w każdym wdzianku, nawet pancerzyku dla dziecka. Wszędzie jest powietrze. Wszędzie jest niebo. Wszędzie są chmury. Blask słońca jest bardziej rozproszony, a sama tarcza wydaje się, zwłaszcza gdy jest niżej, o wiele większa niż w rzeczywistości. Podobnie księżyc. I wszędzie są fajerwerki animacji wskazujących drogę do najbliższych miast Raju, do najbliższych ruchomych polii, do poszczególnych karawan. Widzisz najnowsze technologie gotowe do pobrania z Worplanów, informacje o meczach i grach, zarówno tych zwykłych, jak i przyspieszonych, o cudach generowanych przez mistrzów i Ludzi Bramy. Lecisz teoretycznie w pustym powietrzu, a otacza cię gąszcz pełnych barw newsów i ozdób. Dzisiejsze czasy nie znoszą pustej przestrzeni. Wszędzie musi być kolorowo, wszędzie musi być informacja, i to nie pusta czy kłamliwa, tak jak kiedyś reklamy. Na każdym kroku poznać możesz ciekawostki z dowolnie wybranej dziedziny nauki. Mnie ostatnio intryguje matematyka, nic dziwnego zatem, że po drodze spotkałem trójwymiarowy ekran z pięknym dowodem, dlaczego nie należy dzielić przez zero...

Dawno temu, na Ziemi, wierzono, że w niebiesiech istnieje cudowne miejsce. Raj. Teraz tak jest. Wciąż lecę w górę, przebijam kolejne warstwy rzadkich cumulusów, ekranów informacyjnych i szlaków podróży. Frin informuje o pokonywaniu błon grawitacyjnych, które przepuszczają mnie bez protestu i bez procedury łączenia pól (gdy mobipolia przekracza błonę, musi wytworzyć wokół siebie bąbel grawitacyjny i połączyć go z barierą). Dookoła kwitnie życie – Sitizeni lecą tu i tam, błyskają zbroje, skrzydła,

błękitne silniki dryfowe, szumią pojazdy, ja zaś omijam je instynktownie to z lewej, to z prawej strony. Powietrznym ruchem sterują ImBu i inteligencja roju delikatnie ingerująca w tory przemieszczających się pojazdów, ale i tak Sitizeni są uważni, nie spieszą się, często ustępują drogi. Nie ma czegoś takiego jak prawo ruchu powietrznego. Są sugestie oraz Budda. Resztę załatwia dobre wychowanie.

Łopocą proporcami latające domy, ludzie wiszą nad balkonami i tarasami, rozmawiają na platformach, pozdrawiają się wzniesionymi pucharami pełnymi czerwonego wina. Uśmiechają się dziewczyny, uśmiecha się świat. Tu jest życie. Nie na Ziemi. Ludzie stali się *par excellence* aniołami. Tak zwyczajowo nazywa się mieszkańców rajów.

Wyhamowuję. Zbroja zwija część modułów lotu. Znowu słyszę dźwięki, szum wiatru. Powietrze pcha mnie w lewo, potem w prawo (w pobliżu grupa Sitów przekracza błonę grawitacyjną, a to zawsze generuje podmuchy). Wskazuję na wielopoziomowy taras, na którym w cieniu palm i parasoli wiszą w wygodnych pozach rozluźnieni, uśmiechnięci obywatele. Ted, Tara, Lena i Drog, jak informują napisy nad ich głowami. Przy każdym unosi się obowiązkowy O'Tool. Każdy jest zdobiony srebrnymi i błękitnymi liniami. Dalej lśni lazur wody w obszernym basenie. Jeszcze dalej króluje ich różowo-żółty airvill. Ted i Tara są w motombach, na których powierzchniach powoli kiwają się trójwymiarowe słoneczniki. Chwilami mam problem, by ich dokładnie widzieć, tak zlewają się z ogrodem kwitnącym w tle. Pod nimi trwają animowane szezlongi unoszące się na polach dryfowych. Ludzka potrzeba stwarzania iluzji, które uwiarygodniają niewiarygodne sytuacje, jest symptomatyczna. Pytam totowo, czy mogę się przysiąść. Przysiąść. To słowo powoli traci sens. Teraz nie ma posiedzeń ani postojeń. Są poleżenia czy raczej powiszenia. Odpowiadają szczerze i otwarcie:

– Przyłącz się, Błogosławiony.

Zbliżam się do platformy, mijając kwiaty i wysokie trawy. Przyjmuję ze słonecznikowych, mechanicznych rąk Teda puchar ciężki od wina i siadam z nimi jakieś półtora metra nad powierzchnią tarasu na arealnym fotelu dopasowanym stylistycznie do mebli tubylców. Frin i ImBu czuwają nad takimi szczegółami. Estetyka jest jedną z głównych wartości WayEmpire.

Nade mną łopocze SaintDroid, który dołączył w trakcie lotu wzwyż, połyskują złotem ArtDroidy, O'Tool posłusznie waruje tuż za mną. Razem tworzymy interesujący ornament tego parku.

– Co robicie, Sitizeni?

Ted odsuwa krawędź szkła od mechanicznych warg.

– Cieszymy się życiem, Ranie.

Tara, podobna do niego i unosząca się metr dalej, szczerze się śmieje, wznosząc szkło.

– Słusznie – mówię.

– Tara właśnie opowiada o swoich uprawach.

– Tak?

– Hoduję słoneczniki – odzywa się mechaniczna kobieta. – Uwielbiam to.

– To dlatego oboje tak... wyglądacie?

Śmieją się.

– Ja konstruuje wielki jacht – chwali się Ted.

Na prawo od niego pojawia się trójwymiarowy ekran. Króluje na nim coś w rodzaju aquala o czterech masztach ułożonych w kształt krzyża.

– To już czwarty – chichocze Lena, organiczna piękność o niebiesko-złotych włosach.

– Z tym ciałem to łatwe. Wszystkie narzędzia mam przy sobie – rechocze Ted.

– Narzędzia? – pytam.

– Nie używam technofraktali. Wyłącznie surowe materiały.

– Nawet śruby! – śmieje się Lena, a z jej włosów wyrasta wachlarz błękitnych i złotych promieni.

– O w mordę!!! – krzyczy Ted i zrywa się z fotela. Na chwilę zawisa w powietrzu i patrzy szeroko otwartymi oczami w przestrzeń.

Lena znowu się śmieje. Mężczyzna nie zwraca na nas uwagi. Widzę, że przyspieszył. Jego usta są rozchylone w niemym podziwieniu, nieruchome źrenice patrzą w dal. Domyślam się, co się dzieje, ale czekam na wyjaśnienie.

– Twin Teda przebywa na Roomie – mówi Lena.

To znana planeta. Ma strome i wysokie góry. Mekka miłośników sportów zimowych.

– Uprawia birding? – pytam, chociaż wiem, że najprawdopodobniej chodzi o zjazdy.

– Nie. Zwykły snowboarding.

– Zwykły?

– Antygrawitacyjny. Założę się, że właśnie przesłał mi jakiś niesamowity pak.

Ted zamyka usta, mlaszcze, mruga i rozgląda się, jakby widział nas po raz pierwszy.

– Aaaaależ niesamowity zjazd!!! – krzyczy rozentuzjasmowany. – Jeszcze go czuję w udach! – Klepie się po pancernych nogach. – Uch! Muszę się napić! No, niesamowite, niesssamowite!!! Dał Twin czadu, nie powiem! Uch! Jaka szybkość! Jaka dynamika, no, poezja! – Kręci głową. Jest podniecony, rozanielony.

Wielu obywateli żyje równolegle dwoma albo trzema życiami. Częsta wymiana paków powoduje, że istnieją jakby jednocześnie w dwóch lub trzech miejscach i przeżywają zdwojoną lub potrójną liczbę wrażeń w tym samym czasie. W przeciwieństwie do nomenklatury bojowej, nie nazywają kopii Dexem i Sinem, lecz Twinem i Threenem. Jestem do nich podobny.

Otrzymuję regularnie paki od Torkila tkwiącego w Arce Lamy i – od czasu do czasu – od Jeffa. Zmultiplikowane życie spełniło marzenia ludzkości o przygodzie, zaspokoilo tęsknotę za byciem w wielu egzotycznych miejscach naraz, przeżywania niezwykłych doznań wśród dzikich ostępów i jednoczesnego cieszenia się gorącą herbatą w gronie przyjaciół. Warto tutaj nadmienić, że niejaki Vito Siekieszynsky, zamieszkujący w drugiej dekadzie pierwszego wieku Queenę, udowodnił, że zbyt długa zwłoka w przekazywaniu paków prowadzi do separacji kopii i odmowy ponownego zespolenia. W ten sposób właśnie słynny Vit stworzył równo trzysta szesnaście bliźniaków żyjących osobnym życiem, a termin „syndrom Siekieszynsky’ego” zagościł w encyklopediach Imperium. Z tego powodu ImBu oraz friny pilnują częstej wymiany menów między kopiami. Inaczej posiadanie Twina i Threena szybko zmieniłoby się w nową formę pączkowania.

Vito do dzisiaj podróżuje między planetami kilkudziesięcioma airvillami zamieszkanymi głównie przez swoich braci (ten konglomerat siedzib nazwał, powołując się na chińskiego filozofa Bruce’a Lee, „B’Water”, ale wszyscy i tak mówią o jego karawanie *Vitoland*). Kiedyś miałem przyjemność ich spotkać. Zwariowane typy.

– Masz Threena? – pytam Teda.

– Tak. Uczestniczy w wyścigach na Fukushimaie.

– O rany. To po to budujesz ten jacht?

Kiwa głową.

Słynne rajdy na Fukushimaie. Niezwykle szybkie, niebezpieczne, organizowane na specjalnych torach tamtejszego rajdu. Mogą w nich uczestniczyć wyłącznie pojazdy pozbawione fłofów. Facet rzeczywiście żyje pełnią życia.

Kiwam głową, uśmiecham się i wypijam łyk wina. Jest bardzo dobre.



– A ty co robisz, Błogosławiony? – pyta Drog, czerwonołłosy, ciemnoskóry mężczyzna siedzący obok Leny. Ma na sobie lekki pancerz w tygrysiach barwach, który odsłania duże połączenie muskularnego ciała.

– Służę wam.

– I za to wypiję! – Szczerzy świecące białe zęby.

Sięga ręką ozdobioną siecią zgrabnych żył w stronę pucharu wiszącego nad niewielką, lewitującą srebrną tacą. Szkło posłusznie żegluję do jego dłoni. Przez chwilę podziwiam połączenie brązu, karmazynu i błękitu odbitego od powierzchni tacy.

Pijemy wino. Świeci słońce. Śpiewają ptaki. Szumią drzewa w Raju. W tle, między liśćmi palm widzę sine zamczysko Vox. Latające miasto, które – tak jak wiele innych polii – potrafi się łączyć z filarami Raju. Wtedy mieszkańcy opuszczają polię niczym żeglarze schodzący z okrętu i poznają jakiś zakątek wielkiej konstrukcji, gdzie mieszają się kultury tysiąca planet. Vox jest bardzo starym siedliskiem. Mówi się, że do jego budowy wykorzystano fragmenty Ecorisów... Nie wierzę w to. Dzisiaj mamy lepsze materiały niż sto cykli temu.

Wypuszczam z rąk kielich, a ten odlatuje nad tacę. Żegnam się i wstaję. To typowa chwila w Imperium. Sitizeni są otwarci, chętnie rozmawiają z nieznanymi. Teraz nie ma nieznanymi. Nie ma obcych. Tak jak kiedyś, na Damnacie, w krajach śródziemnomorskich ludzie wygrzewali się na słońcu i zapraszali przechodniów na lampkę wina, tak teraz, w Wielkim Imperium, zachowują się typowi Sitowie. I nie powiem, żeby komukolwiek to przeszkadzało.

Unoszę się i wznawiam lot. Zaczynam wolno, żeby podmuchem nie przewrócić ich stolika i nie połamać konarów drzew.

A potem przyspieszam.

Podnoszę wzrok. W oddali widzę moją karawanę, jeszcze błękitną od

odległości, cienką jak nitka. Robię zoom. Na przedzie pyszni się nasz airvill. Nie mówię „mój”, bo mieszka w nim sporo osób i nikomu nie chce się zastanawiać, do kogo należy. Jeśli ktoś będzie miał ochotę, stworzy własny w ciągu kilku dni. *Teacup* jest zamkiem z bajki. Wysoki, bogaty w barwy morza, owoców i słońca. Wieże strzelają w błękit, proporce powiewają karminem, purpurą, szkarłatem i złotem. Krążą wokół niego okrągłe tarasy. Człowiek to istota stojąco-siedząco-wisząca (żeby nie powiedzieć – latająca). Lubi mieć podłozę pod nogami, nawet jeśli go nie dotyka. Tak na wszelki wypadek. Zresztą czym by było latanie, gdyby nie grunt pod skrzydłami, który stanowi punkt odniesienia, zaświadcza, że istotnie latamy?

Za *Teacupem* ciągnie się święta karawana. Ludzie w WayEmpire lubią podróżować. Często nie mają konkretnego celu, więc albo tworzą własne vie i wspólnie ustalają, dokąd lecą, albo przyłączają się do Błogosławionych. Za naszym airvillem wisi kilkaset domostw ułożonych na kształt wijącego się węża, który gdzieniegdzie pozapętlął się, owinął wokół siebie. Na każdym postoju pielgrzymi lubią się spotykać, urządzać przyjęcia, tańczyć, dlatego karawana jest poskręcana, pozawijana. Przód także jest zapętłony na kilku poziomach. Domostwa wysunęły mosty, przęsła i łączniki. Mówi się o viach, że to ruchome, wielomodułowe miasta. Coś w tym jest.

Wciąż lecąc, podziwiam rosnący w oczach ciąg siedzib, które błyskają światłami i strzelają promieniami długimi na dziesiątki kilometrów. Istne miejsce fiesty, karnawału, rozpusty i szaleństwa. Torkil, gdyby ktoś ci coś takiego opisał, powiedzmy, dwieście cykli temu, uwierzyłbyś?

To Czasy Szczęśliwości.

Tylko nie dla mnie.

Tylko nigdy dla mnie.

Łączy się ze mną sensycznie Tell, który jest już przy *Teacupie*. Patrzy na mnie bardzo zaniepokojony.

*– Torkil, co się dzieje? Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłeś taki rozbity.*

Spotykam jego wzrok. Przytomnieję. Oddzielam się od siebie, patrzę z boku. Ta melancholia jest rzeczywiście zastanawiająca.

*– Coś się zbliża, przyjacielu.*

## Obraz 3

# Gniew aniołów

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Orbita planety Assam  
Flota Terraformacyjna *Steak*  
Nadzorca: Eryk Van Moon  
08 Decimi, 232 EI, 09.99 H

– Okej, chłopaki, jak sytuacja?

Eryk Van Moon, czarnowłosa i ciemnooki mężczyzna o skłonnych do uśmiechu pulchnych wargach i uroczych dołeczkach w śniadych policzkach, spojrzał na otaczające go ze wszystkich stron trójwymiarowe ekrany. Pokazywały pięć olbrzymich wulkanów na pięciu kontynentach planety, którą Imperator nazwał Assam. Oczywiście nie były to zwykłe stożki wulkaniczne. Wskazywały na to ich nienaturalnie regularne kształty oraz sąsiedztwo – wokół każdego rozciągało się dziesięć niemal idealnych kręgów mniejszych wulkanów. Terraformerzy nazywali te górotwory niezbyt ładnie, ale za to w taki sposób, by usłyszawszy tę nazwę, nikt już jej nie zapomniał.

Były to w ich slangu „krosty”. Powstawały w miejscu wniknięcia w planetę machin terraformujących i zostawały na zawsze, dając świadectwo, że stała się piękna i ma atmosferę i biosferę nie zrzędzeniem losu, ale wskutek działania panów stworzenia, mistrzów kreacji, książąt wysokich energii WayEmpire – terraformerów.

Takich jak Eryk Van Moon.

„Chłopaki”, do których się zwrócił, oczywiście nie byli ludźmi, ale Van Moonowi to nie przeszkadzało. Z rebotami współpracowało się tak samo dobrze jak z ludźmi, może nawet lepiej, bo nigdy nie marudziły i, jak mu się zdawało, podobnie jak on, uwielbiały tę robotę.

Przyjął totowe zapewnienia o pełnej gotowości.

Zerknął na wskaźniki energii. Machiny na powierzchni globu otrzymywały potężne dawki dzuli wprost ze statku matki, na którym znajdował się Van Moon, a statek matka otrzymywał wodospady fotonów z centralnej pojedynczej gwiazdy typu G1. Gigantyczny pojazd Van Moona krążył po niskiej orbicie wokół słońca i pił fale energii niczym głodny smok. Vanessa, przyjaciółka Van Moona, także terraformerka, zawsze twierdziła, że Eryk przesadza i pewnego dnia może źle skończyć. „Nie lataj tak nisko, twoje krosty mają tyle energii, ile trzeba – utyskiwała. – Magazynujesz tyle dzuli, że obsłużyłbyś trzy floty, nie jedną”. Oczywiście Vanessa nie wiedziała najważniejszego: dla Eryka to nie była niewinna rywalizacja. Przeciwnie, chciał zawsze z nią wygrywać – terraformować globy szybciej i lepiej niż ona. A Van była dobra. Ale nie dlatego, że dostarczała swoim machinom dużo energii, ale z tego prostego powodu, że miała bardzo rozległą wiedzę botaniczną i zoologiczną, której Erykowi nigdy nie chciało się zgłębiać aż do molekularnego poziomu. Dlatego nadrabiał energią.

Vanessa nie wiedziała jeszcze jednego – panele słoneczne statku matki Eryka były permanentnie uszkodzone, bo latał na niedozwolonej, bardzo

niskiej orbicie. Rzecz jasna, nigdy jej o tym nie powiedział, bo zaraz zaczęłyby się lamenty, zupełnie zbędne jego zdaniem. Żyli w Czasach Szczęśliwości, zanurzeni we flofowej technologii, dbał o nich cały cholerny inteligentny technosystem Imperium i panele bez przerwy się regenerowały. Za to energia, którą chłonęły, była tak ogromna, że jego maszyny terraformujące śmigały dwa razy szybciej niż zwykle, leniwe wulkanotwory. Ceną za niedozwoloną orbitę były nieustanne zapytania mózgu statku, czy nie wrócić na optymalny pułap. „Mamy Wolną Wolę”, odpowiadał wtedy Van Moon i ręcznie zmuszał statek do krążenia na pożądanej wysokości. Robił to od wielu cykli. Wiedział, na co stać jego krypę, i nie zamierzał niczego zmieniać.

Zerknął jeszcze raz na ekrany pokazujące stan machin. Wszystko było gotowe do pierwszego aktu. Zatem...

– No dobra – zatarł ręce z ekscytacji – ruszamy z tym koksem!

Do tej pory z wulkanów leniwie sączyły się obłoki dymu, a po zboczach niespiesznie ściekała lawa. Lecz na mentalną komendę Van Moona statek matka wysłał do machin terraformujących rozkaz rozpoczęcia prac, a wtedy skorupą planety wstrząsnęły w pięciu miejscach kolosalne eksplozje. Gdyby glob zamieszkiwały jakieś istoty, z pewnością w tym momencie zadrżałyby z trwogi. Z wulkanów trysnęły ogień, gęsty czarny dym i para wodna. Gejzery sięgnęły dziesięciu, potem dwudziestu, wreszcie czterdziestu, a w przypadku jednego wulkanu – pięćdziesięciu kilometrów. Wokół krost zaczęły się rozszerzać kożuchy gęstych, szaroczarnych chmur, wśród których strzelały rozświetlające je od środka błyskawice. Na brzegach chmury były rozszarpywane przez rzadką atmosferę, lecz wulkany produkowały tak wiele obłoków, że nawet głodna planeta nie była w stanie ich rozmyć. Jeszcze kilka hekt, myślał Eryk, nakazując statkowi matce przesłanie maksymalnej dawki energii, i spadną pierwsze śniegi. Po nich, gdy zaczątki atmosfery się ogrzeją,

oczywiście wyłącznie w okolicach wulkanów, pojawią się deszcze. W ciągu kilku undukil pojawią się rzeki, co w tej chwili brzmiało jak mrzonka, bajka opowiadana po spożyciu sporej dawki neurodrinków. Na początku rzeki będą bardzo szerokie, a gdy zaczną się zlewać, utworzą płytkie morza. Potem akweny te spłyną w najniższe miejsca globu, a gdy zaczną w siebie uderzać, ruszą wielkie tsunami grzmocące w łańcuchy górskie i rozegrają się katastrofy na taką skalę, że tylko martwy glob jest w stanie znieść je ze stoickim spokojem. Gdy ustaną tornada i wygładzą się grzbiety fal, co nastąpi w ciągu dwóch, może trzech deków, Van Moon zaszczepli na planecie życie. Najpierw błyskawicznie rosnące, ale krótko żyjące rośliny inicjacyjne, później porosty, a następnie rośliny bardziej przypominające sensowną florę. We wzroście pomogą im orbitujące wokół planety panele solarne, do których statek matka skieruje kolejne dawki energii. Wreszcie Eryk zaszczepli pierwsze gatunki fauny. Za niecały cykl planeta będzie gotowa do zasiedlenia. Będzie to wymagało dużo, bardzo dużo energii, ale Van Moon był na to przygotowany. Znowu pokona Vanesę.

Wydał mentalną dyspozycję wytworzenia metaprojeksi i znalazł się na poziomie gruntu terraformowanego globu. Widział, jak suną w jego kierunku budzące grozę i zachwyty zwały chmur wysokie na wiele kilometrów, jak powstają pierwsze, jeszcze słabe podmuchy atmosfery, czuł pod nogami nieustanne wstrząsy ziemi, tak silne, że gdyby w pobliżu stały jakiegokolwiek budynki, natychmiast by się zapadły. Assam ryczał, parskął z gniewu, przeżywał agonię, a rany, które odnosił, były zaczątkiem życia. Van Moon wspomniał teorie Tamaoizmu, że mężczyzna, w przeciwieństwie do kobiety, staje się płodny poprzez ranę. W tym rozumieniu Assam był mężczyzną. Dzięki inicjacyjnym sztychom, wskutek których obficie krwawił, wkrótce przeobrazi się w życiodajną ziemię. W trzasku piorunów, w huku tornad, w grzmocie ścierających się płyt tektonicznych rodziła się nowa siedziba

dumnego Imperium.

Po policzkach metowej reprezentacji Eryka Van Moona spłynęła łza.

Naprawdę uwielbiał tę robotę.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Ziemia, Raj

Karawana Błogosławionego Aymore'a

Sektor F 43243

08 Decimi 232, 10.12 H

*Teacup* leży na obwodzie wielokołowego i wielopiętrowego zbiorowiska airvilli. Widzę konstrukcje w kolorach stokrotek i maków, niezapominajek i chabrów, połyskuje złoto, srebro i miedź, szafir, turkus i szmaragd. Siedziby są strzeliste i płaskie, zwarte i modułowe, ale praktycznie zawsze poobwieszane mnóstwem proporców i flag. Wszędzie królują motywy anielic i demonów, gdzieś tam są smoki. To podstawowe ornamenty WayEmpire. Oprócz nich widać wpływ stylistyki azteckiej, hinduskiej i dalekowschodniej, ale oczywiście przekształconej w nowoczesny i klarowny sposób.

Jeden z airvilli to *Wielki Lew*. Mieszkają w nim Parsifal Freyr oraz Mortimer, Tajda, Fara, Cloe, Vivien i Brenda, wszystko Freyrowie. Spotkałem ich przypadkiem kilkadziesiąt cykli temu. Ocaleli pod Si-Han, przetrwali też Drugą Wojnę z Thirami i pozostali wierni pasji podniebnego żeglowania. Ich dom wygląda jak utrzymana w koniakowym kolorze wielka fregata, z której, prócz głównego, wystają maszty w bok i w dół, zupełnie jak w projekcie słonecznikowego Teda. Wiśniowo-żółte żagle, gonfalony i oriflamy. Oprócz wymienionej załogi żyje tam dużo innych osób, których



imiona i wygląd oczywiście znam, ale szkoda mi głowy na przypominanie sobie, kto jest z kim i jak skoligacony. To resztki ich Klanu.

Odkąd ImBu zniósł gospodarkę pieniężną, Reory w większości się rozpadły. Okazało się, co było dość oczywiste, że spajała je potrzeba ekonomiczna. Gdy zniknęła, zniknęły też zbędne więzi. Teraz ludzie są razem nie dlatego, że muszą, ale dlatego, że chcą. Łączą ich pasje, zainteresowania i marzenia, a nie przymus monetarny. Zerkam na Vivien, która, tak jak dwa wieki temu, uwija się przy linach Lwa. Kiedyś powiedziałem, że wiatr wywiał z niej i z pozostałych syren krypy zbędny tłuszcz. Wydaje się, że z więziami międzyludzkimi jest podobnie. Eliminując pieniądze, zdmuchujesz tłuszcz relacji. Obserwuj, co się wtedy stanie: czy ludzie zostaną razem, czy o sobie zapomną. Jeśli to pierwsze, związek zacznie wyglądać jak Vivien. Będzie zdrowy i piękny.

Wiszę z Tellem nad centralnym tarasem pierwszego zwoju vii, pośród ornamentów, roślin, chodników, mostów i zgiełku animacji. Podziwiam zgromadzone dzieła sztuki: iluzyjne ozdoby barierek i kolumn, ruchome rzeźby przedstawiające Ranów i Skymoury, kroczące miasta i latające miniaturowe zamki, opalizujące klejnoty. Anioły i Demony. Ludzie otaczają się feerią arealnego hałasu, błysków i półprzeziernych mar. Człowiek jest piękny, bo projektuje cudowne rzeczy, w których małe dopełnia duże, piony równoważą poziomy, a harmonia idzie w parze z rozmachem i nieograniczoną fantazją. Oczywiście pomagają w tym maszyny, ale one tylko odpowiadają na nasze chęci i czasami minimalnie je modyfikują. W dzisiejszych czasach praktycznie niczego sam nie budujesz. Wydajesz dyspozycję O'Toolowi, on sprzęga się neurofeedbackiem z twoją głową, często sugeruje modyfikacje, ostatecznie zaś ustala kształt zamówionego przedmiotu i po twoim zatwierdzeniu przekazuje zlecenie Worplanowi. Rzecz jasna, rodzi się pytanie, jak bardzo ingeruje w pomysł i czy

przypadkiem nie zaszczepia ci sympatii do swoich projektów, tak że w końcu lubisz to, co on wytworzył, a nie twoje dzieło. To oczywiście przeczyłoby świętej idei Wolnej Woli i oznaczało, że wszyscy jesteśmy marionetkami Buddy. Ale, jak sądzę, to zbędne obawy. Nikt na tym nie zyska, bo nie ma obiektu pożądania w postaci pieniędzy, więc nie ma potrzeby manipulacji, a Imperator, Budda tym bardziej nie są na nią podatni. Wszystko, co człowiek zamawia, jest zgodne z jego marzeniami, oczywiście w miarę możliwości technicznych. Jeśli to, czego potrzebujesz, jest rozmiarów, powiedzmy, do kilku metrów sześciennych, O'Tool poradzi sobie z teleportacją (najczęściej w kilku partiach, które zostaną zespolone na miejscu) i będziesz to miał najdalej za kilka hekt. Jeśli zamówienie jest duże, na przykład masz ochotę na nowy airvill, musisz poczekać na Gran'Tool, który za kilka dni przyleci z najbliższej stacji planetarnej i przeteleportuje ci dom w ciągu deku. Jeśli chcesz coś jeszcze większego, jakiś nie wiem, super hiper airvill, ImBu spyta cię, po co. Pozwoli ci go zbudować, jeśli udowodnisz, że będzie służył czemuś pożytecznemu, nie tylko rozbuchanej wyobraźni czy próżności. Oczywiście wciąż możesz to coś zbudować, jeśli masz wielką potrzebę, ale już sam, nie wysługując się Worplanami. One dostarczą ci budulca, ale nie zrobią tego za ciebie. Służba. To jedno z kluczowych pojęć w Czasach Szczęśliwości.

Widzę Steffi Alland. Jest ubrana w ciemny pancerz, który odzwierciedla jej figurę i animuje za plecami skrzydła upodabniające ją do motyla. Latają wokół niej fantastyczne owady rozsiewające pyłek świecący metaliczną zielenią. Steffi leci na małym jachcie przypominającym maszyny parowe z dawnych czasów – statek połyskuje miedzią i mosiądzem, matowo świecą maszty, niby żelazne, przeżarte rdzą. Nad jej ręką lewituje talerzyk z ciastkiem. Jej jacht dokuje przy centralnym tarasie, tym, nad którym siedzę. Płomiennowłosa szybuje i kotwiczy tuż obok mnie; jej kostkę otacza

animowany złoty łańcuszek, z którego zwiesza się pięć cięgien zakończonych złotym jachtem podobnym do tego, na którym przyfrunęła. Przy jej kotwicy mój ciężki łańcuch i stalowa, polerowana kula, która tworzy iluzję zagłębiania się w popękane płytki podłoża, wygląda prymitywnie. Dziewczyna wysyła do mnie talerzyk. Przyjmuję go, dotykam jej dłoni, między naszymi palcami przeskakuje kilka animowanych iskieł. Śmiejemy się.

Dookoła parasole, muzyka, ludzie śmigają nad i pod chodnikami, wokół airvili i ich flag, gra jakiś band, wszyscy głośno rozmawiają.

– Słuchajcie, to teraz polećmy nad Efrain, jak poprzednim razem!

– Tak. I potem do Joomy!

– Rewelacja!

Stellarzy mają ulubione trasy. Mimo że są koczownikami, przyzwyczajają się do miejsc i ludzi. Są podobni do migrujących ptaków, które, nota bene, także w rajach wykształciły nowe trasy. Osiadły tryb życia prowadzi mały odsetek Sitów. Dlatego zanikły pojęcia „patriotyzm”, „obrona terytorium” i tym podobne. Straciły po prostu sens. Większość populacji WayEmpire przywykła do koczowania, bo podróże to ciągła zmiana, poznawanie ludzi, a oglądanie lądów z góry powoduje, że wszelkie terytorialne niesnaski stają się po prostu śmieszne.

W Raju słońce zachodzi na bardzo krótko, bo Ziemia jest daleko i zasłania je naprawdę nieznacznie. Gdy nasza gwiazda zbliża się do zachodu, atmosfera zaczyna płonąć wszystkimi barwami ognia, a ludzi ogarnia szaleństwo, tak jak teraz, gdy dookoła królują barwy owoców pomarańczy, malin i wiśni. Żyję otoczony przyjaciółmi i kocham ich z całej mocy mojego zbyt małego serca.

Wreszcie nie Torkil samotnik, uciekinier, ale Torkil społeczny, niestroniący od kontaktu i miłości.

A mimo to zahamowany i oddzielony.

Zanurzam srebrną łyżeczkę w cieście i wkładam słodki okruch do ust.

Szarlotka, wciąż ciepła, rozpływa się wraz z bitą śmietaną pachnącą wanilią. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę w to uwierzyć. Wiszę, zakotwiczony nad tarasem wśród latających domów, dwa tysiące metrów nad powierzchnią Ziemi, zaglądam w zielone oczy Steffi, gdy na jej tęczęwkach galopują jednorożce w gęstej puszczy... i jem szarlotkę. Prawdziwą, na kruchym cieście, które pracowicie rozgryzam. Podniebienie parzy jabłkowa masa subtelnie przyprawiona cynamonem.

– *Torkil, dlaczego płaczesz?* – słyszę men Steffi.

– *Nie mogę w to wszystko uwierzyć.*

Powstrzymuję skurcz krtani. Frin chce interweniować, ale zabraniam mu. Nie wolno sztucznie powstrzymywać wzruszeń.

– *Zapomniałem* – ciągnę – *że piękno jest...*

– *Takie piękne?*

Po policzkach Alland także płyną łzy i błyszczą krwawymi refleksami. Nie cenzurujemy naszych paków. Dlatego łączymy się w uczuciach i nagle pragniemy się przytulić.

Odsuwam talerzyk z resztką ciasta, wznoszę się kilkanaście centymetrów wyżej, moja kotwica i jej rozwiewają się w powietrzu, zbliżamy się do siebie. Steffi obejmuje mnie. Przy moim trzymetrowym ciele wygląda jak dziecko. Jej policzek jest gorący od łez.

Nie wiem, kiedy i jak trafiamy do jej *Nimbusa* pełnego ognia i powiewających firan.

Alland wskazuje wielkie łoże z baldachimem stojące pod rozległym witrażowym oknem. Delikatnie na nim ląduję i wydaję mentalną komendę. W tym momencie otwiera się komora hiperbosów w *Teacupie*, dwa sarkofagi aktywują się, wznoszą i rozpoczynają lot do nas. Jeden jest pusty, a w drugim

tkwi moje cywilne ciało.

Steffi to wie i postanawia wykorzystać ten czas. Dotyka swojego czarnego pancerza, a ten zaczyna się rozchyłać w okolicy brzucha. Po chwili widzę jej pępek i podłużną bruzdę oddzielającą dwa mięśnie brzuszne. Jeszcze chwila i widzę jej talię, niezwykle wąską i zgrabnie wykrojoną. Jej zbroja zwija się niczym wachlarz. Teraz osłania już tylko piersi i ramiona, na dole zaś zamienia się w coś w rodzaju spódniczki wyciętej na podbrzuszu w skierowany ku dołowi w klin. Dziewczyna wznosi się. Uaktywnia miękkie, dyskretne światło, które jest w sumie niepotrzebne, bo komnatę zalewa powódź czerwieni. Obraca się w powietrzu, ustawiając bokiem do mnie. Pokazuje niezwykle wąską kibić, odległość od powierzchni brzucha do lędźwi tak nikłą, że powstaje obawa, czy w tym miejscu się nie złamie. Wodzi palcami po brzuchu, udach i piersiach. Do komnaty wlatują hiperbosy wraz z moim majordomusem. Wciąż patrząc na nią, podlatuję do pustego sarkofagu, wydaję instrukcję i wysuwam się ze zbroi. Jeszcze dwadzieścia cykli temu musiałbym decydować, czy pancerz ma zerwać ze mną więź, czy nie, i w pierwszym przypadku poczułbym dziwną, nieprzyjemną pustkę racjonalnego myślenia, bo stare Coremoury pobudzały ośrodki podkorowe, zamieniając Rana w zwierzę. Ale dwie dekady temu funkcję tę przejęła Łaska Imperatora. Ten program działa niezależnie od obecności pancerza. Steffi chichocze, widząc mój potężny wzwód. Unoszę brwi w geście zażenowania i zgadzam się, by majordomus wyjął moją duszę z ciała. Czuję łaskotanie, zaczynam widzieć wielowymiarowo, pozwalam łapie grawitacyjnej przenieść mnie do mniejszego ciała i wychodzę nagi, dziwnie drobny, ale już dopasowany fizycznie do Steffi. Dziewczyna wita widok mojego budzącego się do życia przyrodzenia odsłonięciem pełnych piersi. Znowu ląduję na łożu i patrzę, jak Alland odkrywa biodra.

Dotykam skórą skóry. Skórą skóry. Na jej brzuchu tańczy światło ogni,

wchodzę w nią od samego początku po sam koniec, powoli, aby czuć każdy moment, aby niczego nie uronić. Sunę po jej skórze centymetr po centymetrze, modląc się, by mój umysł był w stanie poczuć każdą cecnię tej bliskości. Jej usta są gorące i wilgotne od płaczu, bo w rytm kochania wstrząsają nami kolejne dreszcze wzruszenia.

Po tylu cyklach miłości i fascynacji pięknem, po tylu tysiącach aktów intymności wciąż ogarnia mnie magia.

To się nie kończy.

To się po prostu nie kończy.

Droga Mleczna  
Rubieże  
Planeta Feloce, orbita  
08 Decimi 232, 10.15 H

Samuel Kroz, obecny w dwóch ciałach: cywilnym i ranowym, wrócił na pokład Dragonforce'a i udał się do komory hiperbosów. Statek zmienił kształt z zielonego smoka na lekko kanciaste, mroczne poszycie pojazdu Besebu-Rana. Mężczyźnie towarzyszyło uczucie, które mógłby opisać jako lekkie zadowolenie niepozbawione samouwielbienia. Udało mu się przywrócić wiarę nie w ImBu, nie w Imperatora, ale w siebie. Ten gang powinien wrócić na właściwe tory. To naprawdę działa. Spojrzał na swoje ranowe wcielenie, skinął mu głową i bez słowa usiedli w fotelach znajdujących się na obwodzie pomieszczenia. Ich ręce i nogi oplotły klamry. Uruchomili procedurę jednoczenia psyche.

Gdy proces bombardowania wspomnień się skończył, Kroz otworzył oczy. Był w komorze sam, w ranowym ciele. Powłoka cywilna, troskliwie

kierowana przez majordomusa statku, spływała właśnie do sarkofagu.

Połączył się z nim Agenor Enej, Besebu-Torii, dowódca wszystkich Besebu-Ranów.

Samuel odruchowo wyprostował się i lekko uniósł nad podłogę, widząc Bramę Bractwa.

– *Samuel?* – odezwał się dowódca.

– *Tak, mistrzu?*

– *Połącz się ze mną metem. Podaję namiar.*

Maod-An poddał się dewitalizacji. Jego zbroja przejęła zawiadywanie ciałem i powolnym lotem przeniosła się do sterówki. Osiadła w realnym fotelu pilota, zabezpieczyła włązy i nakazała mózgowi pojazdu przejść w tryb czuwania.

– *Jak się masz, siostrze?* – spytał ją statek.

– *Jako tako, bracie* – odparła.

Samuel Kroz wyłonił się w arealnej komnacie medytacyjnej, miejscu, w którym Słuchający, soulerzy Besebu wyjątkowo uzdolnieni we wczuwaniu się w fale chaosu rezonujące ze społecznymi nastrojami, starają się przewidzieć ścieżki przeznaczenia. Agenor Enej, od wielu cykli przycinający włosy w kwadrat blondyn obdarzony wąskimi ustami, kwadratową szczęką i szczerym spojrzeniem jasnych oczu, patrzył na niego ze smutnym uśmiechem. Lubił podwładnego i wiedział, że on o tym wie. Jeśli smutno się uśmiechał, to znaczyło, że ma złe wieści.

Kroz zdziwił się. Jakie złe wieści można mieć w Czasach Szczęśliwości?

Besebu-Torii wskazał Lenę Vivace, jedną z najlepszych Słuchających czterdziestego drugiego Maodionu Besebu. Trwała w lotosie, zawieszona metr nad podłogą, w centrum komnaty.

Powoli otworzyła oczy. Pokręciła głową, jakby nie dowierzała własnym wizjom. Przesłała im men z pełną reprezentacją wyobraźniową

i emocjonalną.

Zapoznali się z nim.

Samuel spojrział zaskoczony na Agenora. Wargi mistrza zacisnęły się w cienką linię.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Ziemia, Raj  
Karawana Błogosławionego Aymore'a  
Sektor F 43243  
08 Decimi 232, 10.19 H

Wypłynęliśmy z *Nimbusa* Steffi razem z dwoma sarkofagami i majordomusem, którzy wyprzedzili nas i zniknęli w czeluściach *Teacupa*. W centrum pierwszego zwoju vii wciąż trwała fiesta strzelająca tęczowymi promieniami. Chciałem się odezwać do Alland, by jakoś podsumować to, co przed chwilą nas połączyło, gdy otrzymałem wezwanie od ImBu. Podleciałem do niej, ucałowałem w policzek i przesłałem krótki men. Odpowiedziała zlepkiem uczuć i wyobrażeń tak słodkich, że wypełniło mnie złote światło.

Poszybowałem nad szczyt jednej z bocznych wież *Teacupa* i odpowiedziałem na wezwanie. Przed moimi oczami pojawiła się twarz Imperatora Ludzkości, Rectora Ludens, Gorgona Nemezjusa Ezry. Siwa głowa, pociągłe, przystojne rysy. Nigdy nie widziałem go w realium. Nigdy nie dowiedziałem się, jak naprawdę wygląda. Teraz może być każdym z nas. Może mieć wszystkie kobiety świata, smakować wszystkich potraw i poznawać wnętrza wszystkich umysłów. Jego myśl jest niezwykle szybka.



Czasami wyobrażam sobie, że dla niego świat stoi w miejscu, nieruchomy, zamrożony. Dlatego może być wszędzie niemal równocześnie i rozmawiać z niezliczonym mnóstwem ludzi w tym samym czasie. Osiągnął coś, co nazywam wszechogarnianiem. Nas – Ranów, Błogosławionych, Angeli Mortis – czasami nazywają bogami. Wszechmocnymi. Jakże się mylą. Jesteśmy zwykłymi ludźmi. Tak jak reszta Sitów umiemy operować tylko kilkoma zmiennymi naraz, możemy rozpatrywać problem, używając ograniczonej liczby danych. No, Mbele jest w tym trochę lepszy, mimo to daleko mu do zdolności Ezry. Rozumiecie, możecie wpaść na genialny pomysł i go zapisać. Następnego dnia rozwiążecie nowy problem i także go zapiszecie. Możecie codziennie odkrywać kolejne wspaniałe rzeczy i wszystkie je notować. W ten sposób z pewnością stworzycie wyjątkową księgę. Ale nawet jeśli ktoś, włącznie z wami, ją przeczyta, nie ogarnie jej w całości. Lektura rozszerzy mu horyzonty, zmieni postrzeganie, ale nie spowoduje, że używając tych wszystkich odkryć, czytelnik nagle przejdzie na wyższy poziom świadomości i poda odpowiedź na pytanie ostateczne. Na tym polega ułomność ludzkiego umysłu. Imperator stał się, jeśli nie wszech-, to multiogarniającym. My nie. Może zresztą jest ich wielu – nigdy się z tego nie zwierzał. Dzisiaj już wiemy, że sieć neuronalna, nawet ta w naszych mózgach, nieustannie rodzi wiele równoległych tożsamości. Być sobą znaczy być wielością. Dusza nie jest pojedyncza. W zasadzie ma w sobie coś z nieskończoności. Dlatego niewykluczone, że Imperator jako myśl zawarta w sieci jest także wielością. Czasami boję się, co będzie, gdy jedna armia Gorgonów zmierzy się z drugą. Gdy wejdą ze sobą w konflikt. Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

– *Torkilu.*

Poczułem, że zalewa mnie dojmujące poczucie pewności i sprawczości. Wiedział, jak je wywoływać.

– *Tak, panie?*

– *Odwiedź Charonów na Persefonie. Mają ważne wiadomości.*

– *Tak.*

– *Jesteś smutny.*

Oczywiście. Dla ImBu nie ma tajemnic. Wolna Wola nie oznacza prywatności.

– *Myślisz, że to coś oznacza?* – spytał.

– *Nie mam co do tego wątpliwości, Gorgon.*

Uśmiechnął się dobrotliwie. Kiedyś morderca, grzesznik i podlec, teraz poświęcony w całości rodowi ludzkiemu. Święty.

– *Miej ufność, Torkilu. Wszystko się ułoży.*

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz, grunt

Polia Tris, dystrykt Hook

08 Decimi 232 EI, 10.23 H

– Dziadku! Już są!

Dionizy Star wstał zza biurka i wleciał między licznymi leniwie dryfującymi platformami podłogowymi do wrót na szczycie domostwa. Leciał tuż za wnuczką Zoe, która była tak podniecona, że co chwila z jej ciała tryskały animowane pioruny.

– Zoe, uspokój się! – krzyknął rozbawiony. – Strzelasz tak gęstymi błyskawicami, że nic nie widzę!

– Chcę, żeby widzieli, że się cieszę! Własnocielne odwiedziny! Ha! To jest to!

Gdy wylecieli nad dom, wokół nich roztoczył się widok na Hook, wschodni dystrykt Tris, stolicy Wiz. Miasto wyglądało, jakby było dekoracją bajki dla dzieci: strzelające w niebo wieże, latające sterowce, ogrody, mityczne bestie unoszące się na srebrnych skrzydłach, labirynt animacji traktów powietrznych i okien informacyjnych, mnóstwo kursujących tu i tam airvilli, ale także takie jak rodziny Starów, które zacumowały do gniazd kotwicznych wież. Siedziba Dionizego już od pięciu cykli tkwiła w tym samym miejscu. Starów można było więc swobodnie nazywać Grondami, chociaż nazwa ta, podobnie jak Anioły i Stellarzy, była płynna i umowna. Dionizy zerknął na swoje domostwo i na inne zadokowane domy. Co za czasy, pomyślał, siedliska, niczym motyle, przysiadają przy wieżach jak na łądych kwiatów, a gdy im się znudzi, odlatują w inne miejsce.

Tuż pod siedzibą Starów wieża wykształciła taras z ogrodem i niewielkim jeziorem. Blisko niego wyrównywał lot airvill Sama Yona i Sary Bor stylizowany na architektoniczne dziwactwa starożytnego twórcy, którego nazwiska Dionizy nie mógł sobie przypomnieć, aż litościwy frin mu je podpowiedział. Gaudi. Tak. Jego szkoła święciła w Wielkim Imperium tryumfy. Tenucci, Franco, Dharuma i setki innych naśladowców czerpali z Gaudiego całymi garściami. Airvill Sama i Sary był lekko krzywy, bogato zdobiony i nieodmiennie wesoły w swojej koślawości. Dionizy zobaczył pięknie wymodelowany cyfrowy most, który siedziba gości miała wytworzyć, by połączyć się z tarasem, a gdy znieruchomiła, ujrzał błyskawicznie morfujące przesło. Jeszcze chwila i połączenie było gotowe. Roześmiał się, widząc Zoe pędzącą niczym biały motyl na spotkanie mechanicznych wuja i ciotki. Leciało do nich też całe stado Starów, którzy, niby pszczoły z ula, wylegli z wielu włączów siedziby. Dzień był ciepły i słoneczny, więc nie dziwota, że większość drzwi była otwarta. Widział tam Johna Stara, ojca Zoe, jego przyjaciół Roberta, Tankreda i Wolfa oraz ich

partnerki: Beatrice, Fedrę, Hannę i Lu. Razem z nimi leciała masa dzieci oraz bliższych i dalszych znajomych, którzy akurat ich odwiedzili. Wyglądali razem jak wielobarwna animacja. Pośród dziesiątków wstęg, promieni, arealnych ptaków, widziadeł i dymów trudno było dostrzec realne postacie. Wszyscy, zgodnie z ostatnią modą w Tris, ubrani byli w powłóczyście na pozór i jaskrawe szaty, a naprawdę nowoczesne stroje, które w każdym momencie mogły się stać wielofunkcyjnymi pancerzami.

Sam i Sara wyskoczyli ze swojego airvilla ze śmiechem i rozpostartymi ramionami. Nagle przed Yonem wyrosła wielka animacja jego samego w dziwnych, cętkowanych majtach, jakby był jakimś Tarzanem, a zza niej wyskoczył on sam, z błyszczącym modulem na barkach.

– *Czy zgadzasz się na wgranie w pancerz subalgorytmu FireFun 8.4503?* – Dionizy usłyszał pytanie swojego frina, który niedwuznacznie wskazał, że program należy do Yona.

– Znowu wymyślił jakąś zabaweczkę – mruknął Star z rozbawieniem i odpowiedział frinowi „Tak”, prawdopodobnie jak większość biorących udział w spotkaniu. Wtedy zobaczył jasną plazmę opuszczającą działka na ramionach Sama, usłyszał odgłos strzału i dostrzegł płomień dobywający się z okolic łopatek dimena, gdzie tkwiły niby-odrzutowe silniki. Roześmiał się, a potem stęknął, gdy jeden z pocisków uderzył go w pierś.

– *Sam!* – krzyknął mentalnie. – *Czyś ty zwariował? Sara, pozwoliłaś mu zaopatrzyć się na targowisku w nową krotoczwilę?*

– *Teraz jest Ranem* – odparła.

– *Brońcie się!* – ryknął Yon i ostro wyrwał w górę, a Zoe, piszcząc, rzuciła się za nim.

Dionizy wiedział, co teraz będzie. Dzieci będą ścigały wuja, a ten rozpocznie szalony rajd między basztami domostwa, może nawet zapuści się za opasłą wieżę kotwiczną, a wtedy Beatrice, matka Zoe, zacznie krzyczeć,

żeby nie oddalali się za bardzo, jakby cokolwiek tam mogło im zagrozić. Instynkt opiekuńczy nigdy się chyba nie zmieni. Nawet w Czasach Szczęśliwości matki chcą chronić swoje dzieci. Tylko przed czym?

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Persefona, raj  
Sektor V 49684  
08 Decimi 232 EI, 10.32 H

*Jestem człowiekiem bogiem.  
Mam wielki wpływ na rzeczywistość.  
To nie rzeczywistość otacza mnie,  
Lecz ja otaczam rzeczywistość.  
To ja stwarzam wszechświat,  
A wszechświat stwarza mnie.  
Mam wielkie zaufanie do losu,  
A los ma wielkie zaufanie do mnie.  
Nie jestem więźniem trzech wymiarów i czasu,  
Mieszkam w wieczności i nieskończoności,  
Które są w punkcie,  
Który nie istnieje.  
Pozostają wyobrażenia, informacja i miłość.  
Informacja jest budulcem,  
Miłość jest spoiwem,  
Wyobrażenia jest ostatecznym narzędziem stworzenia.  
Dążę do poznania, wiedzy i olśnienia.  
Jestem gotowy na wszelkie okoliczności,  
Otwieram się na wszelkie możliwości,  
Jestem wodą, która spływa w najniższe miejsce,  
Jestem tao.*

*Błogosławię cały multiwszechświat.*

To modlitwa Rana. Staram się ją odmawiać codziennie rano i wieczorem. Pomaga mi się skupić, uzyskać właściwy, nieprzyczynowo-skutkowy ogląd realium. Jej paradoksalne zestawienia rozdzierają logiczną osnowę rzeczywistości. Dzięki niej pozbywam się chęci kontrolowania zdarzeń i losu. Jestem sunącym po fali. Żeglarzem przeznaczenia.

Otwieram oczy i widzę wysokie okno, przez które wpada blask słońca. To Helios, czyli beta Hydri, karzeł miłościwie oświetlający Persefonę, planetę, która przez wiele cykli była siedzibą mojego Klanu. Jestem w bibliotece, która wygląda zapewne jak biblioteki w dziewiętnastym wieku, w Europie Przed Imperium. Po prawej i lewej stronie piętrzą się półki i grzbiety książek, najpiękniejsze wydania, jakie można sobie wyobrazić: skóra, złote litery, w środku ilustracje. Gdy najeżdżam wzrokiem na jakąś sekcję regału, jej obraz się powiększa. Wydaję mentalną dyspozycję i wybrana księga się rozdwaja, jej metowa reprezentacja frunie do mnie, rozkłada się i uderza w nos zapachem farby drukarskiej. Wygląda tak jak kiedyś. Może być czytana na głos, ilustrowana muzyką, animacjami, zapachem. Możesz ją wgrać w umysł w ciągu kilku mon, możesz też sam wgryzać się w litery. Jeśli chcę, zdejmuję realną książkę z półki i naprawdę jej dotykam. Posiadanie reistycznych inkunabułów jest wielkim dziwactwem, bo wiadomo, że spośród eonu napisanych dzieł mogę mieć w takiej postaci zaledwie mikron mikrona, ale czy to większe wariactwo niż zabawa Shou Xena w miniplanetę? Poza tym pomieszczenie, tak jak niemal każdy moduł w WayEmpire, nieważne, czy jest częścią domostwa, zbroi czy pojazdu, ma swój hipok. A tam drzemią tysiące innych reistycznych woluminów, które niekiedy przywołuję, by wymienić fragment księgozbioru. Inna sprawa, że wiem, iż nigdy nie poznam wszystkich tych dzieł, i to napawa mnie

smutkiem. Nie jestem w stanie skonsumować nawarstwiającej się lawiny literatury, więc po prostu gromadzę ją w dziwnej próbie okiełznania czegoś, co mnie przerasta.

Lubię tu przebywać. To miejsce pomaga uspokoić myśli. Zawsze miałem z nimi problem. Zbyt dużo skojarzeń ciśnie się do głowy, zbyt dużo odniesień. Człowiek ma ochotę mówić o wielu rzeczach naraz, w umyśle powstają macki dygresji i łańcuchy dedukcyjne prowadzące daleko od głównego tematu rozmyślań. W efekcie, gdy zdajesz sobie sprawę, że tego nie ogarniesz, padasz ofiarą podniecenia albo rozdrażnienia, wtedy zaś wkracza frin, oferując pomoc w ustabilizowaniu stanu emocjonalnego. Ale rzadko z niej korzystam, bo do czego by to prowadziło? Wolę popłynąć do biblioteki. Wielkie okno, grzbiety ksiąg i cisza koją moją duszę.

Zerkam na prawo. Pod szklanym kloszem metalicznie połyskują niebieskie liście bardzo egzotycznej rośliny. To bonsai Larmana, drzewko, które rośnie natywnie na Tracji, jednej z dwóch planet, gdzie odkryliśmy autentyczne, obce białkowe życie. Edmund Larman jest jednym z czołowych biologów Imperium i co ciekawe, nie posiada organicznego ciała. Zbadał większość tamtejszej fauny i flory. Tę roślinę ukochał najbardziej ze względu na wyjątkowy szafirowy kolor listowia, wyraźny turkusowy połysk, gdy popatrzyć na blaszki pod słońce, i rodzaj złoto-karmazynowych kwiatów, którymi drzewko obsypuje się raz na kilka pendeków. Badając ekosystem Tracji i Elizji (to ta druga planeta), Larman stwierdził to, co teoretycznie wiedzieliśmy od dawna: odizolowane białkowe, tlenowe ekosystemy są dla siebie zabójcze. Właśnie dlatego słynny biolog zrezygnował z organicznego ciała. Dzięki temu może przechadzać się łąkami obu tych planet, nie bojąc się ich letalnego klimatu. W sieci WayEmpire można znaleźć hotki biologa w połyskliwym, srebrno-niebieskim motombie wąchającego egzotyczne rośliny i biegającego po obcych lasach. Wszyscy kochają Larmana, a Larman

kocha cały żywy świat. Moje bonsai jest hodowane w idealnie szczelnym pojemniku, z którego nie może się wydobyć nawet pojedyncza obca molekula, o natywnych prokariotach nie wspominając. Jedna bakteria z Tracji czy Elizji może mieć tragiczny wpływ na naszą faunę i florę. Trackie rośliny i zwierzęta, zanurzone w bakteryjno-wirusowej zupie tamtejszego ekosystemu, mimo że tlenowe, są zabójcze dla nas, a my dla nich, właśnie ze względu na tę zupę. Dlatego ImBu w większości przypadków nie pozwala na hodowlę zwierząt czy roślin z tych planet. Wobec mnie zrobił wyjątek, bo mnie zna.

Tak, roślinko. Niby jesteśmy tacy sami, białkowi i tlenowi, a musi nas dzielić szkło. Szkoda. Jesteś śliczna. I w jakiś sposób, nie ze względu na urodę, przypominasz mnie.

Za oknem pojawia się szczyt siedziby Charonów ozdobiony rotującym godłem Imperium. Czas na wizytę.

Wychodzę na taras, na własnych nogach. Dudnią pancerne stopy. Mięśnie napinają się i rozluźniają. Bardzo miłe uczucie. Dobrze jest czasami pochodzić. Nawet pobiegać. Zerkam w górę. *Teacup* odłączył się od karawany, która teraz, niczym mityczny smok, zwija się wysoko na niebie. Została tam cała ferajna oprócz Konona, który siedzi gdzieś w swojej komnacie i jak zwykle nie daje znaku życia. No i oczywiście oprócz mojego orszaku. Frin łączy się z frinami Smoka, Gradivusa i Stone. Po chwili dołączają do mnie Lea i Mars w Hegarach, sfruwa Tell ze swojego gniazda na jednej z wyższych wież *Teacupa*, wzniesając lokalny huragan i nieprzyzwoicie hałasując, pojawiają się krążące dotąd wokół siedziby dwa ArtDroidy z furkoczącymi gonfalonami oraz SaintDroid, który tkwił nad najwyższym masztem airvilla, co było jasnym znakiem, że zamieszkuje w nim Błogosławiony. Znowu pojawiają się bodhisattwy. Tym razem trzy, dalej i wyżej niż zwykle. Naprawdę nie mam pojęcia, skąd się biorą te zjawy.



Coś dziwnego dzieje się z naszą rzeczywistością. Zerkam na nie ukradkiem. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Jeden z facetów ma nieco podłużną głowę i siedem rogów. Owłosione nogi i kopyta. Drugi i kobieta przypominają normalne anioły, jeśli można tak powiedzieć. Lustrują okolicę niewidzącymi szklanymi oczami, jakby były martwe i żywe jednocześnie. Ich ciała na zmianę rozmywają się w powietrzu i nabierają ostrości, jakbym patrzył na ryby, które wychylają się na powierzchnię, a potem częściowo zanurzają w wodzie. Czego tutaj szukacie, potwory? Gdyby nasi średniowieczni przodkowie, którzy naprawdę wierzyli w anioły i demony, zobaczyli te mary, zgorzeliby ze zgrozy. Było w nich coś nieludzkiego. Kto by pomyślał, że jedną z manifestacji innej fizyki będą takie kurioza, a nie, bo ja wiem, jakieś neutralne zjawiska optyczne w rodzaju tęczy?

Odrywam od nich wzrok.

Rozglądam się. Po niebie Persefony śmigają ludzie – anioły, już nie bodhisattwy. Ta planeta ma raj, podobnie jak Ziemia, ale już przez małe „r”. Dlatego, mimo że wschód już dawno minął, niebo na prawo ode mnie wciąż jest bursztynowe, głębokie, pełne odcieni i barwnych niuansów. Tę spolaryzowaną tęczę ciepłych barw zdobią, niczym cekiny, wielowarstwowe chmury. Pachnie... powietrzem. Anioły i Stellarzy uczą się odróżniać zapachy atmosfery. Jest ich naprawdę bardzo wiele. Często czujesz kwiaty, bo tarasy airvilli są nimi nieprzyzwoicie obciążone. Florystyka, że tak powiem, kwitnie w WayEmpire. Różnicujesz wilgotność powietrza, jego temperaturę, wiesz, kiedy się zbiera na kontrolowany deszcz, wiesz, kiedy żeglowało w pobliżu latające miasto, bo zostaje po nim dość dużo ozonu, w pobliżu karawan zaś jest z reguły spore stężenie woni perfum i potraw, bo Sizeni, zwłaszcza Stellarzy, nurzają się w hedonizmie. Tutaj pachniało... czystością. Jakiś czas temu padał deszcz, ale nie była to burza. Krople oczyściły powietrze, lecz było to na tyle dawno, że nie czułem już nadmiernej

wilgoci. Idealna, wymarzona aura. Anioły i Stellarzy mówią o niej „inspiracyjna”, bo odruchowo bierzesz głęboki, długi wdech.

Wyskakuję w powietrze. Zawisam na generatorach anty-g. Zbliża się Tell. Jeszcze kilkadziesiąt cykli temu nie zdawałem sobie sprawy, że odczuwam jego bliskość. Teraz świadomie przyjmuję kojącą emocjonalną nutę, jakby podchodził do mnie wielki, jowialny pies i domagał się pogłaskania. „Jesteśmy razem, amigo” – to zdanie najwyraźniej od niego promieniuje. Zerkam we wsteczną kamerę. Patrzę mu w oczy, a on o tym wie. Spogląda niebiesko-złotymi, mądrymi ślepiami. Jesteśmy razem. Psiakrew. Torkil Aymore znalazł wreszcie przyjaciela. Prawdziwego, z którym zawsze i wszędzie się dogaduje. Czy musiałem czekać na... Smoka? Harry nie był dostatecznie dobry? To świetny facet, ale zawsze się różniliśmy. Ja byłem gamedekiem, on programistą, ja nurzałem się w marzeniach, on stąpał twardo po ziemi, dla mnie ważne były uczucia, on wszystko rozbierał na czynniki pierwsze. Laurus jest genialnym towarzyszem, ale to wojownik, brutal, więc zawsze będzie się różnił od Aymore'a – filozofa. Mario z kolei jest fantastycznym kompanem, ale bywa zbyt romantyczny (tak, Nexus) i melancholijny. Crash – no cóż, zawsze traktowałem go trochę jak nauczyciela. Jego nieustające zamiłowanie do gier wydaje mi się teraz nieco sztywne. Z Tellem jest inaczej. On... nie do końca jest osobny. To tak, jakbyśmy chwilami czuli to samo. Zdarzało się, że lecieliśmy obok siebie, wiatr świszczął w uszach i obaj czuliśmy radość płynącą po prostu z tego, że mkniemy w przestworzach. Suverzy mają w sobie coś z psów. Ich wierność i wdzięk są przysłowiowe. Widziałem kilka razy, jak bawią się małe Smoczątka. Ich ruchy przypominały skrzyżowanie płąsu niedźwiadków i harców szczeniąt. Miałem kiedyś znajomą, jeszcze na Ziemi, która tak kochała swojego psa, że marzyła, by żył tak długo jak ona. Ile by dała, by owczarek stał się człowiekiem. Ja miałem Smoka. Odczuwałem w związku

z tym dziwną błogość, a jednocześnie poczucie winy, że z żadnym człowiekiem nie udało mi się osiągnąć takiej zażyłości. Może to tacy ludzie jak ja, samotnicy, stają się ksenofilami?

Dosiadam go. Smok nie decyduje się na wytworzenie egzoszkieletu, przywołuje jedynie pancerne siodło, które zespala się z moją zbroją. Czuję znajome zeszywnienie miednicy, wyznaczam tor, przeprowadzam mentalny „dialog” z Dragonem i ruszamy. Pchnięcie bioder w przód, napięcie mięśni brzucha. Bardzo lubię pierwsze uderzenie skrzydeł i to, jak wielka siła ugniata kręgosłup, a krew spływa z głowy, by rozsadzić szyję i klatkę piersiową. Tell to wie i za każdym razem dostarcza mi odpowiedniej porcji kinestetycznych doznań.

Siedziba Charonów to wiszący zamek, podobny do domu Auduxa z Ziemi, ale nie szmaragdowo-, tylko czerwono-złoty. Jest strzelisty, otoczony – zgodnie z anielską naturą człowieka – dziesiątkami ułożonych warstwami tarasów. Jest ich tak wiele, że przysłaniają nie tylko siedzibę, ale i siebie nawzajem. Pośród górnych wież zamczyska na wielkim tronie siedzi dimeński Charon wysoki na pięćdziesiąt metrów. Wygląda jak mityczny King Kong. Jest otoczony fajerwerkami cyfrowych poświat, wstęg i promieni. Wiszą nad nim cztery bodhisattwy. Ten to dopiero soczewkuje. Gigant podnosi leniwie rękę i pozdrawia mnie. To jedno z wielu wcieleń Thaddeusa Koba, Wielkiego Mistrza Zakonu Persefony. Wymieniamy totowe powitania. Nie zasypuję go nadmiarem emocji i skojarzeń, bo czytam z jego menu, że jest bardzo skupiony. Nie podlatuję do niego. Ten samotnik trwa w wiecznej medytacji. Przy wejściu z pewnością przywita mnie druga bądź trzecia jego kopia, mniej pochłonięta pracą.

Charonowie zyskali ogromny szacunek w Wielkim Imperium. To dzięki nim podróże podprzestrzenne i teleportacja są bezpieczne. Mamy ich setki tysięcy. Tak jak kiedyś podstawę WayEmpire stanowiły Maodiony, tak teraz

są nią Zakony Charonów. Oczywiście Maodiony istnieją nadal, ale jako siła militarna mają niewiele do powiedzenia w czasach dobrobytu.

Przed wierzejami wisi drugi nieorganiczny Thaddeus, także szkarłatno-złoty, zgrany kolorystycznie z czerwienią pałacu. Ten zdecydował się tylko na niewielkie powiększenie typowych rozmiarów – ma pięć metrów wysokości. Jego twarz jest metalowa, pełna bardzo drobnych detali, w których – gdybym chciał się zagłębić za pomocą zoomu – podróżowałbym bez końca, podobnie jak w przypadku Auduxa i Nexusa. Oblicze Koba jest inteligentne, ozdobione wąskimi szparkami błękitnych oczu i listkowatych ust. Cała postać promieniuje wielobarwnym światłem. To wizytówka Charonów, prezent od ImBu, coś jak aureole i SaintDroidy Błogosławionych. Czempioni Hiperprzestrzeni z pewnością także mają coś w rodzaju Łaski Imperatora, ale się z tego nie zwierzają. Dimen rozpościera ręce w geście powitania. Ja też go lubię.

Zeskoczyłem ze Smoka i uściskaliśmy się. Pancierz otarł się o pancierz. W tym czasie moje talizmany uciekły nad lewe ramię, a jego, kręcące się zgodnie z ostatnią modą wokół lewego przedramienia, schowały się za łokciem.

– Teddy, dawno cię nie widziałem.

Nie chwaliliśmy się zbyt głośno, że znamy się jeszcze z Damnaty. Był moim prywatnym nauczycielem filozofii na studiach. Miałem wtedy nadzieję, że coś ze mnie wyrośnie, jakiś naukowiec czy coś podobnego. Jak to mówią: w czasach, gdy człowiek się „dobrze zapowiadał”. W zasadzie nauczył mnie najważniejszego: odpowiedniego spojrzenia na zjawiska, ludzi i życie. To dzięki niemu jestem taki fascynujący. Stosunkowo niedawno, jakieś czterdzieści cykli temu, dowiedziałem się, że przeżył Pierwszą i Drugą

Wojnę z Thirami. Nic dziwnego, że stał się naczelnym Charonem planety. Miał naprawdę niezwykły umysł.

– I vice versa, Aymore. Dlaczego tak rzadko odwiedzasz swoje ziemie? – odparł mszystym głosem. Zawsze lubiłem ten jego wytrenowany, melodyjny tembr. Nie zmienił się po tym, gdy zrezygnował z ciała.

Mówiąc o „moich ziemiach”, miał na myśli Maledonię, archipelag, na którym mieściła się siedziba Reoru Aymore.

– Zaglądałem ostatnio w bardzo stare kąty...

Zerknął bystrzej. Błysnęły jego błękitne oczy.

– Ziemia?

Skinąłem głową.

– Ta kulka zawsze nastraja cię nostalgicznie – sapnął. – Dlaczego nie wybierzesz się gdzie indziej? Jest tyle planet w Imperium!

– Przedszkolna wycieczka.

– Aaa. – Machnął ręką na znak, że rozumie i współczuje. – Chodź, mamy do pogadania.

– To Tanya „Paula” Kitaro. Bardzo zdolna Charonka. Moja uczennica.

Poczułem hormon stresu Leyi. Tanya była, podobnie jak Thaddeus, ubrana w lamowaną złotem karmazynową zbroję typu Czempion, ale przebywała w organicznym ciele, strój zaś był niezmiernie, jak na pancierz, kusy. Odsłaniał uda, na których dyskretnie odznaczały się mięśnie, w wycięciu na płytach tułowia widać było rzeźbiony brzuch, wyżej bardzo głęboki dekolt wypełniony po brzegi krągłymi piersiami, a jeszcze wyżej płyty zbroi odkrywały dużą część ramion. Była brązowoskórą platynową blondynką o chabrowych oczach i dużych, ale zgrabnych, perłowych ustach. Naprawdę zjawiskowa. Witła mnie, lekko pochylając głowę i trzymając ręce w geście

znaku Imperium. Od smukłych palców rozchodziły się promienie, a nałożona na nie animacja wyświetlała symbol WayEmpire. Charoni często używają tego gestu jako wzmocnienia skupienia.

No cóż, Lea, nigdy nie poszliśmy do łóżka, więc nie zachowuj się jak mehadog ogrodnika. I nie myśl, że Teddy kosztował tych owoców. Jest biseksem skłaniającym się ku mężczyznom. Jeśli ceni Tanyę, to wyłącznie ze względu na jej umysł, nie ciało.

– *Ale lala* – szepnął totowo Tell do całego orszaku.

Ciekawe, czy to widział, czy wiedział? To wielka różnica. Dla niego piękne były tylko Smoczyce. Chociaż ja także jestem w stanie odróżnić Dragonoida przystojnego od brzydala.

– Paula jest znana w szeregach Charonów – podjął Thaddeus. – To ona rozpracowała tajemnicę złodziei hiperprzestrzeni.

Znałem tę historię. Choć w Czasach Szczęśliwości to kuriozalne, trafili się poszukiwacze wątpliwych przygód, którzy zaczęli „wyjmować” z Dominium Libri Mundi przedmioty do nich nienależące. Robili to, chociaż każdy obiekt oznaczony jest unikatowym kodem, który zna tylko frin jego właściciela. Byli to dzicy Charoni. I oczywiście sprawą musieli się zająć ich koledzy po fachu, ale tym razem odpowiednio przeszkoleni i stojący po stronie prawa i porządku. Sprawa była trudna i wymagała nie lada wyczucia i talentu. Jeśli zrobiła to właśnie ta blondynka, to znaczy, że jest piekielnie zdolna.

– Znam już jedną Paulinę – odezwałem się z uśmiechem i lekko ukloniłem.

Kobieta spojrzała z ukosa na Teddy’ego. Lekko napięła zgrabne usta. Powiedziałem coś nie tak.

– To Paula. Nie Paulina. Jest wyczulona na tym punkcie – wyjaśnił Wielki Mistrz.

Usłyszałem w głowie śmiech Tella.

– Przepraszam, myślałem, że te imiona są tożsame.

Rozplotła ręce. Animacja znaku Imperium zniknęła. Podniosła na mnie chabrowe oczy. Jej wargi chciały się rozchylić, ale powstrzymała się. Nie była pewna, czy wypada się odzywać do Błogosławionego w takiej sprawie. Gdyby nie moja ranga, odpowiedziałaby zapewne: „Ale nie są”.

Milczała. Uśmiechnąłem się szeroko.

– Pozdrawiam cię, Strażniczko. Jak mam się do ciebie zwracać: Paula czy Tanya?

– Lubię oba imiona – powiedziała wreszcie. Miała miły, jasny głos. Jakby strumień przetaczał się między kamieniami.

Poczułem tłumione przez nią emocje – najpierw twardy wał ciemnej fali, a potem przypływ krystaliczny i pełen światła. Wyciągnęła smukłą brązową rękę poznaczoną romboidalnie schodzącymi się żyłkami. Delikatnie uścisnęła moją dłoń.

Bardzo miły dotyk.

Tell wyczuł moje podniecenie. Zdaje się, że Lea także.

Torkil.

Chciałem powiedzieć, że zazdrozczę Teddy’emu. Miałem ochotę stwierdzić, że jest piękna, że to skarb mieć w swoim otoczeniu tak urodziwą osobę. Skomplementowałbym oczywiście bardzo gustownie wykrojony pancerz, a potem dorzucił, dla rozluźnienia atmosfery, ogólniki na temat świetnie urządzonego wnętrza, w którym dominują zgaszona czerwień i stare złoto. No, popłynąłem naprawdę z ochotą, ale jakoś nie przeszło mi to przez krtań. Nie byłem już gamedekiem, który mógł mówić i robić, co mu się uwidziało. Zapach Leyi, wpadka z imieniem interlokutorki oraz oficjalny charakter wizyty nie pozwoliły. Tyle na temat wolności w WayEmpire: blokuje człowieka zazdrość kobiety, małe *fau pax* i waga stanowiska.

– Usiądźmy – rzucił Wielki Mistrz.

Wzniósł się i ułożył ciało, jakby spoczywał na wygodnym szezlongu.

Z pewnością tak też się czuł, tym bardziej że pod jego pancerzem wyłonił się arealny, bardzo gustownie wykonany lewitujący płaski fotel. Teraz wszystkie meble, nawet te cyfrowe, zamiast starodawnych nóżek mają generatory antyg, by tworzyć przekonującą iluzję. Unieśliśmy się. Tell zwinął tułów w kłębek, a pysk umieścił na środkowej części ogona. Spoczął, nota bene, na animowanej złotej hałdzie skarbów. To jego poczucie humoru. Siedziba Charonów rozpoznała, że ma do czynienia z Suverem, i pozwoliła mu na tę ekstrawagancję, jednak Marsowi i Leyi podsunęła już pasujące do wnętrza bordowe szezlongi. Większość wnętrza Wielkiego Imperium jest inteligentna i rozkłada platformy, meble, okna i urządzenia optymalnie w stosunku do znajdujących się w nich domowników. Jeśli znajdują się blisko podłogi, wszystko, co najważniejsze, także dryfuje nisko. Jeśli się wznoszą, pomieszczenie morfuje, dodając dodatkowe poziomy, balkony i galerie. Priorytetowe są potrzeby gospodarzy, których frin bez ich wiedzy przekazuje odpowiednie dane majordomusowi siedziby, ale jeśli właściciele domostwa uważają, że ich gość jest bardzo ważny, dom układa się tak, by to jemu było najwygodniej. Przyjrzawszy się, jak po ścianie zsuwa się w moim kierunku kryształowe okno, a z drugiej strony podlatuje realny, zdobiony fotel, za którym podąża moduł gastronomiczny, pod stopami zaś lokuje się spora platforma podłogowa, uznałem, że w tym przypadku numerem jeden jestem ja.

Podpłynęły do nas filiżanki z herbatą *Imperial Pers*. To duma mieszkańców Persefony. Bardzo lubię tę odmianę. „Ślizga się” po podniebieniu, ma wyważoną gorycz, a gdy posłodzisz ją miodem, masz wrażenie, że lepiej herbata już smakować nie może. Kojarzy się, całkiem słusznie, z domem. Co prawda teraz częściej należałem do Homo Stellaris niż do Grondów, ale dom wciąż oczami wyobraźni widziałem na Maledonii.

Raptem uderzyło mnie jeszcze inne wspomnienie, zupełnie



niespodziewane. Gdy jako przedstawiciel Your Toys sprzedawałem na Ziemi zabawki, takie figurki podobne do Auduxa, odwiedzałem szefów działów zabawkarskich różnych sklepów. Tam nieodmiennie byłem częstowany kawą albo herbatą, z reguły marnymi, śmierdzącymi płynami wywołującymi podrażnienie śluzówki żołądka. Nie wypadało odmawiać, więc sączyłem je z uprzejmości. Owszem, opakowania były śliczne, listki rozwijały się z wdziękiem, nawet pływały w szklankach na podobieństwo rybek, ale smaku herbaty było tam tyle co nic, za to chemii i mikrobotów co niemiara.

Co mnie pobudziło do takich retrospekcji? Wizyta w Warsaw City? Rozmowa z dziećmi? Widok Słuchacza? Dlaczego wciąż wracam do tak odległej przeszłości? Mało miałem doświadczeń w Petrze, na Nomorii, w Maodionach?

– Pierwsza wykryła to Tanya – odezwał się Teddy, wrywając mnie z zamyślenia. – Ale potem także my i setki Charonów w całym Imperium.

Cholera. Nie lubię tych przygnębiających stanów. Zawsze wróżą coś niedobrego. Moja melancholia, dziwne przeczucia Shou... Thaddeus nie musiał kończyć, już wiedziałem, co się dzieje. Kłopoty z teleportacją i podróżami. Przeciążenie podprzestrzeni. Na pewno to. Wygląd mechanicznej twarzy Charona, ułożenie palców jego metalowych rąk, fałdy jego płaszczki układające się w kaskady, każdy przedmiot wnętrza: dzbany pełne krystalicznej wody, powiewające zasłony, płomienie tańczące w lewitujących misach, okna wpuszczające snopy światła – wszystko mówiło, że właśnie to ma mi do zakomunikowania. Mimo to musiałem cierpliwie czekać, aż sam się wysłowi.

– Przejdźmy na tot – zaproponował. – Będzie nam łatwiej przekazać ważne rzeczy.

Kurtuazja kurtuazją, ale precyzja przekazu jest najważniejsza.

– *Wyczuwamy przeciążenie hiperprzestrzeni* – wysłał men. Opatrzył

komunikat zaniepokojeniem i uczuciem ciężaru, wizją złych sił czających się w czwartym wymiarze.

– *Uważam, że mieszkające tam byty – odezwała się Tanya – są poirytowane, że używamy ich dominium do transportu.*

Komunikat okrasiała wizją rozzłoszczonych Demonów, wściekłych Aniołów, które chcą nas wypędzić ze swojego królestwa. Dodała skojarzenie ze Łżą Cheronei. Tam potężne siły rzeczywiście czasami wyglądały na rozdrażnione.

– *Nadprzestrzeń nie jest naszą ziemią – odezwał się Thaddeus. – To siedem dodatkowych wymiarów rozproszonych na nieskończonych kartach Libri Mundi. Wiemy dobrze, że nie jest to pusty obszar, o ile można tak mówić o miejscu, które nie jest miejscem. Nadużywamy go.*

Mistrz dołączył wyobrażenie ruchu podprzestrzennego w WayEmpire. Był to obraz przerażający. Ponad bilion Sitizenów nieustannie podróżowało w tę i z powrotem, przenosząc niebagatelne masy. Mało kto używał publicznych środków transportu. Między setkami planet kursowały w hiperprzestrzeni całe roje airvilli. Wielki ruch panował w obrębie konsumpcji. Każdy pełnoletni obywatel ma O'Toola i zamawia w nim wszystko – od jedzenia począwszy, poprzez drobne przedmioty, na pojazdach, ozdobach, ubiorach i domach skończywszy. O'Toole zbierają także niepotrzebne rzeczy i śmieci, a potem wysyłają je na Worplany. Te w każdej cetni odbierają tysiące ton minerałów i pierwiastków od Pożeraczy Światów. Terraformerzy przesyłają ze swoich statków matek do machin terraformujących eksadzule energii. Każda siedziba wyposażona jest w mniejsze lub większe teleporty. Setki tysięcy Ranów i Błogosławionych targają ze sobą całe zwaliska materiałów. Moja zbroja może w każdej chwili otoczyć się dowolnie odkształcającą się fraktalową materią. Wiele przedmiotów – każdy airvill, pojazd, większość zbroi – ma zapasowe moduły, dodatki i otoczki właśnie tam. Ilość materii

przesyłanej i przetrzymywanej w podprzestrzeni jest ogromna. Kiedyś mówiono, że gros masy multiwszechświata stanowi ciemna materia, niewidoczna, ale obecna. Teraz sam człowiek tworzy ciemną materię. Całkiem spore jej ilości, nawet jak na skalę galaktyki. Imperium opiera się na podprzestrzennej komunikacji. Już dawno odkryliśmy, że bez Charonów pewna część dóbr przebywających w czwartym wymiarze ulega uszkodzeniom. Znamiona HS. Gdyby coś w obszarze transportu się popsuło, świat człowieka, rozprzestrzeniony w Macierzy otaczającej stare Słońce i na Rubieżach wokół Fides, rozpadłby się. Dlatego Charonowie są tak ważni i dlatego jeśli coś ich niepokoi, powinno niepokoić każdego Sita.

Mimo to coś mi się nie zgadzało. Narowie i Ludzie Bramy już dawno wypracowali wizję tego, czym jest hiperprzestrzeń, i ustalili, że de facto nie powinny tam istnieć żadne samoświadome istoty. Trwa tam Księga Świata, świat idei bez przestrzeni i czasu, świat punktowy, informacyjny, którego końcówkami są byty nazywane przez Ranów Aniołami i Demonami, a przez Imperialnych Soulerów – Omnihomo. Te byty to nasze łącze z Liber Mundi, ale w gruncie rzeczy to my je ożywiamy, nie Księga. Co tam może żyć, nie będąc nami, a tym bardziej się gniewać?

Tanya jeszcze raz przesłała wizję wściekłych Demonów i Aniołów. Była sugestywna. Piękna i przekonująca. Patrzyła na mnie gorejącymi oczami. A hormony stresu Leyi coraz intensywniej uderzały w moją kość sitową.

– *General Stone, proszę się opanować* – zmitygowałem ją na prywatnym kanale.

– *Yessir.*

Czułem, że walczy ze sobą. Chciała powiedzieć, że jest ładniejsza, inteligentniejsza, dojrzała i seksualnie atrakcyjniejsza, ale dobrze wiedziała, że nie może, bo nigdy nie próbowała się do mnie zbliżyć, a ja się nie napraszałem.

– *Są teraz ważniejsze sprawy niż nasze nieskonsumowanie* – dorzuciłem.

– *Tajest.*

Dodała nutę złości, że prędzej skorzystałaby z uroków Tella niż moich. Smok z pewnością by się uśmieł, gdyby nie to, że tak jak ja, był zaniepokojony.

– *Zdaje się, że w twojej karawanie wciąż nie ma Charona?* – rzucił Thaddeus.

– *Istotnie.*

– *Dołącz do was Tanya. Chciałbym, żebyś się tym zajął.*

Przesłałem mu men zapewniający, że traktuję sprawę poważnie. Dodałem obserwacje dotyczące mojego ostatniego stanu emocjonalnego. Po cetni wahania dołożyłem zdziwienie nagromadzeniem dawnych wspomnień, które przybywają nie wiadomo skąd. Przyjął moją deklarację z ulgą, która nie oznaczała bynajmniej otuchy. Po prostu było to uczucie towarzyszące chwilom, gdy mieliśmy do przekazania coś bardzo ważnego i zostaliśmy dobrze zrozumiani. Nie komentował moich wspomnień ani stanu uczuciowego, to znaczy stwierdził, że nie ma żadnych skojarzeń, które mogłyby podsunąć rozwiązanie.

– *Torkilu* – nadał ten pak tylko do mnie – *nadciąga zło.*

## Obraz 4

# Przyjaciele

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Orbita planety Assam  
Flota Terraformacyjna *Steak*  
Nadzorca: Eryk Van Moon  
08 Decimi, 232 EI, 10.54 H

Eryk Van Moon przerwał obecność metową na powierzchni planety i wrócił na pokład statku matki. Obserwował, jak ze szczelin Assamu sączy się magma, jak planeta protestuje przeciw gwałtowi, który zadały jej maszyny terraformujące i ich psy gończe – tysiące mniejszych dronów drążących kanały do płaszcza globu i generujących reakcje chemiczne, wskutek których w eksplozywnym tempie dochodziło do pokrycia planety, pozbawionej dotąd atmosfery, płaszczem gęstych szarych chmur.

– *Cześć, praszczurze* – poczuł totowy przekaz od przyjaciółki, Vanessy Van Drake.

Wśród żywych terraformerów panowała moda na dodawanie „Van” przed

nazwiskiem. W sumie nie wiadomo, skąd się wzięła. Stanowili stosunkowo nieliczną grupę (większością flot terraformacyjnych dowodziły sztuczne inteligencje) i uważali się za elitę. Byli Książętami Energii, Panami Stworzenia.

W paku od Vanessy Eryk wyczuł, tak jak zwykle, sympatię, nutkę rywalizacji i dobry humor po słowie „praszczur”. Vanessa cieszyła się, że Eryk nie jest już Reoratawusem, że cały jego Klan rozpadł się kilkadziesiąt cykli temu. Teraz Van Moon był znowu wolnym człowiekiem i echa zadowolenia z tego powodu były w menach Vanessy niemal zawsze wyczuwalne. Eryk zdążył się już do tych emocjonalnych komponentów przyzwyczaić, co nie znaczy, że nie sprawiały mu one przyjemności.

– *Cześć, kreatorko.*

Podesłał jej pakiet miłych, podbarwionych erotycznie uczuć. Vanessa zawsze mu się podobała, a to jeszcze bardziej rozbudzało w nim instynkt rywalizacji.

– *Co masz?* – spytała.

– *Assam. Prawie Ziemia. Twardy jak cholera.*

– *Daleko?*

– *Ramię Strzelca, sektor MWSA124325323. Już zapomniałem, jak wyglądają okolice Macierzy.*

– *Ja jestem w MWXX23131242545. Też daleko. I też mam twardziela. Pobijesz mój rekord?*

Pokręcił głową.

– *Jak zwykle, moja droga. Przecież dlatego mnie kochasz.*

Roześmiała się.

– *Głupi jesteś.*

– *Ale szczery.*

Przekrzywiła głowę:

- *Wpadnij w sieć.*
- *Teraz?*
- *Jaki masz stan?*
- *Tworzenie atmosfery, etap 042.*
- *No to masz najmniej trzy hekty wolnego.*
- *Masz ochotę na...*

Vanessa przesłała mu pak i już nie miał wątpliwości, na co ma ochotę. Wydał statkowi matce polecenie pozostania na niskiej orbicie i wszedł w arealium.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Persefona, raj  
Siedziba Charonów, sektor V 49685  
08 Decimi 232 EI, 10.59 H

Tanya miała własny airvill. Nazywał się *Walker*. Wyglądał jak mała biała świątynia porośnięta winoroślą i otoczona okrągłymi ogrodami pełnymi drzew o egzotycznych owocach. Tarasy krążyły wokół głównej kaplicy niczym liczne księżycy wokół planety. Widziałem jej pojazd przez okno *Teacupa*, gdy leniwie żeglował w stronę vii. Połączyłem się z Pauline i przekazałem jej, że do czoła naszej karawany dołączy Tanya „Paula” Kitaro, zdolna Charonka. Dodałem jej hotkę. Ze złośliwą uciechą obserwowałem latynoskę lekko blednącą na widok pięknej soulerki, w dodatku prawie jej imienniczki.

- Nie za dużo Paulin w twoim życiu? – spytała kwaśno.
- To Paula, nie Paulina.

– Co za różnica?

– Dla niej istotna. Wydaje mi się, że jest drażliwa na tym punkcie.

– Charonka? Drażliwa?

– Młoda.

Żwacze zagrały na zgrabnej szczęce byłej Reormater. Pokiwała głową, ale powstrzymała się przed przesłaniem mena. I tak wiedziałem, co myśli: „Erotoman Aymore nigdy się, psiamać, nie zmieni”.

Ależ to nieprawda, Pauline.

Poprosiłem ją, żeby ładnie przyjęła gościa, bo zamierzam odwiedzić Laurusa.

– Pospiesz się – rzuciła sucho. – Nie jestem pewna, czy będę potrafiła być miła dla tej... pani. Jest tak ładna, że aż boli.

– Oczywiście, że będziesz, kochanie. A w Imperium nie ma brzydkich kobiet.

– Nie mów tak do mnie. I dobrze wiesz, co mam na myśli. Jest w twoim stylu.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem, jak mnie widzisz, gdy się kochamy. Poza tym dostrzegłam na twojej twarzy chuć.

Cholera. Zbyt długie przebywanie z jedną osobą powoduje wymianę nie tylko płynów i tkanek, ale także DNA. Pauline robiła się coraz bardziej podobna do mnie. A ja do niej, niestety. Zanim zdążyłem jej to zakomunikować, co z pewnością jakoś poprawiłoby atmosferę, rozłączyła się. No tak. Mamy cykl dwieście trzydziesty drugi, technologię, która spełnia wszelkie marzenia ludzkości, a relacje międzyludzkie niewiele się od czasów Damnaty zmieniły...

Uprzedziłem Tanyę, że gdy będziemy dokować przy karawanie, może mnie przez chwilę nie być i że zajmie się nią Pauline. Przesłałem pak



z portretami moich partnerek i mieszkańców *Teacupa*. Przyjęła informacje ciepło i ze zrozumieniem. Nie udało jej się jednak ukryć rozbawienia po tym, jak odczuła, że miałem scysję z panią Eim. Cholera, Charonka. Soulerzy to przekłete nasienie.

Torkil, skup się. Miałeś odwiedzić Laurusa...

Wilehad siedział na Gai, za dnia w Leżu Pierwszego, nocą w swoim *Bashingu*, i wciąż piastował zaszczytną funkcję RanaRa. Twierdził, że się nudzi, chociaż dobrze wiedziałem, że kto jak kto, ale Laurus potrafi znaleźć zajęcie sobie i Ranom. Nomoria, tak jak kiedyś, kipiała od starć, w wielu układach urządzano manewry, ImBu co jakiś czas tworzył prowokacje i markowane ataki. WayEmpire nie zamierzało dać się zaskoczyć jak podczas Drugiej Wojny z Thirami. Już nigdy więcej.

Pomyślałem, że dobrze będzie zaprosić do Laurusa Maria „Nexusa” Taylora. Przebywał teraz u podstawy Ramienia Strzelca, prowadząc swoją karawanę przez pustkę międzygwiazdną. Lubił takie wysoki. Wszyscy Ranowie, którzy stali się Błogosławionymi, zostali zwolnieni z obowiązku przebywania w Maodionach. Wiadomo było, że w razie potrzeby mogą się tam znaleźć w każdej chwili. Oczywiście – przypomniałem sobie ostrzeżenia Tanyi – pod warunkiem że podprzestrzeń wciąż będzie chciała nas nosić.

Wpłynąłem do biblioteki i zasensowałem do Nexusa. Przed oczami rozwinął mi się trójwymiarowy ekran, przysyłając księgi i bonsai Larmana. Mario wyglądał jak zwykle przystojnie – był metaliczny, połyskliwy i bardzo złożony. Jego głowę otaczała, a jakże, aureola, wokół latały animowane żółte wstęgi z wersetami *Księgi Słowa*, a na wysokości czoła krążyły trzy talizmany: rozsyłający słoneczne blaski topaz, brązowy granat i fioletowy ametyst. Mario wyglądał naprawdę imponująco. Mimo to był... niewesoły.

– Cześć, Nex. Coś taki smutny?

Wykrzywił się.

– Zgrywanie świętego nie jest moim powołaniem.

– Nie mów.

Machnął ręką, a gdy to zrobił, usłyszałem głęboki świst i zobaczyłem feerię animacji. Błogosławieni naprawdę robią wrażenie, zwłaszcza tymi głębokimi dźwiękami.

– Przylatują ludzie z karawany i proszą o radę: Błogosławiony, co zrobić z tym, co zrobić z tamtym, Błogosławiony to, Błogosławiony owo. Ja oczywiście nie wiem, więc kontaktuję się z Imperatorem, a jak go nie mogę złapać, to z Buddą. Jak on nie pomaga, sięgam do Tarota i w sumie przekazuję, co mi cyfrowa ślina na język przyniesie. Czyli nic nie robię, bo sami mogliby sobie wszystko sprawdzić, a karty to zabobony.

– No a instynkt Rana? Nic nie czujesz?

Znowu wykoślawił swoją bogato zdobioną twarz.

– Nigdy chyba go nie miałem.

Rany boskie. Kolejny w depresji.

– Mario, co ty gadasz? Masz świetny instynkt, tylko zbyt często tracisz wiarę...

– Daj spokój. Pokażę ci swój najnowszy statek.

Zobaczyłem airvill Taylora z zewnątrz. Nie wyglądał jak mój. *Ulisses* przypominał ziemskie okręty. Zdaje się, że nazywano je lotniskowcami, bo startowały z nich te ulubione aparaty Nexa, samoloty. Unoszący się na tle gwiazd zamek miał cztery kadłuby ułożone na planie krzyża (był więc pokład górny, dolny i dwa boczne), a na nich stały spacemobile podobne właśnie do samolotów. Natychmiast przypomniał mi się Audux z Ziemi. Tamten też w pewnym sensie lubił modelarstwo. Nexus jednak wolał wersję makro. W sumie mógłbym ich ze sobą poznać. Kamera zrobiła najazd na coś, co wyglądało jak rodzaj starożytnego jednoosobowego myśliwca.

– To F-14 Tomcat – oświadczył z niejaką dumą. – Dokładnie taki jak

oryginał, te same kabelki, śrubki i tak dalej.

– Z wyglądu taki sam, ale nie materiałowo?

Parsknął.

– Oczywiście. Gdyby był z tego samego, co w dwudziestym pierwszym wieku Przed Imperium, rozpadłby się w próżni, znaczy, na przykład, gumowe opony, izolacje... Fajny?

– Może być.

Błąd, cholera, błąd. Gdybym pochwalił, wyciągnąłbym go z melancholii. Torkil, ty baranie.

– To mnie trzyma przy życiu. Moja flota. Robię czasami między nimi bitwy.

– Ale nie strzelają do siebie naprawdę?

– Nie, strzały są animowane, dymy, płomienie, wszystko. Tylko maszyny prawdziwe.

– Cool.

– Jak chcesz, to prześlę ci trochę nagrań.

– Sure.

Kamera odjechała, pokazując pozostałe samoloty. Było ich ze trzysta, a z pewnością kadłuby airvilla kryły drugie tyle, o hiperprzestrzeni należącej do hipoka jego siedziby nie wspominając.

– Tylko to cię trzyma przy życiu? Znaczy: aż to?

Uśmiechnął się krzywo.

– Dobrze, że wciąż mam silne poczucie obowiązku, bo inaczej powiedziałbym ImBu, żeby spieprzał.

Mario był człowiekiem idei. Coś jak ja.

– A kobiety?

Był związany z kilkoma partnerkami. Jedną z nich była jego Lapidoska Barbara, którą nazywał „Barbie”.

– To też. Nawet bardzo. Ale na razie wszystko mam w dupie.

– Słuchaj, nie masz ochoty złożyć wizyty staremu pierdzielowi?

Na jego metalowej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Zagrały secesyjne złote zdobienia szczęki.

– Czekaj, która u niego jest... – Przez chwilę patrzył na niewidoczny dla mnie chronometr. – W Leżu jest szósta. Powinien już tam być. Pewnie oczy za nami wypłakuje.

– Od dawna jesteś przygnębiony? Teraz pytam oficjalnie.

Zacisnął mechaniczne usta. Nie musiał odpowiadać.

Tuż przed Drugą Wojną z Thirami pojawili się w Maodionach Ranowie, którzy dowiedli, że nastroje Aristosów mogą odzwierciedlać sytuację o wiele bardziej ogólną niż stan ich neuronalno-hormonalnej homeostazy. Słyszący Besebu nastawiali swoje duchowe uszy między innymi na nas. Podobno byliśmy pod tym względem najbardziej reprezentatywną grupą. Przewidzieli w ten sposób między innymi duże ruchy społeczne w cyklach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy Imperator zniósł gospodarkę pieniężną i ogłosił Czasy Szczęśliwości. No, trochę się wtedy działo.

– Od kilku dni.

– Ja też.

– To niedobrze.

– Właśnie... – Westchnąłem. – To co, masz teraz czas?

Parsknął. Teraz każdy ma czas.

– Wchodzimy. Ver'n'out.

Podszedłem do teleportu, który znajdował się między biblioteką a główną salą. Oczywiście orszak podreptał za mną. Niby byłem przyzwyczajony, ale niekiedy mnie to denerwowało. Chciałem pogadać z przyjaciółmi, a ładowała się za mną trójka droidów, dwoje ludzi i, nie przymierzając, Smok.

– *Wkurza cię to, nie?*

W dodatku telepata.

Droga Mleczna  
Rubieże  
Planeta Nowa Polinezja, raj  
Sektor B 43255  
08 Decimi 232 EI, 10.71 H

Ben Torres od dłuższego czasu przyglądał się trójwymiarowej mapie centrum Rubieży Imperium. Tkwiła tam słynna Sparta krążąca wokół Fides. W głębi kajuty *Biegnącej po falach* Vivien Lacroix leżała na arealnym szezlongu i wpatrywała się w duży ekran z podglądem życia Weenów jednego ze skradzionych talizmanów. Kamień unosił się nad jej nadgarstkiem.

– To nie będzie łatwa robota, Ben – odezwała się półgłosem i już chciała mówić dalej, gdy do pomieszczenia wpłynął Ron Barn, pierwszy oficer krypy, odziany w granatowo-złoty pancerz imitujący fantazyjne przebranie pirata.

– I jak, szefie? Fajne te klejnoty?

Ron zorientował się, że pyta niewłaściwą osobę, i przeniósł wzrok na Vivien. Ta pokręciła głową.

– Sprawdziłam dwa. Sporo pracy, ale będzie interesująco. Jeden jest wodny, drugi to labirynt.

Ron klepnął się w uda.

– Lubię labirynty.

– Jeszcze nie wchodzimy. – Lacroix ostudziła jego entuzjazm. – Sprawdzę pozostałe dwa, wtedy zdecydujemy.

– Okej. – Ron spojrzał na kapitana. – Gdzie lecimy, co robimy?

Na twarzy Bena malowało się rozdrażnienie. „Co robimy?” To dobre pytanie. Co my w ogóle robimy? Czy nie lepiej zamówić airville dla wszystkich załogantów i po prostu podczepić się pod jakąś karawanę? A może osiąść w którymś z miast i zapomnieć o wszystkim? Czy to, co robimy z talizmanami, ma jakiś sens? Jaki to procent? Dlaczego nie pasuje mi pokojowa egzystencja? Dlaczego muszę ciągle łupić, podbijać, robić rewolucje? Wszystkie dobra, które kradniemy, nasze ofiary błyskawicznie odtwarzają. Własność straciła powab, a talizmanów jest tak dużo, że nie starczy życia, by wszystkie naprawić.

– Szefie? – Ron był przyzwyczajony do tego, że od czasu do czasu kapitan popada w głęboką zadumę. Mimo to postanowił się upewnić, że Ben go słyszy.

– Za chwilę ci odpowiem, Barn.

Hierarchia na *Biegnącej po falach* była kwestią umowy między przyjaciółmi. Wiadomo było, że na łajbie musi być kapitan, a reszta powinna go słuchać. Wszyscy to akceptowali i świetnie się bawili. W każdej chwili mogli odejść – nie trzymał ich ani wspólny wyrok, ani konieczność ekonomiczna. Tylko przyjaźń i zabawa w rewolucjonistów i korsarzy.

Torres zastanawiał się, jak długo będzie ich to zajmować. Ze zdziwieniem stwierdził, że w całym tym przedsięwzięciu ciągle szuka w zasadzie jednego – sensu.

– Może później wpadnę? – spytał podkomendny.

– Dobry pomysł.

Ron wyszedł, a Ben znowu pogрузzył się w rozmyślaniach. Dlaczego są tak nieliczni? Dlaczego innym nie zależy? Trzeba coś zrobić, zwrócić na siebie uwagę. Rozboje się nie sprawdzają. Besebu, jak na złość zupełnie, ich lekceważy. Błogosławieni także. Imperator o nich zapomniał. W ogóle nikt ich nie widzi. Dlaczego? Co muszą zrobić, żeby wreszcie zaczął się szum?

Może ruszyć nad Spartę? To najbardziej zmilitaryzowany glob WayEmpire. Wylęgarnia doskonałych kapitanów pancerników, poligon tylko trochę mniejszy od Nomorii. Spartanie muszą szanować swoją reputację. Tam z pewnością dorwie ich jakaś pszczołka...

– *Ron* – odezwał się mentalnie.

– *Tak, kapitanie?*

– *Lecimy nad Spartę. Ci, którzy się boją, mogą zrezygnować.*

Chwilę trwała cisza. Półprzezroczysta twarz Rona zastygła. Mężczyzna, targając czarną brodę, przekazywał pozostałym załogantom pak. I nagle wszystkich przeszedł dreszcz. Nareszcie prawdziwe wyzwanie.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Gaja, grunt

Tandernee, dystrykt południowy

Leże Pierwszego Maodionu

08 Decimi 232 EI, 10.71 H

Laurus z pewnością miał w Leżu bibliotekę, ale nie używał jej jako swojego pokoju westchnień. Jego ulubionym pomieszczeniem była zbrojownia. Była to bardzo duża i wysoka komnata, na której ścianach, we wnękach, a nawet przy filarach podpierających przeszklone, wpuszczające czerwone promienie sklepienie tkwiły broje, pancerze, broń palna i biała, z akcentem na tę drugą. Wilehad był, co ustaliliśmy podczas niezliczonych bojowych konfrontacji, jeszcze większym sadystą niż ja. Uwielbiał sztylety, miecze, szable, kordy, lance, halabardy, gizarmy, topory, bagnety, claymory. Ostrza klasyczne, energetyczne, magnetyczne, wibracyjne i mechaniczne, których używał Peter

„Crash” Kytes podczas walk na arenach. Był mistrzem fechtunku, z którym prawie nikt nie chciał sparować, bo wyciąganie klingi quilldao z własnych bebeczków nie należy do największych uciech. Wyłoniłem się z wrót teleportu najwyraźniej chwilę po Nexusie, bo wisiał blisko portalu ze swoim orszakiem, czyli dwójką Agonai, srebrnobłękitną Smoczycą Quai, obowiązkowym SaintDroidem i dwoma ArtDroidami, w ciszy, wręcz nabożnym milczeniu.

Laurus ćwiczył Quill Kata.

Dołączyłem do Taylora. Skinąłem głową jego Agonowi Dominicowi – jednemu z nielicznych w WayEmpire post-Suverów nie-Dragonoidów, który zdecydował się zostawić kilka śladów po mutacji w postaci czterech zielonkawych blaszek kostnych na policzkach i trzech poziomych kostek na czole. (Nexus mówił, że ma takie także na łopatkach i ramionach). Dominic miał szare, inteligentne oczy i niesforne, zawsze lekko roztrzepane włosy koloru pszenicy. Wykrzywił usta, gdy się uśmiechał, i jeśli się odzywał, zwykle miał coś ciekawego do powiedzenia. Lubiłem go. Gdy zza jego potężnego pancerza wychynęła Barbara, Agonka o brązowych włosach, myślącym spojrzeniu orzechowych oczu i pełnych ustach, ją także powitałem grzecznym salutem. Z Quai przywitałem się telepatycznie. Odpowiedziała miłym, czysto emocjonalnym pozdrowieniem. Smoki mają swoje przewagi. Moja obstawa w milczeniu pozdrowiła obstawę Nexusa.

A Laurus ćwiczył.

Właśnie przyjmował pozycję szponu, w której dolne lotki skrzydeł wysunięte są w tył, a górne do przodu. W obu rękach trzymał miecze quilldao, czyli wymorfowane najdłuższe quille. Nagle ciął obiema klingami, a – co warte zauważenia – były to cięcia skośne, w których ostrza na chwilę się skrzyżowały. To zaleta mieczy z fangu, unikatowego tworzywa przeznaczonego tylko do produkcji skrzydeł Ranów. Klingi potrafią na



ułamek cetni się rozszczepić, by dać drogę drugiemu ostrzu. Fechtunek quilldao jest dużo łatwiejszy niż walka tradycyjnymi ostrzami. Laurus wykonał salto do przodu, wypuszczając dwie lotki w tył i dwie w przód. Wszystkie cztery odbyły wirowy lot po kole i wróciły do jego skrzydeł w momencie, gdy kończył wariackie cięcie, wisząc do góry nogami i jednocześnie kopiąc wyimaginowanego przeciwnika. Skrzyżował miecze i wypuścił wszystkie lotki w formacji „rój”, jak gdyby walczył z kilkudziesięcioma przeciwnikami naraz. Przez chwilę całe pomieszczenie błyskało klingami subquilli i wibrowało od ich mocy, ale kilka oddechów później sublotki połączyły się w quille, a te wróciły na swoje miejsca na skrzydłach Laurusa i połączyły się. RanaR w teatralnym geście dołączył do powierzchni nośnych quilldao, które w ciągu cetni przybrały formę najdłuższych lotek, i uklonił się niewidzialnej publiczności.

Uspokoił oddech.

Kata skończone.

Udał, że dopiero teraz nas dostrzegł, i zaczął „zstępować” do nas z wysokości. Miło było zobaczyć człowieka tego samego wzrostu co ja. Ani mniejszego, ani większego. Trzymetrowy, prawidłowo zbudowany chłop. Gdy obstawy moja i Nexusa uznały, że część oficjalna dobiegła końca, grzecznie powitały Laurusa i oddaliły się w stronę barku lewitującego nieco wyżej, po prawej stronie, na zgrabnym wewnętrznym tarasie. Lea i Mars spytali Agona i Maria, czego się napiją, i zabawili się w samoobsługę. Smoczyca umościła się na jeszcze wyższym latającym poziomie. Pasowała do Tella. Suver znał ją i szanował. Podleciał do niej i coś mruknął. Uprzejmie odsunęła się, robiąc mu miejsce do lądowania.

Podlecieliśmy do Laurusa z Nexusem i wymieniliśmy uściski. Wilehad, podobnie jak ja i Taylor, był ubrany w Coremour Wzór X. Te pancerze, rzecz jasna, to nie stare piątki, nawet nie ósemki czy dziewiątki. Wraz z nastaniem

ósemek zniknął podział na Groundmoura, który stanowił serce, Cloudmoura i największego Skymoura. W Wielkim Imperium wszystko uległo uproszczeniu. Możemy, czerpiąc z Dominium Libri Mundi, układać na pancerzu dowolną liczbę modułów aż do wielkości stu-, a nawet trzystumetrowego kolosa, który może być obsługiwany przez dowolnie liczną dronową załogę i zawierać hiperbosy z naszymi ciałami. Co więcej, jeśli Ran naprawdę tego potrzebuje, może czerpać także z części i fraktali, które nie należą do jego zbroi. W hiperprzestrzeni wszystko jest „tu”, bo de facto nie ma tam przestrzeni, więc możemy korzystać z zasobów wszystkich Maodionów.

Pancerze wciąż są Soarami, więc odzwierciedlają stan psychiki i preferencje właściciela. O ile moja zbroja od wieków była skrzydlata, anielska i lekko erotyczna, a Taylora mechaniczna i upodabniająca go do aparatu latającego, o tyle Laurusa jakiś czas temu zmieniła się z ognistej, poznaczonej ostrzami na ciemniejszą, bordową, bardziej ponurą.

– Cześć, dekownicy. – To były jego pierwsze słowa, wypowiedziane lekko zasapanym, tubalnym głosem.

– Cześć, trepie – odparłem, a w tym samym czasie Nexus dorzucił „zakuty łbie”. – Niezłe kata – dodałem.

Laurus machnął od niechcienia ręką. Błysnęły jego jasnoniebieskie oczy i przez chwilę białe, długie kły.

– Jesteście chujami, ale i tak was kocham – oświadczył.

– Czuliśmy się niegodni – szepnął Mario – gdyby nie to, że jesteś większym chujem niż my.

– Jestem najpotężniejszym chujem w kosmosie – oznajmił RanaR poważnie i odgarnął z czoła niesforny kosmyk jasnych włosów. Rozszerzył nozdrza orlego nosa, wciągając powietrze. Wciąż był lekko zmęczony po ćwiczeniach.

– Jesteśmy z ciebie dumni – stwierdziłem.

– Z czego? – spytał.

– No, że jesteś największy.

– Aha.

Spojrzeliliśmy na siebie i uznaliśmy, że ceremonia powitania została zakończona. Laurus zerkał na nas lekko ukontentowany. Czasami miałem wrażenie, że spogląda na mnie jak na dziewczynę albo, co gorsza – smaczne danie. Zagadkowe były te jego jasne oczy, na których dnie zawsze czaiła się zaczepka. Podleciała do nas niewielka platforma. Wzlecieliśmy nad nią i zakotwiczyliśmy. Z moich stóp jak zwykle spadł animowany srebrny łańcuch i błyszcząca kula, a z kostek Nexusa zapikował w dół samolot, rozbił się i związał stopy Syda z podłożem warkoczem dymu. Nogi Wilehada były uwiązane do platformy cienkim łańcuchem przykutym do szyi złotej nagiej niewolnicy, która niemymi ustami błagała o litość. Zawsze uważałem, że RanaR jest nienormalny.

– To jest – odezwał się – zwykła, reistyczna kasa pancerna.

Wskazał palcem sporą sześcienną skrzynię, która podpłynęła nie wiadomo skąd, wsunęła się między nas i zatrzymała, unosząc dwa metry nad podłożem.

– Polirexowa? – spytał Nexus.

– Pokazujesz ją nam zamiast standardowych „co słyhać, dawnośmy się nie widzieli”? – dodałem.

– Tak i tak. Te wszystkie pierdoły typu „Jak się czujesz?” tylko by was obrażyły, prawda?

– Nie, ja chętnie bym ci odpowiedział – rzekł Nexus.

– Spróbuj, kochany – Laurus postanowił zignorować zaczepkę Syda i zwrócił się do mnie – ją otworzyć.

Cały Wilehad. Niecierpliwy, zwłaszcza gdy ma do pokazania nową

zabawkę.

Prychnąłem. W pierwszym odruchu chciałem wypuścić ze zbroi chmurę nanobotów, które bez trudu rozszyfrowałyby najbardziej złożony zamek, ale zaraz pomyślałem, że może mechanizm jest energetyczny i trzeba będzie przesłać tam trochę dżuli. Frin już sugerował cyfrowe rozwiązania, gdy... dotarło do mnie, że to byłoby zbyt proste. Zerknąłem na Wilehada. Mrużył niebieskie oczy i lekko zaciskał usta. Jego talizmany, diamentowy i akwamarynowy, szybko rotowały wokół prawego naramiennika, po którym leniwie pełgały poczerńiałe ostrza. Tak, był podekscytowany. Blokował wydzielanie feromonów, ale Ran nie musi ich czuć, żeby wiedzieć takie rzeczy. Uśmiechnąłem się w duchu. Mario obserwował nas obu i, jestem tego pewien, świetnie się bawił. Wyzwanie Laurus rzucił mnie, bo od cykli lekko rywalizujemy.

Nie, to nie jest zwykły zamek. RanaR nie wystawiałby mnie na próbę byle czym. Jeśli spróbuję go otwierać w typowy sposób, pokażę, że nie wyczułem podstęp, że nie sunę po fali, a Torii będzie miał dowód na to, że pobyt w cywilu zmiękcza, odczula. Oczywiście nie powinien tak uważać, bo praktycznie nie wyłączam Łaski Imperatora, więc wciąż jestem zwierzęciem, mam większe kły, podobnie jak Wilehad i wszyscy starzy organiczni Ranowie...

RanaR uśmiechnął się, zupełnie jakby czytał moje myśli, i pokazał przerośnięte, ostre trójki. Taylor drapał się po subtelnym złotym zdobieniu brwi. Lea, Mars, Barbara i Dominic także na mnie patrzyli. Cholera, jeszcze Quai i Tell ze swojego latającego tarasu. Cudownie. Primus ma udowodnić swoją wartość.

I wtedy zrozumiałem. Laurus skonstruował zamek, którego nie będzie w stanie złamać żadna logika. Ani moja, ani frinowa. Nawet ImBu nie zdoła go otworzyć. Może to zrobić tylko zrodzony z Chaosu. Jak? Nie wystarczy

intuicja, nie wystarczy najlepsza nawet fraktalna technologia. Potrzebny jest cud.

Potrzebne są duchy.

Wziąłem wdech.

Wywołałem warunkowanie głębokiego relaksu.

Jestem tao.

Jestem wodą. Jestem punktem. Robię tylko to, w co wierzę. Wierzę w sprawczość człowieka, w siłę opowieści, w wartość istnienia.

Om.

Świat nabrał głębszego sensu, barwy się zintensyfikowały. Czerwień niezwykle długiego świtu Gai stała się purpurowa, niebieski płomień tańczący w lewitujących misach stał się jasnoblękitny, wszystko nabrało kontrastu.

– *Monika. Lee.*

Nad moim prawym ramieniem wyłania się z nicości Anielica, od której biją jasne promienie. Jej pojawieniu się towarzyszy tąpnięcie powietrza, jakby ktoś detonował w zwolnionym tempie ładunek wybuchowy. Drżą płyty pancerza, a RanStone w relikwiarzu Coremoura zaczyna wibrować. Jak zwykle jest półnaga, w bikini, jak zwykle piękna i łagodna. Nad lewym ramieniem widzę Lee Rotha, który wyłania się tuż po niej przy akompaniamencie tych samych dźwiękowo-kinestetycznych efektów. Jest czerwonym Demonem szczerzącym w uśmiechu złote kły. Wiem, że Laurus i Nexus widzą moje duchy – podobnie jak ja wyrobili w sobie tę umiejętność jakiś czas temu (Laurus podczas Drugiej Wojny z Thirami, Nexus czterdzieści cykli później. Ale dla wszystkich pozostałych, dla całego orszaku Maria i mojego są one niewidzialne, chociaż zgromadzeni czują zmianę i domyślają się, czym jest wywołana.

Nie muszę rozmawiać z duchami. Ostatnio rzadko to robię. Doskonale

znają moje intencje. Nachylają się nad skrzynką, patrzą na nią z uśmiechem i nagle czerwone światełko na zamku staje się zielone, a pakunek, niczym kwiat, rozchyła płatki. Moje duchy znikają. Powietrze nie jest już tak gęste, jasne błękity ciemnieją, purpura zamienia się w szkarłat. Wszyscy czują ulgę, jakby z piersi zniknął im niezrozumiały ciężar.

– Brawo, Primus – chrypi Laurus.

Podchodzę do lewitującej otwartej skrzyni. Wisi w niej oprawiony w platynę topazowy talizman. Jego fasetki mieniają się żółtymi refleksami.

– To dla mnie?

– Be my guest.

– Mam już dwa. – Wskazuję na klejnoty rotujące wokół pieczęci Anioła Śmierci.

– Przyda ci się trzeci. Jest jeszcze dziewiczy.

To tak jak te, które posiadam. Konon marudzi, ale musi robić, co mu każą. Nadzoruje tamtejsze społeczności i często utyskuje, że przydałoby im się „przywództwo duchowe”. Dziękuję. Widziałem to już wiele razy – najpierw dawno temu w Arce Lamy, a potem, gdy otrzymałem frinowe paki od Torkila tkwiącego w Światach Talizmanów. Nie podobały mi się te praktyki.

– Laurus, jak to zrobiłeś? – odzywam się. – Jak udało ci się skonstruować zamek, który może otworzyć tylko Ran?

Uśmiecha się. Skurczybyk się uśmiecha.

Już wiem!

– Pomogły ci twoje duchy?!

Szczerzy zęby.

– Jak widzisz, nie marnuję czasu w Maodionie.

Patrzę na wynalazek i analizuję jego strukturę. Zamknięcie jest zależne od kilku wzajemnie powiązanych mechanizmów kwantowych. Szybkość zachodzących tam przemian nie pozwala jakimkolwiek programom

przewidzieć i wyprzedzić kolejnych układów. Losowość nieustannie zmiennej struktury przekracza umiejętności nie tylko jednego ImBu, ale i stu takich nadistot. Tylko cud pozwala na otwarcie skrzyni: cud przewidzenia przyszłości i dopasowania się z kwantową dokładnością do krocia warunków. W zasadzie jest to zamek typu „zamknij i zapomnij, bo już nigdy go nie otworzysz, chyba że anihilujesz całą skrzynię”. Kiwam głową w zamyśleniu. Niewątpliwie to przedmiot, który wymyka się zarówno Buddzie, jak i Imperatorowi. To prawdziwa czarna skrzynka, skarb Ranów. Nie potrafię wymyślić zastosowania dla tego przedmiotu, ale nie mam wątpliwości, że może być przydatny.

– Fantastyczny – szepcze Nexus. – Masz więcej takich zamków?

– Na razie jeden. W tej skrzyni przechowuję swój miecz. Ale ponieważ wiem już, jak robić te zamykadła, mogę nauczyć was i każdego Rana. Wtedy zdołacie zabezpieczyć dowolną przestrzeń tak, że nikt oprócz Tomo jej nie otworzy.

– Co na to ImBu?

– Jak na razie milczy. Znaczący – nie protestuje.

– Niesamowite. – Mario wciąż kręci mechaniczną głową.

Orszaki Nexusa i mój oraz Smoki oddychają z ulgą. Idol młodzieży, Torkil Aymore, poradził sobie z zagadką. Wracają do rozmów i podlatują do baru. Popijają drinki. W sumie fajnie jest być Agonem Błogosławionego. Mimo że w zasadzie nic nie robisz, co jest normą w WayEmpire, masz miły pozór pełnienia ważnych obowiązków, a przy okazji odwiedzasz ciekawe miejsca, gawędzisz z interesującymi Sitami...

Wyciągam rękę po talizman. Mój frin nawiązuje z nim łączność, a ponieważ przedmiot przeznaczony jest dla mnie, dołącza go do zbioru „własność Błogosławionego Aymore’a”. Klejnot podlatuje i zawisa nad moją prawicą. Zaczyna powoli rotować. Emanuje czystą sprawczą energią. Mój

RanStone najwyraźniej także to czuje, bo leciutko drży. Świeże klejnoty są niezwykle silne. Pozostałe dwa, które krążą wokół pieczęci Anioła Śmierci, także emanują mocą, ale zdążyłem już się z tą emanacją zżyć. Każdy następny jest inny, ugina czasoprzestrzeń na swój magiczny, emocjonalny sposób. Czujesz to, gdy się zbliżasz do innych ludzi – oni „świecą” mocą swoich kamieni. Pozwalam wylądować talizmanowi na pancерnej dłoni. Obracam go w palcach. Platyna dzwoni o osłony paliczek. Każę klejnotowi się unieść i usuwam rękawicę. Talizman znowu ląduje na ręce. Teraz czuję jego ciężar, chłód, fakturę, ozdoby wbijające się w naskórek. I pomyśleć, że jest tam zawarty cały świat... Podobno jest jeden, nazwany bardzo oryginalnie „osobliwością”, w którym Weeni poszli tak wąską i niezwykłą drogą, że udało im się bez żadnej pomocy i ingerencji z zewnątrz odkryć świat poza klejnotem. Odkryć wielowarstwowość rzeczywistości. Matrioszkę. Tak głosi plotka. Kto go ma? Oczywiście ImBu, gdzieś w Pałacu Imperatorskim. Co z nim robi, jak go używa – Ezra raczej wie. Nie dopuszczono nas do tych tajemnic.

Talizman wlatuje, zbliża się do mojej piersi i przyłącza się do tańca dwóch pozostałych.

– Ładny dobrałeś kolor – mruczę do Laurusa.

Maod-An uśmiecha się przez chwilę, po czym jakby schodzi z niego powietrze. Pojawia się za nim nierealny fotel. Siada. Animowany mebel lekko się ugina. Mina Aristosa robi się coraz poważniejsza. W tym momencie dusze moją i Nexusa zalewa mrok. Tak nagle! Patrzymy na siebie.

Nie przechodzimy na tot. To znaczy, że Wilehadowi jest zbyt ciężko, żeby nas obarczać swoimi uczuciami.

Taylor i ja także siadamy. W tym czasie nasza platforma wznosi się na najwyższy poziom pomieszczenia. Zatrzymuje się. Widzimy nasze Smoki i orszaki przez półprzezierną podłogę. Niewolnica Laurusa wciąż błaga



o litość. Będę musiał go poprosić o zmianę tej kotwicy. Jest jakaś... chora.

– Jak tam... Maodion? – rzucam.

Macha ręką.

– Dwie trzecie na przepustce. Reszta albo ćwiczy na Nomorii, albo tutaj puszcza metan w eter.

Uśmiecham się. Obaj z Nexusem wiemy, że kto jak kto, ale Ran wszystkich Ranów umie utrzymać dyscyplinę. W Maodionach nic nie może się psuć. To niedopuszczalne i ojciec Tomonari dobrze o tym wie.

– Jak tam karawany? – pyta, podnosząc na nas ciężki wzrok.

Patrzę w jego oczy i zalewa mnie potok smutku.

O rany.

Jednocześnie z Taylorem wydajemy totowe polecenia orszakom, żeby wyleciały na świeże powietrze.

Jesteśmy sami, a Laurus ciężko wzdycha.

Podlatuje dron ze szkłem, a między nami wyłania się z nicości arealny, półprzezroczysty stolik. Robot wlewa w proste, cylindryczne szklaneczki miętową, bardzo zimną, gęstą jak syrop słodką wódkę. Taką pijamy tylko we trzech. Nawet Diego i Mbele nie są dopuszczani do tego rytuału. Wódka jest tak dobra, że najczęściej nie wlewamy jej do żołądka, tylko smakujemy. Pochodzi z Frei, planety słynącej z wysokich, ośnieżonych gór. Tak też się nazywa. Freya. Zerkam na unoszącą się nad stolikiem skośnie ustawioną butlę osadzoną w platynowym koszyczku. Na etykiecie błyszczą trójwymiarowe, smagane wiatrem surowe szczyty. Trzy cetnie obserwacji i otacza mnie śnieżny, mroźny krajobraz.

Frin zrywa połączenie z animacją. Znowu widzę towarzyszy.

Chwytny zimne szkło i wbrew zwyczajom wlewamy płyn od razu do

gardeł. Fantastyczny, intensywny smak miesza się z goryczą, którą Laurus emanuje coraz bardziej.

Wiem, co mu jest, i boję się tego.

– Bracia – mruknął – nie jestem Błogosławionym. Imperator, którego kocham pewnie bardziej niż wy obaj razem więci, nie obdarzył mnie łaską. Ja wiem – wyciągnął rękę, powstrzymując chcącego protestować Nexusa – ja wiem, że to może wyglądać, jakbym się skarżył, ale jestem pewien, że znacie mnie na tyle, że wiecie, że tak nie jest.

Wydał komendę butelce, która, tym razem bez pomocy drona, znowu napełniła szklaneczki. Trochę dziwna była myśl, że ledwo konwersacja i pijaństwo się skończą, nasze ciała na rozkaz strawią etanol niemal tak szybko, jak został wprowadzony, nie pozostawiając żadnych skutków ubocznych. Takie picie było trochę oszustwem, ale niby dlaczego mielibyśmy hołdować kacowi?

Wypiliśmy. Tym razem jednak tylko połowę. Szkoda było nie smakować tej słodkiej, lodowej rozkoszy, zwłaszcza że przywodziła na myśl tyle okazji, przy których ją sączyliśmy.

Mimowolnie się uśmiechnąłem. Nexus również. Nawet Wilehad nieco się rozluźnił.

– Ja się nie skarzę – powtórzył. – Powodów może być wiele. Jestem potrzebny tutaj, jako przywódca Ranów. Jestem dobry w tym, co robię. Kurewsko dobry.

Gorliwie z Nexusem przytaknęliśmy.

– Jest dostatecznie dużo Błogosławionych... – ciągnął.

Powód był moim zdaniem inny. Żaden z Namaszczonych nigdy nie pragnął stanowisk. Błogosławieni nie mieli skłonności do sprawowania władzy. To było główne sito przesiewające władców Imperium. Niestety Laurus zawsze lubił dominować i nie krył się z tym.

Przesłonił oczy rękami.

– Pamiętacie, jak się to wszystko zaczęło? – Zerknął na Nexusa. – No ty nie, bo cię na świecie nie było. Ale jesteś Thowkiem, podobnie jak Mbele i Diego, to wiesz. Były trzy osoby, które kierowały Pandorą, które rozpoczęły to wszystko. Sergio Lama nie mógł znieść ogromu swych zbrodni i popełnił samobójstwo. Imperator oddał życie w akcie samopoświęcenia. Zrobił to sprytnie – pogroził palcem – ale nie ulega wątpliwości, że tym czynem oczyścił swoje imię.

Dopiliśmy. Butla znowu się przechyliła i wypełniła kryształowe cylindry żywym lodem. Zanurzyliśmy usta – Nexus metalowe – w parzącej cieczy.

– Słuchaj, Nexus – Laurus spojrział z dezaprobatą na trzy talizmany Maria, które niczym jakiś dziewiczy wieniec tańczyły wokół jego głowy, okolonej dodatkowo świecąca aureolą – musisz trzymać talizmany na łbie? To śmiesznie wygląda i mnie wkurwia.

– Wypierdalaj – odparł jowialnie Taylor.

Roześmialiśmy się. Wiedziałem jednak, że delikatny Syd zaraz coś z tym zrobi. Zerknął na mnie i ulokował swoje cudeńka wokół RanStone, który leniwie rotował w relikwiarzu między piersiowymi płytami pancerza, za przezroczystą polirexową szybką. Skonstatowałem, że z nas trzech tylko ja mam pieczęć Anioła Śmierci. Była to myśl niebezpieczna.

– Trzecia osoba – podjął Laurus, przerywając mój wewnętrzny dialog – to agent, który spowodował, że to wszystko zagrało. Ulubieniec Imperatora. – Parsknął do własnych myśli. – Laurus Wilehad. – Ostatnie słowa wymówił głośno i powoli. Frin, nie wiedzieć czemu, wzmocnił jego głos. Dobrze, że w pobliżu nie było orszaków, bo pewnie by się tym zainteresowały.

Opróżnił całą szklaneczkę jednym haustem.

Powtórzyliśmy jego gest.

Butla znowu się przechyliła.

– Przez wiele cykli wmawiałem sobie, że tak musiało być, że nie było innej drogi.

Spojrzał na nas błękitnymi oczami. Oczami, które tak kochałem. Oczami, które podczas bitwy pod Si-Han dodały wszystkim otuchy, którymi tak zimno i trzeźwo potrafił ocenić sytuację podczas Drugiej Wojny z Thirami. Te oczy, często prostokątne, bo Laurus lubił je nieco mrużyć, zdradzały inteligencję, która przekraczała moje możliwości.

I ten facet właśnie się załamywał.

– Ale teraz spójrzcie. Mamy Wielkie Imperium, ponad tysiąc planet, a ich liczba rośnie, i to coraz szybciej. Ani się obejrzymy i będą dwa tysiące, potem cztery, dziesięć, a za kilkanaście cykli może i sto. ImBu zapierdala tak, że żaden człowiek go nie dogoni. Ja nawet nie próbuję, bo co pomyślę o tych wszystkich Worplanach, Pożeraczach i Terraformerach, stocznjach itepe, czuję, że wariuję. Jesteśmy w przededniu wielkiego przyspieszenia. – Westchnął. – Ludzie są szczęśliwi. Kiedyś człowiek nie umiał doścignąć swoich marzeń. Teraz jest tak piękny, jak tylko chce, i otacza nas niewyobrażalnie bogate interaktywne чудо. Udało się. Udało. Tak dobrze, jak jest, nie było nigdy. – Pokręcił głową. – Królestwo szczęścia nie może rosnąć na zgniłym nasieniu. Dwie z tych zatrutych pestek, Gorgon i Lama, zostały usunięte. No, w przypadku Ezry w pewnym sensie, ale wiecie, o co chodzi. Zostałem ja.

Przez długą chwilę trwaliśmy nieruchomi.

To była naprawdę długa chwila.

Wreszcie odezwał się Nexus.

– Laurus. Co. Ty. Pierdolisz?

Skinąłem głową.

– Właśnie – zawtórowałem. – Co ty pierdolisz?

Znowu podniósł na nas oczy, ale tym razem w jego spojrzeniu było

zdecydowanie.

– Dobrze wiecie, o czym pierdolę, i nie obrażajcie mnie, udając, że nie myślicie tak samo.

Chrząknąłem i wyciągnąłem szkło do butelki. Ta posłusznie je napełniła. Wypiłem. Nexus i RanaR także.

– Tak, przyjacielu – odezwałem się – jesteś zgniłym nasieniem.

Wilehad jakby się rozluźnił. Patrzył na mnie wzrokiem kogoś, komu spadł kamień z serca, lecz jednocześnie odsłonił na piersi wielką starą ranę.

– Ale – podjąłem – mam wrażenie, że swoją służbą odpokutowałeś zawiązką to, co napsułeś.

– Spytaj Kaję i Diega – odezwał się Mario. – Te machinacje WayDao były niezbędne. Inaczej ludzkość przepadłaby w rękach innych korporacji. Gorszych.

– Nie czytałeś o Erze Informatycznej i o tym, co było przedtem? Szok i biznes, szok i biznes – zawtórowałem mu.

– Teoria szoku. Ubezważnowolnienie Sitów... – dodał Nexus.

– Wtedy Sitów nie było – sapnął Wilehad.

– Znalazłeś się w złym miejscu o złym czasie – orzekłem. – A może odwrotnie. W dobrym miejscu o dobrym czasie, bo gdyby ciebie tam nie było, znalazłby się ktoś inny i kto wie, jak by się to potoczyło.

Wilehad w milczeniu pokręcił głową.

– Laurus. – Położyłem mu ciężką rękę na ramieniu. Jego talizmany uciekły i zaczęły się w okolicy łopatek. – Przestań. Trochę, szczerze mówiąc, nie wypada.

Ciężko przytaknął.

Znowu wypiliśmy.

– Możemy zmienić temat? – odezwałem się. – RanaR nam się tu rozkleja, a mamy problem z Dominium Libri Mundi.

Maod-An zebrał się w sobie, a jego zbroja przybrała jaśniejsze barwy.

Trzymaj się, Laurus.

Przesłałem Nexusowi krótki tot, że boję się o Wilehada. Był gotów stracić życie w jakimś durnym akcie samopoświęcenia, choćby na Nomorii. Co prawda w dzisiejszych czasach umrzeć jest naprawdę trudno, zwłaszcza będąc Aristosem, ale jak ktoś chce, zawsze znajdzie sposób, zwłaszcza że Wilehad, podobnie jak ja, był organiczny.

Mario odpowiedział, również totowo, że trzeba będzie pomyśleć o jakiejś terapii. Wciąż miałem niejasne przeczucie, że RanaR niepotrzebnie się obciąża, ale przyczyna takiego odczucia wymykała mi się.

Tymczasem mieliśmy przed sobą ważniejsze rzeczy od jego złamanego serca.

– Laurus, coś jest nie tak z hiperprzestrzenią – powiedziałem. – Charonowie twierdzą, że jest przeciążona.

Prychnął.

– Jak może być przeciążone coś, do czego nie stosują się pojęcia czasu i przestrzeni?

No właśnie.

– Myślę tak samo. Ale oni przeczuwają, że coś się zbliża. Ja ostatnio czuję się podle, Mario też. O tobie nie wspomnę, bo wyglądasz jak nieświeża kupa. Z nami wszystkimi dzieje się coś niepokojącego. A Charoni wykryli tego źródło.

– Co mówią?

– Że... w Liber Mundi jest od groma wściekłych aniołów. I demonów.

Pokręcił głową.

– To się kupy nie trzyma. Nawet świeżej.

– A bodhisattwy? Są, prawda? Dlaczego więc w Księdze Świata nie mogą siedzieć wściekłe anioły? – spytałem.

– Łza Cheronei? – dodał Nexus. – Tam były naprawdę wkurzone demony. Wilehad przełknął ślinę.

– Myślę, że bodhisattwy to śladowa pamięć o tych, którzy odeszli. Ta pamięć osiada w Liber Mundi, a w naszym miejscu, w świecie tu i teraz, ogniskuje się w pobliżu soczewek innej fizyki. Czyli przy Ranach. Proste.

To było proste?!

– Co do Łzy Cheronei – ciągnął – nie śmieście się, ale moim zdaniem te wszystkie potwory wylały jakimś cudem z drugiej Pandory. Widziałem już tyle, że i to by mnie nie zdziwiło. To były projekcje bestii, które powstały w skrzyni Thirów. Mamy nagrania z frinów setek Ranów, którzy brali udział w tych starciach. Każde, powtarzam: każde, ukazywało inne postacie i inną sekwencję zdarzeń w wirze. Ergo, były to bardziej halucynacje niż prawdziwe twory. Jeśli te wyjaśnienia was nie zadowolają, mam też inne, oficjalne: we Łzie widzieliśmy manifestacje Omnihomo Czarnego Maodionu. Teraz nic szczególnego się tam nie dzieje.

– Laurus, mamy zlekceważyć ostrzeżenia Charonów? – spytałem.

Wilehad pokręcił głową.

– Być może już dawno wszystko wyrwało się spod kontroli. Budda zwariował i rzeczywiście hiperprzestrzeń jest przeciążona, cokolwiek to znaczy.

– Tak czy owak, wkurwiać aniołów nie należy. – Nexus uderzył szkłem o nieistniejący blat.

Wiedziałem, że odczuł uderzenie niemal tak mocno, jak gdyby walił w prawdziwy stół. Brał w tym udział zarówno pancerz, jak i trzymane przez niego szkło. Dotarło do mnie, że nasze zbroje są swoistymi więzieniami na usługach cyfrowej rzeczywistości.

– Tak jest – zawtórował mu Laurus.

Butelka, w dwóch trzecich pusta, znowu się przechyliła, a szklaneczki

skwapliwie zawisły tuż przy naszych rękach.

Wypiliśmy.

– Najpierw – zakomenderowałem – trzeba polecieć do któregoś Pożeracza.

Zobaczyć, co...

– Wpierdala – wszedł mi w słowo RanaR.

– Hehe – zarechotał Nexus.

Wypiliśmy.

– I do Worplanu. Pożeracze i fabryki to największy przerób teleportacyjny.

– Tak jest.

– A potem się zobaczy.

Wypiliśmy.

– Chłopaki, lecę z wami. – Laurus wyszczerzył zęby. Nareszcie się rozpogodził. Jakby słońce wyszło zza chmur.

– A Maodion?

– Się rozdwoję.

– ImBu pozwoli?

– Się niech ImBu pierdoli. Jest Wolna Wola czy nie? Polecę swoim *Bashingiem!* Kaja i stadko przeniosą się do starej reorowej siedziby.

– Latającej? – spytał Mario.

– Latającej. Zawsze za mną lata.

– Ale czekaj, przecież... Imperator to ja – zauważyłem.

– I ja – rozpromienił się Nexus.

– I my ci pozwalamy!



## Obraz 5

# Pożeracze Światów

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Yimr, grunt

Polia Roomney, dystrykt Oomba

08 Decimi 232 EI, 10.97 H

Han Fierce wypłynął z bunkra Gutberga Warwicka i przez chwilę zasłaniał oczy ręką, tak raził go blask dnia. Nie pozwolił frinowi zredukować czułości siatkówek ani przeciwdziałać łzawieniu. To wszystko było dla mięczaków. Nawiązał łączność z *Grendelem*, airvillem, który wisiał dwa kilometry dalej, a przedstawiał niezgrabnego olbrzyma o rękach rozłożonych na kształt skrzydeł. Nakazał mu wymianę generatorów Mirova. Te, które posiadał, były już na wykończeniu. *Grendel* potwierdził polecenie i obiecał, że po wymianie będzie podążał za *Sokołem*.

– *Nie*. – Han wysłał tot. – *Poczekasz na instrukcje*.

Mózg airvilla skwapliwie się zgodził i wysłał do ImBu zapotrzebowanie na nowe generatory. Mężczyzna wiedział, że za chwilę któryś z licznych

Worplanów przygotuje je do wysyłki i w ciągu kilkunastu cetni wyłonią się w centralnym teleporcie domostwa. Następnie majordomus z pomocą dwóch dronów wymieni generatory, stare odeśle do Worplanu i w ciągu pół hekty operacja będzie zakończona.

Fierce podszedł do brzegu tarasu i machnął ręką. Był to gest przywołania. Warujący kilkadziesiąt metrów dalej *Sokół*, jednoosobowy pojazd przypominający czarno-srebrnego drapieżnego ptaka, ruszył w jego kierunku wzdłuż skraju platformy. *Sokół* był właśnie tym, czym był: niewydzieloną częścią jego airvilla, nie cholernym fragmentem pancerza, tylko osobnym spacemobilem, w dodatku kierowanym mechanicznie, za pomocą wolantu i kilkunastu tylko pomocniczych instrukcji mentalnych. Statek zawisnął tuż przed nim, zakołysał się, otworzył owiewkę kabiny i wysunął trap w stronę platformy. Fierce przeszedł do kokpitu, demonstracyjnie tupiąc. Duża kropłowa owiewka zamknęła się nad jego głową, a trap schował się z cichym sykiem.

Mężczyzna usiadł w realnym fotelu i z satysfakcją przyjrzał się funkcjonalnemu, pozbawionemu cyfrowych animacji wnętrzu srebrno-czarnej sterówki. Śmiał się z ułatwień oferowanych przez ImBu. Uważał, że człowiekowi nie należy podstawiać zbyt wielu rzeczy pod nos, że nie wolno usuwać przeszkód spod nóg, bo zacznie mięknać. Dlatego wokół jego pancerza nie było żadnych animacji, żadnych fajerwerków. Była tylko zbroja, bardzo prosta. Zabronił jej się regenerować, więc nosiła wiele otarć i ślady uderzeń. Był z tego dumny, chociaż przez wielu Sitów wizerunek ten był interpretowany jako ostentacyjna i ekstrawagancka... iluzja. Zerknął na przedmieścia polii Roomney. Gdyby zwykły Sit mógł spojrzeć na świat oczami Hana, stwierdziłby, że wieże i airville są nienaturalnie ostre, niezwykle dobrze widoczne, jakby ktoś wzmocnił kontrast. Było to spowodowane tym, że z jego pola widzenia usunięte zostały wszystkie

możliwe do wymazania animacje. Han widział tylko cyfrowe szlaki komunikacyjne, serwisy pogodowe i najważniejsze newsy. Żadnych informacji pogłębiających wiedzę, przypominających o nowych technologiach i tak dalej.

Wyciągnął ręce do deski rozdzielczej i z niekłamaną przyjemnością wcisnął kilka guzików. System statku potwierdził gotowość do lotu. Ale Han jeszcze nie ruszał. Położył dłonie na wolancie. Delikatnie poskrobał paznokciami tworzywo.

Znowu spojrzął przez szkło. Co robią ci wszyscy ludzie? Wiszą nad tarasami, piją alkohol, bawią się albo robią inne dziwne rzeczy. *Rozwijają się*. Fierce wykrzywił wąskie usta. Co to w ogóle znaczy?! Nuda! Jak można tak nic nie robić, tylko się „rozwijać”?! Nastaly dziwne czasy. Kiedyś człowiek musiał zarabiać, pracować. Sensem jego egzystencji była walka o przetrwanie. Nie był to cel przez niego wybrany, ale istniał, stanowił ognisko koncentracji. Gdy panował opresyjny system społeczny, na przykład demokracja, sensem życia wielu ludzi była walka z nim, próby obalenia go albo naprawy, co udało się dopiero Imperatorowi. Jaki jednak sens ma życie Sitizena w Wielkim Imperium? Pracować można, ale nie trzeba. Owszem, pracujący mają więcej przywilejów – mogą odwiedzać miejsca zakazane dla zwykłych Sitów. Ale co to za atrakcja móc wlatywać na orbity Worplanów? Jako dziecko był w takim miejscu, napatrzył się i już. Wspomniał Astrę. Ta dziewczyna – wierzył w to głęboko – poznała jakąś prawdziwą, mroczną tajemnicę Imperium. I tylko dlatego, że zechciała ją zgłębić, zginęła. I to jest wolność?!

Większość ludzi podróżuje, „kwitnie”. Tak mówią. Jedynie tacy jak on i Astra nie potrafią się odnaleźć. Kiedyś znajdował rozrywkę w grach. WayEmpire oferowało ich miliony. Duża część populacji w nich żyła, traktując realium jako miłą odmianę, ale już nie dom. Skrzywił się na to

wspomnienie, jakby chciał usunąć z pamięci wstydlivy rozdział życia. Chciał czegoś nowego. Chciał... sensu. Znak. Znak od losu, który wreszcie ukoi niepokój serca. Roześmiał się cicho. Jaskółczy niepokój. Słowacki używał takiego określenia. Frin już narzucał się z podpowiedzią, w którym utworze poety padło to określenie, ale Fierce odepchnął go mentalnie. Machnął ręką i zacisnął pięść, jakby ten gest miał mu w czymś pomóc. Czasami chciały wydrapać, wyrwać z siebie tę sztuczną inteligencję i do szachu doprowadzała go myśl, że nie może tego zrobić, że to dziadostwo jest zatopione w każdej komórce jego ciała, że nawet najlepszy haker go nie wyłączy... Zagryzł zęby. Nie może o tym myśleć, bo zwariuje. Zwyczajnie zwariuje. Odetchnął głębiej. Zerknął na gwiazdną mapę wyświetlaną przez niewielki ekran pojazdu. Może skoczyć na samą granicę? Tam, gdzie nie ma rajów? Latać nisko, w cienkiej atmosferze, znowu zobaczyć mroczne, rozgwieżdżone noce, poczuć chłód wieczoru...

Nie. Zrobi to, co zamierzał. Może właśnie o to chodzi? Poczuć zagrożenie? Fizyczny ból? Tego, do diabła prawie już nie ma! Tak, są areny dla gladiatorów, ale co poza tym? Podniósł jasne oczy i rozejrzał się po obrzydliwie kolorowym świecie WayEmpire. Czyż człowiekowi nie potrzeba niebezpieczeństwa, by mógł poprawnie funkcjonować? Czy ImBu dlatego toleruje jego zamiary, że uważa podobnie?

Wziął głęboki wdech i nagle poczuł, jak ślinianki zaczynają produkować zbyt dużo śliny. Zabronił frinowi kontrować tę reakcję, otworzył kroplową owiewkę i splunął poza kadłub.

Zasunął szkło i z przyjemnością zanotował, jak odcina go od szumu miasta.

Usadowił się wygodniej. Wnętrze *Sokoła* uspokajało. Podobało mu się to, że pojazd jest jednoosobowy. Han był samotnikiem i bardzo mu ten stan odpowiadał. Gardził panującą w WayEmpire modą, która nakłaniała Sitów

do wspólnych biesiad, do dzielenia się przeżyciami, do fiest i parad. Gardził całym tym cholernym zbiorowym hip, hip, hurra, zachłystywaniem się życiem itepe. Nie chciał towarzystwa innego poza tym, które sam sobie wybierał, a najbardziej i tak cenił ciszę.

Dlatego odetchnął, gdy wyszedł wreszcie z bunkra Gutberga Warwicka, bo nawet on już go męczył. Oczywiście był teraz bogatszy o kilka sztuk broni schowanej w hipoku. Temu służyła ta wizyta. Nie pustej gadce.

Przełamując niechęć do mentalnych operacji, wszedł w menu kieszeni podprzestrzennej i upewnił się, że jest tam Eleonora, ten wielki gnat, który był w stanie przebić zbroję typu Coremour. Był. Han widział jego trójwymiarową sylwetkę obracającą się przed oczami, gotową w każdej chwili zmaterializować się przy prawym przedramieniu nowego właściciela. Skubnął czubek nosa. Gutberg zażądał za Eleonorę... przysługi. W przyszłości. Nie wiedział jeszcze, co to będzie, a Han, zgodnie ze swą radykalną filozofią docierania do granicy, zgodził się. Miał gdzieś, czy będzie tego żałować. Ktoś w tym cholernym rozlazłym państwie powinien pokazać, że ostrożność to tchórzostwo, że posiadanie tych wszystkich pancerzy, drzenie na myśl, że życie może się skończyć wskutek głupiego wypadku, zabezpieczanie się na tysiąc sposobów to zasrane tchórzostwo. Trzeba zamanifestować coś istotnego. Coś bardzo ważnego. Chociażby ostateczny wyraz Wolnej Woli.

Wiedział, że będzie celował w głowę.

Wiedział to.

Serwisy informacyjne donosiły, że w rajy Rihanny dopiero co spotkały się dwie święte karawany. Doskonale. Będzie tam dwóch Namaszczonych. Aż dwóch, do diabła, w jednym miejscu.

I jeden z nich zginie.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Rihanna, raj  
Sektor J 32354  
08 Decimi 232 EI, 11.14 H

Karawana Nexusa, prowadzona przez jego *Ulissesa*, i moja, ciągnięta przez *Teacupa*, spotkały się na orbicie Rihanny, zielonej planety okrążającej Meenę, słońce usytuowane na obrzeżu Macierzy. Było stąd względnie niedaleko do najbliższego systemu konsumowanego właśnie przez jedną z flot Pożeraczy Światów. Przez kilkanaście mon wisieliśmy w airvillu Laurusa, przypominającym wielopoziomową bastionową twierdzę naszpikowaną działami, który nazwał *Bashingiem*. Oznacza to „grzmocenie” i niedwuznacznie wskazuje, że głównym przeznaczeniem pojazdu RanaRa jest spuszczenie łomotu każdemu, kto wejdzie mu w drogę. Pojazd-siedziba tkwił kilkaset metrów od czoła obu vii. Patrzyliśmy przez wielkie okno, jak karawany moja i Nexusa łączą się, zawijają wokół siebie, wysuwają mosty, tworzą między sobą tarasy i splatają w wielopoziomowe labirynty, by w końcu zarządzić, a jakże, fiestę pod pełnym słońcem. Blisko *Teacupa* dostrzegłem biało-zieloną kapliczkę Tanyi Kitaro. Już przywitała się z domownikami i częstowano ją znanym w mojej vii „Zachodem w Raju”, drinkiem, od którego świat weselał, a człowiek młodniał.

Zazdrościłem im.

Zerknąłem w prawo. W oddali, pośród filarów rajy, latających miast, airvilli i cyfrowych oznaczeń, szybowały trzy długie karawany Zielonych, także odpowiednio oznaczone przez ImBu. Zoom. Dopóki jesteś w obrębie WayEmpire i wykonujesz zbliżenie, nie musisz polegać na otaczających cię,

wydzielonych z pancerza mikrokamerach. Budda poda ci obraz dowolnej wielkości i rozdzielczości, korzystając z rozsianych po całym Imperium punktów optycznych. Możesz obejrzeć obiekt z dowolnego kąta i w dowolnym przybliżeniu. Wystarczy, że wydasz mentalną komendę obserwacji poprzez ImBu, czyli uruchomisz TIO. Użyłem tej funkcji. Zobaczyłem airville we wszystkich tonacjach zieleni, od ciemnej umbry po jarzeniowy seledyn, obwieszane animacjami planet rozszarpywanych przez fantastyczne potwory. Nad siedzibami unosiły się cyfrowe transparenty: „Zatrzymajcie Pożeracze Światów!”, „Nie niszczy Galaktyki!”, „Konsumpcjonizmowi mówimy NIE!”. Nad tarasami kręcącymi się wokół airvilli wisały tłumy protestujących, którzy także prezentowali animacje planet w różnym, często alegorycznie przedstawionym stanie rozkładu. Dookoła polatywały anioły, ciągnąc agitacyjne hasła. Ogólnie wyglądało to trochę jak typowa fiesta vii, tylko że był to karnawał ideowy, nie hedonistyczny. Protestowano przeciwko błyskawicznemu rozwojowi Imperium, a zwłaszcza bestialskiemu traktowaniu układów słonecznych. To nieludzkie, by niszczyć dziesiątki globów dla własnych celów. Planety powinny być najpierw badane, podziwiane, a nie mechanicznie, bezdusznie wysysane.

Ludzie chyba lubią się nie zgadzać, nawet jeśli nie mają racji. Pożeracze zawsze najpierw skrupulatnie skanują system, katalogują go i porównują, a w tej fazie towarzyszy im wyszkolony Słuchacz. Jeśli jakaś planeta ma walory turystyczne, jeśli któryś glob według Auduxa „żyje”, oszczędzany jest cały układ. Psujemy wyłącznie niestabilne światy elipsoidalne, z dwoma słońcami bądź gwiazdą i czarną dziurą, systemy znajdujące się blisko olbrzymów grożących wybuchem supernowej czy w chmurach gazowych lub po prostu te, które leżą blisko centrum Drogi Mlecznej. Jeśli jakaś planeta się nadaje, terraformujemy ją, ale nie sędzę, żeby któryś z ożywionych globów

zamierzał się o to obrażać.

Chociaż to wiem, zawsze jakoś instynktownie czułem, że takie przedmiotowe traktowanie nawet ułomnych planet jest nieładne.

Po prostu mordowaliśmy te globy.

Pożeracze mają status „świętych”. To dość powszechne słowo w WayEmpire, ale nie oznacza tego, co dawniej. Nie jest desygnatem sacrum, lecz znakiem, że coś nie jest dostępne dla wszystkich Sitów. Wejście na obszary święte jest ograniczone. Wstęp ma oczywiście każdy Błogosławiony, Ran, rzecz jasna RanaR, Bracia Besebu i Charoni, ale już nie zwykli Sitizeni, nawet pracujący. Gdy *Bashing* Wilehada dotarł do czoła połączonych vii, RanaR i Nexus przywitali się z Pauline, Anną, Harrym, Angelą, Kononem, Tanyą i wszystkimi innymi mieszkańcami karawan, którzy akurat byli w pobliżu. Witali się także Barbara i Dominic oraz smoczyca Quai, w czym dzielnie przeszkadzał Tell, a Lea i Mars coś cicho i złośliwie komentowali. No, bałagan był przy tym niemały. Nexus, Laurus i ja oświadczyliśmy, że chcemy odwiedzić najbliższych Pożeraczy, i – co w sumie nie było potrzebne, bo każdy znał ograniczenia – zaznaczyliśmy, że mogą z nami lecieć tylko Angela i Tanya, oczywiście jeśli chcą. Ciekawe. Dawniej uznalibyśmy za naturalne, że lecimy we trzech. Trzech supermenów w męskim świecie. Ale czasy się zmieniły. Teraz każdy Sit, bez względu na płeć, był silną istotą, więc jeśli tylko miał uprawnienia i ochotę, mógł z nami lecieć. Nikt nie jest niezastąpiony, a Aristoi nie są geniuszami. Nawet Błogosławieni.

Wisieliliśmy więc nad głównym tarasem *Teacupa*, czekając na decyzję Angeli i Tanyi. Charonka nie miała wątpliwości. Przyłączyła się do naszej wesołej gromadki, by zbadać nieprawidłowości hiperprzestrzeni, a wyprawa



do Pożeracza była pierwszym punktem dochodzenia. Angela także się nie wahała. Uwielbiała ruch i przygodę. Pauline spojrzała na nią złym okiem, Anna wzruszyła ramionami i poszybowała do wanny, Konon nic nie powiedział i wrócił do swej samotni, gdzie doglądał – zupełnie niepotrzebnie – społeczności moich talizmanów. Reszta imprezowiczów z vii gorąco powitała dwa Smoki i czwórkę Agonai, zwłaszcza że uznaliśmy, iż orszaki powinny mimo wszystko zostać. Lea skwitowała to pogardliwym uśmiechem, Mars Gradivus przybrał jak zwykle pokerową minę, Dominic wyraźnie się ucieszył, bo miał ochotę na kielicha i zabawę, a Barbara, nic nie mówiąc, wyciągnęła z udowego zasobnika złotą fajkę, nabiła ją i zapaliła, kompletnie zbijając mnie z tropu.

– *Nexus, co ona robi?* – spytałem totowo, nie ukrywając skrajnego zdumienia.

– *Pali tytoń. Niesamowicie pachnie, prawda?*

– *Prawda. Ale jak to?*

– *No co?*

– *Kobieta, tytoń, fajka...*

Dodałem w paku, że palenie jest bardzo rzadkim hobby w Imperium Tao. Nic więcej nie przyszło mi do głowy, chociaż pełna była pytań.

– *Błąd. Mając takie organizmy i friny, nie musimy się już niczego bać. Nawet żółtych zębów* – tu Nexus wyszczerzył swoje metalowe zębiska i zaznaczył, że jego to totalnie nie dotyczy – *zapachu na ubraniu tudzież chorób. Co do płci, kompromitujesz się, Torkil. Kobieta z fajką wygląda sexy.*

Rany boskie.

Przyglądałem się Barbarze wiszącej na złotym łańcuchu zwieńczonym – czym znowu mnie zaskoczyła – normalną czteroramienną kotwicą i usiłowałem połączyć seksapil z widokiem ustnika fajki między zębami i kłębem dymu wokół twarzy. Było to coś intrygującego, ale sexy?

Pozegnaliśmy mieszkańców karawan, oddaliliśmy się od vii w samych tylko pancierzach, po czym nadbudowaliśmy na nich jednoosobowe statki próżniowe, coś w rodzaju dawnych Skullheadów. Wtedy przyszło mi do głowy, że wystarczyłoby, by tylko jeden z nas wytworzył taki statek, a reszta weszłaby na pokład. Nawet przesłałem taki pak do pozostałych, ale Laurus stwierdził, że ufa tylko sobie, Nexus dodał, że nie umiem latać, Angie z wyrzutem uzupełniła, że mogłem wcześniej o tym pomyśleć, a Tanya „Paula” Kitaro dyskretnie rzecz przemilczała. Pognaliśmy na obrzeża rajy i wniknęliśmy w pustą i zimną próżnię. W Wielkim Imperium czarny kosmos nie wydaje się już tak magicznym miejscem jak kiedyś. Jest obcy, złowrogi, nieprzyjemnie mroczny. Człowiek pragnie jak najszybciej zanurkować z powrotem pod błękitną kołdrę. Tym razem jednak nie było takiej możliwości. Wydaliśmy dyspozycje skoku i beczasowo przenieśliśmy się do systemu D24rDw2.

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
System D24rDw2  
Orbita 4/5 D24rDw2  
08 Decimi 232 EI, 11.32 H

Wyhamowaliśmy na orbicie czwartego księżycy piątej planety układu, licząc od słońca, po czym skoczyliśmy w pobliże Władcy Kretów, jak zwyczajowo nazywane są centralne jednostki Pożeraczy Światów. Moloch wisiał nad/pod ekliptyką (wszystko zależało od przyjętej optyki) i – jak zwykle – przerażał

swoimi rozmiarami i formą. Gdyby nie to, że agresywny rodzaj ludzki sobie tego nie życzył, z pewnością przybrałby naturalny kulisty kształt, tak był wielki i masywny. Składał się z trudnej do opisanego płątaniny rusztowań i hangarów. Co bardziej wrażliwi estetycznie Sitowie doszukiwali się od czasu do czasu w konstrukcji Władców Kretów wyobrażeń biegnących gepardów czy antylop. Byli też tacy, którzy twierdzili, że ich forma kojarzy się z ziemskim gwiazdozbiorem Strzelca. Mnie się jednak wydawało, że skoro floty Pożeraczy Światów zostały stworzone przez Budkę z myślą o tym, że będą obsługiwane wyłącznie przez inne maszyny i sztuczne inteligencje, mamy do czynienia z pierwszym, osobliwym popisem architektonicznym sztucznych pobratymców w rozumie. Szczerze mówiąc, nie nastrajało to optymistycznie. Matematycy twierdzą, że Władcy Kretów zawierają w sobie cudowne piękno rodem ze zbioru Mandelbrota, i gdy się bliżej przyjrzeć, trzeba przyznać, że mają sporo racji. Ale jak dla mnie statki te przypominają dziwaczne ośmiornice, a ogólnie wrażenie jest tak obce, że ma się wrażenie spotkania z kosmitami.

Mimo że Władca Kretów nie jest kulą, posiada środek ciężkości. Dlatego wybraliśmy orbity wokół giganta i pozwoliliśmy, żeby inteligencja roju tak je dopasowała, żeby nasze jednoosobowe pojazdy nie powpadały na siebie.

Władca nie je planet. On tylko serwisuje Naevi, czyli Krety. Połączyłem się z automatycznym administratorem, który dał nam podgląd na rój mający za chwilę zaatakować trzecią planetę od słońca. W moim polu widzenia zaczęły się pojawiać ekrany ukazujące to z różnych punktów widzenia. Stado składało się z pięciuset milionów Naevi. Każdy Naevus złożony jest z części odwiertowej zawierającej zespoły ostrzy, selekcyjnej, która oddziela poszczególne minerały i pierwiastki, rafineryjnej, która oczyszcza zdobycze, magazynującej i wreszcie teleportacyjnej, która wysyła zgromadzone dobra w kierunku wybranego Worplanu. Pojedynczy Kret jest wielkości dużej

wieży kotwicznej w typowej grondowej polii Imperium, czyli naprawdę spory. Aparaty właśnie ustawiały się nad tymi miejscami planety, które według skanów powinny zawierać cenne zasoby. Statki przypominały stado szakali drżących z niecierpliwości, by zaatakować i pochłonąć ofiarę. Gdy Władca wydał dyspozycję, bez zwłoki uderzyły. Ledwie przebiły się przez cienką atmosferę, już wwiercały się w skorupę i ginęły w czerwonych od tarcia lejach, z których zaczęły się dobywać kłęby dymu i pary. Jeszcze chwila i stado zniknęło pod powierzchnią, a liczby przed naszymi oczami informowały, ile ton materiału przesyłają do Światów Fabryk.

Krety meły dziesiątki, setki, wreszcie tysiące ton materiału w takim tempie, że zakręciło mi się w głowie. Obserwowałem pracę Naevi kilka razy i za każdym nie wierzyłem własnym oczom. Prędkość była oszałamiająca. Niektóre ekrany pokazywały przekroje globu. Widziałem miliony kanałów, którymi Naevi pełzły i żarły wnętrzości planety jeszcze przed chwilą myślącej, że jak trwała w mroźnej próżni miliardy lat, tak jeszcze sobie potrwa. No nie, proszę pani. To już koniec.

Ludzkość rzeczywiście nie ma już nic wspólnego ze swoim rozwojem. Nie byłaby w stanie go nadzorować. Rozrost postępuje za szybko, na zbyt wielką skalę. Kto jeszcze sto cykli temu słyszał, by konsumować całe planety? W tym systemie oprócz nas nie było ani jednego człowieka, a przecież Pożeracze były par excellence naszym wynalazkiem... lub raczej wynalazkiem ImBu.

Nasyceń widokiem i skalani grzechem zniszczeń dokonywanych w imię ludzkości, osiedliśmy na wewnętrznym lądowisku Władcy Kretów, po czym wylecieliśmy z pojazdów. To jest właśnie coś, co mnie zachwyca i za każdym razem wywołuje konfuzję – mam zbroję typu Coremour. Rozbudowuję ją, aż osiąga rozmiary statku. W pewnym momencie statek jest na tyle duży, że tworzą się w nim pomieszczenia, po których mogę się

przechadzać, a jeśli zechcę, umieścić w jednym z nich hiperbosa. Tym statkiem mogę gdzieś wylądować, a potem z niego wyjść. Mogę zaprosić na jego pokład innych Ranów, a gdy znowu wyjdziemy, zdalnie schować go do hipoka, czyli, mówiąc dosadnie, spowodować, że nagle zniknie z naszej przestrzeni. Niesamowite. Mamy po prostu niesamowite czasy.

Przywitał nas majordomus, starannie zaprojektowany dron. Przyjrzałem mu się wszystkimi, także soulerskimi, zmysłami. Byłem pewien, że nie został wymyślony przez człowieka. Czułem to. Sprawdziłem w bazie danych, a ta potwierdziła moje przypuszczenia. Przeszedł mnie dreszcz. Obcy. Jeden z licznej armii droidów zaprojektowanych przez Buddę, który niby nam służył, ale de facto realizował własny plan. Imperatorze, miej nas w swojej opiece. Jesteśmy w bazie alienów, w pomieszczeniu stworzonym dla ludzi, obsługiwani przez coś, co przypomina człowieka, ale równie dobrze mogłoby mieć kształt kuli czy sześcianu...

Pofrunęliśmy z nim do administratora. Wszystko to było reliktem, wynikiem antropocentrycznego spojrzenia na maszyny, które gdyby tylko mogły, dziwiłyby się obecności nóg u latających robotów oraz temu, że aby porozmawiać, trzeba najpierw udać się do jakiegoś pomieszczenia, usiąść na meblu, choćby arealnym, i jeszcze przy tym spożyć jakiś płyn albo coś pożyć. Człowiek jest pokopany. A dla maszyny sprawa była prosta. Chcesz wiedzieć, jaka jest sytuacja Pożeraczy? Zajrzyj tam przez komunikator, pogadaj z administratorem, najlepiej za pomocą totu, żeby nie tracić czasu, przeanalizuj liczby, be happy, the end of message, ver'n'out.

Administrator niczemu się nie dziwił. Przywitał nas w karminowo-złotej, urządzonej dość oszczędnie komnacie. W zasadzie wszelkie meble były tu atrapami i stwarzały pozór ludzkiego otoczenia tam, gdzie było ono zbędne. Zachowywał się jak nadzwyczaj dobrze ułożony... człowiek. Dostojny, połyskliwy, przybrany w zielono-złoty mundur dowódcy Władcy Kretów

wyglądał jak admirał jakiejś floty. Na jego mechanicznej oliwkowej twarzy świeciły podłużne fioletowe sensory optyczne. Przez chwilę zastanawiałem się, czy odczuwa dumę z piastowanego stanowiska. Z pewnością nie. Na pewno nie. To był manekin udający człowieka, a my znajdowaliśmy się w dziwnym azylu, ciele obcym na siłę wtłoczonym w kadłub mandelbrotowej ośmiornicy.

– Witam, Błogosławieni, chylę czoła, RanaRze, bądźcie pozdrowione, Czempionko Hiperprzestrzeni i szlachetna Ranko.

Nie ma to jak być maszyną, która bez trudu poradzi sobie z hierarchią i kolejnością powitań, tak by nikogo nie pominąć ani nie urazić.

– *Sprytna maszynka* – usłyszałem tot od Angeli.

– Dzień dobry, Administratorze – odparłem.

Pozostali nieznacznie się ukłonili. Zerknąłem na Laurusa. Oczywiście wychwytił, że robot najpierw powitał Maria i mnie, a jego, kiedyś naszego zwierzchnika, w armii ciągle stojącego nad nami – w drugiej.

– Chcecie znać sytuację przesyłów, czy tak?

– Oczywiście.

– Są pewne anomalie. W granicach normy, ale górnych.

W tym momencie zobaczyłem na podglądzie bocznej kamery, jak Tanya oddala się od nas, unosi, siada na półprzeziernym mlecznym kole i przyjmuje pozycję lotosu. Zamknęła oczy. Czują coś?

– To znaczy? – spytałem.

– Worplan Khali zgłasza, że jedna dziesięciotysięczna promila dostaw nosi znamiona HS.

– A jaka jest norma?

– Jedna stutysięczna.

– To dziesięciokrotny wzrost! – wyrwało się Laurusowi.

Dron zwrócił na niego mechaniczne fioletowe wizjery.

– Tak, RanaRze.

Potarłem oczy. Przesłałem tot do Nexusa, Laurusa i Angeli (Tanyi wolałem nie niepokoić), że mój frin, nie czekając na wyraźną dyspozycję, zażądał już od wszystkich Worplanów i Pożeraczy raportu na temat znamion HS. Jeśli to był znak zbliżającego się tsunami, musieliśmy wiedzieć, kiedy nadejdzie, przede wszystkim zaś, jaka jest jego przyczyna.

– Coś jeszcze, administratorze? – spytałem.

– Poza tym wszystko działa absolutnie zgodnie z normami ImBu.

– A ty? – rzucił zaczepnie Wilehad. – Czy ty działasz zgodnie z normami?

– Nie rozumiem pytania – odparł robot. – Oczywiście, że tak. Służę Imperium.

– Imperium czy Buddzie? – warknął RanaR.

– Czy to nie jedno i to samo? – spytał spokojnie dowódca Władcy Kretów.

## Obraz 6

# Drużyna

Droga Mleczna  
Planeta Rihanna, raj  
Sektor J 32266  
08 Decimi 232 EI, 11.59 H

Han Fierce przyjął wygodną siedzącą pozycję w bocznej części sterówki *Sokoła*, która morfowała, wyciągała się i oddalała od kadłuba statku, aż zamieniła się w połączoną z resztą pojazdu, w dużej mierze przeszkloną kabinę obserwacyjną. Nakazał frinowi namierzenie przodów dwóch świętych karawan. Trójwymiarowy celownik błyskawicznie wskazał odległą, zamgloną konstrukcję podobną do posplatanych różańców. Znajdowały się w odległości dwunastu kilometrów. Dla Eleonory nie było to wyzwanie.

Han przesunął się na brzeg fotela, wywołał z hipoka broń i natychmiast stęknął, czując, jak prostowniki grzbietu i mięśnie skośne brzucha po lewej stronie tułowia gwałtownie się naprężają, a ramię zaczyna puchnąć od obciążenia. Moduł bojowy jeszcze owijał się wokół jego prawego przedramienia, gdy kontrolki broni rozjarzyły się i Fierce przestał odczuwać



ciężar. Musiał coś źle włączyć, bo Gutberg nie miał takich problemów. Albo wcisnął mu trefny towar. Niemożliwe, żeby w Armii Imperialnej żołnierze stękali przy każdym dobytciu broni... Po chwili olśniło go. Ależ tak. Żołnierze mają inne pancerze, przystosowane do nagłych obciążeń. Jego też by wytrzymał, pomyślał, gdyby go odpowiednio przeprogramował. W tym momencie stwierdził, że odrzucanie ułatwień serwowanych przez ImBu nie zawsze jest korzystne.

Ustawił broń tak, by celowała w czoło vii. Wokół lufy pojawiła się animacja systemów Eleonory, a na jej przedłużeniu zobaczył kilka kręgów celownika, każdy następny mniejszy i jaśniejszy. Moduł bojowy szybko stwierdził, że pancerz właściciela jest nieprzystosowany do noszenia tak ciężkiej broni i mało stabilny. Eleonora zwolniła większość zaczepów na przedramieniu Hana, pozostawiając tylko jeden, kosmetyczny łącznik z łokciem, i swobodnie odpłynęła w bok na niewidocznych polach dryfowych. Jego pancerz bezgłośnie stęknął, zwalniając napięcie sztucznych mięśni. Fierce znowu pokręcił głową. Czy coś mu umknęło, gdy kontestował wszelkie ułatwienia swojego świata? U każdego Sita w jego sytuacji pancerz zmniejszyłby napięcie w chwili, gdy Eleonora włączyła antygrawy. Ale ponieważ on sam miał napięte mięśnie, także zbroja była napięta. Frin nie moderował bezwarunkowych odruchów właściciela, dlatego organizm i pancerz zachowywały się dziwacznie. Mężczyzna przełknął ślinę, starając się odepchnąć nieprzyjemne myśli dotyczące swojego zacoiania. Zerknął na celownik Eleonory. Broń bez trudu namierzyła wszystkie cele wokół airvilli o nazwach *Teacup*, *Ulisses*, *Nimbus*, *Walker*, *Wielki Lew*, *Bizon*, *Jaskółka*, *Falcone*, *Relax*, *Druuna* i *Bashing*. Nie było tam żadnego Błogosławionego.

Musieli załatwiać jakieś sprawy. Poczekamy, stwierdził Fierce i wygodniej się usadowił. Tak. Prawdziwe meble, prawdziwy dotyk, żadnego cholernego metu i iluzji. Wyciągnął z udowego zasobnika „oko”, które otrzymał od

Astry. Patrz sobie, pomyślał, przyglądaj się, jak działa anarchista Fierce. Przynajmniej to mogę zrobić dla Frey.

Ozdobna brosza zawisła obok Eleonory i obojętnie rejestrowała obraz otaczającego ich raju.

Han poczuł ssanie w żołądku.

Przywołał O'Toola, który zwyczajowo przebywał w magazynie *Sokoła*. Dron posłusznie podleciał do kabiny i zatrzymał się na lewo od mężczyzny. Pomieszczenie, wyczuwszy, że ledwo mieści człowieka i robota, powiększyło się. Han wydał dyspozycję automatowi i cierpliwie czekał. Wiedział, że w tym momencie w jego airvillu, zaparkowanym dwa tysiące metrów od bunkra Gutberga na planecie Yimr, kilkadziesiąt parseków od Rihanny, dron kuchenny oraz kitchenmat otrzymały polecenie przygotowania tortilli z mięsem z kurczaka, sałatą, pomidorami i ostrym sosem meksykańskim. Han tolerował tylko świeże mięso oraz warzywa. Kitchenmat, dron kuchenny i majordomus *Grendela* o tym wiedzieli, więc szef natychmiast skontaktował się z rolniczym Worplanem i zamówił dużą pierś z kurczęcia, świeżą sałatę, zioła i pomidory. Te w ciągu kilkunastu cetni zostały przeteleportowane przez niewielki portal kuchenny i przeniesione przez drona do kitchenmata. Pierś została posiekana, obrobiona termicznie i przyprawiona, warzywa umyte i pokrojone. W tym czasie inny moduł kuchennej maszynerii przygotowywał placek. Wszystko to trwało mniej więcej dwie mony. Fierce przełknął ślinę. Czuł, że danie za chwilę pojawi się w *Sokole*.

Wreszcie animacje wokół O'Toola wskazały, że urządzenie lada moment przyjmie pakunek. I rzeczywiście, w pierścieniu teleportacyjnym utworzonym przez ręce robota pojawił się zgrabny kwadratowy talerz grawitacyjny, na którym spoczywała pachnąca tortilla, a na niej, nie, nie na niej, tylko w niej...

Han przetarł oczy.

Fuck!

Wskroś dania przebiegała jasnioletowa, prawie biała kreska. Wydawało się, że nie spoczywa na powierzchni placka, z którego wystawał kawałek pomidora i sałaty. Wyglądało to tak, jakby tortilla była bliżej, kreska dalej, niby wtopiona w potrawę, a mimo to widoczna i jaśniejąca...

Zamrugął.

Raz jeszcze przetarł oczy, bo coś się nie zgadzało. To tak, jakby nałożyć rękę na trójwymiarowy obraz, który przedstawia obiekt położony bardzo blisko obserwatora. Ręka wtapia się w coś, co teoretycznie jest bliżej, i powstaje dziwne odczucie obserwacji zjawiska niemożliwego – ręka powinna zniknąć za obrazem, bo jest dalej, mimo to ją widać, bo to tylko obraz, a dłoń jest prawdziwa.

Tutaj działo się coś bardzo podobnego i mózg Hana krzyczał, że nie ma to sensu. Tortilla była prawdziwa, a kreska wyglądała jak namalowana, jak animacja. Skaza była dalej, mimo to naleśnik jej nie zasłaniał.

Fierce skomunikował się z frinem, a ten poinformował go, że... potrawa została skażona znamieniem HS.

– Złaaaaakrew – szepnął Fierce. – Złaaaaakrew!

Zdumienie i złość na jego twarzy zostały zastąpione przez fascynację. Patrzył głodnym wzrokiem. Słyszał o znamionach, ale nigdy żadnego nie widział.

– Ja cię...

Wyciągnął palce do potrawy, ale nie dotknął jej.

– Przesyłka jest skażona znamieniem HS – odezwał się O'Tool. – Sugeruję odesłanie jej na składowisko HS. Czy przysłać drugą tortillę?

– Co? A, tak, przyślij.

Frin poinformował, że odesłanie skażonej przesyłki na składowisko HS

jest obowiązkowe. Han zamknął okno komunikacyjne.

Wydał polecenie *Sokołowi*. Z ładowni wyleciał kulisty hermetyczny pojemnik i zawisł obok jego ręki. Mężczyzna wskazał talerzyk.

– Zamknij to, niech nie dotyka ścianek.

Przezierny kontener otworzył się i wchłonął potrawę. Fierce polecił, by pojemnik zakotwiczył przy ścianie kabiny.

– Więc tak to gówno wygląda...

O'Tool wypluł z siebie drugą tortillę. Tym razem bez znamienia. Han wziął do ręki gorące danie, obejrzał je uważnie, zaciągnął się aromatem, po czym wpakował kęs do ust. Był taki, jak lubił: ostry, soczysty i tak smakowity, że ślinianki szeptały do niego miłosne zaklęcia. W kabinie natychmiast zaczęły krążyć trzy miniroboty, które pracowicie wyłapywały okruszki. Fierce lubił porządek i nie był pod tym względem wyjątkiem w WayEmpire. W Czasach Szczęśliwości musiałeś się naprawdę wysilić, żeby nabrudzić.

Droga Mleczna  
Planeta Rihanna, raj  
Sektor J 32353  
08 Decimi 232 EI, 11.69 H

Zbliżaliśmy się z Laurusem, Nexusem, Angelą i Tanyą do karawan, które huczały od karnawału. *Bashing* Wilehada dziwnie nie pasował do reszty domostw, chociaż może się czepiam. Tak czy owak, było tam mydło, gwasz i powidło.

– *Nie podobał mi się ten administrator* – odezwał się totowo Laurus.

– *Trochę to wszystko przerażające* – przyznała Angela.

– Wykonywał swoje obowiązki. To robot – skontrolowałem.

– Budda jest robotem – nadał Nexus. – A nie powiesz, że wykonuje obowiązki. To myśląca maszyna.

– Naprawdę sądzicie, że Budda mógłby wpłynąć na hiperprzestrzeń? W jaki sposób i po co?!

Zerknąłem na obraz Charonki unoszący się w górnej części pola widzenia, obok wizerunków pozostałych członków wyprawy. Milczała, ale widząc, że na nią patrzę, odezwała się:

– Miałabym ochotę przyjrzeć się tym skalanym minerałom. Żeby być bliżej... źródła.

Miała rację. Uprzedzenia i niesprawdzone hipotezy na temat szalonego Buddy należało na razie odłożyć na bok. Pożeracze nigdy nie sprawiali kłopotów, w ogóle w WayEmpire nie odnotowano sytuacji, w której sztuczna inteligencja zwróciłaby się przeciwko człowiekowi. Oczywiście przysłowie mówi, że najciemniej jest pod latarnią, a wielką, nieustannie świecącą żarówką nad głowami obywateli Imperium Drogi był Budda, którego ścieżek nie rozumiał nikt oprócz może samego Ezry. I sami przed kilkoma monami byliśmy świadkami tego, co wyprawia bez naszej kontroli i wiedzy, więc w sumie...

Laurus, jakby rozumiejąc intencje Tanyi, przesłał nam pak zawierający informacje i wspomnienia związane ze znamionami HS. Materia trójwymiarowa w sposób niezrozumiały dla naszych fizyków, dla ImBu również, zlepiła się z wielowymiarową energią. Jak dochodziło do połączenia, dlaczego ono następowało i z jakiego powodu nie można było skazy, niczym uporczywej plamy, zetrzeć ze skalanych elementów, nie sposób było dociec, bo pozawymiarowy ślad wymykał się pomiarom. Nie można zmierzyć czegoś, co jest zbudowane z innego tworzywa niż aparat mierzący. Rozumiecie – z zupełnie innego tworzywa. Przedmiot ze

znamieniem HS nie nadawał się do użytku. Nie można go było naprawić, fraktale przestawały reagować, tronika odmawiała posłuszeństwa. Takie obiekty po prostu składowano na śmietniskach HS, z dala od zamieszkanym systemów. Mimo że nikt nie udowodnił, że HS jest „zaraźliwe” czy groźne, pamiętaliśmy, jak powstała Łza Cheronei. No i były dowody na to, że znamiona te soczewkują „inną fizykę”.

– *Ja też – rzekł Nexus. – Też chciałbym zobaczyć to paskudztwo z bliska.*

Zwijąłem zbroję. Kawalek po kawałku mój statek znikał w podprzestrzeni, która raptem przestała mi się wydawać miejscem naturalnym i bezpiecznym. Spojrzałem na lewo i prawo. Statki Wilehada, Taylora, Angeli i Kitaro także znikały w niebycie.

– *Czy wy też czujecie się nieswojo, chowając panczerze w Dominium Libri?*  
– spytałem.

– *No – szczechnął Wilehad. – Tomo, nie ma się co pieprzyć. Lećmy na najbliższy Worplan, zobaczmy to gównno.*

– *Na Worplanach nie ma składowisk HS – odezwała się nieśmiało Tanya. Dodała do swojego menu emocję przeprosin.*

– *Ja wiem, ale taki był drugi punkt planu śledztwa. Potem składowisko – odparł RanaR, dodając, że Charonka może się swobodnie odzywać i nie musi za nic przeproszać.*

Paula zareagowała pakiem wdzięczności.

– *Słuchaj, Laurus, czy my nie zachowujemy się za bardzo... po ludzku? Nie możemy po prostu tego obejrzeć przez met?* – spytałem. Dodałem wizje szybkich i prostych sposobów komunikacji powszechnych w Imperium.

– *Niby tak...*

Rozmowę przerwał przekaz od Buddy, który, jeśli chciał, miał priorytet, a korzystał z tego prawa niezwykle rzadko.

*Do Tomo Torkila „Gamedeca” Aymore’a, Maria „Nexusa” Taylora i RanaRa Laurusa Wilehada. Na planecie Cyklon zanotowano nietypową epidemię. Sugeruję natychmiastowe udanie się tam i zbadanie sytuacji.*

– Tak, Buddo – odparłem na głos.

Spojrzeliliśmy na siebie. Epidemia? W dzisiejszych czasach?

Droga Mleczna  
Planeta Rihanna, raj  
Sektor J 32266  
08 Decimi 232 EI, 11.70 H

Han zeszywniał, a kawałek tortilli, który gryzł, przełamał się i poleciał w dół, natychmiast jednak został pochwycony i strawiony przez minirobota.

Są! Są skurczybyki! Włączył TIO. Widział piątkę podróżnych zbliżającą się do czoła świętych karawan. Dwie kobiety – Charonka i Ranka. Trzech mężczyzn. Dwóch Aristosów było Błogosławionymi, a trzeci... to RanaR.

Frag. RanaR. Brama Tomonari. Strzelać w jego pobliżu to pewna śmierć.

Fierce odetchnął głęboko. Pewna, niepewna. W końcu Ran wszystkich Ranów nie jest jakimś mordercą, tylko odpowiedzialnym przywódcą.

Przyjrzał się dokładniej mężczyznom, zastanawiając się, którego namierzyć. RanaR nie był celem. Od początku założenie było inne, więc odpada. Jeden z Tomo jest dimenem, zatem też się nie nadaje. Jego praktycznie nie da się zabić. Nie wiadomo, gdzie ten dziwak ma mózg. Te fraktalowe gówna mają taką zdolność regeneracji, że Han musiałby go odparować. Wybór był zatem oczywisty – brunet z cienkimi siwymi pasemkami we włosach...

Nakazał Eleonorze namierzyć cel. Broń być może zmieniła położenie, ale

jeśli tak, to o milimetry, bo Fierce nie zauważył żadnego ruchu. Usłyszał pytanie, czy zgadza się na przyspieszenie. Zgodził się. W tym momencie arealny celownik okalający długą lufę i wystający przez pozbawioną szyby przednią część kabiny zmienił kształt z kolistego na tubularny. Nagle wszystko umknęło w tył, Han poczuł, jakby pędził daleko w przestrzeń, i zobaczył lecącego mężczyznę, zupełnie jakby był tuż obok niego. Torkil Aymore, bo tak się nazywał, lekko kołysał się w podmuchach wiatru. Jego srebrno-błękitna zbroja zdobiona była w kształty skrzydeł i piór. Celownik błędził po ciele, przeskakiwał z ręki na pierś, z piersi na udo, a potem wskazał głowę. Han poczuł pytanie, z jakim zwracała się do niego broń. Głowa, odpowiedział. Ułamek cetni i Eleonora oznaczyła cel.

Świadomość Fierce'a wycofała się i znowu znalazła się w kabinie, a wszystko dookoła przyspieszyło. Mężczyzna zerknął na okno podglądu. Piątka lądowała na tarasie wielkiego airvilla, na którego szczycie zatknięty był porporzec przedstawiający filiżankę herbaty. Na szczęście taras ten wisiał od jego strony.

– Nie chowaj się, nie chowaj!

Han zaklął. Cała banda zniknęła w wielkim wejściu do siedziby. Eleonora włączyła funkcję skanowania i wyświetliła wnętrze airvilla. Zasugerowała zmianę położenia *Sokoła*. Han nie zgodził się. Wybrał miejsce oddalone od szlaków powietrznych, względnie ciche, odseparowane od mobipolii i reszty latającego barachła. Wciąż używając opcji TIO, poprosił mentalnie o zmianę kąta widzenia i wznowił obserwację celu.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Rihanna, raj



Karawana Błogosławionego Aymore'a

Sektor J 32354

08 Decimi 232 EI, 11.71 H

– Dlaczego nie możemy z tobą lecieć? – Pauline stała w głównym hallu *Teacupa* na szeroko rozstawionych nogach i zaczepnie przekrzywiła głowę. Wokół niej latały arealne gniewne demony. Gdy wymyślała tę aplikację, twierdziła, że jest bardzo dowcipna.

– Tam jest epidemia – odparłem.

– To coś w sam raz dla biologa, którym, jak wiesz, jestem.

Na potwierdzenie jej słów niebieski olbrzym, który zmaterializował się na prawo od niej, walnął młotem w podłogę. Miała wyobraźnię. Podobnych reprezentacji emocji jej frin znał kilkaset i wciąż tworzył nowe. To zresztą było modne i całkiem zabawne.

– I dla psychologa! – zawtórowała jej Anna, wstając z wanny, oczywiście odziana wyłącznie w bikini. I znowu wysłała mi te wyuzdane akty, podczas których widziałem tylko jej niebiański brzuch unoszący się i opadający...

Otrząsnąłem się.

– Wsparcie Ranki jest, rzecz jasna, obowiązkowe – dodała niskim głosem stojąca obok mnie Angela.

– No i starego kumpla – odezwał się Harry z kuchni.

Przyrządzał coś smakowitego. W powietrzu unosił się zapach czosnku, cebuli i bazylii. Optyczną reprezentacją woni były smugi beżowych, łososiowych i zielonych mgieł.

Przełknąłem ślinę.

– Torkil – odezwała się Pauline – stare czasy minęły. Nie możesz już nam niczego zabronić. Wystarczyło, że poleciałeś bez nas do Laurusa i Pożeracza. Teraz cię, skurczybyku, nigdzie samego nie puszczę.

– Ani ja. – Anna podparła się pod boki.

Angela tylko się słodko uśmiechnęła. Mars i Lea jak zwykle raczyli się drinkami przy barze wraz z Agonami Nexusa, a Tell i Quai przyłączyli się do trwającej na zewnątrz fiesty. Dobrze, że wszystkie nasze dzieci krążyły teraz gdzieś w Imperium i miały swoje sprawy, bo większego stada chyba bym nie zniósł. Konona nie liczę. Nie jest moim synem, a poza tym zachowuje się tak, jakby go nie było.

– Ja też lecę – odezwała się Steffi wlatująca właśnie do salonu między powiewającymi firanami. W promieniach słońca wyglądała jak anioł.

Zerknąłem skonsternowany na Pauline.

– Zaprosiłam ją na herbatę. Co? Jej też będziesz czegoś zabraniał? – Potrząsnęła kasztanowymi włosami.

– Ty maczo ty? – dodała Anna.

Stojący za mną Laurus i Mario zachichotali. Tanya przyglądała się temu wszystkiemu lekko tylko rozszerzonymi oczami i milczała.

– Gdzie lecimy? – rozległ się z zewnętrznego tarasu głos Parsifala Freyra.

W d..., miałem ochotę odpowiedzieć, ale Błogosławionemu nie wypadało.

Droga Mleczna  
Planeta Rihanna, raj  
Sektor J 32266  
08 Decimi 232 EI, 11.72 H

Wyszli! Wyszli na taras! Świetnie! Han zacisnął pięści. Eleonora znowu namierzyła głowę Błogosławionego i zasugerowała Fierce'owi przyspieszenie. Zgodził się, a świat za szybą kabiny obserwacyjnej zamarł.

– *Jaki rodzaj amunicji załadować?* – spytała w jego głowie... męskim

głosem.

Han przez ułamek subiektywnej cetni się dziwił, a potem zdziwił się swojemu zdziwieniu. Przecież to broń. Ludzie nazwali ją Eleonorą, ona sama płci nie ma...

– *A co masz?*

– *Obezwładniacze DT 200, pociski igłowe NR 3200, ładunki wybuchowe IS 100, pociski mikrodrone MDS 2000 oraz pociski mikrodrone MDS 3000.*

– *Te ostatnie są na najcięższe cele?*

– *Tak.*

– *Załaduj MDS 3000.*

Urządzenie cicho szczyknęło.

– *Gotowe. Czy zdajesz sobie sprawę, że celujesz do Błogosławionego?*

– *Tak.*

– *Czy masz świadomość, że jego zranienie bądź zabicie spowoduje ściganie sprawcy oraz najprawdopodobniej osadzenie go na Sofii?*

– *Tak. Na wieczność mnie nie osadzą.*

Tę uwagę Eleonora skwitowała mechanicznym milczeniem.

Han spojrzał z ukosa na broń połączoną z jego ramieniem jednym elastycznym przegubem. Równie dobrze mogła po prostu tak sobie wisieć. Zdecydowała się na pozostawienie reistycznego łącza, bo wiedziała, że Han nie ma zamiaru nigdzie odchodzić.

Raptem Fierce poczuł, że ma przepełniony pęcherz, i zaczęło mu to boleśnie doskwierać. Dotąd nie zwracał uwagi na parcie na cewkę, ale teraz dyskomfort był nie do zniesienia. Być może napięcie spowodowało zwiększoną nerkową sekrecję...

Frag!

Przecież nie pójdzie w tym momencie do toalety, którą *Sokół* oczywiście

miał, ale w części rekreacyjnej! Wyłączył przyspieszenie. Westchnął bezradnie i wydał pancerzowi dyspozycję przyjęcia uryny. Część osłaniająca krocze przemorfowała i uwypukliła się.

Fuck, fuck, fuck, fuck! Nie wysikam się, nie trzymając trąby w palcach!

Han skupił się, ale nijak to nie szło. Mężczyźni od wieków robią to w jeden sposób i sikanie bez palpacji opanowali tylko ci, którzy współpracują z frinami, albo mutanty, które musiały to wyćwiczyć i bez frinów, na przykład pierdoleni Ranowie!

Han zerknął na obserwowaną poprzez TIO grupę stojącą wciąż na tarasie. Nie wyglądało na to, żeby mieli zaraz gdzieś odlecieć. Na pewno jeszcze chwilę będą tak trwali. Wydał polecenie pancerzowi, a ten rozchylił się na wysokości bioder. Chwycił przyrodzenie, pogładził pieszczotliwie żołędź i poczuł, jak w środku coś się otwiera, a z końca członka strzela wesoła struga. Naprawdę mocno mu się chciało.

– Kurrrrwa – jęknął. – Że też takie jebaństwo może człowiekowi... – Odczekał i strząsnął ostatnie krople. Kilka drobin poszybowało złotym łukiem nie tam, gdzie powinny, ale mikrodrony błyskawicznie je wyłapały.

Fierce wsadził przyrodzenie w bieliznę i rozkazał kroczonej części pancerza lecieć do wc, opróżnić zawartość, zdezynfekować się i wrócić.

Pokręcił głową. Ile z tym zachodu. Jeszcze wypadaloby rękę umyć.

Ledwo to pomyślał, podleciał majordomus statku i spryskał jego dłonie pianką myjącą.

– Dzięki – mruknął Han i strząsnął pianę.

Mikrodrony zeżarły ją. Jeden z nich, najszybszy, miał już przepelniony pojemnik trawiący. Poszybował na zaplecze statku, a z zasobnika kabiny wyleciał inny i zastąpił weterana.

Han z ulgą zobaczył kroczonej część pancerza wracającą od strony sterówki. Nie patrzył, jak montuje się z powrotem, tworząc zgrabne

uwypuklenie jego męskości.

Spojrzał na rozmówców. Właśnie siadali i coraz żywiej dyskutowali.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Rihanna, raj  
Karawana Błogosławionego Aymore'a  
Sektor J 32354  
08 Decimi 232 EI, 11.73 H

– Dobra – powiedziałem, gdy wszyscy usiedliśmy na fotelach wielkiego ogrodowego tarasu przylegającego do *Teacupa*. – Oczywiście jako wolni Sitizeni macie prawo lecieć z nami na Cyklona, bo ImBu nie ogłosił jeszcze kwarantanny, ale mam warunki i musicie je poznać, bo ImBu to ja.

– Jaki ważny się zrobił – szepnęła Cloe do Parsifala.

Ten ironicznie się uśmiechnął. Zafalowały jego kwieciste szorty, a dookoła nich zaczęły krążyć miniaturowe mewy.

– Macie wszyscy, i to teraz, zamówić szczelne pancerze z opcją molekularnego samooczyszczania. Jeśli zdecydujecie się na lądowanie na planecie, to wyłącznie w nich. Żadnego rozszczelniania, żadnego szarżowania.

Vivien siedząca obok Parsifala stęknęła:

– Zaraza? Tam jest zaraza? To ja nie lecę.

– Ani ja – wsparła ją Cloe.

Tajda się wahała, podobnie Fara i Brenda, ale byłem pewien, że te dwie ostatnie się zdecydują. Było to widać w ich spojrzeniach i ruchach przedramion.

– Ja lecę – odezwała się Brenda. – Nie zostawię naszych chłopaków.

– No to ja też – stwierdziła Fara.

– A ja zostanę z dziewczynami – zdecydowała Tajda.

Otóż to. Z górą dwa wieki bycia Ranem i Instruktorem Maodionów plus kilkanaście lat gamedeczenia pozostawia ślad.

– Chętnie bym się wami zaopiekował, turkaweczki, ale polecę z naszymi Błogosławionymi – usłyszeliśmy z góry.

Zadarłem głowę.

– Peter!

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Rihanna, raj

Sektor J 32266

08 Decimi 232 EI, 11.75 H

Han zaklął. Przez cały ten czas Torkila zasłaniała ta Ranka, a teraz lądował wśród nich połyskliwy gość ubrany, jakby był gladiatorem... Po chwili system namierzania Eleonory stwierdził, że rzeczywiście jest to gladiator. Peter „Crash” Kytes. Han prychnął. Nie oglądał aren, ani tych zaawansowanych, ani dla gówniarzy. Pierdolony wynalazek. Gladiator był dimenem ubranym w motomba złożonego, jak się wydawało, z samych ostrzy. Ostry facet. Frin Fierce’a zidentyfikował airvill, którym przyleciał gość. Był nim *Bezbolesny*, dziwaczny trójząb, wiszący pionowo, nie poziomo. Trwał pośród chmur na lewo i z tyłu. Dość daleko od karawan. Być może ten Peter chciał sprawić gospodarzom niespodziankę.

No wychył się, wychył... Han przygryzł nerwowo wargę, czekając, aż cel

wyłoni się zza bujnej grzywy Ranki. Coś się na to nie zanosilo. Kurwa siedziała i nie zamierzała ruszyć dupska, a Błogosławiony też nie wyglądał na ruchawego.

Fierce polecił *Sokołowi* zmienić położenie. Statek zaczął leniwie przesuwać się w prawo i do góry. Nie minęło trzydzieści cetni, gdy pole widzenia przesłoniła kobieta lecąca z czarnowłosą dziewczynką ubraną w złoty pancerzyk.

– Mamo, mam, to Ran?

Dziecko wskazało paluszkami Hana.

– Nie, kochanie, to nie Ran. To po prostu Sitizen. Dzień dobry, Sit!

Zamachała ręką.

– Dzień dobry! – zawtórowała jej córeczka.

– Dzień dobry – warknął Fierce.

– A co Sit robi? – spytała dziewczynka.

– Poluję – odpowiedział Han niskim głosem.

– Na co?

– Na ludzi.

Dziewczynka wytrzeszczyła oczy.

– Sit żartuje – wyjaśniła kobieta.

– Ale mam, to jest wielka armata. – Dziewczynka wskazała palcem Elorhag.

– Genevieve, to nie jest armata, tylko... – Kobieta znieruchomiła. Jej frin już z pewnością zidentyfikował Eleonorę jako część uzbrojenia.

– Kochanie – odezwała się niższym głosem – Sit ma prawo robić, co chce, nawet polować na ludzi. Tak naprawdę tylko żartuje.

– Jesteś pewna, Siti? – zapytał Han i zmrużył oczy tak, że widać było tylko wąskie szparki.

Kobieta rozłożyła ręce.

– Sit, mam zawiadomić Bractwo Besebu?

– Nie sądzisz, że Besebu o wszystkim wie? Tak jak ImBu? Myślisz, że nasza ingerencja cokolwiek zmieni?

Kobieta przez chwilę myślała i wreszcie rozpogodziła się.

– Masz rację, Sit. – Spojrzała na córkę. – Genevieve, wszystko jest w porządku. Sit wie, co robi.

– Na pewno?

– Na pewno.

I odleciały.

Han zaklął. Tamto miejsce naprawdę było dobre. Tu może co chwila ktoś przelatywać. W dodatku kolejne cetnie poszły się jebać. Zerknął na celownik. Wreszcie widać tego sukinsyna. Okno namierzania przybrało barwę czerwoną.

Han wziął głębszy oddech, wstrzymał go i przygotował się do strzału. W tym momencie na taras, gdzie wszystko się działo, nasunął się inny, mniejszy, gęsty od drzew i kwiatów.

Frag!

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Rihanna, raj

Karawana Błogosławionego Aymore'a

Sektor J 32354

08 Decimi 232 EI, 11.76 H

Peter „Crash” Kytes lądował między nami, oczywiście w towarzystwie swojego O'Toola. Miał na sobie pancerz z szerokich ostrzy i skrzydeł. Rzecz



jasna nie był organiczny. Mogli sobie podać rękę z Nexusem. Wciąż grał w gry drużynowe, nie tylko e-sportowe, ale także realne. Był jednym z lepszych gladiatorów Imperium, co ostentacyjnie zaznaczały rotujące wokół niego mechaniczne miecze, których klingi przypominały wijące się, poznaczone pazurami i kłami smoki. Te kły, pazury i wyrostki na grzbietach bestii zachowywały się jak piły. Brrr. Że też komuś chce się w to bawić.

– Nie w swoim świecie? – spytałem, ściskając jego potężną pierś, choć i tak był niższy ode mnie.

Kytes mieszkał praktycznie wyłącznie w arealium, konkretnie w grze Redland – świecie zamków, rycerzy, szlacheckich spraw i tak dalej. W realium pojawiał się tylko podczas rozgrywek na arenach.

– Torkil, miałem cię dzisiaj odwiedzić, zapomniałeś?

Cholera, rzeczywiście. Tak mnie to wszystko zakręciło... A frin nie przypomniał? Wezwałem go na dywanik. Zobaczyłem jego twarz. Powróciłem do dawnych zwyczajów i obdarzyłem go kobiecą fizjonomią i głosem.

– *Maya, dlaczego nie przypomniałaś mi o odwiedzinach Petera?*

– *Umówiłam się z frinem pana Kytosa, że tego nie zrobimy.*

– *Komu służysz, do diabła?!*

– *Wyłącznie tobie i twojemu rozwojowi.*

No i mnie miała. Frin mądrzejszy od właściciela.

– Zapomniałem, przyjacielu – odezwałem się do Petera.

– To nic. Każdemu się zdarza, nawet Błogosławionym, *n'est-ce pas?*

Zgrzytnąłem zębami.

– Nawet.

– I to was rozwija, prawda?

Jak zwykle czytał w myślach. Tylko mrugnąłem.

– Oczywiście lecę z wami – zapewnił.

Pokręciłem głową.

– Słuchajcie, to jakieś chore się robi. Nie lepiej, żebyśmy polecieeli z Nexusem i Laurusem, że się tak szowinistycznie wyrażę?

– Że niby doborowa kompania? – rzuciła Pauline. – Skyranowie? Toy Soldiers? Najlepsi z najlepszych?

– Nie, brachu. – Kytes pokręcił głową. – Uczestniczyłem w ataku na Spes razem z księżniczką. – Wskazał Steffi.

– Ja też tam byłem! – oświadczył Parsifal, powiewając kolorowymi portkami.

– I ja! – Mortimer podniósł rękę.

– I ja! – krzyknęła Fara.

– I ja! – zawtórowała im Tajda.

Zaraz wszyscy zaczęli wspominać stare dobre czasy i mimo że orszaki Nexusa i mój oraz nasze smoki nie odzywały się, zrobił się tumult.

– Widzisz – Peter skrzyżował ręce na potężnej morfującej piersi – wyciągnęliśmy wnioski z lekcji Imperatora, oby władał nami wiecznie. Ludzie już nie czekają, aż ktoś odwali za nich robotę. Ranowie, Besebu, Charoni, Narowie, Ludzie Bramy, Pionierzy, Taldowie, Auduxi. Nie, kochany, teraz wszyscy jesteśmy Ranami, Charonami i administratorami własnego życia. Znamy się na różnych gałęziach nauki i mamy natychmiastowy dostęp do wiedzy. My, mój drogi, już nie czekamy, aż ktoś za nas coś zrobi. Powiedz mi: Imperator się ze mną nie zgadza?

Wiszący nade mną SaintDroid zaczął promieniować niebiańskim światłem. Usłyszeliśmy podniosły akord.

– *Powiedz mu, Torkilu, że dobrze mówi* – usłyszałem w głowie pogodny głos pana ludzkości. – *I że mnie ubawił.*

– Zgadza się. Ubawiłeś go.

– O, prawdę mówisz, bo twój święty robot świeci. Tylko nie proponuj mu

mnie na Błogosławionego.

– *Nadawałby się.*

– Twierdzi, że się nadajesz.

Peter teatralnie przyklęknął na kolano.

– Panie, tylko nie to, nie jestem godzien.

– *Ładnie to bagatelizuje, ale wiem, że to tylko poza. Nie mów mu tego.*

SaintDroid przestał świecić. Jego niebiańska istota oddaliła się.

– Uf – szepnął Kytes, a towarzystwo zarechotało. – Więc?

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Rihanna, raj

Sektor J 32266

08 Decimi 232 EI, 11.79 H

Taras przesłaniający rozmawiającą grupę przesunął się.

– Jezu, ile ich tam jest... Całkiem niezłe dziagi... I Smoki... Ten gość w szortach jak żagle...

Eleonora znowu namierzyła cel.

– *Jesteś pewien, że chcesz strzelać w głowę? Szansa na przetrwanie aruna po takim strzale jest niewielka.*

– *Tak, kurwa, w głowę. Nie pierdol.*

Broń zamilkła.

Han wziął wdech...

Droga Mleczna

Macierz  
Planeta Rihanna, raj  
Karawana Błogosławionego Aymore'a  
Sektor J 32354  
08 Decimi 232 EI, 11.79 H

– Okej. – Zrezygnowany zwiesiłem głowę. – Ale pamiętajcie: najpierw pancerze.

– Dobra, dobra – zarechotali.

Zerknąłem w niebo. Pięć bodhisattwów unosiło się na bezgłośnych skrzydłach. Te ich ślepe oczy były naprawdę niepokojące.

– I jeszcze jedno – podjąłem. – Cyklon to bardzo młoda planeta, nie ma tam raju, więc może niech karawany moja i Nexusa zostaną tutaj. Niech się ludzie bawią, a my polecimy *Teacupem*...

– I moim *Lwem* – oświadczył dumnie Parsifal.

To naprawdę nie był dobry pomysł. Po co mi żeglarze od siedmiu boleści?

– Zostaw nam *Lwa*! – zaprotestowała Cloe.

– Wykroję wam połowę.

– No trudno.

– Ale numer! – zakrzyknął Parsifal. Patrzył w dal. Przyspieszył.

Zerknęliśmy porozumiewawczo na siebie. Głowa stada Freyrów miała Twina i Threena. Z pewnością otrzymywał właśnie niezwykły pak. Z tego, co pamiętałem, Twin pławił się w oceanicznych głębiach Gity, tropikalnej planety o rozległych, bardzo ciepłych wodach, Threen zaś podróżował po dżunglach, co dziwne, tego samego globu.

Ubrany w kwieciste szorty mężczyzna zamrugał.

– Niezwykłe, niezwykle. Normalnie ocean wody. Tutaj – wskazał ręką dookoła – mamy ocean powietrza, a tam jest woda... Rewelacja. Mam

nadzieję, że ja też prześlę im coś ciekawego...

– Prześlij pak – poprosiła Brenda.

– Już.

Znowu zerknąłem na bodhisattwy. Nexus, Laurus, Tanya, Angela, ja. Pięcioro soulerów, dość silnych, na małym obszarze. Nieźle soczewkowaliśmy ten fragment świata. Pojawił się kolejny ślepy anioł. Zmarszczyłem brwi. Coś się nie zgadzało...

– Biorę *Ulissesa* – oświadczył Nexus.

– A ja *Walkera* – rzuciła Tanya.

– Torkil, dobrze się czujesz? – spytał Laurus.

Wskazałem serafy.

– Dużo ich – mruknąłem, patrząc w niebo.

Poczułem ból głowy.

– Oczywiście lecę *Bashingiem* – oznajmił Wilehad. – Torkil?

Zacząłem się rozglądać, jakby gdzieś czaiła się odpowiedź na niewypowiedziane pytanie.

– Coś się nie zgadza – szepnąłem.

Peter, jak zwykle czytający w myślach, wyprostował się i wzleciał dwa metry w górę.

Tell zaryczał i rozprostował skrzydła.

Zerknąłem na Parsifala i Mortimera.

– Zbiórka... tam – stęknąłem, wskazując kursorem obszar pięćset metrów dalej – za... pół hekty. – Steffi?

– Zabieram *Nimbusa*.

– Torkil, co się...? – rzuciła Pauline.

Mars Gradivus od kilkudziesięciu cetni odczuwał narastający niepokój.

Lapidoi teoretycznie nie mają zdolności soulerskich, ale praktycznie mają pewną ich odmianę połączoną z niepodatnością na wszelkie obce czary. Agon patrzył niespokojnie na podejrzanie liczne ślepe serafy, na grupę przyjaciół, która była zbyt odsłonięta, zbyt rozgadana, niefrasobliwa.

Wykonał wizualizację najbliższej przyszłości, chociaż teoretycznie nie było zagrożenia. Prześledził kilkanaście wariantów taktycznych i w każdym z nich najbardziej narażone na ostrzał miejsce znajdowało się w pobliżu krawędzi tarasu. Włączył silniki i gwałtownie podleciał w tamtym kierunku.

– Aaaargh! – usłyszeliśmy wrzask Marsa, a potem sypnęły się wokół nas fragmenty jego rozerwanego ramienia.

Natychmiast wystartowaliśmy. Friny błyskawicznie prześledziły sytuację – ktoś do nas strzelał! Włączyłem automatyczne wykrywanie broni. Tak! Dwanaście kilometrów stąd, pojazd o nazwie *Sokół*, niejaki Han Fierce!

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Rihanna, raj  
Sektor J 32266  
08 Decimi 232 EI, 11.79 H

Kurwa! Kurwa! Kurwa! Ten jebany Agon jakimś cudem zasłonił Błogosławionego! Gdzie on był? Gdzie on przedtem był, że się tak nagle pojawił?! Han zagryzł dolną wargę do krwi. Poczł ciepłą strużkę spływającą po podbródku i smak żelaza. W jakiś niepojęty sposób ostry ból przyniósł mu ulgę, ale tylko na chwilę, na ułamek cetni, bo wkrótce frin zablokował

szarpiące pulsowanie. Tym razem nie zabronił mu interweniować. Skurwysyny tuż przed strzałem zaczęły się wiercić, pojawiło się więcej tych martwych aniołów! Kurwa! Nie po to tak się narażałem, żeby nie trafić!

Całe to pierdolenie o Wolnej Woli, całe rozważania, całe poświęcenie po to, żeby spudłować! Kurwa!

Widział, jak Smoki, Błogosławieni i Agonai pędzą do niego w zawrotnym tempie, jak mijają innych Sitów.

Zadrzał i znowu poczuł, jak frin pomaga mu odepchnąć panikę.

Zerwał połączenie z bronią, a ta nawet się nie zakołysała. Pozostała dokładnie w tym miejscu, w którym padł strzał. Było to zachowanie dziwne i sprzeczne z intuicją – powinna się zachwiać, ustawić jakoś inaczej, ale to była dobra broń i miała doskonale stabilizatory. Fierce nie miał czasu na analizowanie najnowszej myśli technicznej. Chwytał „oko” Astry, schował je w zasobniku udowym i rzucił się do kabiny sterowania.

Statek, nie wciągając do kadłuba kabiny, w której tkwiła Eleonora, ruszył do przodu, wszedł w wiraż i skierował się do najbliższego kanału prowadzącego na zewnątrz rajy. Rozpędził się i... nagle zahamował. Fierce oparł się na wolancie.

– Co się dzieje? – jęknął.

– Dalsza podróż jest niemożliwa – padła odpowiedź *Sokoła*.

– Dlaczego?!

– Dalsza podróż jest niemożliwa.

– Ja pierdolę! Odpowiedz na pytanie!

– Dalsza podróż jest niemożliwa.

Han wydał dyspozycję otwarcia owiewki, ale ta nie zareagowała. Skoczył do wjazdu oddzielającego sterówkę od części rekreacyjnej. Był zamknięty.

– Kurwa! Więzienie! Jebane więzienie! Nienawidzę tego! Niiieeenawidzęęęę!!!

Droga Mleczna  
Planeta Rihanna, raj  
Sektor J 32260  
08 Decimi 232 EI, 11.79 H

Gdy pędziliśmy do niego, z moich naramienników wysunęły się działka typu Axel, oddzieliły się od zbroi i zajęły optymalne pozycje. Gdyby ktoś patrzył na mnie z boku, byłby przekonany, że wciąż są połączone z pancerzem, ale od przodu było widać, że są niezależne. W dawnych Coremourach mieliśmy działka przytwierdzone w reistyczny sposób, odkąd jednak technofraktale zostały wyparte przez flofy, jasne się stało, że działko wiszące niezależnie od właściciela jest celniejsze. Dlatego moje dzielne dwulufowe Axele mknęły ze mną i zgłaszały namierzenie celu zwielokrotnionym trójwymiarowym celownikiem, który miałem przed oczami. Nie pozwoliłem im strzelać, chociaż miały na to wielką ochotę. Axele to potężna broń. Inteligentne pociski typu stot, osłonięte wielowarstwową węglową siatką, rozpędzane są do takiej prędkości, że uderzając w przeszkodę, generują mikroskopijne czarne dziury. Gdybym chciał, mogłyby się podzielić na wiele igieł i dosłownie roznieść wroga na kawałki. Taka potęga zmuszała do częstej wymiany magazynków, ale tych mieliśmy pod dostatkiem w hiperprzestrzeni.

Laurus i Nexus zrobili to, co ja: wysłali w stronę przeciwnika kilkanaście quilli, które dotarły do niego i otoczyły go niczym korona ostrzy. Wisiały nad nim i pod nim. Miecze Damoklesa.

Najdłuższe, końcowe lotki, wymorfowane w quilldao, już dzierżyliśmy w rękach.



Dotarliśmy do niego w ciągu kilkudziesięciu cetni, uzbrojeni i nastawieni bojowo, co było widać po pancerzach otoczonych nagle bardzo agresywnymi, dynamicznymi animacjami. Wyhamowaliśmy przy akompaniamencie huku skrzydeł Tella i Quai, po czym otoczyliśmy dziwny, praktycznie nieanimowany pojazd z wyłączoną opcją autoregeneracji. Wyglądaliśmy jak banda Indian płasających w rytm tańca śmierci. Krążyliśmy zgodnie ze starą wojenną zasadą pozostawania w ruchu w sytuacji zagrożenia, a lotki, groźnie zwrócone w stronę mężczyzny, krążyły razem z nami.

Statek, prześwietlany i obmacywany frinowymi mackami, przypominał drapieżnego czarno-srebrnego ptaka, który właśnie rodził jajo, ale jakoś dziwnie, bo z boku, z okolic głowy. Frin wykrył tam potężne osobiste działo typu Elorhag, z którego najprawdopodobniej... błyskawiczne prześwietlenie broni wykazało, że z całą pewnością z niej strzelano. Friny mój i Marsa nie miały wątpliwości, że Agon oberwał potężnym pociskiem mikrodronowym MDS 3000. Znałem je. To wyjątkowe paskudztwo i tylko Hegar był w stanie wytrzymać uderzenie, zresztą nie bezpośrednio, ale boczne, w naramiennik. Gdyby dostał centralnie w pierś, nie wiadomo, czyby wytrzymał. Coremour najprawdopodobniej by zawiódł. Hegary to latające czołgi. Ranowie nigdy nie zgodzili się na takie obłożenie pancerzem.

Gradiusus został nieco za nami. Jego złota zbroja była w jednej trzeciej strawiona przez zjadliwe mikroroboty. Wśród drobin tworzywa widać było krew. O'Tool już przeteleportował do niego medmat z *Teacupa*. Dron właśnie się zbliżał do rannego, wyciągając diagnostyczne i lecznicze macki. Za chwilę go ustabilizuje. Agon milczał. Jak zwykle, skurczybyk, milczał.

– *Mars, w porządku?*

– *Dam radę.*

– *Wiesz, jak to się stało?*

– *Jeszcze myślę.*

Zwróciłem wzrok w stronę pojazdu. Za szybą kabiny tkwił gość w podrapanym pancerzu, z pokrwawioną dolną wargą, drący się wniebogłosy i usiłujący wyrwać sobie włosy z głowy. Han Fierce. ImBu unieruchomił jego statek. Po próbie zamachu cała rzeczywistość WayEmpire stała się jego wrogiem – każdy floc statku, otaczających go mikrokamer, filarów rajy, zbroi i pojazdów, wszystko było przeciwko niemu. Tak, kolego. Dopóki nie popełnisz przestępstwa, masz Wolną Wolę. Ale potem musisz już czekać na wyrok.

A wyrok to ja.

Nexus wydał dyspozycję otwarcia kabiny pojazdu.

Wtedy usłyszeliśmy, że gość naprawdę głośno krzyczy.

Poczułem pot, wynik stresu i strachu.

Fala za falą krwawe bałwany wściekłości uderzały w moją duszę. Ten człowiek dotarł do granicy. Spojrzałem na niego z ciekawością.

– *Torkil, czujesz to?* – odezwał się Tell.

Po chwili usłyszałem to samo pytanie od Angie i Maria.

Czuję.

– *Czego mordę drzesz?* – spytał RanaR i podleciał do krawędzi statku. Usiadł na niej jak ptak. Moduły stóp jego Coremoura owinęły się wokół krawędzi na podobieństwo szponów i w ten sposób go ustabilizowały. Nie zwrócił uwagi na to, że szpony wryły się głęboko w pojazd i go uszkodziły.

Mężczyzna zamilkł. Nagle fale, które tak boleśnie mnie uderzały, zniknęły.

– *Do kogo strzelałeś, skurwielu?* – spytał Laurus.

Użyłem Łaski Imperatora, żeby przeświecić mu łeb, ale Mario był szybszy i odpowiedział za mnie:

– *Do Torkila.*

Wszedłem do systemu Elorhaga i upewniłem się. Tak! Strzelał do mnie!

Zgromadzeni wokół wzięli głębszy wdech. Tylko Mars był wciąż skoncentrowany na swoim Hegarze. Obudowywał warstwę po warstwie na dziurze w naramienniku. Pomagała mu Lea, wyciągając ze swojego hipoka moduły zbroi, które próbowały przyczepić się do mechanicznej rany. Tam ciągle trwała walka.

Dlaczego ten gość do mnie strzelał? Przecież go nie znam!

Spojrzałem na Laurusa. Widziałem, że walczy ze sobą. Chciał tamtego rozszarpać, i to nie pancernymi palcami, ale własnymi, organicznymi. Powstrzymał się ostatkiem sił.

– Torkil „Gamedec” Aymore to mój przyjaciel – powiedział lodowatym tonem. – Wiesz, co to znaczy?

Znowu fala, tym razem zwierzęcego strachu. Z pewnością facet popuścił z cewki... Znaczący popuściłby, gdyby miał coś w pęcherzu. Ale nie miał.

– To znaczy, mój drogi – Laurus mówił „mój drogi” tylko wtedy, gdy był skrajnie wściekły – że powinienem cię tutaj rozsmarować, centymetr po centymetrze, na tapicerce kabiny twojego śmierdzącego, wykonanego bez krztyny gustu stateczku. Centymetr po centymetrze. – Powiedział to bardzo, bardzo wolno. W chwilach wielkiego napięcia stawał się opanowany i zimny jak śnieżne szczyty Freyi.

Wziął wdech.

– Ale nie zrobię tego, byś mógł sobie o tym rozmyślać.

*Potop.* To była swobodna przeróbka wypowiedzi Kmicica „żebyś sobie mógł o Kmicicu rozmyślać”. Aristos uwielbiał stare el-booki, zwłaszcza ten. Nie bardzo rozumiem dlaczego. Może z powodu charyzmatycznego głównego bohatera, do którego od czasu do czasu próbował się upodobnić. Jego przeredzone skrzydła były rozpostarte na bardzo dużej powierzchni, powoli pracowały w powietrzu i miały ostrza skierowane w stronę Hana. Wyglądały jak skrzydła sępa, który za chwilę ma wyrwać wątrobę zmarłego

bawołu.

– Wiesz, że strzelałeś do Błogosławionego? – odezwał się Mario.

– Tak.

– Wiesz, że ja też jestem Błogosławionym?

– Widzę.

Gość trochę się pozbierał. W tym „widzę” była już nuta zaczepki. SaintDroidy Nexusa i mój już do nas dotarły i po staremu, jakby nigdy nic, rotowały kilka metrów nad nami. Koło nich powiewały flagi ArtDroidów, a nad nimi te kurewskie, ślepe bodhisattwy.

Dominic i Barbara wraz z Tellem i Quai wytyczyli perymetr wokół statku. Nasze upiory skanowały otoczenie. Teraz nic nas nie mogło zaskoczyć.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał Mario.

Mężczyzna milczał.

– Czy mój drugi przyjaciel – odezwał się Laurus – ma powtórzyć pytanie?

Cisza.

– No i się, kurwa, doigrałeś.

– Laurus.

RanaR, nie bacząc na mój głos, odleciał dwa metry od statku i machnął mieczami tak szybko, że nie widać było ruchu. Rozległ się świst i kabina, w której przebywał Fierce, oraz wypustka, gdzie wisiał Elorhag, zostały pocięte na kilkanaście części. Te unosiły się teraz w powietrzu, tworząc luźną, ale wciąż rozpoznawalną strukturę, bo Laurus tak chciał. Taką moc dawał Ranom ImBu. Miecze wróciły do jego rąk. Wilehad zbliżył je do siebie i tak powstał jeden, potężniejszy oręż. Tomo przeniósł go do prawicy i znowu zaczął mu się bacznie przyglądać, jakby za chwilę miał powtórzyć rzut.

Asasyn zląkł się. Zlustrował szybko swoje kończyny, ale na szczęście wszystkie były na miejscu.

– *Laurus* – wysłałem pak – *niepotrzebne to było*.

– *Mam inne zdanie*.

– *Ładna układanka* – skomentował Nexus.

– *No* – dodał Tell.

Han wisiał żałośnie w czymś, co przypominało popękana skorupkę jaja. Kawałki Elorhaga w wysuniętej kabine zaczęły się powoli od siebie oddzielać i dryfować, ale zaraz wyciągnęły do siebie mikrobotowe łapki, żeby się posklejać.

Mężczyzna spojrział na nas pytająco, po czym poprosił swój statek o siedzisko. Zezwoliliśmy. Mimo że kabina była uszkodzona, miała szczątkowe zasilanie i już próbowała się regenerować, co było widać na brzegach cięć zrobionych przez Laurusa – wysuwały się stamtąd mostki mikrorobotów, strzelały iskry wyładowań usiłujące przyciągnąć rozbite elementy.

Z boku ścianki wysunął się niewielki fotel. Han usiadł. Przełknął ślinę. Z dużym trudem.

– Chciałem... zobaczyć, czy to w ogóle możliwe.

– Zabić Błogosławionego? – spytał Mario.

– Tak. Chciałem zobaczyć, czy ImBu mi na to pozwoli.

– Mamy Wolną Wolę – wysyczał Laurus. – Nie słyszałeś o tym?

– Nie wierzyłem w nią – szepnął.

– Teraz już, kurwa, wierzysz?

Znowu przełknął ślinę, bo z ramion Laurusa zaczęły wyrastać coraz dłuższe ostrza, a jego zdwojony quilldao kręcił powolne młyńce, od których warczało powietrze.

– A jeśli to ImBu kazał temu Agonowi zasłonić Namaszczonego?! Skąd wiedział, że będę strzelał? – szepnął Fierce.

Mars podniósł na nas wzrok i pokręcił głową.

– Robiłem imp – rzekł – i coś mi się nie zgadzało na krawędzi tarasu. Dlatego tam podleciałem.

Umiejętności wizualizacyjne Gradivusa już dawno przestały być prostą zabawą w wyobrażanie sobie możliwych rozwojów sytuacji. On był soulerem. Zdumiewające, że wciąż pozostawał przy tym Lapidosem.

– Chciałem mieć pewność – ciągnął asasyn zachrypniętym głosem – że nie jesteście marionetkami. Dlaczego nie zatrzymali mnie Bracia Besebu? ImBu musiał przecież wiedzieć, co zamierzam!

– Bracia Besebu – Laurus wypowiadał słowa bardzo powoli, wciąż kręcąc młynki mieczem – ingerują tam, gdzie są debile i sprawy beznadziejne, gdzie inaczej się nie da, gdzie trzeba ludzi walnąć w łeb, żeby się ocknęli. Głębsze, ciekawsze problemy powinny rozwiązać się same, bo tam tkwią studnie człowieczeństwa. Nie czytałeś *Księgi Słowa*? – Potężna klinga zatrzymała się.

– Nie...

– Analfabeta nam się trafił – skwitował RanaR. – To pewnie nie słyszałeś, że „niezbadane są ścieżki ImBu”? Gdyby były zbadane, gdyby ImBu był przewidywalny, człowiek miałby pewność oceny, kary i nagrody, pewność, że jest obserwowany. A nie może jej mieć, bo tylko w niepewności decyzji tkwi...

– „Człowieczeństwo i poznanie” – dokończyliśmy z Nexusem i Angelą, cytując znany tekst.

– Rozumiesz? – ciągnął Laurus. – Gdy jesteś obserwowany i wiesz, że tak jest, zaczynasz się zachowywać tak, żeby być dobrze ocenionym. To według ciebie ma sens? No więc według Imperatora, który jest w chuj inteligentniejszy od ciebie, też nie. I chciałeś to, baranie, sprawdzić?

– Rozumowałem tak samo. Ale chciałem sprawdzić.

– Laurus – odezwałem się – może dla ludzi to rzeczywiście nie jest już

oczywiste. Może z tego jakieś audycje zrobić, żeby uświadomić...

RanaR machnął lewą ręką. Tą, w której nie trzymał broni.

– *Myśl świetna, ale nie teraz. Mam sprawę z kutasem* – przesłał men i dodał wyobrażenie wyrywania rzeczonoego narządu w gejzerze krwi.

Han siedział i patrzył na nas z szeroko otwartymi ustami.

– Nexus – mruknąłem – dlaczego ImBu nie przysłał Besebu? Dlaczego Hana nie powstrzymała jakaś pszczołka? Jest rozwojowy?

Tell zarechotał. A z nim Quai i obstawa Maria. To rzeczywiście było śmieszne.

Mario wskazał palcem na małą, przezierną kulę tkwiącą w gnieździe kotwicznym blisko krawędzi owiewki, tuż przy Elorhagu.

– Widzisz to?

Zrobiłem zoom.

Psiakrew! To jakieś...

– Żarcie ze znamieniem HS! – wykrzyknąłem.

– Tak. – Mario zwrócił się do Hana. – Zamówiłeś to przed chwilą?

– Przed chwilą...

– I przyszło skalane?

– Tak...

– Dlaczego nie odesłałeś na śmietnisko HS?

– Wydało mi się ciekawe. Zostawiłem sobie do... dalszych oględzin.

Nexus spojrział na mnie, a ja na Laurusa.

– *Nie powiecie mi* – warknął totowo RanaR – *że chcecie go puścić wolno. Należy mu się czapa albo Sofia na sto cykli! Torkil, jak byś zareagował, gdyby ten padalec strzelał do mnie?*

– *Rozerwałbym na strzępy* – odparłem.

– *No właśnie.*

– *Masz rodzinę?* – spytałem niedoszłego zabójcę.

– Mam. W dupie.

Tell znowu zarechotał. Quai razem z nim.

– Ten dowód, ten zamach, to było dla ciebie coś bardzo ważnego, prawda?

– spytałem.

– Prawda.

– Wiedziałeś, że możesz zginąć albo dostać wyrok na Sofii?

– Wiedziałem.

– I mimo to zaryzykowałeś?

– Tak.

Użyłem Łaski Imperatora. Prześwietliłem jego mózg. To nie był psychopata. Typ raczej szorstki, nie do końca lotny, ale niewyprany z uczuć. Ideowiec.

Zerknąłem jeszcze raz na tortillę przekreśloną znamieniem HS.

– *Siostry i Bracia* – odezwałem się totowo do Angeli, Tanyi, Nexusa i Laurusa – *chcieliśmy obejrzeć znamiona HS. Mamy je, jakby w prezencie. Świeże. Gość strzelał do mnie w dość ciekawym momencie, wtedy, gdy dostaliśmy wezwanie od Imperatora. Przypadek sprawił, że trafił akurat na naszą grupę. Nie jest psychopata. Taki splot fal chaosu jest zbyt interesujący, by go zignorować.*

– *Co sugerujesz?* – spytał Nexus.

– *Zabieramy go ze sobą.*

– *Bez kary?!* – warknął Laurus.

Spojrzałem na Hana.

– Jesteś gotów na wyrok?

Fierce skinął głową.

– Nie skontaktował się ze mną ImBu, a ja nie kontaktowałem się z nim. Twoją karą będzie towarzyszenie nam we wszystkich zadaniach, aż stwierdzę, że się dokonało.



- *Pojebało go* – jęknął Laurus.
- Czy przyjmujesz ten wyrok? – ciągnąłem.
- Może... lepiej skontaktować się z Imperatorem? – odpowiedział.
- A może urwać ci łeb? – rzucił Wilehad.
- To nie jest... bezprawie?

Nexus roześmiał się, a z nim cała reszta.

- Słyszałeś, kim są Błogosławieni?
- To Władcy Świata.
- No, kurwa, właśnie – zagrzemiał Laurus. – I oni są moimi kumplami.
- *Jak się będzie blisko trzymał* – odezwałem się totowo do Braci – *a zacnie się dziać, są szanse, że Chaos sam wymierzy mu sprawiedliwość. Albo się usocjalizuje.*
- *Torkil, twój idealizm mnie przeraża* – rzekł RanaR.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Rihanna, raj

Karawana Błogosławionego Aymore'a

Sektor J 32354

08 Decimi 232 EI, 11.79 H

– Coooo?! Ten cham jeszcze tu jest?! Postawi stopę w *Teacupie*?! Będzie psuł powietrze w moim towarzystwie? Skurwysyn, który chciał cię zabić dla idei?! Oczy chujowi wydrapię! – Pauline skoczyła do przodu jak tygryś, gdy tylko się pojawiliśmy nad tarasem airvilla. Przebieg naszej rozmowy oczywiście znała, bo śledziła go z odległości.

Peter ze stoickim spokojem zasłonił kulącego się za nim Hana, który był

nie mniej spanikowany niż wtedy, gdy Laurus posiekał mu pojazd. Tymczasem Eim grzmociła Crasha w skrzącą się pierś pięściami owiniętymi metalowymi kształtkami. Huczało tak, że aż ludzie z innych airvilli zatrzymali się i gapili, a było co oglądać, bo Pauline była otoczona płomiennymi furiami, które co chwila atakowały skrytego za Kytesem asasyna.

– Spierdalaj, Peter! – wrzeszczała. – Aniu, Angie, pomóżcie mi wyrwać mu flaki!

Wezwane walkirie wisiały obok byłej Reormater i patrzyły nienawistnie na obcego.

– Pauline, uspokój się – odezwałem się.

– Tyś chyba zwariował, Torkil! Nawet go na Sofię nie wysłałeś? Kurwa, ten system jest popierdolony, jeśli pozwala się snajperowi chodzić i oddychać tuż po tym, jak chciał Syna Imperatora... – Latynoska zachłysnęła się i złapała za pierś. – Jesteście popierdoleni wy wszyscy, kurwa, Namaszczeni. A ty – spojrzała na Hana – nie zbliżaj się, kurwa, do mnie na dziesięć metrów, bo cię rozedrę, kutasie jebany. – Tym razem matka kilku moich dzieci zaskrzeczała jak sroka i spróbowała wyminąć Petera. Ten chwycił ją delikatnie za biodra i ściągnął przed siebie. – Puszczaj mnie, Peter. Puszczaj, kurwa! No przecież ktoś musi wymierzyć chujowi sprawiedliwość. Jeśli tu są same mięczaki, to ja to zrobię. Żeby taki śmieć, takie byle co strzelało do mojego... – Po jej policzkach pociekły łzy. – Zabiję łajdaka, zabiję, jak Imperatora kocham. Peter, nie zawsze będziesz między nim a mną. Zabiję go wtedy. Wsadzę mu w dupę latarnię, rozedrę go od środka, ściągnę z O'Toola takie narzędzie, że go od bebeczków wypatroszy. Kurwa, nie daruję chamowi...

W tym momencie obok Pauline zaczęły majaczyć animacje narzędzi tortur. Na RanStone, kiedy ona je wykonywała...

– Ja się z mamą zgadzam – odezwał się Konon, chyba po raz pierwszy od kilku deków. Wisiał wysoko nad nami w swoim złoto-srebrnym, nowocześnie stylizowanym motombie. Wokół niego polatywały symbole programingu. Pod względem animacji był ostatnio bardzo oszczędny. – Ponadto masz dowód, wujku – tak mnie nazywał, odkąd pamiętam – że talizmany bez mesjaszy są jak stryżki bez wisielca. Jest za co ciągnąć, nie ma na co patrzeć.

– Nie wiem, czy zauważyliście – zwróciłem się do Eim i jej syna – że nie zginąłem. Pauline, nie masz za co zabijać tego Sita.

– Nie mam?! Nie mam?! Ciebie chyba te Petry i Nomoria już zupełnie wyprały z myśli, Błogosławiony idioto! *Mogłeś zginąć! Przypadek tylko sprawił, że tak się nie stało!* Liczą się intencje! On, wydając rozkaz broni, de facto cię zabił! Jeśli dwóch ludzi strzela do innych dwóch ludzi i jednemu się udaje, a drugiemu nie, to ukarzesz surowiej mordercę tylko dlatego, że drugi nie trafił?! Kurwa, zacznij myśleć! Przy takim rozumowaniu nagradzasz jednego za fart, a drugiego karzesz za pecha! To podstawowy problem etyczny! Gdzie ty, kurwa, do szkół chodziłeś?!

– Nie zginąłem. To dowodzi...

– To był przypadek!

Han spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Błogosławiony lżony przez partnerkę? Przyspieszyłem i zeskanowałem jego mózg. Właśnie stwierdzał: „To prawda. Najbliższe otoczenie traktuje Namaszczonych, jakby byli zwykłymi ludźmi! To prawda!”.

Pozostając w przyspieszeniu, wysłałem Pauline men mówiący o tym, że nie jestem tak racjonalny jak ona. Jestem Ranem. Zwierzęciem. I to zwierzę we mnie mówi, że w tym zdarzeniu istnieje jakaś wsteczna przyczynowość – czyli stało się to, co się stało, bo w przyszłości zadzieje się coś innego, na co dzisiejsze zdarzenie będzie miało wpływ. Racjoniści nigdy nie pojmowali

takiego sposobu widzenia świata. Dla Maodów i Maod-Anów było to dosyć naturalne. Dla starych Ranów, takich jak ja, zanurzonych w czasie, który płynie we wszystkich kierunkach, nie było już innego widzenia świata, ale bardzo trudno było to wytłumaczyć uwięzionym w liniowym modelu rzeczywistości. Taką osobą, ku mojej rozpacz, była Pauline – zawsze zdroworoządkowa, analityczna i do bólu logiczna.

Zwolniłem.

– Pauline, wierzę...

– Gównu mnie to obchodzi! Gównu mnie obchodzi twój men...

I zupełnie się rozkleiła. Peter podtrzymał jej wstrząsane szlochem ciało.

– Obronił cię Mars, wujku – odezwał się Konon. – Z aktywnymi talizmanami strzał pewnie by cię ominął. I jego też.

– Nie mamy takiej pewności.

– A w ogóle co to za gość? Skąd wziął tę broń? Nie pytałeś go? – rzucił.

– Ma ją od niejakiego Gutberga Warwicka – odpowiedziałem. – To jeden z wielu w Imperium, którzy parają się kopiowaniem naszych zabawek.

– I co? ImBu pozwala mu to robić?

Wzruszyłem ramionami.

– To ludzie tworzą nasz świat. Nie Budda, nie Imperator. Budda rozwija WayEmpire, Imperator doradza, ale władzę nad swoim życiem mają zwykli ludzie. Jeśli wciąż będą tak głupio sprawdzać, co im wolno, a czego nie, zwątpię w nasz gatunek... Dlatego musimy go wziąć ze sobą. Musimy z nim rozmawiać, rozumiecie? Nie trafił. Mars żyje i ma powód do dumy, że spełnił swój obowiązek, ja żyję, nic się nie stało.

– Ale mogło – szepnęła Pauline.

**Panorama 2**

**Osobliwość**

## Obraz 1

# Znamię

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Rihanna, raj

Karawana Błogosławionego Aymore'a

Sektor J 32354

08 Decimi 232 EI, 11.98 H

Wuj Torkil poleciał z matką, ciotkami Angie, Anną i Steffi, Peterem, Nexusem, Laurusem, nową Charonką, gromadą Freyrów i tym pieprzonym zamachowcem na planetę z zarazą prawie całym *Teacupem*. Konon, gdy ustał już szum silników, a biesiadnicy z karawan wrócili do zabawy, wleciał do swojej wydzielonej z airvilla świątyni, która przypominała z grubsza kulę o średnicy trzydziestu metrów i regularnie okrążała, niczym dziwaczny satelita, kilkanaście airvilli na czele karawany. Rozejrzał się po gabinecie i upewnił, że wszystkie meble i urządzenia są na właściwym miejscu. Nie zawsze po oddzieleniu od głównej części airvilla tak było. Czasami

domostwo, wiedzione jakimś artystycznym zrywem, zmieniało styl, umeblowanie, ornamenty. Zawsze trafiało w gust Konona, ale nie zawsze dimen wiedział, co gdzie jest. Tym razem wszystko było w porządku. Maszty i proporce vii migają w oknach, ale Konon nie zwracał na nie uwagi. Wciąż myślał o rozmowie z matką, która odbyła się tuż przed jej odlotem, za zamkniętymi drzwiami.

– Synku – szepnęła – ty rozumiesz mój punkt widzenia, prawda?

– Że nie wolno nagradzać czy karać za przypadek, bo najważniejsze są intencje?

– Tak.

– To do bólu logiczne. Ale bardziej mnie martwią taliz...

– Konon – przerwała – wiem, że się niepokoisz kamieniami wuja. Ja też. Zaimplementuj tam kult, żeby go bronić. Sama cię o to proszę. Mam jeszcze jedną, bardzo ważną prośbę i musisz mi obiecać, że ją spełnisz.

Konon otworzył szerzej sztuczne oczy.

– Tak, mam?

– Ten człowiek, ten... Han Fierce, *zabił* Torkila. On go zabił. Jest mordercą. Niebezpiecznym osobnikiem. Wuj ma swoją popieprzoną intuicję, ale ja mam swoją. Nie pozwolę, żeby taki człowiek chodził po świecie. Pojmujesz?

Spojrzała Kononowi głęboko w oczy. Jeszcze nigdy matka tak nie patrzyła. Młody Eim się przestraszył. W tych czarnych źrenicach skrzyła się prawdziwa groźba.

– Synku – szepnęła – gdy w życiu porządnych ludzi pojawia się szubrawiec, trzeba go zlikwidować. Nie litować się nad nim, nie szukać w nim dobra, jak to czyni Torkil. Taka kanalia może wyrządzić jeszcze wiele zła. Uwierz mi, ja to wiem, ja takich ludzi widziałam. Tylko naiwniacy zostawiają ich przy życiu, a potem gorzko tego żałują. Więc aby bronić

bliskich i, niech będzie, także innych uczciwych ludzi, takiego robala należy zgnieść, rozumiesz?

– Mamo...

– Nie wiem, jak się zabija człowieka. Nie wiem i ty pewnie też nie wiesz. Ale informacja to potężna broń. Chcę, żebyś skonstruował coś, nie wiem co... Coś takiego, żebyśmy wiedzieli, gdzie ta szuja przebywa.

– Ale jest przecież TIO. Poza tym wuj ma kontakt z Imperatorem, a dzięki temu...

– TIO nie odnajdzie Fierce'a, jeśli zniknie nam z oczu, a wuj Torkil nam nie pomoże. Przeciwnie, może przeszkodzić. To jest sprawa między nami a Hanem. – Spojrzała na syna i zamrugwała. – Nie – poprawiła się – to jest sprawa między mną a Hanem. Ty mi tylko pomożesz.

– Ale mamo...

– Nie pozwolę, by ktokolwiek zagrażał mojemu mężczyźnie, rozumiesz? Rozumiesz mnie, Konon? To moje cholerne motto. Mam nadzieję, że pewnego dnia dorośniesz i przybierzesz taką samą postawę wobec swojej kobiety. – Pauline obejrzała się za siebie. – Na mnie już czas, synku. Obiecujesz?

Konon tylko mrugnął.

Mechaniczna pierś Eima podniosła się i opadła. Potrząsnął mechaniczną głową i podleciał do centralnego modułu. Jak skonstruować taką maszynę? Coś, co będzie niewykrywalne, ale spełniające swoją funkcję? Teraz każdy otacza się taką liczbą mikrodronów i oprogramowania, że to praktycznie niemożliwe. Chociaż... Pancierz Hana Fierce'a wyglądał dość surowo, archaicznie, jakby gość w ogóle nie korzystał z dobrodziejstw Imperium. Trzeba będzie najpierw trochę go poobserwować, a potem coś się wymyśli.



Najpierw jednak rzeczy najważniejsze...

Zerknął na ekrany wyświetlające Common War i Freak Gears, gry, w których ostatnio przebywał. Wychowany w arealium, pamiętający je jako dziecięcą normę, nigdy się z nią nie rozstał. Można powiedzieć, że zrobił coś przeciwnego do rozstania...

– *Cześć, przystojniaku* – odezwała się z trójwymiarowego ekranu Zoe, jego jedyna i wyłącznie cyfrowa partnerka.

Przebywała we Freak Gears. Była blondynką, której włosy zostały ozdobione błękitnymi pasemkami. Wielkie niebieskie oczy odbijały metalową twarz Konona. Drobne usta uśmiechały się, odsłaniając równe, drobne zęby. Dziewczyna ubrana była w lekki pancerz fantasy w kolorze akwamaryny, złota i srebra. Odślonięte uda i ramiona połyskiwały trójwymiarowymi tatuażami.

– *Cześć, kotku* – odparł mentalnie.

– *Przyjdiesz do mnie?*

– *A może wreszcie ty do mnie?*

Skrzywiła się i odruchowo dotknęła rękojeści miecza wystającego z nadramienia.

– *Wiesz, że nie lubię realium.*

– *Wiem, że nigdy w nim nie byłaś.*

– *I na razie to się nie zmieni. Kotku, chodź do mnie. Tęsknię.*

Wyciągnęła umięśnioną rękę. Dłoń wyszła przed ekran i dotknęła sztucznej twarzy Konona. Poczł ciepło jej palców i miękkie opuszki. Zrobiło mu się błogo na mechanicznym sercu.

– *Zaraz. Mam kilka spraw.*

– *Ty?!*

– *No tak, dla wuja.*

– *Błogosławionego?*

– *To nie potrwa długo.*

– *Obiecujesz?*

– *Oczywiście.*

– *Bo wiesz, tutaj dzieje się mnóstwo fajnych rzeczy!*

– *Armie się zbierają?*

– *I to jakie!*

– *Jak tylko się obrobię, wchodzę.*

– *Będę czekała w prawej wieży.* – Wskazała smukłą złocistą basztę wznoszącego się nieopodal zamku.

– *Świetnie.*

Zoe podbiegła do smoka, dosiadła go i oddaliła się w szumie skrzydeł. Konon westchnął. Chociaż był z nią od pięćdziesięciu cykli, kochał ją tak jak pierwszego dnia. Tak samo jak kiedyś, wciąż podniecały go jej figura, zapach, spojrzenie, uśmiech. Podobno w dawnych czasach ludziom przechodziło zakochanie, kończył się popęd seksualny, wiodła fascynacja. Podobno za czasów młodości matki i wuja ludzie się starzeli, a starzejąc, coraz bardziej męczyli. Zmęczenie powodowało, że coraz mniej rzeczy ich ekscytowało, przestawali znajdować radość w zabawie, śpiewie i tańcu. Matka opowiadała, że znużenie życiem powodowało wręcz, że ludzie przestawali myśleć z przerażeniem o śmierci. Przeciwnie – witali ją ze spokojem i ulgą. A przecież było to oszustwo genów. To geny tak sterowały organizmami, że te się starzały, męczyły i w końcu wdzięczne umierały. Zupełnie jak żaba, którą wrzucisz do garnka. Gdy podgrzejesz wodę do dwudziestu pięciu stopni, będzie zadowolona. W trakcie dalszego podgrzewania temperatura otumani ją, aż wreszcie płaz się ugotuje. To samo działo się kiedyś z ludźmi: ogłuszone mózgi przestawały się bronić. A przecież wystarczyłoby, aby ciała nieustannie się regenerowały, a społeczności Przed Imperium byłyby wciąż witalne, radosne, rozpalone

namiętnościami, jak nastolatki. Wystarczyłoby posterować neuroprzeżytkiem, a miłość nie gasłaby, chęć kochania się nie kończyłaby się. Jak można było się godzić na spadek libido?! Co mieszkańcy Ziemi robili, gdy już nie chciało im się uprawiać seksu, gdy ich ciała wiotczały, gdy zmarszczki zaczynały pokrywać skórę, a umęczone mózgi domagały się snu? Wszystko to matactwo podłej natury, która przecież niektóre gatunki nagrodziła wręcz nieśmiertelnością, jak choćby stułbie czy żółwie malowane... Okropne czasy. Dzisiaj jest inaczej. Każdy patrzy bystro, każdy kocha intensywnie, fascynacje nie kończą się, a libido nie kona. To naprawdę Czasy Szczęśliwości.

Konon urodził się, gdy ludzie jeszcze umierali, ale nie pamiętał tego. Był za mały, no i... praktycznie nigdy nie był organiczny.

Odetchnął głębiej, czując, jak w jego piersi wciąż kwitnie miłość do Zoe. To naprawdę fantastyczne. Pieścić wzrokiem jej twarz i oczy, wciąż czuć drżenie, gdy dotyka miękkimi palcami jego policzka... Spojrzał na złoty zamek, w którym się schroniła. Tak, realium było piękne, ale nic nie równało się z urodą gier.

Konon miał żal do wuja, że zamiast być porządnym gamedekiem, stał się jakimś Błogosławionym i odstawiał przedstawienia z tym swoim Smokiem i orszakiem. W WayEmpire sieć puchnie od bajkowych rzeczywistości. Wiedzą o tym miliardy graczy, wie Peter „Crash” Kytes, ba, nawet mieszka w Redlandzie, dlaczego więc Torkil zdradził to, co najpiękniejsze? No, jest jeszcze ten drugi, w Arce Lamy. Tald. On jest gamedekiem pełną gębą. Ale z realnym Aymore’em coś się stało. Coś w nim umarło.

„Trzeba się rozwijać, synu”, mawiał, doprowadzając Konona do rozpaczki.  
Srozwijać.

Wuj się po prostu zatracił, zachłysnął nową rzeczywistością...

Chociaż... może właśnie na tym polega rozwój? Człowiek przestaje być

tym, kim był, i staje się kimś nowym? Ale to trochę jak śmierć! Z drugiej strony być może Konon był niesprawiedliwy. Bo czy ma sens utożsamianie kogoś z zawodem, zwłaszcza w Czasach Szczęśliwości, gdy już mało kto pracuje? „Jestem profesorem”, „Jestem nauczycielem”, „lekarzem”, „pilotem”, „gamedekiem”... to rzeczywiście głupie. Ludzie zapominają, kim są, kim są naprawdę, a koncentrują się na zajęciu, które aktualnie wykonują. A przecież teraz można żyć setki cykli, więc kto chciałby być przez wieki, dajmy na to, nauczycielem? Może jednak wuj ma rację? Człowiek nie jest czynnościami, które wykonuje. Ale tego najtrudniej się nauczyć. Najtrudniej zrzucić maskę i powiedzieć: Jestem... sobą.

Konon kiedyś czuł się bezpieczniej. Zmiany, które potem zaszły, przeraziły go. Przeraziło go Imperium, ta wolność, ta nieopisana przestrzeń możliwości samookreślenia, która dla wielu stała się zbyt wielka, a przez to tak drażniąca, jęcząca, wręcz nie do wytrzymania! Świat wyglądał teraz tak, jakby był przeznaczony tylko dla jakichś superautonomicznych nadludzi, którzy na pytanie „Kim jestem?” w nieskończoność poszukują odpowiedzi i historia ta, narracja tożsamości, nie męczy ich, nie rozstraja. Ranowie podobno mają jakąś modlitwę o własnym „ja”, które jest bezpostaciowe, boskie i wspólne. Tfu, to przecież straszne! W WayEmpire praktycznie nie istnieją bariery, prawa, każdy może robić, co chce, a jak nie – może po prostu, do diabła, nic nie robić! No, jest edukacja, która traktowana jest poważnie i stanowi obowiązek, sporo Sitów zajmuje się pracą na rzecz WayEmpire, tak jak Konon, który nadzoruje talizmany, ale to rozpasanie... To rozpasanie trudno było ogarnąć rozumem.

Dlatego syn Pauline chował się w swoim gabinecie, w swoich grach, a jego dziewczyna była dimenką, której fobia przed realium w sumie mu odpowiadała. Chociaż gry były ogromne, świadomość, że de facto są zmyślane, więc ograniczone, jakoś go uspokajała.

Potrząsnął mechaniczną głową, poczekał, aż do jego motomba podpłył realny fotel, umościł się na nim w pozycji półleżącej, przeszedł błyskawiczną dewitalizację i...

Znalazł się w arealium.

Odetchnął.

Naprawdę odetchnął.

Wreszcie w domu.

Wszedł w menu talizmanów wuja. Zobaczył dane klejnotu rubinowego, szafirowego i topazowego, tego nowego. Pewnie Torkil dostał go w prezencie, bo sam by się w taki nie zaopatrzył. Był przeciwnikiem ingerowania w społeczności Myonów. Gdyby mógł, pewnie w ogóle by nie nosił tych kamieni, ale godność Namaszczonego wymagała, by się gdzieś wokół niego kręciły.

Konon czekał na tę chwilę od wielu cykli. Wreszcie skazi grzechem pierworodnym te społeczności, wreszcie zobaczą mesjasza Aymore'a. Aplikacje miał przygotowane od dawna. I kilka innych w zanadru. Wyciągnął na wierzch menu proroków i wybrał trochę inny rodzaj dla każdego kamienia. Jeden będzie się skłaniał bardziej w stronę percepcji pozazmysłowej, drugi w stronę filozofii, a trzeci sprawczości... Wujowi ten podział na pewno by się spodobał. Konon zatarł arealne ręce i wydał emisariuszom boga Torkila Aymore'a polecenie wkroczenia do talizmanów.

Jeden z kamieni zgłosił błąd. Ten żółty, topazowy.

Zakaz ingerencji.

Przed oczami Eima zaświeciły się litery. Informacja od Laurusa Wilehada:

„Proszę ewentualnych programerów, najprawdopodobniej Konona Eima, o nieingerowanie w ten świat. Jest tu przygotowana niespodzianka dla Torkila – Talda. Pozdrawiam, Laurus”.

Konon wytrzeszczył oczy.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Cyklon, orbita  
08 Decimi 232 EI, 12.16 H

Trochę dziwnie się patrzyło na planetę pozbawioną rajów. Tak kiedyś wyglądały wszystkie planety Imperium: czern i spowita chmurami błękitno-zielona kula w środku. Brakowało tej niezwyklej żółto-różowej, poznaczonej filarami przestrzeni i zakłętego w środku słabo widocznego globu, niczym skarbu zamkniętego w opalizującej szkatule. Tak już przywykłem do planet z rajem, że zdawały mi się czymś bardziej naturalnym od „gołych” skał. Człowiek szybko się przyzwyczaja do dobrego.

Z pewnością budowniczowie nadrobią ten brak, o ile planeta będzie się do tego nadawała. Zbyt dziurawy glob albo niezbyt stabilna skorupa mogą sprawiać kłopoty, nawet inżynierom doby Wielkiego Imperium. Co prawda terraformerzy teoretycznie się nie mylą, ale praktyka pokazała, że kilka planet nigdy nie będzie miało rajów. Oczywiście ich mieszkańcy od razu wynieśli pod niebo fakt, że tylko w ich ojczyznach Grondzi mogą podziwiać prawdziwe, nie animowane, gwiazdziste niebo, ale de facto były to przechwałki przesadzone, bo animacje są dużo ciekawsze, bardziej stereoskopowe i ostrzejsze od oryginalnego kosmicznego widoku. Dlatego na planetach pozbawionych rajów i tak częściej się ogląda właśnie je, a nie prawdziwe niebo. Dzięki temu można robić najazdy na poszczególne słońca, frin pomaga odnaleźć zamieszkane systemy, nawet robić zoom planet, a dzięki hiperprzestrzennej łączności i TIO można oglądać życie na innym

globie w czasie rzeczywistym z dowolnego punktu widzenia i o dowolnej porze. I jak to porównać do gapienia się na małe kropki migające na tle odległej czerni?

Wlecieliśmy na orbitę *Teacupem*, *Ulissesem* Nexusa, zardzewiałym *Nimbusem* Steffi, białym *Walkerem* Tanyi, *Wielkim Lwem* Freyrów i *Bashingiem* Laurusa. Spojrzałem na ostatni statek i przez chwilę lustrowałem wieże działowe, rzeźby przedstawiające militarne starcia, szczerzące kły mordy bestii, animacje spowijające pojazd trochę jak upiory – maskarony otaczające pancerniki klasy *Invincible*. Latający koszmar. Nie dziwię się, że Wilehad nie został Błogosławionym. To dziecko wojny, a tacy ludzie nie powinni mieć władzy, nawet jeśli wysiłkiem woli są w stanie utrzymać miecz w pochwie.

Airville zbliżyły się do siebie, wysunęły łączniki oraz wytworzyły centralny bąbel, do którego ze wszystkich sześciu domostw prowadziły osłonięte chodniki. Zwołałem towarzystwo do siebie.

– Zanim polecimy na inspekcję, chcę, żebyśmy się przyjrzeni... – wydałem dyspozycję i kulisty pojemnik zawierający nieszczęsną tortillę Hana zawisł między nami – ...temu.

Cała gromadka, łącznie z lekko wycofanym i przestraszonym Fierce'em spojrzała na obiekt i zaczęła go oglądać ze wszelkich możliwych kątów widzenia i w najrozmaitszych widmach. Niektórzy, mimo że byli blisko, używali TIO, innym wystarczały osobiste minikamery. Mierzyłem wzrokiem znalezisko, instynktownie czując, że nic z tego nie zrozumieć. W końcu większe umysły od nas, łącznie z Imperatorem i Buddą, próbowały zgłębić tę tajemnicę i nic im z tego nie wyszło, przynajmniej według oficjalnej linii. Rysa HS była lekko wygięta, jak cienkie wrzeciono. Emanowała błękitnym światłem i chociaż była widoczna na całej swojej długości, odnosiło się wrażenie, że znajduje się w tortilli. Swoją drogą to śmieszne – oglądać

zjawisko nie z tego świata w żarciu.

– Głodna jestem – odezwała się Pauline.

O, właśnie.

– Myślałem, Pauline – powiedziałem – że twoja kobieca intuicja przyda nam się do czegoś innego.

– Ehehe – zarechotał Harry. – Ja też jestem głodny, a ta tortilla nieźle wygląda... Bądźmy szczerzy, Torkil: Co my tu możemy? No świeci to, dziwne jest. Czy moja analiza coś ci dała?

Była Reormater skinęła głową. Anna także patrzyła na mnie pytającym wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: Torkil, o co ci chodzi?

Spojrzałem na nich zrezygnowany.

– Okej, kto ma ochotę, niech gotuje. A kto jest zainteresowany tym tutaj, niech zostanie. Informuję również, że przyspieszam i przełączam się wyłącznie na tot. Nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał.

– Ale się waż...

Urwałem wypowiedź Normana mentalnym poleceniem. Domyślałem się, że wszyscy niecywile zostaną, a reszta – czemu nie? – przygotuje coś smacznego. Wszystkie dźwięki nagle stały się bardzo niskie, a świat zamarł.

Wróciłem wzrokiem do... potrawy. Psiakrew, że też akurat w tym się musiało...

Długa, świecąca krecha. Element wielowymiarowy: chociaż dla nas tkwi „w środku”, i tak jest na zewnątrz. Dlaczego tu się zakotwiczyła? Kotwicz się w różnych miejscach. Zjawisko jest niezwykle rzadkie, ale nie wybiera sobie miejsca pobytu. Co się stanie, gdy tortilla się rozłoży? Zniknie razem z nią? Teoria i praktyka głosiły, że tak. Gdy reistyczny przedmiot ulega dezintegracji, niktą także znamiona HS.

Wyszedłem z siebie metową reprezentacją i spojrzałem na Charonkę, zastygłą w powietrzu, odzianą w karmazynowy pancerz lamowany złotymi



scesyjnymi ornamentami, wciąż więcej odkrywający niż zasłaniający. Była zakotwiczona za pomocą zwiewnych pasm czarno-czerwonego dymu do stojącej na podłodze oliwnej lampy. Ludzie mają pomysły, ale nie zmieniają jej, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Pauline twierdzi, że gdy widzi mnie z tym obciążeniem, wyglądam jak uwięziony archanioł. Lubi tę wizję. Kojarzy jej się z jej zupełnie nieimperialną zaborczością i przekonaniem, że ta kotwica w jakiś sposób mnie przy niej trzyma. Pomyśleć, że ja mam zupełnie inną metodę na kobiety: daję im wolność. Deklaruję, że mogą robić wszystko. I to, paradoksalnie, jest najmocniejsza z możliwych smyczy, chociaż wcale nie jestem zaborczy.

Charonka przyglądała się chabrowymi oczami niedoszłemu obiadowi Hana. Jej nieruchoma twarz była napięta, wylękniona.

– *Paula?*

Jej metowa reprezentacja także wyszła z ciała: przed realną Tanyą zawisła jej półprzezierna kopia.

– *Tak?*

– *Czujesz coś?*

– *To, co zwykle. To znaczy to coś* – poprawiła kosmyk platynowych włosów, który spadł jej na czoło; arealium stwarzało nawet takie, typowo realne sytuacje – *co ostatnio stało się normą...*

Wyciągnąłem rękę, powstrzymując to, co chciała powiedzieć: „gniew aniołów”. Nie potrzeba nam paniki. Zwłaszcza z Hanem na pokładzie.

Spojrzałem na niego. Nie dołączył do grupy, która niezwykle leniwie oddalała się w stronę kuchni. Wolał nie zbliżyć się do Pauline. Przez chwilę się zastanawiałem, czy spytać go o zdanie, ale bałem się, że swoim zbyt lęklwym i typowo cywilnym punktem widzenia odwiedzie mnie od przeczuć.

Znowu spojrzałem na znamię. Odetchnąłem. Jeszcze raz. I nagle przyszła

myśl, która mnie zaskoczyła. Tak właśnie działa intuicja. Rozluźniasz się, oddychasz, nie masz nadziei na znalezienie odpowiedzi i nagle, nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak, uderza cię skojarzenie, na które nie wpadłbyś, gdybyś podążał normalnym, linearnym tokiem rozumowania. Czy przypadkiem nie patrzymy na ślad po... *szponie* biesa albo anioła? – pomyślałem. I nie powiem, było to przecucie niezwykle silne, nowe, tak niecodzienne, że przez chwilę nie wiedziałem, co z nim zrobić.

Szpon?

W Dominium Libri Mundi?

Postanowiłem zapytać o zdanie tych, którzy powinni coś na ten temat wiedzieć.

Przywołałem Rotha i Monikę.

Z cichym westchnieniem, basowym pomrukiem i ugięciem realium weszli w naszą czasoprzestrzeń. Monika zawisała na prawo ode mnie, tuż za Paulą, rozsiewając dookoła kolorowe promienie. Jak zwykle była półnaga i piękna. Charonka instynktownie odwróciła się do niej, chociaż nie mogła jej widzieć.

Spojrzała na mnie.

– *Czy...?*

– *Tak* – odpowiedziałem.

Metowa reprezentacja Kitaro zaczęła lekko drżeć. Zdaje się, że jeszcze nigdy nie przebywała tak blisko ducha opiekuńczego.

– *To... anielica?* – spytała.

Skinąłem głową, dając jej do zrozumienia, że nie mogę teraz rozmawiać.

Na lewo ode mnie, tuż za Angellą, wychynął potężny czerwony Lee Roth. Jego pierś wydawała się jeszcze bardziej rozłożysta niż zwykle, inteligentny pysk emanował jakąś podniosłością, jakkolwiek karkołomnie to brzmi.

Metowa obecność Laurusa zerknęła na moją parę, ale swojej nie przywołała. Wiszący na prawo od niego Nexus także się powstrzymał.

– *O, co ja widzę* – odezwał się Demon niskim głosem przypominającym organowy subbas w starych świątyniach.

– *Znamię* – szepnęła Anielica miękkim altem, który zdawał się rozchodzić po całym uniwersum.

– *Znamię* – potwierdziłem. – *Możecie mi powiedzieć, co się dzieje tam... u was? Dlaczego Charonka ma dziwne wizje?*

– *Możemy* – odparł Lee i zajrzał mi w oczy gorejącymi ślepiami.

Monika pochyliła głowę, jakby się zastanawiała, co odpowiedzieć. Złote loki zasłoniły jej policzki.

– *Więc?*

– *Torkilu* – odezwała się – *przygotuj się do walki.*

– *Ale z kim?*

– *Z kimś, kogo bardzo dobrze znacie. Nie wiecie nawet, jak dobrze* – odparła.

– *Z kim, do diabła? Z Thirami?*

Demon zacisnął szczęki. Anielica spojrzała na niego i pokręciła głową, jakby mówiła: „Milcz”.

Rozwiali się. Towarzyszyły temu charakterystyczny syk zasysanej przestrzeni i odczucie ulgi.

A mnie przeszedł dreszcz.

Miałem ochotę wyłączyć przyspieszenie, wyłączyć met, opuścić tę przestrzeń i popatrzeć w gwiazdy, ale nie mogłem. Nie mogłem uciekać. Musiałem zrozumieć. Nie po to jestem Aristosem, nie po to jestem Błogosławionym, żeby uciekać.

Nie wysłałem paku do pozostałych obserwatorów. Poprosiłem ich o opinie. Laurus, Nexus i Tanya czuli podobnie: niepokój, lęk i niezrozumiałe wrażenie... zbliżającej się próby. Przesłałem do nich men, że spróbuję zajrzeć w karty. Skinęli głowami.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Świat staje się jaśniejszy, wygładza się, normalnieje. Jestem gotów.

Rozwijam przed oczami pierścień ciężkich witrażowych kart oprawionych w kanciaste ramy z kamienia i platyny. Nie są to już tylko animacje, jak przed kilkudziesięcioma cyklami. Teraz to obiekty metowe, więc w każdym momencie mogę ich dotknąć, poczuć ich ciężar. Nie wyglądają też jak kiedyś. Są bogato zdobionymi trójwymiarowymi obrazami. Przez jakiś czas syce wzrok ich fantastycznymi rewersami przedstawiającymi Imperatora, gdy był jeszcze zwykłym człowiekiem, otoczonego setką Ranów w Skymourach.

Czym jest znamię HS? – zadaję mentalne pytanie, wzmacniając je, nasycając energią i znaczeniem.

Z rotującego wokół mnie pierścienia siedemdziesięciu ośmiu kart wyłania się pierwszy kryształ, przybliża i obraca. Trójka Monet?

Bez sensu.

Nie widzę powiązania tej karty ze zjawiskiem, ale odkładam interpretację na później.

Co oznacza pojawienie się tego znamienia? – zadaję drugie pytanie.

Zbliża się prostokąt i zawisa na prawo od pierwszego. To odwrócona do góry nogami Królowa Buław. Znowu nie bardzo rozumiem, ale nie zastanawiam się nad tą kartą. Pytam dalej.

Jak się to wszystko skończy?

Ostatni obraz płynie do mnie i rozkwita przy podniosłym akordzie: Świat. Ostatnia karta Imperialnego Tarota.

Wracam wzrokiem do pierwszego prostokąta – Trójki Monet. Rzemieślnik ryje cienkim dłutem w złotym kole. Przed nim leżą trzy inne ostrza. Rzeźbi

w metalu niczym szponem... Ta karta wcale nie jest bez sensu! Za mężczyznę wiszą dwie już gotowe złote monety. Karta oznacza mistrzostwo w jakimś fachu.

Czyżby te znamiona oznaczały czyjąś... robotę? Efekt pracy mistrza? Jakiego? Skąd? Przecież nie naszą, bo my nie potrafimy wpływać na bezczas... Rany boskie, że tak powiem, obrażając ImBu, to nigdy nikomu nie przyszło do głowy! Nikt nigdy nie pomyślał, że znamiona HS mogą być wynikiem czyjejs działalności, nie jakichś fantasmagorycznych bóstw rzekomo zamieszkujących Dominium Libri Mundi, nie samej niezrozumiałej fizyki czwartego wymiaru, ale innych rozumnych istot!

Spojrzałem spanikowany na Laurusa i przesłałem mu pak zawierający zarówno przecucie, że znamiona to ślady po „szponach”, jak i tę obserwację.

Ten zerknął na Nexusa, Angelę i Tanyę, pomijając świadomie Hana. Skinął powoli głową: Kontynuuj, Primus.

Patrzę na drugą kartę. Przedstawia jedną z najbardziej tajemniczych postaci Imperialnego Tarota. Karmazynowa Królowa Buław ma złotą obręcz na czole, czerwony, płomienny tatuaż wokół ciemnych oczu i ciężkie złote kolczyki, a na złotej ścianie w tle widnieje płaskorzeźba gwiazdy. Ta postać zawsze mnie niepokoiła. Może dlatego, że wyciągam ją niezwykle rzadko.

„Nie zadzierajcie ze mną!” – to główne znaczenie tej karty. Jest odwrócona do góry nogami, więc sugeruje nie tyle kogoś silnego, bezkompromisowego i groźnego, ile despotę, hipokrytę, osobnika kapryśnego, nerwowego, zgorzkniałego i arbitralnego. Karta ta oznacza także łączenie sprzeczności, rozdarcie, skłócenie wewnętrzne... Czyżby mistrzowie, którzy tworzą znamiona (co wciąż wydaje mi się tak kuriozalne, że w to nie wierzę), byli zepsuci?! A może tarot robi mnie w konia?

Jak to się skończy? Karta Świat?

Patrzę na kamiennie-platynową ramę więżącą ujętego w witraż arlekina,

który trzyma w ręce błazeńską czapkę. Błazen jest ubrany w czerwony strój, stoi na klepsydrze, w tle widnieje niebieska krzywizna planety. Dookoła niego krążą wszystkie znaki ziemskiego zodiaku... Dwudzieste pierwsze wtajemniczenie. Zakończenie podróży. Początek staje się końcem. Domknięcie wątków, uzyskanie pełnego zjednoczenia ze światem, kosmiczna świadomość, wyzwolenie, zakończenie ewolucji... Psiakrew, kto ją zakończy? Ja? Imperium? Ktoś... inny? Figura na karcie wydaje się świadoma ruchów planet i słońc, odnosi się wrażenie, jakby miała nad nimi kontrolę...

Cholera, jak to powiązać?

Pierwsza karta: mistrz robi znamiona HS w złotej strukturze czasoprzestrzeni.

Druga: stoi za tym potężna, negatywna, wewnętrznie zepsuta siła.

Trzeci obraz: skończy się to wszystko dobrze, tylko dla kogo? Dla mnie? Imperium? Imperatora?

Mam wrażenie, że dla nas. Karta nie jest odwrócona, bije od niej spokój... Przypominam sobie czasy, gdy byłem młodym chłopakiem, tak bardzo, bardzo dawno temu. Niekiedy stałem przed zadaniem, które wydawało mi się niezwykle ciężkie, przygniatało. Potem brałem się do tego, często bez wiary, że się uda, ciężko pracowałem, aż w końcu po kilku penderkach – wtedy miesiącach – wykonywałem ostatni krok i... było po wszystkim. „Zawsze kiedyś jest po wszystkim”, wymyśliłem wtedy przysłowie i powtarzałem je, ilekroć brałem się do czegoś, o czym wiedziałem, że będzie kosztowało dużo czasu i energii. W końcu przychodzi dzień, gdy oglądasz się wstecz, wieje jesienny wiatr, czujesz zapach wilgoci i nadchodzących chłódów, spadają czerwone liście i stwierdzasz: Już. Skończyło się. Tak było kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze w firmie zabawkarskiej na Damnacie wykonałem objazdowy cykl szkoleń dla naszych odbiorców. Naprawdę nie wierzyłem, że

to się wreszcie skończy.

A skończyło się.

Karta Świat reprezentuje właśnie to uczucie. Dojrzałości i końca drogi.

Przesłałem men Laurusowi.

Wszystkiemu przyglądał się Han i, co mnie drażniło, od kilkunastu subiektywnych cetni miał krzywą minę. Nie musiałem się nadmiernie skupiać, żeby odczuć jego rozbawienie i kpinę. Było to jak smak nieświeżej, ostrej i kwaśnej potrawy.

– *Często odprawiacie takie gusta?* – spytał, wyszedłszy ze swojego ciała.

Mario spojrzał na mnie z zagadkową miną na mechanicznej, metowej twarzy. Dlaczego niektórzy ludzie, nawet w Wielkim Imperium, są tacy głupi? Czy on nie zdaje sobie sprawy, że za chwilę...?

Laurus chwycił jedną z kart tarota wciąż krążących wokół mnie i z całej siły zdzielił nią Hana w pysk. Przezierny mężczyzna jęknął i poleciał trzy metry w tył, przenikając przez swoją reistyczną postać. Zatrzymał się na moim biurku. Metowym przedmiotem można obić nawet organika, ale gdy jesteś cyfrowy, możesz poczuć dotkliwy ból.

– *Kurwa, za co?!* – jęknął, masując szczękę.

– *Za sceptycyzm, chamie* – odparł Wilehad, trzymając kartę w ręce i uderzając nią w drugą dłoń. – *Jeszcze raz skrzywisz mordę, nie mówiąc o wygłaszaniu podobnych kwestii, i przyłożę ci też organicznie. Zrozumiał?*

– *Kurwa, wolę Sofię niż taką wolność.* – Metowy Fierce podźwignął się i zawisnął daleko od nas. Nie miał śmiałości ani podlecieć, ani wnikać w realne ciało.

– *Nie wiesz, o czym mówisz* – odezwała się Angela niskim głosem. – *Ja także nie dam obrazić Torkila. Jeśli będę bliżej ciebie niż Laurus, zaboli bardziej.*

Asasyn pokręcił głową i zamilkł.

– *Czy widziałem sceptycyzm na twojej twarzy?* – spytał cicho RanaR.

– *Nie!* – odparł Fierce lękliwie.

Wysłałem men do Taylora.

– *Nexus, możesz zwolnić i odejść z tym palantem? Chcę pogadać z moimi duchami.*

– *Znowu?* – Syd ma wątpliwości, czy to dobry pomysł. Lepiej przebywać ze zjawami dłużej, lecz raz, niż w krótkim czasie dwa razy.

– *Tak.*

– *Okej.*

Zwolniłem. Laurus, Angela i Tanya również. W stanie przyspieszenia czekalibyśmy wieczność.

Metowy Mario zespolił się ze swoją realną postacią, podleciał do ciała Fierce'a, nakazał półprzezroczystemu mężczyźnie wniknąć w realnego, po czym chwycił go za barki i polecili w stronę najwyższego okna głównego hallu *Teacupa*, by zniknąć na tle gwiazd.

Odetchnąłem. Laurus i Angela także. Jakby się jaśniej i normalniej zrobiło. Czy wzięcie na pokład tego człowieka było dobrym posunięciem? Obecność wrogo nastawionego „sceptyka” niebezpiecznie zaburzała fale Chaosu. No cóż. Na pewno wyrywało to nas ze strefy komfortu. Może dzięki temu coś odkrywamy.

Torkil, uspokój się.

Przywołuję Anielicę.

Pólnaga bogini wnika w nasz świat niczym quilldao przecinający metal. Zawsze się zastanawiałem, jak to jest, gdy duchy pojawiają się w naszym świecie. Czy „wchodzą” w naszą rzeczywistość, czy to po prostu my sobie wyobrażamy to wejście? Czy możliwe jest, że w ogóle ktokolwiek gdziekolwiek wchodzi? A może po prostu „przywołanie duchów” powoduje, że Ran zaczyna komunikować się z drugim... sobą, a wzrokowe i słuchowe



obszary jego mózgu w jakiś sposób muszą to zwizualizować? Wszechświat jest w każdym kierunku taki sam. Nie ma końca ani środka. To dowodzi, że Wielki Wybuch nie był w żadnym punkcie, lecz punkt był wszędzie, bo wybuchło wszystko. To z kolei doprowadza nas do wniosku, że z przestrzenią jest coś poważnie nie tak, bo nie tylko jest krzywa i dziwna, ale jakby w ogóle jej nie było, skoro bowiem świat powstał z punktu, to ten punkt chyba wciąż istnieje, a skoro jest wszędzie, to rzeczywistość jest punktowa, a punktu nie ma, czyli nie istnieje.

Jest tylko informacja.

Duchy są informacyjne.

Ja jestem informacyjny.

Zaraz zwariuję.

To wszystko przez meny Jeffa.

Anielica patrzy na mnie, a tym razem otaczają ją nie kolorowe promienie, ale delikatne podbarwione ostrza, jakby ktoś wyszmelcował stal na odcienie błękitu i fioleto.

– *Monika?* – odzywam się, a mój głos odbija się od niewidzialnych granic świata, który nie jest światem, w miejscu, które nie jest miejscem. Mój umysł wygina się jak odbicie twarzy we wklęsłej powierzchni łyżeczki. Wiszę do góry nogami. Zbieram siły, by wyartykułować kolejne zdanie: – *Co o tym sądzisz?*

Skrzydłata kobieta, w jakiś niepojęty sposób podobna do mnie, uśmiecha się i widzę w strasznym przyływie świadomości, że to jestem ja. Ja w gorączce, ja w stanach półprzytomności, ja w chwilach półświadomego wewnętrznego dialogu zawsze jestem kobietą! Po raz pierwszy w życiu czuję, że analitycy Imperialnej Akademii Soulerów mają rację. Anielica i Demon to rozszczepione cząstki Omnihomo! Mnie samego lepiej wiedzącego, lepiej żyjącego. To ja jestem odbiciem, a oni prawdziwym

bytem! I to rozdarcie, tę dwujednię zawsze w jakiś sposób czułem! To dlatego możliwa jest telepatia, to dlatego możliwe jest to, co robią Ranowie – bo żyją tu i tam, przy czym tam jest istnieniem, a tu jest cień. Sęk w tym, by się przesiąść stąd tam. Czy to właśnie zrobił Jeff i Czarny Maodion? Czy przesiedli się z duszą... tam? Czy stali się wcielonymi Omnihomo?

– *Wszystko będzie dobrze, Torkilu* – słyszę jej-swój głos i to rozdarcie, a jednocześnie unia doprowadza mnie do szaleństwa. Mam wrażenie, że nie tylko słyszę jej słowa, ale jestem ich autorem, że to ja rozchyłam kobiece usta i wymawiam głoski, które brzmią, jakby wypowiadał je sam bóg podczas tworzenia świata. Czuję się bogiem, czuję się bogiem – teraz to nie tylko zmagana rano i wieczorem mantra Rana, teraz to realność. Na Budę, co się ze mną dzieje?

– *Jak to* – odzywam się ochrypłym głosem, czując, jak ognisko mojej percepcji znowu ląduje w mojej czaszce – *zestawisz z poprzednimi ostrzeżeniami?*

– *Jakimi ostrzeżeniami?* – odzywa się ona, ale także ja, patrzący na siebie z góry, otoczony barwnymi ostrzami, a potem czuję, jak wzbiera we mnie śmiech. Otwieram oczy i widzę, jak Monika się rozpływa.

– *Torkil, w porządku?*

Laurus patrzy na mnie zaniepokojony.

– *Czułam się bardzo dziwnie* – potwierdza Angela. – *Co ty robiłeś?*

– *Ja wiem, co to było* – odzywa się Mario. – *Dokładnie to samo czuję w pobliżu Czarnych.*

– *Błogosławiony staje się... Czarnym Ranem?* – Tanya otworzyła szerzej nierealne oczy.

– *Torkil, ja cię proszę.* – Laurus zacisnął pięści. – *Ty mi tego nie rób.*

– *To przez te meny od Jeffa, jestem pewien* – mruczy Nexus. – *One go zmieniają.*

– *Nie. To dlatego, że w krótkim czasie dwukrotnie skontaktowałem się z duchami* – odpowiadam.

Nexus kręci mechaniczną, półprzezierną głową.

– *Też.*

– *Tylko nie kolejna zmiana.* – W głosie Laurusa słyszę gniew. – *Starczy, kurwa, zmian. Nie mam zamiaru odwiedzać przyjaciela w tym fioletowym gównie.*

– *Tam nie jest tak źle* – odzywam się cicho. – *Widziałem...*

– *Przestań. Co ci powiedziała Anielica?*

Wzdycham.

Dziwne uczucia i skośność świata odchodzą. Ale jeszcze przez chwilę widzę siebie z góry, z dziwnej perspektywy, jakbym był w Eyeneście, ale inaczej, bardziej swojsko mimo odczucia wielkiego przyspieszenia...

– Jeśli – chrząkam – myślisz, że posiadanie duchów opiekuńczych daje jakiegokolwiek oparcie, w sensie, że usłyszysz od nich zapewnienie...

– ...Przenoszące na nie odpowiedzialność... – wchodzi mi w słowo Nexus.

Patrzę na niego zdziwiony i kiwam głową. Dokładnie to chciałem powiedzieć.

– ...To się mylisz – kończę.

– Te cholery uczą cię jednego – podejmuje Mario.

– Polegania tylko na sobie – słyszymy głos Angeli.

Wszedłem w realne ciało i wyłączyłem przyspieszenie. Nagle wszystkie niskie, uspokajające odgłosy stały się wysokie, drażniące i głośnie. W nozdrza uderzył mnie zapach bazylii, czosnku i pieczeni.

– Obiad! – krzyknęła z kuchni Pauline.

## Obraz 2

# Zaraza

Arealium

Gra Real, Real

Polia Tannhauser, dzielnica Ooph

08 Decimi 232 EI, 12.35 H

Eryk Van Moon przeciągnął się w pościeli pachnącej lawendą i pomarańczą. Obok niego głęboko oddychała Vanessa Van Drake, a z każdym oddechem jej piersi, przypominające połyskliwe kawowe wzgórza, wypełniały się tak mocno, jakby miały eksplodować.

– Dlatego właśnie lubię arealium – mruknął Eryk, podziwiając jej krzywizny.

– Hm?

Chrząknął.

– Czysto...

– Słucham?

– Tu jest czysto. Czysto? – Zerknął pod kołdrę, która wciąż była rozgrzana od miłości: parowała gorącem i wilgocią. – Ha! Czysto! Trąbkę mam

jedwabistą i sterylną, jakby nic się nie stało, a i z ciebie z pewnością nic nie cieknie, bo...

– Przestań, głupi. – Vanessa odruchowo sięgnęła w dół.

– Ale to prawda – nie ustępował mężczyzna. – Arealium jest piękne.

Wszystko samo się porządkuje i odświeża.

– Co ty taki pedant jesteś?

– W erze sprzątających automatów i samoczyszczących urządzeń to pojęcie straciło sens.

– Widzisz. W realium jest to samo.

– Ale nie tak perfekcyjnie jak tu.

– Perfekcyjnie.

– Ja wiem, że pościel sama się wypierze, wszystko się posprząta, ale żeby być umytym, muszę pójść pod prysznic. W realium zawsze człowiek ma wrażenie, że coś jednak się nie doczyściło.

– Ja nie mam takiego wrażenia.

– Tutaj mamy pewność. Cyfrowy brud, nasienie na przykład...

– Przestań już!

– Po prostu znika. Naprawdę go nie ma. W realium jest trawione przez pościel i nie powiem, żebym zawsze był pewny, że zniknęło do końca. Tak czy owak trzeba prześcieradło odświeżyć.

– Mikroboty to robią.

– To obrzydliwe. Droidy jedzące kurz, złuszczonej naskórek, roztocza, nasze wydzieliny. Wszędzie, wszędzie to robactwo. W sumie czym się różnią od dawnych much i pajaków?

– Marudzisz. Ja lubię droidziki. Są słodziutkie. Błyszczą metalem i szlachetnymi kamieniami.

– Imitacjami. Sama jesteś droidzik.

– Gynoidzik.

– A przede wszystkim – spojrzał jej w oczy – ty jesteś obok mnie, a nie tryliony kilometrów dalej...

Kobieta nagle zeszywniała.

– Która jest hekta?!

– Dwunasta trzydzieści sześć uniwersalnego...

– Na Buddę, muszę wracać!

Vanessa zerwała się z łóżka, udowadniając, że jej cyfrowa postać jest tak hojnie obdarzona wdziękami, że bardziej już chyba się nie da.

– Planetka się dopomina? – spytał Eryk. Znowu poczuł ukłucie rywalizacji.

– Jakbyś zgadł! Muszę przejść do zasiewania.

Van Moon otworzył podgląd pracy swoich maszyn. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

– Zmykam – szepnęła Vanessa, podniosła prawą rękę, wykonała gest wylogowania i... zniknęła.

– Ech, koleżanko – sapnął Van Moon – czy ty czegoś nie knujesz? Chcesz pobić starego Eryka?

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Cyklon, atmosfera

08 Decimi 232 EI, 12.39 H

Wydzieliłem z *Teacupa* dużą część, kazałem jej wymorfować w statek, zarządziłem przeprowadzkę do nowego pojazdu i po chwili ruszyliśmy ku globowi. Ledwo schłodziło się poszycie, a my ciągle byliśmy przynajmniej pięć kilometrów nad powierzchnią, podlegała do nas srebrna twierdza

Słuchacza Planety.

Audux nazywał się Dan Po, jak informował powiewający nad nim droid. Był zatrzaśnięty w srebrzystym pancerzu, bardzo subtelnym i zgrabnym. Żeby ułatwić komunikację, wyświetlał swoją twarz tuż przed przyłbicą kasku. Był blondynem o delikatnych rysach zdradzających nerwowość.

Szare oczy mężczyzny wyrażały z trudem tłumione zdziwienie, gdy nad głównym tarasem jego siedziby zawisło kilkanaście odzianych w zbroje osób plus dwa Smoki, także szczelnie owinięte metalem. Dobrze, że nad Nexusem i nade mną powiewały SaintDroidy, bo Dan mógłby pomyśleć, że to napad.

Zaprosił nas do środka.

– Pierwsze podejrzenie – odezwał się, gdy zasiedliśmy (wisząc w powietrzu, tym razem nie z powodu zwyczaju, ale żeby niczego nie dotykać) w jego obszernym hallu powitalnym, gdzie latały wróżki i płatki kwiatów – to oczywiście infekcja. To się już zdarzało, prawda, Błogosławieni?

Trochę było mi głupio, podobnie jak w przypadku wizyty u Pożeraczy, że Słuchacz najpierw zwraca się do nas, a dopiero potem do Laurusa, ale co było robić.

– Tak, Po – potwierdziłem.

Wszyscy znaleźliśmy historię kilkudziesięciu infekcji wywołanych przez bakterie ukryte pod skorupami planet. Niektóre epidemie były ciężkie i trzeba było te globy opuszczać. Nie nadawały się ani do zasiewów, ani na Worplany. Nawet odpadów HS tam nie składowaliśmy, bo nie wiedzieliśmy, co może z tego wyniknąć. Głupie to, bo raczej trudno podejrzewać bakterie o konszachty z czwartym wymiarem, ale ostrożności nigdy dość – dwa nieprzewidywalne czynniki generują coś trzeciego i lepiej się nie dowiadywać, co to może być. Zakażenia kolonistów we wszystkich tych przypadkach jednak następowały bardzo szybko po zasiedleniach, poza tym

było to naprawdę dawno temu. Jeśli teraz dochodzi do jakichś infekcji, opisywane są jako przypadki wywołane przez prymitywne pojedyncze kolonie beztlenowych prokariotów o naprawdę małym powinowactwie do organizmów tlenowych.

No tak, ale już od wielu cykli terraformingiem zajmuje się niemal wyłącznie Budda. Na palcach dwóch rąk można policzyć ludzkich terraformerów... Uparcie nie wierzyłem w jego schizofrenię, chociaż rozmowa z administratorem Pożeracza Światów pozostawiła sporo wątpliwości.

Wymieniliśmy totowo te spostrzeżenia – włączając w nie Hana, czym się potężnie zdziwił i zmartwił, bo nie miał wykształcenia w tym kierunku, choć starał się ze wszystkich sił nadrabiać braki – po czym doszliśmy do wniosku, że nic nie zastąpi wizji lokalnej.

Przedtem jednak wypadało poznać diagnozę Słuchacza.

Audux wykonał przy nas rytuał zmniejszenia projekcji globu do wymiarów pasujących do dłoni, powodził trochę palcami, potrzymał kulę, po czym z lekkim wahaniem otworzył mechaniczne oczy. W trakcie tych czynności czułem ogniskowane przez Słuchacza emocjonalne tchnienia dobywające się z globu. Coś tam rzeczywiście się działo...

Twarz animowana przez jego hełm miała kwaśną minę. Po wyglądał, jakby powstrzymywał się przed wypowiedzeniem herezji. Zerknąłem w ImBu, szukając danych na jego temat. Był młody. Ledwie trzydzieści cykli. Praktycznie dzidzius. Ale ocena jego zdolności dokonana przez radę Akademii Narów na Dioneerze była bardzo wysoka. „Dociekliwy, wycieniowany umysł”, pisał jego mentor Hermes Taaron i okrasiał zapis totowym uczuciem uznania i przewidywania wielkiej przyszłości dla młodego Dana.

– *Śmiało, Po* – zachęciłem go, dodając do menu wspomnienia sytuacji, gdy



miałem przeczucia, które innym wydawały się śmieszne, a potem okazały się słuszne.

– *Odsłuch Cyklonu po tej infekcji się zmienił. Niby zakazonych jest tylko dziesięć tysięcy mieszkańców w jednej polii i dwadzieścia w drugiej, ale coś się zmieniło. Takie mam wrażenie.*

– *W którą stronę?* – spytał technicznie nastawiony Nexus i zaraz opatrzył swój komunikat autoironiczną uwagą, że u niego wszystko musi być takie sztywne i mechaniczne.

Dan Po zerknął niepewnie. Nie był przyzwyczajony do naszych totowych pogaduszek, ale z pewnością słyszał, że Ranowie, w szczególności Skyranowie, nie są do końca normalni. Na naramiennikach Laurusa, Nexusa i moim wciąż tkwił żołnierzyk – zabawka na tle Sydneylandu.

– *Miałem wrażenie ingerencji... czegoś obcego.* – Dodał uczucia zażenowania, ale jednocześnie lęku, że to, co nam przekazuje, może być prawdą. – *Czegoś, czego dotąd na Cyklonie nie było. To planeta o dzikich żywiołach. Oceany bywają gniewne, wiatry są silne, góry strome, granie ostre, lata gorące, a zimy mroźne, bo nachylenie osi planety do ekliptyki jest spore. Przyzwyczailem się do jej muzyki, do melodii generowanej przez kolonistów...* – Dan opisał uczuciami i wyobrażeniami specyficzną symfonię Cyklonu, przeżycia radości, zachłystywania się dziką przyrodą, poznawania żywiołów, które są napastliwe, ale czyste w swej naturze. Tu osiedlali się miłośnicy mocnych wrażeń, fascynaci sportów ekstremalnych, surfingu po kilkunastometrowych falach, zjazdów po wielokilometrowych, niemal pionowych klifach, birdingu w huraganach. Z pewnością niejeden obywatel Imperium z wysokim progiem pobudliwości znalazł tu swój raj, chociaż rajy jako takiego nie było. – *Gdy nadeszła infekcja, usłyszałem jakby... pogardę. I drwinę. Teraz już tego nie słyszę, ale wtedy to było wyraźne. Pogarda i drwina.* – Dodał uczucie niższej wartości, które go wtedy ogarnęło,

wrażenie, jakby był jakimś robakiem.

Spojrzeliliśmy na siebie z Nexusem i Laurusem.

– *Panowie* – odezwała się Angela na kanale przeznaczonym tylko dla Ranów – *nie wiem jak wy, ale ja ostatnio mam nastrój pod psem, cokolwiek to znaczy. Mam wrażenie, że wiem, co ten Słuchacz czuł.*

Wybałuszyłem oczy. Miałem nadzieję, że mój hełm odda ten grymas, nie ośmieszając mnie za nadto.

– *Ty też?!*

– *Wy także?* – odparła Angie.

Odpowiedź była zbędna. Sky była Ranką od ponad stu cykli i potrafiła robić użytek zarówno z Łaski Imperatora, jak ze swojego umysłu.

– Słuchaczu – odezwałem się – chcielibyśmy się przenieść do kliniki, gdzie znajdziemy tych pacjentów.

– Oczywiście.

– Zrobimy to wszyscy. Metaobecnością.

– Jak sobie życzysz, Błogosławiony.

Audux wydał dyspozycję i podłoga stała się przezierna. Zobaczyliśmy Cyklona w całej okazałości, częściowo pogrążonego w mroku nocy, częściowo oświetlonego światłem dnia. Jakże wielkie są planety. Trzy miliardy Sitów, tysiące polii i mobipolii, niesłychane nagromadzenie budowli, pojazdów i maszyn błyskających w słońcu i świecących w nocy.

Na obserwowanej przez nas półkuli pojawiły się dwa kursory przedstawiające szpitale, w których badano zarazę. Oba znajdowały się blisko siebie, nad wielkim jeziorem. Wybrałem ten położony bardziej na zachodzie, bo linia terminatora była całkiem niedaleko i najpóźniej za hektę miał tam zapasć zmierzch.

– Dewitalizacja.

Wydałem zbroi polecenie. Zanim zdążyłem cokolwiek dodać...

...znalazłem się w szpitalu. Dookoła mnie przesuwały się medmaty i niebiesko-białe drony medyczne. W dzisiejszych czasach mało komu chce się pracować w takich miejscach, więc mieliśmy do czynienia głównie z maszynami i tylko z rzadka z Disami. Byliśmy jak duchy przenikające przez ściany.

Podpłynąłem do ordynatora. Nie był to Dis, ale nie był też organiczny – dimen składający się w większości z matowych białych płytek. Ciekawe, czy był to model szpitalny, czy po prostu lubił biel. Nazywał się Ferrus Bar i był naukowcem. Pracował od trzech cykli jako jeden z głównych lekarzy planety. Wcześniej prowadził badania na Neeni i Plutarchu. Wolny Sit pochłonięty pasją poznawania tajemnic życia oraz jego ratowania. Spodobał mi się.

Nie widział mnie fizycznie, tylko arealnie. Dostrzegał moją półprzezroczystą sylwetkę unoszącą się w powietrzu albo tylko głowę – to już zależało od ustawień jego frina.

– *Witaj, Błogosławiony* – powiedział w myślach.

Bardzo dyskretny. Mógł powiedzieć to na głos.

– *Rozproście się* – poprosiłem swoją gromadkę. – *Niech każdy zbada to, na czym się zna. Porozmawiajcie, z kim uważacie za stosowne. Potem zestawimy wyniki.*

– *Włączmy wspólną świadomość* – zaproponował Nexus.

Oczywiście. Tylko on umiał wpadać na proste rozwiązania.

– *Racja. Już.*

Wspólna świadomość jest odmianą totu, ale o praktycznie ciągłym przebiegu, uwzględniającą wrażenia, odczucia i myśli wszystkich partycypujących. To dość obciążająca psychicznie funkcja zarezerwowana tylko dla wyjątkowych misji. Teraz widziałem świat oczami ich wszystkich rozchodzących się po klinice niczym duchy po gmachu teatru. Zalała mnie fala skojarzeń, myśli i wspomnień. Pauline skojarzyła naszą wycieczkę

z *Upiorem w operze*, Anna czuła się jak głodna wrażeń pielęgniarzka sprzed Imperium, Tell identyfikował się... z rycerzem, który wchodzi do jaskini smoka, Han zaś wciąż zadawał sobie pytanie „Co ja tutaj robię?”, był zły, wystraszony, zagubiony i generalnie gównu go obchodziła choroba Cyklonów. Po chwili skojarzenia zaczęły się gromadzić i gonić na podobieństwo stada barwnych psów, więc włączyłem filtr wyłapujący tylko refleksje związane ze sprawą. Wiedziałem, że otrzymam każdy ważny bit informacji w momencie, w którym zostanie on pozyskany bądź wygenerowany. Dzięki temu będziemy mogli niemal natychmiast wypracować wnioski.

Skierowałem uwagę na lekarza.

– *Dzień dobry, Ferrusie Barze. Nazywam się Torkil Aymore. Przysłał mnie Rector Ludens. Wiesz, z jakiego powodu.*

Zamknął mechaniczne powieki na znak, że wie. W tym momencie widziałem, jak Lea wita się z innym lekarzem, także mechanicznym, a Nexus z medmatem. Tell, Quai, Pauline, Anna, Tanya, Peter, wszyscy gdzieś wchodzili i rozpoczynali rozmowy. Dotarły do mnie obserwacje, że rozmówcy są zaniepokojeni, ale mimo to opanowani.

– *Wiem.*

– *Pokażesz mi pacjentów?*

– *Chodź ze mną.*

Nie sądziłem, że słowo „chodzić” stanie się kiedyś przeżytkiem, tak jak dawniej określenia „czytać”, „jeździć” (do dzisiaj niektórzy mówią, że mobile „jeżdżą”), „pod ziemią”, „wykręcić czyjś numer” czy „slajd”. Ordynator nie szedł, tylko – jak praktycznie wszyscy Sitowie w takich sytuacjach – sunął w powietrzu, a ja za nim, co akurat w moim przypadku było naturalne, bo musiałbym upaść na głowę, żeby jako duch udawać i tak niemodne chodzenie. Przemieszczanie się za pomocą nóg generuje rytmiczny

dźwięk, jest nierówne, to znaczy człowiek przy nim podryguje, trzęsie się. Generalnie to mało efektywny sposób pokonywania odległości. Lot jest równiejszy, szybszy i cichszy. Jak ludzie mogli przez tyle cykli akceptować tak prymitywny sposób poruszania się: z nogi na nogę, z nogi na nogę i znowu...

Dotarły do mnie doznania Quai i Tella. Ich cyfrowe odpowiedniki nozdry informowały o dziwnym zapachu, jakiego nie czuli nigdy wcześniej. Była to woń człowieka, ale jednocześnie nie człowieka.

Zgadza się. Mieszkańcy Cyklona nie są ludźmi w pełnym znaczeniu tego słowa. To Kaliai, odmiana paraludzka należąca do wspólnej grupy homo alienus. Kaliai, zwani także Bellanami, pojawili się po raz pierwszy na Neeri. Były to istoty tak piękne, uległy u nich ekspresji tak fenomenalne zespoły genów, że nikt się nie dziwił, gdy poprosili ImBu o utrzymanie tych cech, nawet kosztem tego, że nie będą się mogli krzyżować z resztą gatunku. Któż chciałby zrezygnować z pięknego głosu, wielkich oczu o niezwykłych, intensywnych barwach, smukłej szyi i niezwykle wdzięcznej mechaniki ruchu? Widzieliście kiedyś tancerzy, baletnice? Kaliai poruszają się jak na scenie w sposób całkowicie naturalny, niewyuczony, a przez to o wiele zgrabniejszy od teatralnych wygibasów.

Niektórzy ludzie trzymają zwierzęta, na przykład psy. Steffi ma maltańczyka, którego nazwała Tryb. Ta psina w każdym ruchu ma tyle uroku, że nie sposób się do niej nie śmiać. To właśnie geny. Można powiedzieć, że u Kaliai stało się coś podobnego, ale na cudowny ludzki sposób. Zasiedlali teraz pięć planet, co także jest ciekawą sprawą, bo pierwotnie mieli ich dziewięć, ale cztery zostały zaanektowane przez Worplany ze względu na wyjątkowo dobre warunki geofizyczne. Od tej pory Kaliai nie lubią kasty Inżynierów, zresztą z wzajemnością, chociaż nie wiem, jak można nie lubić Bellan.

– *Chciałbym cię uprzedzić* – odezwałem się do lekarza – *że na terenie kliniki przebywa dwójka Suverów.*

– *Akceptuję wszystkie formy życia, a Smoki... bardzo lubię.* – Zwrócił na mnie spojrzenie, w którym czaiła się wesołość.

Czułem bijące od niego fale ciekawości podobne do błękitnych smug, pośród których krążyły krzyczące mewy, widziałem na jego mechanicznej twarzy chęć poznania jakiegoś brata bądź siostry Tella, fascynację tym gatunkiem. Z pewnością byłby zachwycony, gdyby społeczność Dragonoidów pozwoliła mu na badania. Był to jednak gatunek obdarzony autonomią i najczęściej nie godził się na oglądanie ich świata szkiełkiem i okiem. ImBu nie walczył z tą tendencją, przeciwnie, wspierał ją, a wiele badań nad Suverami utajnił. Żeby dostąpić zaszczytu badania Dragonoidów, trzeba było naprawdę na to zapracować. Udostępniłem informację na temat fascynacji lekarza Tellowi i Quai. Samiec powiedział, że się zastanowi i żebym się skupił na zadaniu. Quai stwierdziła, że Tell za bardzo się panoszy i że nie do niego należy decyzja. Odpowiedział, że przeprasza. Nie udało mu się ukryć żalu, że po takiej wymianie zdań jego szanse u Quai gwałtownie spadły. Dała znać, że nie jest tak źle...

Cholera, za słaby ten mój filtr.

Spojrzałem na lekarza. Dotarło do mnie, że Ferrus prawdopodobnie nie jest Bellaninem. Przyjrzałem mu się bliżej. Kiedyś sądziłem, że moja umiejętność widzenia mikroruchów, oceny barwy głosu i jego modulacji to po prostu kwestia treningu, rzecz wytłumaczalna na poziomie zmysłów, intelektu i czucia. Dopiero niedawno dotarło do mnie, że niekoniecznie tak musi być. To po prostu pewna odmiana soulerstwa. Czułem bijące od niego uczucia, zlepki emocjonalne podobne do pozwijanych jasnych zasłon. Na pewno nie należy do Kaliai. To zwykły homo sapiens, oczywiście zwykły jak na standardy WayEmpire. Dlatego przesiaduje w motombie. Prawdopodobnie

cechuje go ksenofilia, zamiłowanie do inności. I tu moglibyśmy sobie podać rękę, zważywszy na to, że moim najlepszym przyjacielem jest Smok.

- *I vice versa* – odpowiedział gad.
- *To nie było do ciebie.*
- *I tak wciąż cię słyszę, zboczony Tomo.*
- *Tell, nie jesteś dowcipny.*
- *Ale się staram.*
- *Przestań się starać.*

Wróciłem myślami do lekarza. Być może skrycie marzył, by stać się jednym z mieszkańców Cyklona. W sumie żaden problem. Odpowiednia szczepionka i po sprawie, oczywiście po uprzedniej przesiadce do organicznego ciała.

W trakcie tych obserwacji docierało do mnie coraz więcej informacji od pozostałych członków grupy. Napięcie, zdziwienie, znowu rejestracje nieznanych zapachów, historie pacjentów i pacjentek, wiadomości o krótkotrwałych infekcjach... Nie chciałem wczuwać się w ich konkluzje. Woląłem najpierw posłuchać własnych odczuć. Gdyby usłyszał to Nexus, zadałby pytanie...

- *To po cholere robiliśmy tę wspólną świadomość?*

Usłyszał.

- *Zostaw tego odludka* – odezwała się Pauline. – *On zawsze taki jest.*
- *No* – potwierdził Laurus.
- *Skupcie się* – rzuciłem i wzmocniłem filtr.

Doszliśmy do dużej szyby, za którą znajdowało się pomieszczenie o powierzchni około stu metrów kwadratowych. Stały tam cztery wielofunkcyjne łóżka, dwa lewitujące, podobne do białych grzybów medmaty, jeden medyczny humanoidalny dron i czterech pacjentów. Rozmawiali ze sobą, pokazywali coś na trójwymiarowym ekranie, na którym

transmitowano mecz gladiatorów średniego poziomu, czyli z animowaną amunicją i niegroźną bronią białą. Wyglądali normalnie, oczywiście jak na Kaliai. Miałem wrażenie, że widzę przedstawienie, podczas którego tancerze od czasu do czasu błyskają płatkami egzotycznych kwiatów. Tymi płatkami były ich intensywnie wybarwione tęczęwki. I to bez animacji nałożonych na oczy.

– *Niby nic nadzwyczajnego, prawda?* – odezwał się Ferrus.

O ile można tak powiedzieć o Bellanach. Ci mężczyźni byli piękni jak mityczne elfy.

– *Żadnych zmian skórnych, motorycznych, temperatura i ciśnienie w normie, zero zmian zapalnych. To znaczy jeden dzień, może kilka hekt obniżonego nastroju, rozbicia wywołanego, jak się wydaje, infekcją wirusową. A potem już nic, tylko odchylenia behawioralne, a i te w bardzo wąskim zakresie.*

– *Pokaż mi.*

– *Proszę bardzo* – powiedział, po czym dodał na głos: – *Alex.*

Jeden z mężczyzn – łysy młody człowiek o pięknej pociągłej twarzy ozdobionej szafirowymi oczami – podszedł do nas z wyrazem lekkiego zaciekawienia. Nie. Nie było na tym obliczu ciekawości, tylko... bierność. Wielkie niebieskie oczy, jakby wykonane z wypolerowanego szlachetnego kamienia, mieniające się przy każdym ruchu, patrzyły na nas z wyrazem obojętnego wyczekiwania.

– *Dzień dobry, Alex.*

– *Dzień dobry, panie doktorze.*

Ależ głos. Mój tubalny, niski tembr kojarzący się z pomrukiem lwa wydał mi się w tym momencie szkaradny. Założę się, że każda kobieta po usłyszeniu tutejszych mężczyzn momentalnie się zakochiwała. Kobiety wciąż są słuchowcami, tutaj nic w stosunku do czasów Przed Imperium się nie



zmieniło.

– Jak się dzisiaj czujesz? – spytał lekarz.

– Dobrze.

– Nic nie boli?

– Nic.

Dziwna rozmowa. Mechaniczna, pozbawiona naturalnych dla człowieka aluzji, odniesień, skojarzeń. To była wymiana informacji okrojonych z jakichkolwiek dodatkowych znaczeń. I nie chodziło wyłącznie o warstwę werbalną. W jego twarzy, w tej pięknej twarzy i oczach nie było niczego więcej!

– Zrób przysiad – zaproponował Ferrus.

Pacjent bez pytania, bez protestu, bez jednego grymasu zdziwienia wykonał ćwiczenie. To zachowanie, to zachowanie... Jezu Chryste!

– *Torkil!* – usłyszałem Nexusa. – *Wzywam Besebu, na RanStone, wzywam Besebu!*

– *To samo chciałem powiedzieć!*

– *To jacyś zombie!* – odezwała się zduszonym głosem Tanya.

– *Thiroza?! –* rzuciła Stone.

– *Możliwe –* odezwała się Anna. – *Te objawy...*

– *Pamiętacie zachowanie na Ziemi? W Sydney?! –* krzyknął Peter.

– *No właśnie –* wszedł mu w słowo Harry. – *Chciałem po...*

Wyłączyłem się ze wspólnej świadomości, bo ilość skojarzeń, danych, wrażeń i wspomnień była dla mnie za duża. Czułem się zalewany przez potężny wodospad paniki, domniemań i hipotez. Musiałem się skupić. Musiałem się skupić!

Wykonałem mantrę spokoju.

Panika odeszła. Znowu byłem skupiony i rozluźniony, jeśli można tak powiedzieć o metaobecności.

– Teraz zrób siedemdziesiąt pompek – odezwał się lekarz.

Prześwietliłem pacjenta. Frin dokonał analizy jego układu kostnowęzowego i mięśniowego, po czym orzekł, że nie będzie w stanie tyle zrobić. Był bezsprzecznie pięknie zbudowany, ale nie uprawiał sportu. Jego komórki mięśniowe, nawet przy frinowym wsparciu, nie poradzą sobie z odtlenieniem i produkcją metabolitów. Najpóźniej przy czterdziestu powtórzeniach mięśnie piersiowe obrzękną i będą boleć do tego stopnia, że przerwie ćwiczenie. Lekarz musiał o tym wiedzieć. Alex także.

Mimo to mężczyzna bez wahania przybrał odpowiednią pozycję i zaczął się opuszczać i podnosić. Podczas dwudziestego powtórzenia zaczęły mu drżeć mięśnie trójgłowe ramion. Pięć pompek później zadrżały czterogłowe uda. Rzeczywiście mało się ruszał. Trzydzieste uniesienie. Trzęsie się tułów – protestują mięśnie brzuszne. Mężczyzna pochyła głowę, ciężko dyszy. Czuję bijący od niego ból mięśni, protest miocytów duszących się od niedoboru krwi. Fale uderzają we mnie, jakby były ze skały, on naprawdę cierpi. Trzydziesta trzecia pompka. Ledwie się podnosi. Przy trzydziestej piątej unosi tułów niezwykle wolno. Mięśnie dostają mikrozawałów. Alex głośno sapie. Gdy wykonuje trzydziestą ósmą, mój frin, i jego z pewnością także, alarmuje, że dalsze ćwiczenie wywoła zbyt duże stany zapalne, być może nawet spowoduje mikrozerwania albo poważniejszy uraz. Nikt o zdrowych zmysłach nie ćwiczyłby w tej sytuacji dalej, jednak Alex nie odpuszcza! Jest jak starożytna maszyna, w której pękają rury, strzelają nity, bucha para, z przerwanych przewodów sypią się iskry, dym wydobywa się z obudowy, a ona ciągle pracuje! Czterdziesta pompka jest wykonywana kosztem mikrozerwań włókien mięśni piersiowych i przy akompaniamencie pulsującego bólu obrzękniętego ciała. Czuję ten ból całym sobą i mam wrażenie, że się duszę. Z nosa mężczyzny spadają krople potu i błyszczą srebrnymi krążkami na podłodze.

– Wystarczy, Alex. Wstań – szepcze Bar.

Kalius ciężko dyszy. Mimo zmęczenia wdzięcznie obraca się na bok, bo ręce nie są w stanie podeprzeć ciała. Powoli wstaje. Biją od niego wilgoć i gorąco. Jego biały strój usiłuje pochłonąć pot i wyparować go, nie schładzając zanadto ciała. Nad jego głową ukazuje się wykres pracy serca, oddechu, ciśnienia krwi, ciepłoty. Alex patrzy na lekarza tym samym biernym spojrzeniem pięknych oczu. Na zapadniętej bladej twarzy nie widać skargi czy wyrzutu, tylko zmęczenie.

– Kopnij Jozafata. – Lekarz wskazuje smukłym białym palcem jednego z pacjentów.

Mężczyzna odwraca się i zmierza płynnym krokiem w stronę rozmawiających Kaliai.

– Alex, nie rób tego.

Pacjent zatrzymuje się.

– Możesz odpocząć.

Mężczyzna podchodzi do łóżka i kładzie się.

Patrzę szeroko otwartymi oczami na Ferrusa Bara. On patrzy na mnie spokojnie i poważnie.

– *Właśnie takie są objawy, Błogosławiony. Kaliai zachowują się normalnie, dopóki nie padnie rozkaz. Co ciekawe, sami nie umieją skonstruować zdania rozkazującego. Potrafią stwierdzać, pytać, nawet dywagować, ale nie potrafią wydawać poleceń.*

– *Torkil, masz już chyba dostateczną ilość danych?! – Zobaczyłem przed oczami Laurusa. – To przecież thiroza, jakaś nowa jej odmiana!*

– *Czekaj, Laurus. Ja wiem, że marzy ci się wojenka, ale podobieństwo nie musi sugerować...*

Machnął niecierpliwie ręką. Wiedział, co chce powiedzieć, i chociaż było mu to nie w smak, zgadzał się ze mną.

– *Masz rację. Tak czy owak, już leci tu transport Besebu.*

Nie bardzo mi się uśmiechała rozmowa z tymi gośćmi. Od wielu cykli mocno im się nudzi. Możliwość udowodnienia swojej przydatności może stłumić ich umiejętność analitycznego myślenia.

– *Laurus, po to się wyłączyłem, żeby mi nikt teraz nie przeszkadzał. Pokonferujcie, a ja jeszcze pogadam z moim lekarzem...*

– *Ver'n'out.*

Taaak. Gdy Wilehad zaczyna myśleć, nie lubi marnować czasu na dyrdymały. Przerywanie i nagłe kończenie rozmowy są tego objawami. Mam wrażenie, że im więcej ma cykli, tym bardziej się w tym usztywnia.

– *Sorry, Tori.* – Zobaczyłem jego twarz. – *To było niedelikatne. Wybacz.*

Wybałuszylem oczy, a on lekko się uśmiechnął i zniknął. Nie. To nie był stary Laurus.

Zwróciłem wzrok na lekarza.

– *Co zdiagnozowaliście?*

– *Jak mówiłem, jest to infekcja. Objawy są naprawdę minimalne i samoograniczające się. Frin wyłapuje ślad wirusówki, wzmacnia odporność i infekcja się kończy. Po kilku dniach jednak następuje przemiana. Skany wykazują... zahamowanie niektórych genów i ekspresję dotychczas blokowanych.*

– *Friny są w stanie to skontrolować?*

– *Oczywiście. Wysyłają nanoboty i odtwarzają poprzednią konfigurację genową. W ciągu deku pacjenci wracają do normy. Niepokojących jest kilka rzeczy...*

– *Jakim cudem nieznaną wirus był w stanie wywołać tak precyzyjne objawy?* – usłyszeliśmy obcy, niski głos, który mógł należeć tylko do Aristosa, a chwilę później zobaczyliśmy przezierną sylwetkę Besebu-Torii, Agenora Eneja. Całe szczęście, że Brama Besebu przyleciał osobiście. Ten

Tomo był powszechnie lubiany i szanowany, chociaż sprawował pieczę nad mało popularną organizacją.

– *Otóż to, Ranie* – powiedział lekarz.

– *Przepraszam za tak nieobyczajne wtargnięcie, ale stwierdziłem, że nie ma czasu na konwenanse. Jestem w tej chwili na orbicie wraz z dwudziestoma Besebu-Ranami.*

– *Witaj, Agenorze* – odezwałem się.

– *Cześć, Torkil.* – Rzucił mi uśmiech wąskich kwadratowych warg, świecąc dużymi fangami. W tym grymasie zawierał szczerą radość, że może przebywać w towarzystwie weterana, który, tak jak on, pamięta Pierwszą Wojnę z Thirami i ma równie masywne kły.

Agenor był tym, który zapobiegł wtedy zamachowi na Imperatora. Dzięki niemu istniejemy. Spisał się w tamtych czasach i, jestem pewien, teraz też nie zawiedzie.

– *Jest wiele rodzajów wirusów* – ciągnął – *roślinne, zwierzęce, ludzkie, mechaniczne i cyfrowe. Co do ludzkich, mamy DNA-wirusy i RNA-wirusy. Większość z nich daje bardzo niespecyficzne objawy, na przykład rozbieżność temperaturę, bóle mięśniowo-stawowe, co spowodowane jest tym, że wirus przyczepia się do komórki gospodarza, wrzuca tam swoje łańcuchy, te dają w rezultacie białka, komórka pęka i już. Wirusy na Cyklonie nie doprowadzają do zniszczenia komórek. One po prostu zmieniają genotyp, a potem fenotyp. To bardzo podejrzane. Te objawy są specyficzne jak jasna cholera.*

Przesłał mi to ze wspomnieniami próbnymi ataków na Sydneyland i Nowy Jork. Pamiętałem je. Wtedy Thirowie badali, jak najprecyzyjniej zadać nam cios. Także kombinowali przy genomie i zamieniali ludzi w zombie. Laurus miał rację. Podobieństwo było uderzające. To mogła być próba. Ale jak? Znaleźliśmy Spes, główną siedzibę Stratos Thirii, znaleźliśmy Spes II

i kolonię w karłowatym Sagittariusie. Wszędzie dotarł Imperator, wchłonęliśmy Bestian tak, jak makrofag połyka bakterię, a potem trawi ją i przekształca we własne ciało. Czyżby była jeszcze jedna kolonia? W Obłokach Magellana? W Andromedzie? W galaktyce Trójkąta? W naszej Grupie Lokalnej są trzy galaktyki spiralne i ponad trzydzieści mniejszych satelitów. Z tego zbadaliśmy w niewielkim stopniu tylko Drogę Mleczną. Wizja, że gdzieś w kosmosie od ponad dwustu cykli rozwija się nieznaną Stratos Thirii, zmroziła mnie. Ale nie, to było nielogiczne. Mieszkałem na Spes, zarządzałem tą straszną planetą, przeobrażałem ją w dzisiejszą Spartę, znam dane demograficzne. Thirowie wyewoluowali z konkretnej liczby kolonistów i nie było możliwości, żeby jakaś ich część poleciała w jeszcze inne miejsce. Było ich zwyczajnie za mało. Z drugiej strony te ich machinacje z dimenami... Psiakrew. Psiakrew!

Przesłałem Agenorowi i wszystkim innym ten pak.

– *Brzytwa Ockhama* – odezwała się Pauline – *każe szukać najbardziej prawdopodobnych rozwiązań. Dziwna naturalna infekcja jest mało prawdopodobna, więc schodzi na dalszy plan. Pozostają Thirowie, CIII oraz Whale.*

– *Zgadzam się z Pauline* – odezwała się Anna. – *Takich zachowań nigdy nigdzie nie było. Tylko podczas Pierwszej Wojny z Thirami. Podczas drugiej usiłowali robić coś podobnego z głowikami i atakując wieże kontroli.*

Spojrzałem na lekarza.

– *Mogę zobaczyć tego wirusa?*

– *Proszę bardzo.*

Na prawo od niego pojawił się trójwymiarowy ekran, na którym rotowała wielościenna białkowa otoczka z wystającymi końcówkami enzymów, które miały rozpuścić błonę komórkową gospodarza i umożliwić wniknięcie do wnętrza kwasu nukleinowego. Otoczka zniknęła. W środku kłębiła się

cząsteczka DNA.

– *Bardzo dużo ludzkich genów – oświadczył Ferrus. – I gen blokujący przypadkowe, nadmiarowe namnażanie się białek. To rzeczywiście wygląda jak paczka przeznaczona specjalnie dla nas. Próbowałem ustalić jego genezę. Nie pasuje do niczego, co jest obecne na Cyklonie. Ergo, jest mało prawdopodobne, że powstał w wyniku mutacji.*

– *Co?!*

– *Nie wykluczam tego, ale prawdopodobieństwo jest niewielkie.*

– *Mówiłam – wtrąciła Pauline.*

– *Wektor wskazuje na drogę powietrzną. Nie przenika przez skórę czy rany, tylko przez układ oddechowy. Wirulencja jest wysoka. Według mojej oceny około dziewięćdziesięciu procent przypadków wdarcia się do organizmu kończy się chorobą. Inkubacja trwa krótko – około dwóch dukil. Morbidity – zerknął na mnie niepewnie – czyli odsetek zakażonych, którzy mają symptomy, wynosi sto procent. Prevalence, czyli liczba zakażonych w danym kolektywie, to sto procent. Mortality? Czy ktoś umiera? Nikt. Incidence, czyli liczba nowych zachorowań w jednostce czasu... tu jest problem. – Uniósł dłoń, jakby chciał się podrapać w głowę. – Wirusy pojawiły się, zaatakowały, zrobiły swoje i teraz nie ma żadnych nowych zgłoszeń.*

– *Wnioski? – mruknąłem, czując, że nie chcę ich usłyszeć.*

– *Przepraszam, Błogosławiony, ale wygląda to tak, jakby te wirusy zostały... podrzucone. Wstrzyknięte w atmosferę Cyklona.*

– *Skontaktowałem się z tutejszą ekspozyturą Besebu – mruknął Agenor. – Nie wykryli żadnego obcego statku na orbicie, żadnej ingerencji, ale równie dobrze coś mogłoby wychynąć z hiperprzestrzeni tuż przy powierzchni. Prezent zawierający taki wirus mógł być wielkości...*

– *Paznokcia – wszedł mu w słowo Ferrus.*

Chciałem powiedzieć, że trzeba powiadomić ImBu, ale ImBu już wszystko wiedział i z pewnością obliczał prawdopodobieństwa różnych rozwiązań, kontaktował się z Ludźmi Bramami, Charonami i Soulerami. On wiedział wszystko, zanim się tu znaleźliśmy. Milczenie najwyższego było niepokojące. Już powinien coś postanowić. Jeśli tego nie zrobił, to znaczy, że czekał na czynnik ludzki, nieprzewidywalny, intuicyjny, soulerski, a przez to wnoszący coś nowego do równania. Czekał na decyzję Władców Świata. Naszą.

Poczułem ciężar odpowiedzialności.

– *Powinniśmy przeprowadzić wizję lokalną w pobliżu CIII i Whali. I rozesłać sondy do sąsiednich galaktyk – odezwałem się do wszystkich.*

– *Po drodze do CIII jest Łza Cheronei. Tam też trzeba zajrzeć – rzucił Tell. Prawda. To trzeci niezrozumiały fenomen w naszym świecie.*

– *Torkil? – odezwał się Laurus. – Musisz pogadać ze swoją cywilną gromadką. Nie wpuszczą ich ani do Łzy, ani do CIII. No i twojego protegowanego Hana trzeba z nimi zostawić.*

Jasna cholera. Pauline go zabije.



## Obraz 3

# Łza Cheronei

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Cyklon, orbita  
08 Decimi 232 EI, 12.91 H

Na szczęście negocjacje z Pauline, Anną, Harrym, Peterem, Steffi oraz załogą *Wielkiego Lwa* (z Hanem nie negocjowałem) nie trwały długo. Pauline i Parsifal trochę marudzili, że „do dupy taka krótka wycieczka”, i nie sposób było się z tym nie zgodzić, z drugiej jednak strony wyczuwałem, zwłaszcza w przypadku Freyrów, ulgę. To byli Stellarzy, lubili podróże i rozrywki, a nie zabawę w doktora. Zabrali się z powrotem do rajy Rihanny airvillami Parsifala i Steffi, obiecując sobie, i nam trochę na złość, karnawał i wyścigi karawan. Zazdrościłem im, bo nie ma niczego bardziej widowiskowego od ścigających się długich na dziesiątki kilometrów vii, wokół których Anioły wywijają szalone ewolucje...

Zostały nam *Teacup*, *Ulisses*, *Bashing* i *Walker* Tanyi, bo Charonka oczywiście leciała z nami. Agenor oświadczył, że nie będzie nam

towarzyszył, gdyż przebywanie w tym samym obszarze dwóch głównych Torii jest niezgodne z wewnętrznymi, bardzo rozsądnymi rozporządzeniami mundurowych. Pozostał ze swoimi ludźmi na Cyklonie. Zanim się jednak pożegnaliśmy, zaprosił naszą piątkę na swojego służbowego Dragonforce'a Mk X na „krótką rozmowę”.

– To Samuel Kroz – przedstawił nam czarnowłosego Maod-Ana, młodego mężczyznę o szeroko rozstawionych brązowych oczach, zdecydowanie wykrojonych wargach naturalnie układających się w uśmiech i spojrzeniu, które dziwnie się do mnie kleiło. – Polecą z wami zamiast mnie. Jest zdolny, ambitny i wystarczająco wrażliwy.

Kroz uśmiechnął się nieśmiało. Miał mocne białe zęby pozbawione dużych kłów. Młodzik.

– Jest twoim wielkim miłośnikiem, Torkil – dodał Besebu-Torii.

Teraz zrozumiałem to spojrzenie. Samuel chłonał każdy mój gest, każdy grymas. Na RanStone! Fan. Tego mi jeszcze brakowało.

– Zna *Zasady Primusa* na pamięć. Stosuje je bez zastrzeżeń i muszę powiedzieć, z dużym talentem. Jego ostatnia akcja była majstersztykiem.

– Przesadzasz, mistrzu. – Kroz znowu błysnął zębami.

Już chciałem rzucić, że owe *Zasady...* napisałem przymuszony przez Imperatora i nie uważam ich za jakieś szczyty odkryć, ale powstrzymałem się. Skoro młodzik tak bardzo je ukochał, nie wypadało go torpedować...

– *Ładny chłopak* – szepnęła totowo Angela. – *Taki młody i naiwny.*

– *Angie.*

– *Zazdrosny?*

– *Torkil jest zawsze zazdrosny* – rzucił Tell z pokładu *Teacupa*.

Ran sparowany z Suverem musi zaakceptować fakt, że nie ma przed nim tajemnic.

– Założę się – podjął Agenor – że ostatnio przynajmniej połowa z was

marnie się czuje.

Spojrzeliliśmy na siebie z Laurusem. Zerknąłem na swój żółty talizman, który przypominał niedawną konsumpcję Frei.

– Widzę, że tak – ciągnął Besebu-Torii. Spojrzał na Charonkę i lekko się uklonił. – Tanya „Paula” Kitaro, prawda?

– Tak, Torii.

– Mów do mnie Agenor. Ty też masz złe wieści?

– Gniew aniołów...

– Mam raport od Rady Charonów. I Akademii Narów. A także Imperialnych Ludzi Bram. Przyszły przed chwilą.

Zerknąłem w menu frina. Rzeczywiście czekały trzy ważne przesyłki.

– To bardzo dziwne raporty.

Gestem zachęcił nas do zapoznania się z nimi. Przyspieszyliśmy.

Pak od Rady Charonów nie zawierał niczego ponad to, co już wiedzieliśmy, może poza komentarzem o zaniepokojeniu najwyższych Czempionów Hiperprzestrzeni, co było oczywiste. Akademia Narów przesłała men zawierający zlepek niepokoju przed zbliżającym się zagrożeniem. Ludzie Bramy twierdzili, że Imperium znajduje się przed impasem, z „którego jest tylko jedno, niezwykle ryzykowne wyjście”, z podkreśleniem słów „tylko jedno”. To naprawdę bardzo niebezpieczne stwierdzenie, bo jeśli Ludzie Bramy się nie mylą (to zaś jest mało prawdopodobne), trzeba będzie znaleźć to wyjście. A gdzie szukać? Nawet oni nie wiedzieli.

Zwolniłem. Nexus, Laurus, Tanya i Angela także.

– A teraz – odezwał się Agenor – raport naszych Słuchających.

Przesłał nam pak.

I on był najgorszy. Słuchający szkolą się w jednym tylko kierunku – poszukiwaniu zagrożeń. Dlatego ten men był najostrzejszy, jak szara fala,

która zmierzała, by zmieść WayEmpire, jak niepowstrzymany wał konieczności, siła, przy której nasze możliwości jawiły się jako zupełnie nieistotne.

Ogarnęła mnie trwoga, jakbym był mrówką, którą ma zdeptać stopa olbrzymia.

Spojrzałem na pozostałych. Angie była blada. Tanya drżała. Laurus zaciskał i rozluźniał szczęki. Tylko połyskliwa gęba Nexusa była trudna do odcyfrowania, ale i tak czułem od niego fale jakby mrowienia i dreszczy. Tak brzmi prawdziwy strach.

Wziąłem głębszy wdech.

– Czy ktoś, do diabła, wie, skąd się bierze to uczucie zagrożenia? – odezwałem się. – Przecież musi być jakieś źródło!

– Lecimy to sprawdzić – odparł lodowato Laurus.

Droga Mleczna

Macierz

Łza Cheronei

Obszar czasoprzestrzenny: nieokreślony

Szacowany czas realium:

~ 08 Decimi 232 EI, ~ 13.00 H

Jefferson „Spaceman” Ray, zwany także „Małym Bratem”, chociaż już dawno otrzymał ciało Rana, były Torkil Aymore, były gamedec i były człowiek, otworzył oczy i pozwolił, by światłość wniknęła w nie po samo dno duszy. A potem otworzył je szerzej i zobaczył ład, na którym mieszkał. Była to płaszczyzna. Pod nią nie znajdowała się warstwa skorupy planetarnej, nie było płaszczka i jądra planety. Czarni Ranowie mieszkali na łądzie płaskim

jak starożytne wyobrażenia Ziemi, bo tak sobie zażyczyli dawno temu, w czasie wielkiego budowania, gdy we Łzie Cheronei panował chaos i wszyscy myśleli, że zaraz po zwycięstwie nad Thirami przyjdzie im zginąć.

Jednak okazało się, że los ma dla nich inne zadanie, a istnienie nie chce się z nimi rozstać. Tytanus Sixtus Orygenes, ich przywódca, stworzył coś, co przypominało statek, uczepił się go i znalazł oparcie w miejscu, gdzie nie było punktów odniesienia. W ten sposób stworzył centrum Łzy, które do dzisiaj góruje nad krainą Widzących. Potem Farah Adid, były Strażnik Asylum, które to więzienie podczas bitwy rozbiło się na atomy, stworzył drugi okręt, a następnie Ranowie, jeden po drugim, zaczęli odkrywać, że we Łzie wola ma moc sprawczą. I że oni sami są teraz bardziej myślą niż pozornie realną materią. I tak krok po kroku zbudowali dom, później drugi, trzeci i czwarty. Łączyli je, spajali i rozszerzali swoje dominium, prześcigając się pomysłowością i kreatywnością. Aż wreszcie stworzyli Valhallę, swoją ojczyznę, w której wszystko było możliwe, w której nowo przybyli Widzący zaczynali rozumieć tajemnicę istnienia, w której odzyskiwali wzrok i rozum. I zaczynali miłować swój dom, bo nic nie mogło się równać z pięknem świata-dysku, na którym królowały góry z niebotycznymi wodospadami, na którym wzdymały się wypukłe oceany z wodą tak przezierną, że można było obserwować dna okrętów płynących po przeciwnej stronie bąbli, na którym kwitnące jabłonie były tak wielkie, że jabłka mogłyby przykryć całe miasta starego Imperium, i na którym siedziby Widzących były tak piękne, że nawet marzenia nie mogły ich przekroczyć, bo domostwa te utkane były z marzeń.

Jeff wstał z łóżka i podszedł do okna. Dlaczego miał podłogę? Dlaczego miał okno? Dlaczego chodził? Bo lubił mieć grunt pod nogami, chodzić i patrzeć przez okno... przez chwilę. Teraz zapragnął wyzwolić się z tego antropocentryzmu – zawisł w powietrzu i rozprostował ręce, które zamieniły

się w skrzydła, a część jego domu zniknęła, rozmyła się, jakby była z kolorowych farb, które rozwał wiatr.

– Witaj, mój boże – usłyszał głos Jennefer, Widzącej, która została wrzucona w wir Łzy trzydzieści pięć cykli temu, jeśli używać chronologii stosowanej w starym Imperium.

– Witaj, o bogini – odpowiedział i odwrócił się do niej.

– Piękny... dzień.

Roześmieli się. Dzień. Dzień był wiecznością, a wieczność była dniem. Spostrzeżenie jednostkowe było wizją ostateczną, a ogląd całościowy – wglądem punktowym. Łza Cheronei była częścią boga, jego spojrzeniem, obrazem rzeczywistości odbijającym się w boskiej siatkówce, a oni, Widzący, w centrum tego spojrzenia, sami stali się bogami i mieli tego świadomość, bo czymże innym mogli być, skoro samą wolą stwarzali i niszczyli?

Nagle Jeff poczuł ból. Spojrzał ostro na drugą stronę Galaktyki, a razem z nim spojrzeli wszyscy Czarni Ranowie przebywający we Łzie.

Bóg zacisnął zęby.

– To już? – spytała Jennefer.

– Tak. Ale przedtem przyjmujemy jeszcze jednego Brata.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Cyklon, orbita

08 Decimi 232 EI, 13.21 H

Pozegnaliśmy się z Besebu-Torii, przy czym najdłużej Agenor wymieniał paki z Laurusem. Łączyły ich szczególne więzi. W końcu to RanaR dawno

temu mianował Eneja Bramą Besebu i, jak historia pokazała, była to trafna decyzja. Agenor nie zmienił się. Wciąż był wesoły i wrażliwy.

Potem w trudno hamowanym pośpiechu załadowaliśmy się z Krozem na *Bashinga* Laurusa, ciągnąc *Teacupa*, *Ulissesa* i *Walkera* na podobieństwo małej karawany. Nexus próbował chwilę protestować, że niby jego *Ulisses* jest nie mniej reprezentacyjny niż bastion Wilehada, ale ten zbył go bardzo szybko.

- Ile masz dział? – spytał.
- Gotowych do strzału? Zero.
- No to się nie odzywaj.

I tak Błogosławiony został zbesztany przez RanaRa ku nerwowej uciezce mojej, Angeli i obu orszaków oraz cichemu zdumieniu Kroza i Tanyi.

Droga Mleczna  
Macierz  
Łza Cheronei  
Sektor zewnętrzny 12/5465464  
08 Decimi 232 EI, 13.22 H

Zatrzymaliśmy się blisko Łzy Cheronei – piętnaście minut świetlnych od najbliższego fioletowego jęzora. Natychmiast zostaliśmy przeskanowani i zidentyfikowani przez pancernik *Star*, lecz jego załoga, stwierdziwszy, że przebywamy tu legalnie i w sposób nienaruszający surowych przepisów żeglowania w pobliżu tajemniczego obiektu, zostawiła nas w spokoju. Baza *Czujny* oświadczyła, że wkrótce się z nami połączy i dostarczy wszelkich informacji, ale mamy się wykazać cierpliwością, bo w tej chwili nie może zwracać sobie nami głowy. No cóż, co lokalizacja, to obyczaj. A ta była,

jakkolwiek na to patrzeć, wyjątkowa. Jaśniejący wir miał około półtora roku świetlnego średnicy. Kawał ciała niebieskiego. Już dawno połknął obłok Oorta królujący wokół gwiazdy, która kiedyś tu była, i zachowywał się tak, jakby wciąż miał zamiar rosnąć. Łza przypominała miniaturową purpurową galaktykę, przy czym o ile w galaktykach centrum jest najjaśniejsze i w ten sposób kamufluje obecność wielkiej czarnej dziury, o tyle we Łzie centrum było mroczne, jakby rzeczywiście był tam kolapsar. Dookoła Łzy były rozsiane liczne bazy badawcze, okręty Imperium, stacjonowały oddziały Besebu, znajdowały się ekspozytury Narów, Charonów i Ludzi Bram, funkcjonowała nawet stocznia, czego już zupełnie nie rozumiałem, bo po co komu stocznia w takim miejscu? Łza źle wpływała na komunikację, na skoki hiperprzestrzenne, na całą naszą fizykę, więc konstruowanie czegokolwiek w jej pobliżu wydawało się pomysłem zgoła dziwnym.

Wir był nieustannie sondowany, obmacywany i prześwietlany zarówno środkami naukowymi, jak i soulerskimi. To tutaj ponad sto cykli temu zniknął cały układ planetarny łącznie z nieodżałowaną Cheroneą, podówczas najpiękniejszą planetą Imperium, oraz jej słońcem Tau. To tutaj przeżył swoje drugie narodziny Jeff „Spaceman” Ray, „Mały Brat”, czyli drugi Torkil o minimalnie zmienionej konstelacji psychicznej. Działy się tu naprawdę dziwne rzeczy, które do dzisiaj powodują, że siwieją brody, wąsy i czupryny tak najwybitniejszym naukowcom Imperium Drogi, jak i samemu Buddzie tudzież Imperatorowi. We Łzie panuje „inna fizyka”, co jest eufemizmem skrywającym nasz brak zrozumienia zachodzących tam zjawisk. Wyobraź sobie, że oglądasz z dzieckiem kolorową bajkę na niewielkim trójwymiarowym ekranie. Patrzycie na barwne postacie – jakiegoś króliczka, lwa, papugę – i nagle berbecć pyta: „Jak to możliwe?”. „No wiesz – odpowiadasz – są tam heksele i one świecą różnymi barwami. W ten sposób powstają obrazy”. „Ale mi chodzi o coś innego”, odpowiada latorośl. „Jak to



możliwe, że brąz pasuje do czerwieni, a żółty do fioleto?” „O, to już sprawa psychiki. Barwy tworzy mózg, realnie nie istnieją. Te połączenia po prostu ładnie »brzmią«”. „Dlaczego, gdy coś się robi naprawdę ciekawe, dorośli uciekają w metaforę?”, pyta dziecko i patrzy ci głęboko w oczy. „Mówicie, że barwa nie istnieje, ale ja ją widzę. Ona jest. I się pytam: »Gdzie ona jest?«”. „Nigdzie. To informacja”. „Jeśli nigdzie, ale jest, to jak ona jest?” Taką rozmowę dawno temu przeprowadziłem z Cloe, moją córeczką. I oczywiście zagoniła mnie w kozi róg, czymkolwiek ten róg jest. Jej pytanie pamiętam do dzisiaj: „Jak ona jest?”. Doskonale pasowało do Łzy Cheronei. Podstawowe pytanie, które gnębi naukowców oraz ImBu, brzmi: „Jak ona jest?”. Żaden poważny umysł Wielkiego Imperium nie pyta już „Gdzie?”, „Kiedy?” ani nawet „Ile?”, zdając sobie sprawę, że to pułapki wymuszające wpasowanie odpowiedzi w schemat dotychczasowego rozumowania, a przecież wiemy, że rozumowanie to nie potrafi wyjaśnić istnienia Łzy. Dlatego zredukowano dywagacje do pytania podstawowego: „Jak?”. Skrajni radykałowie utrzymują, że i to pytanie jest zbyt schematyczne i należy je ograniczyć do czystej ciekawości nieobwarowanej żadnymi ścianami dotychczasowego systemu semantycznego, a więc do samego znaku zapytania. Zgadzałem się z nimi. Paki od Jeffa pokazywały mi aż nazbyt jasno, że nic nie wiemy o naturze rzeczywistości.

Oficjalnie mówi się o Łzie, że to „rozdarcie czasoprzestrzeni”, który to termin jest tak trafny jak dawne modele z rozpiętych siatek i obciążających je kul, które miały obrazować ciała niebieskie i czasoprzestrzeń. Każdy wiedział, że przestrzeń jest trójwymiarowa, ale że nikt nie umiał sobie wyobrazić „ugięcia” czegoś trójwymiarowego, wszyscy gapili się na te siatki jak na objawienie. Mówi się też, że Łza jest „ogniskiem nowej fizyki”, i to określenie, chociaż – jak zarzuciłaby Cloe – także metaforyczne, jest bardziej precyzyjne. To coś innego, nowego, nieznanego i nie działa tam „nasza

fizyka”. Tam wyobraźnia ma siłę sprawczą o wiele większą niż w trójwymiarze, bo de facto trudno mówić, że u nas przydaje się do czegoś namacalnego. Nawet największy souler nie stworzy siłą woli żadnego obiektu. Mamy natomiast niezbite dowody na to, że we Łzie jest to dziwnie łatwe.

Od czasu do czasu można w wirze zobaczyć cienie demonów, aniołów, kształtów dziwnych, niekiedy pięknych, wielkich jak planety albo jeszcze większych. Miewam sny, w których widzę, jak Czarni Ranowie wznoszą w czeluściach wiru olbrzymie budowle, świątynie oparte na niczym, a mimo to stabilne, wiszące w pustce, a jednak wpasowane w krajobraz. Mam wtedy ochotę krzyczeć. A czasami, mimo protestów frina, budzę się ogarnięty niepojętym stanem, w którym trudno mi zrozumieć, czym jest pion, czym poziom, wszystko wydaje się skośne i nieadekwatne. Mam wrażenie, że absolut jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, że oddziela mnie od niego cienka warstwa dotychczasowych przekonań i że gdybym tylko zapomniał wszystko, co wiem, dotknąłbym go i doznał prawdziwego objawienia.

Ale nigdy nie udało mi się przedrzeć przez tę zasłonę. Racjonalne myślenie wygrywa, oddalam się od niej, aż przestaję dostrzegać światło, które zza niej bije. Może zresztą jakaś część mnie nie chce iść dalej. Cofa się. Być może bramą do olśnienia jest szaleństwo i właśnie dlatego tylko Czarni Ranowie go doznają. Oni nie mają wyboru.

Przyglądam się trójwymiarowej siatce, która – nałożona na wir – daje kojące wrażenie ogarniania nieogarnialnego. Liczby zawsze miały w sobie coś uspokajającego.

Na początku Wielkiego Imperium Czarnych Ranów było trzystu dwóch. W czasie Drugiej Wojny z Thirami dołączył do nich Maod-An Farah Adid, sławny Strażnik Asylum, oraz wspomniany już Jeff, czyli Torkil. Teraz mamy ich ponad sto czterdzieści tysięcy. Naprawdę sporo. I nie jestem

pewien, czy ta liczba mnie uspokaja.

Z rozmyślań wyrzywa mnie ikona informująca, że za chwilę rozpocznie się ceremonia wysłania Czarnego Rana do Łzy. Rozglądam się. Obok mnie wisi Angela. Za nami w milczeniu dryfują Stone i Gradivus, przy nich waruje Tell. Poza tym *Teacup* jest pusty. Nagle jego wnętrzu wydaje mi się ciemniejsze i bardziej tajemnicze niż zwykle. Cisza dzwoni w uszach. Laurus zaprasza wszystkich do siebie, do kabiny obserwacyjnej *Bashinga*, żebyśmy wspólnie obejrzeni to wydarzenie „w trójwymiarze i maksymalnym powiększeniu”. Cieszę się, słysząc jego głos. Gdy lecimy tam przeziernym korytarzem otoczonym próżnią, dopada nas chmara tych, których dopiero co odesłaliśmy nad Rihanę. Z nicości wyłania się metowa Pauline, obok niej Anna i Steffi, dalej Harry, Parsifal ze swoimi syrenami i synem Mortimerem oraz Peter. Zasypują nas gradem decybeli. Przyjmuję ten hałas z wdzięcznością. Ich głosy są niczym promienie słońca w tym dziwnym, skośnym miejscu.

– *Muszę to obejrzeć!* – oświadcza Sokolovsky.

– *Tak jest, te ceremonie są dozwolone!* – potwierdza Pauline.

– *Oczywiście! I Torkilciu może nam naskoczyć!* – rechocze Harry.

Peter tylko obleśnie się śmieje.

Spojrzałem na nich z ukosa, ale mieli rację. Ceremonia przekazania Opętanego była ogólnie dostępna i każdy Sit mógł ją oglądać. Był to symbol ofiary, w pewnym sensie ostatecznej, jaką na łonie WayEmpire składają najlepsi Imperatora. Ich wiara w słuszność tego, co robią, popycha ich do ostatecznej granicy, a poza nią króluje nieznane. Przez wiele cykli uważaliśmy, że Czarni Ranowie są dewiacją, skokiem w bok, interesującym wyjątkiem. Coraz wyraźniej jednak dociera do nas, że poszli dalej niż zwykli Ranowie. To, co uznawaliśmy za patologię, było nią w naszej czasoprzestrzeni, ale we Łzie Widzący czują się doskonale i biją nas na

głowę praktycznie we wszystkim.

W pewnym sensie ja też tam byłem, więc nie powinienem im zazdrościć, mimo to, poza rzadkimi frinowymi pakami, którymi raczył mnie Jeff, jakoś nie czułem się uczestnikiem cheronejskiej symfonii surrealizmu.

– *Co z Hanem?* – spytałem Pauline.

– *Zamknęłam go z Kononem. I z majordomusem. Uzbrojonym.*

– *Hm.*

– *Co? Zły pomysł?*

– *Z Kononem?* – Skrzywiłem się.

– *Poradziłby sobie z nim lepiej niż ty, mięczaku.*

Dziękuję bardzo. Uznałem konwersację z panią Eim za zakończoną.

Zerknąłem w okna odczytu najważniejszych baz w sektorze.

Na czas ceremonii wstrzymywane były wszelkie działania, których zwykli Sitowie nie powinni śledzić, ale nawet gdyby ich nie wstrzymano, i tak obywatele WayEmpire otrzymaliby przekaz pozbawiony tych komponentów. De facto mogli przebywać z nami cały czas, używając metu, a ImBu we współpracy z frinami odpowiednio manipulowałby wszystkim, co widzą i słyszą. Przebywaliby po prostu w spreparowanej cyfrowo rzeczywistości. Jakby gdziekolwiek indziej było inaczej.

– *Laurus, Nexus* – odezwałem się totowo tylko do nich – *mamy czas na oglądanie tej ceremonii?*

Wilehad spojrział na mnie poważnie.

– *Czekamy na informację z bazy Czujny. W Czasach Szczęśliwości wszyscy mają czas. Czy nie dołączyłeś asasyna do naszej ferajny?*

– *Dołączyłem.*

– *Dlaczego?*

– *Bo pojawił się w kluczowym momencie.*

– *Otóż to. Wlatujemy na teren Łzy i co widzimy?*

– Ceremonię.

– *Mamy jej nie oglądać? Wiesz, że błądzimy we mgle.*

Miał rację. Ale...

– *Spieszy nam się.*

– *Dokąd?*

– *Tego właśnie nie wiemy...*

– *Bingo. Kontaktowałem się już ze Starem i odczyty z wiru są prawidłowe, znaczy nie odbiegają od normy. Więc albo od razu odlecimy, albo poczekamy na rozmowę z Czujną.*

– *Laurus, nie odbierasz napięcia?*

Przez chwilę milczał.

– *Jak jasna cholera.*

– *Coś się ociągają z tą ceremonią – odezwał się Peter, przerywając naszą wewnętrzną rozmowę. – Swoją drogą, Torkil, szkoda, że cię tu nie ma. Wie już się ustawiają do wyścigów. Pogoda jest bajeczna, rozumiesz, jeszcze nie zachód, ale już nie południe, niebo niebieskie, zielone i pomarańczowe, poznaliśmy genialnych ludzi z karawany Nexusa...*

– *Ale jak się dowiedzieliśmy o ceremonii, postanowiliśmy ci podokuczać. – Pauline dotknęła mnie nierealnym palcem i pociągnęła opuszką po policzku. Odczułem to jak prawdziwy dotyk.*

– *Po prostu nie możemy się od ciebie odczepić, kochanie – powiedziała Anna.*

– *Te baby to cię kochają – stwierdził Parsifal, tuląc Brendę i Farę.*

– *I vice versa – odparłem mentalnie.*

– *No ba – rzucił jego syn Mortimer.*

– *A żebyś wiedział – odezwał się Parsifal, całując Brendę – jaki przed chwilą otrzymałem pak od Threena z dżungli na Gicie. Normalnie porywające. Drzewa wysokie na trzysta metrów, tygrys, bracie, wielki jak*

*niedźwiedź i...*

Jego usta zamknęła swoimi wargami Brenda.

Chciałbym się z nimi bawić, ale paki, które przekazał nam Besebu-Torii, skutecznie wypłukiwały ludyczne chucie.

Bąłem się nieznanego. Najgorsze w takim stanie jest to, że nie możesz się przygotować, bo nie wiesz, co cię czeka.

Zerknąłem na dane ceremonii.

Opętany był niejaki Tyrell Dawn ze sto trzydziestego szóstego Maodionu stacjonującego na Yu, podobno całkiem miłej planecie o łagodnym klimacie; tak w każdym razie informował frin, przekazując pak pełen doznań z tego globu. Po chwili poczułem się, jakbym niedawno był tam na wakacjach. Rzeczywiście miła planeta. Ciepłe morza, łagodne wiatry, łańcuchy górskie oddzielające duże połacie kontynentów od chłodniejszych południowych i północnych obszarów podbiegunowych. Tyrell po przejściu przez Rytuał Otchłani bardzo cierpiał. Jego Demon był wyjątkowo silny i agresywny, Tomo nie potrafił go opanować. Jego Bracia, Narowie, Ludzie Bramy i Charoni byli bezsilni, więc transport został wysłany natychmiast, a Opętany otrzymywał od frina uspokajające plexy. Te jednak, jak to często było w przypadku opętania, nie działały. Nieodmiennie zdarzenia te kojarzyły mi się ze znamionami HS. Tak jak w ich przypadku, reistyczne zabiegi chybiały, zupełnie jakby ich cel przebywał w innym, rządzącym się innymi prawami świecie.

Okna podglądu pokazywały, jak bojowy transporter *Lazarus* sto trzydziestego szóstego, ozdobiony jego godłem, czyli złotym trójwymiarowym lwem, wlatuje w pierścienie sensorów Bractwa Besebu, zatrzymuje się, po chwili dostaje zezwolenie na dalszy lot, zbliża się na odległość sekundy świetlnej do arbitralnie wyznaczonej granicy Łzy i wyhamowuje. Towarzystwo mu kilku Braci Besebu w potężnych ciemnych

Skymourach otoczonych nietoperzami, czarownicami, mrocznymi przedstawicielami różnych mitologii oraz upiorami, które – tak jak na pancernikach Imperium – stanowią nieodłączny element ich uzbrojenia.

*Lazarus* zatrzymuje się, złoty lew wnika w pancerz i spokojnie kładzie łeb między przednimi łapami. Luk pojazdu otwiera się, słyszymy podniosły akord, którym ImBu raczy wszystkich oglądających tę scenę. W tym momencie skanery pokazują, że z fioletowej mgły wyłania się... dziób okrętu. Skąd wiedzieli, że zbliża się transport? Przy ich umiejętnościach prekognicji moje ranowskie zdolności są niczym dziecięce popisy gladiatorskiej walki przy mistrzostwie Crasha. Niestety ich opętanie jest na tyle dziwaczne, odstające od naszego sposobu wnioskowania, że nie umieją albo nie chcą się dzielić swoją wiedzą.

Kapsuła *Chwała* z cierpiącym neofitą na pokładzie mknie w kierunku paszczy statku Widzących z ogromną prędkością – dystans, jaki dzieli Ziemię od Księżyca, pokona w kilkadziesiąt cetni. W tym czasie Belisarius Ebbo, nieoceniony mistrz ceremonii Imperium, inkantuje recytatyw:

*– Idź, synu Imperium, do krainy swoich Braci. Niech Chwała sprawi, że staniesz się im podobny, na pociechę WayEmpire i wolnych Sitizenów, których, jeśli takie będą ścieżki Chaosu, będziesz osłaniał i bronił. Płaczemy nad twoim bólem, ale i radujemy się, że we Łzie Światów odnajdziesz radość, moc i siłę. Nie jesteś sam i nigdy nie będziesz. Twoja krew dla nas i za nas.*

*Chwała* zwalnia i niknie w czeluściach statku Czarnych, co ImBu okrasza łagodnym, kojącym akordem i animacją anielic i demonów otulających ją skrzydłami. Tam zajmą się Tyrellem. Ukoją cierpienie, wprowadzą w świat niezrozumiałej wiedzy, dzięki czemu wkrótce stanie się podobny bogom.

Dziwactwo. Nieomal w centrum WayEmpire znajduje się enklawa jego obrońców, najpotężniejszych synów i cór Imperium, o których zdolnościach, motywach i sposobie funkcjonowania nic nie wiemy. Opętani nigdy nie

zrobili krzywdy obywatelowi Imperium, ale też nierozsądnie jest się zbliżyć do Erri – ich statków duchów. Zachowują się podobnie jak Łza i w ich pobliżu przestają działać napędy hiperprzestrzenne, a przy dłuższym przebywaniu także inne urządzenia.

Dotąd miałem okazję rozmawiać z Jeffem (paków nie traktuję jak rozmów) kilkanaście razy. Zawsze były to krótkie i bardzo enigmatyczne wymiany zdań. To już nie był człowiek w naszym rozumieniu tego słowa. Mówił, używając przenośni, praktycznie zawsze odpowiadał pytaniem na pytanie, zachowywał się jak Lee w swoich najgorszych okresach. Nie sposób było od niego wydobyć ani informacji, ani stanowiska. Był wiatrem na wietrze, zmienny niczym smok w symbolu yin-yang, odległy, a jednocześnie niepokojąco uderzający w głębokie pokłady podświadomości...

Naprawdę stał się czymś w rodzaju bóstwa.

I tak jak one, przestawał rozumieć potrzeby zwykłych śmiertelników. (Kolejny archaizm w naszym słowniku. Przecież nie umieramy. Ale jak w takim razie odróżnić nas od bogów?)

Ceremonia dobiegła końca, Errus Czarnych schował się w opalizującej mgłę, a *Lazarus* zawrócił, rozpędził się i zniknął w hiperprzestrzeni.

– *No, ładne* – skwitował Harry. – *Ale w zasadzie to nie wiem, czy wskoczyliśmy tu dla biednego Rana, czy z powodu naszego Torkilka.*

– *Ja dla Torkila. Tylko dla niego* – stanowczo oznajmiła Anna. Spojrzała na mnie namiętnie.

Co z tą kobietą się dzieje? Podobnie jak Pauline, nie zdecydowała się na stworzenie Twinki i Threenki, wciąż jest ze mną, ostatnio w sposób coraz bardziej wyuzdany.

Podeszła do mnie Angela i objęła reistycznym ramieniem. Między płytami naszych pancerzy przeskoczyły animowane iskry, a wstęgi *Księgi Słowa*, które do tej pory wiły się wokół pancerzy osobno, połączyły się, tworząc



wspólne świecące grzędawisko.

– I co powiesz, księżniczko? – spytała niskim głosem. – Czyj jest teraz?

Anna roześmiała się i odrzuciła połyskujące złotem włosy. Podpłynęła do nas tak drobna, niższa o metr, sięgająca ledwie mojego oświetlonego od środka relikwiarza, a potem zaczęła rosnać i nie zatrzymywała się, aż mój wzrok spoczął na wysokości jej gigantycznego biustu.

– *Na czyje piersi teraz patrzy?* – spytała.

Angela roześmiała się, a Pauline zawisła obok mojego lewego boku, złożyła na moim policzku pocałunek, po czym oświadczyła z udawaną godnością:

– *Nie wezmę udziału w tych przepychankach. Harry, chodź. Pokażesz mi, co znaczy być prawdziwym mężczyzną.*

Ukłuło. Eim miała kilku partnerów, całkiem sensownych facetów, i nie przeszkadzało mi to, ale nie lubiłem, gdy zachowywała się tak ostentacyjnie.

– *Ależ Pauline – odezwał się Norman – na pewno? Przecież nie opuszczamy jeszcze towarzystwa...*

– *No właśnie – usłyszałem z tyłu głos Steffi. Jej ramiona oplotły moją pierś. Wyglądały na niej jak ręce dziecka. – Jeszcze was nie opuszczamy.*

– W zasadzie – odezwał się Laurus – to opuszczacie. Dostałem sygnał z bazy Czujny. Mogą już z nami rozmawiać. Konwersacja może zawierać poufne informacje.

– *Och, daj spokój – powiedziała Alland, wychylając się nad moim lewym naramiennikiem. – ImBu zadba, żebyśmy niczego nie zobaczyli i nie usłyszeli, prawda, Błogosławiony?* – Spojrzała na Nexusa.

Ten niepewnie kiwnął głową.

– Ale wasza rzeczywistość może być dziwna. Gdy tylko zaczniemy coś komentować z Wilehadem czy Torkilem, będziecie mieli nagłe przerwy w transmisji...

– *I zobaczymy rajskie plaże gdzieś na Maledonii, wiem* – przerwała mu Steffi.

– Oczywiście tylko w przypadku tajnych danych...

– *Może się też zdarzyć* – znowu przerwała mu rudowłosa – *że ImBu zdecyduje, że jesteśmy kluczowymi czynnikami tej ważnej sprawy, i dopuści nas do wszystkich informacji, prawda?*

– Tak. – Nexus kiwał głową coraz bardziej zdziwiony.

Spojrzał na mnie i wysłał men: *Jak ona może tak świetnie rozumieć Imperatora?*

– *No dobrze* – odezwała się nad moją głową Anna i zaczęła maleć do normalnych rozmiarów. – *Proponuję, żebyśmy się na razie wynieśli z tego paskudnego Bashinga do Teacupa i nie przeszkadzali naszym czempionom w pracy.*

– *A wyścigi?* – spytał Peter.

– *No właśnie!* – wykrzyknął Parsifal.

– *Wyścigi!* – zawtórowały Brenda i Fara.

– *To fajniejsze* – stwierdziła Anna. – *I okoliczność ciekawsza niż ta czarna pustka.* – Spojrzała na mnie. – *Wrócimy po wszystkim.*

– *I opowiemy wam ze szczegółami* – dodał zjadliwie Peter.

– Dobrze, zmykajcie. – Machnąłem ręką, jakbym się oganiał od much.

I nagle zrobiło się względnie pusto, to znaczy jeśli nie liczyć Marsa, Leyi, Barbary, Dominica, Tella, Quai, Tanyi i wszystkich droidów tudzież O'Tooli, które nam towarzyszyły.

Spojrzeliliśmy po sobie i odetchnęliśmy.

A potem skontaktowaliśmy się z bazą Czujny.

– *Błogosławieni?* – Zobaczyliśmy głowę drona komunikacyjnego, która natychmiast została zastąpiona sylwetką komandora Roberta Ethana Coreya, organicznego, białowłosego posiadacza imponującej kwadratowej szczęki

i urządzenia optycznego, które zasłaniało jego oczy niezliczonym mnóstwem realnych i arealnych soczewek. Wysłał menowe przeprosiny za zwłokę, wyjaśniając, że zaobserwowali silny, niewidoczny w paśmie widzialnym błysk ze Łzy i niektóre urządzenia weszły w stan alarmowy. Już opanowali sytuację i mogą rozmawiać.

– *Dlaczego pancernik Star nie zanotował wybuchu?* – zadałem totowe pytanie.

– *Błysk był kierunkowy. Odnotowała go tylko baza Czujny* – padła odpowiedź.

– *Czy takie rzeczy często się zdarzają?*

– *Należą do rzadkości. A takiego nasilenia jeszcze nigdy nie zanotowano.*

– *Jaka może być tego przyczyna?*

– *Nie wiemy* – padła bezradna odpowiedź.

Przesłałem men z pytaniem, czy w obrębie wiru nie dzieją się jeszcze inne, odstające od normy rzeczy.

Komandor Corey odpowiedział, że nic poza tym błyskiem. We Łzie ciągle oczywiście coś się dzieje, ale raczej nic, co przekraczałoby normę. Patrząc na nią, ludzie mają halucynacje, urządzenia rejestrują wynurzanie i chowanie się Erri, z całą pewnością Widzący coś tam nieustannie budują czy przebudowują, ale nie bardzo wiadomo co. Komandor dodał, że chętnie wybrałby się wreszcie do obiektu, ale nie może, bo Imperium wciąż nie dysponuje statkiem, który umiałby się poruszać w „innej fizyce”. Dorzucił, że jeśli nie dane mu będzie zwiedzić wiru w najbliższym czasie, to najprawdopodobniej poprosi o przeniesienie, bo nikt o zdrowych zmysłach nie wytrzyma przy tym tworze więcej niż pięć cykli.

Podziękowałem mu, wymieniliśmy pozdrowienia i rozłączyłem się.

I tyle było czekania i zamieszania z ferajną z karawany, by w ciągu mony wymienić tych kilka paków. Przekazałem meny pozostałym i pokręciłem

głową zde gustowany. Spojrzeliśmy po sobie, wymieniając krótkie konstatacje, że po pierwsze, nic tu oprócz błysku nie znaleźliśmy, po drugie, trzeba ruszać dalej.

Usłyszeliśmy alarm Buddy. Friny natychmiast skierowały nasz wzrok dyskretnymi kursorami na najbliższy obszar Łzy, po czym zrobiły najazd na obiekty wyłaniające się z fioletowej mgły. RanStone w mojej piersi szarpnął się, jakby chciał się wyrwać na wolność. Miałem wrażenie, że talizmany tańczące wokół pieczęci Anioła Śmierci zaczęły wirować szybciej, a rysunek mojej zbroi zrobił się ciemniejszy. Coremour, wyczuwając niebezpieczeństwo, spytał, czy uaktywnić upiory. Zabroniłem.

Zobaczyliśmy je. Siedem promieniście ułożonych rzędów po dwadzieścia Erri, statków widm, z których każdy wiózł tysiąc Czarnych Ranów. Opętani mają mroczne poczucie humoru. Ich okręty wyglądają jak bardzo wydłużone marmurowo białe czaszki z mocno wysuniętą dolną szczęką. Promieniują różowofioletowym blaskiem. Gdybym tego nie widział na własne oczy, powiedziałbym, że to bajki. Ale tak właśnie wyglądają Widma Czarnego Maodionu. W dobie latających zamków, orłów, lotniskowców i żaglowców nie jest to jakiś zabójczy widok, w końcu poświęcę wokół naszych budowli i my możemy robić. Sęk w tym, że nasze statki zostały wybudowane na Worplanach z normalnej materii, a wszelkie graficzne fajerwerki są albo reistyczne, albo wygenerowane przez ImBu, natomiast Erri Widzących zostały skonstruowane tylko dzięki woli i wyobraźni ich właścicieli. Rozumiecie? Tylko dzięki woli i wyobraźni. Ja wiem, Ranowie mówią, że informacja jest podstawowym budulcem, wyobraźnia siłą kreacji, a miłość – spoiwem. Ja wiem, istnieje zasada zachowania energii, która niedwuznacznie wskazuje, że na początku istnienia świata, w momencie Wielkiego Wybuchu, było jej tyle samo, co teraz, co może sugerować, że jest jej albo nieskończenie wiele, albo nie ma jej wcale i owa energia jest tylko iluzją. Ja

wiem, że terażniejszość jest najbardziej tajemniczym zjawiskiem na świecie, bo o ile przeszłość to wspomnienia, a przyszłość wyobrażenie, o tyle *teraz* jest wszystkim, co istnieje. Problem polega na tym, że my o tym mówimy, oni zaś coś z tym wszystkim *robią*. My wyobrażamy sobie przedmiot, O'Tool, używając neurofeedbacku, dopasowuje ostateczny kształt i funkcjonalność, a Worplan wykonuje go i teleportuje do zamawiającego. We Łzie Cheronei nie ma O'Tooli i Światów Fabryk. Dlatego widok długich na pięć kilometrów świecących purpurą czaszek, które poruszały się dzięki znanemu tylko samemu stwórcy napędowi, jednak był niecodzienny. Budził grozę, pierwotny, niezrozumiały strach, soulerski niepokój. Generował fale chaosu, niezrozumiałe, dziwne, budzące w człowieku demona i boga jednocześnie. Stwierdzenie, że „są przed nami”, brzmi wobec ich potęgi infantylnie. Są ponad, ponad, ponad nami – to wydaje się właściwszym określeniem.

Erri rozpędały się. Nakazałem reszcie pozostać na statkach, błyskawicznie otuliłem się grubszą warstwą zbroi, wleciałem do śluzy, a gdy otworzyły się zewnętrzne wrota, wyprysnąłem w przestrzeń, nadbudowując dookoła siebie statek podobny do tych, którymi lecieli Opętani, tylko srebrzysty. Coś jak dawny Skullhead. Nie przyznawałem się do tego, ale lubiłem ten kształt. W stylistyce trupiej czaszki jest coś uniwersalnego. Ustawiłem trajektorię tak, żeby przeciąć drogę Widzącym. Byłem jednym z nielicznych, których zaszczycali uwagą, najprawdopodobniej ze względu na to, że miałem frinową łączność z Małym Bratem.

Mieli prędkość podświetlną, bo w kilka mon znaleźli się niebezpiecznie blisko. Obróciłem statek i tak wytyczyłem wektor podejścia, żeby zrównać się z nimi.

Kilkadziesiąt uderzeń serca później leciałem równo z najbliższym Errusem znajdującym się w odległości siedmiuset metrów ode mnie. To bardzo blisko.

Mój pojazd miał osiem metrów długości, kolos pięć kilometrów. Widziałem dokładnie ornamenty obcego statku: liczne ruchome płaskorzeźby przedstawiające demony, anielice... obejmujące się, całujące, kochające. Zamrugalem. Miałem wrażenie, że to nie płaskorzeźby, ale prawdziwe bóstwa tworzą ściany statku. Imperatorze, miej nas w swojej opiece. Mój RanStone drżał z ekscytacji, a po chwili, mimo że niewzywani, pojawili się Lee Roth i Monika Weda. Byli wielcy i świecący. Otoczyli mój pojazd skrzydłami i trwali tak, jakby dopasowani wyglądem i nastrojem do mar, które tworzyły okręt Opętanych.

– *Rzeczywistość to informacja, rzeczywistość to informacja* – mamrotał Lee Roth basem, od którego drżał cały statek.

Monika szeptała coś w zupełnie niezrozumiałym języku.

I znowu wyrwało mi duszę na zewnątrz, ku jej głowie, ku głowie diabła, i nagle byłem tą dwójką obejmującą pojazd i osłaniającą go skrzydłami. Przestało mieć znaczenie, że jest mnie dwoje i że jestem zarówno kobietą, jak i mężczyzną. To były trywialne rozróżnienia. Liczyły się tylko istnienie i adekwatność. Istnienie i adekwatność, a kontekst stanowiły Erri.

Zmówiłem mantrę skupienia:

*Koncentruję się na zadaniu.*

*Nie dam się rozproszyć.*

*Koncentruję się na zadaniu.*

*To nie myśli są moim panem.*

*Ja jestem panem swoich myśli.*

*To ja im rozkazuję.*

*To ja wskazuję cel.*

*Koncentruję się na zadaniu.*

*Ja, pan własnych myśli.*

Pomogło. Przy akompaniamencie jakiegoś niezlokalizowanego jęku znalazłem się z powrotem w swojej głowie. Podniosłem ręce do skroni, by je rozmasować, a w sterówce pojawiła się z trzaskiem wyładowań opalizująca różowa kula. Lśniła blaskiem iskier łączących ją z urządzeniami i moją zbroją. Przez ułamek cetni zasłoniłem się przed bólem, ale ból nie przyszedł – te wyładowania nie niosły cierpienia, raczej trudne do opisanego... zrozumienie, jakby wsączały we mnie narkotyki. Kula wyglądała, jakby ktoś wyciął ją z innej czasoprzestrzeni. Nie widziałem jej powierzchni, nie umiałem określić odległości ani uchwycić ostrości obrazu. Frin analizował obraz i wyświetlał bezradny komunikat: „Przedmiot nieznanego pochodzenia”.

Ja jednak wiedziałem, że istnieje. Biedny frin nie wie po prostu „jak”.

Wreszcie zobaczyłem w różowej mgłę ciemną twarz Farah Adida. Poczułem, jak coś mnie ciągnie, a po chwili od niej odpycha. Towarzyszył temu niski pomruk. Lee Roth wzmógł swoją litanię, a Monika szeptała coraz szybciej.

Wyładowania kuli syczały i wiły się, sterówka zaczęła się wyginać. Fraktalna struktura mojego pancerza wyraźnie nie lubiła innej fizyki.

– Witaj, Bracie w mocy. Co cię sprowadza? – spytał.

– Witaj, Strażniku. Chciałbym porozmawiać z bliźniakiem.

Uśmiechnął się. W zasadzie nie musiałem tego mówić. Adid powoli pokiwał głową. Temu nigdy się nie spieszyło. W Młodym Imperium również.

W kuli pojawiła się głowa Jeffa.

RanStone w moim relikwiarzu szarpnął się, jakby chciał polecieć do Spacemana.

Usłyszałem szloch Moniki. Spojrzałem na nią. Z jej pięknych oczu ciekły łzy. Patrzyła na mnie, wykrzywając usta, a cała jej twarz wydawała się krzyczeć: „Nie odchodź! Nie odchodź!”.

– Witaj, Torkilu. – Uśmiechnął się. Był w tym uśmiechu cień ironii, a moja sterówka, moja zbroja, mój świat zaczynały się rozpadać na pojedyncze flofy, bo wszystko traciło znaczenie, inne zaś, pełniejsze, piękniejsze, cudowniejsze wołało do mnie ze Łzy Cheronei.

– Dzień dobry... Jeff.

– Chcesz wiedzieć, dokąd lecimy.

Frin wyświetlił komunikat, że integralność statku jest zagrożona. Fraktale walczyły o utrzymanie szczelności, ale przegrywały z mocą Opętanych. Oni nie życzyli mi źle. Byli w sposób naturalny toksyczni dla nas, tak jak bonsai Larmana dla innego ekosystemu.

– Oczywiście – odparłem. – Pospiesz się.

– Lecimy chronić ludzkość.

Coś z tyłu statku trzasnęło. I znowu. Zobaczyłem komunikat: „Utracono szczelność!”.

Schowałem większość pojazdu do hipoka. Zostawiłem tylko sterówkę, a potem zaledwie przednią jej część, wisząc w kosmosie jak cyklista trzymający wyłącznie rączkę roweru. Między mną a resztą spacemobila tkwiła, zanikająca już, różowa kula.

– Przed czym?!

Przez chwilę milczał. Patrzył w dal. W tle, za jego mieniącą się wszystkimi kolorami zbroją, widziałem kilkunastu Opętanych stojących wokół białej marmurowej fontanny. Wokół nich tańczyły biesy i anielice.

– Przed złem – rozległ się jego słaby głos.

Psiakrew, jak zwykle metafory!

– Czym jest to zło?! Za chwilę stracę łączność! Powiedz! Prześlij pak!

Spojrzał na mnie jasnymi oczami. Nie było w nich współczucia, tylko jakaś nieludzka... mądrość.

– Wkrótce się dowiecie.



– Prześlij mi pak!

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

Moja zbroja znowu zatrzeszczała i poczułem... zew. Coś ciągnęło mnie do pościgu, do podróży, do zrealizowania wielkiego epickiego celu gdzieś na obrzeżach Galaktyki, celu, który zakończy moje życie, ale stanie się najpiękniejszym możliwym wyzwaniem.

Roześmiał się, a gdy to zrobił, zatańczyła wokół niego anielica. Wyglądała podobnie do Moniki.

– Rozluźnij się.

Wtedy kula rozpadła się, podobnie jak resztki mojej sterówki, które powoli rotując, zaczęły się ode mnie oddalać. Kazałem im zniknąć w podprzestrzeni.

Erri przyspieszyły, by za chwilę utonąć w czerni. RanStone się uspokoił. Teraz drżał tylko na krawędzi percepcji, reagując po prostu na Łzę. Moje duchy opiekuńcze patrzyły na mnie w milczeniu, a ja dygotałem. Drżałem z tęsknoty za tym, co przed chwilą czułem, za nowym światem we Łzie, za przygodą z bogami u boku, za nieznanym, za wielką niewiadomą, która miała się stać ich udziałem, a nie moim. Człowiek zawsze marzy o przygodzie. Choćby miał tysiąc cykli i tak tkwi w nim dusza młodzieńca i łka, gdy widzi tych, którzy niczym dawni jeźdźcy, pędzą ku zachodzącemu słońcu.

Monika wyciągnęła do mnie smukłą rękę.

– *Torkilu?*

Spojrzałem na nią.

– *Tutaj także cię potrzebują.*

Lee powoli skinął rogatą głową.

– *Ale* – pomyślałem do niej i wyciągnąłem palec tam, gdzie zniknęły Erri – *tam jest... piękno.*

– *Czy zawsze będziesz podążał dalej i dalej, i dalej? Czy nigdy się nie zatrzymasz?* – spytała, zaglądając mi głęboko w oczy.

Czy w podróży człowieka, tak zwanym rozwojem, można bezkarnie hołdować ciekawości, przekraczać w nieskończoność granice? Kiedyś wierzyłem, że tak, i teraz także chciałem je przekraczać. Tak jak wielki błękit wabi nurków, tak jak Eynet wciąga Ranów, tak mnie coraz bardziej urzekał świat Opętanych.

Demon położył mi sękatą dłoń na pancernym ramieniu. Patrzył zwykłymi, bardzo ludzkimi, szaroniebieskimi oczami. I nagle zobaczyłem w tych oczach... starość. Zwyczajność. Rutynę. Koniec. I ten koniec był jak przekleństwo.

Nie.

Nie, to, do jasnej cholery, nie ja. Ja chcę się rozwijać, choćby kosztem miłości, najbliższych, wszystkiego. Ciekawość tego, co za wzgórzem, za kolejnym zakrętem, za kolejnym zachodem słońca, jest silniejsza. Zawsze była.

Odepchnąłem jego rękę.

Wtedy duchy zniknęły, a ja poczułem wielką samotność.

W szkaradnej czarnej pustce kosmosu była wyjątkowo przejmująca.

Spojrzałem na Łzę Cheronei, która obracała się tak wolno, że nie sposób było dostrzec jej ruchu.

Moje usta bezgłośnie wypowiedziały słowa:

– Mój... dom.

– Torkil? – rozległ się głos Laurusa. – Torkil? No i jak?

– Prześlij pak! – usłyszałem niski tembr Angeli.

Milczę.

– Torkil? – tym razem odezwał się Nexus.

– Co się z nim dzieje? – spytała Tanya.

Byli zaniepokojeni. Czuję to. Czuję każdym nerwem, każdym zmysłem cholernego soulerskiego ciała.

– Torkil? – znowu Laurus.

Popatrzyłem na ten kawałek gwiazdzistej przestrzeni, gdzie jeszcze przed chwilą świeciły Erri.

– Już do was lecę.

– Ale o co chodzi? Dokąd oni polecieeli? – dopytywał się RanaR.

– Nie wiem.

Ja, Błogosławiony, współtwórca cywilizacji, która – wydawałoby się – nie mogła już dalej posunąć granic wolności, zapragnąłem ze wszystkich sił stać się Opętanym.

## Obraz 4

# CIII

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Wiz, grunt  
Polia Tris, dystrykt Hook  
08 Decimi 232 EI, 13.48 H

– SamSara, SamSara – zaśmiał się Dionizy. Lubił się tak zwracać do Sama Yona i Sary Bor. Twierdził, że to lepiej oddaje charakter ich związku. Nigdy nie wytworzyli Twinów i Threenów, zawsze razem, zawsze pojedynczy. – Jesteście jak te papużki nierozłączki!

Na potwierdzenie jego słów w powietrzu pojawiły się dwa animowane kolorowe ptaki, usiadły mu na ramionach i zaczęły się przekomarzać.

– Dlaczego tak się razem trzymacie?

Sam i Sara zatrzymali się w powietrzu, a pędzące za nimi dzieci rodziny Starów oraz wszelkich innych zaproszonych gości przeleciały nad nimi, pod nimi i obok nich jak szalone stada jeżyków. Szatą Dionizego Stara szarpnęły silne podmuchy, otaczające go animacje, zupełnie jakby były reistyczne,

także załopotwały.

– Wujku, ciociu, gońcie nas! – czereda krzyknęła cienkimi głosikami.

Dionizy pokiwał im ręką, dając znak, że ich ulubieńcy zaraz do nich dołączą.

– Bo ja wiem? – odparł zdyszany Sam. Na jego naramiennikach błyszcząły rozgrzane od strzałów działka zabawki, którą kupił na targowisku. Spojrzał na Sarę mechanicznymi oczami. – Chyba strasznie do siebie pasujemy.

Kobieta skinęła oranżową głową ozdobioną srebrnymi secesyjnymi ornamentami.

– Urodziliśmy się w tym samym dniu, na tej samej planecie, w tej samej polii...

– Przy tym samym ciągu komunikacyjnym – dokończył Sam. – Sara uwielbia kuchnię i zwierzęta...

– A ty zabawki – weszła mu w słowo kobieta.

– Ta... – Dionizy podrapał się w siwą brodę. – Bardzo przekonujące. To brzmi jak lenistwo: nie musieliście się daleko szukać. Jednak zainteresowania macie zupełnie różne.

– Ale podoba nam się to samo – odparł Sam. – Na przykład kolor pomarańczowy.

– I wybór motombów na ciało, znaczy dimenizm zamiast organizmu. – Bor roześmiała się.

– Ale ty lubisz holmy ambitne i obyczajowe. – Yon podrapał się w tył metalowej głowy.

– A ty wygenerowane w sieci gnioty science fiction, gdzie sajensu jest tyle co nic.

– No właśnie. Znowu różnica – skwitował Dionizy.

– O co ci chodzi? Chcesz nas poróżnić? – Sam wycelował w niego działka zabawkowej broni.

– Nie. Po prostu stwierdzam. Czy ludzie nie mogą w dzisiejszych czasach zwyczajnie porozmawiać?

– Wujku, bawmy się! – krzyknęła wisząca nad nimi Zoe. – Dziadku, zagadujesz gości!

– Już, zaraz! – odkrzyknął Sam.

Sara spojrzała z uśmiechem na wrzeszczącą w dole czeredę. Dzieci rozpędzały się i skakały w okrągłe teleporty wiszące nad przepaściami tarasów, by wyłonić się w losowo wybranych teleportach rozsianych w pobliżu siedziby Starów. To była najnowsza odmiana gry w berka. Z oddalonego najbardziej na południe pustego koła wyskakiwała właśnie roześmiana dziewczynka, gdy zza wieży w tle wychynął wielki dom podobny do różowo-białej cebuli.

– A to co? – spytała Sara.

– Stacja exuterów. Mamy w Tris trzy – odparł Dionizy.

– O? – Bor spojrzała na Sama.

– No co?

– Ty wiesz, co.

Droga Mleczna

Macierz

Łza Cheronei

Sektor zewnętrzny 12/5465464

08 Decimi 232 EI, 13.63 H

Mimo dziwaczного zachowania Czarnych trzeba było zgodnie z planem dokonać inspekcji CIII. *Ulisses Nexusa*, *Bashing Laurusa*, *Walker Tanyi Kitaro* i mój *Teacup* rozłączyły się. Przeszliśmy do *Bashinga* tylko we trzech

– Nexus, Laurus i ja – zostawiając w *Teacupie* nawet nasze orszaki, i skierowaliśmy się do lokacji Gilgamesh tak tajnej, że wolno tam było wlatywać tylko jednym airvillem naraz i, rzecz jasna, mogli to robić tylko najważniejsi z ważnych.

Dwie nanosekundy po tym, jak statek Laurusa wyłonił się z podprzestrzeni, został namierzony przez *Śmiałego*, *Zdobywcę* i *Gromowładnego*, pancerniki klasy *Invincible* z pełną reprezentacją upiorów, trzy spośród pięciuset, które otaczały planetę Enkidu.

Dookoła globu stacjonowało jeszcze trzydzieści ustawionych symetrycznie baz naukowych wyposażonych w gigantyczne teleporty wypluwające nieustannie roje mikro- i nanobotów z Worplanu Kali, którego istnienie i lokalizacja także znane były jedynie nielicznym.

Przed planetą, a dokładnie rzecz biorąc, przed torem jej ruchu, tkwiła pozornie nieruchoma, jedna z większych konstrukcji WayEmpire, a jednocześnie struktura zupełnie pionierska. Na pierwszy rzut oka przypominała bardzo grubą pierścień Ecoris, ale nie była po prostu wianuszką baz. Był to największy w historii teleport. Urządzenie, którego zadaniem było wysłanie całej planety w diabły. Prace miały się ku końcowi i lada dzień planowano dokonać rozruchu. Gdy padnie komenda, pierścień po prostu zwolni swój lot po orbicie, rozwinie dwie dodatkowe obręczki i pozwoli, by glob zdematerializował się w jego wnętrzu.

Skąd pomysł, by wyrzucić w hiperprzestrzeń całą kulę?

No właśnie.

Czym jest CIII?

Imperium ma wiele tajemnic. A chyba największą jest właśnie ta planeta.

W sto siedemdziesiątym drugim cyklu Ery Imperium sonda zwiadowcza SY 85/1234559015 odkryła w Ramieniu Oriona system HR 42532790/890, a w nim coś, co dotąd opisywały tylko teorie.

Za wiele miliardów cykli dojdzie do wielkiego chłodu. Entropia będzie wtedy tak wysoka, że nie zdoła przetrwać żadna cywilizacja. Atomy same w sobie oraz tworzące je cząstki będą tak nieruchawe, że nic ich nie poruszy. Jeśli w tym czasie będzie istniała jakaś rozumna rasa, to bardzo prawdopodobne, że będzie to cywilizacja trzeciego stopnia, czyli tak zaawansowana, że umiejąca wykorzystywać galaktyki jako źródła energii. Warto zaznaczyć, że WayEmpire skolonizuje jeden tylko spiralny świat za wiele tysięcy cykli, a o korzystaniu z Drogi Mlecznej jako źródła energii może jedynie marzyć. Taka jest różnica zaawansowania.

Wracając do hipotetycznej cywilizacji wielkiego chłodu, jedyną szansą na jej przetrwanie będzie wysłanie przez czarną dziurę emisariusza – informacyjnego kwantu, który zawierać będzie całą wiedzę na jej temat. Po drugiej stronie, po wyjściu z białej dziury w świecie równoległym, oczywiście młodszym od tego wychłodzonego, kwant ów zreprodukuje całą cywilizację dosłownie z jednej informacyjnej drobiną za pomocą wpływów subatomowych, atomowych, następnie nanobotów, mikrobotów, a później coraz bardziej zaawansowanych maszyn. Cywilizacja trzeciego stopnia będzie tak inteligentna, że bez trudu stworzy swoją replikę z dotychczasową wiedzą i pamięcią w bardzo krótkim czasie. Proces ten pochłonie niejedyn system planetarny, niejedną galaktykę i będzie tak szybki, że nie potrafimy sobie tego wyobrazić. Właśnie w ten sposób CIII odtworzy się w pełni chwały w ciepłym równoległym wszechświecie.

W sto siedemdziesiątym drugim cyklu Ery Imperium emisariusz cywilizacji trzeciego stopnia został wykryty na czwartej planecie systemu HR 42532790/890, który potem nazwano Gilgamesh, a sam glob Enkidu, na pamiątkę owłosionego przyjaciela sumeryjskiego herosa. Bardzo poetyckie, nieprawdaż? To niewiarygodny przypadek, że sonda wykryła tę drobinę w chwili, gdy ta uderzyła w grunt. ImBu natychmiast wysłał tam armie



dronów, a potem naukowców, lecz nim ci pojawili się na miejscu, przeanalizował sytuację i nakazał za wszelką cenę powstrzymać rozwój zarazy, bo zgodnie z jego obliczeniami w ciągu kilku dni CIII skonsumowałyby całą Drogę Mleczną, a być może i Grupę Lokalną. Teraz Enkidu to największe pole bitwy ludzkości. Tutaj ścierają się nasze niedoskonałe miniroboty i drony z piekielnie szybką armią CIII. Bąbel planety jest drążony, pożerany, drobiny wroga zwalczają nasze drobiny, jedne przekształcają się w drugie i odwrotnie, walczy cząstka z cząstką, poronne układy logiczne z układami niedokończonymi, rój z rojem, chmura z chmurą. Planeta świeci, huczy, wygląda jak dziwaczne, odkształcone włochate słońce, tak gęsto tam od mikrostarć, które zamieniają jej atmosferę w plazmę, w mikrośłońca, w maleńkie czarne dziury. To największe pandemonium w historii, które – gdyby wymknęło się spod kontroli – zjadłoby WayEmpire na śniadanie. Cały glob jest osłaniany wielowarstwowym polem ochronnym, by żaden mikrobot wroga nie uciekł. Mikrodziała *Śmiałego*, *Zdobywcy*, *Gromowładnego* i pozostałych czterystu dziewięćdziesięciu siedmiu specjalnie przystosowanych pancerników nieustannie ostrzeliwują otoczenie planety i anihilują drobiny mniejsze od przekroju włosa. Miniwyrzutnie zamontowane na setkach mniejszych stacji bojowych dryfujących wokół Enkidu strzelają w przestrzeń, strącając wszelkie technologiczne wirusy. Ten stan trwa już pięćdziesiąt cykli i, niestety, coraz szybciej przegrywamy tę wojnę.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat w twojej galaktyce wyłoni się wysłannik CIII? Jeśli wszechświat to biliony bilionów galaktyk, a multiwszechświat składa się z nieskończonej liczby równoległych czasoprzestrzeni – jest bliskie zeru. Prawdziwemu zeru, które oznacza, że prawdopodobieństwo jest żadne, że to niemożliwe. Dlatego trudno uwierzyć, że WayEmpire spotkało to wątpliwe szczęście. Ten cholerny cud.

Oczywiście można by zaryzykować i anihilować planetę, ale istnieje potężne ryzyko, że jakiś umiejący się powielać kwant przetrwa katastrofę i osiadzie... gdziekolwiek. Wtedy los Imperium byłby przypieczętowany.

Dlatego postanowiliśmy zrobić to, co podpowiadał rozsądek. Wysłaliśmy pięć statków, które nazwaliśmy Strider 1 i Strider 2 i tak dalej, bezzałogowych molochów przystosowanych do wykonania milionów skoków, prosto w przestrzeń międzygalaktyczną. Miały lecieć tak długo, aż skończy im się energia lub ulegną awarii, co w erze samonaprawiających się materiałów i struktur czerpiących energię niemal ze wszystkiego jest mało prawdopodobne. Kosmos jednak pełen jest niespodzianek, dlatego ku krańcom znanego wszechświata poleciało pięć Striderów, nie jeden. Ten, który znajdzie się najdalej w momencie, w którym stwierdzimy, że nie możemy już dłużej czekać, poda swoje koordynaty i właśnie tam wyślemy całą planetę, całego cholernego włochatego Enkidu, niech mu kosmos zimnym będzie. Wyślemy go z dala od galaktyk, w najzimniejszą z pustek, by miał niewiele materii, z której mógłby skorzystać. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że spowolnimy w ten sposób marsz CIII. Jeśli któryś ze Striderów pokona tak dużą odległość, że od miejsca jego pobytu oddzieli nas kilka lub kilkaset tysięcy galaktyk, możliwe, że zabezpieczymy sobie byt na co najmniej kilka tysięcy cykli. A co będzie dalej? Imperator raczy wiedzieć.

Tak czy owak, czas naglił, bo Enkidu już zdawał się pękać w szwach i odnosiło się wrażenie, że próbuje konkurować blaskiem z więzącym go Gilgameshem.

Niewątpliwie CIII miała prawo mścić się na Imperium Drogi, które od tak dawna uniemożliwiało jej rozwój, nie bardzo jednak umiałem powiązać tę cywilizację z zarazą na Cyklonie i przeciążeniem hiperprzestrzeni. Jak miniroboty dopiero usiłujące stworzyć maszynki, które budowałyby

maszyny, mogły być tak cwane, by skonstruować wirusy zawierające nasze DNA?! Z drugiej strony to właśnie był sposób – zamienić ludzkość w wygodnych robotników. Ale taki manewr był możliwy tylko w trzech przypadkach.

Kwarantanna została przerwana – jakiś idiota zbliżył się do planety, wskutek czego fragment jego DNA został przebadany przez nanoboty CIII. W ten sposób cywilizacja wyższego stopnia uzyskała wiedzę na nasz temat i *voilà*, właśnie dobiega nam się do skóry. Druga możliwość jest taka, że kwarantanna została przerwana na samym początku – sonda, która odkryła CIII, nosiła mikroślad człowieka i CIII, wyczerpawszy inne środki, postanowiła skorzystać z tej wiedzy. Oba te przypadki są jednak możliwe tylko w sytuacji, gdy zaistniałby punkt trzeci, czyli ucieczka wrogiego kwantu z systemu Gilgamesh. Teoretycznie było to możliwe chociażby dzięki zasadzie nieoznaczoności – nawet czarne dziury parują – ale kordon wokół planety rozciągał się na wiele milionów i hektów świetlnych. Naprawdę mało prawdopodobne. Co do ingerencji w hiperprzestrzeń, nie miałem pojęcia, jakie zdolności ma obecnie CIII, ale z tego, co wiedziałem, masa Enkidu nie malała, więc raczej nic się w beczas nie przenosiło...

Podzieliłem się tymi pakami z Nexusem i Laurusem. Skinęli głową i przesłali mi podobne konkluzje.

- Okej, Torkil, łącz się – zakomenderował Wilehad.
- Dlaczego ja?
- Jesteś Aniołem Śmierci. Stoisz najwyżej w hierarchii.
- Lubisz gadać – dodał Nexus.
- *I jesteś ofiarą* – usłyszałem od Tella.

No tak. Choćby był na drugim końcu Galaktyki, i tak mnie usłyszy. Dlatego właśnie społeczność Dragonoidów jest otoczona kokonem, dlatego tak trudno do niej przeniknąć. Nie tylko sami chronią dostępu, ale i ImBu

zdaje sobie sprawę, że stanowią swoisty bank danych. Tajemnice WayEmpire są dla nich tylko połowicznymi sekretami. Wiedzą dużo więcej niż statystyczny obywatel, a domyślają się wszystkiego.

Cieężko westchnąłem.

– *Tell, możesz nie podsłuchiwać?*

– *Mogę, ale nie chcę.*

– *Przyjacielu, narażasz się.*

– *Jesteśmy w tym razem.*

No i mnie złapał.

Zerknąłem na Laurusa. Ten mrugnął i spytał:

– *Gadasz ze Smokiem?*

– *Yhm.*

– *Zawsze mówiłem, że te związki są niebezpieczne.*

– *Yhm.*

– *Dobra, łącz się.*

Wywołałem komandora Frosta ze *Śmiałego*. Z sięgającego sufitu trójwymiarowego ekranu spojrział na nas człowiek-robot o kanciastej szczęce i wizjerach optycznych rodem z holmów science fiction o złowrogich najeźdźcach z kosmosu. Świeciły na czerwono i kojarzyły się z jakimś demonicznym władcą ciemności. Trochę Frosta znałem i wiedziałem, że specjalnie używa takiego image'u, by sprawdzić charakter organicznych podwładnych. Jeśli przy pierwszym spotkaniu zareagują nie tak, jak powinni, od razu się ich pozbywa. A jak powinni zareagować? „Skupić się na słuchaniu i rozumieniu, a nie na rzeczach zbędnych”, tłumaczył. Trudno było się z nim nie zgodzić. Być może dlatego *Śmiały* na poligonach był zawsze w czołówce.

Potężny oliwkowy motomb Frosta był praktycznie pozbawiony linii łączeń i górował nade mną. Jeśli chcesz teraz porozmawiać z kimś normalnego

wzrostu, wybierz albo mało ekscentrycznego cywila, albo Rana (oczywiście uznając za normę trzy metry), bo wśród oficjeli znajdziesz miniatury lub – częściej – drągali. Oczywiście mogłem optycznie zniwelować różnicę wzrostu, ale nie chciałem tego robić. Bawił mnie ten taniec rozmiarów.

– Witaj, Błogosławiony.

– Dzień dobry, komandorze. Jak sytuacja?

– Wszystko jest pod kontrolą. Sukinsyny się mnożą, ale je tłamsimy. Ciągłe mamy przewagę. Wysłałem do ImBu prośbę o jeszcze dziesięć pancerników. Tak na wszelki wypadek.

Hm. Czyli wcale nie jest słodko.

– Komandorze, czy...

– Niemożliwe. Przepraszam, Torkilu, że wchodzę w słowo, ale wiem, o co chcesz zapytać. Nic się nie przedostało. Mamy tutaj takie zagęszczenie skanerów, że zaglądamy w dupę każdemu fotonowi. Nie mamy za bardzo wpływu na neutrina, ale z tego gówna nawet CIII maszyny nie ulepi. Anihilujemy wszystko. Takiej próżni jak wokół Enkidu nie ma w całym wszechświecie.

– Ręczysz za to?

Spojrzał na mnie bardzo uważnie swoimi niezwykle złożonymi, złowrogimi sensorami optycznymi.

– Torkilu, daję swoją stalową głowę. Z tego globu nic nie uciekło.

– A parowanie kwantowe?

Skinął połyskliwym łbem.

– Tak, mamy takie przypadki, całkiem sporo. Najdalszy zanotowany dwie setnie świetlne dalej, a dosłownie dek temu – pół mony. Otaczamy ten cholerny układ aż do obłoku Oorta. Czyścimy wszystko.

– Turyści?

To było niebezpieczne pytanie. Systemu Gilgamesh nie było na mapach,

dane skokowe nie istniały w żadnym cywilnym komputerze. Mimo wszystko jednak liczba obywateli Imperium była tak wielka, że nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś tu wskoczył, choćby przypadkowo. Tylko czy Frost powiedziałby mi o tym? Załóżmy, że jakiś ciekawski cudem znajduje tu drogę. Co zrobiłby komandor *Śmiałego*? Pozwolił mu uciec? Niemożliwe. Airvill mógłby zostać skazony. Wymazał pamięć wędrowców i odesłał do Macierzy? Też nie. De facto każdy, kto wskoczyłby tu bez odpowiedniej ochrony mikrodział, które my posiadaliśmy, był skazany na...

– Kilka dni temu.

– I?

Odziany w oliwkowy motomb żołnierz pokręcił powoli mechaniczną głową.

Hm.

Niejeden raz starliśmy się z Jackiem Frostem na Nomorii. Był twardym, pedantycznym i *ad mortem defecatum* odpowiedzialnym sukinsynem. Swoją robotę traktował śmiertelnie poważnie.

Nie była to miła konstatacja.

Musieli zginąć. Cholera jasna, w Czasach Szczęśliwości?!

No cóż, z drugiej strony mózg airvilla z pewnością ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Tylko kto w naszym cukierkowym świecie poważnie traktuje takie ostrzeżenia? Gdyby nie ta pieprzona klauzula Wolnej Woli, mózg pojazdu wysłałby plex uniemożliwiający wydanie rozkazu i turyści nie zginęliby. Ale nie mógł tego zrobić. Człowiek ma prawo do popełniania błędów, nawet ryzykowania własnego życia.

Spojrzałem na Frosta. Co się dziwię? Oto patrzę na żołnierza, który uwielbia wojaczkę, a więc także ryzyko. Gdyby nie to, nie zostałby wojownikiem. Niejeden raz jego mechaniczne ciało było rozbijane na podzespoły, lecz o wiele częściej on spuszczał manto przeciwnikom. Sporo

mężczyzn, organicznych i dimenów, zasiląco Imperialną Armię. To wciąż było w WayEmpire atrakcyjne, mimo ryzyka. Świetne bryki – trudno wyobrazić sobie coś fantastyczniejszego od imperialnego pancernika – wspaniałe technologie, mnóstwo celów do realizacji, coś jak gra, tylko w realium. Tak, człowiek ma Wolną Wolę również w zakresie decydowania o własnym życiu.

– Jeszcze coś... Błogosławiony? – spytał Jack Frost.

– Nie, komandorze. Dziękuję.

– Zatem deep space, Torkilu.

– Deep space, Jack. – Spojrzałem na Laurusa i Nexusa. – *Słuchajcie* – nadałem totowo – *nie macie wrażenia, że kręcimy się za własnym ogonem?* – dodałem zrozumiałe tylko dla Wilehada wspomnienie spod Si-Han, gdy Stratos Thirii wodził nas za nos. Wtedy leżliśmy dokładnie tam, gdzie Bestia chciała. Stosowała fintę za fintą, a my, pozbawieni inicjatywy, odpowiadaliśmy na jej markowane ruchy.

– *Nie mamy inicjatywy* – potwierdził Laurus i dodał związaną z tym rosnącą irytację.

– *Czarny Maodion ją ma* – powiedział chłodno Mario, a w stwierdzeniu tym była złość, którą zgodnie ze swoim charakterem łykał i pozwalał, by eksplodowała wewnątrz flofowego ciała.

– *Ale, kurwa, działają na swój diabelski sposób!* – warknął Laurus.

– *Torkil* – Mario spojrzał na mnie – *odbierasz paki od Jeffa? Co ci mówią?* Pokręciłem głową.

– *Na razie cisza. Nie wysyła ich często. Zresztą może to i dobrze.*

Laurus poruszył szyją, jakby nagle mu zdrętwiała.

– *A co czuje nasza Charonka?*

Połączyłem się z nią totowo. Przekazałem pytanie. Po chwili przyszła odpowiedź:

– *Ten gniew... czuję go coraz silniej.* – Jej chabrowe oczy były pełne lęku.  
– *Torkil, to się nasila...*

Spojrzałem na przyjaciół.

– Jakież pomysły?

– Moim zdaniem – odezwał się Nexus – to nie CIII i nie Łza. Zwyczajnie nie ten *modus operandi*. Te kwanty jeszcze nie myślą, tak sędzę. Może jakaś inteligencja roju, bo ja wiem? Ale DNA i to atomowe byle co? Nie kupuję tego. Przyczyną są albo Thirowie, którzy wymknęli się Imperatorowi, albo coś innego. Ale jeśli to drugie, czego od nas chce? Przecież nikomu oprócz Thirów nie zależliśmy za skórę.

– Nawet Whalom – rzuciłem.

– A moim zdaniem Whalom należy się przyjrzeć – odezwał się Laurus. – Oni są znani z wysyłania drobin o różnych przeznaczeniach...

– Ale jak to połączyć z ostrzeżeniami Charonów? – spytałem.

Alarm. Odbieram przekaz ImBu.

– *Generatory Mirova czterech pancerników stacjonujących wokół Łzy Cheronei: Gwiazdy, Mocnego, Zemsty i Zagłady, uległy uszkodzeniu. Zalecana jest natychmiastowa inspekcja. Jesteście najbliżej, sprawdźcie to. Są tam Błękitne Żuki. Wysyłam też Pierwszą Sto Czwartego.*

Generatory uległy uszkodzeniu?! Owszem, kilkadziesiąt razy w ciągu z górą dwustu cykli istnienia WayEmpire coś się w nich zepsuło, ale nigdy jednocześnie!

– To musi być Łza – orzekł Nexus. – Jej wpływ. Musimy pozostawić *Bashinga* w bezpiecznej odległości i dolecieć tam na konwencjonalnym napędzie.

– Zgadza się – potwierdził Laurus i przekazał men, że poprosił już naszych przyjaciół, by odsunęli od wiru *Ulissesa*, *Walkera* i *Teacupa*. Na piętnaście mon świetlnych. – Jakież teorie? – warknął.



Wzruszyłem ramionami. Nexus, takie miałem wrażenie, chciał zagryźć mechaniczne wargi.

- Kurwa, ktoś nam gra na nosie! – skwitował RanaR.
- Dobrze, że polecili tam Błękitni – rzucił Mario.
- Ale po chuj Pierwsza Sto Czwartego? – spytał Wilehad.
- Są dobrzy – odparł Taylor.
- I znają się na fizyce macierzy?
- Tak kazał ImBu.
- Nie gadaj, Laurus – odezwałem się. – To w końcu Ranowie. Nie ma jak asysta Maod-Anów. Są jak, rozumiesz, kitchenmat.
- Tak jest – potwierdził Nexus. – Nadają się do wszystkiego.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Rihanna, raj  
Karawana Błogosławionego Aymore'a  
Sektor J 32354  
08 Decimi 232 EI, 13.79 H

Han Fierce spojrzał uważnie na Konona, który od kilkunastu mon sprawiał wrażenie, jakby przebywał w arealium. Jego motomb co prawda poruszał się, nawet na niego patrzył, ale sposób, w jaki wisiał na realnym szeslongu, w jaki wykonywał ruchy, sugerował, że sztuczna inteligencja zbroi przejęła sterowanie i funkcjonowała autonomicznie, zgodnie z zadanym programem. Dusza w środku raczej nie obserwowała otoczenia.

Włączył wsteczną kamerę.

Majordomus airvilla, pająkokszałtny cudak, trzymał go pewnie polem

siłowym, pozwalając od czasu do czasu rozluźnić mięśnie i zmienić pozycję.

Fierce był wściekły. Stado Aymore'a potraktowało go jak śmiecia. Ta Pauline odgrażała się, że go zabije, nikt o nic go nie pytał, nikt nie zadał sobie trudu, by zgłębić ofiarę, jaką złożył, przeprowadzając swoją akcję. Może trochę ten Torkil, ale nawet on nie zwracał potem na niego uwagi. „Myślą, że jestem idiotą, i srodze się zawiodą”, pomyślał.

Poprosił frin, by połączył go mentalnie z Gutbergiem Warwickiem. W swoim paku zawarł sugestię, by ten nie odzywał się na głos.

Po chwili zobaczył przed sobą znajomą twarz.

– *Han?* – Gut, zgodnie z sugestią, odezwał się mentalnie. Jego usta pozostały nieruchome. – *Czego chcesz? No i jak w ogóle? Udało się?*

– *Nie udało.*

– *Nie trafiłeś?!*

– *Trafiłem, ale Agona.*

Warwick zbladł. Przez chwilę nerwowo się rozglądał.

– *Kurwa, nie sensuj do mnie, bo mnie namie...*

– *Nie pierdol. ImBu cię namierzył w momencie, gdy zasensowałem. Już jest za późno.*

Handlarz zaczął głębiej oddychać i wyciągnął do Fierce'a zakrzywione palce.

– *Ja pierdolę, zabiję cię za to.*

– *Uspokój się. Jeśli do tej pory nie odwiedzili cię ani pszczołka, ani Błogosławiony, to znaczy, że pojebany ImBu toleruje twój interes i współudział.*

Gut spojrzał w bok, jakby się obraził.

– *Dzięki.*

– *Pamiętasz, co ci obiecałem za Eleonorę?*

Mężczyzna spojrzał przytomniej na Fierce'a.

– Przysługę.

– Zgadza się. Dorzucę drugą, jeśli wyświadczysz mi jeszcze jedną uprzejmość.

– Pojebało cię. To działa odwrotnie: ja dałem ci prezent, więc jesteś mi winien rewanż. Jak zrobisz coś dla mnie, będziemy kwita, i wtedy...

– Zamknij się. Powiedziałem, że będę ci winien dwie przysługi.

– To już jakby... kredyt! Hehehe! – Warwick uśmiechnął się, nie pokazując zębów. – Jak w niektórych grach!

– Litości, Gut. W raju Rihanny wisi Grendel, mój airvill. Podaję ci namiary. I Sokół, wiesz, statek. Był pokiereszowany, ale może już się naprawił i tam doleciał. Poleć sam albo wyślij drona. Niech uruchomi oba pojazdy i każe im śledzić tę karawanę. Podaję namiary...

– A sam nie możesz tego zrobić?

– Trzeba wcisnąć kilka guzików w Grendelu. Nie mogę. Jestem uwięziony.

– Uwię-co? Na Sofii?

– Nie. W polu siłowym w airvillu tego, do którego strzelałem.

Warwick podskoczył i plasnął się w uda.

– Ja pierdolę! Genialne!

– Nie bardzo. Zrobisz to dla mnie? Musisz uruchomić wszystkie systemy, żebym mógł wydać rozkazy moim robotom.

– To będzie druga duża przysługa.

– Nie ma sprawy.

Gut uśmiechnął się lubieżnie.

– Poznasz mnie z tą Julią.

– O nie.

– Poznasz mnie z Julią i jej koleżanką Ramoną.

– Zapomnij. Są moje.

Gutberg uniósł filozoficznie brwi.

– *Jak twoje, to zapomnij.*

– *Kurwa, chłopie, możesz mieć tysiąc enpecek, a napalasz się na organiczki?*

– *Bo są trudniej dostępne. Prawdziwe.*

– *To bez różnicy.*

Warwick wycelował palec w Hana, jakby szykował się do pouczającego wykładu.

– *Dla mnie różnica jest i nie mów, że jej nie ma. Jakby nie było, strzelałbyś do Błogosławionego w grze, chociażby w Saint Trek.*

Fierce zamilkł. Gut oczywiście miał rację.

– *I ja mam ochotę – podjął Warwick, wciąż nie wydobywając z siebie głosu – strzelić sobie w twoją Julię.*

– *Nie przeżyję tego.*

Gut oblizał wargi.

– *A ja z przyjemnością.*

– *Ona cię nie zechce.*

– *Aaa, to już wola ImBu.*

– *Ja pierdolę. W co ja wdepnąłem...*

– *Popatrz na to od innej strony: proszę o dwie przysługi, które nie wymagają od ciebie żadnego wysiłku i zupełnie cię nie narażają.*

– *Narażają mnie na to, że wsadzisz swoją broń w brzuch Julii...*

Gutberg sięgnął rękami do krocza.

– *O Jezu, mów jeszcze, mów jeszcze.*

– *Kurwa.*

– *Han, czas ucieka, a ja mam tutaj milion spraw...*

Fierce miał ochotę ciężko westchnąć, ale zdawał sobie sprawę, że ten gest może zostać wychwycony zarówno przez majordomusa, jak i przez motomb Konona. Całą rozmowę prowadził z kamienną twarzą, nieruchomo

i przychodziło mu to z wielkim trudem. Wiedział, że aparatura airvilla wychwyciła już wydzielane przez niego feromony i substancje zapachowe, zauważyła przyspieszone tętno i podwyższone ciśnienie krwi. Złakrrrew, dlaczego nie uruchomił frinowych funkcji neutralizujących te reakcje?! Czy jego przywiązanie do naturalnych zwyczajów ludzkości rzeczywiście miało sens?! Ten Konon zaraz zostanie zaalarmowany, wyjdzie z arealium i go przyłapie!

Bądź przeklęty, Gut! Dlaczego żądasz ode mnie najcenniejszej rzeczy w Imperium? Julia i Ramona to jedyne oprócz Astry istoty, z jakimi mam ochotę przebywać, z jakimi mam ochotę się kochać, Są żywe, prawdziwe, realne, dają mi siebie nie w arealium, ale normalnie, skóra w skórę!

– *Jesteś chujem, Gut.*

– *Wielkim chujem. Mogłeś nie wspominać przy mnie o tych boginkach. I hotek nie pokazywać.*

– *Wielkim chujem.*

– *Wiesz, że moje kontakty są ograniczone. Poza tym zawsze istnieje szansa, że im się nie spodobam.*

– *Mam nadzieję.*

– *One lubią dużych facetów?*

– *Nienawidzę cię.*

– *O rany! Lubią! Ale słuchaj, przecież jak cię kochają, to nie zdradzą?*

Han zamilkł.

– *To chyba nie są Dis?*

– *Nie, nie są.*

– *No to o co ci chodzi?*

– *O ich Wolną Wolę.*

– *Ty... ale numer! Jesteś chorobliwie zazdrosny!* – Warwick wybuchnął śmiechem. – *Nie ma rady, bracie: albo mnie z nimi poznasz, albo nic*

*z przysługi.*

*– Zgoda. Poznam cię z nimi.*

*– Świetnie. Podeślij mi hasła. Wszystkim się zajmę.*

Przebywający w tym czasie w arealium Konon nie próżnował. Pamiętał obietnicę, jaką złożył matce, i wiedział już, jak ją spełnić. Han Fierce naprawdę nie używał żadnych dodatkowych programów, wizualizacji ani mikrodronów. Był w dużej mierze ślepy i głuchy, celowo ograniczając do minimum swoją percepcję. Dlatego było bardziej niż prawdopodobne, że mikrouządzenie, które młody Eim właśnie konstruował, nie zostanie wykryte ani przez pancierz Fierce'a, ani przez niego samego. Aparat miał wymiary setną milimetra na setną na setną, przybierał kolor podłóża i nie wysyłał ani nie odbierał żadnych sygnałów. Miał jednak połączenie z siecią, a Konon znał jego kod.

Przetestowawszy jego spójność, Eim wysłał zapotrzebowanie do Worplanu. Wkrótce urządzenie przybędzie. Wtedy pozostanie tylko zaprogramować je i wysłać do celu... najlepiej pod łopatkę.

## Obraz 5

# Generatory Mirova

Droga Mleczna

Rubieże

Planeta Sparta, wysoka orbita

08 Decimi 232 EI, 13.96 H

– Ben, naprawdę myślisz, że to dobry pomysł?

Vivien Lacroix, podobnie jak reszta załogi zatrzaśnięta w szczelnym pancerzu chroniącym przed próżnią, wisiała nad mostkiem kapitańskim i patrzyła z niepokojem na *Bezlitosnego*, pancernik klasy *Invincible*, który tkwił prosto nad Nową Nową, stolicą Sparty zatopioną w gigantycznym raju planety. Glob miał raj grubszy od innych planet i na zewnątrz w sposób kontrolowany rozrzedzony. Ta warstwa zawierała stocznie Sparty. Chociaż WayEmpire miało liczne Worplany, dumna stolica Rubieży i tak produkowała własne statki, i to niemałą liczbą ludzkich rąk.

*Bezlitosny* trwał blisko stoczni, już w regularnej próżni, i przerażał samym swoim widokiem. Vivien była cywilem, tak jak Ben, chociaż ukończyła Akademię Soulerów i otrzymała tytuł Narki, a on był najprawdziwszym

Człowiekiem Bramą, który zrezygnował ze służby Imperium na rzecz gamedeczenia i piractwa. Dla osób nieoswojonych z widokiem wojennych machin ich wielkość, sposób malowania i przeznaczenie były porażające. *Bezlitosnego* otaczały dymy, iskry i pioruny animowanych wyładowań. Co chwila wyłaniały się z niego upiory – mary potępionych twarzy, które zaglądały niewidomymi oczami wprost do duszy, penetrowały psyche w poszukiwaniu zagrożeń, a w razie konieczności miały prawo sparaliżować lub nawet zniszczyć wroga, paląc jego ośrodkowy układ nerwowy. Mózg pancernika mógł przeświecić wszystkich, którzy przebywali w pobliżu, i korzystał z tego prawa z bezwzględną dokładnością. Gdy w oczy kobiety zajrzał bezzębny upiór, a jego soulerskie macki zbadały jej myśli, przeszedł ją dreszcz łączący czubek głowy z kroczem. Poczowała mdłości i przez kilka cetni dygotała. Ta operacja nie była przyjemna, o nie. Stwierdziła, że było to jedno z najbardziej obrzydliwych przeżyć w jej życiu. Statek już wiedział, co zamierzają. Mógł w każdej chwili ukarać ich, porazić, zaatakować grinem, ale wciąż tego nie robił. Z pewnością dlatego, że uznał zabawę załogi *Biegnącej po falach* za niegroźną. Ale co z nimi zrobi, gdy się zdecydują?! Każdy wiedział, że z flotą Imperium nie należy zadzierać. Mózgi bojowych jednostek były przeczulone na punkcie bezpieczeństwa. Vivien przypomniała sobie, jak jedna z planet Imperium, któraś z należących do Kaliai, kilkadziesiąt cykli temu próbowała odseparować się od WayEmpire. Zebrano nawet jakieś siły zbrojne, a samozwańczy lider ogłosił niepodległość. Poleciał tam wtedy tylko jeden pancernik i uruchomił upiory.

Nie oddał ani jednej salwy.

Nie musiał.

– Ben, słyszysz mnie?

– Tak, kochanie – odezwał się Torres cicho. – Słyszę.

– Słyszałeś pytanie?



- Na Buddę, jesteśmy za blisko, to bydlę włązi mi w mózg...
- Kapitanie – krzyknął jeden z załogantów – on zaraz odkryje, że chcemy się z nim zaba...
- Milcz! – chrypnął Ben. – Do ataku!
- Jeeeeee!
- Jeśli to nie da nam chwały, to już nic!
- Dawaj!
- Pełna moc! – krzyknął Torres i zaśmiał się w głos. – Uruchomcie wszystkie działa!

I ruszyła *Biegnąca po falach* pod pełnymi żaglami, chociaż dookoła trwała czarna próżnia, i zaatakowała niegroźnymi elektromagnetycznymi działami kadłub tak wielki, że zmieściłyby się na nim cztery mobipolie i jeszcze zostałyby miejsce. Upiory otaczające pancernik jakby się zdziwiły, a potem...

- Aaaargh! – wrzasnął Ron Barn. – Jak mnie napierdala!
- Dalej! Dalej! To tylko ostrzeżenie! – darł się Ben.

Załoga *Biegnącej po falach* pomknęła w objęcia animacji i upiornych iluzji otaczających *Bezlitosnego*, wyciągnęła samopały i jęcząc, złorzecząc, krzycząc i klnąc, grzmociła w potężny okręt. Jej strzały ginęły w odległości, bo chociaż wydawało się, że okręt jest tuż-tuż, był w istocie bardzo daleko.

Ben chrapliwie się śmiał, widząc, jak ogień bucha z dysz popychających ich panczerze, śmiał się, gdy pancernik otworzył paszczę i wysłał w ich kierunku kilkanaście salw unieruchamiających systemy zbroi...

– Co to było?! – warknął Jason Prad, odziany w oliwkowy pancierz kapitan *Bezlitosnego*, mężczyzna czarnoskóry, wysoki i zazwyczaj bardzo opanowany.

Mózg jednostki przekazał mu w przyspieszonym tempie przebieg akcji.  
A otaczająca mężczyznę zielona aura rozbłysła.

Jason pokręcił głową.

– Zwariowali. Ci korsarze zwariowali. No, ale skoro chcieli mieć silne wrażenia, to ich dostarczymy. Dajcie ich tu.

Droga Mleczna

Macierz

Łza Cheronei

Sektor zewnętrzny 12/5465464

08 Decimi 232 EI, 14.21 H

Gdy wyłoniliśmy się przy krążących wokół Łzy *Teacupie*, *Ulissesie* i *Walkerze*, otoczył nas gwar głosów. Czekali na nas metowi Pauline, Steffi, Anna, Harry i Peter, całe stadko Freyrów z Parsifalem i Mortimerem na czele oraz oba reistyczne orszaki, mój i Nexusa. Wszyscy żywo dyskutowali o uszkodzonych napędach pancerników. Z pewnością Tell już im wypaplał. Samuel Kroz także tam był, ale że nie znał jeszcze za dobrze towarzystwa, nie odzywał się. Usłyszałem nowy głos... Trajan? Tak, Trajan! No pięknie. Jeszcze tego Suvera brakowało.

– *Witam Cara Smoków* – odezwałem się na jego kanale.

– *Dzień Dobry, Primusie* – odpowiedział uprzejmie. W górnej części pola widzenia zobaczyłem jego barwną mordę. – *Jestem pewien, że cieszysz się z mojego przybycia. Lea Stone, którą wszyscy kochamy, poprosiła mnie o asystę, a ja, jak wiesz, miłujący ją najbardziej ze wszystkich Suverów, nawet nie pomyślałem, by odmówić.*

Zrobiłem zoom na *Teacupa*, gdzie, zdaje się, obecnie wszyscy przebywali.

Obok mojego airvilla wisiał jednosmokowy pojazd. Szpon. Tak, Dragonoidy podróżują podobnie jak ludzie – w statkach albo za pomocą swoich egzoszkieleatów. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Smoka pilotującego specjalnie przystosowany do tego spacemobil. Był to Tell nad Dragonią. To on mnie powitał, gdy odwiedziłem tę planetę. Spojrzałem wtedy na monitor, zobaczyłem mobil, zrobiłem najazd i przetarłem oczy. W przeziernej kabinie siedział Smok. Rozumiecie, gad ze skrzydłami i ogonem. Póллеżał na przystosowanym do jego postury siedzisku i coś tam majstrował szponem przy desce rozdzielczej. Spojrzał na mnie, wyszczerzył zęby i pomachał łapą. Wiedział, że robi piorunujące wrażenie. Wszystkie przyrządy były przystosowane do obsługi wielkimi łapami, ale on ich praktycznie nie dotykał, korzystając z popularnej opcji sterowania myślą. Jego Szpon, podobnie jak krypa Trajana, był stylizowany na „smoczą” modę. Miał deseń łuskowy, był barwny, wystawały z niego imitacje błoniastych skrzydeł, rogi i wyrostki. Pierwszym artystą, który zaproponował taki wygląd suwerskiej architektury, był Eduardo del Toro...

Trajan Teogenes jest Carem Smoków. To on zawarł z ludźmi przymierze, gdy najbardziej tego potrzebowaliśmy, a zrobił to dzięki Leyi Stone, którą odtąd uważa za swoją przyjaciółkę, zresztą z wzajemnością. To on wspólnie z Imperatorem ustalił, że ze względu na zdolności telepatyczne Suverzy otrzymają autonomię i oddziela się od WayEmpire.

– *Cieszę się, że przyleciałeś, Trajanie. Zaczynają się tu dziać dziwne rzeczy.*

– *A prospekcja Kamiennej Lwicy oraz dzielnego Marsa Gradivusa zdaje się to potwierdzać.*

– *Tak.*

– *Pozwolisz, że dołączę do twojego orszaku?*

– *Będę zaszczycony.*

Tu procedura była lekko nagięta, bo nie słyszałem, by Agonka mogła dosiadać Suvera, ale w końcu był to Car, a Smoki mają gdzieś wszelkie protokoły. No i chodziło o Leę Stone, która, gdyby tylko chciała, mogłaby zajmować bardzo wysokie stanowisko w Armii Imperialnej. Dlaczego tego nie zrobiła, ImBu jeden wie.

Frin poinformował, że wokół kadłuba *Zemsty* już krążą Aristo i ze Sto Czwartego. Pokazał podgląd. Ich stumetrowe Skymoury widniały na tle sylwetki pancernika jak muszki latające wokół dużej wieży polii. Taka była różnica skali. Wisiał tam też transportowiec Błękitnych Żuków. Inżynierowie z pewnością byli już w środku.

Trzeba lecieć i obejrzeć napęd. I znowu będzie to obszar, na który cywile nie mają wstępu. Podzieliłem się tą obserwacją z towarzystwem.

– *Leć* – powiedziała Pauline, udając znużenie.

– *My tu sobie pokonferujemy* – potwierdziła Anna. – *Najważniejsze, że jesteśmy z tobą.*

– *Ja się zaopiekuję dziewczynami* – dodał Harry.

– *Mną też?* – spytała Steffi.

– *Tobą, księżniczko, ja się zajmę* – usłyszałem baryton Kytesa.

– *Słodziutki jesteś.*

– *Parsifal, Mortimer, zajmiecie się oczywiście Brendą i Farą?* – odezwałem się.

– *To pytanie było niepotrzebne.*

Wisieliliśmy przed siłownią *Zemsty*. Nad nami pięć ślepych serafów krążyło w tak dziwny sposób, że co chwila chowały się w ścianach działowych bądź sklepieniach molocha. Wyglądaliśmy jak dziwna drużyna fantasy badająca niezrozumiały artefakt, bo napęd Mirova był dla mnie wciąż tak

samo tajemniczy jak dwieście cykli temu. Widzieliśmy dwa bliźniacze pierścienie ustawione jeden obok drugiego. Miały około pięćdziesięciu metrów średnicy i mniej więcej pięć metrów grubości. Wystawały z nich moduły transferu energii i inne cuda, ale nie było praktycznie kabli. W czasach bezprzewodowego przesyłu oraz troniki wprasowanej w strukturę urządzeń przewody stały się zbędne. Kontrolki świeciły prawidłowo, jak radośnie informował frin, który lepiej ode mnie wiedział, na co patrzeć, i okraszał widok odpowiednimi adnotacjami. Nad urządzeniami, pod nimi i obok nich wisieli członkowie oddziału Błękitnych Żuków oraz ubrani w ciemnobordowe egzozkielety inżynierowie *Zemsty*. Przykładali skanery, podłączali się do portów napędu, wyświetlali przed sobą trójwymiarowe ekrany. Ich ruchy były naturalne i płynne, a to znaczy, że przyspieszyli, bo oglądaliśmy to wszystko, także przyspieszywszy. Gdybym mógł, wygiąłbym usta w podkowę w grymasie bezradności. Cóż miałem powiedzieć? Że ładnie to wszystko wygląda? Po jaką cholere tutaj przylecieliśmy? Żeby robić mądre miny?!

– *Cześć, synu* – wysłałem komunikat do Kyle’a Eima, mojego pierworodnego z Pauline. Był jednym z Błękitnych Żuków. – *Co słychać?*

– *Cześć, atavus. Ogólnie świetnie. Co u matki?*

– *Jak zwykle zdrowa i piękna. A u ciebie?*

– *Bosko. Tylko to gównu mnie denerwuje, bo nie mogę zrozumieć, co jest nie tak. Poza tym odciągają nas... Nieważne.*

– *Jestem dumny, że udało ci się dołączyć do Błękitnych.*

– *Z genami takiego ojca...*

– *Torkil, czujesz RanStone?* – usłyszałem men Laurusa.

– *Kyle, mam sprawy. Wybacz.*

– *Jasne.*

– *Chyba jak zwykle w pobliżu Łzy* – odezwałem się do Wilehada, ale za

chwilę się zmięgowałem. Coś rzeczywiście było nie tak. Wibracje były mniejsze, częstsze. Przesłałem swoje zaskoczenie.

– *Te doznania nie są mi obce* – usłyszeliśmy Nexusa.

– *I mnie* – odezwał się Kroz.

Chwilę później otrzymaliśmy setkę podobnych meldunków od Aristoi ze Sto Czwartego.

– *Ranowie, na razie nie zgłaszajcie tego Żukom* – zakomenderował Wilehad. – *Przekonajmy się, co mają do powiedzenia.*

– *Zgadzam się* – burknął totowo Samuel. – *Ale zawiadomiłem Besebu-Toriego, a on Narów. Zaraz przyślą oddział z Plaato.*

Spojrzałem na Tanyę. Była przerażona i nie kryła tego.

– *Torkil* – jej men skierowany był tylko do mnie – *one są wściekłe. Nigdy czegoś takiego nie czułam.*

Zaczęła dygotać. Użyłem Łaski Imperatora, a potem Siewcy. Przesłałem jej silny grin uspokajający. Trochę pomogło.

– *Trzymaj się. Nie pozwól, by inni zobaczyli, co czujesz.*

– *Postaram się.*

– *Człowiek Brama by się przydał* – szepnął Nexus.

– *Zaraz, chwila. Najpierw pogadajmy z głównym Żukiem. Wyłączamy przyspieszenie.*

Świat ożył. Suwerzy wachlowali skrzydłami, mechanicy uwijali się jak w ukropie i teraz większość ich ruchów była niewidoczna, za to okraszona świstem i furkotem powietrza. Stojący przed nami generał Giorgio Garibaldi, dowódca Drugiej Dekurii Inżynieryjnej Trzeciego Korpusu Specjalistycznego Armii Imperialnej, kończył mrugnięcie. Wyglądał, podobnie jak jego podopieczni, nieco nieludzko. Błękitny egzozkielet miał cztery kończyny i wszystkie zakończone były dziwacznymi manipulatorami, wysięgnikami i końcówkami. Z pleców wystawały mu dwa wielostawowe ramiona

zwieszające się nad nim jak ogony skorpionów.

Garibaldi spostrzegł, że zerknąłem na syna uwijającego się w górnej części urzędnika.

– To znakomity specjalista – odezwał się tubalnym basem. – Możesz być z niego dumny, Błogosławiony.

Skinąłem uprzejmie głową.

– Tylko język ma za długi – dodał.

Co miał na myśli? Przez ułamek cetni chciałem go o to zapytać, ale dotarło do mnie, że skoro mowa o dyskrecji, z pewnością niczego nie powie.

– Co się dzieje, generale?

– W tym sęk, że nie wiemy. Przejdźmy na tot, dobrze?

– Słusznie.

– *Napęd Mirova jest jak każde inne urządzenie. Składa się z określonej liczby podzespołów wydzielonych z jednej fraktalnej macierzy. Akurat ten napęd tworzą trzy takie współpracujące macierze. Jeśli każdy z podzespołów logicznych jest zasilany i pracuje, całość także powinna pracować bez zarzutu. Tutaj tak nie jest. Urządzenie jest sprawne. Komunikuje się ze sobą i ze statkiem bez problemów. A nie chce działać.*

– *To nielogiczne.*

– *Błogosławiony, ja to wiem.*

– *Jak odkryto tę... usterkę?*

Do rozmowy dołączył główny inżynier *Zemsty* Draco Und. Był ubrany jak pozostali inżynierowie okrętu – w bordowy sześciokończynowy pancerz typu *Technet Wzór X*. Zakotwiczył obok Garibaldiego, nieznacznie uklonił się i wysłał men:

– *To standardowa procedura. Cztery pancerniki patrolują Łzę Cheronei, skacząc do kolejnych punktów wytyczonego szlaku. Robią to asynchronicznie synchronicznie, to znaczy jednocześnie, ale za każdym razem po upływie*

*innego czasu. Tym razem, mimo przeprowadzenia wszystkich procedur skoku, statki pozostały na miejscu.*

Dodał do menu rozdrażnienie. Nie udało mu się ukryć, że w pewnej części odczucie to jest wywołane obecnością Błękitnych Żuków na pokładzie jego statku. Uważał, że jest w stanie sam poradzić sobie z problemem. Przyspieszyłem i zajrzałem w jego dane. Pięćdziesiąt cykli służby, znakomite osiągnięcia. Rzeczywiście nie był gorszy od Garibaldiego.

*– Sierżancie Und, czy sprawdzono inne podzespoły Zemsty?*

*– Właśnie to robimy. Żuki bardzo nam pomagają.*

*– Co mówi pokładowy Charon?*

Kapitan pancernika, komandor Wolf Snow, który cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie, lecz pozostawał na mostku, uznał, że powinien się odezwać. Obok inżynierów pojawił się jego pełnowymiarowy met:

*– Nemezy Soul zaraz do was osobiście dołączy i podzieli się spostrzeżeniami. Są, moim zdaniem, niepokojące.*

Zerknąłem na twarz Tanyi wyświetlaną przez jedną z moich kamer. Była nieporuszona. Bardzo dobrze, Charonko.

*– Gdzie jest teraz?*

*– Przed chwilą opuścił kabinę medytacyjną. Będzie za kilkadziesiąt cetni.*

Przyjrzałem się dowódcy. Był organiczny, co w tej profesji należy do rzadkości. Miał na sobie, jak wszyscy kapitanowie floty, ciężki oliwkowy pancerz odkrywający głowę, nad którą jarzyły się jego personalia i insygnia. Zorza napisów oświetlała ciemne włosy i przydawała blasku czarnym oczom. Dookoła zbroi pełgały zielonkawe płomienie. Dzięki nim każdy żołnierz wiedział, że zbliża się dowódca, nawet gdy ten wyłaniał się na końcu mierzącego pięćset metrów korytarza. Rysy Snowa były szczupłe i ostre. Martwił się i było to widać, słychać w jego głosie i czuć w metowym zapachu.



Do maszynowni wleciał Charon.

– Witajcie, Błogosławieni, Aristoi, czcigodne Smoki, Agonai i Siostro.

Odpowiedzieliśmy chórem.

– Pozwólcie, że swoimi obserwacjami podzielę się tylko z RanaRem, Besebu-Ranem, Błogosławionymi i Charonką.

Mars, Lea, obstawa Nexusa i Smoki uprzejmie skinęli głowami. Chryste, ile tej kurtuazji! Jesteśmy niewolnikami konwenansów. I kto mi powie, że gdy sam załatwiałem różne sprawy, nie było prościej. Teraz ciągle trzeba coś komuś tłumaczyć, przekazywać, dyskutować, omawiać, a jak ktoś jest rozstrojony i jeszcze w trakcie odbierze pak od Dexa czy innego Threena, zupełny bałagan się robi. Wszędzie mamy pieprzone demokracje, dialogi i wymiany poglądów, jak to wytrzymać, na RanStone... No i ImBu ma pełne ręce roboty, bo żeby utrzymywać tajemnice musi ingerować w każdy niemal men, zwłaszcza gdy przesyłają je wyżsi oficjele ze mną włącznie. Co w takim razie z osławioną Wolną Wolą? Co z wolnością słowa? Jesteśmy wolnymi istotami czy mrówkami w roju?

Wilehad przesłał sugestię, byśmy przyspieszyli. O, i to jeszcze. Co chwila, człowieku, dajesz nura w czasowe tunele, a potem zwalniasz, przyspieszasz i zwalniasz. Cholery można od tego dostać.

Przyspieszyłem.

Świat znowu zwolnił, a ruchy inżynierów nabrały gracji.

– *Odczuwam złość. Nie swoją, nie ja jestem zły* – natychmiast wyjaśnił Charon. – *Czuję gniew w hiperprzestrzeni.*

Zerknąłem na metową reprezentację Tanyi, która wyszła z jej nieruchomego, jakby śpiącego organicznego ciała i oddychała głęboko. Jej rozszerzone chabrowe oczy zdawały się iskrzyć, a wyrzeźbiony brzuch zapadał się i napinał w rytm oddechów.

– *Ja też to czuję. Coraz wyraźniej. To się nasila z każdą cetnią...* –

powiedziała.

Przeszedłem błyskawiczną dewitalizację i także opuściłem ciało.

– *Chcesz powiedzieć, że właśnie obserwujemy pierwszy akt zemsty aniołów?*

Dziewczyna spojrzała na mnie.

– *Nie wiem, Błogosławiony. Ale jeśli to się rozszerzy...*

Rany boskie!

– *Czy to znaczy, że my też nie będziemy mogli się stąd ruszyć?!*

– *Nie umiem powiedzieć...*

Wszystko, tylko nie unieruchomienie!

– *Nie chcę siać paniki – wysłałem men do towarzyszy – ale natychmiast się stąd ewakuujemy.*

Przesłałem pak do Garibaldiego, komandora i głównego inżyniera *Zemsty*, by zdali raport, jak tylko coś ustalą. Dołączyłem do listy Charona jednostki. Wyłączyliśmy przyspieszenie, przeszliśmy rewitalizację i ruszyliśmy do służby, a potem, już w próżni, obraliśmy kurs na *Teacupa*. Nakazaliśmy przyjaciołom w airvillach natychmiastowe przygotowanie do skoku.

– *Dokąd?* – spytała przytomnie Pauline.

– *Sierżancie Und* – zwróciłem się do głównego inżyniera pancernika – *gdzie wykonano napędy Mirova Zemsty?*

– *Na Dharmie.*

– *Dharma* – odezwałem się do Pauline. – *Worplan Dharma. Zabierzcie tam wszystkie airville. Nie czekajcie na nas. Skoczmy, używając zbroi.*

Gdy z resztą grupy pospiesznie obudowywałem w próżni swój pancerz modułami skoku, spojrzałem na pancernik *Zemsta* wyświetlany przez wsteczne ekrany zbroi. Zdawało mi się czy naprawdę widziałem potężne sylwetki aniołów okrążające go i przytrzymujące wielkimi rękami?

## Obraz 6

# Worplan

Arealium

Gra Redland

Wyżyny Greenlandu

Ćwiartka Północna

Czas realium:

08 Decimi 232 EI, 14.58 H

Sprite poprawił się w siodle skałaza, wysokiego na sześć metrów biotronicznego stwora, który poruszał się na dwóch tylnych łapach i był podobny do kopalnego tyranozaura.

Chłopak spojrział na przyjaciół oraz na armię osiemnastu tysięcy wojów dosiadających podobnych potworów. Kroczyli za chorążym podtrzymującym wysokie na trzydzieści metrów drzewce, z którego spływał barwami cytryny i dojrzałej jagody porporzec Armii Wygnańców. Tak z przyjaciółmi nazwali te siły i prowadzili teraz najpoważniejszą bitwę w historii swojej gry. To już nie były potyczki o niewielkie sioła, to już nie były rozgrzewkowe utarczki. Teraz szli, by podbić Greenhorn, jedną z czterech najpotężniejszych twierdz

Greenlandu, stolicę Ćwiartki Północnej, i Sprite miał wielką nadzieję, że bastion ten – choć zgromadził z górą osiem tysięcy obrońców i posiadał sto dział – nie da rady tak potężnej armii.

Spojrzał na Tarika, Edsona i Ytra, komilitonów, którzy na czas gry przybrali skóry potężnych wojowników poznaczonych tatuażami i bliznami.

– Damy im radę, Sprite? – spytał Tarik i pogładził czarną, zaplecioną w warkocz brodę.

– Powinniśmy. – Sprite poprawił na głowie srebrzysty hełm ozdobiony gęstą żółtą kitą. – A nawet jeśli nie, i tak ta bitwa przyniesie nam sławę.

– Najwyższy czas po trzech cyklach gry – skomentował Edson, potrząsając rudą grzywą nieosłoniętą hełmem.

– No – potwierdził Ytr i klepnął się w wytatuowaną łysą głowę.

Sprite spojrział w niebo. Zapowiadał się piękny dzień.

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Worplan Dharma, orbita  
08 Decimi 232 EI, 14.65 H

Skok się udał. Byliśmy na orbicie Dharmy, Worplanu, który nie miał statusu „świętego”, chociaż produkował napędy do pancerników i znajdował się daleko od granic Macierzy.

Automatyczne sterowanie zbroi i statków ustabilizowało orbity i pomogło nam zbliżyć się do karawany. Laurus, Nexus, Samuel, Paula, orszaki (plus Trajan) i ja byliśmy w masywnych kilkumetrowych pancerzach na zewnątrz airvilli, a reszta – obecna tylko metowo – przebywała w *Teacupie*, który kręcił się w powolnym tańcu razem z *Bashingiem*, *Ulissesem*, *Walkerem*

i Szponem Cara. W sumie obsada mojej siedziby mogła przebywać także na zewnątrz, w próżni, bo były to tylko cyfrowe reprezentacje. Mimo to po pierwszych zachwytach wolnością, jaką dawał met, Sitowie woleli w takich sytuacjach znajdować się blisko domostw. To zrozumiałe: mieli tam meble, kuchnię, przedmioty codziennego użytku. Co moja gromadka miałaby robić w kosmosie? Polatać, popatrzeć, pozachwycać się pustką próżni, a potem i tak wróciliby do czterech kątów.

W tle, za skupiskiem siedzib, świecił odbitym światłem słońca Świat Fabryka. Widzieliście kiedyś Worplan? Wbrew dość ponurej nazwie są to najpiękniejsze planety Imperium, bo mają pierścienie złożone z miliardów ton najcenniejszych kruszców. Przed nami dostojnie rotował doskonale uporządkowany dysk składający się z pasów czystego złota, platyny, srebra, wolframu, galenu, germanu, miedzi, kobaltu, niklu, chromu, wanadu, tytanu, niobu, mojego ulubionego osmu i cudownego bizmutu, krótko mówiąc, wszelkich możliwych pierwiastków oprócz gazowych i nietrwałych. Widok był zjawiskowy. Lodowe pierścienie Saturna czy Etny wydają się ubogimi krewnymi przy tym przepychu, krewnymi, którzy powinni nakryć oblicza zasłoną i odejść w niesławie. Nad tym bogactwem polatywały tysiące dronów, które nieustannie regulowały gęstość pasów, bo rozsiane nad nimi teleporty ciągle je uzupełniały, otrzymując transporty od Pożeraczy, oraz uszczuplały, wysyłając tony pierwiastków do fabryk. Sama Dharma błyskała miedzianymi, symetrycznie ułożonymi plantami.

Mieszkało tu niewielu ludzi, tylko ci, którzy naprawdę fascynują się inżynierią, fizyką i matematyką.

Postanowiliśmy wylądować i zbadać, czy w halach planety nie doszło do sabotażu. Choć to, co przeżyliśmy w pobliżu Łzy, przeczyło temu podejrzaniu, wciąż miało ono priorytet, bo... było racjonalne. Owszem, ciągle byliśmy rozdygotani od odczuć na pokładzie *Zemsty*, nadal migotały

nam przed oczami wyobrażenia niezrozumiałych bytów trzymających w szponach pancerniki, ale nawet dla Maod-Anów były to trochę zbyt odważne wizje. Po prostu nie chcieliśmy w nie wierzyć.

– *Torkil*. – Zobaczyłem twarz Pauline na tle pierścieni, a potem całą jej postać. Jednak wyleciała z *Teacupa*. – *Z tego, co pamiętam, Łza Cheronei generuje inną fizykę, która uniemożliwia skoki hiperprzestrzenne w jej pobliżu, prawda?*

– *Tak*.

– *Więc nie bardzo rozumiemy* – zawtórowała jej Anna, która wyłoniła się obok – *co tutaj robimy. Czy nie jest najbardziej prawdopodobne, że Łza rozszerzyła swój wpływ?*

– *Gdyby tak było, Czujny natychmiast by o tym poinformował* – wyjaśniła Angela.

– *Ta baza badawcza?* – zapytała Steffi, która pojawiła się obok Pauline i Anny.

– *Tak* – potwierdził Norman, zmaterializowawszy się tuż za nimi.

– *No to co?* – wtrąciła Barbara. Odezwała się chyba pierwszy raz od początku wyprawy. Miała niski, mszysty głos podobny do głosu Angeli. Nic dziwnego, że Nexus się w niej durzył. – *To znaczy, że Tanya ma rację?*

– *Przestań*. – Na lewo od Pauline ukazała się Brenda Freyr, jak zwykle odziana tylko w figi i antygravitacyjną kamizelkę. Tym ubiorem upodabniała się do Anny.

– *Miejmy nadzieję, że nie* – odparłem. – Szukamy reistycznych przyczyn. Potem przejdziemy do czarów.

– *Jeśli tak uważasz...* – Pauline odwróciła się i przyjrzała Worplanowi.

Podążyłem za jej wzrokiem.

Dwóch Błogosławionych z orszakami plus Car, RanaR, Besebu-Ran, Charonka, pół załogi *Lwa*, była Reormater i Steffi – część reistyczna, część

metowa – wisieli w próżni w pobliżu fantasmagorycznie w tej scenerii wyglądających airvilli, z których jeden przypominał bastion, drugi zamek z bajki, trzeci kaplicę, a czwarty lotniskowiec ze snu schizofrenika. Cały ten drugi plan widniał na tle industrialnej planety otoczonej metalicznymi pierścieniami. Działo się to naprawdę, chociaż uwierzyć w to było tym trudniej, że zarówno budowle, jak i nas – tych prawdziwych i tych metowych – nieustannie otaczały fantazyjne animacje.

– No dobra, nie roztkliwiajmy się. – Stary Freyr, który wisiał tuż przy Brendzie, zatarł ręce. – Sprawdźmy, co się tu dzieje.

Zerknąłem w dane Worplanu i uśmiechnąłem się krzywo.

– Parsifal, nikt cię nie dopuści na powierzchnię. Orbita nie jest święta, ale sam glob tak. To obszar zastrzeżony.

Przywódca stada Freyrów skrzywił się.

– Poczekamy więc na orbicie.

Pragnienie wolnych obywateli Imperium, by być użytecznymi, czasami mnie bawi. Z drugiej strony dążyliśmy do tego, żeby każdy Sit czuł się odpowiedzialny za innych. I osiągnęliśmy to. Wciąż były podziały, segregacja i nierówność, ale naprawdę już lepiej być nie mogło.

Chyba że coś mi umknęło.

Spojrzałem na uprawnionych do wizyty na powierzchni.

– Gotowi?

– Tak – odpowiedzieli chórem.

– Polecimy *Teacupem* do głównego inżyniera.

– Nie *Bashingiem*? – spytał Laurus.

– Tym razem nie chcemy nikogo straszyć, prawda?

– Okej.

– A Słuchacz? – spytała Kitaro.

– Racja. Rozdzielmy się. Jest dwóch Błogosławionych, więc... Nexus,

odwiedzisz go?

Gdy przedarliśmy się przez rzadką warstwę chmur, mogliśmy, lecąc ostro w dół, podziwiać przez kilka chwil powierzchnię Worplanu. To naprawdę niezwykle osiągnięcie Imperium. Całe te planety są kolosalnymi zakładami produkcyjnymi z rzadka poprzedzianymi pasami zieleni. No, nie ma fabryk na oceanach, które stabilizują klimat, ale gros lądów zajmują planty – jak okiem sięgnąć montownie, moduły teleportacyjne, magazyny... W mury budowli wprasowane były sloty dronów konserwacyjnych. One nie potrzebują kwater, zwykle gniazda im wystarczają. Wszędzie latały roje minibotów naprawczych i kontrolujących jakość prac. Powietrze mieniło się miedzianym deszczem. Jakiś poeta powiedział, że Worplany nieustannie płaczą. Miał rację. Roje omijały *Teacupa* jak opalizująca różowa mgła tworząca symetryczne wiry po drugiej stronie.

Zbliżaliśmy się do głównej iglicy fabryki zajmującej się produkcją silników okrętowych. Zamczysko było rdzawo-srebrne, wyniosłe i – jak wszystko w *WayEmpire* – otoczone ruchomymi tarasami.

*Teacup* nie zdążył dotknąć gniazda kotwicznego na krawędzi głównej platformy wiszącej obok budowli, gdy całą gromadą wyskoczyliśmy w powietrze i poleciliśmy w stronę tarasu.

Mistrz inżynier Fernando Wax czekał na nas otoczony kilkudziesięcioma srebrno-pomarańczowymi robotami wielkimi jak dwóch Ranów. Sam także był dimenem, co w tych warunkach nie powinno dziwić. Nexus z pewnością poczułby do niego sympatię.

Frin uprzejmie poinformował, że Dharma jest jedną z planet, które zostały odebrane Kaliai. Poprosiłem, żeby podzielił się tą informacją z całą naszą wycieczką, w tym z metowcami pozostałymi na orbicie. Czy mogło to mieć



znaczenie? Animozje między Światami Fabrykami a Bellanami trwały od wielu cykli. Więc co? Worplany podsyłają im wirus, a tamci w odwecie podkładają świnię? Sabotują silniki Mirova, żeby ich skompromitować?

Przesłałem te wątpliwe wnioski Krozowi, a on natychmiast przekazał je braciom na Cyklonie. Mało prawdopodobne, ale niech to sprawdzą.

Skupiłem się na mistrzu Waksie – na jego żółtych, świecących oczach, białych naramiennikach, zaciśniętych srebrnych ustach, chudych, długich nogach. Minęła cetnia i wiedziałem, że jest winny.

– *Torkil, facet jest lewy* – usłyszałem głos Tella. Dodał totowo krzyk smoczego instynktu. – *To samo czuje Trajan.*

Pancerne łapy Smoków uderzyły w metaliczną posadzkę, wylądowali z hukiem Mars i Angela, grzmotnął w podłoże Samuel, tuż obok Tella przyziemił Laurus. Zeskoczyliśmy ze Smoków jednocześnie z Leą, starając się robić jak najwięcej hałasu. Tanya pozostała w powietrzu. Towarzyszyła temu wszystkiemu piękna uwertura: kotły i gromy, furkot proporców, blask bijący z SaintDroida, mruczenie O'Tooli i cichy, słyszalny tylko mentalnie i tylko przez soulerów zaśpiew dwóch ślepych serafów.

Zanim wybrzmiało echo naszego lądowania, któremu wtórowało sapanie kotw platformy technicznej łączącej się z *Teacupem*, otrzymałem paki od obecnych w drużynie soulerów. Wszyscy zgodnie twierdzili, że mistrz emanuje strachem. Nie musiałem patrzeć na jego cyfrowo-organiczne oblicze, które wyświetlił na prawo od mechanicznej głowy, by wiedzieć, że coś ukrywa, że jest zaskoczony naszą wizytą i przekonany, że odkryliśmy coś bardzo niewygodnego. Ta jego obstawa... Dwadzieścia robotów. Nie tylko była znakiem pozycji. Po prostu dzięki niej bezpieczniej się czuł. Cholera, czyżby rzeczywiście sabotowali tu napędy pancerników? To by była największa afera w Imperium od czasów ruchów separatystycznych! Przyjrzałem się jego dronom. Bracie, nie zamierzasz chyba uciekać się do

rozwiązań siłowych?

– Lee, Monika.

Nad moje barki wychynęły z westchnieniem, jakby sapnął wielki generator antygravitacyjny, duchy opiekuńcze. Wyglądały, jak gdyby wystawały mi z ramion. Wisiały kilka metrów nade mną ze wzniesionymi skrzydłami, mierząc inżyniera przenikliwym wzrokiem. Ślepią Lee świeciły czerwonym blaskiem. Oczy Moniki błyszcząły jak polerowane kamienie.

Laurus wywołał Uru i Michelle. Jego Demon jest podobny do Anubisa, egipskiego boga o pysku szakala, a Anielica połyskuje ciemną skórą, lecz nie ma negroidalnych rysów. Ma białe włosy i niebieskie oczy. Coś jak Tanya. I czarne, krucze skrzydła.

Angela nie czekała, aż ją wyręczymy. Nad jej smukłymi ramionami także unosiły się duchy, lecz w jej przypadku były to Diablica i Anioł. Ona była granatowa w żółte pasy, coś jak tygrysica, łysa, bardzo umięśniona i praktycznie naga, o długich, ostrych uszach, które zastępowały rogi. Angie nazywała ją Baalą, na pamiątkę swojego poprzedniego nazwiska. Anioł był milczący i wyniosły, okryty połyskliwą karacena, miał imponującą jasną grzywę i potężne srebrne skrzydła. Podczas Rytuału Ocalenia nazwała go Adamem. Podobnie jak duchy moje i Laurusa, jej patroni także lustrowali Waxa, jakby chcieli go wypchnąć z czterowymiarowej czasoprzestrzeni do domeny jedenastu wymiarów starożytnej teorii M.

Tomo Kroz przywołał swoje duchy ostatni, na początku jakby nieśmiało, a potem z rosnącą determinacją. I, muszę przyznać, zaskoczył mnie, bo jego Anielica była bardzo dorodną, ubraną w zwiewne jasne szaty blondynką o błękitnych skrzydłach, a bies, okryty popielatym, krótkim włosiem i szarymi łuskami satyr, miał skrzydła bodaj większe od Rotha. Nie znałem imion tych duchów, ale zanotowałem w pamięci, by w najbliższej przyszłości zapytać o to Kroza.

Świat wykrzywił się z cichym pomrukiem, jakby inne, równoległe królestwo, pełne zamków, jątrzących tajemnic i łagodnych serafów, chciało wpłynąć w naszą rzeczywistość i ją zastąpić. Niektóre automaty Fernanda zaiskrzyły. Zatrzeszczały wiązania tarasu. Wiszący nad nim inżynier cofnął się o pół metra. Chociaż nie widział naszych duchów opiekuńczych, czuł ich obecność i napór ich woli, a jego frin musiał informować o setkach mikroawarii zarówno w okolicznych budowlach oraz dronach, jak i jego mechanicznym ciele.

– Witajcie, Błogosławiony, RanaRze, Ranko i Besebu-Ranie, witajcie, szlachetni Agonai i Smoki. – Mistrz, dygocząc całym mechanicznym ciałem, głęboko się uklonił.

Mój SaintDroid zaczął świecić niebiańskim światłem, a aureola wokół mojej głowy rozblęysła.

– *Spytaj, co ukrywa* – usłyszałem głos Imperatora.

– Imperator pyta, co ukrywasz – odezwałem się, a mój frin tak wzmocnił i obniżył głos, że sam się go przestraszyłem.

– Już... mówię. – Wax przełknął arealną ślinę. – Mamy... tutaj... kult.

Spojrzałem na Laurusa, a on spojrzał na mnie. Tell się zakrztusił.

– Co masz, inżynierze? – spytałem potężnym basem.

– Kult... Imperatorki.

Trwałem nieruchomo, jakby ktoś rzucił na mnie obezwładniające zaklęcie. Tell ledwie powstrzymywał chichot.

– Mógłbyś powtórzyć? – poprosił Laurus. Jego głos, mimo że, jak na Maod-Ana przystało, był bardzo niski, brzmiał po moim płasko i cicho.

– To nie moja wina! Jest tu wielu inżynierów, odbywają staż, mamy na Dharmie Akademię Nauk...

Frin potwierdził jego słowa.

– I tam... To cudowna kobieta, nie róbcie jej krzywdy, naprawdę jest

cenna...

– Kult *Imperatorki*? Tak kaže się nazywać? Dlaczego nie powiadomiono Buddy? – spytała Angela.

– Ale przecież Budda wszystko wie... Chyba...

Chyba? Jak to „chyba”?

– *Laurus, wiesz coś o możliwości zablokowania Buddy?* – spytałem totowo.

– *Wszystko, co cyfrowe, da się zablokować.*

– *Ale Buddę?! Przecież to nasz cholerny system operacyjny!*

– *Budda to sieć. Jeśli odetniesz część tej sieci, nie będzie o niej wiedział.*

– *Wierzysz w to?! –* Spojrzałem na niego.

Pokręcił głową.

– *Może... pokażę –* odezwał się inżynier.

Taras, na którym staliśmy, drgnął, uniósł się i odseparował od *Teacupa*. W miejscu rozłączenia wymorfowała barierka. Dał się słyszeć szum generatorów, które podtrzymywały go od spodu.

Wydzieliłem ze zbroi pięć kamer i ulokowałem je dookoła dryfującej platformy, a jedną zostawiłem przy *Teacupie*. Pewniej bym się czuł, gdyby pozegłował z nami, zostawiłem go jednak, by w żaden sposób nie sygnalizować, że obawiam się o nasze bezpieczeństwo.

– *No i co? –* usłyszałem głos Laurusa. – *Nie lepiej było przylecieć Bashingiem?*

– *Słuchacz twierdzi, że planeta od jakiegoś czasu jest wyjątkowo radosna –* dostaliśmy pak od Nexusa. Dodał do niego emocjonalny zlepek potwierdzający te słowa.

Dziwne.

– *I nie dało mu to, kurwa, do myślenia?* – rzucił totowo Laurus, dodając wyobrażenia działań, jakie Audux powinien wykonać po takim odkryciu.

– *Jakoś nie.*

– *Trzeba go zwolnić.*

– *Mamy Wielkie Imperium. Nie możesz go zwolnić, tylko odwołać, a on i tak będzie żył jak pączek w maśle. Poza tym nie masz władzy, więc się nie mądrz.*

– *I to mi się, kurwa, w WayEmpire nie podoba. Te czasy są chore.*

– *Sam jesteś chory.*

– *Ranowie, skupcie się, proszę – przerwałem im. – Nex, jeśli już tam skończyłeś, podleć tutaj. Dwadzieścia droidów przysłania nam słońce.*

– *Roger.*

Akademia była blisko, tuż za montownią oznaczoną godłem Imperium, z której każdego rogu wystawały anielice z rozpostartymi skrzydłami i wyciągniętymi do przodu rękami. Miały bardzo obfite biusty i wciągnięte brzuchy.

Duchy wciąż wisiały nade mną milczące i czujne. Para duchów Laurusa także go nie opuszczała, podobnie było z Angelą i Samuelem. Świat wokół nas był trochę normalny, a trochę równoległy z tymi wszystkimi mirażami chmur i cudownych strzelistych budowli, zupełnie jakby otaczały nas hotki mitycznego raj.

Akademia wisiała w powietrzu. Przypominała cztery pomniejszone, ułożone na planie krzyża pancerniki klasy *Invincible*. Z ich dziobów, a jakże, wystawały na zmianę demony i anielice, tym razem ze skierowanymi do przodu mieczami. Nad budowlą celowała w niebo iglica, a nad nią rotowała anielsko-demoniczna para trzymająca się za ręce i pokazująca niewidzialnym widzom świat. Gmach otaczały tarasy w kształcie półksiężyców. Wisiały nad nim, na jego poziomie i lekko poniżej płaszczyzny wyznaczonej przez podstawę budowli. Im bardziej się do niej zbliżaliśmy... tym bardziej poprawiał mi się humor. Świat jaśniał, stawał się zrozumiały, poukładany,

odchodziły złe nastroje i bojowe nastawienie. Spojrzałem na mistrza inżyniera. Jego metalowa twarz także zdawała się wygładzać. Gdy nasza platforma połączyła się ze skwerem, który wiódł bezpośrednio do głównych wrót Akademii w miejscu połączenia dwóch „pancerników”, byłem już w idealnie pogodnym nastroju.

– *Cześć, Nexusik* – rzuciłem, widząc, jak zbliża się do lądowania Błogosławiony Syd w towarzystwie błyszczącego SaintDroida, ArtDroidów, rogatego serafa i kołującej wokół niego Smoczycy, której – właśnie do mnie dotarło – Mario nigdy nie dosiadał!

Grzmotnął stopami w posadzkę tuż przy mnie, a obok wylądowała Quai w huku skrzydeł i zamieci animowanych taśm.

– *Cześć, praszczury. Co tu tak wesoło?* – powitał nas.

– *Dobre pytanie* – nadał totowo Mars.

– *Nex, coś mnie nurtuje* – zbyłem uwagę Gradivusa. – *Dlaczego nigdy nie latasz na swojej Dragonce, tylko zawsze obok?*

– *O, to jest dobre!* – skomentował Dominic. – *Też od cykli się nad tym zastanawiam.*

– *Naprawdę was to ciekawi?* – spytał Taylor.

– *Tak trochę* – odparłem.

– *Taki był od początku układ.*

– *Gdy się poznaliśmy na Dragonii* – weszła mu w słowo Quai, a ja od razu utonąłem w jej telepatycznym przekazie – *tak się umówiliśmy. Pokochałam Maria od pierwszego wejrzenia, oczywiście nie jego ciało, tylko duszę.*

– *Przepraszam, jak można kochać Maria?* – odezwał się Laurus.

Prychnąłem. Barbara coś szepnęła Dominicowi.

– *Zastrzegłam jednak* – ciągnęła Quai – *że nie chcę, by na mnie jeździł. To takie... podległościowe.*

– *Otóż to* – potwierdził Nexus. – *Ja też zakochałem się w gracji Quai.*

*W jej locie, w jej potędze, w tym, jak kocha się z powietrzem.*

*– Co za poezja – zakpił RanaR.*

*Mario zignorował jego uwagę.*

*– Ja jej nie dosiadam. Ona mi towarzyszy.*

*– Ale to jest jakieś dziwne – wtrącił się Tell.*

*– Kwestia optyki – stwierdził Nexus. – My nie jesteśmy parą „jeździec-wierzchowiec”.*

*– O, wypraszam sobie. Wożę Torkila tak, jak rodzic nosi dziecko.*

*– Dziękuję bardzo – odezwał się.*

*– To przyjemne i podniosłe – wyjaśnił Tell. – Torkil mną nie powozi. Jest odwrotnie: to ja niosę go na grzbiecie.*

*– Jaka to różnica? – odezwała się Barbara, najwyraźniej pobudzona gadką o Nexusie.*

*– Podstawowa. Gdy bierzesz kamień do ręki, ty trzymasz jego, a nie on trzyma ciebie, prawda?*

*– Prawda.*

*– Zatem to jest tak, że razem ustalamy kurs, jak przyjaciele, a że jestem silniejszy, to się nim opiekuję...*

*– Znaczący tym kamieniem?*

*– Tak.*

*– Przestań – zaprotestowałem.*

*– Tylko tłumaczę, żeby nikt nie pomyślał, że jestem jakimś twoim pegazem! Ty wiesz, Torkil, i ja wiem, że latamy razem, a ja, jako silniejszy i większy, po prostu cię noszę. No czy nie jest tak?*

*– Powiedzmy, że tak sobie razem latamy – rzekłem ugodowo, zgodnie zresztą z prawdą. Nigdy nie miałem poczucia górowania nad Tellem. Jeżeli już, to odwrotnie.*

*– Ale wiecie, o co chodzi – odezwał się Nexus. – Quai to moja skrzydłowa.*

*Partnerka w locie, kumacie? Tworzymy formację. Jak starzy lotnicy.*

– Aaaa – jęknął Tell. – *Jesteście popieprzeni.*

– *Hm, Tell, możesz się pożegnać z nadziejami, jeśli jakieś miałeś* – skomentowała Quai.

– *Fuck...*

– *Jeśli mogę się odezwać* – mruknęła Stone – *to sugeruję zamknięcie jadaczek i wzmożenie uwagi.*

– *Coś niedobrego?* – spytał Dominic.

– *Moje odczyty* – odparła Lea – *mówią, że panuje tu bardzo silna aura soulerska. My jej nie czujemy, ale cała reszta powinna.* – Podkreśliła ostatnie słowo. – *Pełna gotowość, bracia i siostry.*

– *Zgadzam się z Leą* – odezwała się Barbara.

Cholera... rzeczywiście coś się działo. Przesłaliśmy sobie z Nexusem paki, że zachowujemy się jak rozwydrzone dzieci. Laurus i Angela potwierdzili tę samokrytykę. Kroz i Paula powstrzymali się od komentarza, chociaż Beseburan patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, próbując zestawić posagowy image słynnego Primusa z niefrasobliwym, sztubackim wręcz zachowaniem, które przed chwilą zaprezentowałem. No cóż, kochany Tomo, jestem tylko człowiekiem, nie pomnikiem. Smoki wraz z Trajanem, który z rozbawieniem przysłuchiwał się dyskusji o skrzydłowej Quai, potwierdziły diagnozę Leyi. Cała gadka o lataniu, studencka atmosfera, szczebiotanie, to wszystko było wynikiem działania jakiegoś nieznanego tła.

Widząc, że nieco się uspokoiliśmy, mistrz Fernando Wax wskazał główne wejście.

– *To tutaj. Wprowadzę was, z waszym pozwoleniem, do auli...*

Wydałem mentalne polecenie SaintDroidowi, ArtDroidom i O'Toolom. Gdy wznieśliśmy się kilkanaście centymetrów nad podłogę i ruszyliśmy, drony zostały nad skwerem.



Wnętrze Akademii było tak piękne, że nawet bywalcowi niezliczonych miejsc w Imperium wycisnęło łzy z oczu. Zamiast szkła w dachu centralnej części działało pole siłowe, dzięki czemu widok nieba był niesłychanie czysty, ale niepozbawiony refleksów. Kolumny, sklepienia i wiązania były niczym sekwencja akordów w symfonii. Można było obserwować tony niskie, poważne, potem wyższe, tworzone przez drobniejsze wysięgniki, główne motywy zaznaczone przez cienkie wsporniki oraz tremola subtelnych dźwiękowych inkrustacji symbolizowane przez drobne żebrowania. Wszystko utrzymano w kolorze złota i błękitu. Byłem w niebie. Tę konstrukcję zbudowali doskonali artyści, być może uczniowie Andrei Saviana. Czułem tu jego rękę, jego styl. Przypomniałem sobie dawne czasy, gdy marzyłem, by zostać fizykiem lub inżynierem. Zamiast tego stałem się sprzedawcą, gamedekiem, potem Ranem, teraz zaś byłem menedżerem rozpasanej ludzkości.

- *Ależ tu pięknie, Tori – szepnął Tell.*
- *Cieszę się, że twoja smocza natura to docenia.*
- *Jesteśmy od was wrażliwsi, tylko mamy grubą skórę.*
- *Rzekłeś.*

Zgromadzeni wokół studenci, z których mniej więcej jedna trzecia była w motombach, zatrzymali się. Zastanawiające – zazwyczaj w akademiach inżynierskich większość słuchaczy to dimeni. Tutaj panowała nietypowa moda... Patrzyli na nas z mieszaniną zdziwienia i niepokoju. Dwóch Błogosławionych, RanaR, Ranka, Besebu-Ran, Charonka, trójka Suverów i czworo Agonai? Ja im się nie dziwię. Jeszcze te anielice i demony wyginające rzeczywistość na podobieństwo szkła powiększającego oraz upiory, które ruszyły w bój i ledwo zaczęły zaglądać w dusze zgromadzonych, wzbudziły coś w rodzaju cichej paniki, w skutek czego ponad połowa zebranych pospiesznie się oddaliła. Nikt nie lubi być obserwowany

przez upiory, nawet Aristoi, a co dopiero ludzie, którzy mają coś na sumieniu.

Kilka cetni obserwacji i wiedziałem, co myślą: „Przyszli do niej. Przyszli ją zbadać. Przyszli albo ją pokochać, albo zabić. Jeśli wybiorą drugie rozwiązanie, to...”. Tutaj pojawiały się bardzo niedobre wizje. Upiory zaczęły syczeć i wyć. Rzeczywistość wygięła się jeszcze bardziej, skrzydła Moniki poczerniały, a oczy Lee Rotha zaczęły dymić.

– *Mój imp nie jest najlepszy* – zameldowała Lea.

– *Zgadza się!* – warknął Dominic.

– *Przyjacielu* – odezwał się czart, błyskając żółtymi ślepiami – *tu poznasz coś dziwnego.*

– *Czuję to, Lee.*

W polu widzenia pojawiło się kilkanaście zapytań wygenerowanych przez upiory. Znałem te ikony: szare wilki z otwartymi paszczami pełnymi ostrych białych zębów. Prosiły o pozwolenie na atak, który spowodowałby przykre doznania u ofiar. Bardzo przykre. Zabroniłem.

– *Torkil* – usłyszałem Laurusa – *musimy schować upiory, bo zaraz będzie tu sieczka.*

– *Zgadzam się z RanaRem* – odezwał się Nexus i zwinął mary.

Poszedłem w jego ślady.

– *Efendi, weszliśmy do jaskini lwa* – nadał telepatycznie Tell.

– *Laurus, sytuacja jest paramilitarna. Obejmij dowodzenie* – wysłałem men.

Wilehad odpowiedział krótkim potwierdzającym pakiem. Nie udało mu się ukryć drobnego, ale wyraźnego komponentu satysfakcji. Rozejrzał się. Studenci patrzyli na nas w wielkim napięciu. W głębi korytarzy pojawiły się większe sylwetki robotów. Cholera, znajdowaliśmy się na Worplanie. Lada chwila mógł nas tu rozjechać hufiec machin wojennych.

– Do pomieszczenia, gdzie jest ta... Imperatorka, wchodzą Ranowie, Ranka, Charonka i wszyscy Agonai. Wchodzą. Żadnego latania. Trajan, jeśli jego Carska Mość się zgodzi, pozostanie na zewnątrz i będzie nas ubezpieczał.

– Okej.

– Tell i Quai też do środka.

– Tyle wymyśliłeś? – prychnąłem. – Jednego Teogenesa zostawiłeś na zewnątrz?

– Ten Dragon poradzi sobie nawet z armią zdechłaków. Agonów i całej reszty potrzebujemy w środku.

– A jeśli to pułapka?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Myślisz, że nie damy sobie rady?

Tak czy owak, poleciłem Teacupowi, by przyfrunął w pobliże Akademii. Uprowadziłem też wycieczkowiczów na orbicie, żeby mieli się na baczności.

– Możesz być spokojny – odezwała się Pauline. – Pilnujemy was i siebie.

Zatem...

Popatrzyłem na Fernanda Waxa.

– Prowadź, mistrzu.

Podpłynął do wysokich, chabrowo-złoty od drzwi. Ruszyliśmy za nim, tak jak radził Wilehad, krocząc po podłożu. Inżynier wydał mentalną dyspozycję i wieże zaczęły się składać jak części Skymoura: płaszczyzna chowała się w zdobienie, to skręcało się i wnikało w kolejne zgrubienie, coraz szybciej, aż w końcu oba skrzydła zniknęły we framugach.

Zerknąłem zdziwiony na Waxa.

Uśmiechnął się przepaszająco.

– To praca zaliczeniowa Stephena Graala, jednego z najzdolniejszych absolwentów Akademii. On uwielbia czystą mechanikę. W tych drzwiach nie

ma cienia animacji.

– Bardzo udana konstrukcja.

– Też tak uważamy.

Weszliśmy do obszernej, prawie kulistej sali. Metaliczny dźwięk świadczył o tym, że drzwi za nami się zakleszczają.

W centrum, nad stanowiskiem wykładowcy, unosiła się... jakaś kobieta. Była odziana w długą szafirową suknię, zwieszały się z niej złote łańcuchy, na każdym palcu miała pierścionek o innym oczku, jej dłonie zdobiły bardzo długie paznokcie. Każdy z nich, podobnie jak pierścionek, miał inny kolor i inną animację. Na szyi kobiety błyszczał naszyjnik poznaczony tęczą kolorów, głowę zdobiło coś w rodzaju korony o złotych iglicach. Na twarzy gościły tatuaże smoków, które co chwila ożywały, leciały w różnych kierunkach, po czym lądowały na ubiorze, pełzły ku twarzy, zastygały i wnikały w policzki.

– *Przepraszam...* – rzuciła Stone. – *Co to za pokraka?*

A ja tonąłem już w oczach zielonych i głębokich jak jezioro prześwietlone słońcem...

– Witaj, Torkilu, Mario, Laurusie, Tanyu, Samuelu, Angelo, Leo, Dominicu, Marsie, Barbaro, Quai i Tellu. Witajcie wszyscy. Mieliście miłą podróż?

W jej głosie słyszałem śmiech tysięcy dzieci i nagle przypomniałem sobie o swoich uczuciach, tych zupełnie wypartych setkami cykli przeżyć, gdy sam byłem dzieckiem i nieustannie coś się we mnie cieszyło, jakby słońce zaglądało do duszy, gdy biegałem, skakałem i pluskałem się w wodzie...

– Kim... jesteś? – wydukałem.

– Kimś, kto zobaczył dół i górę, kto był nikim, a jest wszystkim, kimś, kto ciebie i wielu innych obserwuje od wieków.

– Słucham?!

– Jestem antytezą Imperatora. On jest mężczyzną, ja kobietą. On nie ma ciała, ja jestem organiczna, on jest wszędzie, ja zaś tylko tutaj. Nie sądzisz, że to symetryczny układ?

– Śledzisz nas... od wieków?!

Nie musiała odpowiadać – czułem wszystkimi komórkami ciała i soulerskimi zmysłami, że jest potężną czarownicą. Dzika, można by dodać, bo niezrzeszoną w Akademii Narów i w Zakonie Ludzi Bram, nieznaną Charonom ani tym bardziej Aristoi... Ale taka moc... dzika? Dlaczego się nie ujawniła? Nieśmiertelny Imperator, który, wykorzystując friny i sieć, stał się istotą wszechwiedzącą, powinien ją zauważyć. No... nie do końca wszechwiedzącą. Gorgon jest plamką świadomości pływającą po frinach z górą biliona obywateli. Niezwykle szybką, ale nie wszechobecną. Budda, ten powinien o niej wiedzieć. Ale on nie ma osobowości. To tylko program, którego celem jest rozwój ludzkości. Jeśli uzna, że coś może stymulować ten proces, nie tylko tego czegoś nie zahamuje, ale wręcz pozwoli rosnąć... Zaprawdę niezbadane są jego ścieżki, myślałem, patrząc na kobietę, która bez żadnego wstydu ochrzciła się Imperatorką.

– *Ostrzeżenie!* – usłyszałem jak przez grubą zasłonę głos Leyi Stone. – *Ona ma na sobie ponad pięćdziesiąt aktywnych talizmanów!*

Na RanStone, który drgał w rytm uderzeń mojego serca tak silnie, że mało nie wyrwał się z relikwiarza. To nielegalne. Sitizen może mieć do dwóch talizmanów. Większa ich liczba mogłaby stanowić soczewkę innej fizyki, uczynić posiadacza zbyt potężnym...

– *Te paznokcie, pierścienie, oczka w naszyjniku, to wszystko są talizmany!*  
– głos Kamiennej Lwicy drżał z podniecenia.

– *Kurrrrwa mać!* – warknął Dominic.

Oni nie czuli tego, co ja. Piękna. Odczucie szło jak gęsta fala od stóp do głów, z każdym powolnym uderzeniem serca potężniejsze, gorętsze, bardziej

zmysłowe, przeszywające pierś lodowymi kolcami, uderzające obuchem w krtań, łaskoczące w brzuch, krocze, skronie i uszy. Kochałem Imperatorkę. Byłem gotów zrobić dla niej wszystko.

– Czego chcesz? – spytałem.

– Tylko jednego: żebyś mnie miłował, Torkilu.

– Ależ... – Przełknąłem ślinę. Chciałem to powiedzieć, ale coś mnie powstrzymywało. Z jednej strony wyrywało się słowo, z drugiej drobna, słaba część osobowości krzyczała: „Milcz”. – Kocham cię – dokończyłem słabym głosem.

– I czcił – dodała.

Co się ze mną dzieje?! Tracę kontrolę...

– Nad tym muszę się... jeszcze zastanowić.

Skinęła łaskawie głową ozdobioną ognistą koroną.

– Jak – zająknąłem się – to możliwe? Skąd pochodzisz? Jaki jest twój cel?

– *Wszystko z wami w porządku? – usłyszałem głos Trajana. – Tutaj zaczynają się gromadzić tłumy. Towarzystwo jest podniecone. Mają kilkanaście dużych dronów...*

– *Trajan, wytrzymaj jeszcze trochę. Niech ta suka wreszcie powie coś konkretnego* – odpowiedziała Stone.

Spojrzałem na nią wściekły. Jak ona się wyraża?!

– Pamiętasz – w głosie Imperatorki skrywał się śpiew ptaków – przepowiednię o Bestii?

– Pamiętam.

– „W świecie, który jest, ale go nie ma, pojawią się ziarna zniszczenia”, tak?

Skinąłem głową.

– Wszyscy myślicie, że napisał ją i wysłał w przeszłość Sergio Lama, nieprawdaż?

– Tak. To jeden... z nierozwiązanych do dzisiaj paradoksów. – Znowu przełknąłem ślinę. – Bo wysłanie w przeszłość obiektu, który realnie zaistnieje w tej samej rzeczywistości, jest niemożliwe. Takie zdarzenie powoduje powstanie... nowego wszechświata równoległego.

Kobieta uśmiechnęła się. Od jej zębów buchnęły promienie.

– Oto rozwiązanie: ja napisałam tę przepowiednię.

Słucham?!

– *Torkil, każdy może to powiedzieć* – rzucił Mars Gradivus.

Jego spokój i beznamiętny ton podziałały na mnie nieco trzeźwiąco. Miał rację, ale ona mówiła... prawdę.

– Ja ją napisałam, bo przewidziałam całe to pandemonium: aferę w sieci, powstanie Imperium, nawet koronację Nemezjusa. Wszystko widziałam. Wiem też, co się stanie wkrótce.

Jakaż ona jest piękna. Zerknąłem na twarz Laurusa wyświetlaną przez jeden z ekranów pod górną krawędzią mojego pola widzenia. Też patrzył na nią jak na objawienie. Nexus również. Nawet Samuel był zachwycony. Tanya, Angela, Tell, Quai, wszyscy byliśmy gotowi paść na kolana. Coś we mnie, jakaś słaba część duszy, szarpała się i próbowała wyrwać, jakby ktoś ją ciągnął w niechcianą, fałszywą stronę...

Nagle poczułem silne ugięcie przestrzeni, usłyszałem niski, wibrujący dźwięk i moja Anielica chwyciła mnie za ramiona. Zaczęła mnie ciągnąć. Ale gdzie ona chce mnie wyrwać? Nigdzie się nie ruszam! Demon także chwytą mnie szponami i usiłuje odciągnąć, ale nie daje rady. Sam siebie przecież nie zaciągnę. Krzyczą do mnie: „Torkil, ocknij się! Ocknij! Uciekaj!”. W uszach mam jakby wodę, nic nie słyszę, nic nie czuję. Tylko miłość.

– *Błogosławieni? RanaRze? Interweniować?* – rozlega się głos Barbary.

Jakaż ona jest piękna.

– Imperium czekało już dostatecznie długo na przywrócenie równowagi.

Stało się zbyt patriarchalne, zbyt techniczne, zbyt mechaniczne. Spójrz, tutejsi inżynierowie już to zrozumieli. Tylko co trzeci jest robotem. Poddaj się mojej woli, Błogosławiony. Nawet Imperator wie, że mam rację.

Resztką sił łączę się z ImBu.

– *Gorgon, co ty na to? Co ty na to?*

Nie chcę, żeby mi odpowiadał, nie chcę konfliktu z kobietą w złotej koronie. Na szczęście Rector Ludens milczy. Albo jest zajęty gdzie indziej, albo ma to gdzieś. Cudownie...

– Czy podążysz za mną, Torkilu?

Rzeczywistość wygina się coraz bardziej. Słyszę tąpnięcie powietrza, pod sufitem pojawiają się serafy, trzeci, czwarty, piąty... Jakaś niewidzialna siła popycha mnie w tył, jakby w pomieszczeniu łagodnie, w zwolnionym tempie wybuchł granat. Frin się drze, że liczba inotronów stukrotnie przekroczyła dozwolony poziom. Jest coraz więcej serafów – dziesięć, piętnaście – ich ślepe oczy patrzą w niezmierną dal. Monika i Lee wyją, usiłując wyrwać mnie z tego miejsca. Pierwszy raz widzę Anielicę zaciskającą zęby i przeklinającą, kątem oka spostrzegam, że duchy Nexusa, Laurusa, Samuela i Angeli próbują zrobić to samo, ale nie są w stanie. Wszystko się wygina i buczy tak niskim basem, że drży pierś, drży podłoga, a RanStone...

uderza

w rytm

serca

wielkiego

jak airvill

jak

cały

świat

jak



cały

świat...

– *Torkil! Torkil!* – krzyczy Stone. – *Mamy interweniować? Realium się pruje! Uruchomcie upiory!*

Milczę. Coś mnie skłania do ugięcia kolan...

– *Dość, kurwa! Mars, chwytaj Laurusa, Barbara, bierz Nexusa, Dominic, zajmij się Angelą, Kroz, do jasnej cholery, weź się w garść! Tell! Wyciągnij go! Ocknij się! Quai, pomóż mu!*

Agonai biegną do nas, uderza mnie potężny bark Hegara Leyi. Czuję to jak przez kilka warstw poduch, odgłos jest niski, skompresowany. Lecą iskry. Kobieta stęka i usiłuje wypchnąć mnie z pomieszczenia. Imperatorka śmieje się cicho. Stone klnie, krok po kroku przesuwa mnie do wyjścia...

– *Rusz się, skurwysynu!* – wrzeszczy. – *Torkil, kurwa, rusz się! To czarownica!*

Nie odpowiadam. Taka piękna kobieta, cudowna, nie jest czarownicą. Ona ma rację...

Lea drze się jak zraniona lwica. Odsuwa się dwa kroki, rozpędza i uderza w mój pancerz. Agonowie usiłujący wypchnąć Laurusa, Nexusa i Angelę mają ten sam kłopot.

– *Trajan! Pomóż!*

Lea patrzy na mnie załzawionymi oczami. Pamiętam. Pamiętam te oczy. Kojarzą mi się z antyczną sceną. Świątynia, basen, mocarze, rząd cyprysów, błękitne niebo.

– *Torkil, rusz się! Rusz się, proszę!*

– *Czy poddacie się mojej woli?* – pyta Imperatorka.

Tak. Oczywiście. Chcę uklęknąć, ale Stone mi nie pozwala. Patrzy tymi swoimi niebieskimi oczami, tak głębokimi, tak cudownymi jak... jak...

– *Torkil* – szepcze, pchając mnie z całych sił. Jej zbroja rzezi,

serwomechanizmy mojej stawiają opór. Coremour jest silniejszy od Hegara. Słabiej opancerzony, ale silniejszy. Nie da rady. Wiem, że nie da rady.

– Dom, ognia! Wal w tę sukę!

Agon o twarzy ozdobionej zielonymi płytkami odwraca się i składa do strzału, ale nieprawdopodobnie wolno, jakby ktoś zamroził go w czasie.

– Torkil – szepcze znowu Lea – błagam cię, spójrz na mnie.

Czuję jej zapach. Jej pot. Ładnie pachniesz, Lwico. Coś szarpie się w moim sercu, a z oczu, nie wiadomo dlaczego, płyną łzy.

– Błagam cię, błagam. To byłeś ty, zawsze tylko ty, jebany skurwysynu! Nikt tak cię nie kochał jak ja, żadna kobieta, żaden diabeł, żadna istota. Błagam cię, rusz się, cholerny egoisto! Błagam cię, zawsze cię kochałam, ale kurwa, nie umiałam ci tego powiedzieć! Przecież nie zgłosiłabym się na twoją ochroniarzkę, na podnózek, na sukę gotową na każdy rozkaz, gdyby nie to! Błagam cię, ussssłyyysz mnie!!!

Usssłyyysz mnieeee!!!

Usłysz mnie!

Usłysz mnie.

Krzyczy Monika, krzyczy Lee. Rzeczywistość jest jak odbicie w srebrnej łyżeczce, kobieta w centrum pomieszczenia wyciąga palce o długich paznokciach. Uciekać. Koncentruję się. Wyzwalam całą soulerską moc. Lee otacza mnie wielkimi skrzydłami, otacza mnie Monika – czuję zapach jej skrzydeł, jakby łąki pełne kwiecia...

– *Obudźcie Laurusa i Nexusa!* – krzyczę do nich.

Rzucam się na Angelę i ciągnę ją po posadzce z głośnym zgrzytem. Rozwalam drzwi jedną salwą Axela, który wyskoczył z prawego naramiennika i teraz sunie blisko mnie jak wierny pies, ciskam moją dziewczynę daleko w przód, w stronę wyjścia, po czym wracam po Nexusa. Pomagają mi Lea i Barbara – Taylor już leci. Wyrzucamy jeszcze Laurusa

i Samuela, a Dominic przyspiesza i zaczyna wysyłać leniwe serie z broni plazmowej, ale chyba, ciągle chyba... Wybiegamy na skwer, ładujemy wszystkich na ociężałe Smoki i odlatujemy. Słyszę śmiech Imperatorki.

– Co to, kurwa, było?! – wrzeszczę, gdy zbliżamy się do wiszącego nad nami *Teacupa*.

Wydobrzeliśmy dopiero na orbicie. Szok odpływał jak niebieska fala opuszczająca najpierw głowę, potem klatkę piersiową, brzuch, uda, wreszcie łydki i stopy. Naprawdę czułem, jakby wypływał ze mnie jakiś cholerny narkotyk.

Zebraliśmy się w głównym hallu *Teacupa*, przyspieszyliśmy i wyszliśmy ze swoich ciał. Fizyczne powłoki wisiąły dookoła nas nieruchome, a my, lekko przezierni, trwaliśmy niczym duchy wśród zatrzymanej rzeczywistości.

– *Czy to ta kobieta sabotowała silniki pancerników?* – spytał Laurus bez żadnych wstępów i ustalenia kolejności tematów.

– *To pierwsze pytanie* – odparłem. – *Drugie brzmi: Czy ma coś wspólnego z zemstą aniołów? A trzecie: Co tak naprawdę z nami robiła?*

– *To jest akurat proste* – odezwała się Lwica. – *Pięćdziesiąt talizmanów z silnym kultem jej osoby powoduje podróż do równoległych wszechświatów, które jej sprzyjają. Dzięki wsparciu paznokci, pierścieni i naszyjnika wędrowaliście z nią do tych rzeczywistości, w których się z nią zgadzaliście i kochaliście ją.*

Spojrzałem na nią. Pamiętałem, co do mnie krzyczała.

Odwróciła wzrok.

Lea odwraca wzrok? Coś takiego widzę po raz pierwszy w życiu. Później porozmawiamy, pani Stone.

– *Czwarte pytanie brzmi: Zniszczyć sukę, aresztować czy zostawić w spokoju?* – usłyszałem mszysty alt Angeli.

– *Właśnie* – zawtórował jej Samuel.

Jako Besebu-Ran powinien znać odpowiedź. To w końcu on dba o bezpieczeństwo wewnętrzne. Ta kobieta, jak się wydawało, zagrażała mu. Cholera. Wypadałoby ją wypytać, przesłuchać. Zapytać o generatory Mirova na *Zemście*, o cel jej działalności. Dlaczego obrała sobie za siedzibę Worplan? Żeby wyprodukować jakąś paskudną armię?

Nadałem to do ImBu. Odpowiedział, że kontroluje produkcję Dharmy i że nie opuścił jej ani jeden pojazd, o którym by nie wiedział. Zapytałem, co sugeruje w sprawie Imperatorki. Zbił mnie z tropu.

– *Masz Wolną Wolę, Torkilu* – rzekł.

Wynika z tego, że nie uważa jej za zagrożenie.

Powróciłem do myśli o przesłuchaniu. Problem polegał na tym, że jeśli znowu się do niej zwrócimy, zostaniemy pochwyceni w tę samą pułapkę. Odległość nie miała tu znaczenia, tylko uwaga, kontakt. Odwzorowanie mentalne, symboliczne jest tożsame z fizycznym, dlatego nawet gdybym zaczął z nią rozmawiać metowo z orbity, też by mnie otumaniała. Pod tym względem była niezwyciężona. Nie miała władzy tylko nad Lapidoi.

Zerknąłem na Leę, Barbarę, Doma i Marsa.

– *Wydaje mi się, że naszym Lapidosom należą się podziękowania. Gdyby nie wy...*

– *Wypełniliśmy swój obowiązek* – odparł sucho Gradivus. – *Miło wiedzieć, że od czasu do czasu do czegoś się przydajemy.*

Powiedział to z wyraźną satysfakcją. Jak mogłem jeszcze kilka dni temu sądzić, że te całe orszaki są do niczego niepotrzebne? On najwyraźniej także do niedawna miał poczucie, że jest zbędny, i trochę go rozumiałem. Teraz po raz drugi naprawdę się przydał. Nie chciałem myśleć, co by się stało, gdyby

nie oni.

– *Przy okazji. – Zerknąłem na Tella. – Dlaczego Smoki także się jej poddały?*

– *Jesteśmy zbyt silnymi telepatami – odparł Dragon. – Czuliśmy zarówno jej intencje, które były nie do końca czyste, jak i waszą... khm... miłość. To było rozdarcie, które z początku trudno było przekroczyć...*

– *Zaskoczyła nas – dodała Quai.*

– *Tak, czułem to – potwierdził Trajan.*

– *Trzeba ją wy badać, w ogóle zbadać. – Klasnąłem nierealnymi dłońmi. – Ale nie nadają się do tego zwykli ludzie ani Ranowie, droidy także wbrew pozorom odpadają. Tylko Lapidoi mają moc, by nie dać się wyrwać ze swojej stabilnej rzeczywistości.*

Lea zacisnęła usta.

– *Na nas też to działało.*

– *Tylko – weszła jej w słowo Barbara – w mniejszym stopniu. Jeszcze kilkadziesiąt cetni i bylibyśmy tak samo zahipnotyzowani jak wy. Gdy ona zaczęła czarować, czułam się, jakby ktoś wlewał mi do głowy wódkę...*

– *Litrami – dodał Dom. – Po tym, jak was wytargaliśmy, czułem się zupełnie pijany.*

– *Tak – szepnęła Lea i spojrzała mi głęboko w oczy. – Ja też byłam... pijana. Pijana. – Podkreśliła mocno to słowo, powoli kiwając głową.*

– *Czyli natrafiliśmy w Imperium na czarną dziurę, przeszkodę nie do pokonania – mruknąłem. – Kwadraturę koła. Nie da się z nią pogadać bez wpadnięcia w jej sidła. Nic dziwnego, że wchłonęła całą społeczność planety. Samuelu, moje zdanie jest takie: Siti nazywa siebie Imperatorką i otwarcie deklaruje współdzielenie władzy z Ezrą. Uważam, że nie jest to zgodne z linią WayEmpire. Powinniśmy ją zatrzymać, chociaż realnie nikomu nie zaszkodziła.*

– Zgadzam się.

– *Dlaczego wybrała Worplan? – Laurus pokręcił głową. – Dlaczego nie jakąś artystyczną planetę, chociażby Febrę? Albo dziwaczną, jak Xen? Przecież Planeta Fabryka to ostatnie miejsce...*

– *Musiła być inżynierem – zauważyłem sucho.*

– *Jakie są jej pochodzenie i cel? Poza tym, Torkil, dobrze wiesz, że znaleźliśmy się tu w sumie przypadkiem. Dharma produkuje moduły nadprzestrzenne, które nawaliły we Łzie. Zamiast śladów sabotażu, których, powiedzmy sobie szczerze, nie spodziewaliśmy się znaleźć, natrafiamy na kuriozalny kult jakiejś Imperatorki! Czy to się składa w twojej głowie w jakąś sensowną całość?*

Głęboko westchnąłem.

– *Trudno mi uwierzyć, żeby to ona sabotowała te silniki, ale nie jest to wykluczone. W końcu jeśli nie ona, to kto?*

– *Jest jeszcze kwestia zemsty aniołów – wtrącił Kroz. – Może mieć z nią coś wspólnego?*

Uniosłem arealne brwi. Pokręciłem głową i rozłożyłem ręce.

– *Imperatorka psuje silniki Mirova z pomocą... duchów?*

– *A epidemia? – spytała Tanya.*

Właśnie.

– *Dharma należała do Kaliai – odezwał się Harry. – Ci, w odwecie za odebranie im globu, wysyłają Imperatorkę, żeby zniszczyła silniki i reputację...*

Zerknąłem do frina. Imperatorka nie była z żadnej planety Bellan. W ogóle... jej nie było.

– *Jak może nie być obywatela? – Laurus zbaraniał.*

Spojrzałem na Samuela. Ten wzruszył ramionami.

– *To niemożliwe. Chyba że to dimenka, a jej kreacja przebiegła*

w środowisku cyfrowym poza siecią Imperium.

– *A to możliwe?! – stęknąłem.*

Kroz ponownie wzruszył ramionami.

– *Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Jeśli to, co mówi, jest prawdą i ma już wiele cykli na karku, tym bardziej nie potrafię pojąć...*

– *Może spróbujemy od strony filozoficznej?* – odezwała się Anna.

– *Że jak?* – Wilehad popatrzył na nią, jakby chciał ją ugryźć.

– *Z tego, co słyszę, Imperatorka to osobliwość, coś niepasującego do Imperium. Jest w miejscu, które z kolei nie pasuje do niej, a znajdujemy ją w sytuacji, która nie pasuje do tego, co odkryliśmy. Może celem jej istnienia jest niepasowanie do reszty układanki?*

– *Ale w Imperium jest mnóstwo dziur. Nasze duchy, Łza, CIII, Whale... mało?* – odparł RanaR.

– *To wyrwy na obwodzie Imperium. Ona jest w samym centrum.*

– *Też na obwodzie. Dharma to zadupie* – zauważył Dominic.

– *Mówię o centrum psychologicznym. Twierdzi, że dzieli władzę z ImBu.*

– *Chce dzielić* – poprawiła ją Stone.

– *Na jedno wychodzi.*

– *Ja nie kupuję tego...* – Samuel Kroz chciał powiedzieć „bełkotu”, ale się powstrzymał – *wszystkiego. ImBu nie nakazał aresztowania, co oznacza, że Imperatorka w żaden sposób nie wpłynęła negatywnie na pracę Worplanu. Mimo to z pewnością trzeba ją obejrzeć i zbadać.*

Jego głos trochę nas uspokoił. Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy się szykowali na wojnę, a to był tylko kontakt z potężną soulerką.

– *Bracie Besebu, ustaliliśmy już, że nie mamy środków, by to zrobić* – odezwała się cicho Angela.

– *Mamy* – usłyszeliśmy głos Marsa.

Odwróciliśmy się w jego kierunku.

– Co masz na myśli?

– Twojego bliźniaka, Torkila w Arce. I myślę, że wiem, kto mógłby mu pomóc.



## Obraz 7

# Taldowie

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Rihanna, raj

Karawana Błogosławionego Aymore'a

Sektor J 32353

08 Decimi 232, 15.07 H

Latający dom Rubena Troya miał kształt metalowej męskiej twarzy, z której, niczym dziwaczne szuflady, wysuwały się w różnych miejscach tarasy i lądowiska, a na czole mieniła się złoto-szafirowa liczba pięćdziesiąt jeden, do której był dziwnie przywiązany. Mimo upływu cykli Troy pozostał wierny starym upodobaniom i wciąż zajmował się programingiem, a ponieważ możliwości Wielkiego Imperium były praktycznie nieograniczone, sieciowe miejsca zaś trudne do zliczenia, nie narzekał na nudę.

Gdy skontaktował się z nim Mars Gradivus, wisiał, otoczony trójwymiarowymi ekranami, nad basenem ulokowanym w szufladzie wysuniętej z lewego policzka wielkiej metalowej twarzy. W błękitnej wodzie

bawili się jego goście. Byli to młodzi ludzie z vii. Ledwo ich znał, ale nie miało to żadnego znaczenia ani dla niego, ani dla nich. Własność w Czasach Szczęśliwości stała się iluzoryczna, a dzielenie się nią sprawiało więcej przyjemności niż sobkostwo. Troy, nie będąc miłośnikiem wodnych igraszek, chciał pozostać suchy, a zamiast patrzeć na wdzięcznie wygięte ciała Sitek i Sitów, wolał spoglądać w okna do innych światów.

– *Cześć, Ruben* – powitał go Mars.

Troy zatrzymał mentalnie ekran, na którym widniała znajoma twarz. Powiększył ją.

– *Cześć, o kamienny. Czy mi się zdaje, czy jak zwykle, stawiasz klocka w Teacupie Błogosławionego Torkila Aymore’a?*

– *Jakbyś przy tym był i podcierał mi tyłek.*

– *Ma się to oko.*

– *Ma się.*

– *Zwłaszcza że się projektowało ten zameczek.*

– *Zwłaszcza. Masz zamiar jeszcze się chwalić? Ile budowli i talizmanów, które stworzyłeś, chcesz wymienić? Uznajmy, że już to zrobiłeś, a ja powiedziałem „Taaak, jesteś niewiarygodnie wyczepisty, Ruben. Naaapraaaawdę to zrobiłeś? Fenomenalne, niemożliwe. No słuchaj, aż mi stanął”. Może być?*

– *Może. Chciałem ci pokazać mój najnowszy klasztor, a po nim wodny świat, w zasadzie podwodny, bo tam nie ma powierzchni, ale jak nie chcesz, to mam cię w dupie.*

– *I vice versa. Rozumiem, że nadal masz zezwolenie na wejście do klejnocików?*

– *Jak to „nadal”? Czyżbyś wątpił w mój niezrównany intelekt?*

– *W intelekt nie wątpię. Wątpię w twój temperament i ogólny stosunek do świata.*

– *Zdaje się – Troy wyciągnął chudy palec – że tej akurat frazy nauczyłeś się na pamięć. Mars, ależ ty jesteś zdolny.*

– *Dosyć. Jest do ciebie prośba. Skontaktuj się z Torkilem z Arki. Trzeba przeprowadzić bardzo grubą akcję. Gamedec będzie potrzebował pomocy najlepszego programisty Imperium.*

– *Przeceniasz mnie.*

– *To była gadka motywacyjna.*

Arealium

Talizman: Arka Lamy

Wioska Na Niebie Aymore Isle

Czas lokalny:

30 sierpnia 150 roku od Grzechu Pierworodnego

Czas realium:

08 Decimi 232, 15.16 H

Ciepły, różowy kolor nieba. Plamy słońca na podłodze obszernego, słonecznego wnętrza będącego skrzyżowaniem królewskiego salonu i letniego bungalowu. Śpiew ptaków, na skórze powiew wiatru niosącego zapach jaśminu. I jeszcze scent skóry grzanej przez letnią aurę. Odczucia gładkości, lekkości i błogości. Żadnych spraw do załatwienia, żadnych rzeczy, o których trzeba pamiętać. Jest tu, jest teraz i obie te kategorie są pełne, ostateczne.

Są w życiu mężczyzny chwile, gdy jest po prostu szczęśliwy, nawet jeśli otrzymuje regularne paki od Twina czy Threena, które powodują, że żyje pełniej, mocniej, bo potrójnie. Podobnie jak Torkil w realium, dostawałem niezwykle prezenty od Jeffa, doskonale też wiedziałem, co wyczynia Aymore

pełniący funkcję Błogosławionego, ba, sam im wysyłałem meny, by wciąż mieli poczucie istnienia w trzech miejscach, w trzech czasach. Mimo wszystko byłem zrelaksowany i dziękowałem losowi za ten wcale nie naturalny, ale bardzo pożądany, wyuczony w tym świecie stan.

Zerknąłem na mechaniczny zegar unoszący się blisko okna. Od dwóch godzin frin Namaszczonego nic mi nie przesłał. Może to i dobrze.

Wstałem z hamaka, wyszedłem na taras i oparłem się o złotą barierkę. Mój pałac był wysoki, więc i widok rozpościerał się z niego rozległy i wieloplanowy. Połyskiwały w słońcu dziesiątki budowli, których styl można by nazwać „fantasy”, gdyby kogokolwiek w Arce Lamy obchodziła klasyfikacja architektoniczna i znalazł czas tudzież ochotę na udowodnienie, dlaczego „fantasy” jest stylem jednorodnym, skoro zawierać może tak wiele różnych rozwiązań. Budynki dookoła pałacu zaprojektowane zostały niewątpliwie przez najlepszych sieciowych artystów. Ich krzywe linie przywodziły na myśl przedstawienia bajkowe, oniryczne, być może nieco przesłodzone, ale przez to niezwykle pogodne, co mi bardzo odpowiadało. Kto powiedział, że mężczyzna musi patrzeć na widoki mroczne, posępne i pozbawione barw? Lubimy światło, kolor i dobry nastrój. W końcu każdy z nas hoduje w sobie niewinnego chłopca.

Patrzyłem na inne Wioski Na Niebie, unoszące się mniej więcej na tym samym poziomie co nasza i rzucające snopy cienia w dół, ku akwenowi niemal wiernie odwzorowującemu Morze Śródziemne, i podziwiałem Jeźdźców Orłów, którzy błyskali wszystkimi barwami tęczy. Przydryfowała ku mnie taca, na której parowała kawa, a obok mamili zapachem czekoladki. Uniosłem filiżankę i pociągnąłem łyk pachnący młodzieńczą ekscytacją. Włożyłem do ust czekoladkę. Wypełniona była aromatycznym koniakiem. Odetchnąłem głębiej, by uchwycić ten moment. W końcu jeśli nie doceniamy chwil, pozwalamy, by życie ciągle toczyło się w przeszłości, nie

w terażniejszości.

Zerknąłem w dół, do boskiego ogrodu, gdzie moja córka Cloe, w języku Weenów Schodząca z Nieba, bawiła się ze swoimi dziećmi: Pędzącym z Wiatrem, Mówiącą do Tyłu i Rosnącą z Drzewami. Berbecie miały odpowiednio siedem, dziesięć i dwanaście lat. Ich ojciec, Wiele Myślący, obdarowany przez nas, bogów, nieśmiertelnością, towarzyszył im i uczył najmłodszego Pędzącego z Wiatrem fikać koziołki. Był rzeczywiście myślącym człowiekiem i dobrym partnerem. I miał w sobie magię Weenów – poczucie sprawczości i wewnętrzną mądrość. Cloe znalazła przy nim szczęście. Zarówno rodzice, jak i dzieci byli półnadzy, ubrani w złote przepaski biodrowe, tęcze pióropusze, przystrojeni bransoletami obejmującymi ramiona i animowanymi tatuażami. Widok mojej córki, tak młodej, tak zmysłowej i szczęśliwej, napełniał moje serce dziwnie tkliwym i obcym uczuciem spełnienia.

Sam także byłem półnagi. Nikomu w Świecie Arki nie przyszłoby do głowy, by ubrać się inaczej. Na głowie miałem pióropusz, a na reszcie ciała ozdoby podobne do tych, które nosili moja córka i zięć. I wiecie co? Tak je polubiłem, że miałbym kłopot z wbiciem się w spodnie, koszulę czy pancerz.

Byłem Mówiącym o Wiedzy, jednym ze stu bogów-emisariuszy, którzy w czasie Drugiej Wojny z Thirami dobrowolnie zgłosili się do w pewnym sensie samobójczej misji w cyfrowym świecie obłąkanego naukowca. Teraz spijałem nektar konsekwencji tamtej akcji: stałem się mieszkańcem cyfrowego świata i częstym wizytatorem innych talizmanów.

W dalszej części tarasu kołysała się na magicznym hamaku Patrząca w Światło, moja jak dotąd jedyna kobieta w tej rzeczywistości. Weenka. Miała czarne, połyskujące granatem włosy, błękitne oczy i ciemną karnację, jak my wszyscy. Potrafiła, zgodnie ze swoim imieniem, pięknie patrzeć, słuchać i w ogóle się nie kłócić, co działało na mnie lepiej niż wszystkie

terapię świata. Chcesz być szczęśliwy? Jest na to prosty sposób: znajdź niekłótliwą kobietę. To tak banalne, że aż dziw, że nikt dotąd tej recepty nie opatentował.

Patrząca w Światło, którą na swój użytek nazywałem Theą, bo jej zapach przypominał aromat herbaty, poznała mnie jakieś sto pięćdziesiąt lat temu i już wtedy postanowiła, że będzie mnie mieć. Ma w sobie geny Myonów, więc oczarowanie mnie i związanie ze sobą nie zajęło jej dużo czasu. Ja podarowałem jej wieczną młodość oraz, zgodnie z jej życzeniami, poprawiłem nieznacznie urodę.

Kobiety są wszędzie takie same.

Trzymała filiżankę z kawą, „napojem bogów”, bo przed naszym przybyciem nie znano tu tego naparu, i patrzyła na mnie tak, jakby chciała mnie zjeść. Była dzika i wypełniona po brzegi niegasnącym temperamentem. Nie wiedziałem, czy taka jest jej natura, czy grzebali przy niej programiści znający moje preferencje.

Uśmiechnąłem się do niej i spojrzałem w niebo, na którym błyszczało dwadzieścia pięć planet Imperium, które istniały podczas Drugiej Wojny z Thirami. Nieco wyblakłe od odległości, wielobarwne kule. Dalej widać było następne i następne, i następne, ale dostęp do nich mieli nieliczni. Podróże tam są możliwe dzięki Buddzie, który zaraz po tym, jak Imperium skolonizuje planetę, robi nie tylko jej cyfrowy odpowiednik, ale także sieciową przeróbkę specjalnie na potrzeby Świata Arki. Jest to hołd, jaki maszyna składa tym, którzy poświęcili cielesne życie, by wygrać wojnę z Thirami.

Jednak każda chwila, każda błogość ma swój kres. W tym przypadku czerwoną linią, która oddzieliła Torkila-szczęśliwego-na-tarasie od Torkila-zajętego-ważnymi-sprawami, był sygnał połączenia.

Troy.

Cofnąłem się do komnaty i położyłem w hamaku. Ze ściany wychynął mahoniowy mechanizm i zwiesiła się z niego falująca materia. Nie minęła sekunda, a rozjarzyła się i wyświetliła trójwymiarową gębę programisty.

– Witaj, Mówiący o Wiedzy – rzekł bardzo poważnie.

Wiedział, że w światach talizmanów obowiązuje twardy kodeks zachowań. Za jakiegokolwiek jego naruszenie Budda bez zbędnych tłumaczeń odbiera zezwolenia i rzadko je przywraca.

– Witaj, Głosie z Nieba. Jakie wieści?

– Coś w sam raz dla Talda.

Talisman dwellers. Tak nazwano setkę, która się tu osiedliła. Bycie Taldem było bardzo dobrym gamedeczanym zajęciem. Odkąd nastąpiła moda na posiadanie mikroświatów w biżuterii i ImBu pozwolił na szerzenie w nich umiarkowanych kultów posiadaczy, pojawiło się zapotrzebowanie na swego rodzaju milicję wyznaniową, czyli nowy rodzaj gamedeców, którzy interweniowali, gdy coś wymykało się spod kontroli. Oczywiście sto osób na dwa biliony talizmanów to trochę mało, więc Taldów było dużo więcej. Ale najlepsi, bo najbardziej doświadczeni, rezydowali w Arce.

– Przejdźmy na komunikację myślową – poprosiłem.

– *Świetnie, bo mierzi mnie ta podniosła gadka.* – Troy rozluźnił się. – *Pozdrów ode mnie córeczkę, zięciunia, wnuczęta, prawnuczęta i praprawnuczęta.*

– *Tak zrobię.*

– *To ile ich w końcu masz?*

Wiedział to lepiej ode mnie, bo do jego obowiązków należało doglądanie Świata Arki.

– *Nie pamiętam. Ostatnio Wiele Myślący i Cloe sprawili sobie nową trójkę.*

– *Cudownie. Ale skoro kurtuazję mamy z głowy, a ty mnie nie pytasz o najnowsze dzieła...*

– *Kontynuuj.*

Skrzywił się. Był artystą najwyższej klasy. Uwielbiał projektować talizmanowe świątynie generujące doznania religijne, tymczasem nikt nie doceniał jego trudu. To znaczy nikt oprócz googoli wyznawców, ale oni nie wiedzieli, że ich świątynie stworzył jakiś programista. Nie mieli przecież pojęcia, że tkwią wewnątrz minikomputerów.

– *Twój realny braciszek ma nielichy problem.*

– *Jaki?*

– *Nie dostałeś paka?*

– *Jeszcze nie.*

– *Widocznie jego frin uznał, że z tym poczeka, bo sprawa jest... dziwna.*

*Napotkał kobietę, która każe się nazywać Imperatorką.*

*Uniosłem brwi.*

– *Niezłe bluźnierstwo.*

– *Jak dla mnie facetka ma po prostu fantazję i sensowne ambicje.*

*Mógłbym się jej oświadczyć.*

– *Dalej.*

– *Taaak. Ona ma na sobie co najmniej pięćdziesiąt aktywnych talizmanów z silnym kultem.*

– *Do diabła!*

– *Właśnie. Nie można się do niej zbliżyć. Każdy, kto próbuje, staje się jej wyznawcą.*

– *Wchodzi do świata równoległego sprzyjającego jej prawdopodobieństwa?*

– *Bardziej naukowo bym tego nie określił.*

– *To oczywiste.*

– *Torkil uważa, że ta baba w jakiś sposób może zagrozić WayEmpire, i być może ma rację. Napędy Mirova czterech pancerników przy Łzie odmówiły*



*posłuszeństwa, a były skonstruowane na Worplanie, na którym przebywa ta właśnie, proszę ciebie, Imperatorka. Ponadto świat ten należał do Kaliai, a na jednej z ich planet, Cyklonie, panuje bardzo dziwna epidemia...*

*– Ta Imperatorka mieszka na Świecie Fabryce?*

*– Też se wybrała miejsce, co? Czeka, bo to nie wszystko. Zanim to się stało, znaczy z tymi generatorami Mirova, ze Łzy wypłynęły wszystkie porąbane Widma Czarnego Maodionu i poleciały w nieznanym kierunku, twierdząc, że nadciąga zło. Buuu. – Wzniósł ręce, udając upiora.*

*Na jego miejscu nie śmiałybym się z przeczuć Opętanych.*

*– Dodam, że dziwna choroba, o której już wspomniałem, bardzo paskudnie kojarzy się z objawami, jakie ludzie mieli w styczności z Thirami. Wspomnę też, że Gradivus jakby zasugerował, że w hiperprzestrzeni zaczyna się robić nieciekawie...*

*– Ruben, przerażasz mnie.*

*– Taki mam zawód. – Uśmiechnął się, szczerząc wielkie zęby.*

*Przez wszystkie te lata zrezygnował z krzywych siekaczy. Zostawił tylko jeden nierówny kiel. Całkiem dobrze to wyglądało.*

*– Tak czy owak – podjął – zadanie jest takie: ja i mój zespół postaramy się zrobić dla ciebie i twojej grupy, o ile taką stworzysz, wywiad, dzięki któremu wleziecie w jej talizmany właściwie zaopatrzeni. Podejrzewam, że inżynierowie, których pozyskała, stworzyli potężne zapory tudzież niezłe programy antywirusowe, być może podległe jej intencjom. Wiesz, co mam na myśli...*

*Wiedziałem. Posiadacz talizmanu ma prawo umieszczać w swoich mikroświatach programy zwalczające misjonarzy innych kultów. Powiedzmy, że Sit o imieniu John ma dwa klejnoty i w obu jest czynne jego wyznanie: dziesięć miliardów istot wierzy w niego jako boga. John jest dzięki temu istotą bardziej sprawczą, ale... marzy mu się większa moc.*

Dogaduje się z pozbawionym skrupułów odpowiednikiem Troya i prosi o napisanie programów-misjonarzy, którzy włamią się do innych talizmanów i zaczną tam bezprawnie szerzyć wiadomą wiarę. Spotyka się ze znajomą, dajmy na to Laurą, i niepostrzeżenie przesyła do jej talizmanów nielegalne programy. Po spotkaniu Laura może być przekonana, że w jej kolczykach ciągle kultywowana jest religia wychwalająca jej boskie przymioty, a tymczasem tamtejsi Weeni poddani zostają indoktrynacji przez mnichów wychwalających boga Johna i jeśli programy antywirusowe kobiety nie dadzą sobie z nimi rady, nie upłynie dziesięć dni, a jej Weeni zaczną wychwalać nowego pana.

Tyle jeśli chodzi o wolność człowieka w Wielkim Imperium. Są wolni i wolniejsi. My mamy Wolną Wolę, a Weeni mają fundamentalizm. Dwa biliony fundamentalizmów. Wracając do sprawy, służby wyznaniowe w talizmanach Imperatorki, czyli jej programy antywirusowe, mogły mi, Taldowi, potężnie zaszkodzić. Niezbędne było wsparcie programistyczne.

– *Dlatego – przełknął ślinę – zalecałbym wejście na pluskwę.*

– *Przerażasz mnie.*

– *Przykro mi. Podaję namiary najbliższego teleportu. Wchodźcie tam i osłabiacie kult Imperatorki. W pięćdziesięciu talizmanach to będzie nie lada wyzwanie. Ja, w miarę możliwości, chronię was przed antywirusami i kontroluję otoczenie, żebyście mogli stamtąd w razie czego uciec. Gdy kult osłabnie, Torkil z rzeczywistości albo jakiś zespół wsparty Lapidoi przesłucha sukę i sprawdzi, o co jej generalnie chodzi, kapewu?*

– *Troy, czy ty nie zapomniałeś, że masz do czynienia z Ranem?*

– *Programem Ranem. Nawet się fajnie rymuje, co?*

– *Zero szacunku?*

– *Wiesz, że cię kocham.*

– *Wierzę na słowo. – Przytknąłem ręce do twarzy, żeby się skupić. – Okej,*

*skontaktuj się z pozostałymi Taldami, ale nie podawaj za dużo szczegółów. Sam ich odprawię. Uprzedź, że trochę przyspieszysz tu czas, żebyśmy się mogli bez waszej temporalnej straty przygotować. Poproś też ImBu o wsparcie programistyczne, nie baw się sam.*

*– To jasne.*

*– Naprawdę nie wiadomo, o co tej babie chodzi?*

*– Trochę jest porąbana. Twierdzi, że jest antytezą Imperatora, i domaga się oficjalnego przyznania, że dzieli z nim władzę.*

*– Niemożliwe.*

*– No jakoś tak.*

*– Nie można jej bombą?*

*– Ja bym tak zrobił.*

Ale nie Imperator. On jest graczem. Nie usuwa ciekawych figur z planszy, bo doskonale wie, że samymi pionami partii się nie wygra. Od setek lat wykorzystuje laufry, skoczki i wieże, ustawia je tak, by odegrały swoją rolę zgodnie z jego planami. Przypomina się stary dobry Tolkien i paradoks Golluma. Postać ta była bardziej zła niż dobra, ale bez niej wyprawa Drużyny Pierścienia nie powiodłaby się. A to wszystko dzięki mądrymu Gandalfowi. Taki sam był Gorgon. Gdy na szachownicy pojawiała się nietypowa bierka, nigdy pochopnie jej nie zbijał...

Był też inny aspekt. Przy takiej liczbie aktywnych talizmanów być może nawet bomba nic by nie dała. Albo by nie wypaliła, albo wysadziła przewożący ją statek. Nie igra się z prawdopodobieństwem.

Westchnąłem.

*– Troy, biorę się do roboty. Przyspiesz nas tak, żebym miał dzień na skompletowanie załogi.*

*– Nie ma sprawy.*

*– Na razie.*

Rozłączyłem się. Ekran się zwinął, mahoniowe wielostawowe ramię złożyło się i wpasowało w ścianę. Podeszła do mnie Thea. Nie potrzebowała żadnych wyjaśnień. Widziałem po jej twarzy, że wie, że mam boskie sprawy do załatwienia. Mimo to wypadało coś powiedzieć.

– Musisz zniknąć na jakiś czas – wyszeptała.

– Tak.

– Wrócisz?

– Jak zawsze.

Wyprężyła się. Zagrały smukłe mięśnie jej brzucha, a biust zaokrąglił się nad złotym topem.

– Chodź tu.

W pierwszym odruchu chciałem się pożegnać z Cloe, ale zaraz przypomniałem sobie, że jest także Taldem. Wprowadziłem ją w sprawę, przesyłając obszerny pak. Stałem na balkonie. Spojrzała na mnie z dołu tymi swoimi błękitnymi oczami i ledwie zauważalnie skinęła głową.

Przez Święty Materiał połączyłem się z Wędrowcem, który w minionych latach ostatecznie zaakceptował moją boskość, i poprosiłem, by miał nas w swojej opiece. Nie wątpił, że mamy bardzo ciężkie zadanie do wykonania, bo jeszcze nigdy nie opuszczali tego świata wszyscy bogowie naraz.

– Wróćcie? – spytał cicho.

Weeni nie wyobrażali sobie już życia bez nas. Zmieniliśmy ten świat, wzbogaciliśmy go, dodaliśmy tęczę. Unikając wzniosłych porównań, uzależniliśmy ich od siebie.

Postaram się, Wędrowcze.

Nie minęły dwie godziny, a dziewięćdziesięciu sześciu gamedeców szybowało już na barwnych Orłach do Świętej Bramy, którą mogli przekraczać tylko bogowie. Była to kula jasna jak słońce, okolona trzema leniwie rotującymi pierścieniami. Rzecz jasna, gdy jakiś śmiałek zbliżał się do niej, nie zabijała go straszliwym promieniem, tylko po prostu nie wpuszczała. Z tego powodu w ciągu z górą wieku zgromadziło się wokół niej wiele Wioski Na Niebie, żeby móc obserwować ją z bliska. Powstał specyficzny kult. Kult drzwi. Mam wrażenie, że w WayEmpire też czci się bramy. Ludzie Bramy, przywódcy Maodionów, to Torii. Coś w tym jest. Człowiek nie zyskuje dużego formatu dzięki temu, że puchnie od nagromadzonych fantów, ale dlatego, że wiedza, mądrość i dobro płyną przez niego jak przez otwartą bramę. W przypadku Świata Arki sprawa była raczej oczywista – w końcu to teoretycznie z tego właśnie miejsca dawno temu wychynęliśmy i zmieniliśmy życie Weenów.

Zanim wniknęliśmy w blask, spojrzałem w dół, jakbym się zegnał ze światem, który zdążyłem zaakceptować, a potem pokochać. Wioski Na Niebie kąpiące się w złotym blasku, który w tej rzeczywistości zastąpił czarny kosmos, rzeki i morze pod nami, dalej ląd, gdzie królowało Drzewo Grzechu Pierworodnego. Tę wysoką na pół kilometra jabłoń Ruben stworzył, by upamiętnić miejsce, w którym wniknęliśmy tu z Cloe i skłamaliśmy, podając się za bogów i niszcząc w ten sposób ich rzeczywistość. Łamiąc im karki.

Może tylko nieco delikatniej niż wszyscy nasi poprzednicy – realni mesjasze.

Arealium  
Portal talizmanów  
Czas realium:  
08 Decimi 232, 15.39 H

Po tym, jak weszliśmy do portalu i zniknęliśmy z oczu Weenów, znaleźliśmy się w normalnym sieciowym menu. Z pewnym zaskoczeniem zobaczyłem siebie w standardowym kombinezonie. Otaczający mnie Taldowie byli ubrani w identyczne błękitnoszare uniformy.

– Ale odmiana, co? – żartowali.

– Ciągłe człowiek chodzi goły, a tu nagle go ubierają.

– Ale tu ponuro.

– No.

– Jak oni mogą tu żyć?

Uśmiechnąłem się do siebie.

– *Słuchajcie – przeszedłem na tot – mamy ważną misję.*

Przekazałem im men zawierający szczegółowe informacje. Odpowiedziała mi kakofonia skojarzeń, wykrzykników, zdziwień i pytań.

– *Nawet gdybym chciał, nie powiedziałbym wam nic więcej, bo nikt nic więcej nie wie. Więc nie pytajcie. Dowiemy się na miejscu. Chociaż jest tutaj dwójka, która w realium ma odpowiedniki w osobach Błogosławionych, mówię oczywiście o Robercie Taarsie i Melanii Gulf, obejmują dowodzenie. Czy ktoś ma coś przeciwko?*

Pokręcili głowami. Melania, kasztanowłosa piękność, zmrużyła filuternie oczy.

– *Świetnie. Jest nas dziewięćdziesiąt sześć osób, podczas gdy talizmanów pięćdziesiąt. Łączymy się w pary. Dwa kamienie zostawimy na pastwę losu. Wchodzimy na pluskwę.*

– *Ups!* – zachłysnął się Robert, który, gdy go wymieniałem, stanął obok Mel.

Talizmany są w pewien sposób wykluczone z sieci. Można się z niej do nich dostać, ale wymaga to specjalnych procedur i zezwoleń, również właściciela. Dobry haker potrafi zakamufłować wtargnięcie, ale prawdopodobnie Imperatorka ma nie gorszych. Ryzyko było zbyt duże. W takich sytuacjach Taldowie Arki wyjmują asa z rękawa. W sto piętnastym cyklu EI gajańscy inżynierowie pod życzliwym okiem ImBu krok po kroku, atom po atomie, wymienili hardware skrzyni i spowodowali, że stała się w pełni konfigurowalna. Utworzyli wtedy w środku komorę, blisko zasobów pamięci. Taką dziurę. Nazwaliśmy ją ulem. Nie wiem dokładnie, jak im się udało to zrobić, ale wiem, że to działa: teraz, jeśli chcę wyjść z Arki, wydaję polecenie i po kilkudziesięciu sekundach ze skrzyni, właśnie z ula, wyłania się gruda, która morfuje w mikroбота. Cała moja psycha jest zapisana w tym dronie, a ja sam jestem kimś w rodzaju pilota. Słowem, istnieje sposób, w jaki możemy opuścić fizycznie Arkę... nie opuszczając jej. W tej postaci podróżujemy po WayEmpire i poznajemy Imperium z perspektywy pszczoły. Tald lecący minirobotem może się zbliżyć do celu, czyli talizmanu, a następnie „wystrzelić” własną psychę w drobinie nie większej niż cząsteczka białka. Ten pocisk przywiera do klejnotu i dokonuje transferu osobowości gamedeca do świata talizmanu w zupełnie inny sposób niż standardowo. Niejako wnika w hardware mikrokomputera i dzięki temu minimalizuje prawdopodobieństwo wykrycia nowej osoby w arealnym świecie. Sęk w tym, że bez odpowiedniego hakerskiego wywiadu wnikający gamedec jest najczęściej ubrany w niepasujący do zastanych realiów strój, nie zna języka ani miejscowych zwyczajów, więc naraża się na szybkie i bolesne zdemaskowanie. Wtedy naprawdę może tam zginąć. W takiej sytuacji chronią go nieliczne programy i nigdy nie wiadomo, co zrobią

programy właściciela. Właśnie dlatego w Arce mieszkało dziewięćdziesięciu sześciu Taldów, nie stu. Cztery osoby zginęły w talizmanach podczas takich akcji. Paradoksalnie nasze życie stało się bardziej niebezpieczne niż Sitów zamieszkujących realium. Zanim wejdziemy do kamieni tej kobiety, będziemy potrzebować danych od speców na tyle dobrych, by ich działania nie zostały wykryte.

Teraz rozumiecie, dlaczego metoda „na pluskwę” używana jest tylko w wyjątkowych sytuacjach.

– *Takiej akcji jeszcze nie było* – szepnęła Melania. – *Wszyscy Taldowie Arki? Na pluskwę?*

– *Sprawa jest wyjątkowa* – odparłem. „Poza tym już się nażyliśmy”, chciałem dodać, ale to nie byłoby fair.

– *No dobra.* – Robert potarł skroń. – *Nadawaj dalej.*

– *Troy i jego zespół, który, mam nadzieję, został już skompletowany, zajmie się wywiadem, ubiorami i tak dalej.*

– *Uda mu się?*

– *Jak nie on, to kto?*

Podniósł się szum i posypały się kandydatyry zdolnych programistów.

– *Jestem pewien, że Troy ich zna i już się z nimi skontaktował. Zresztą zaraz to sprawdzę... Ruben? Masz już zespół?*

Młodzieńcza gęba nie promieniała tak jak zwykle. Przez chwilę była nieruchoma, potem ożyła. Troy zwolnił nasz czas do normalnego tempa. Widać było po nim, że pracuje na pełnych obrotach.

– *Tak. Najlepszych speców w Imperium. Udało mi się na razie złapać czterdzieści osób.*

– *Świetnie. Wszyscy zwerbowani czytają Buddę?*

Wyszczrzył wielkie białe zęby.

– *Oczywiście.*



Nie było to wcale takie oczywiste. Wielu programistów Imperium było nimi tylko z nazwy. Mało kto potrafił śledzić matematyczną macierz Buddy. Ruben i podobni mu geniusze twierdzili, że umieją to robić, oraz utrzymywali, że coś z tego rozumieją.

– *Jesteś gotowy?* – spytałem.

– *Nie. Dajcie nam jeszcze chwilę. Wykorzystuję ImBu czuwającego na Dharmie do włamania się do Akademii Nauk. Mają tam sporo zamkniętych skrytek. Poznamy ich zabezpieczenia, a potem spróbujemy otworzyć te kamyczki. Rozumiesz, najslabszym ogniwem zawsze jest człowiek. Jeśli ich zrozumiemy, poznamy słabe punkty. Dzięki temu włam będzie łatwiejszy...*

– *Okej. Ile potrzebujesz?*

– *Jeszcze realnych pięćdziesiąt mon.*

– *Dobra. Za chwilę do was polecimy.*

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Rihanna, raj

Karawana Błogosławionego Aymore'a

Sektor J 32353

08 Decimi 232 EI, 15.41 H

Ruben Troy przyspieszył do maksimum, używając frina i zasobów Buddy. Zerknął na listę skaptowanych programistów. Zlecenie było od Błogosławionego, dlatego uczeni z Imperialnej Akademii natychmiast połączyli go z najzdolniejszymi czarodziejami sieci. Niektórych z nich miłośnik liczby „51” znał osobiście. Innych – ze słyszenia. Z wieloma się nie lubił, bo stanowili konkurencję w wyścigu o tytuł najlepszego architekta. Nie

było jednak czasu na animozje. Cmoknął, wędrując wzrokiem w dół spisu. Wiszący przed nim trójwymiarowy ekran przedstawiał nie tylko zamiary hakerów, ale także ich portrety. Kilka slotów świeciło czernią. Nie oznaczało to, że programiści są nieobecni. Po prostu nie chcieli zdradzać swojego wyglądu. To nierzadka cecha w tym fachu.

– *Panie i panowie – wysłał pak, gdy wszyscy zgłosili gotowość – przyspieszcie do dwudziestu. Mamy bardzo mało czasu, całkiem nietypowo jak na Wielkie Imperium.*

Odczekał kilkadziesiąt subiektywnych cetni, w trakcie których jego przekaz docierał do odbiorców.

– *Wiemy, o co chodzi. Podaj cel.* – Pierwsza odezwała się Jessica Denberg, rezydująca prawdopodobnie nad Ottawą. Troy jej nie lubił, bo była za dobra. Niektóre jej prace były lepsze od jego. Przyznawał to ze wstydem i tylko przed sobą.

Uruchomił TIO nad Akademią Nauk i w jej wnętrzach. Udało mu się uzyskać kontrolę nad kilkunastoma kamerami w komnacie Imperatorki, ale na razie ich nie włączał.

– *Kamery TIO macie w załączniku. Wchodzimy tam na malucha.*

W slangu programistów oznaczało to, że będą używali swoistego metu, ale nikt nie będzie widział ich cyfrowych postaci. Zero-jedynkowe obecności będą optycznie rozmiarów molekuł, zachowają jednak wpływ na te przedmioty, które skonstruowane są z fofów, bo fofy mają swoją inteligencję i są w pełni programowalne. Każdy stworzony z nich obiekt może zostać zhakowany, rozłożony i przekształcony. Pod tym względem WayEmpire niczym się nie różniło od programu komputerowego. Oczywiście wtedy, gdy ImBu na takie zabawy zezwalał albo udało się z nim wygrać, co zdarzało się niezwykle rzadko.

– *Dlaczego na malucha, a nie normalnie, w sieci? I co się tak rządysz? –*

rozległy się głosy.

– *Na malucha jest bezpieczniej* – odparł. – *W razie czego będziemy mieli reistyczne wsparcie. Rządź się, bo Primus mnie przekazał dowodzenie.*

– *Błogosławiony?*

– *Taa.*

– *Ja też mam kumpla Błogosławionego!* – zaoponowała Jessica.

– *Uczestniczy w tej akcji?*

– *No nie.*

– *Więc się nie liczy. Gotowi?*

– *Tajest...*

– *Uwaga... już!*

Troy wydał dyspozycję dewitalizacji. Jego pancerz przejął kontrolę nad ciałem, a psychika znalazła się dziesiątki parseków dalej. Oczywiście tak naprawdę wciąż rezydowała w mózgu Rubena i jedynie dzięki sieci programista miał wrażenie pobytu na Dharmie, lecz z praktycznego punktu widzenia było to bez różnicy. Czuł się, jakby tam był, i tylko to się liczyło.

Wszyscy lewitowali kilkadziesiąt metrów nad Akademią Nauk. Ruben widział ich sygnatury jako róż kolorowych punktów. Unosiły się nad nimi ich imiona. Natychmiast się rozproszyli i uruchomili skany.

– *O w mordę!* – wykrzyknął Henry Dolores, twórca pierwszorzędných latających katedr w talizmanie Wrony, takiej pokazówce nieużywanej przez żadnego Sita. Jego Ruben też nie lubił. – *Rzeczywiście! Pięćdziesiąt talizmanów w jednym miejscu!*

Postronny obserwator zdziwiłby się, jakim cudem Henry tak szybko się zorientował w liczbie magicznych klejnotów Imperatorki, lecz już żaden programista talizmanów. Sygnatury falowe tych kamieni są tak charakterystyczne, że każdy człowiek zajmujący się ich programowaniem, a tym bardziej hakowaniem, zna je na pamięć. Specjaliści Troya byli otoczeni

dziesiątkami niewidzialnych dla innych okien, na których królowały tuziny różnych ujęć TIO, w ich głowach zaś brzmiały setki wyobrazeniowych, emocjonalnych i intelektualnych podpowiedzi specjalnie skalibrowanych frinów. Dla nich obecność talizmanów była oczywista.

– *Są zabezpieczenia* – rzucił Zerozerojeden. Tego Troy nawet lubił, bo był wesoły i zupełnie pozbawiony skromności.

– *Co to jest?* – odezwała się Vanessa Ice, jedna z twórczyń Red Stone, popularnej gry. – *Jakaś sekta? Wśród inżynierów?*

– *O rany* – wszedł jej w słowo Henryk Górecki, programista lubujący się w tworzeniu arealnej archiflory. – *Ale tu lata nanobotów. Widzicie? W Akademii Nauk najwięcej. Każdy z tych pojebów jest napakowany pluskwami...*

– *Ostrożnie* – ostrzegł Ruben. – *Nie mogą wiedzieć, że będziemy się włamywać...*

– *Za kogo mnie bierzesz?*

– *Za amatora, którym jesteś* – zarechotał Subway.

Tego mało kto widział w realium. Był jednym z tych, którzy kryli się za czarnym ekranem. Uwielbiał hakować gry, ale w talizmanach zachowywał się przyzwoicie. Cały zespół miał zezwolenia. Bez tego ImBu nie dopuściłby ich do tej akcji.

– *Słuchajcie* – odezwała się Jessica. – *Im dalej od Akademii, tym mniejsze stężenie nanobotów. Proponuję wyłuskać kawałek aparatury w promieniu pięciu kilometrów od tej budowli, podzielić go, stworzyć armię botów, wlecieć do Akademii i pozyskać umysł głównego programisty. I dopiero przez niego wejść do zabezpieczeń talizmanów.*

– *Nie wyłuskamy ani grama struktury Dharmy bez imperialnego zezwolenia* – zauważył Subway. – *Hakersko zajęłoby to masę czasu, a i tak ImBu by nas kosił raz za razem...*

– *Oto ono* – rzucił nonszalancko Ruben. – *Od Błogosławionego Aymore’a.*

– *Ożeż w mordę...*

– *Raz w życiu miałem tę aplikację.* – Henryk cmoknął. – *Teraz możemy dosłownie fłof po fłofie rozebrać tę planetę!*

– *Zaraz coś rozbierzemy, ale delikatnie, cicho. To skradanka, nie wojna* – nakazał Troy.

– *Już jestem* – odezwała się Jessica. – *Sterówka montowni trzy kilometry na południe od Akademii Nauk. Komnata sto dwadzieścia jeden. Jesteście ze mną?*

Przenieśli się we wskazane miejsce z szybkością, jaką mógł osiągnąć jedynie byt arealny. Troyowi przypomniały się opowieści o śmierci klinicznej, czytane dawno temu, jeszcze na Damnacie. Ci, którzy umarli za życia, opowiadali o takich właśnie doznaniach dusz wyzwolonych z ciał. Wzdrygnął się na to skojarzenie. Niespieszno mu było umierać. Jessica odpowiedział chór potwierdzeń. Jeśli któryś z programistów się spóźnił, milczał, bo było mu wstyd. Tu nie było miejsca dla nieprzystosowanych. Znaleźli się w pomieszczeniu teoretycznie przeznaczonym dla człowieka, praktycznie jednak zapewne nigdy przez organika nieodwiedzanym. Wyposażenie było skromne i ze wszech miar techniczne, nieco staroświeckie, wpasowane w architekturę Dharmy. Potężny metalowy stół, nieużywany moduł troniczny, wielkie trójwymiarowe obrazy na ścianach przedstawiające najbardziej monumentalne budowle planety, kręcone ozdobne schody wiodące na górę i mnóstwo wygaszonych ekranów mających służyć do podglądu prac.

– *Co by tu skubnąć...* – nadał Henryk.

– *Denberg* – warknął Zerozerojeden – *nie szczyt ścian. Daj mi to zrobić, jestem w tym lepszy.*

– *Proszę bardzo, wasza wysokość, ale jak spieprzysz, twoja sława stanie*

się tym, czym jest bąk po przejedzeniu.

Towarzystwo zarechotało.

– *Odseparowałem gałkę poręczy schodów* – odezwał się Zerozerojeden.

Oczy wszystkich skupiły się na niewielkiej kuli unoszącej się teraz w powietrzu. Była bogato inkrustowana. Po jej powierzchni pełgały morfujące wzory zdobień.

– *Mamy w niej sporo węgla, żelaza, niklu, tytanu, trochę niobu i niemało krzemu...*

– *Świetnie* – przerwała Vanessa. – *Weź jeszcze stąd.* – Wskazała kursorem złote wykończenie stołu. – *To tworzywo, nie złoto. Tu powinny być siarka i azot. Przeskanowałam pomieszczenie i wyszło mi, że można z niego wylecieć przez kanały wentylacyjne. Połóż tę kulę tu, w tej wnęce.* – Cursor zaświecił we wgłębieniu stołu, prawdopodobnie przeznaczonym do podparcia kończyny jakiegoś drona.

– *Dossskonale* – szepnął Henry. – *Zero, daj mi to cacko.* – Błękitny punkt oznaczający Henry’ego zbliżył się do kilkunastu drobin wyodrębnionych przez Zerozerojeden z gałki poręczy i krawędzi mebla. – *Dzięki. Teraz was rozdrobnimy, bobasy, i zamienimy w rój myśliwców...*

Troy wykonał zoom, by zbadać flofową konstrukcję okruchów. Na początku widział tylko nieregularne kształty i zadziory, ale gdy przybliżył obraz tak, że to, co przed chwilą wydawało się maleńkim fragmentem jednej z drobin, otoczyło go ze wszystkich stron niczym fantastyczny krajobraz błękitnej skalistej krainy, dostrzegł zarys regularności. Fraktale. Widział krawędzie „skał” układające się w regularne kształty. Przybliżył obraz jeszcze bardziej i je zobaczył: malutkie „gwiazdeczki” nieustannie morfujące i przeobrażające się, podobne do siebie jak śnieżynki, a mimo wszystko wciąż zmieniające konfigurację. To Henry wpływał na ich funkcje.

Troy wycofał zoom.

– *Dlaczego ty to robisz?* – spytała Vanessa.

– *Bo tworzę najładniejsze mikromyśliwce* – odparł Henry.

– *Kto tak powiedział?*

– *Ja oczywiście...* – zachichotał.

Jak za dotknięciem magicznej różdżki fragmenty materii zaczęły się dzielić, rozdrabniać, formować w malutkie ziarenka, a potem łączyć i przeobrażać...

Ruben przypomniał sobie narzekania Torkila, jak trudno jest zarządzać zespołem, zwłaszcza intelektualistów. To było wtedy, gdy słynny Błogosławiony kierował Spartą i miał pełne ręce roboty z bandą architektów, psychologów i innych speców od leczenia pokiereszowanych psychik. Troy widział aż nazbyt jasno, że tą zgrają artystów po prostu zarządzać się nie da. To był raczej chaos, ledwie kontrolowany. Każdy członek grupy miał o sobie nie wiadomo jakie mniemanie i wszędzie pchał się pierwszy. Gdzie szkolne ćwiczenia pracy zespołowej? Gdzie te wszystkie szczytne ideały kooperacji? W przypadku niektórych indywidualistów oraz jednostek zakompleksionych wciąż brała górę gorsza, gotyczna natura. Tylko skąd kompleksy w erze doskonałych programów wychowawczych?

Ruben wzruszył cyfrowymi ramionami wielkości kwantów i wrócił do obserwacji pracy podopiecznych.

– *Kiedy wy tu sobie gaworzyliście* – odezwał się Non2mal, twórca arealnych wielopoziomowych relacji emocjonalnych – *prześwietliłem strukturę społeczną wyznawców tej kobity. Wydaje się, że jej głównym ochroniarzem jest Gustav Aard. To on stworzył służby religijne jej talizmanów, bramki chroniące przed dostępem i programy, dzięki którym wystarczy, że ta pani pomyśli, a służby wyznaniowe w klejnotach wzmogą czujność. Jest w niej zakochany po uszy.*

– *Mam go* – szepnęła Anna Oak, która często współpracowała

z Non2malem. – *Idzie korytarzem. Zbliża się do auli, gdzie przebywa ta suka...*

– *Dobrze by było wszczepić mu pluskwę, zanim tam wejdzie* – zasugerował Troy.

– *Zaraz, zaaaraz...* – Świetlny punkt Henry’ego zdawał się dwoić i troić nad małymi myśliwcami. Nie było ich już widać nieuzbrojonym okiem, ale Ruben widział ich trójwymiarowe reprezentacje unoszące się tuż nad wgłębieniem stołu. – *Gotowe!* – krzyknął haker. – *Non, bierz jednego!*

Animacja myśliwca gwałtownie skoczyła w górę, poleciała w stronę otworu wentylacyjnego i zniknęła w nim. Jeszcze kilkanaście cetni i Troy usłyszał:

– *Jestem* – syknął tryumfalnie Non2mal. – *Jestem w jego uchu.*

– *Zagłuszam ich czujniki* – sapnęła Anna.

– *Twoje bociki są jak zwykle genialne, Henry* – szepnął Non2mal. – *Nie wykryli mnie.*

– *Dzięki.*

– *Idę głębiej...*

– *Musisz się przebić do kości, koło ucha wewnętrznego. Tam już cię nie ruszą* – poradził Ruben.

– *Nie ucz ojca dzieci robić. Błonę bębenkową sforsowałem. Podnosi cymbał rękę, żeby się podrapać. Zanim to zrobi, będę... okej, omijam młoteczek, wwiercam się koło ślimaka... Jestem.*

– *Świetnie* – ucieszyła się Vanessa. – *Dajcie mi chwilę, zaraz go przeskanuję. Nie lećcie tam jeszcze, bo nas namierzq...*

– *Zagłuszam ich* – zaprotestowała Anna.

– *Ale oni mogą to zauważyć* – powiedział Troy. – *Jedna sonda w uchu tego Gustava wystarczy. Na razie. Myśliwce niech się rozproszą i krążą w promieniu kilometra od Akademii.*



– Roger – odezwał się Zerozerojeden.

– *Dobrze, kochanieńki, dobrze...* – ekscytowała się Anna. – *Kochasz panią Imperatorową, kochasz, ale jakie zastosowałeś polecenia i hasła... Okej, mam tu zbiór najbardziej prawdopodobnych skojarzeń, cyfr i nazw...*

Przed oczami Troya pojawiła się przezierna lista zawierająca kilka tysięcy słów.

– *Kurwa, to trochę mało* – skomentował Zerozerojeden.

– *Zgadzam się* – potwierdził Henry. – *Potrzebujemy danych wywiadu.*

– *Mam tu informacje od Besebu-Rana Samuela Kroza.* – Troy mlasnął.

– *O, kurwa! Od syna diabła?* – szepnął Zerozerojeden.

– *We własnej osobie.*

– *Nie bałeś się, że cię aresztuje?*

– *Besebu-Ranów jadam na śniadanie.*

– *No, no...*

– Ruben? – wszyscy usłyszeli głos Torkila z Arki.

– Tak?

– Już jesteśmy. Wyłoniliśmy się z teleportu DTT 2564, dwa kilometry od Akademii. Jak sytuacja?

– Zaraz będziemy gotowi. Znajdźcie nasze sygnatury.

– Mam.

– Zawiśnijcie nad budynkiem.

– Świetnie.

– *Dziad?* – odezwał się Troy na kanale przeznaczonym dla hakerów. – *Słyszysz mnie?*

– *Jestem* – rozległ się chrapliwy szept.

Punkt go oznaczający był czarny i wisiał kilkanaście centymetrów dalej, jakby niezaangażowany w akcję. Dziad, zwany też Kościejem, był legendarnym włamywaczem. Nikt nigdy nie widział jego facjaty ani

oficjalnie nie oglądał jego dzieł. Wiadomo jednak było, że jeśli ktoś się włamał tam, gdzie nie sposób było się włamać, był to Kościej. Mawiano, że jego nawet Budda się boi. Jego Troy nie tylko nie lubił, ale wręcz się go lękał. Miewał sny, że Dziad to nie człowiek z krwi i kości, ale jego osobisty demon, coś jak duch Rana...

– *Masz te dane i skompiluj je...*

– *Wiem, co robić.*

Wszystkich zmroziło na dźwięk jego słów. Głos Kościeja brzmiał jak zza grobu.

– *W porządku, myślę, że mam odpowiedni zbiór. Ładuję dane na myśliwce... Możecie nimi ładować.*

– *Uprzedzam – odezwała się Vanessa – że lot w auli, gdzie siedzi ta kretynka, ładowanie na talizmanach, łamanie bramek i pobieranie danych nie może trwać dłużej niż realnych pięćdziesiąt cetni. Jeśli przekroczymy ten czas, namierzą myśliwce, zdemaskują Gustava i mamy przesrane.*

– *Tak jest, księżniczko.* – Troy uśmiechnął się. – *Wybierzcie po pięć myśliwców, nie więcej!*

– *Tajest...*

– Torkil? – Troy nadał na kanale ogólnym.

– Tak?

– *Za chwilę startujemy. Podlećcie na odległość pięciuset metrów od Akademii. Nie bliżej. Tylko bądźcie ostrożni. Czekać na znak.*

– *Świetnie.*

– *Ver'n'out. Gotowi?* – spytał na kanale hakerów.

– *Dawaj.*

– *Jazda!*

Nanoboty sterowane przez programistów leciały, w ocenie ich przyspieszonych umysłów, dziwnie wolno. To nie to samo co metowe

przemieszczanie się. Zbliżali się do otworu wentylacyjnego. Ruchy Browna, oczywiste przy tych wielkościach, miały nimi na wszystkie strony, jednak technologia flofowa potrafiła sobie z nimi radzić. Troy zaczął się pocić. Nawet pięćdziesiąt cetni pomnożonych przez dwadzieścia nie gwarantowało w tych warunkach sukcesu, a akcja była nie do powtórzenia... Przelecieli czarnym tunelem i wypadli na wolną przestrzeń. Tu wiał wiatr i myśliwce zostały zdmuchnięte do głównego ciągu powietrznego, ale gdy tylko wpasowały się w rój dharmańskich nanobotów, pomknęły w stronę Akademii. Na szczęście główne wrota były otwarte. Wykorzystując jeden z ciągów mikrodronów, przedostali się do głównego hallu, a potem skierowali lot w kierunku dziwacznych drzwiom, które właśnie się zamykały.

Troy zbliżał się ze swoją grupą do wiszącej w powietrzu postaci, a jej widok zachwycał go coraz bardziej...

– *O, kurwa, jaka ona piękna!* – wyrwało się Zerozerojeden.

Ruben zerknął dzięki podglądowi na siebie samego tkwiącego w realium. Wisiał w przeziernym kombinezonie pośród ekranów w stanie dewitalizacji, a obok niego tkwił nieporuszony, skoncentrowany, zaklęty w czasie Agon odziany w złoty Hegar. *Skup się, człowieku, bo wszyscy zawiedziemy*, wysłał do niego tot. Troy wiedział, że obok wszystkich hakerów są już Agonai, ale czy sama ich obecność wystarczy, by oprzeć się diablidy?

– *Wyłączyć podgląd!* – chrypnął. – *Wyłączyć podgląd tej kurwy! Namierzcie swoje talizmany, a na nią nie patrzcie!*

– *Jezu, jaka piękna!* – wyszeptała Jessica.

– *Ja pierdolę...*

Ruben sięgnął do swoich nierealnych włosów, by je wyrwać, ale zamiast to zrobić, wydał dyspozycję na konsoli. Jego program zaczął wsączać w głowy programistów aplikację *kalos*, którą wieki temu zastosował w grze *Deep Past World*. Wciąż była niedościgniona, a wywoływała w odbiorcach wrażenie

obcowania z ostatecznym pięknem.

– *O ja cię...*

– *Przepraszam...*

Hakerzy zaczęli stękać, pochlipywać, jęczeć i skandować. Sondy wylądowały na kryształach.

– *Wykurwałódowałem na swoim talizmanu...*

– *Ja też, ja cię pierdolę...*

– *Nie wytrzymam...*

– *Sonduję... Kurwa, pobieram...*

– *Ale mnie bierze...*

– *Jaki zajebisty świat tu jest...*

– *Normalnie zaraz zrobi mi dobrze...*

– *Jeeeezoooooo...*

– *Pobieram, kurrrrrwa...*

– *Mnie rozpierdoli...*

– *Ale mi jaja spuchły...*

– *No kocham was, pojebańcy...*

– *Ja też cię, kurwa, kocham...*

– *Jeszcze dwadzieścia cetni i będzie zakurwapóźno...*

– *Troy, przesyłamy dane...*

– *Ubiory...*

– *Zwyczajje...*

– *Piętnaściekurwacetni, niech wchodzą!*

– *Startujemy!*

– *Ja pierdolę...*

– *Startujemy! Odwrót, odwrót!*

– *Tu Troy, jeszcze nie, czekajcie na rozkaz!*

– *Orgazm, normalnie orgazm...*

Arealium  
Portal talizmanów  
Czas realium:  
08 Decimi 232 EI, 15.41 H

– *Okej* – odezwałem się do Taldów wciąż tkwiących w menu talizmanów. – *Troy potrzebuje pięćdziesięciu mon. W tym czasie dotrzemy na Dharmę. Ładować się do dronów, po dwóch gamedeców w maszynie.*

– *Tajest.*

Wydałem polecenie. Mnie i Cloe otoczyła półprzezierna sfera, która zaczęła morfować w coraz mniej przezroczystą, za to coraz bardziej kanciastą kabinę entoptera, czyli owadopodobnego drona, którymi przemieszczamy się w realium. Jeszcze kilka chwil i siedzieliśmy w sterówce osłoniętej dużą kropłową kabiną. Dwa cyfrowe oddechy i widoczne na zewnątrz menu zamazało się, jakby ktoś skropił szyby pojazdu gęstą cieczą, a gdy znowu zaczęliśmy widzieć ostro, zobaczyliśmy, że minidron wisi we wnętrzu ula. Z naszego punktu widzenia rzeczywistość wyglądała tak, że byliśmy bardzo mali, ale w pełni organiczni, i zasiadaliśmy w wygodnych fotelach w przeszklonym pojeździe. Gdyby jednak ktoś spojrział na nasz wehikuł z zewnątrz, stwierdziłby, że nie tylko nie ma żadnej przeszklonej kabiny, ale nawet po przekrojeniu go i rozłożeniu na najdrobniejsze elementy nie sposób w nim znaleźć małego Torkila i małej Cloe. I taka, niestety, była obiektywna prawda. Widzieliśmy świat w taki, a nie inny sposób, by mieć przyjemne antropocentryczne poczucie tożsamości, lecz de facto wciąż byliśmy programami Arki Lamy. Nie wiem dlaczego, ale jakoś dziwnie mi się ten stan iluzji skojarzył z istnieniem jako takim. Co, jeśli atomy i ich składowe to po

prostu liczby konstytuujące rzeczywistość? Tak zwana materia okazałaby się po prostu matrixem. Naukowcy sięgają mikroskopami do serc protonów, podziwiając tam kwarki, lecz nie zdają sobie sprawy, że oglądają cyfrowy zapis rzeczywistości. Nie spodziewali się chyba, że boski architekt zaprojektował świat, używając Chi-Tongu czy liczb arabskich? Atomy to równania, kwanty również. Tak, tak, mnie się wydaje, że siedzę w kabinie drona, a nam wszystkim się wydaje, że materia istnieje. Jak może istnieć, skoro był czas, gdy jej nie było?

Westchnąłem, biorąc cyfrowy wdech i patrząc, jak dookoła wyłaniają się ze slotów startowych kolejne maszynki wyglądające jak skrzyżowanie starożytnych helikopterów i os. Były intensywnie żółte, poprzetykane metalicznym błękitem i gdzieś tam czerwienią.

– *Wszyscy są?* – spytałem.

– *Tajest!*

– *Rewelka. Uwielbiam latać entem.* – Herman Faraday, Tald znany z jowialnego poczucia humoru i skłonności do wysokoprocentowych napojów, zakołysał swoim pojazdem unoszącym się niedaleko naszej lewej burty. Widziałem jego uśmiechniętą gębę za przezierną owiewką. Obok niego śmiała się jego partnerka Nicolle Tonne, dziewczyna jasnowłosa i jasnooka, także wesoła i nieco marzycielska.

Ent. Mózg, czy cyfrowy, czy organiczny, i tak będzie leniwy i gdzie tylko się da, użyje skrótu. Właśnie tak najczęściej nazywaliśmy więc entoptery, a termin ten miło się kojarzył z prozą czcigodnego Tolkiena.

Na podręcznym menu widziałem, że wyłonili się już wszyscy.

– *Przyspieszamy dziesięciokrotnie i w drogę! Za mną!*

– *Chciałeś powiedzieć, tатku, za nami* – szepnęła Cloe.

Zerknąłem na nią. Żółty kombinezon, spokojne i mądre spojrzenie, w którym widziałem, tak, wiem, że to zabrzmia narcystycznie – siebie. Moja

córeczka.

– *Tak, córeczko.*

Ruszyliśmy tunelem prowadzącym z ula na zewnątrz Arki. Gdy wyprysnęliśmy w lekko spowolniały świat, jak zwykle zachwycił mnie... rozmiarami. Na pierwszy rzut oka wędrowanie po rzeczywistości człowieka, gdy masz wielkość mrówki, nie wydaje się atrakcyjnym pomysłem, nic jednak bardziej mylnego. Dopiero gdy jesteś pszczołą, widzisz, jak perfekcyjnie skonstruowanym miejscem jest WayEmpire. Dopiero wtedy dostrzegasz korytarze powietrzne minirobotów, które stanowią prawdziwy krwiobieg świata ludzi, ich gniazda, stacje dokujące. Widzisz, jak miniboty łączą się w konglomeraty bądź rozbijają na części, pozdrawiają się i identyfikują w sposób, który nieodmiennie kojarzy się z owadami. Zwykli ludzie tego nie zauważają. My tak.

Komnata, w której stała Arka Lamy, była wysoka, ozdobiona półkolumnami i freskami przedstawiającymi w tej chwili historyczne, lecz dla nas jak najbardziej realistyczne sceny mitologicznej wojny, jaka rozegrała się w tej skrzyni: na tle globów wiszących w perłowej poświacie unosiły się wielkie wieloryby, lwy i ośmiornice zwarte w straszliwym boju. Między nimi latali, niczym roje szerszeni, wojownicy na Orłach, strzelając do wroga słonecznymi promieniami. Freski były trójwymiarowe i animowane. Gdybyśmy mieli więcej czasu, z pewnością zatrzymalibyśmy się i spędzili przy nich parę chwil, bo było na co popatrzeć, a wspomnienia ożywały i wzbudzały zapomniane uczucia.

– *Fajnie wyglądają te freski* – rzucił Robert.

– *Noooo* – przyznał Eduardo Salza, Tald mieszkający kilka kilometrów na północ od mojej Wioski Na Niebie.

Polecieliśmy w górę, wzdłuż wielkiego ramienia mechanicznego strażnika, który, bardziej dla ozdoby niż z rzeczywistej potrzeby, pilnował wraz

z trzema kompaniami naszego świata. Gdy znaleźliśmy się na wysokości naramiennika, przywitały nas cztery drony TIO, latające minikamery, które postanowiły nam towarzyszyć. Ustawiły się na zewnątrz naszej armady i mknęły razem z nami. Wykonaliśmy wiraż i spiralą pomknęliśmy jeszcze wyżej, ku jednej z wewnętrznych platform, która dla nieprzyspieszonych mieszkańców realium leniwie żeglowała w pomieszczeniu Arki, a dla nas po prostu stała w miejscu. Gdy wzlecieliśmy nad jej krawędź, zobaczyliśmy wiszącego w powietrzu Charona Dana White'a. Gigantyczny siwawy mężczyzna, odziany w karmazynowo-złoty pancerz typu Czempion, miał nieruchomą twarz i właśnie zamykał oczy. Miałem wrażenie, że się uśmiecha. Obniżyłem lot i musnąłem skórę na grzbiecie jego wielkiej dłoni. Nasz ent zahaczył o kilka ciemnych włosków wyrastających spomiędzy grubych, sinawych żył. Lecący za nami rój zrobił to samo. Połaskotaliśmy go.

Tak, uśmiechał się.

Na lewo od niego wisiało koło teleportu. Miało metr średnicy. Dla nas to i tak za dużo.

Zatrzymaliśmy się kilkanaście centymetrów przed urządzeniem. Na prawo unosiła się platforma z dronami obronnymi przeznaczonymi wyłącznie dla nas. Były to aparaty wielkości i kształtu pięści humanoidalnego drona, które od rzeczywistej pięści różniło tylko to, że otoczone były tuzinem czujników i dryfujących miniluf. Były, podobnie jak drony TIO, czarno-szaro-srebrne. Cztery podleciały do naszej gromadki i podobnie jak latające kamery, zajęły pozycje na obwodzie. Była to niezbędna ochrona. W świecie gigantów takie osy jak my potrzebują jej.

Podaliśmy teleportowi koordynaty skoku. Potwierdził i życzył udanej podróży. Charon przesłał men zapewniający o pełnym skupieniu. Lubiłem go i szanowałem. W Czasach Szczęśliwości mógł się wylegiwać gdzieś pod



palną, pić drinki i upajać towarzystwem przyjaciół, tymczasem z własnej woli czuwał przy naszej świętej skrzyni. Jestem pewien, że często podglądał świat Weenów. Musiał mieć specyficzną psychę. Z drugiej strony przebywanie w Pałacu Imperatorskim, który stał się pałacem bez Imperatora, jest czystą przyjemnością. Cudowne wnętrza, które od czasu do czasu ulegają modyfikacji, fenomenalny widok z okien, świetna kuchnia i wcale częste odwiedziny pracujących tu naukowców z pewnością osładzały mu życie.

Pozdrowiłem go.

Odpowiedział życzeniem udanego skoku.

– *Gotowi?* – rzuciłem do Taldów.

Gdy wyłoniliśmy się nad Dharumą, pierwszą rzeczą, jaką poczuliśmy, był wiatr. Zwolniony dziesięciokrotnie, ale jednak. Enty natychmiast ustabilizowały lot, używając swoich owadzich skrzydeł, lecz słyszałem, że mikrosilniki napędzające te przeziernie powierzchnie nośne pracują na wysokich obrotach. Kabina zaczęła lekko się trząść.

– *Aaaale planetka!* – rzucił Robert.

– *Noo* – skomentował Herman. – *Miło się przewietrzyć!*

Atmosfera Worplanu huczała wyziewami fabryk, bzyczała milionami minidronów. Tu nie było cichego, nieruchomego powietrza Pałacu Imperatorskiego. Tu były gromy, ogień i gorące strumienie gazów. Odlecieliśmy kilkanaście metrów od wielkiego pierścienia teleportacyjnego znajdującego się w pobliżu siedziby głównego inżyniera i podleciały do nas minidrony porządkowe wyglądające jak złoto-karmazynowe, ustawione poziomo płatki śniegu. Ludzie praktycznie ich nie zauważają, bo są niewiele większe od kamer TIO, ale to one de facto regulują życie WayEmpire. Tworzą sieć kontrolującą ruch powietrzny na planetach Imperium, dozoruja

otwieranie i zamykanie barier grawitacyjnych, pracę minibotów naprawczych i wiele innych rzeczy, na przykład sprawdzają, co wypluł teleport. Mają większe uprawnienia niż większość miniaparatów i gdyby nie ręka Buddy, natychmiast zgłosiłyby naszą obecność głównym rejestrom planety. Tym razem tego nie zrobiły. Przeciwnie, nadały nam sygnatury aparatów porządkowych, czyli takich maszynek jak one. Chociaż entoptery wyglądają inaczej, zupełnie inaczej niż większość przedstawicieli mikroświata Imperium Drogi, miały się teraz „wtopić w tłum”. Od tej pory, ktokolwiek zerknąłby w naszym kierunku i wykonał powiększenie optyczne, zobaczyłby tylko kilka śnieżkopodobnych, złotych dronów porządkowych. Właśnie tak ImBu wpłynąłby na jego percepcję. Gdyby zaś zainteresował się nami jakiś układ zaopatrzonej w sztuczną inteligencję, wiedziałby tylko, że nie powinien nam przeszkadzać, za to otwierać wszystkie drzwi, nie pytając o cel. W taki oto prosty sposób możesz w naszym świecie stać się niewidzialny. I pomyśleć, że dawno temu szukano jakichś materiałów przewodzących światło.

– *Miło być pupilem Buddy, prawda, tatku?* – spytała Cloe, poprawiając blond włosy.

Prawda, córeczko.

Włączyłem mapę i nałożyłem ją na otaczający nas krajobraz.

– *Lecimy tam.* – Wskazałem palcem odległą Akademię, rudawą od odległości, częściowo ukrytą za budynkami factorii. – *Ale najpierw sprawdzimy, jak się mają nasi hakerzy.*

– Ruben? – odezwał się na kanale programistów.

– Tak?

Przed oczami zamajaczył mi tylko niebieski punkt z napisem „Ruben Troy”. Tak wyglądał mistrz programingu w hakerskim kamuflażu. Gdyby nie to, że miałem go widzieć, nie widziałbym niczego prócz metalowego stołu

i nieużywanych sprzętów w jakimś pomieszczeniu na Dharmie.

– Już jesteśmy. Wyłoniliśmy się z teleportu DTT 2564, dwa kilometry od Akademii. Jak sytuacja?

– Zaraz będziemy gotowi – odparł. – Znajdźcie nasze sygnatury.

Włączyłem namierzenie. Zielony kursor wskazał budynek na prawo od nas. Niewysoki jak na skalę Świata Fabryki gmach przeznaczony był głównie dla dronów nadzorczych.

– Mam.

– Zawieście nad budynkiem.

– Świetnie.

Rozłączyłem się. Wskazałem cel naszej armadzie i ruszyliśmy.

– *Uwaga* – ostrzegła Maja – *robocik obok nas leci.*

Rzeczywiście, po prawej przesuwał się wielki, wielokończynowy droid. Jego długie manipulatory płynęły obok nas, rzucając refleksy słońca, jakby nigdy miały się nie skończyć. Pięściopodobne drony obronne skierowały swoje lufy w jego stronę. Na pierwszy rzut oka wyglądało to śmiesznie, ale faktycznie były w stanie bardzo szybko unieruchomić tego robota. Przy ich tronice jego AI było prehistoryczne.

Podróż trwała dłużej, niż zakładałem, bo na Worplanach trakty minidronów są wielokrotnie gęstsze niż na innych planetach, a ruch w mikroskali znacznie przewyższa ten w skali makro. Mknęliśmy więc pośród eonów mikrobotów większych od nas, mniejszych i tak małych, że wyglądały jak pył. Jeśli jesteś organikiem na Worplanie i przebywasz na obszarze oddalonym od siedzib ludzkich, musisz uważać, jak oddychasz. Niezbędne są wtedy maska, nauszники i gogle. Wszystkie otwory ciała muszą być odizolowane od świata zewnętrznego. Co prawda miniboty posiadają instrukcje omijania organików, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Wreszcie znaleźliśmy się nad budynkiem.

– Torkil? – Zobaczyłem punktowego Troya wciąż w tym samym pomieszczeniu. Tuż za nim znajdowało się zagłębienie w stole, a nad nim unosiły się animacje hakerskich myśliwców. Byli gotowi.

– Tak?

– Za chwilę startujemy. Podlećcie na odległość pięciuset metrów od Akademii. – Za oknem enta zobaczyłem kursor wskazujący optymalny obszar. – Nie bliżej. Tylko bądźcie ostrożni. Czekać na znak.

– Świetnie.

Zerknąłem na Cloe.

– Zaczyna się, tato? – Zmrużyła oczy.

– Tak, córeczko.

– Pamiętasz nasz ostatni rajd?

– Do tej dżungli?

– W talizmanie tego performerera.

Westchnąłem. Oczywiście, że pamiętałem. Definicją słowa „przygoda” jest przeżycie zagrożenia życia, jeśli niczego nie poplątałem. Zarówno podczas lotu entem, jak i wizyty w tamtym talizmanie przeżyliśmy mnóstwo „przygód” i słowo „przeżyliśmy” należy traktować dosłownie.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Teraz będzie łatwiej.

– Dlaczego?

– Nie wierzę, by mogło być gorzej.

Roześmiała się.

– *Dobra, lecimy?* – rzucił Herman.

– *Już, wasza wysokość* – odparła Cloe.

– *Dobre, dobre* – zarechotał Robert.

Dla ludzi żyjących w Wioskach Na Niebie słowo „wysokość” nabiera innego sensu.

Ruszyliśmy. Zaznaczony przez Troya obszar majaczył przezierną błękitną sferą blisko Akademii. Rozmowy Taldów ucichły. Chronił nas Budda, ale nawet on nie był wszechmocny. Gdy zbliżaliśmy się do wyznaczonej strefy, zaczęło narastać we mnie napięcie. Ucisk tuż pod krtanią. Mrowienie palców rąk. Spłycony oddech. Jakich speców od programingu mają inżynierowie w tym budynku? Jaką mocą dysponuje ta kobieta? Zerknąłem na Cloe. Patrzyła nieruchomo na docelowy obszar i wydała dyspozycję zawiśnięcia w wyznaczonym punkcie. Entopter znieruchomiał. Dookoła niego zatrzymywały się pozostałe drony. Odblokowałem działka.

– Cloe?

– Już, tatku?

Skinąłem głową i nadałem na kanale ogólnym:

– Okej, ładujemy się do dział.

– *Tajest* – odparł bez wesołości Herman.

Jeszcze raz zerknąłem na córkę.

– Ty pierwszy, Krasnalu.

Uśmiechnęła się blado. Wydała polecenie i zniknęła. Teraz cała jej osobowość znajdowała się w mikropocisku enta. Ciężko. Ciężko widzieć własne dziecko ryzykujące życie. Zacisnąłem zęby i wydałem mentalny rozkaz.

Straciłem ręce, nogi, głowę. Miałem tylko oczy. Wisiałem pod niewielkim skrzydełkiem enta kołyszącego się w gorących podmuchach Dharmy.

– *Czekamy?* – szepnęła mentalnie Nicolle.

– *Tak* – odparłem. – *Czekamy.*

– *Jest takie przysłowie...* – zaczął Robert, ale wtedy usłyszeliśmy wrzask Troya:

– Juuuuuz, juuuuuz, kurwa, już, ognia, ognia, kurwa!!!

– Ale cele, Ruben, cele!

– Wyznaczone! Ty lecisz do centralnego, pozostali zgodnie z koordynatami!

– Prześlij do entów.

– Co?!

– Namiary celów.

– Już, już, już, kurrwaaa...

– *Czy można mu ufać?* – nadała Nicolle.

Nie odpowiedziałem. Minidrony wysłały komunikat, że namierzyły cele.

– *Torkil?* – To był Herman.

– *Ognia* – szepnąłem i strzeliłem pierwszy.

Prędkość pocisku enta, gdy spojrzysz na świat dookoła, wydaje się kosmiczna, a liczba ruchów Browna i ich gwałtowność jest tak wielka, że uniemożliwia sensowną percepcję. Jednak litościwy Budda umieścił mój punkt widzenia nad drobiną kluczącą pośród niewidzialnych prądów powietrza i dzięki temu mogłem obserwować, jak pędzimy do przodu. Akademia nagle urosła, oprószyła się milionem szczegółów, rozkwitła barwami. Już połknęła mój pocisk, już przelecieliśmy przez główny hall i zawierająca moją psyche rakietą ugodziła w coś, co wyglądało na centralny klejnot bogatej kolidii...

Znaleźliśmy się z Cloe w jasnoszarej przestrzeni. Był to miniportal przygotowujący nas do wniknięcia do talizmanu. Przed nami zamajaczyła brama symbolizująca wejście do świata. Obok nas wyłonił się moduł z ubraniami. Wisiały na nim brunatne szmaty przyozdobione łańcuchami, kamiennymi paciorkami nanizanymi na rzemienie, fragmentami łodyg i liści wplecionymi w łykowate sznury... Co do postronków i rzemieni, gotów byłem przyjąć, że pochodzą od rdzennych plemion talizmanu. Takie same

były i są popularne w Świecie Arki. Ale... Wziąłem do ręki łańcuch. Był wykonany z ciemnego drewna. Każde ogniwo zostało złożone z dwóch półelips sklejonych żywicą albo innym rodzajem organicznego kleju. Raczej nie był wynalazkiem Weenów. Myślę, że wzór wprowadzili mesjasze Imperatorki. Ująłem wisior obciążający drewniane ogniwa. Nie miałem wątpliwości, kogo symbolizuje wpisana w koło, wyrzeźbiona śmiałymi uderzeniami dłuta smukła, odziana w suknię postać, której głowa została okolona ostrymi kolcami. Spojrzałem znacząco na Cloe.

Jedna komenda i mieliśmy te stroje na sobie. Zakrywały znaczną część tułowia, odkrywały jedno ramię i sięgały do połowy ud. Cloe miała na szyi więcej rzemieni z kamykami, a w jasne włosy, niestety już nie tak błyszczące i czyste jak przed chwilą, wplecione były barwne sznurki. Na naszych stopach pojawiły się sandały z twardej, ale elastycznej skórzanej podeszwy oraz sieci rzemieni otaczających stopę. Były w miarę wygodne.

– Wchodzimy? – spytała Cloe.

## Obraz 8

# Miasto Boga

Arealium

Talizman: centralny klejnot naszyjnika Imperatorki

Czas talizmanu:

Nieznany

Czas realium:

08 Decimi 232 EI, 16.02 H

Stoimy z Cloe na niewielkiej łodzi z desek wygiętych na kształt rybich ości odchodzących od kręgosłupa, którym jest stępka. Słyszymy w oddali śpiewy zwielokrotnione echem. Łódź płynie z prądem rzeki, która za chwilę, niczym ozór, który potwór chowa w paszczy, zostanie wchłonięta przez wysokie na kilkanaście pięter ostrołukowe drewniane wieżeje prowadzące do jakiegoś miasta. To Miasto Boga, jak informuje niezawodny frin, który zdążył już wchłonąć informacje pozyskane przez hakerów. Mam nadzieję, że mieli dostatecznie dużo czasu, by wyssać z tego świata maksymalną liczbę danych. Jeśli nie, trzeba będzie improwizować, a tego nie lubię, zwłaszcza gdy stawką jest życie. Improwizacja wychodzi dobrze tylko wtedy, gdy jest wielokrotnie



przećwiczona. Frin wysyła teraz delikatne informatyczne sondy, które będą zbierały informacje. Nie ma co liczyć na wsparcie Troya czy innych hakerów. Jesteśmy zdani na siebie i musimy wykonać robotę. Wtedy wezwiemy enty. Zbliżą się na metr do Imperatorki i wciągną nasze pociski z powrotem do luf, a Troy zadba, żeby nic im się nie stało.

Chwytam mocniej drewniane wiosło zaczepione o łukowaty występ na rufie łodzi. W realnej rzeczywistości nigdy nie „bączkowałem”, ale w niektórych grach fantasy i światach talizmanów – tak. Moda na klejnoty zawierające populacje Weenów stworzyła niezliczone odmiany arealnych rzeczywistości żywcem wyjętych z ksiąg o magii i mieczu. Gdyby tylko były powszechnie dostępne, gracze zwariowaliby z uciechy, zwłaszcza że wszystko tu było cholernie realne, a zagrożenie prawdziwe. Niestety dla nich, dostęp do tych rzeczywistości mają tylko Taldowie. Dlatego tak wielu graczy wysiliło się i zdobyło odpowiednie upoważnienia. Teraz ich „granie” to w zasadzie tajne misje na terenie wroga. Paradoks, prawda? Żeby przeżyć dreszcz emocji, musisz wniknąć, niczym ciało obce, w jeden z sensorycznych światów zamieszkałych przez prawdziwych, choć cyfrowych ludzi. Oczywiście najbardziej zagrożeni są pierwsi Taldowie, czyli my, bo nie mamy ciał przebywających w realium. Nie możemy się „wylogować”.

Nie mamy gdzie.

To znaczy podobno mamy. Nazywają to miejsce Dominium Libri Mundi – Królestwo Księgi Świata. Ale lepiej tego nie sprawdzać. Na ile zrozumiałem, byty tam przebywające nie są żywe w naszym rozumieniu tego słowa. Fizycy twierdzą, że nie tracimy tam tożsamości, ale w pewnym sensie nie jesteśmy już sobą – to, co tu jest ważne, tam traci znaczenie i odwrotnie. Fizycy zastąpili religijnych guru, a ci zniknęli w mrokach przeszłości.

Poprawka – przenieśli się do talizmanów.

Tak czy owak, naprawdę wolę poczekać.

Patrzę na swoje ogorzałe, poznaczone żyłami ręce trzymające wiosło i wykonujące rytmiczne ruchy. Uśmiecham się do siebie. Jakoś idzie to wiosłowanie, niezgrabnie, bo niezgrabnie, ale idzie. Chlupie woda, uderza o burty łodzi, mlaszcze. To bardzo przyjemny dźwięk. Miękki, dający oparcie w naturze. Przypominający o tym, że homo sapiens wyłonił się z łąk, lasów, rzek i jezior, nie z niebotycznych megapolii i gwiazd.

Od wody ciągnie chłodem. Czuję to w kolanach, na łydkach i udach. Gęsia skórka. Podmuchy znad brzegu przynoszą zapach dzikich kwiatów, ziół i błota. Kołysanie. Uginam nogi, żeby utrzymać równowagę. Plusk, plusk, woda uderza o drewno, jakby pod czarną powierzchnią czaił się rzeczny potwór i obłapiał deski lepкими zielonymi łapami.

Plask, plask.

Za nami suną inne łodzie. Stojący na nich Weeni, po cztery, pięć osób, są ubrani podobnie do nas: w brunatne łachy obwieszane sznurami, rzadziej drewnianymi łańcuchami, i sandały. Zwiad Troya był trafny. Mówią w sposób twardy, jakby szczekający. Nie podoba mi się to brzmienie. Podobno mowę kształtuje środowisko. Czyżby tutejszy klimat był surowy?

– Pamiętaj – szepczę do Cloe – że gdy będziemy chcieli porozmawiać z tubylcami, tylko myślimy. Frin przetłumaczy nasze intencje na tutejszy język, ustami, strunami głosowymi i językiem też poruszy. Tylko weź przedtem wdech, jak przy normalnej mowie.

Cloe patrzy na mnie z taką miną, jakby się zastanawiała, czy przed chwilą próbowałem ją obrazić, czy żartowałem. Doskonale zna technikę mówienia w talizmanach.

– Moją matką jest Angela Sky – mówi cicho. – Jestem nie gorszą Taldini niż ty.

Uśmiechamy się do siebie. Wspomnienie Angie koi nasze serca.

Słyszymy nieprawdopodobnie niski odgłos. Trąba. Musi mieć kilkanaście

metrów długości i co najmniej metr szerokości u wylotu. Od jej gromu marszczy się czarna woda, trzeszczy drewno łodzi, a drzenie przenosi się z desek na stopy, kolana i krocze.

– Ale mają tu trąby – szepcze Cloe.

– *Koniec z szeptaniem* – myślę do niej, zawierając w przekazie emocjonalną intencję mówienia, a moje usta i język układają się w nieznany mi sposób i artykułują zdanie w tutejszym języku. Brzmie, jakbym trochę charczał, a trochę bekał. – *Od tej pory mówimy jak wszyscy.*

Moja córka ledwie powstrzymuje śmiech.

– *Jak sobie życzysz, tatku* – słyszę w głowie, a w uszy uderzają głoski twarde i chrapliwe. Mimo to w ustach kobiety język ten brzmi dość ładnie. To faceci szczekają. Kobiety raczej śpiewają.

Nakazuję frinowi, by uniemożliwił nam od tej pory werbalną komunikację imperialnym. Zbyt duże ryzyko. Przekazuję men do Cloe. Ta mruga.

Wpływamy między wrota, których szczyty różowieją w świetle wschodu, podczas gdy dół tonie w cieniach rzucanych przez rosnące na brzegu świerki i sosny. Wierzeje są większe, niż wydawało mi się na początku. Ich brzegi zostały okute innym, ciemnym, twardszym rodzajem drewna. Spajają je okrągłe, czarne, drewniane ćwieki o jasnożółtych słojach. Podobnie jak w przypadku społeczności Weenów ze Świata Arki oraz wielu innych talizmanów, metal jest tu albo nieznany, albo należy do rzadkości.

Za wrotami rzeka rozlewa się szerzej i zwalnia. Chociaż nam się spieszy, nie martwię się, że wszystko odbywa się tak leniwie. Standardowo w talizmanach czas jest przyspieszony stukrotnie, więc nawet gdyby nasza akcja zajęła tutaj sto dni, w realium upłynie zaledwie jedna dukila.

Widzę miasto, jakich jeszcze nie oglądałem w tego rodzaju światach. Budowle są wysokie, proste, kanciaste, osadzone bezpośrednio przy brzegu rzeki, od której głównego nurtu, biegnącego łagodnym łukiem w lewo,

a potem w prawo, oddziela się kilka mniejszych odnóg. Z budynków wystają drewniane żerdzie, a z tych zwisają długie szare proporce powiewające na wietrze dmącym przez koryto rzeki. Widnieje na nich biały wizerunek Imperatorki. Co za niespodzianka.

Całe miasto jest okolone murem tej samej wysokości co wrota. W oddali widzę płynącą pod prąd dziwną łódź o niskich burtach, ale niewiarygodnie wysokich nadbudówkach. Stoi na niej mężczyzna w powłóczystych brązowych szatach zwisających do burt i trzyma bardzo długie i nieporęczne wiosło. Łódź musi mieć z pięć metrów zanurzenia, inaczej by się przewróciła. Człowiek inkantuje pieśń. Jej tony są wzniosłe, układają się w zgrabną melodię kojarzącą się ze starogruzińskimi pieśniami biesiadnymi śpiewanymi na kilka głosów. Mury miasta odbijają głos mężczyzny i mam wrażenie, jakby od pieśni przybywało wokół barw. Po chwili zza zakrętu rzeki wyłania się jeszcze wyższa łódź, także płynąca pod prąd. Znajdują się na niej trzy stojące niemal pionowo trąby o paszczach otwierających się tuż nad lustrem czarnej wody. Trębacze tkwią na wysokim tarasie łodzi. Przystrojeni są, podobnie jak śpiewak, w długie bure stroje, których poły powiewają na słabym wietrze. Przykładają usta do trąb i zaczynają dmuchać. Odgłos jest tak potężny, że jęczą mury budowli, po wodzie przebiegają drobne zmarszczki, nasza łódź znowu trzeszczy i rzęzą wierzeje, przez które przepłynęliśmy. Mężczyzna na łodzi, która płynie pierwsza, ciągle śpiewa. Zza zakrętu wyłania się kolejna, jeszcze wyższa jednostka. Jest wielopiętrowa, ale wąska i krótka jak poprzednie. Z przodu i boków zwieszają się rury o metalicznym połysku. Robię zoom. To odpowiedniki średniowiecznych organów. Z pewnością wpływ mesjaszy. Na samej górze siedzi ubrany w jasnoszare szaty muzyk i uderza w klawisze instrumentu. Rury wydają potężny akord, który po chwili zostaje wzmocniony przez trąby. Głos śpiewaka wznosi się i zlewa z brzmieniem

organów i trąb. Jest to naprawdę poruszający akord, chciałoby się powiedzieć – święty.

Z okien wychylają się ludzie i przykładają ręce do czoła. Rozglądam się. Wszyscy dookoła robią to samo. Przykładam dłoń do głowy, podobnie robi Cloe. Za trzema łodziami wysuwa się czwarta, jeszcze wyższa od poprzedniej. O ile jestem w stanie zobaczyć, są na niej rozpięte druty, jakby struny. Po obu ich stronach stoją ubrani w jasne długie szaty mężczyźni trzymający coś w rodzaju potężnych smyczków. Gdy kantor wznawia śpiew, uderzają trąby, dołączają się organy, a trzymający smyczki zaczynają przesuwając je po strunach. Brzmienie strun jest niezwykle głębokie, wszystko drży. Na wodzie widać mnóstwo kręgów, słychać trzeszczenie drewnianych okiennic. Wyłania się kolejna łódź, ozdobiona szkarłatnymi wstęgami, gonfalonami i proporcami. Uzmysławiam sobie, że w tym dość wyblakłym krajobrazie po raz pierwszy widzę intensywną barwę. Nad łodzią polatują wzorowane na imperialnych ptaki trzymające długie czerwone proporce. Na szczycie łodzi stoi, czy raczej wisi nad nią, Imperatorka, roztaczając tęczę barw. Łodzie płyną, kantor śpiewa, instrumenty wprawiają w drżenie budowle i mury, łopoczą flagi, a gdzie dopłynie święta dama, tam pojawiają się złoto, oranż, błękit, zieleń i ciepła żółć. Ludzie weseleją, już nie przytykają rąk do czoła, lecz wznoszą je wysoko i w uniesieniu wykrzykują:

– Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja!

Ja także czuję uniesienie i boskie wołanie. Wznoszę ręce podobnie jak Cloe i krzyczę z innymi:

– Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja!

Zbliża się do nas łódź z kantorem. Przez chwilę się niepokoję, bo nie wiem, czy skręcić w lewo, czy w prawo. Problem rozwiązuje się sam: łajba skręca w moją prawą stronę, w kierunku nabrzeża, które nagle morfuje, zagłębia się i powstaje tam... nowe koryto rzeki! Na jej gładzi ukazują się

wiry, ona... zmienia nurt! Łódź wpływa w nowe koryto, które wznosi się, zaczyna wisieć w powietrzu, a woda, wbrew prawom fizyki, wciąż je wypełnia. Pojazd niosący kantora sunie w kierunku wysokich domów, te zaś usłużnie usuwają mu się z drogi. W wiszące w powietrzu koryto wpływa jednostka z trąbami, która, gdy nas mijała, mało nie rozbiła naszej krypy wibracjami. Mijają nas też łajba z organami i ze smyczkami, wreszcie z Królową Świata, nieśmiertelną Imperatorką. Gdy jej jednostka przepływa obok naszej łupiny, odczuwam szczęście i miłość. Moja bura szata nagle wybucha intensywną barwą szafiru, bezwartościowe kamyki na rzemykach zamieniają się w rubiny, brylanty, szmaragdy i topazy, rzemienie przeobrażają się w srebrne łańcuchy, drewniany łańcuch jest po chwili łańcuchem złotym, a amulet okazuje się bogato zdobionym kołem ze złota i platyny! Wszystko dookoła eksploduje urodą i bogactwem. Patrzę na Cloe – wygląda jak objawienie. Jej włosy skrzą się w słońcu, oczy błyszczą niczym polerowane kamienie!

Za łodzią Imperatorki płyną, symetrycznie do pierwszych, smyki, organy, trąby i łajba z kantorką. Procesja podąża dalej, a my kąpiemy się w barwach, zapachach i szczęściu. Nasza łódź jest teraz zgrabną jednostką inkrustowaną wieloma rodzajami drewna, wzmocnioną szlachetnymi metalami. Jakaś magiczna siła ustawia ją odpowiednio do nurtu. Robimy zwrot w prawo i podążamy za łodzią śpiewaczki, wyżej i wyżej. Widzę w oddali, jak rzeka w spiralnie zwijającym się korycie wiedzie w głąb miasta i mija wysokie budowle. Nad ich dachami kołyszą się niebotyczne szczyty muzycznych okrętów, nad Imperatorką polatują orły z podwieszonymi gonfalonami, ludzie w oknach modlą się, powtarzając „Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja!”, a my skandujemy z nimi tę najprostszą modlitwę, wdzięczni za barwy, za bogactwo, przejęci niepojętym podziwem. Czuję zawrót głowy, gdy spoglądam na uliczki wysokiego miasta, a nasza łódź razem z innymi

wspina się wyżej i wyżej. Dookoła nas polatują ptaki, melodia wzmaga się, ludzie na balkonach i w oknach skandują coraz głośniejsze, ogarnia nas ekstaza!

Łódzie na przedzie procesji są już nad centrum miasta, koryto rzeki się zwija, wznosi coraz wyżej na kształt muszli ślimaka, święte okręty zaś układają się na niej, tworząc wizerunek ruchomego pałacu, który teraz się rozbudowuje. Raptem, gdy akordy organów, dźwięki trąb i smyków oraz głosy wznoszą się w najświętszy, najpiękniejszy ton, woda eksploduje i układa się tęczową kopułą wokół miasta, jednak nie spada na nas deszcz, tylko płatki kolorowych kwiatów. Czuję wokół siebie histerię graniczącą z seksualnym podnieceniem, mam ochotę się kochać, krzyczeć, wiwatować. Ludzie mdleją, całują się, pieszczą i łkają. Zamek z łodzi znika, rozplywa się w tęczowych płatkach, które go zasłaniają, a koryto rzeki łagodnie opada i wpasowuje się w nowy kształt Miasta Boga.

Jesteśmy na poziomie gruntu, wciąż w łodzi. Kręci mi się w głowie. Czuję w ciele muzyczne uderzenia, jakby harmoniczne drgania wciąż szarpały mi serce i płuca. Dookoła świecą odbitym blaskiem słońca błękitne szyby domów, żółte, oranżowe i niebieskie fasady zdobione secesyjnymi ornamentami, błyszczą delikatne inkrustacje murów. Gdy wpływaliśmy do miasta, przypominało wychudzoną Wenecję, a teraz przebywamy w mieście z bajki. Nasza łódź cumuje przy brzegu. Wyskakujemy na deski ze szlachetnego teku przypominającego kolorem koniak. Kilka kroków i wchodzimy na chodnik z takiej samej teczyny. W nos uderza zapach mokrego drewna i kwiatów. Mieszamy się z tubylcami.

Zaczepia nas jegomość o długiej, gęstej, mlecznej brodzie. Jest ubrany w niebiesko-żółty żakiet i bordowe spodnie ze złotymi lampasami. Na jego stopach świecą wieloma klejnotami delikatne sandały. W jednej ręce trzyma dwa puste puchary, w drugiej antałek rubinowego wina.

– Siadajcie – szwargoczcie – siadajcie i pijcie ze mną!

– Dziękujemy za zaproszenie – odpowiadam. – Ja i moja córka chętnie się z tobą napijemy.

Cholera, nie wiem, czy w tym społeczeństwie istnieje słowo „dziękuję”, czy istnieje słowo „córka”, czy kobiety są dyskryminowane, czy króluje egalitaryzm, ale Frin nie protestuje. Mówi, że było tu mnóstwo boskich ingerencji i w trakcie wieków społeczeństwo wyewoluowało w coś przypominającego ziemskie zbiorowości wieków średnich. To dobrze. Nie będzie takich zagadek jak w Świecie Arki. Tam mieliśmy wsparcie programistów i w razie czego mogliśmy przyspieszać względem czasu talizmanu. To nas ratowało. Tu nie możemy nic – ani przyspieszać, ani liczyć na pomoc z góry. Mamy Friny i siebie.

Nieznajomy uśmiecha się serdecznie, ale w jego granatowych oczach widzę ślad lęku.

– *Czy mi się zdaje, tatku, czy oni są jacyś strachliwi?* – słyszę głos Cloe w swojej głowie.

– *Są. Skupmy się* – odpowiadam mentalnie.

Siadamy przy okrągłym stole z drewna w kolorze oranżu. Intarsja z jasnożółtego drewna, być może buku, przedstawia Imperatorkę. Krzesła mają dziwne podwójne oparcia, osobne na lewą i prawą część pleców. Opieram się. Dziwne to jest, ale wygodne, nie obciera kręgosłupa. Jegomość nalewa wina. Na pewno wina? Skąd tu mają szkło? Frin informuje, że zostało wprowadzone przez bogów. Jasne. Za chwilę się dowiem, że wódę też nauczyli tutejszych Weenów robić niebianie.

Człowiek z siwą brodą siada naprzeciwko nas.

– Nie lękajmy się – szczeka gardłowo i zakrywa palcami lewej ręki otwór swojego szkła.

To toast?

Frin informuje, że tak. Odpowiada się tą samą frazą.



– Nie lękajmy się – myślimy unisono z Cloe, a nasze usta wypowiadają słowa, trochę charcząc, trochę szczekając.

Zakrywamy rękami szkło. Mężczyzna uśmiecha się znowu, zerka znacząco w niebo i dodaje:

– Nic złego, dzięki bogini, się nie dzieje, lęku nie ma. – Śmieje się w głos.

Tutejsza wiara musi być mieszaniną bojaźni i podziwu. W sumie to najskuteczniejszy środek na uzyskanie bezwarunkowego uwielbienia i wykorzystywano go wielokrotnie na starej Damnacie, a potem w niezliczonych talizmanach, ale żeby tak bezczelnie po raz kolejny replikować to podejście?

– Lęku nie ma – odpowiadam i także się śmieję.

Mam nadzieję, że przekonująco.

Cloe nam wtóruje. Dobra córeczka. Doskonale rozumie, na czym polega praca w parze. Gdy jedna osoba ściąga na siebie zbyt dużo uwagi, druga odciąża ją, ściągając uwagę na siebie. Wtedy projekcje rozmówcy przepływają na nią, uwaga się rozprasza. Łatwiej zmienić temat, wywołać pożądany nastrój. Ma talent po tatusiu.

Chcę zapytać o drogę do świątyni, ale trochę się obawiam. Nie wiadomo, czy tu w ogóle mają budynki gromadzące wiernych. Może miasto jest świątynią? Mogą się modlić do wody albo do ptaków. Może kościołem była ta zwinięta spiralnie rzeka zwieńczona ruchomą budowlą z łodzi i modły wznoszone są tylko w czasie pieśni?

Frin podpowiada, że jest miejsce i mogę je nazywać kościołem. Co prawda to bardziej „obszar adoracji”, ale na jedno wychodzi, a program i tak odpowiednio zmieni moje słowa.

Pod słuchuję rozmowy obok. Chcę wyłapać, czy ludzie jakoś się tu nazywają, czy mają imiona. Tak, ale jakieś dziwne. Nie wiem, czy w dobrym tonie jest tu przedstawianie się, czy przeciwnie, uważane jest to za przejaw

złego wychowania. Frin mówi, że mogę się przedstawić. Twierdzi, że najpopularniejsze imię męskie to Grom, a kobiece Szelest, i że należy dodać, skąd pochodzimy. Tu jest problem, bo o ile frin może podać nam kilka nazw siół, o tyle mężczyzna z brodą może znać ludzi z okolicy. Jego jowialny charakter z pewnością nie przeszkadza mu w nawiązywaniu kontaktów. Proszę Mayę o podanie nazwy bardzo odległego miejsca, ale nie dużego miasta, tylko małej, nikomu nieznannej wsi. Na szczęście jest takie miejsce.

– Jestem Grom z Froghostu, a to moja córka, Szelest z Froghostu.

– Bez bojaźni was witam. Bum z Miasta Boga. Wypijmy za boginię!

Wlewam w siebie płyn. Ma smak gorzkich czarnych porzeczek i wiśni. Wyczuwam nutę róży. Dobry. Panicznie się rozglądam. Jak tu piją? Żłopiają do dna czy zostawiają połowę? Do dna. Widzę, że do dna. Przesyłam men Cloe. Ta odpowiada, że właśnie to zaobserwowała i chciała mi zakomunikować to samo.

Mężczyzna znowu nalewa. Ludzie wokół są już podchmieleni. Wszędzie dostrzegam pękate szklane gąsiory wina.

– Nie lękajmy się – mówimy razem i znowu pijemy. W tym tempie urzniemy się, zanim cokolwiek ustalimy.

– Froghost? – Bum marszczy wąsy. – Nigdy nie słyszałem.

– To daleko na południe – odpowiadam.

– Co was tu sprowadza?

Oż kurwa. Co on taki dociekliwy? Zgarnął nas z nabrzeża z otwartej serdeczności czy to jakiś cholerny strażnik zakamuflowany pod postacią kompana od kieliszka?

Udaję, że nie dosłyszałem pytania, i rozglądam się po murach dookoła. W rzeczywistości rozpaczliwie czekam na odpowiedź frina: czy są tu interesy, czy jest gospodarka monetarna, czy bywają pielgrzymki, czy w Mieście Boga są miejsca, które można zwiedzać, i czy istnieje tu coś

takiego jak zwiedzanie?! Po setkach odwiedzonych światów talizmanów nie mam wątpliwości, że człowiek jest niesłychanie elastycznym, samoświadomym bytem i tworzy tak dziwaczne kultury, że gdybym sam ich nie widział, nie uwierzyłbym w ich istnienie.

Mów za mną, instruuje Frin:

– Żeby pozbyć się lęku, idziemy do miejsca adoracji w Mieście Boga.

Bum kiwa poważnie głową.

– Tak, nasze miasto ściąga tysiące pielgrzymów.

Frin donosi, że przetłumaczył jako „pielgrzym” termin, który oznacza dosłownie „poszukującego stanu ducha pozbawionego strachu”. No pięknie.

– Z pewnością macie wino?

Spanikowany macam torbę, która przed przemianą była parcianym workiem, a teraz jest skórzaną, obitą złotem sakwą. Wyjmuję z niej sztywny, ciężki bukłak. Chlupie w nim ciecz. Uśmiecham się z dużą pewnością siebie i odkorkowuję. Wlewam alkohol do kielicha Buma, Cloe i swojego.

– *Tatku, mam podejrzenie, że przed przejazdem Imperatorki w tym bukłaku była woda.*

– *Myślisz, że ta kobieta nie tylko dodaje barw, ale także zamienia wodę w wino?*

– *Czy to nie brzmi znajomo?*

– No, spróbujmy twojej wody! – wykrzykuje Bum. – Lęku nie ma!

– Lęku nie ma – odpowiadamy.

Nasze wino jest bardziej cierpkie, mocniejsze, czuć w nim dębową beczkę.

– Dobrą wodę macie we Froghost – chwali Bum. – A gdzie macie najbliższe miejsce objawień?

Frin donosi, że chodzi o miasto podobne do Miasta Boga, gdzie następują cuda generowane przez Imperatorkę. Najbliższe Froghost jest Miasto Wody, gdzie bogini wznosi się w górę na strumieniu fontanny, podobnie

towarzyszący jej grajkowie, a potem strumienie zlewają się w ściany wody, z której wszyscy otrzymują dary barw, smaku i radości.

– W Mieście Wody – odpowiadam.

Chcę dodać miarę odległości, ale nie mam pojęcia, jakie tu mają jednostki. Milczę więc.

Bum kiwa głową.

– Słyszałem, ale jeszcze tam nie byłem. To rzeczywiście bardzo daleko, a moja łódź powietrzna nie jest przystosowana do takich dystansów.

Aha. Przemieszczają się podniebnymi żaglowcami. To z pewnością także robota bogini.

– Chciałbym – ciągnie – odwiedzić siedem świętych miejsc, bo wtedy Rytuał Bezłęku miałbym zakończony, ale to trudne. Na razie odwiedziłem tylko cztery.

Zaczynam powoli rozumieć. Stworzono tu system strachu i wielbienia. Wyzwolenie od niepokoju gwarantuje pielgrzymka do konkretnych miejsc, ale są one od siebie oddalone.

Bum zerka na niebo.

– Jeśli chcecie zdążyć na adorację, musicie się spieszyć.

Wstajemy.

– Tak – mówię – nie chcemy tego przegapić.

Nagle obok nas przechodzi czwórka ubranych w lśniące zbroje rycerzy. Każdy z nich trzyma w lewej ręce rodzaj rękawicy bojowej, na którą składają się rączka oraz wystające z niej dwa półkoliste ostrza krzyżujące się pod kątem prostym. Gdybyś dostał taką w twarz, przecięłaby ją, zostawiając ranę w kształcie krzyża. Ich prawice obciążone są pałkami, na których końcach można zobaczyć wizerunek bogini. Patrzą na nas przenikliwym wzrokiem, zwalniają kroku. Czas jakby zastyga.

Na Buddę...

Staramy się z Cloe wyglądać nijako, nie uśmiechamy się do zbrojnych, ale też ich nie ignorujemy. Zwalniają jeszcze bardziej. Frin alarmuje, że to program antywirusowy. Nie przerywamy z Cloe naszych czynności. Poprawiam torbę na ramieniu, chowam do niej bukłak, odzywam się do córki, wskazując kierunek, gdzie jest miejsce adoracji. Żołnierze wreszcie odwracają głowy i bez słowa nas mijają.

Uff.

Żegnamy się z Bumem i ruszamy krętymi uliczkami wzdłuż rzeki, która dopiero co stworzyła nową architekturę miasta.

Miejsce adoracji to duży plac z centralnie umieszczoną mównicą. Stoi na niej kapłan (tak to określił frin, naprawdę nazywa się „łagodzicielem obaw”), który właśnie rozpoczyna coś w rodzaju kazania.

– Bogini kiedyś była zła.

Pojawia się nad nim czarna twarz kobiety, która patrzy na zgromadzonych, szczyrzy długie kły i błyska czerwonymi ślepiami.

– Zalała nasz świat wielką wodą. Odebrała metale, barwy, smaki, zapachy i wino. Na zawsze.

– *O, potop* – rzuca do mnie Cloe.

– *Dowód na brak fantazji mesjaszy.*

– Ale potem wysłała córkę, dobrą boginię.

Nad mężczyzną ukazuje się wizerunek białej kobiety, uśmiechniętej, pozbawionej kłów, o niebieskich oczach.

– Ona umiłowała ród ludzki – tu frin zaznaczył, że natywna ludność nazywa siebie Ghokami, ale dla ułatwienia będzie tłumaczył to słowo jako „ludzie” – i ofiarowała nam dar objawień. Gdy się pojawia, otrzymujemy od niej to, co jej zła matka nam zabrała, po dwóch dniach jej dary znikają, a po

siedmiu przychodzi i obdarowuje nas znowu. I tak od wielu, wielu tuzinów wiosen.

Mają tu system dwunastkowy – poinformował frin. – To także dar bogów.

Naprawdę przerażające. Nigdy nie podobało mi się wykorzystanie talizmanów. Zamiast badać, jakimi ścieżkami mogłaby iść ludzkość, wykorzystuje się społeczności Weenów w sposób prostacki i schematyczny.

– Zdradziła nam tajemnicę, że ona i matka są jednym. Bogini jest w dwójcy jedyna. Ona jest tą, która niszczy, i tą, która daje. Ona jest tą, która nas przeraża, i tą, która uwalnia od lęku. Ona jest władczynią wód i powietrza.

– *No i pięknie, tатku. Mamy już pogląd dzięki temu panu – słyszę Cloe. – Suka ich straszy i obdarowuje. To stary, sprawdzony sposób na podwójne wiązanie i wytworzenie lękliwego uwielbienia.*

– *Sam bym tego lepiej nie ujął, córeczko.*

– *Jak osłabić ten kult? Zrobić cuda? Zmartwychwstania?*

– *Dobry pomysł.*

– *Kobieta lewituje, ulubionymi żywiołami są woda i powietrze, dlatego łodzie latają, a rzeki się unoszą. Może stworzyć kult jakiegoś ognistego bóstwa? I ziemnego?*

– *Antybóstwo? Też o tym myślałem.*

– *Naprawdę? Nie zmyślasz?*

– *Czy cię kiedykolwiek okłamałem?*

Obok nas znowu pojawiają się strażnicy. Patrolują zgromadzenie, bacznie przyglądając się wiernym. Cholera, frin oraz totowe rozmowy mogą nas zdradzić.

– *Cloe, dość tych pogadanek. Dopóki oni są w pobliżu...*

– *Rozumiem.*

Adoracja skończyła się pokropieniem przez kapłana wiernych czymś

w rodzaju święconej wody oraz wspólnym spożywaniem wina. Każdy wierny ma przy sobie bukłak i puchary. Szczęście, że w naszej torbie wszystko to było. Wyjęliśmy naczynia, nalaliśmy i wymieniliśmy się szkłem z pobliską rodziną. Toast był ten sam:

– Nie lękajcie się.

I zakrycie pucharu wierzchem dłoni.

Gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić, skinąłem na Cloe.

– *Muszą tu mieć coś w rodzaju hotelu.*

Frin dał znać, że nie mają. Jest za to zwyczaj zapraszania pielgrzymów do własnych domów. Można przenocować u obcych, którzy nie są obcymi, bo wszystkich łączy bojaźń boża.

Niedobrze. Dłuższy kontakt z tubylcami może nas zdekonspirować, pozostanie w nocy na ulicy także – z pewnością takich od razu łapią ci strażnicy.

Wszystkie grupy Taldów miały ten sam cel: obniżyć kult Imperatorki w ciągu najbliższych dwóch dób, żeby możliwe się stało przesłuchanie jej. Niestety, nie mieliśmy łączności z innymi. Nie mogliśmy posłuchać ich sugestii, zresztą nie było pewności, że inne talizmany mają podobne społeczności. Sądziłem jednak, że wszędzie kult wygląda podobnie.

Dzień dopiero się rozpoczynał. Zaproponowałem Cloe, żebyśmy trochę pospacerowali, zebrali jak najwięcej danych, poznali tutejsze zwyczaje, zjedli coś, a potem przenocowali i rano wdrożyli plan.

W odpowiedzi oświadczyła, że jej frin już konstruuje antyboga. Ognistą ziemną bestię. To znaczy gromadzi dane, skąd pozyskać do jego stworzenia odpowiednią materię i gdzie obrać optymalny punkt pojawienia się. Nasze friny mają specyficzne oprogramowanie. Nie ingerują w rezydentny program. Zamiast tego wtapiają się weń, rozpraszają swoje cyfrowe jestestwa, dzięki czemu mogą zbierać gigantyczne ilości danych, a jednocześnie, w razie

potrzeby, wpływać na świat.

Bóg podziemi, Hades, jak go naprędce nazwała, ma zamordować boginię. To osłabi jej kult. W ten sposób nie będziemy musieli się ujawniać jako misjonarze, piewcy nowej religii. Wystarczy, że dzięki frinowi zaszczepimy w, powiedzmy, co dziesiątym Ghoku przekonanie, że Hades jest od bogini silniejszy.

Plan był sensowny. Obawiałem się, że nadmierna aktywność jej frina może zostać wykryta, ale nie mieliśmy lepszego pomysłu.

Gdy wszyscy już się rozchodzili, kapłan wskazał najwyższy budynek w mieście.

– Udam się teraz adorować boginię osobno, a wy wypijcie za mnie wino, by lęk, którym zostaliśmy obdarowani, nigdy nie osiadł w naszych ciałach.

– Lęku nie ma – odparli wierni i napełnili puchary.

Powtórzyliśmy ich gest.

– *Tatku, kręci mi się w głowie.*

– *Trzymaj się, Cloe. Nie możemy zniwelować działania trunku, bo strażnicy to wykryją.*

– *Wiem.*

Spojrzałem na odchodzącego kapłana. Otoczyła go grupa zbrojnych. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Kultuści byli zawsze chronieni przez samych Weenów, otaczano ich czią, nie zaś programami. Dziwne.

– *Dokąd oni idą?* – rzuciłem do Cloe.

– *No właśnie. Co jest w tym budynku?*

– *Powinniśmy to sprawdzić.*

Ruszyliśmy niespiesznie, pilnie obserwując grupę. Dziesięciu zbrojnych. Jeden kapłan. Szli szybciej od nas. Przyspieszyliśmy.

Po upływie kilku minut zbliżyli się do podnóża wysokiej, kanciastej budowli i weszli przez główne wejście.



Przyjrzałem się budynkowi. Rzeczywiście był najwyższy w mieście i zwieszało się z niego najwięcej proporców, już nie szaro-białych, ale szkarłatnych. Ściany były u dołu błękitne, a u góry oranżowe. Granica barw przypominała fale. Woda i zachodzące słońce. Tak to wyglądało.

– *Tatku, nie możemy tam po prostu wejść. Za duże ryzyko.*

– *Masz rację. Trzeba się rozejrzeć za latającą łodzią i wylądować na którymś z tych wysokich balkonów. Ten centralny wygląda na główny...*

– *Spróbujemy wynająć, pożyczyć lub ukraść czy sami skonstruujemy?*

Sprawdziłem frin. Nie ma tu gospodarki monetarnej. Ludzie pożyczają sobie rzeczy, czasami dają. A jak się produkuje te łodzie? Misjonarze wniknęli w ten świat bardzo brutalnie i przewrócili go do góry nogami. Wszystko jest oparte na „magii”, kulcie bogini, lęku. Ludzie nie wiedzą, skąd się biorą „dary”, czyli metale, barwy. Zostali okulawieni, upośledzeni. Łódź możemy sami potajemnie zbudować albo „dostać” ją od bogini, ale to może potrwać. Możemy też spróbować wyprosić ją od jakiegoś Weena, ale mało prawdopodobne, żeby oddał taki skarb.

– *Cloe, nie mamy czasu...*

– *Wiem. Czy mam zbudować tę łódź? Mój frin znalazł już trochę surowców.*

– *To zbyt niebezpieczne...*

– *Znalazłam spore zagłębienie między wzgórzami półtora kilometra na południe od miasta. Tam mogłabym ją poskładać. Jak inaczej dostać się do tego budynku?*

– *Interesuje was święty dom? – usłyszeliśmy za sobą charczący, niski głos.*

Odwróciliśmy się. Stał przed nami trzyosobowy patrol. Programy antywirusowe.

– *Nie... To jest tak, patrzymy i podziwiamy.*

– *Nie wiecie, jak się zwracać do straży. Nie jesteście stąd.*

- To prawda, pochodzimy z Froghost...
- Nie jesteście stąd – powtórzył strażnik silniej. – I pójdziecie z nami.
- *Tatku, mają nas!*
- *Cloe, milcz!*
- *To koniec! Co robimy?!*
- *Musimy czekać na sygnał od Troya. Nie ściągniemy teraz enta.*
- *Frag!*
- Przestańcie się komunikować. – Strażnik popchnął nas w kierunku budowli.

Złakrew.

Rzeczywiście nas mają. Daliśmy się złapać jak dzieci.

– Naprawdę myśleliście, że nie znamy oprogramowania Taldów? – spytała nas kobieta bliźniaczo podobna do bogini, gdy znaleźliśmy się w najwyższej komnacie świętego budynku. Nie unosiła się w powietrzu, nie rozsiewała blasku. Była ubrana w czarną suknię ze złotymi dodatkami, a na jej głowie połyskiwała zakończona kolcami metalowa korona. Roześmiała się. – Siejecie skanami na lewo i prawo. Zwykle programy talizmanów być może mają z wami problem, ale z pewnością nie aplikacje mojej pani, które są nadzorowane przez najlepszych inżynierów Akademii.

Pięknie. Byt o wyglądzie właścicielki jest doskonale poinformowany o swojej rzeczywistej kondycji, czyli o tym, że jest uwięziony w naszymyjniu. Ta kobieta tylko udaje, że jest żywa. Niemożliwe, żeby to była Weenka. Rozejrzałem się. Oprócz mnie, Cloe i strażników nie było tu żywej duszy. Zarówno strażę, jak i kobieta muszą być programami, więc nasza rozmówczyni może swobodnie mówić o prawdziwym stanie rzeczy.

– No i co? Znaleźliście to, czego szukaliście? Chcecie osłabić kult bogini?

Jak? Antybogiem? Cudami?

Jasna cholera. Wszystko stracone.

– Teraz trzęście dupami, bo możecie stracić życie – ciągnie. – Swoją drogą to bardzo odważne wchodzić tutaj bez wsparcia, bez możliwości natychmiastowej ucieczki, tak na „żywca”. Pierwsi Taldowie. Zaszczyt nas spotkał. – Spojrzała na strażników.

Wszyscy się roześmiali.

Mają tu naprawdę niezłe SI.

Kobieta podeszła do ściany, na której wisiały dwie skrzyżowane włócznie o ostrzach z czarnego drewna.

– Jedno pchnięcie w twoją pierś, mężczyzno, czy twoją, kobieto, i kończycie życie, prawda?

Milczałem. Cloe także, chociaż widziałem, że jest bardzo zdenerwowana. Dobrze, córeczko. W takich sytuacjach nie należy się odzywać. Im dłużej milczymy, tym bardziej zyskujemy na czasie, tym więcej przeciwnik powie, tym bardziej nasze szanse rosną. Ruben na pewno działa tam ze swoimi hakerami. Może już zyskuje przewagę. W razie czego wyślemy sygnał do enta i zwiejemy.

Kobieta wciąż stała przy broni i gładziła drzewce.

– Wasz entopter – powiedziała powoli – gdziekolwiek się znajduje, nie podleci tak łatwo do mojej pani.

Jeśli mówi prawdę, to znaczy, że nie znają jego położenia, czyli Budda ma nad nimi przewagę. Jednak znają sposoby na zabezpieczenie się przed minidronem. Niedobrze.

– *Tatku, czy mam użyć frina i zrobić tu rozpierduchę?*

– *Jeszcze nie. Po pierwsze, mogą cię zablokować, o ile już tego nie zrobili, po drugie, to może przyspieszyć nasz... hm... zgon, po trzecie, dopóki ta baba mówi, mamy przewagę, a po czwarte, lepiej ograniczmy ten sposób*

*komunikacji, bo, zdaje się, jesteśmy na podsłuchu...*

– *Liczysz na... T?*

– *Tak.*

– Jacy naiwni jesteście. Myślicie, że nie słyszę tych waszych gadek?

Szit. Szit, szit, szit. Jakim cudem i kto przebił oprogramowanie Troya? Jeśli te talizmany są od dawna pod opieką Akademii Nauk, mogą być tak naszpikowane nieobecnymi gdzie indziej aplikacjami... Ruben mógł ich nie znać, a skoro nie zna, nie był w stanie przewidzieć działania. Wpadliśmy w pułapkę. Naraziłem na to córkę i blisko setkę innych gamedeców. Prawdopodobnie oni także już siedzą i kwiczą. Za szybko tu weszliśmy, bez przygotowania, bez rozgryzienia zabezpieczeń, po prostu na wariata. Mam nadzieję, że Torkil z realium nam pomoże. Ale jak?

– Wiecie, co to jest? – Kobieta podeszła do skrzyni, która, z grubsza rzecz biorąc, przypominała Arkę Przymierza.

Była złota, stała pośrodku komnaty na wygiętych nogach podobnych do łap lwa, na pokrywie zaś znajdowały się dwa cheruby zwrócone do siebie długimi skrzydłami. Podobno tak wyglądali strażnicy strzegący rajskiego ogrodu, który, nota bene, nie był żadnym ogrodem, tylko świątynią w Jerozolimie, tak jak Adam nie był pierwszym człowiekiem, tylko królem Judei, który nie zapłacił Babilończykom podatku i w końcu stracił tron. Taka była prawdziwa historia „raju utraconego” w głupi sposób, umieszczona na początku świętej księgi starożytnych chrześcijan. Głupi sposób, bo przez to dyskryminowano kobiety i obciążono je winą za „grzech pierworodny”. A to kobiety pierwsze tworzyły narzędzia itepe.

Jakież to dziwne myśli lęgną w głowie zdesperowanego człowieka.

Nie odpowiedzieliśmy na pytanie kobiety.

Rzecz jasna nie wiedzieliśmy, czym jest skrzynia.

Każda sekunda przybliżała hipotetyczną pomoc Troya, o ile haker wie, że

stała nam się krzywda...

– To jest – podjęła – cud...

Przeciągnęła ręką nad skrzynią i nad jej wiekiem pojawił się półprzezierny trójwymiarowy ekran. Wysoka technologia w średniowieczu. Zobaczyliśmy komnatę całkiem podobną do naszej, w której znajdowała się nieco inna, ale także złota skrzynia. Nad nią rozjarzył się taki sam ekran jak ten, który właśnie obserwowaliśmy, i wyświetlił jeszcze inną komnatę, w której znajdowała się kolejna złota szkatuła, nad którą rozjarzył się ekran, wyświetlając następną. Ta sekwencja powielala się i zaczęła przyspieszać, a każda następna komnata powiększała się do rozmiarów całego ekranu, wypierając obraz tej, w której widniała jako trójwymiarowa projekcja. Tempo pojawiania się nowych komnat, skrzyń i ekranów stało się tak wielkie, że miałem wrażenie obserwowania animacji, w której wygląd pomieszczenia i pojemnika ze szlachetnego kruszcu zmienia się w sposób płynny. Nieustannie przyspieszającej projekcji zaczął towarzyszyć cichy gwizd.

– Wiecie, co widzicie? – spytała kobieta, podnosząc na nas zielone oczy.

Przełknąłem ślinę.

– Dwa lustra ustawione naprzeciw siebie?

Roześmiała się.

– Blisko, gamedecu. Widzicie...

– Rzecz niedopuszczalną – weszła jej w słowo Cloe. – Stworzyliście rzecz niedopuszczalną. Wpuściliście do talizmanu technologię umożliwiającą stworzenie w nim drugiego talizmanu, w następny wrzuciliście kult identyczny z tym tutaj i także zaimplementowaliście tę technologię, dzięki której i tam stworzono talizman i kult. Stworzyliście oprogramowanie generujące kolejne światy z religią Imperatorki, tworzące kolejne talizmany i tak dalej, i tak dalej.

– Brawo. A wiecie, ile ich jest?

Cloe zbladła.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Nieskończoność? – wyszeptała moja córka.

– Tak.

– Ale jak to możliwe? – chrypnęła Cloe. – Przecież moc obliczeniowa...

– „Powiedz słowo »nieskończoność« – przerwała jej kobieta – i już trzymasz je za dupę”. Tę frazę wyartykułował nieodżałowany Sergio Lama. Nie słyszałaś, złotko, o teorii macierzy? O Dominium Libri Mundi? Żyjemy w świecie, w którym nieskończoność stała się osiągalna. Powiem więcej: Imperatorka ma pięćdziesiąt razy nieskończoność, bo tyle posiada talizmanów. I to tworzy...

– Osobliwość – wyszeptałem.

Kobieta spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– Brawo, Taldzie. Osobliwość. Zagięcie nieskończoności w nieskończoności w nieskończoności z nieskończoną liczbą kultów, w których boginią jest Imperatorka. „Bądź wola Twoja” brzmi we wszystkich możliwych płaszczyznach bytowania, których nazwą jest eon. Dlatego jest niezniszczalna, nawet z orbity, nawet dla działu wielkiego jak planeta. Ona po prostu się bawi. Bawi się wami, nami, całym światem. A dlaczego?

– Bo naprawdę jest... boginią?

Gdy wypowiedziałem te słowa, kobieta wybuchnęła głośnym, chrapliwym śmiechem.

# **Panorama 3**

## **Ojcowie**

## Obraz 1

# Whale

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Worplan Dharma, orbita  
08 Decimi 232 EI, 16.14 H

Dostałem informację od Troya, że udało się umieścić dziewięćdziesięciu sześciu Taldów w talizmanach tej diablicy. Ruben żałował, że nie może im zapewnić wsparcia, ale obiecał, że co kilka hekt będzie próbował lądować na klejnotach swoimi „myśliwcami” i w ten sposób sprawdzić, czy agenci... żyją. Mówił też, że o północy czasów lokalnych postara się wysłać do gamedeców sygnał umożliwiający im ucieczkę.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy Torkil z Arki zdecydował się wziąć ze sobą cyfrową Cloe, ale przecież ona była dorosła i sama o sobie stanowiła. Byłem pewien, że poszli oboje i że znajdują się w tym samym świecie, z pewnością głównym. Taki był Torkil, taka była Cloe. Znaczący się: są. Żałowałem, że nie zabrali ze sobą Konona, syna Pauline. Był doskonałym Taldem. Niestety nie nadawał się do tej misji, bo... żył, czyli bytował



w realium, a nie, jak Torkil i Cloe, w świecie cyfrowym. Jego obecność w talizmanach Imperatorki zostałaby natychmiast wykryta, bo nieustannie musiałby się z nimi kontaktować poprzez sieć.

Rozmyślałem o tym, wisząc w głównym salonie *Teacupa* i obserwując Worplan przez wielkie okno. Obok mnie, nade mną i pode mną tkwili pośród O'Toolowego, ArtDroidowego i SaintDroidowego chaosu wszyscy uczestnicy wyprawy, patrząc, jak otaczające nas wstęgi, ptaki i motyle mieszają się i tworzą coś na kształt wspólnego animowanego grzęzawiska. W cichej rozmowie rozpatrywaliśmy różne scenariusze przyszłości. Metowa Pauline wraz z Harrym zdążyli zorganizować przekąski, co ciekawe, arealni mieszkańcy siedliska także jedli, tyle że cyfrowe jedzenie.

Przyszedł pilny przekaz od ImBu. Popchnąłem talerzyk z resztkami jedła, a ten posłusznie pofrunął do kuchni. Moi towarzysze jak na komendę zrobili to samo. Tell przesłał krótki men komentujący widok floty kubków, talerzy i sztuców frunących przez hall niczym armada miniaturowych statków kosmicznych. Zerknąłem w podgląd kamery wstecznej i przyznałem, że wizja rzeczywiście jest śmieszna.

Otworzyłem przesyłkę.

W systemach znajdujących się najbliżej Łzy Cheronei – Plaato, Cosmo i Queenie – generatory Mirova pancerników odmówiły posłuszeństwa. Budda natychmiast polecił pozostałym jednostkom bojowym w innych systemach, by oddaliły się od Łzy do najdalej położonych układów.

– *Nie dziwi was, że blokują tylko silniki pancerników?* – odezwała się metowa Anna.

– *Jeśli to wstęp do inwazji* – mruknął Harry – *to przeciwnik popełnia ten sam błąd co Thirowie. Zakłada, że u nas biją się tylko mundurowi.*

– *Jeśli, przyjacielu* – odezwałem się – *to wstęp do inwazji i ktoś popełnia ten błąd, to nie są to Thirowie.*

Norman spojrział szeroko otwartymi oczami.

– *Rzeczywiście.*

– *Jeśli* – rzuciła Angela – *jest to wstęp do inwazji.*

– *A cóż innego?* – zdziwił się Samuel. – *Pewnie, że to. Tylko kto?*

Znowu pojawił się komunikat od ImBu.

Na obrzeżu Drogi Mlecznej, po stronie rozproszonego, oddalonego od centrum Galaktyki Ramienia Krzyża, pojawiły się liczne czarne dziury, a Whale, które rezydowały we względnej ich bliskości, otworzyły swoje pierścienie akceleracyjne.

Arealium  
Gra Redland  
Wyżyny Greenlandu  
Ćwiartka Północna  
08 Decimi 232, 16.25 H

– Sprite, dobrze nam idzie! – darł się Tarik, gdy wspinali się na swoich skałach po zewnętrznym murze Greenhornu.

Osiemnaście tysięcy gadów wyciągało szyje, zaczepiało mechanicznymi szczękami o występy skalne, macało chropawą powierzchnię łapami o mocnych pazurach, a ich ogony oplatały każdą nierówność i jakby od niechcienia, w niemal równym, nieco leniwym tempie armia Sprite'a posuwała się w górę. Idący na przedzie magowie osłaniali awangardę parasolami pół siłowych, dzięki czemu pędzące w ich kierunku ogniste strzały i lodowe igły rozbijały się, jak gdyby natrafiały na wirujące ostrza.

Sprite lubił wspinaczki na skałach. Poprawił się w siodle, które było tak skonstruowane, że w czasie pionowej wędrówki jeździec zachowywał

wygodną pozycję, ustawiając się równolegle do grzbietu wierzchowca. Obrońcy, zauważywszy nieskuteczność ostrzału, wysłali gromkile. Były to tandemy ważkopodobnych biomechanicznych wierzchowców oraz jeźdźców zaopatrzonych w stalowe łuki. Rumaki miały zwyczaj wydawać niskie, wibrujące ryki, a jeźdźcy znani byli z celności. Stąd nazwa.

– Zaczyna się zabawa! – Sprite krzyknął do towarzyszy.

Skałazy miały bardzo twarde łuski i duże fragmenty ciała osłonięte pancerzem, jednak gdy strzała gromkila trafiała w gardziel bądź podogonie, generowała wyładowania, które powodowały chwilowy paraliż wierzchowca. Sprite spojrział w dół. Wspięli się na ponad dwieście metrów. Upadek byłby niebezpieczny.

– Działa pelot! – zakomenderował, a chorąży sygnałowy wprowadził na żerdzie odpowiednie flagi. – Dystans dwieście metrów!

Na niektórych skałazach osadzone były obrotowe działka miotające gniazda szerszeni ulokowane w specjalnie do tego celu wykonanych koszach. Mechanizm zegarowy ustawiano tak, by rozbić gniazdo w wyznaczonej odległości. Działonowi błyskawicznie ustawili odpowiednie pokręta i nakręcili mechanizmy katapult.

– Ognia!

W stronę szarżujących lotników poleciały połyskliwe kokony i wybuchnęły niczym brunatne fajerwerki.

Zarówno skałazy Armii Wygnańców, jak i sami woje byli skropieni feromonami, które odpychały owady. Obrońcy na swoje nieszczęście nie, więc powietrzny atak skończył się szybko i żałośnie.

Sprite patrzył przez chwilę, jak błonoskrzydłe rumaki spadają, rycząc, czemu towarzyszyły piskliwe krzyki jeźdźców.

– Sprite! – znowu krzyknął Tarik, szczerząc białe, mocne zęby pośród czarnych wąsów i brody. – Naprawdę jesteśmy niezli!

Tarik miał rację. Znajdująca się kilkanaście metrów nad nimi awangarda potężnej Armii Wygnańców właśnie gramoliła się przez krawędź muru i pchała na zewnętrzne dziedzińce Greenhornu. Obsługa idących na przedzie dział oblężniczych musiała już uruchomić swoje trąby, bo po ścianie, w którą mozolnie wgryzał się skałaz Sprite'a, przebiegł dreszcz. Po chwili usłyszeli huk. Trąby obaliły pierwszy, zewnętrzny mur twierdzy.

Gdy wierzchołek Sprite'a wreszcie pokonał krawędź i gad stanął na poziomym gruncie, a dowódca jednym kopnięciem w mosiężną dźwignię przekonfigurował siodło i z satysfakcją stwierdził, że nie musi już opierać nosa o grzbiet gada, zobaczył morze proporców swojej armii, a za nim ułamki murów i oddziały płądrujące podmiasto. Nastął czas, by uderzyć we właściwy cel – ząb Greenhornu, który rozdzierał pędzące niebem chmury.

W tym momencie w wysokich szczelinach strzelniczych bastionu ukazały się płonące lwie paszcze dział.

– Sprite, niedobrze! – krzyknął Ytr, rozdzierając długą lancą jednego z ostatnich piechurów wroga.

Wódz doskonale o tym wiedział.

– Ciężkie taaaarczeeee! – krzyknął, a chorąży wciągnął na drzewce długi błękitny proporzec z wymalowaną czerwoną tarczą. Magowie bojowi wycharczeli inkantacje i nad Armią Wygnańców pojawiły się wielkie, opalizujące pola energetyczne.

– Teraz się dowiemy, czy czarodzieje, na których wydaliśmy całą forszę, są czegoś warci – mruknął Sprite, patrząc, jak lwie paszcze błyskają płomieniami wystrzałów. – Do atakuuuu! – krzyknął, gdy dotarł do nich huk pierwszych salw.

Droga Mleczna

Pustka międzygwiazdna  
Sektor Whali nr 672  
08 Decimi 232 EI, 16.38 H

Przez wiele cykli, a przedtem lat, ludzkość rozmaicie wyobrażała sobie kontakt z obcą cywilizacją. Przedstawiano kosmitów w latających talerzach i na trójnogach, jako żarłocznych, inteligentnych, czasami złośliwych, rzadziej bezmyślnych, bywało, że śmiesznych i dowcipnych, najczęściej jednak fantastycznie przystosowanych do przetrwania, zabójczych i licznych niczym szarańcza. Myślę, że nie przypuszczano, że kontakt trzeciego stopnia może być tak dziwaczny jak z CIII, a tym bardziej tak kuriozalnie surrealistyczny jak spotkanie WayEmpire z Whalami.

Rodney Duval był dumny z siebie z kilku powodów. Po pierwsze, pracował. To sytuowało go w bladej bo bladej, lecz jednak zauważalnej hierarchii Sitów nieco wyżej. Po drugie, był Pionierem. Jego praca polegała na penetracji głębokiego kosmosu, a o tym marzył od dzieciństwa. Cudownym paradoksem WayEmpire jest to, że jeśli kochasz coś robić, a ImBu uzna to za pracę – pracujesz, w związku z czym szczytnie się nieco wyższym statusem społecznym, a poza tym Budda i Imperator dostarczą ci wszelkich możliwych narzędzi, nawet takich, których w innych warunkach by ci odmówiono. Rodney nie dostąpił jeszcze zaszczytu odwiedzania gromad gwiazd poza Galaktyką, ale ImBu ocenił jego umiejętności na tyle wysoko, że pozwolił mu poszerzać imperialną wiedzę o Drodze Mlecznej na całym jej obszarze. Zatem Sit Duval mozolnie powiększał obszar znanych WayEmpire systemów, a owa „mozolność” bynajmniej go nie nużyła. Wiedział, że robota będzie długa, i bardzo go to cieszyło. Ktoś mógłby zapytać, jakie znaczenie

miał jego trud w olbrzymim, zmechanizowanym Imperium? Były przecież sondy i próbniki, były te przerażające gromady Pożeraczy Światów... Ile więc znaczyła kropla jego wysiłków w oceanie czynności Buddy? No cóż, w świetle wydarzeń, które miały się wkrótce rozegrać, można zaryzykować stwierdzenie proste, a jednak genialne: Co człowiek, to człowiek.

W sto sześćdziesiątym drugim cyklu Ery Imperium, dwanaście cykli po nastaniu Czasów Szczęśliwości i sporo po rozruchach, jakie wówczas nastąpiły, WayEmpire dysponowało już na tyle rozwiniętą technologią, że Sit przeniesiony z naszych czasów w przeszłość i umieszczony w airvillu Pioniera nie dostrzegłby większych różnic. Może O'Toole nie były tak zgrabne jak dzisiaj, ale równie dobrze ich kształt mógłby zostać uznany za ekstrawagancję. Rzecz jasna, gdyby ktoś zajrzał do sieci i przyjrzał się kodowi Buddy, stwierdziłby, że nie jest tak rozwinięty jak dzisiaj, a gdyby znał się na technofraktalach i zgłębił strukturę floców, zobaczyłby, że zarówno pod względem konstrukcji, jak i oprogramowania są one eony za tym, czym dysponujemy teraz, jednak – jak już zostało wspomniane – widocznych różnic nie było.

Nie powinno więc dziwić, że Rodney Duval we wspomnianym już cyklu wisiał (nie stał) w osobistym airvillu o nazwie *Orzeł*, rozkoszował się doskonałą kawą, a wokół niego unosiło się kilka niezbędnych narzędzi nawigacyjnych, czatował O'Tool, lewitowała druga pilotka-dron i w ogóle wszystko wyglądało tak, jakby się to działo dzisiaj.

Rodney skanował obszar międzygwiazdny CA 543-543-876-543 Ramienia Krzyża, fragment Galaktyki oddalony od centrum i mocno już rzadki. Ktoś mógłby spytać: Po co skanować pustkę? – lecz byłoby to nierozsądne pytanie, bo pustka jako taka nie istnieje. Przestrzeń tworzy piana kwantowa, która może rozszerzać się bądź kurczyć szybciej od światła, jest zatem najciekawszym fragmentem rzeczywistości. Poza tym w rzeczonyj pustce

mogą kursować czarne dziury, brązowe karły czy planety wyrwane z jakichś kosmicznych katastrof – jak mówił Duval, PPP: Ponurzy Próżniowi Podróżnicy. Jako ciała nieposiadające własnych źródeł światła często są niewidoczne nawet dla najdoskonalszych imperialnych teleskopów, a mogą być względnie groźne. Kosmos pełen jest niespodzianek. Rodney dobrze o tym wiedział, bo sam odkrył dwie planety mające białkowe życie, i to nie pod powierzchnią, ale na zewnątrz, skatalogował kilkanaście czarnych dziur, dwa brązowe karły i jedną wyjątkowo szybko przemieszczającą się planetę pozbawioną słońca, za to zaopatrzoną w księżyc, który okręzał ją po śmiesznie wydłużonej orbicie.

Gdy Duval konstatował dziwy kosmosu i chłonał z niekłamanym zachwytem widok za panoramiczną szybą airvilla, skanery przekazały informację o wykryciu dużej masy siedemset czternaście jednostek astronomicznych od jego *Orła*. Kamery skierowały tam swoje obiektywy, ale, zgodnie z przewidywaniami Sita, niczego nie zobaczyły.

– Jak duża to masa? – spytał.

– Wygląda na brązowego karła, ale kształt się nie zgadza – odparł mózg statku ustami drugiej pilotki.

Rodney zamrugał. Jego airvill po raz pierwszy od dziesięciu cykli, czyli od czasu, gdy zajął się skanowaniem kosmosu, wyraził się tak nieprecyzyjnie. Mężczyzna spojrział na mechaniczną kobietę.

– Spectra – tak ochrzcił robota – co masz na myśli, mówiąc: „Kształt się nie zgadza”?

– Brązowy karzeł powinien mieć formę kulistą – wyjaśniła sztuczna kobieta.

– Jeszcze jakieś rewelacje? – Pionier nie lubił, gdy pilotka dzieliła się z nim oczywistościami. Uważał się za Sita wszechstronnie wykształconego i odbierał takie konstatacje jako obraźliwe.

– Oto najbardziej prawdopodobna forma obiektu. – Spectra wskazała mechanicznym palcem trójwymiarową mapę wiszącą metr przed nimi.

Macki skanerów zaczęły, niczym ślepiec za pomocą palców, lepić z pustki formę, która coraz bardziej przypominała dziwny, nieforemny...

– Krzyż?! Czarna dziura, przepraszam: brązowy karzeł w kształcie krzyża? Ktoś jaja sobie robi?! – wykrzyknął mężczyzna.

– Nie, Rodney. To jest ten kształt.

Sit Duval przełknął głośno ślinę i wytrzeszczył oczy, starając się zrozumieć to, co widzi, ale było to tak obezwładniające, że przez chwilę nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– Czy ja dobrze rozumiem, że to...

– Nie jest naturalne – weszła mu w słowo Spectra.

– Ale, na miłość Imperatora, przecież to waży tyle ile...

– Brązowy karzeł.

– Przestanieś mi przerywać? – Rodney spojrzał ze złością na robota. – Dobrze wiem, ile waży brązowy karzeł. Dlaczego to ma tak dziwnie nieregularny kształt? On mi się kojarzy...

– Rodney, skanery wykryły drugą masę.

Mężczyzna zacisnął szczęki, tłumiąc złość po tym, jak ponownie mu przerwała. Jego mózg nie mógł jednak zajmować się jednocześnie poprawianiem dronki i analizowaniem niezwykłego znaleziska. Skupił więc uwagę na istotniejszym zagadnieniu.

– Chryste, trzeba zawiadomić ImBu – szepnął.

– *ImBu o wszystkim wie. Prosi o dalsze skany.*

– Gdzie jest ta druga masa?

Dronka wskazała miejsce na mapie. Na lewo i w górę od pierwszego obiektu wyłaniał się w odległości połowy jednostki astronomicznej nowy kształt. Sygnatury, które go otaczały, sugerowały, że ma podobną, ale nie



taką samą masę. Był to także krzyż, ale nieco inaczej skonstruowany...

– Zaraz postradam zmysły – szepnął Rodney.

– *Mamy trzeci obiekt* – odezwała się Spectra.

Tym razem masa wyłoniła się na prawo i w dół od pierwotnego krzyża, w odległości jednej trzeciej jednostki astronomicznej. Duval patrzył z rozpaczą, jak się ukazuje. Nie były to, jak poprzednio, dwie niezgrabne, skrzyżowane belki, lecz raczej rozgwiezda. Masa różniła się od dwóch wcześniejszych.

– Rodney? – Drugi pilot spojrział na mężczyznę jasnymi niebieskimi oczami.

Mężczyzna oczyścił krtań chrząknięciem.

– Hm?

– Te obiekty poruszają się synchronicznie.

– Lecą w szyku?

– Tak.

– Cholerna armada wielkich jak słońce statków o pokopanej architekturze?!

– Armada jest dobrym określeniem. Skanery wykryły jeszcze dziesięć takich obiektów.

Duval wyciągnął ręce w obronnym geście.

– Nie załamuj mnie...

– I jeszcze pięć.

– Przestań!

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jego reakcja jest dziwaczna. W końcu miłośnik kosmosu po to go eksploruje, by odkrywać, a właśnie z odkryciem, i to nie byle jakim, Sit miał do czynienia. Jednak jego skala i absolutna nietypowość wywoływały w nim następujące jeden po drugim ataki paniki.

– One też lecą synchronicznie? – spytał cicho.

– Tak. I żaden z tych obiektów nie wygląda jak inne.

– To się kupy nie trzyma. Wielkie, nieregularne, a lecące w równym szyku?

– Kształt, który został pierwotnie wykryty, nie jest prawidłowy – odezwała się dronka.

– No. Wiedziałem, że coś z nim jest nie tak. – Rodney klasnął, ale za chwilę jego uśmiech zgasł.

Ramiona krzyży, rozgwiad i innych nieregularnych tworów zaczęły się wydłużać. Ślepe skany *Orła* obmacywały przestrzeń dookoła nich. Teraz nie były to już toporne nieregularności, ale miejsca przecięć niezwykle długich belek.

– Spectra, przestań. Nie ma takich obiektów. Te wysięgniki muszą ważyć tyle co całe układy planetarne...

– Tak. A ciała, które z początku uznaliśmy za osobne statki, nie są osobnymi statkami.

– Co?

Na trójwymiarowej mapie pojawiła się odpowiedź. Krzyże i rozgwiadzy połączyły się długimi dźwigarami. Teraz Rodney Duval rozumiał kształt tych obiektów i wiedział, z czym mu się na początku skojarzyły: z węzłami nośnymi starożytnych mostów i wież wykonanych z kutej stali i łączonych za pomocą nitów. Owe krzyże były po prostu przecięciami dźwigarów. Zostały wykryte w pierwszej kolejności ze względu na największą koncentrację masy. Z czerni wyłaniały się kolejne cienkie linie, tworząc nowe połączenia i zamieniając przestrzeń mapy w niezwykle złożoną siatkę przypominającą...

– To jakby wieloryb – szepnął Rodney.

– Długi na kilka parseków – dodała Spectra.

– Takich stworzeń nie ma na świecie.

– Nie było, Sicie. Teraz już są.

Tak wyglądał pierwszy kontakt Rodneya Duvala z cywilizacją nie mniej dziwną niż CIII. W sto sześćdziesiątym drugim cyklu Ery Imperium do Drogi Mlecznej wpłynęły od strony Ramienia Krzyża trzy statki tak wielkie, że na początku nie wiedzieliśmy, że są statkami. Miały około dziesięciu lat świetlnych w najdłuższym wymiarze i odpychały całe układy planetarne, jakby te były przeszkadzającymi w marszu kulami bilardowymi. Ze względu na swoją masę nie były to oczywiście jednostki lite, lecz raczej niebywale rozbudowane kratownice ukształtowane w piękne rozwiązania architektoniczne, zupełnie jak osławiona wieża Eiffla na Ziemi. Zresztą przez to podobieństwo niektórzy nazywają Whale Eiffłami). Statki Whali nie były jednak światami... w zasadzie do teraz nie jesteśmy pewni, czym są. Ustaliliśmy, że dookoła nich rozciągają się koliste akceleratory, których moc jest tak wielka, że mogą stwarzać wszechświaty, i jesteśmy przekonani, że właśnie to robią: Eiffle są twórcami nowych rzeczywistości równoległych. Wiemy też, że na powierzchniach i najprawdopodobniej we wnętrzach ich statków zachodzi swoisty metabolizm mechaniczny. Whale, jeśli można tak powiedzieć, żyją na swój specyficzny sposób, ale z całą pewnością nie są organiczni. Ustaliliśmy również, że jeśli mają świadomość, to jej nosicielami są drobiny wielkości atomów, które to maleństwa wysledziliśmy nad wszystkimi naszymi planetami.

Whale nie zaszczyciły nas nigdy większym zainteresowaniem. Po prostu wpłynęły tam, gdzie wpłynęły, zwolniły, by nie uszkodzić zbyt wielu niezamieszkanym układów planetarnych, a następnie obrały niezwykle powolny kurs dookoła Drogi Mlecznej.

Oczywiście w momencie pojawienia się behemotów ludzkość ogarnęły

entuzjazm, ciekawość i prawdziwa gorączka poznania, w której uczestniczył, rzecz jasna, Rodney Duval, znany już w całym WayEmpire. Ruszyły w ich kierunku niezliczone wyprawy, na początku najeżone okrętami i całymi Maodionami w stanie gotowości, ale gdy tylko zrozumieliśmy, że obcy raczej nie mają złych zamiarów, w zasadzie żadnych w ludzkim tego słowa rozumieniu, rozstawiliśmy tam dziesiątki baz naukowych, na wszelki wypadek kilkadziesiąt pancerników, posterunki Imperialnych Soulerów, Charonów, Narów, Ludzi Bram tudzież Aristoi, po czym zaczęliśmy ich obserwować. Eiffle pozwoliły zbliżyć się do siebie na odległość jednej dziesiątej AU. Bliżej nas nie dopuściły i jak dotąd nie dopuszczają. Generują pole ochronne, którego nigdy nie zdołaliśmy zbadać ani pokonać i, szczerze mówiąc, nie bardzo się staraliśmy w obawie przed ich reakcją. Po dwóch dekadach obmacywania, fotografowania i prób nawiązania kontaktu stwierdziliśmy, że to jakaś niesłychanie rozwinięta rasa, która ma do nas doskonale obojętny stosunek: niczego od nas nie chce i niczego nam nie da. Nastąpiło nieuniknione rozczarowanie. Ludzkość poczuła się trochę tak, jak kiedyś czuli się rodzice autystycznych dzieci: chciałaby nacieszyć się obecnością gości, przytulić ich do łona... a oni ani dotykać się nie chcą, ani pogadać się z nimi nie da.

Szkoda, bo moglibyśmy się od nich niejednego nauczyć. Ale tak to już jest: gdy dziecko spotyka się z dorosłym, bywa nim zafascynowane, lecz dorosły bardzo rzadko odwzajemnia to uczucie. Najczęściej jest znudzony, bo rewelacje podrostka są przewidywalne i powtarzalne. Być może Stworzyciele Światów widzieli takich ras jak nasza dziesiątki, badali je nawet i interesowali się nimi, lecz teraz przestali. Zresztą może i nas przebadali, skatalogowali i dalej bacznie obserwują tymi oczkami – atomami, tylko nic o tym nie wiemy.

Tak czy owak, po dwudziestu cyklach szął na Whale opadł,

rozgorączkowane głowy naukowców nieco ostygły i skończyły się nadzieje na jakiś znak ze strony obcych. Owszem, nadal snute są domysły, trwają dyskusje, pisane są prace naukowe, ale nikt już raczej nie liczy na ich „ruch”. To znaczy nikt poza zwolennikami teorii, że czas dla Eiffłów płynie niesłychanie wolno. To, co dla nas jest cyklem, być może dla nich jest ułamkiem cetni. Przeciwnicy tej teorii twierdzą, że samoświadome byty skonstruowane z kwantów powinny postrzegać czas bardzo szybko, bo zjawiska falowo-korpuskularne zachodzą w niezwykle małych temporalnych przedziałach, i trudno odmówić im racji.

Trzydzieści cykli po bliskim spotkaniu, cokolwiek ten termin w przypadku Eiffłów mógłby oznaczać, pozwolono karawanom kręcić się wokół statków obcych i atmosfera w sektorze się rozluźniła. Mamy teraz w tym obszarze kilkadziesiąt vii, które nie są „błogosławione”, ale za to wielokrotnie od nich dłuższe. To WhaloVie. Maniacy kontaktu, wśród których centralną postacią jest, a jakże, Rodney Duval. Mają nadzieję, że obcy zaproszą ich na swój statek i obdarzą łaską wszechwiedzy. Podróżują wzdłuż Eiffli, zatrzymują się w pobliżu przewężeń lub spiętrzeń architektonicznych, odprawiają swoje natchnione fiesty, w trakcie których proszą obcych o znak, a gdy nic się nie dzieje lub gdy ktoś ma wizje, w których stwierdza, że jednak coś się stało, nie ruszają dalej w nadziei, że to początek dialogu.

Według oficjalnych doniesień, wbrew przekonaniom członków WhaloVii, Eiffle nigdy nie odpowiedziały ani w ogóle nie dały żadnego wyraźnego znaku.

Aż do dziś.

Ósmego Decimi dwieście trzydziestego drugiego cyklu Ery Imperium o uniwersalnej szesnastej trzydzieści pięć pierścienie akceleracyjne Whali rozchyliły się tak, że jeden ich koniec wciąż owijał się dookoła gigantycznych cielsk, a drugi celował w przestrzeń międzygalaktyczną.

I właśnie tam, poza obszarem Drogi Mlecznej detektory WayEmpire zanotowały pojawienie się wielkich, niewidzialnych mas.

Nieszkodliwe Wieloryby wygenerowały czarne dziury.

Członkowie karawan oszaleli z radości i wzmogli swoje fiesty, tymczasem imperialne teleskopy zwróciły się ku czarnym kolapsarom. Zobaczyliśmy coś, co przyćmiło zarówno widok nieziemskich statków Whali, jak i dziwną inwazję CIII.

Była to flota składająca się z dziesiątków tysięcy wielkich czarnych statków w kształcie dziwnych koron, olbrzymów przypominających spłaszczone piramidy oraz mniejszych podłużnych okrętów, i tę właśnie armadę czarne dziury bezlitośnie wciągały w swoje niewidzialne czeluście. Roje jednostek nieznanego przeznaczenia kręciły się w upiornym tańcu, jakby ktoś spowolnił czas, i zataczały majestatyczne kręgi wokół wyrw w czasoprzestrzeni, nieuchronnie zbliżając się do horyzontów zdarzeń. Kilkadziesiąt z nich uległo temu, co naukowcy nazywają spaghettizacją – zataczając coraz węższe kręgi, były wydłużane i rozrywane potężnymi polami grawitacyjnymi. A wszystko to w martwej ciszy. Czerń statków, czerń kosmosu, czerń kolapsarów. Sceneria i kolorystyka zdarzenia powodowały, że ciarki przechodziły mi po plecach.

Na naszych oczach dokonywała się zagłada nieznaney rasy.

## Obraz 2

# Exutery

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz

Polia Tris, dystrykt Hook

08 Decimi 232 EI, 16.46 H

Sam Yon i Sara Bor zakotwiczyli nad tarasem okalającym cebulowate centrum rozmnażania, dzięki czemu zaczęli się poruszać synchronicznie z platformą i budowlą. Mężczyzna spojrział na gmach o oknach i drzwiach przypominających wypukłe trójkąty, na zdobiące ściany ornamenty kojarzące się z pełnymi gronami winorośli, a potem zerknął na partnerkę.

– Jesteś pewna, że chcemy to zrobić?

– Zapytać nie zaszkodzi – odparła, jakby chodziło o informację dotyczącą najnowszego trendu w motombach.

– Zapytać mogliśmy na odległość. Tak się postępuje w cywilizowany sposób.

– Chcę to zobaczyć z bliska.

– Zapomniałaś o TIO?

– Chcę dotknąć.

– Exuterów? A met?

Sara pokręciła głową.

– Faceci czasami naprawdę niczego nie rozumieją.

– Jak to? Czego nie rozumiem?

– Kobiet, głuptasie. Wlatujemy.

Wrota centrum otworzyły się i wpuściły ich. Ledwie przekroczyli próg, wyleciał im naprzeciw biały medmat. Błysnął powitalnymi animacjami, po czym odezwał się uspokajającym głosem:

– Witajcie w centrum rozmnażania w Tris. Jak możemy pomóc?

Sam poczuł się dziwnie błogo. Zapach wnętrza, łagodne oświetlenie, w którym róż mieszał się z błękitem, cicha, ledwie słyszalna muzyka, wszystko to przypomniało mu dzieciństwo, jakże słoneczne i radosne. Przesłał do partnerki krótki men. Odpowiedziała podobnym.

– Chcielibyśmy – odezwała się Sara – dowiedzieć się wszystkiego...

– Jak skonstruować dziecko – wszedł jej w słowo Sam.

Sara szturchnęła go łokciem w mechaniczne żebro.

– Au – szepnął.

– Oczywiście – rzekł medmat. – Życzycie sobie prezentację czy kontakt z człowiekiem?

– Człowiekiem? – Sam otworzył szerzej mechaniczne oczy.

– Jest tu człowiek? – ucieszyła się Bor. – Może kobieta?

– Tak, to kobieta. Naczelną inżynier centrum, doktor Ula Sun.

– Doktor to prawdziwy tytuł czy taki ozdobnik? – spytał Yon.

– Nie wygłupiaj się, skarbie – zgromiła go Sara. – Rewelacja. Oczywiście chcemy porozmawiać z kobietą.

– Dysponujemy – oznajmił automat, jakby w nadziei, że zainteresuje gości



bardziej zaawansowanymi trybami edukacyjnymi – klarownymi pakami, po których pobraniu nasi goście wiedzą dokładnie, jakie mamy procedury i ile trwa proces tworzenia potomka. Otrzymują też wskazówki dotyczące wychowania.

– To sensowne – mruknął Yon.

– Bzdura. – Sara machnęła ręką. – Wolę człowieka. Kobietę! – Spojrzała na niego z wyższością.

– Doskonale – odezwał się medmat. – Pani doktor jest w tamtym sektorze. Proszę podążać zielonym szlakiem.

Przed oczami pojawiła im się szmaragdowa wstęga. Jej koniec ginął za licznymi jajowatymi tworami – exuterami ustawionymi w równych rzędach na wielu platformach. Wstęga lekko falowała, co świadczyło o tym, że Ula Sun się przemieszcza.

– Informuję – rzucił dron – że możecie się poruszać tylko w wyświetlonym teraz kanale.

Wokół szlaku zobaczyli półprzezierną tubę o średnicy dwóch i pół metra.

– Nie wolno niczego dotykać bez zezwolenia obsługi centrum. Kanał uniemożliwi wam przekroczenie jego granic.

– Rozumiemy – powiedział Sam.

– To głupie – zaprotestowała Sara, ale mężczyzna chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Chodź do tej twojej kobiety. I posłuchaj, jaka ładna melodia.

– I światło takie miękkie. Aż chce się mieć dziecko...

– Miłego zwiedzania – pożegnał ich robot.

Gdy wychynęli zza zakrętu, ujrzeni unoszącą się trzy metry nad podłogą ubraną w białą szatę młodą kobietę o kasztanowych włosach upiętych w kok.

Otaczało ją kilka trójwymiarowych ekranów wyświetlających, o ile Sam i Sara mogli dostrzec, ludzkie płody w różnych stadiach rozwoju. Kobieta patrzyła skonsternowana na unoszący się przed nią exuter. Był, jak pozostałe, srebrzysty i poznaczony heksoidalnym wzorem.

– Zaraz... – Dotknęła przypominającego okulary tworu lewitującego przed jej prawym okiem. – Gdzie ja to położyłam? Cholera, znowu zapomniałam. – Zamknęła oczy i wyciągnęła rękę w bok.

Obok Sama i Sary świsnął niewielki przedmiot wyglądający jak połączenie magicznej różdżki i pistoletu. Wylądował na ręce kobiety, której paznokcie gościły subtelne seledynowe animacje. Sam przyspieszył i zrobił zoom. Niezwykle. Miały ten sam deseń co ściany centrum. Winorośle.

– Uf – sapnęła.

Wtedy dostrzegła gości.

– Widzicie? – odezwała się, odwracając do nich. Teraz mogli dokładnie przyjrzeć się aparatowi przed jej prawym okiem. Był zbyt duży, by obciążać twarz. Dlatego lewitował. – Nigdy nie wiem, gdzie go położyłam.

Sara otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale było za późno, bo Ula Sun już na nich nie patrzyła. Z uwagą wyciągnęła przed siebie, jak poinformował frin, „medtool”, a ten wyświetlił siatkę wymiarów wokół cokołu wiszącego przed nią exutera.

– No tak – mruknęła – za duża podstawa. Ten nowy model jest przesadzony. Okej. – Uśmiechnęła się, wydała mentalną komendę i podstawa obiektu zaczęła się zwężać. – I to też jest fantastyczne w naszych czasach – dodała.

Po chwili twór wsunął się pomiędzy inne exutery. Mimo to Ula się skrzywiła.

– Zamówiłam błękitno-złoty, a nie niebiesko-złoty.

Rzeczywiście, pozostałe obiekty miały trochę inny ornament. Upłynęło

kilkanaście cetni i przedmiot nabrał właściwych barw.

– Tadaaa! – Sun uśmiechnęła się i zwróciła do gości, wyciągając rękę. – Jestem doktor Ula Sun, zarządzam tym śmietnikiem. Jak mogę pomóc?

– Myślimy... – odezwała się Sara.

– O dziecku? – weszła jej w słowo kobieta w białym kitlu. – Doskonały pomysł. Żywym, organicznym czy sieciowym?

– Wolałbym sieciowe – mruknął Sam, ale Sara zgromiła go spojrzeniem. Z jej oczu trysnęły animowane błyskawice.

– Organicznym, żywym – odpowiedziała Bor.

– Uwaga na emocje, Siti – ostrzegła Ula. – To święte miejsce początku życia, tutaj kontrolujemy serce i umysł. – Wzięła głębszy wdech i gestem zachęciła, by goście zrobili to samo.

Mogłoby się to wydawać kuriozalne, bo wiadomo, że motomby nie oddychają, niemniej ich właściciele mają zazwyczaj włączoną tę funkcję, a ImBu zachęca, by zawsze była ona aktywna. Właśnie dlatego, gdy patrzymy na żywe zbroje, widać, jak oddychają, chociaż w środku nie ma organicznego ciała. Sara i Sam zgodnie wciągnęli dużo powietrza, po czym powoli wypuścili je mechanicznymi ustami. Nie mieli w piersiach pustych przestrzeni do przechowywania gazów, ale odpowiednio ustawione kieszenie płyt piersiowych i wiodące od nich do ust kanaliki dawały obserwatorom poczucie, że oddech jest prawdziwy, frinowe oprogramowanie zaś samym zainteresowanym fundowało wrażenie wykonywania głębokiego wdechu i wydechu. Oto, jak programy i mechanika Wielkiego Imperium robiły dziwaczne rzeczy, by zapewnić zmotombionym wrażenie posiadania organicznego ciała.

– Bardzo ładnie – skwitowała pani doktor. – Ale widzę, że Siti nie jest do końca zdecydowany?

– W zasadzie...

– Nie obawiaj się, Sam. Możemy przejść na „ty”? Mamy w Imperium doskonałe chiboty i gogoi. Naluszki same podcierają pupę, same się wyrzucają i zakładają, możesz zapomnieć o przykrych zapachach czy problemach z czystością. System edukacyjny jest łagodny i prorozwojowy. Progeniturze niczego nie braknie, a jednocześnie stawia się przed nią odpowiednie wymagania. W Czasach Szczęśliwości dzieci mają naprawdę dobre dzieciństwo, a rodzice tak lekkie rodzicielstwo, jak tylko pozwala na to technika.

Sam ponownie wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Ula Sun pokiwała głową z aprobatą. Miała terapeutyczne zacięcie. Yon zrozumiał, dlaczego tu jest. Ona kochała swoją pracę. I świetnie się w niej spełniała. Dawała życie. Leczyła, odnajdowała w ludziach spokój. Przez ułamek cetni jej zazdrościł.

– Ja wiem – rzekł – ale odpowiedzialność...

Doktor uśmiechnęła się.

– Sit myśli, tak? To dobrze. To znaczy, że Sit wie, na co się porywa.

– Właściwie to ona się porywa... – Sam wskazał oranżowym kciukiem partnerkę.

Sara znowu zgromiła go spojrzeniem.

– Tylko pytamy.

– Siti – Ula Sun wyciągnęła łagodnie ręce – emocje. Emocje. Zachowujesz się, jakbyś już miała pełny exuter.

Sara wzięła wdech.

– Teraz wydech, Siti – poinstruowała ją pani doktor.

Bor ze świstem wypuściła powietrze.

– Bardzo ładnie, Saro. My też przejdziemy na „ty”? Zatem, skoro chcieliście tylko zapytać, nie łatwiej było pakiem?

– No właśnie – mruknął Yon.

– Wolałam z człowiekiem. Poza tym jesteś kobietą...

– Aaaa, rozumiem. – Ula uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: „Rozumiem. Tak naprawdę, Saro, jesteś już zdecydowana. Gadka o »pytaniu« jest dla partnera, prawda?”. Rozpostarła ramiona. – Jak mogę pomóc?

– Chciałabym wiedzieć, jak to się robi w... naszym przypadku – odpowiedziała Bor.

– Prosto. Pobieramy z sieci informację o twoim, Siti, i twoim, Sicie, genotypie, syntetyzujemy wasze DNA, następnie wytwarzamy kilkaset milionów plemników z połową genów samca, kilkaset komórek jajowych z połową genów samicy...

Sam skrzywił się, słysząc ten opis.

– Co? – spytała Ula. – Coś nie tak?

– No „samiec”, „samica”.

– Aaa! – Machnęła ręką i roześmiała się. – To po to, żeby uprościć. Zatem gdy mamy już te komórki, bierzemy losową jajową, wrzucamy do exutera, ładujemy tych kilkaset milionów plemników do wstrzykiwacza, on generuje wytrysk podobny do naturalnego, najszybszy czempion wnika do jaja i voilà! Mamy człowieka! Znaczący zarodek. On zagnieżdża się w ścianie exutera... Aha, zapomniałam powiedzieć: gdy tworzymy wasze komórki rozrodcze, hodujemy również organiczną wyściółkę exutera, taką jak ta, którą Siti ma w macicy. Zatem zarodek zagnieżdża się i... Zapomniałam też powiedzieć, że hodujemy krew Siti, która będzie podłączona do exutera, tak jak tutaj. – Wskazała medtoolem kilka exuterów naprzeciwko nich. Rzeczywiście dochodziły do nich połyskliwe rury, dookoła których tańczyły animacje i oznaczenia: „tętnica”, „żyła”, „substancje odżywcze”, „metabolity”. – Gdy zarodek się zagnieżdży – podjęła – i zacznie się tworzyć łożysko, odpowiednie naczynia podłączone do exutera dostarczą budulec i tlen. W dniu „zero” zestrąjemy frin matki z exuterem i od tej pory płód słyszy

twój głos, Siti, i czuje twoje ruchy, jakby naprawdę siedział w twoim brzuchu. Ty też będziesz czuła jego ruchy, chociaż twój brzuszek będzie płaski i nierozciągnięty... Co akurat w twoim przypadku jest oczywiste. – Ula zlustrowała pancerny tułów Sary. – Gdy dzidzius w pełni się ukształtuje, urodzimy go w bezstresowy sposób, koniecznie w twojej obecności. Powinnaś być wtedy obnażona, Saro, żeby od razu poczuł twój dotyk.

– Ale ja...

– No właśnie. Na czas dorastania dziecka lepiej mieć formę organiczną. – Lekarka ściągnęła lewy kącik ust i zacisnęła wargi.

– Cholera... – mruknęła Bor.

– Dzięki temu dziecko lepiej się rozwinie. Oczywiście możemy oszukać jego mózg i stworzyć wrażenie dotyku prawdziwej skóry, gdy będzie się przytulał do twojego motomba, możemy też dać ci płat żywej skóry, którym będziesz się okrywać, gdy będziesz go karmić, ale... osobiście odradzam. To mało ludzkie, jeśli w ogóle można mówić o byciu ludzkim w naszych czasach.

Sara westchnęła.

– To ja też się zorganizuję na ten czas – szepnął Sam.

Lekarka lekko skinęła głową.

– Jesteś kochany – powiedziała Sara. – To exutery, prawda? – zwróciła się do Uli, wskazując otaczające ich jajowate twory.

– Oczywiście. Większość z nich ma mieszkańców. Co prawda ludzkość nie rozmnaża się już tak jak kilkadziesiąt cykli wstecz, ale wciąż sporo Sitów decyduje się na rodzicielstwo.

– Wciąż? Co masz na myśli, Siti? – spytała Bor.

– No wiesz, Czasy Szczęśliwości. Dziecko to jednak pewien wysiłek i, jak podkreślił Sam, odpowiedzialność. Gdy możesz robić milion fascynujących rzeczy, i to jeszcze jako Twin albo Threen, potomek już nie wydaje się tak

ekscytujący. Skoro o kopiach mowa, moja Threeni zajmuje się teraz trójką ślicznych bobasów...

Sam spojrzał zdziwiony.

– Tak, Sicie, ja też mam dzieci, i to regularnie od pięćdziesięciu cykli. Uwielbiam to. – Roześmiała się. – Moja Twini prowadzi badania naukowe. Zawsze chciałam być naukowcem, ale nie porzuciłam pasji rozmnażania innych, dlatego teraz zajmuję się wami i niezmiennie mnie to ekscytuje.

Sara patrzyła na Ulę Sun z rosnącą fascynacją.

– Wracając do tematu – podjęła kobieta – ostatnio mocniej promujemy rodzicielstwo w sieci...

– Mam pytanie – odezwał się Sam – bo opisałaś losowy sposób rozmnażania, zupełnie naturalny.

– Tak.

– Czy nie można by zażyczyć sobie na przykład dziewczynki o w miarę ściśle określonej urodzie i uzdolnieniach? Powiedzmy, blondyneczki utalentowanej... muzycznie i tanecznie?

– Oczywiście. Możemy wam przedstawić kilkaset propozycji. Tylko kilkaset, bo z doświadczenia wiem, że więcej klienci i tak nie są w stanie rozpatrzyć. Już dwie to duży dylemat. – Zachichotała. – Znam takich, którzy, gdy im przedstawiliśmy dziesięć propozycji, zdecydowali się na wszystkie. I ja ich rozumiem.

– Chcesz dziewczynkę? – spytała Sara i popatrzyła Samowi w oczy.

– Wyłącznie.

– A ja myślałam o synku...

– To może dwójka?

Sara spojrzała na gospodynię.

– Siti, prześlij nam pak. Musimy jeszcze to wszystko przemyśleć.

Lekarka kiwnęła głową i uśmiechnęła się z ledwie słyszalnym

chrząknięciem. Sara miała wrażenie, że czyta jej myśli: „Czyli, Siti Bor, będzie co najmniej dwójka, nieprawdaż? Co najmniej!”.

– Dobra decyzja, Siti. Przesyłam.

I nagle w ich głowach pojawił się dokładny przekaz na temat procesu dorastania płodu, wychowania dziecka i pomocy Imperium, okraszony mnóstwem informacji dotyczących prawidłowego wychowania i opieki nad potomkiem. Trwał dobrych dwadzieścia cetni.

Samowi zakręciło się w głowie, ale poczuł także euforię.

– Łał – sapnęła Sara. – To coś jak Petra?

– No nie – roześmiała się Ula – bo bez zdolności manualnych, ale pak rzeczywiście potężny, prawda?

– I, jak mi się zdaje, z dodatkiem emocjonalnym, żeby to wszystko wytrzymać – dodał Sam.

– Nie, Sicie. Te emocje są po to, żeby obywatele zobaczyli, jak piękną rzeczą jest spłodzenie dziecka.

Sam spojrzął na centrum nowymi oczami. Barwy, dźwięki, zapachy stały się intensywniejsze, perspektywa posiadania dziecka ekscytująca, wizja bycia ojcem – wzruszająca.

– To działa. – Uśmiechnął się i popatrzył na przyszłą matkę ich dzieci. – To działa.



## Obraz 3

# Czarne dziury

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Wiz  
Polia Tris, dystrykt Hook  
08 Decimi 232 EI, 16.75 H

Gdy Sam Yon i Sara Bor wrócili do rezydencji Starów, zobaczyli gości wiszących nad głównym tarasem siedziby przy długim na pięćdziesiąt metrów realnym blacie, który uginał się pod ciężarem jadła. Sam i Sara zasiedli na realnych fotelach obok Dionizego.

– Drodzy moi. – Dionizy wstał ze swojego fotela i wznosił puchar, w którym skrzyło się czerwone wino. – Pozwólcie, że wyrażę swoje zadowolenie, że już od trzydziestu cykli regularnie spotykamy się w Reorze Czarodziejów...

Tu rozległy się brawa, a wielu siedzących przy stołach wzniosło ręce w teatralnych gestach i strzeliło barwnymi animacjami.

– ...A ImBu wciąż nas zaskakuje darami, które bez Jego nieocenionej

pomocy byłyby niemożliwe.

– Tak jest! – zakrzyknęło kilkanaście osób.

– Pozwólcie też, że podkreślę, jak niezwykły mamy dzisiaj dzień! Raz na sześćdziesiąt cykli północ strefy czasowej Tris pokrywa się z północą genejskiej strefy czasowej Gai i dzisiaj jest właśnie taki dzień, więc nasz świt i zmierzch są tożsame z tymi porami dnia w stolicy. Jest to krzepiące, rzekłbym...

– Hura! – krzyknęli biesiadnicy.

– Witam też nowych członków Reoru, Sama Yona i Sarę Bor!

– Niech żyją! – zawołał posiadacz długiej czarnej brody i, najwyraźniej zniecierpliwiony przedłużającym się toastem, łyknął z kielicha.

– Postanowili na jakiś czas osiedlić się w Tris i zobaczyć, czy mimo że są dimenami, także zostaną obdarzeni czarodziejskimi mocami...

– To z pewnością eksperyment Buddy – odezwał się Sam. – Chcemy go lepiej zbadać z Sarą...

– Oczywiście, że tak! – rzekł białowłosy jegomość siedzący po jego lewej stronie. – I jaki piękny!

– Niezbadane są ścieżki ImBu! – potwierdziła siedząca naprzeciwko ubrana w żółtą suknię blondynka.

– SamSara – wszedł im w słowo Dionizy – sprowadzili tutaj oczywiście swój airvill, ale że przez wiele cykli byli peregrynami, nie zakotwiczą go obok naszej siedziby, tylko będą kursować w okolicach Tris, naszej kochanej stolicy. Tak dla podtrzymania starych przyzwyczajzeń.

– Dziwacy – odezwał się czarnobrody.

Blondynka zachichotała.

– Dziadku – Zoe pociągnęła starca za rękaw – mogę już zapytać ciocię Sarę, dlaczego są di...

W tym momencie przed oczami zgromadzonych pojawiła się ikona

mobilizacji. Znali ją z kursów odbywanych w Petrach, ale nigdy nie widzieli w realium.

– Co to jest?

– Na Buddę!

Friny natychmiast uruchomiły programy obronne. Płaszczki, szaty, zwiewne suknie, koronki, wszystko to zaczęło morfować i zamieniać się w regularne pancerze. Ci biesiadnicy, którzy posiadali nazbyt skromne odzienie, a w związku z tym nie mogli otulić całych ciał zbroją, przez kilka cetni byli otoczeni przez rój wyłonionych z hipoków dodatkowych elementów garderoby, które błyskawicznie przywierały do ubrania i razem z nim przeobrażały się w okrywy. W końcu wszyscy ubrani byli w pancerze, przez chwilę niezwykle barwne, a potem wyświetlające barwy ochronne. W każdej chwili mogły się stać niewidzialne, ale ImBu nie ogłosił jeszcze żadnego ze stanów wojny. Siedziba Starów zaczęła wytwarzać na szczytach wież i w newralgicznych punktach ścian gniazda ogniowe. Zaroiło się od hiperbosów, które, niczym posłuszne zwierzęta, zmierzały do swoich właścicieli z ciałami kopii, mobilizacja bowiem oznaczała nie tylko przybranie odpowiedniego ochronnego stroju, ale także posiadanie w bezpiecznym miejscu wszystkich swoich ciał i dibeków.

Wtedy otrzymali oficjalny men od Imperatora.

– *Kochani Sitizeni. Stan mobilizacji, który ogłosiłem wraz z Buddą, jest wynikiem niepokojących zdarzeń. Kilkadziesiąt pancerników klasy Invincible znajdujących się w pobliżu Łzy Cheronei oraz w systemach Queena, Plaato i Cosmo straciło możliwość dokonywania skoków hiperprzestrzennych. Na obrzeżu Galaktyki zidentyfikowaliśmy nieznaną, liczną flotę. Wszystko wskazuje na to, że właśnie poznaliśmy nową inteligentną rasę...*

Goście Starów i sami gospodarze krzyknęli zdziwieni.

– *Niestety, doszło do konfliktu między gośćmi a Whalami, których wszyscy*

*znamy, choć nie rozumiemy. W świetle tych faktów zachęcamy do zachowania spokoju, czujności i otwartości na to, co jeszcze może się stać. Być może wkrótce wszystko się wyjaśni i będziemy mogli wrócić do przerwanych czynności, ale na razie skoncentrujmy się i przygotujmy na niekorzystny przebieg wydarzeń.*

Po przemówieniu wszyscy poczuli, jak friny łądują im do głów plexy skupienia. Z organizmów wyparowały alkohol i rozweselacze.

– Ha, trudno, dzieci – odezwał się Dionizy ubrany w potężny pancerz obronny. – Skończmy jeść i udajmy się do airvilla. Oczywiście wszystkich zapraszam. Siedziba Starów pomieści nas bez problemu.

– Ale najpierw skończymy jeść? – upewnił się czarnowłosy brodac.

– Oczywiście. – Gospodarz uśmiechnął się jowialnie.

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Orbita planety Assam  
Flota Terraformacyjna *Steak*  
Nadzorca: Eryk Van Moon  
08 Decimi 232 EI, 16.77 H

– Eryk, wiesz, co to może oznaczać? – Vanessa Van Drake skontaktowała się z Van Moonem kilkanaście cetni po tym, jak ten wysłuchał menu od Imperatora.

– Pojęcia nie mam.

– Powinniśmy wracać z flotami do portów?

– Których? W Macierzy? Na Rubieżach? W centrum? Na obwodzie? Trzeba wstrzymać prace i magazynować energię. Tak mówi protokół Petry.

- To co robimy?
- Wstrzymujemy i magazynujemy.
- Złakrew, prawie już kończyłam ten glob.
- Nawet o tym nie myśl. Mojego czasu i tak nie pobijesz...
- Eryk, czy ty nigdy nie wydoroslejesz?
- Czekamy.

Kobieta odetchnęła, starając się uspokoić.

- Spotkamy się?
- Kochanie, wiesz, że to niemożliwe. W czasie mobilizacji musimy być czujni i nie siedzieć w arealu. Teraz wszyscy gracze wychodzą z sieci.
- Frag.
- Nie fraguj, tylko sprowadź do sterówki sarkofagi. Możesz ich potrzebować.
- Przestań.

Eryk przesłał jej całusa i rozłączył się. Protokoły były jasne. Nakazywały cywilom ograniczyć kontakt hiperprzestrzenny.

- Seeder? – zwrócił się do Statku Matki. Tak nazwał jego mózg.
- Tak, kreatorze?
- Wejdz na optymalną orbitę.
- Oczywiście.

Van Moon zagryzł wargi. Rywalizacja rywalizacją, a bezpieczeństwo bezpieczeństwem.

- Jaki jest poziom uszkodzenia paneli słonecznych?
- Czterdzieści procent.
- Spróbuj je naprawić.
- Tak jest. Cieszę się, że nie musimy już grzać tej krypy.
- A ja przeciwnie, przyjacielu, ja przeciwnie...

Arealium  
Gra Redland  
Wyżyna Greenlandu  
Ćwiartka Północna  
Czas realium:  
08 Decimi 232, 16.79 H

Sprite, Tarik, Edson i Ytr spotkali się pod wielkim nawisem bastionu Greenhorn, podczas gdy Armia Wygnańców dosiadająca skałazów wdzierała się na mury centralnej twierdzy. Lwie działa przygrzewały z góry ognistymi smugami, ale tarcze magów bojowych okazały się skuteczne. Straty były mniejsze, niż Sprite przewidywał. Już widział arealne miedziaki zarobione na łupach. Chociaż w WayEmpire nikt od dawna nie używał pieniędzy, w grach były dość popularne. I bardzo ekscytujące! Jak można było zrezygnować z tak podniecającego aspektu życia?

A tu nagle ten komunikat od Imperatora!

– Co robimy? – spytał Tarik. Krwawił z ramienia, ale poza tym był nietknięty. Jego czarna, zapleciona w warkocz broda nie była już tak lśniąca jak przed bitwą. Pokrywał ją kurz i w kilku miejscach posoka wroga.

– Powinniśmy wyjść z gry – stwierdził Edson, potrząsając rozwianą rudą grzywą. – Tak mówi petrowe szkolenie.

– Chcecie mi powiedzieć, że teraz odpuścimy? – Sprite spojrział na nich spod ściągniętych gęstych brwi.

– Patrz. – Ytr wskazał palcem wysokie mury. – Tam się bronią już tylko boty. Nie ma graczy. Wszyscy wyszli. – Kosmatą ręką pogładził wytatuowaną łysą głowę. Miał na niej dwie płytkie rany cięte. Strużka krwi, już zakrzepła, łączyła je i ciągnęła się za ucho.

– I o to chodzi! Zdobędziemy Greenhorn! – Sprite uderzył pięścią w ornament siodła.

– Ale to niezgodne z zaleceniami ImBu – odezwał się Tarik. – E, przepraszam, starzy do mnie sensują...

Na chwilę wyłączył fonię. Kompani widzieli, jak rozmawia, ale go nie słyszeli.

– Do mnie też – sapnął Edson.

– I do mnie – rzucił Ytr.

Sprite westchnął z żalem i przyjął połączenie ze swoim ojcem.

– Tak, tato?

Zobaczył jego zatroskaną głowę na tle towarzyszy broni.

– Sean, gdzie jesteś? Rany, ależ ty wyglądasz w tych grach. Przestraszyłem się. Czy ty krwawisz?

– Tato, nic nie czuję. W tej grze nie ma bólu.

– To dobrze. Gdzie jesteś? Nie widzę cię w domu.

– W sekretnej komnacie.

– Jakiej sekretnej komnacie?!

– No pamiętasz, kiedyś miałeś piwniczkę z winami...

– Tak.

– Potem ją zwinąłeś, bo zająłeś się hodowlą róż...

– No?

– Więc wykorzystałem pamięć domu i majordomusa. Odtworzyłem tę piwniczkę i zrobiłem z niej swoją tajną komnatę, która, frag, nie jest już tajna.

– A! – Ojciec Sprite'a się roześmiał. – To już wiem, dlaczego tak często schodziłeś na dół!

– Ta...

– Słuchaj, martwimy się z matką tą mobilizacją. Ściągnij do siebie, do tej

byłej sekretnej komnaty, swoje hiperbosy z głównej pieczary.

– Się robi.

– I wyjdź z gry.

– Oka.

– Nie oka, tylko już.

– No mówię.

– Sprawa jest poważna, synu. Wyjdź, bo cię sprawdzę.

– Słuchaj, mogą tu wjechać hiperbosy Yona, Edmunda i Tarika?

– Grasz z nimi?

– Tak. Są tu ze mną, w komnacie.

– Jeśli ich opiekunowie się zgodzą. Chociaż uważam, że to nie najlepszy pomysł.

– Tato, daj spokój, jesteśmy na Wiz. Tutaj ImBu szaleje. To pewnie jego nowy numer. Przecież robił już takie rzeczy.

– Mobilizacja jest ogólna, synu, nie lokalna.

– Ale jak ich rodzice się zgodzą, mogą tu ściągnąć sarkofagi? Przecież wiesz, że tu jest bezpieczniej niż gdzie indziej. Nawet ty nie wiedziałeś o komnacie.

– Masz rację. Mogą.

– Jesteś wielki.

– Anytime.

Sprite rozłączył się i włączył fonię gry. Znowu usłyszał huk dział, ryk skałazów i okrzyki bojowe swojej armii. Przesłał przyjaciółom pak z rozmowy z ojcem. Wszyscy jeszcze rozmawiali z rodzicami, ale ich twarze się rozjaśniły. Sprite miał fajnego starego.

– Uff. – Pierwszy skończył Tarik. – Moi się zgodzili. – Szarpnął czarną brodę. – Bosy już tu lecą.

Ytr pokręcił łysą głową.



- Muszę spadać.
- Bez sensu – skomentował Sprite.
- Sorry, chłopaki, nie dam rady.
- Ja zostaję – oświadczył Edson. – Moje skrzynie też już tu lecą.
- Ytr, musisz? – spytał Sprite.

Ogorzały mężczyzna skrywający duszę młodzieńca pochylił głowę, pokazując w całej okazałości tatuaż trupiej czaszki okolonej koroną mieczy.

- Trzymajcie się.

Podniósł rękę w geście wylogowania i zniknął. Jego skałaz ryknął, poczuwszy, że w siodle zabrakło jeźdźca, zaszurał ciężkimi łapskami i dołączył do bitwy. W kilka cetni na jego siodle zmaterializował się bot.

– Słuchaj, Sprite – odezwał się Edson, poprawiając uprząż – ale musimy wyjść z gry.

- Właśnie – zawtórował mu Tarik.

– Zaraz. Mamy Wolną Wolę? – spytał Sprite, potrząsając głową w hełmie z długą, jasną kitą.

– No mamy, ale... – Edson owinał wokół palca niesforny kosmyk płomiennych włosów i zatknął je między skroń a ramię mocujący hełm.

- To przypomnijcie sobie, gdzie jesteśmy. Tak realnie.
- W piwnicy siedziby twoich starych... – rzekł Tarik.
- Cztery metry pod ziemią – uzupełnił Edson.

– Wisimy w dziennych zbrojach w mojej bajeranckiej sekretnej komnacie. Jesteśmy tu bezpieczni. Znaczą nasze ciała. Nawet mój stary nie wiedział, że ten pokój istnieje, a że siedziba jest grindowa że hej, czyli posadowiona na gruncie, nie wyobrażam sobie lepszego schronu. Słuchajcie, nie odpuścimy teraz. Jeszcze dwie hekty i wygramy tę bitwę, a system ją uzna, bo nie ma żadnych ostrzeżeń. Widzicie jakieś?

- No nie – odparł Edson.

- Będzie w newsach, że złupiliśmy twierdzę bez obrońców – odezwał się Tarik, przyglądając się ostrzu swojego topora.
- Spadnie nam reputacja – dodał rudowłosa.
- Jeszcze bardziej? Niemożliwe – roześmiał się Sprite. – Sława. Sława nam wzrośnie. A ten stan mobilizacji to pewnie kolejny wybieg ImBu. Mieszkamy na Wiz i wiemy, że tutaj ciągle robi jakieś eksperymenty, nie?
- Niby tak... – Tarik uderzył ostrogami skałaza. Gad ryknął i przestąpił z nogi na nogę.
- No to co? Gramy? – spytał Sprite.
- Nie podoba mi się to... – mruknął Edson.

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Worplan Dharma, orbita  
08 Decimi 232 EI, 16.97 H

WayEmpire zażądało od Aristoi Imperialis pełnej gotowości oraz rozstrojenia. Moje hiperbosity były na pokładzie *Teacupa*, zapasowe pancerze także, więc nie minęło dwadzieścia mon od ogłoszenia Buddy, kiedy w głównym salonie airvilla wisiałem ja, po mojej lewej i prawej zaś dwóch pozostałych Torkili, także ubranych w Coremoury Wzór X. Dalej prężyło się trzech Nexusów, dwóch Laurusów (trzeci był w Maodionie na Gai) i trzy Angele. Tanya Kitaro tylko się rozdwoiła. Jako Charonka nie roztrajała się, bo mogłoby to być niebezpieczne dla jej zdrowia. Dlatego wisiała ze swoją kopią tuż obok mojego Sina i nie wyglądała na szczęśliwą.

Jeden z Torkili – Dex – miał z Prawą Tanyą zostać na orbicie Dharmy, by w momencie, gdy moc Imperatoroki osłabnie, przesłuchać ją i dowiedzieć się,

o co jej chodzi. Dlaczego Dex i Dexi, a nie Sin i Sini? Pewnie dlatego, że Dharma ma „D” na początku.

W trakcie naszego powielania na orbicie pojawił się transportowiec z dwiema dekuriami Lapidoi na pokładzie oraz Barracuda z dekurią Besebu. Aymore miał nimi dowodzić.

Ja, czyli drugi Torkil (Med), wraz z trzecim (Sinem) i Tanyą Sini mieliśmy się udać w pobliże katastrofy obcej rasy, by zbadać rzecz z bliska.

Karawany moja i Nexusa, które wciąż bawiły nad Rihanną, miały polecieć nad Spartę, a razem z nimi Harry, Peter, Pauline, Anna, Steffi, Konon, uwięziony Han oraz całe Freyrowe towarzystwo.

Podział zadań Angeli i Kroza był taki sam jak u mnie – Prawi zostawali nad Dharma, Środkowi i Lewi lecieli poza obręb Drogi Mlecznej.

Nexus i Laurus dostali nieco inne rozkazy: ich Dexy miały zostać nad Dharma, Medy lecieć obserwować Whale, Siny zaś oglądać katastrofę obcej rasy, co znaczyło, że polecą ze mną i z Sinem.

Ktoś mógłby pomyśleć, że rozdzielanie Ranów jest złym pomysłem, bo dopiero we trójkę stanowią prawdziwe maszyny zagłady. To prawda. Ale my nie jesteśmy tylko wojownikami. Naszą główną bronią jest myślenie, a ono sprawdza się najlepiej, gdy mamy dane z różnych miejsc i widzimy problem z kilku perspektyw. I właśnie to fundował nam ImBu.

Spojrzałem na dwóch Laurusów. Oczy im błyszczały. Nie mogli pohamować uśmiechów. Patrzyli na siebie porozumiewawczo. Upiorne dwojaczki. Oczywiście – wojenka wisiała w powietrzu, ginęła nieznana rasa, była zagadka do rozwikłania. Nareszcie coś się działo.

Obecna metowo Pauline, dziwnie pojedyncza, nagle jakaś mała i przestraszona, podleciała do środkowej Angeli i wyciągnęła rękę ku jej twarzy. Obserwowała je Anna.

– Sky – odezwała się Eim zachrypniętym głosem. – Mówię do Medi,

prawda?

– Tak – odparła niskim głosem Środkowa.

Pauline spojrzała w lewo. Tamta Angela skinęła głową. Potem Pauline zerknęła na prawo i znowu spotkała się z porozumiewawczym zaciśnięciem warg.

– Wiecie, co chcę wam powiedzieć?

Wszystkie Ranki uśmiechnęły się.

– Że mamy pilnować tego skurczybyka – odezwała się Medi, a pozostałe dwie wyszczerzyły zęby z nieco dłuższymi kłami.

– Przez wiele cykli nie tolerowałam twojej obecności – wyszeptała Pauline – ale teraz nie wyobrażam sobie, jak mogłabym gdziekolwiek wysłać Torkila bez twojej opieki.

Pauline wciąż uważała mnie za swoją własność. A rozkazy ImBu traktowała jak swoje. Bo przecież to ImBu kazał Angie lecieć ze mną, nie Eim.

– Tak, przyjaciółko – powiedziała Sky głębokim altem. – Włos mu z głowy nie spadnie.

– Trzymam cię za słowo.

– I ja o to proszę – dołączyła Anna. – Ale chciałabym, żebyś ty, Angie, także wróciła cała i zdrowa.

– Pani generał – rzekł do Leyi metowy Harry – Mars, Tell... pilnujcie się nawzajem.

– Powiedzcie też coś do Nexusa i Laurusa – warknął Dragon – bo te sieroty tak tam stoją i im smutno, że nikt im dobrze nie życzy!

Laurus mrugnął. Rozpoznałem, że przed chwilą był w przyspieszeniu. Zerknąłem na Nexusa. On także dopiero wyhamowywał.

– Mylisz się, Tell – oświadczył RanaR. – Przed chwilą wymieniłem kilkadziesiąt menów z rodziną i bliskimi. I jestem bardzo wzruszony.

– Ja też – chrypnął Mario. – Musiałem im doradzić, gdzie powinni się skryć. Wielu zdecydowało się na Spartę.

Podróż do miejsca poza granicami Ramienia Krzyża odbywaliśmy z Sinem, dwiema Angelami, dwoma Krozami i Sinami Laurusa oraz Nexusa tudzież orszakiem (w moim przypadku należał tam, gdzie były dwie kopie, nie jedna, orszak Nexusa zaś został nad Dharmą. Mario twierdził, że może się przydać w rozmowie z Imperatorką, i pewnie miał rację).

W trakcie podróży w Skymourach otrzymaliśmy bardzo dziwne hotki i doniesienia.

Czarny Maodion już tam był.

I wcale nie pomagał nieszczęsnej flocie rozdzieranej przez kolapsary.

Przeciwnie.

Upiorne Neri Opętanych pomagały w hekatombie, rozrywając swoimi niezrozumiałymi salwami statek za statkiem.

Pustka międzygalaktyczna  
Poblże Ramienia Krzyża Drogi Mlecznej  
Sektor 5857/43278/4235  
08 Decimi 232 EI, 17.29 H

Widzieliście kiedyś dwadzieścia tysięcy Najlepszych Imperatora w Skymourach w reprezentacji trzeciej? Kiedyś mieliśmy do dyspozycji kilkanaście wersji tych machin: Archanioła, Indrę, Aresa, Odyna, Szarego Rycerza, Kapłana, Achillesa. Teraz sztywne korpusy nie istnieją, mimo to jednak Tomo najczęściej wybierają formy humanoidalne, z reguły powiązane

stylistycznie z postaciami mitologicznymi. Kolosy mają zazwyczaj około stu metrów wysokości. Ja – od wieków wierny jednemu image’owi – mimo zadeklarowanego ateizmu przypominałem archanioła z rozpostartymi skrzydłami falującymi powoli i majestatycznie. Dookoła mnie polatywały anielice, moje czwórdzielne stopy podtrzymywały kariatydy, spowijały mnie promienie świętości, a po pancerzu przebiegały błyskawice. Oczywiście towarzyszyły mi SaintDroid i dwa ArtDroidy, a głowa pancerza z imitacją twarzy (tyle że z metalu) nadal była okolona świętą aureolą; o tym ImBu nigdy nie zapomniał. Towarzyszyli mi Lea i Mars. Hegary Lapidoi mają możliwość przywoływania wielozadaniowych pojazdów zwanych Gizarmami. To statki o kształcie kojarzącym się właśnie z ostrzem gizarmy: są wysokie, złote, bogato zdobione i mają krótkie, wygięte do góry skrzydła. Przy Gizarmie Leyi trwał wiernie Trajan Teogenes w smoczym pojeździe, a wokół mojego Skymoura, niczym satelita, krążył podobny Szpon Tella. Smoki także mogą przywoływać z podprzestrzeni swoje statki. W sumie nie dziwię się aniołom, że się zaczęły buntować. Strasznie dużo wszystkiego znajduje się w podprzestrzeni. Znowu pojawiły się Serafy. Najbliżej mojej głowy polatywały dwa – jeden normalny, pierzastoskrzydły, drugi z kopytami i rogami – a ogólnie były ich dziesiątki, bo taka armia Aristoi potężnie soczewkuje „inną fizykę”.

Na lewo ode mnie wisiała Angela. Ona również lubiła wzór anielski, więc powiewała długimi, zgrabnymi skrzydłami, a jej Skymour był smuklejszy i bardziej zmysłowy od mojego. Dalej połyskiwał kanciasty, podobny do zgniecionego samolotu pancerz Nexusa, a za nim Primarcha Laurusa. RanaR był zmienny. Kiedyś Odyn, potem Szary Rycerz, wreszcie to, co teraz. Wziął tę nazwę z jakiejś długasnej sagi, którą niedawno czytał. W sumie wyglądał podobnie do Odyna, tylko miał długie, metalicznie rude włosy zaplecione w warkocze, kły wystające z metalowej gęby i pancerz będący połączeniem

wyobrażeń o starodawnych płytowych okrywach marines i średniowiecznej zbroi.

No dobrze. A teraz wyobraźcie sobie dwadzieścia tysięcy takich dziwaków ustawionych w formacji „ściana”: anioły najrozmaitszych barw i kształtów, Thory, Freye, Anubisy, Śiwy, Brahmy, Hanumany, Samuraje, Demony i tak dalej, otoczone wstęgami, orłami, zamieciami, deszczami, chmurami – wszelkie barwy tęczy, wszelkie rodzaje powierzchni, połysków i faktur. To wszystko tam było. Widok Najlepszych Imperatora to wizytówka Wielkiego Imperium: każdy Citizen jest indywidualnością, wolną jednostką, a granice wolności wyznacza wyobraźnia. Każdy obywatel jest istotą sprawczą, silną i zdeterminowaną bronić wolności swojej i innych. Te idee wyobrażała ściana dwudziestu tysięcy Tomo. I, nie powiem, było na co popatrzeć.

Dookoła nas lewitowało sto pancerników klasy *Invincible* otoczonych złowieszczymi upiorami i wypełnionych dronami Imperialnej Armii. Wśród nich czaiło się kilkanaście pancerników Lapidoi, na skrzydłach zaś wisiało tysiąc lotniskowców i dziesięć potężnych transportowców ze Sparty. Wszystkie te okręty były tak olbrzymie, że cała nasza skymourowa zgraja wyglądała przy nich jak garstka piachu podrzucona dziecięcą ręką pośród pełnowymiarowych airvilli. Jednak kto się choć trochę znał na wojnie, wiedział, że mimo różnicy wielkości to my jesteśmy najgroźniejszym żądłem sił WayEmpire.

Dalej w stronę Galaktyki czuwało kilkadziesiąt statków wsparcia, a za nimi, w sporej odległości, można było zobaczyć kilkadziesiąt karawan mieniących się niczym bajkowe węże. ImBu tego nie zabronił, chociaż rekomendował podróż albo w kierunku Rubieży, albo na skraj Macierzy. Nie posłuchali go. Gratka była zbyt wielka. Z pewnością robili hotki i kręcili filmy.

I to wszystko na tle Drogi Mlecznej.

Ona także prezentowała się zjawiskowo. Nigdy wcześniej nie byłem na zewnątrz. Nie było okazji. Teraz widziałem cały ten cholerny nieruchomy dysk i nie wierzyłem własnym oczom. Trwał za naszymi plecami jak wielkie sombrero, a ja sobie powtarzałem: Widzę Drogę Mleczną, widzę Drogę Mleczną. Niech mnie ktoś uszczypnie, niech mnie ktoś uszczypnie! Jednak przebywająca w sterówce Skymoura Tanya się nie kwapiła, zbyt pochłonięta mrocznymi myślami, poza tym byłem zdewitalizowany i zamknięty w kokonie, więc nawet gdyby chciała, nie bardzo by to wyszło. Zerkalem więc wstecznymi kamerami archaniola na to niezemskie zjawisko, kręciłem głową z niedowierzaniem i wciąż usiłowałem wmówić sobie, że naprawdę to widzę.

Gdzieś tam była Pauline. Trochę na prawo. *Teacup* razem z obiema karawanami (moją i Nexusa), *Walkerem* Tanyi, *Ulissesem* i *Bashingiem* przeniósł się nad Spartę, a obsada pozostała na orbicie Dharmy przesiadła się do Barracudy Bractwa Besebu. Ciekawe, jak długo będą tam siedzieć i czy Torkil gamedec poradził sobie z talizmanami tej wiedźmy.

Moje rozważania przerwała Kitaro.

– Torkil?

– Który? – spytałem.

Sin się roześmiał.

Na chwilę wyszedłem z systemów Skymoura, pozostawiając Lewemu kontrolę nad pancernem i tym, czym domyślnie zajmował się tylko on, czyli układami bojowymi. Pojawiłem się metowo w kabinie.

Odetchnęła, widząc moją sylwetkę. Zdaje się, że czuła się nieswojo w pomieszczeniu z dwoma sarkofagami.

– Może ściągnę tu swój pojazd? – spytała.

– *Charońską Przyłbicę*? Lepiej nie. W Skymourze jesteś bezpieczna.

Zacisnęła usta. Jej wielkie, chabrowe oczy odbijały trójwymiarowe ekrany



ukazujące Droge Mleczną i poszczególne Skymoury.

– Jeśli tak mówisz... Ale – wskazała smukłym palcem Szpon przelatujący przed piersią Skymoura – oni mają swoje statki.

Położyłem cyfrową rękę na jej ramieniu, zawierając w tym ruchu odpowiedź. Kitaro skłoniła głowę w geście rezygnacji. Była dziwnie drobna. Odetchnęła głębiej. Piersi widoczne w dekolcie nietypowego pancerza typu Czempion wypełniły się, a brzuch w wycięciu poniżej zapadł. Przełknąłem cyfrową ślinę. Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się.

– Coś jeszcze? – spytałem.

– Nie, nie. Nie chcę przeszkadzać.

Cofnąłem rękę, uśmiechnąłem się i pozdrowiłem ją starym polskim salutem: podniosłem prawą rękę i przytknąłem palce wskazujący i środkowy do skroni, po czym lekko przesunąłem je do góry. Podobno dawno temu, gdy spotykali się rycerze zakuci w zbroje, podnosili tak przyłbice, żeby spojrzeć sobie w oczy. Nie wiem, co mnie natchnęło. Nazwa charońskich pojazdów? Nastrój chwili? Charonka uśmiechnęła się blado, a moja metowa reprezentacja zniknęła. Znowu wniknąłem w pancerz.

Spojrzałem w dal, na obszar, dookoła którego wirował wielki animowany kursor. Wykonałem zoom.

Wszyscy patrzyliśmy na zagadkę. Nasze friny, wsparte ImBu i milionami wysłanych w czarną przestrzeń kamer, analizowały poszczególne statki obcych, których flota dla nieuzbrojonego oka wyglądała jak mieniąca się czarna gwiazda na tle aksamitnej nicości. Dzięki kamerom i teleskopom widzieliśmy poszczególne jednostki tak wyraźnie, jakbyśmy wisieli kilkaset metrów od nich.

Byłem zaskoczony. O ile Whale wyglądają niezmiernie, a ich ogromu nie da się objąć rozumem ani okiem, przez co rasa ta wydaje się absolutnie niezrozumiała, o ile CIII jawi się jako enigmatyczna, mnożąca się gromada

oszałych mechanicznych bakterii, które co chwila trzeba traktować antybiotykiem, dzięki czemu cywilizacja Enkidu także jest stuprocentowo egzotyczna – o tyle statki, które teraz obserwowaliśmy, wyglądały bardzo... ludzko. Miały sensowne wymiary, te większe przypominały korony, jakie zakładali dawni królowie (Tell stwierdził, że bardziej przypominają mu wieńce cierniowe), spłaszczone piramidy bądź krzyże wpisane w koło, co wywoływało niepokojący dreszcz. Słowem, były do czegoś sensownego podobne, a ich wielkość sugerowała, że kierują nimi istoty być może zbliżone do nas wymiarami... Były też jednostki składające się z wielu długich, połyskujących rur przypominających nieco kanciaste lufy. Te stanowczo mi się nie podobały. Tak czy owak, słowo daję, takie pojazdy mógłby zaprojektować nasz artysta. No właśnie. Gdyby nie to, że tak drażniaco czarne i przez to trudne do obserwacji, byłyby dość... estetyczne. Były w nich swoista elegancja i smak, chociaż jak na ludzkie proporcje wydawały się zbyt kanciaste, zbyt oczywiste w formie. I to jeszcze bardziej mnie niepokoiło. Rozumiecie – spotkałem w swoim życiu już trzy obce rasy. Po pierwsze Aquamorfy. Okej, później okazało się, że to mistyfikacja, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Były to istoty morskie, rybopodobne, konstruujące dziwaczne obłe budowle. Potem zobaczyłem Eiffle, a następnie CIII. Tylko w przypadku pierwszych czułem wielkie podniecenie. CIII było niezrozumiałe, Whale z kolei, wielkie jak galaktyka, a przez to niegroźne, nie wzbudzały burzliwych emocji. Tutaj natomiast mieliśmy do czynienia z czymś... niebezpiecznym. Zbyt podobnym do nas. Ludzie są ekspansywni i agresywni. Nie chciałbym ich spotkać na swojej drodze.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy to nie Thirowie. Podobnie myśleli Laurus, Nexus i Angela, czego nie ukrywali w swoich menach. Ale niewiele na to wskazywało. Thirowie, owszem, lubili czerń, ale mieli tę swoją literę „V” oplecioną wawrzynami, poza tym kształty statków, które mieliśmy przed

oczami, wyraźnie wynikały z innych wpływów kulturowych. Wszystko było zbyt ostre, zbyt prostokątne, jakby istoty, które je skonstruowały, lubiły się obijać o krawędzie, jakby ich agresja była zbyt duża, by stworzyć obłe formy.

To nie byli ludzie.

Czy na tych statkach są symbole?

Zmieniłem kamerę TIO.

Było coś na podstawie jednej z „koron” czy „wieńców cierniowych”. Niezbyt wyraźne ze względu na kolor poszycia, ale miałem wrażenie, że jest to trójkąt o szerokiej podstawie, a na jego szczycie widnieje bordowy romboid. Przypominało to... wulkan.

Do obserwowanej przeze mnie jednostki zbliżył się Nerrus Opętanych, wydłużona, wyciosana z marmuru trupa czaszka. Wytrysnęły z niego demony i anielice i zaczęły drzeć poszycie jednostki. Po statku przeskakiwały pioruny i wreszcie rozpadł się w zwolnionym tempie, wyrzując z pęknięć masę połyskliwych wnętrzości otulonych szybko ulatniającym się gazem. Dlaczego się nie bronił?

– *RanaR* – odezwałem się do Laurusa. – *Jak myślisz, jest jakaś szansa odwołać tych wariatów?*

Wilehad przesłał mi totowe wzruszenie ramion.

– *To ty z nimi gadasz. Czasami podobno też Imperator, chociaż nie chce mi się w to wierzyć.*

– *Czy oni mogą sprowokować wojnę ras?*

– *Zdaje się, że już to robią.*

– *Czy tylko ja mam w tym towarzystwie oczy?* – usłyszeliśmy Tella. – *Nie wiem, czy zauważyliście, że gdy statki tych popaprańców są atakowane przez Widzących – Suverzy z niezrozumiałych względów mieli wrodzony szacunek do Czarnego Maodionu – ostrzeliwują się. Ja wiem, że nie widać ich strzałów, ale te anielice i demony odskakują od poszyc Erri nie z radości, ale*

wskutek eksplozji.

Wykonałem zoom na jedno z Widm. Rzeczywiście, duchy stanowiące pancierz statku co chwila odlatywały na zewnątrz, jakby odrzucone potężnym wybuchem. Zaraz jednak rozkładały skrzydła, wracały i latały wyrwę.

– *To nie statki pasażerskie, eksploracyjne, naukowe, transportowe czy techniczne – ciągnął Tell. – Te bydlęta strzelają mocno i celnie. Widzimy, moi drodzy, flotę bojową.*

– *Zgadzam się z Tellem – odezwał się Nexus. – W dodatku, jeśli wierzyć liczbom, które przedstawia ImBu, wielkość tej armady dorównuje całemu potencjałowi militarnemu WayEmpire.*

– *Nie licząc Sitizenów – dorzuciłem.*

– *Nie licząc Sitizenów.*

Wszyscy mieliśmy świadomość, że każdy airvill, każdy pojazd rozleniwionych i szczęśliwych mieszkańców Imperium Drogi może w dowolnej chwili zamienić się w jednostkę bojową, a mili i pogrążeni w błogości ludzie w mgnieniu oka mogą przeistoczyć się w doskonale wyszkolonych pilotów. Potencjał bojowy Wielkiego Imperium był niewyobrażalnie wielki. De facto dysponowaliśmy siłami stukrotnie większymi od obserwowanej floty. Obcy mogliby nam buty czyścić, gdyby nie to, że współczesne obuwie czyści się samo.

– *Wracając do tematu – podjął Tell – Drogę Mleczną zbadaliśmy już jako tako, ja wiem, że bardziej jako niż tako, ale na razie nie natknęliśmy się na żadną cywilizację oprócz CIII i Whali. Odkryliśmy dwie planety z fauną i florą, sporo globów z prymitywnymi roślinami, dużo bakterii i nic poza tym. Oczywiście nie wiemy, czy nie ma jakiejś cywilizacji schowanej poza horyzontem zdarzeń czarnej dziury królującej w Drodze Mlecznej, ale tę hipotezę na razie odrzucam. Do kogo miałyby strzelać te statki, jeśli wybierały się właśnie do naszego dysku? Do roślin? Zwierząt? Do planet czy*

*słońc? Do CIII? Whali? Podejrzewam, że nasi mili goście chcieli strzelać do ludzi.*

*– Tell, zakładasz, że lecieli do nas – powiedziałem.*

*– Mogli przelatywać – wsparł mnie Nexus.*

*– Dlaczego tak blisko naszej Galaktyki? Sami w to nie wierzycie. O, mam dane od Buddy. Przybyli najprawdopodobniej z Andromedy i kierowali się do Drogi Mlecznej. Powiem więcej. Droga Mleczna jest praktycznie nasza. Wiem, że upłynie jeszcze kilkadziesiąt tysięcy cykli, zanim ją skolonizujemy, może trochę mniej przy postępie geometrycznym. Ale gdybym mieszkał w Andromedzie i zorientował się, że w sąsiedniej, tylko o połowę mniejszej galaktyce jakaś cholerna cywilizacja mnoży się, aż huczy, bardzo poważnie rozważyłbym opcję usunięcia jej, dopóki mam przewagę.*

*– Skąd się wzięły te czarne dziury? Rzeczywiście to sprawka Whali? – spytałem.*

*– Właśnie miałem to wam powiedzieć – usłyszeliśmy i zobaczyliśmy twarz Nexusa Meda, który przebywał w pobliżu Eiffli. – Tutejsi jajogłowi potwierdzili, że czarne dziury zostały wytworzone przez nasze Wielorybki. Ich pierścienie akceleracyjne są wycelowane dokładnie w obszar, gdzie znajduje się flota obcych. ImBu obliczył, że salwa hiperprzestrzenna z tych dział jest w stanie wytworzyć tak wielką energię, że ta staje się ekwiwalentem masy, ergo, generuje pole grawitacyjne. Wydaje się, że nasze pocziwe walenie wypowiedziały wojnę tej armadzie. I jeśli hipoteza o ostrzale statków obcych jest prawdziwa, pierwotnie ich armada była wielokrotnie liczniejsza, tylko lwią jej część pożarły czarne dziury.*

*– Czekał, Mario – odezwałem się. – Powiedziałeś: „salwa hiperprzestrzenna”?*

*– Nie myślisz chyba, że normalny strzał, nawet pędzący z prędkością światła, dotarłby do was tak szybko?*

- *Naukowcy odkryli, jak działają te pierścienie akceleracyjne?*
  - *To chyba nie są pierścienie akceleracyjne. To znaczy są, ale inne, niż myśleliśmy.*
  - *Bosko.*
  - *I walą czymś, co pędzi do celu beczasowo. Rozumiesz, w podprzestrzeni.*
  - *Tak, cholera, rozumiem. Pewnie, że rozumiem. A skąd w takim razie wiadomo, że w ogóle czymś strzelają?*
  - *Bo przez ułamek ułamka cetni to widać. Widać, jak pocisk opuszcza lufę, a potem znika.*
  - *Cudownie.*
  - *W jakim celu walą w tę flotę?* – spytał RanaR.
  - *Samoobrona?* – rzuciła Angela.
  - *Przecież Eiffli nikt nie atakował.*
  - *Miał zaatakować?* – Ranka nie poddawała się.
  - *Skąd mogły to wiedzieć?*
  - *Wysyłają wszędzie te swoje atomiki. Może poza Drogę Mleczną też?*
- Sapnąłem.

Dotarło do mnie, że jesteśmy świadkami wydarzenia, które przerasta naszą młodą cywilizację. Nie wiadomo dlaczego pojawiła się na obrzeżu Drogi Mlecznej wielka flota, która nikogo nie zaatakowała, poddana została terapii wstrząsowej przez autystyczne statki o technologii tak zaawansowanej, że nawet nasi najlepsi fizycy nie są w stanie określić, jak można skonstruować te monstra i strzelać „podprzestrzennie”.

– *Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje?* – spytał RanaR. – *Bo, wiecie, jak nie wiemy, to nic nie zrobimy. Wisimy tutaj jak jakaś karnawałowa parada, patrzymy, jak coraz więcej statków obcych się kończy, szaleją tam nasi Widzący, jednoznacznie angażując nas w konflikt, i... co? Admirale Hawk?*

– Cześć, *Laurus* – odezwał się przyszyty w kwadrat głównodowodzący Armii Imperialnej. Ten sam, który kiedyś koordynował działania podczas Drugiej Wojny z *Thirami*. – *Na mój żołnierski rozum te biedne bastardy chciały złożyć nam skórę, a Whale poczuły się naszymi strażnikami i teraz łoją skórę im...*

– *Z całym szacunkiem, to nielogiczne* – powiedziała *Lea*. Jako generał miała prawo uczestniczyć w rozmowie z admirałem. – *Obcy nie atakują nas, tylko walczą z dziurami, które zostały wygenerowane przez Whale. Oni się czochrają ze sobą. Admirale, przestańmy być tacy egocentryczni. Widzący dołączyli do imprezy po tym, jak się zaczęła. Nie zapominajmy też o *CIII*. Ta rasa, chociaż trzymana przez nas w szachu, jest z pewnością dużo groźniejsza od *Whali* i *WayEmpire*.*

– *Sądzi pani, że ta armada mogła przybyć, by zniszczyć *CIII*?*

– *Teoria mówi, że cywilizacja trzeciego stopnia mogła wysłać biliony kwantów, by się ratować. W takim razie być może pojawiły się one we wszystkich galaktykach wszechświata. Jeśli flota, którą widzimy, pochodzi z *Andromedy*, miała już styczność z *CIII* i stwierdziła, że jest to rasa niezwykle niebezpieczna, być może obrała sobie za cel oczyszczenie z niej przynajmniej Grupy Lokalnej.*

– *Wtedy* – odezwał się *Hawk* – *widzielibyśmy nie tyle flotę bojową, ile korpus pokojowy?*

– *Coś w tym stylu.*

– *I okazałoby się, że Whale atakują naszych potencjalnych wybawców?*

– *Tak jest.*

– *A *Opętani* zwariowali?*

– *Tak jakby.*

– *Nigdy nie rozumiałem tych wariatów. Czy nikt nie może przemówić im do rozumu?!*

– *Zaraz spróbuję, admirale* – odezwałem się stropiony.

– *Zrób to, Aymore!*

– *Tajest...*

– *W sumie, chociaż obserwujemy Eiffle od kilkudziesięciu cykli, nic o nich nie wiemy* – ciągnął Hawk. – *Może to sukinsyny, które zaczynają nas kontrolować?*

Coś w tym jest. W sumie dlaczego te behemoty zatrzymały się w Galaktyce? Ani be, ani me, tylko wiszą i milczą.

– *Czy mamy interweniować?* – dodał admirał. – *Ratować te statki?*

– *Pyta pan, po której stronie się opowiedzieć?* – spytała Stone.

– *Jest takie stare ludzkie przysłowie: Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Ja mówię: nie wtrącać się* – odezwał się Tell.

– *To co mamy zrobić w sytuacji, gdy Erri rozpruwają statek za statkiem?!*

– odezwał się Hawk. – *Wyświetlić wielki napis: „Nie mamy z tamtymi popaprańcami nic wspólnego”? Torkil, ruszysz dupę? Przy okazji zrób zwiad. Chcę zobaczyć to twoimi oczami.*

– *Gdyby tylko zrozumieli, to wcale nie byłby głupi pomysł...* – mruknąłem.

– *Tak, już ruszam dupę.*

– *Gdybyś był na ich miejscu, uwierzyłbyś? Swoją drogą to bardzo sprytny manewr: zaatakować kogoś siłami, które w ogóle się z atakującym nie kojarzą, po czym oświadczyć ofierze: To nie ja, to oni...*

Cholera.

– *Aymore, to oficjalny rozkaz: Niech pan, z łaski swojej, pogada ze swoim bliźniakiem i zaproponuje, by wziął rzyć w troki i zabrał stamtąd pokręconych kolegów.*

– *Spróbuję, admirale.*

Chociaż byłem Ranem i Błogosławionym, w czasie wojny podlegałem zarówno RanaRowi, jak i Hawkowi. Tak podpowiedział frin, i całe szczęście,



bobym się chyba nie domyślił. Wreszcie dostaliśmy wyczekiwany przez wszystkich przekaz – sugestię od ImBu: „Nie ingerować, obserwować, zbierać dane”. Cholera, czy rodzaj ludzki zawsze już będzie czekał na radę niby od siebie mądrzejszych? Przecież mamy głowę na karku i umiemy myśleć. Dlaczego wciąż nam się zdaje, że ktoś inny myśli lepiej? Czy zdolności analityczne Buddy są doskonalsze od organicznej intuicji i zdrowego rozsądku? Czy Imperator naprawdę jest geniuszem? A może istota, którą się stał, przestała odczuwać i myśleć tak jak my?

Czarny Maodion wyraźnie nie zastosował się do rozkazu dogląającego ludzkości ImBu.

Uruchomiłem Skymoura i wysunąłem się przed formację. ArtDroidy, SaintDroid, dwie Gizarmy oraz dwa Szpony ruszyły ze mną. Jeśli jesteś Błogosławionym, możesz zapomnieć o skradaniu się. Wszędzie wkroczysz przy dźwięku fanfar, z armią u boku. Nawet O'Tool przy mnie trwa; dobrze, że w kabinie, nie na zewnątrz.

Rozpędziłem się. Mieliśmy do celu mniej więcej hektę świetlną.

– *Nie masz chyba zamiaru tam lecieć na podświetlonej?* – odezwał się Tell.

– *Masz rację, trzeba skoczyć.*

– *Tylko nie za blisko. Proponuję AU od najbliższej czarnej dziury. To i tak będzie tuż-tuż.*

Poleciałem frinowi wyświetlić czarne dziury i ich horyzonty zdarzeń. Zobaczyłem upiorne zielone torusy otoczone migotliwymi sferami, a dookoła nich walczące z grawitacją statki. Dlaczego nie skaczą? Dlaczego się nie ewakuują? Czyżby bliskość kolapsarów uszkodziła silniki? A może nie potrafią skakać? Nie, to raczej niemożliwe...

– *Ustalam punkt docelowy – oznajmiłem. – Lea? Mars? Trajan? Gotowi?*

– *O mnie zapomniałeś* – odezwał się Tell.

– *To niemożliwe, niestety.*

– *Bardzo śmieszne.*

– *Skok.*

Wyłoniliśmy się z podprzestrzeni. Zeskanowałem otoczenie i dopiero wtedy mogłem w pełni ocenić rozmiar katastrofy. Wyobraźcie sobie, że idziecie cienistym lasem w gorące, suche lato, zatrzymujecie się i patrzycie na snop słonecznego światła przedzierający się między gałęziami. W tle majaczą ciemne świerki, więc widzicie wyraźnie tysiące drobin pyłu wirujących w świetlnej klindze. A teraz przesuniecie ręką w poprzek tej klingi. Pyłki zaczną ją okręzać, jakby była masywnym ciałem niebieskim. Tak właśnie wyglądała flota obcych, zupełnie bezradna, co najmniej w połowie pochwycona przez pola grawitacyjne dwóch czarnych dziur, które krążyły wokół siebie jak przeklęte czarownice w bluźnierczym tańcu. Przynajmniej dziesięć kolejnych statków było na moich oczach rozrywanych przez grawitację. Teraz zrozumiałem, dlaczego nie skaczą. Trwały desperackie próby ratowania pochwyconych jednostek, coś w rodzaju ewakuacji. Odrywały się od nich kapsuły ratunkowe, ale kolapsary wyciągały ku nim niewidzialne łańcuchy i rozrywały je, zanim szalupy oddaliły się od burt. Wiele statków było zbyt blisko horyzontów zdarzeń i z pewnością skok był już niemożliwy. Wynikało z tego, że cywilizacja ta, chociaż chyba bardziej od nas zaawansowana, nie potrafiła ominąć praw fi...

Dotarło to do mnie. Dotarła do mnie fala i targnęła mną, jakby ktoś nagle usiłował mi wyrwać wszystkie zęby. Potwornie zabolęła mnie szczęka i krtań. To była zła cywilizacja. Najeźdźcy. Nie miałem teraz co do tego żadnych wątpliwości, tak jak nie mieli ich dużo, dużo wcześniej członkowie Czarnego Maodionu. Od statków biły złość, pycha, wściekłość. Uczucie zaskoczenia, upokorzenia, bardzo, rzekłbym, ludzkie uczucia! Byłem przez nie ogarnięty, dusiły mnie, dławiliy...

– *Agonai* – chrypnąłem do Marsa i Leyi. – *Czujecie to?*

– *Melduję, że nic nie czuję* – odezwał się Mars.

– *Swój pot, Błogosławiony* – mruknęła Stone.

– *Tell?*

– *Nic.*

– *Trajan?*

– *Też.*

Cholera. Dla mnie to było jasne jak słońce.

– *Czekaj...* – odezwał się mój Smok – *coś jakby... wściekłość?*

– *Tak* – zawtórował mu Teogenes. – *Ja też to czuję.*

– *Bardzo ludzkie!* – stwierdził Tell.

– *Ludzkie i nieludzkie, ale znajome* – warknąłem.

– *Lubię, jak warczysz* – odezwał się mentalnie Tell. – *Brzmisz wtedy podobnie do Smoka.*

– *Skup się!*

Dlaczego Dragony poczuły to później? Były „tylko” telepatami. Ja byłem Ranem. Czuję takie rzeczy niekoniecznie przy użyciu ośrodkowego układu nerwowego. Dlaczego dopiero teraz to do mnie dotarło? Może obcy jakoś to ekranowali? Czy to możliwe? Być może inni Ranowie poczują to, gdy się zbliżą albo za jakiś czas... Ale jakim cudem od razu wyczuli to Opętani? Głupie pytanie, bo i tak nikt na nie nie odpowie.

Moje kamery wykonały zoom na Erri Widzących. Nie atakowały statków kręcących się wokół czarnych dziur, lecz tańczyły pośród tej części armady, która wyrwała się z pól grawitacyjnych. Poszycia Widm co chwila rozkwitały od strzałów obcych. Samych salw rzeczywiście nie było widać. Ani strzałów, ani rozbłysków dział. Sporo demonów i aniołów wisiało w przestrzeni i najwyraźniej rozpraszało salwy bądź je odbijało. Inne rzucały się wąskim strumieniem na pojazdy wroga i rozrywały je w ciągu kilkunastu cetni.

Porozumiałem się z Torkilem Sinem. Umówiliśmy się, że on, ciągle

w dewitalizacji, obejmie kontrolę nad Skymourem, a ja zrewitalizuję się i pogadam. Niebezpiecznie jest komunikować się z Opętanymi, gdy umysł krąży w arealium. Jest wrażenie, że cię porwą. Coś jak Eynet, tylko o wiele silniejsze.

Kokon wokół mojej zbroi otworzył się i znalazłem się w sterówce Skymoura. Zobaczyłem przerażoną twarz Tanyi. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na pandemonium. Drżała.

– Żyjesz?

Wskazała palcem na statki w kształcie wieńców cierniowych.

– To... oni. To od nich idzie ta... wściekłość.

– Co ty mówisz?

– To jest źródło.

Psiakrew.

– Źródło gniewu aniołów?

Skinęła głową.

– Ale jakim cudem? Przecież to nie są aniołowie!

Potrząsnęła białymi włosami. Też nie rozumiała. Przekazałem men Laurusowi. Odpowiedział pakiem zawierającym skojarzenia z koroną. Władza, panowanie, kontrola. Cholera, ale dlaczego łączył ich z naszą kulturą? Dorzucił widok statków w kształcie krzyża. RanaR, przerażasz mnie.

Wziąłem głęboki wdech i wyraziłem silną mentalną intencję skontaktowania się z Widzącymi. Dla pewności otworzyłem okno komunikacyjne. Wiedziałem, że oni działają na innych zasadach, ale sam fakt otwarcia go i wyrażenia intencji był przez nich w jakiś sposób odbierany. Tym razem kula, która pojawiła się w sterówce, nie wyświetlała ani Adida, ani Jeffa. Był to sam Tytanus Sixtus Orygenes, przywódca Czarnych Ranów.

– Witaj, Błogosławiony – powiedział syczącym szeptem, a krążące wokół niego anielice i demony roześmiały się.

- Pozdrawiam Widzącego. Czy jest tam gdzieś Jeff?
- O, jest z pewnością gdzieś tam i wtedy albo tu i teraz. Co wolisz?
- Wolę z nim rozmawiać.
- To oczywiste. Bądź wola twoja...

To zdanie wydało mi się w dziwny sposób znaczące, ale nie wiedziałem dlaczego. W kuli ekranu pojawiła się głowa Jeffa okolona blond włosami. Nie mogłem się przyzwyczaić do tego koloru. Kilka urządzeń na konsoli Skymoura zaczęło iskrzyć i rzeźić.

- Tak, braciszku?
- Jefferson, odstąpcie.
- Nie czujesz, że ta rasa to zło?
- Czuję to bardzo wyraźnie, ale taki jest rozkaz ImBu.
- A wiesz, gdzie mamy rozkazy jego i wszystkie inne?
- Wiem. Może przemówi do was rozsądek. Te czarne dziury zostały wytworzone przez Whale...
- A jesteś pewien, że nie przez nas?

Zamilkłem. To nie przyszło mi do głowy. Niemożliwe. Opętani operują trochę w naszym, trochę w innym wymiarze, ale nie mają aż takiej władzy nad materią...

- Jeff, nie wkurzaj mnie. To zrobili Eiffle. Jeśli się odsuniecie, będą mogli stworzyć tych dziur więcej. Dajcie im działać. Teraz przeszkadzacie.
- To się nazywa odpowiedzialne działanie sprawcze.
- Nasza sprawczość musi mieć sensowne założenia taktyczne. Wmieszanie się w tę flotę upośledza nasze możliwości.

– Nie...

Zerknąłem na radar.

- Lecą do mnie!
- Uważaj, to nie przelewki.

Zbliżały się trzy pojazdy, które można by nazwać myśliwcami przechwytyjącymi. Podobnie jak Gizarmy, były bardziej pionowe niż podłużne, przypominały złe, rozciągnięte ludzkie twarze z opadłymi uszami. Po Skymourze przebiegł dreszcz. Machina zgłosiła kilkaset uszkodzeń. Jak? Gdzie?

– Monika! Lee!

Przy pancerzu pojawiły się wielkie duchy i krzyknęły w przestrzeń.

– Czym oni walą? – zawołałem do Jeffa.

– To jakaś indukcja. Nie widzisz, nie słyszysz, nagle wywała całą tronikę. Dobrze, że macie te fraktalne materiały i samoregenerujące się poszycia, bo bylibyście ugotowani.

– To i tak mnie gotuje.

– Może być gorzej.

Lee zagarnął skrzydłem i rozniósł na strzępy jeden z pojazdów. Monika otuliła Skymoura i miałem wrażenie, że go leczy. W tym czasie Gizarmy Marsa i Leyi wytrysnęły w górę i w dół, Szpony Smoków zaś poszybowały w boki. Wszyscy otworzyliśmy ogień do pozostałych dwóch pojazdów. Zmiotliśmy je, ale po chwili kręciło się już wokół nas kilkadziesiąt takich myśliwców. Analizatory Skymoura i Budda obmacywali je ze wszystkich stron. Sterówka trzeszczała, Skymour się trząsał. Paula usiadła w fotelu, a ten objął ją niczym kokonem.

– *Torkil* – wysłał do mnie tot zdewitalizowany Sin – *przyspieszam do dwudziestu. Daję ci jeszcze pięćdziesiąt realnych cetni na rozmowę. Jeśli się nie uda, zgarniam kilka szczątków rozbitych myśliwców i spieprzam. Skymour się rozpada.*

– *Zgoda.*

Zerknąłem na ekran komunikacyjny wyświetlający twarz Jeffa. Miałem ochotę poprosić go o pomoc, ale duma mi nie pozwalała.

– Spaceman – odezwałem się. – Odsuniecie się?

Powoli skinął głową, ale nie wiem, czy do mnie, czy do swoich myśli.

– Powodzenia – szepnął i zniknął, a kula komunikacyjna razem z nim.

Spojrzałem złym okiem na otaczający mnie rój statków wywołujących setki uszkodzeń zbroi. Spowijała je siatka naszych salw, ale było ich za dużo. Niestety nasze pola nie sprawdzały się. Oni po prostu nie mieli promieni czy realnych drobin, które musiałyby pokonywać jakąś przestrzeń, w których mogłyby zostać zatrzymane. Prawdopodobnie ogniskowali jakiś rodzaj fal wysyłanych z kilku „dział” naraz. Każde z osobna było niegroźne, jednak ich połączona, zogniskowana siła działała jak seria wybuchów. Na RanStone, jeśli wyśledzą sterówkę, zaraz może być po mnie!

– Lee! Do diabła, rozszarp je!

– Staram się, ale jest ich za dużo...

– *Torkil, masz trzydzieści cetni...* – usłyszałem Lewego.

Użyłem Siewcy. Skaner usiłował prześwietlić powłoki jednego z najbliższych statków, ale ten miał niezwykle silne pole magnetyczne, bo prawie nic nie widziałem, głównie szum, śnieżenie...

Przez chwilę widać było nieco wyraźniejszy obraz. Zamurowało mnie. Przeciwnik wyglądał... jak człowiek?! SOW błyskawicznie przeanalizował jego układ nerwowy, znaczy to, co mógł...

Uderzyłem w obszary, gdzie ludzie mają ośrodki kognitywne. Podziałało. Statek zaczął się chwiać i obracać, a Lee rozszarpał go. Powtórzyłem manewr z drugim i trzecim przeciwnikiem. Skymour przeleciał przez rumowisko, pochłonął kilkaset szczątków i zniknął, by pojawić się w pobliżu formacji „ściana” utworzonej przez kwiat żołnierzy Imperium.

Nie musiałem nic mówić, bo ImBu przekazał wszelkie informacje dowództwu i Ranom.

– Czy ktoś może mi teraz wyjaśnić, z czym mamy do czynienia? – spytał

Hawk.

– Rany boskie! Są tutaj! Tysiące statków obcych! – krzyknął Nexus znajdujący się w pobliżu Whali. – Strzelają do Wielorybów! Ale walą! Na Imperium, ale walą!

Otrzymałem pak od ImBu. Napędy Mirova wszystkich pancerników Imperium oprócz tych z Rubieży i tych, które towarzyszyły nam na obrzeżu Galaktyki, zostały zablokowane. Imperator ogłosił pierwszy stan wojenny.



## Obraz 4

# Sitzeni

Droga Mleczna

Rubieże

Planeta Sparta, wysoka orbita

Karawana Błogosławionego Aymore'a

08 Decimi 232 EI, 17.71 H

– Nie macie prawa mnie więzić! – Han Fierce, wiszący w głównym hallu *Teacupa* i unieruchomiony polem siłowym wytwarzanym przez majordomusa, krzyczał już od dobrych piętnastu mon.

Jego złośczeniom przysłuchiwali się Pauline, Anna, Harry, Peter i Konon.

– Ogłoszono pierwszy stan wojenny! – ciągnął Han. – To oznacza, że każdy Sit powinien się udać w bezpieczne miejsce, otoczyć pancerzem, wejść w stan dewitalizacji i zdalnie sterować indywidualnym bojowym motombem!  
– wyrecytował. – Ja tu nie mam swojego Inbamu! Jest na *Grendelu*! Musicie mnie wypuścić!

– Nie, gołąbeczku – odparł Peter – nie musimy. Mamy Wolną Wolę,

pamiętasz? To z niej korzystając, strzelałeś do naszego przyjaciela. Przywołaj tu swój statek, przywołaj airvill, ściągnij hiperbosity. Na to pozwalamy.

– Słuchajcie – odezwał się Harry – a może go wyrzucimy? Po co nam? Drze mordę, przeszkadza...

– Jestem za. – Anna podniosła rękę. – Drażni mnie ten człowiek.

Han spojrział na nią złym okiem, ale się nie odezwał. Konon patrzył na wszystkich ponurym wzrokiem dimena i jak zwykle milczał. Odebrał men od matki wiszącej kilka metrów dalej.

– *Synku, zrobiłeś to, o co prosiłam?*

Odpowiedział, nie zwracając na nią wzroku.

– *Tak, mamo. Ma czujnik pod prawą łopatką. Jest tak mały, że niewidoczny gołym okiem, i trudno go wykryć, bo nie emituje żadnych fal.*

– *Dziękuję, kochanie.*

– *Nie ma za co, mamo.*

– Torkil powiedział, że mamy go trzymać – odezwała się Eim na głos. – I tak zrobimy.

Z byłą Reormater nikt nie śmiał dyskutować.

– *Cholery można dostać z tą ich filozofią* – skomentował totowo Harry, czemu przyklasnęli Anna i Peter, ale nikt niczego głośno nie skomentował.

– No to co, gołąbeczku? – rzucił Peter. – Pospiesz się z tymi statkami, bo...

– Już tu są – odparł cicho Han. – Skoczyły razem z nami.

– O! – Peter był zaskoczony, podobnie jak reszta załogi *Teacupa*. – Nasz pan napadywca ma jakieś tajne plany? Śledziły nas cacka pirata?

– Tak, kurwa. Śledziły.

W tym momencie przez drzwi i okna airvilla wpadły dziesiątki salw elektromagnetycznych. Trafiały w drony, elementy wyposażenia i... domowników. Gdy uderzały, puchły jak błękitne, poznaczone błyskawicami

bąble zanurzone w gotującej się wodzie. Pierwsza została ugodzona Pauline – z wyrazem bezdennej zaskoczenia utonęła w błękitnej kipieli. Jej ubranie zaczęło iskrzyć i morfować w bezkształtne formy, zupełnie jakby otoczyły ją jakieś wodorosty. Jej twarz wykrzywił grymas wściekłości, próbowała krzyczeć, ale głos wiązał w niebieskim żelu. Zaraz po niej został trafiony Harry, chwilę później zaś Anna. Tylko Peter, wiedziony kształtowanym od setek cykli instynktem, wyrwał się poza zasięg kanonady. Wszystkie strzały padały skośnie z góry, więc skrył się pod sklepieniem głównego hallu, uchwycił elementów konstrukcyjnych i zamarł. Wyłączył generatory anty-g, by nie zdradzały jego obecności. Gdy startował, był za plecami Hana, więc była szansa, że ten go nie dostrzegł.

Do hallu wpadło trzydzieści dronów. Jeden z nich strzelił do majordomusa i więzy krępujące asasyna puściły.

Peter rozejrzał się za drogą ucieczki. Dostrzegł małe okrągłe okno tuż przy kopule. Sprężył się i skoczył. Usłyszał za sobą strzały, ale salwa chybiła. Gdy znalazł się na zewnątrz *Teacupa*, przycupnął na tyłach jednej z wież. Wtedy rozległy się przekleństwa Pauline przeplatane złorzeczeniem Harry’ego oraz inwektywami Anny. Znowu padły strzały. To ochrona *Teacupa* ruszyła do walki. Błyski. I cisza. Śmiech Hana i płacz Anny.

I wtedy Petera uderzyło: gdzie jest Konon?

– *Wuju* – usłyszał w głowie – *jestem za tobą*.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Wiz, grunt  
Polia Tris, dystrykt Hook  
08 Decimi 232 EI, 17.72 H

– O, mamy pierwszy stan wojenny – odezwał się Dionizy, zerkając w wysokie niebo Wiz. Na wschodzie było intensywnie szafirowe, a na zachodzie oranżowe i krwistoczerwone. – Przykro mi, moi drodzy – podjął – ale musimy kończyć biesiadę. Nie wiem, czy to kolejne ćwiczenia szalonego Imperatora, ale tak czy owak, wypada się podporządkować. Nigdy nic nie wiadomo.

– Nieee... – Czarnobrody jegomość siedzący obok Sama Yona rzucił sztućce na stół w geście dezaprobaty. – No nie... Odczucia odurzenia nam zabrali, a teraz nie pozwolą nawet zjeść?

– Bez sensu – zawtórowała mu sąsiadka, potężna rudowłosa kobieta. – Dionizy, to pewnie kolejne manewry.

– Z całą pewnością, moja kochana, ale nic się nam nie stanie, jeśli się podporządkujemy, prawda?

– Dobra, nie ma co zwlekać – odezwał się jakiś gość siedzący w dalszej części stołu. – Zabierajmy się stąd!

– Do siedziby! – roześmiał się inny biesiadnik. – Przenieśmy stoły do Starów!

– Tak jest!

– Dionizy, pomieścisz tylu gości?

– Nie obrażajcie mnie, przecież sam to proponowałem. – Mężczyzna roześmiał się w głos i zaczął wydawać dyspozycje frinowi.

Stół już się powoli obracał, a kręcące się wokół tarasy odchyliły tory, jakby blat był wielkim statkiem kosmicznym, siedziba zaś bazą, która właśnie otwiera wrota hangaru. Wszyscy rzucali długie, niemal poziome cienie, co przydawało tej scenie romantyzmu. O zachodzie Tris zmieniało się w prawdziwie bajkowe miejsce. Ornamenty i barwy stawały się bardziej intensywne, mocniej kontrastowały, były niemal nierzeczywiste.

– Wujku – Sam poczuł stuknięcie w udo – zobacz!

Sam Yon spojrział i zamarł.

– Zoe?!

Widział dimenkę wzrostu Zoe, o twarzy podobnej do twarzy Zoe, ale z pewnością nie organiczną! Jej pancerzyk był pomarańczowożółty, latały po nim motyle, śmiały się wróżki i rozkwitały wielobarwne kwiaty.

– Ciii! – Przytknęła lśniący polerem palec do mechanicznych ust. – Jeszcze nie mów dziadkowi!

– Ale jak...

– Wczoraj zamówiłam sobie motomba i wykorzystałam jeden z rodzinnych hiperbosów! Bycie dimenem jest super! To dla ciebie tak się zmieniłam! Zaplanowałam to!

– Jesteś nieodpowiedzialna, Zoe. Powinnaś najpierw zapytać Dioni...

– No już, no już – Dionizy przerwał jego wypowiedź. – Nie wyganiem was, ale zanim doleczą tam stoły, my powinniśmy znaleźć się w środku...

Goście skinęli głowami, wstali z siedzisk i rozpoczęli lot do domostwa.

– A ty, dziecko, co tu robisz? – Dionizy niechcący potrącił małą dimenkę.

– A kuku!

– Zoe? To ty?!

– Tak!

– Oż ty mała jaszczurko! – Dionizy roześmiał się. – Kiedy to zrobiłaś?

– Mistrzu! – krzyknął jeden z mężczyzn blisko siedziby. – Chodź już! Pogadamy w środku!

– Lecę! A z tobą – pogroził dziewczynce palcem – porozmawiam potem.

Zoe zachichotała.

– Pędem do domu! – Klepnął ją w złoty metalowy pośladek.

– To jest fajoskie! – krzyknęła i włączyła silniki. – Dziadku, jak się w tym lata! Nie ma porównania ze zwykłymi pancerzykami!

Dimenka poleciała pionowo w górę i zrobiła pętlę.

Sam Yon i Sara Bor, podobnie jak inni goście, lekko zaniepokojeni, zadarli głowy i uśmiechnęli się.

– Złapię ją, Dionizy – odezwał się Sam i wyrwał do góry. – *Lećcie już do siedziby. Za długo to wszystko trwa* – dodał totowo.

W tym momencie padł...

Rozkaz.

Nie słyszeli go, ale był bezwzględnie odczuwalny. Brzmiał:

*Zatrzymać się.*

Nie była to intencja frina ani sugestia ImBu. To było silne i obce. Ostateczne.

Brutalne.

Sam zwolnił i rozejrzał się. Co było jego źródłem? W WayEmpire nikt nikomu nie rozkazywał! To relik, który przetrwał tylko w Maodionach i w armii! Nawet Bractwo Besebu polegało już tylko na sugestiach Imperatora! Kto to zrobił? Hakerzy? Niepogodzeni? Korsarze?

*Zatrzymać się.*

Ani mi się śni! – pomyślał oburzony.

– Wujku, czujesz to? Co się dzieje?

– Sam – usłyszał głos Sary – co to za... imperatyw?

– Nie wiem...

– Wujku! – Zoe wskazała mechanicznym paluszkiem organicznych biesiadników. Wisieli w powietrzu bez ruchu. Ich twarze były pozbawione emocji.

*Zatrzymać się.*

– Wkurza mnie ten... rozkaz! – krzyknął Sam. – Co się z nimi dzieje?!

Wokół znieruchomiałych organików zgromadzili się dimeńscy przyjaciele.

– Johny! Johny, rusz się! – krzyczała przybrana w oliwkowy motomb

kobieta do mężczyzny o imponującej, niebieskiej brodzie.

*Zatrzymać się.*

– Emma, spójrz na mnie! Spójrz na mnie! – Dimen zaopatrzony w motomb w barwach ochronnych szarpał za ramiona blondynkę, która podczas biesiady siedziała naprzeciwko Sama i Sary.

*Czekać na rozkazy.*

– Na Buddę, co się z nimi dzieje?! – Mężczyzna rozejrzył się bezradnie.

Dimeni potrząsali przyjaciółmi, krzyczeli do nich, ale nie było reakcji. Sam spojrzął na Dionizego. On także wisiał w powietrzu i nie reagował na nawoływania.

– Frag! Sara, jest źle, bardzo źle!

– Weźmy ich do środka!

– Tak! – Sam zwrócił się do dimenów, a jego frin jednoznacznie dał im do zrozumienia, że wiszący najwyżej właściciel smukłego motomba zwraca się właśnie do nich. – Zaholujmy ich do siedziby!

*Zaatakować sztucznych ludzi.*

– Cooo?!

*Zaatakować sztucznych ludzi.*

Sam otworzył szeroko mechaniczne oczy. Dionizy spojrzął na niego nieprzytomnym wzrokiem i aktywował działka na przedramionach. Moduły bojowe wypełzły z osłon gauntletów, oddzieliły się od nich i zawisnąwszy przy mężczyźnie, wycelowały w Yona.

– Dionizy, nie!

Sam wyciągnął przed siebie ręce, co, jak uznał poniewczasie, nie miało większego sensu.

Padł strzał, który rozbił jego motomb na kawałki.

– Yon! – krzyknęła Sara, po czym wywinęła wariackie salto, unikając podobnej salwy innego czarodzieja.

Flofy, z których składał się Yon, zawirowwały i złożyły go z powrotem. Chwilę później powietrze zawarczało od dziesiątek strzałów.

– Dziadku, przestań! – krzyknęła Zoe ciągnięta przez Sarę w dół w deszczu salw.

– Uciekajmy! To nie ma sensu! Nie będziemy przecież z nimi walczyć! – wołał dimeński biesiadnik.

Dionizy znów złożył się do strzału, ale tym razem nic się nie stało. To ImBu, pomyślał spanikowany Sam. To ImBu zablokował ich broń! Stary człowiek nie dawał jednak za wygraną. Złączył ręce niczym prawdziwy czarodziej i drobne elementy z pobliskich tarasów oderwały się, a potem zaczęły, niczym groty, lecieć w kierunku Sama.

– Uważaj! – krzyknęła Sara.

Pociski nie doleciały do Yona. Okruchy wytraciły impet i poszybowały w dół.

– Dziękuję, Buddo – wyszeptał Sam.

– Tam – Sara wskazała obszar niższego miasta – tam się schowajmy!

– Dziadku! Dziadku! Nie strzelaj do nas, nie strzelaj! – krzyczała Zoe.

– Chicho, dziecko. Dziadek cię nie słyszy – powiedziała Sara. – *Sam, to już nie są eksperymenty ImBu, co?*

Arealium

Gra Redland

Wyżyny Greenlandu

Ćwiartka Północna

Czas realium:

08 Decimi 232 EI, 17.72 H



– Sprite, widzisz, co się dzieje na zewnątrz? Dostałeś przekazy od ImBu? – krzyknął Edson.

Sprite spojrział na Tarika. Był przestraszony. Jego ciemne oczy, zupełnie inne od prawdziwych, były szeroko otwarte.

– Ludzie zwariowali, chcieli atakować dimenów – odparł, ściągnając hełm z głowy i przeczesując palcami jasne, gęste włosy.

– Trzeci stopień wojenny! – krzyknął Tarik.

– Na Buddę! – Edson szarpnął wodze skałaza, a gad zaryczał.

– Panowie, opanujcie się. – Sprite wyciągnął opancerzoną dłoń. – Trzeci stopień, czyli dokładnie to, co robimy. Jesteśmy w stanie dewitalizacji, głęboko pod ziemią. Zaraz tu pewnie przyfruną moi starzy.

– Co się dzieje z moimi? – Tarik na chwilę zamilkł. Najwyraźniej wymieniał paki z rodzicami, potem jednak spojrział spanikowany na przyjaciół. – Moi starzy są jacyś dziwni...

– Moi też – stęknął Edson. – Nie odpowiadają na pytania.

– Milczą. Jakby ich zamurowało. – Tarik się wzdrygnął. – Frag, to przerażające. Czekał, schowajmy się w tej bramie...

Sprite spojrział na pole walki. Greenhorn był praktycznie zdobyty. Mogli sobie pozwolić na chwilę przerwy.

Gdy znaleźli się pod potężnym sklepieniem, Tarik otworzył trójwymiarowe okno pokazujące newsy.

– Widzicie, co się dzieje?

Setki organicznych Sitów, mieszkańców Wiz, gromadziło się w różnych miejscach polii. Nic nie mówili, jakby zostali zahipnotyzowani.

– To zaraza – szepnął Sprite. – Mam info od Buddy, że to zaraza genowa. Frin ją zwalczy...

– Albo nie – rzekł Edson. – Tego jest mnóstwo. Mnóstwo. – Wskazał wykresy stężenia wirusów w powietrzu. – Zostaliśmy zasypani wirusami. Co

to znaczy?

W tym momencie w oknie wyświetlającym sytuację na zewnątrz zamajaczył dziwaczny kształt.

– Rany! Widziałeś?! – krzyknął Tarik. – Jakby latający wieniec z kolcami!

– O, kurwa, to strzela! Strzela do dimenów! – sapnął Edson.

Droga Mleczna  
Rubieże  
Planeta Sparta, wysoka orbita  
Pancernik *Bezlitosny*  
08 Decimi 232 EI, 17.74 H

Jason Prad, kapitan *Bezlitosnego*, patrzył na okna pokazujące sytuację nad planetami Macierzy i nie wierzył własnym oczom. Generatory pancerników unieruchomione. Nad globami dosłownie dywany obcych statków, gęste jak chmury pokrywające gazowe giganty. Ledwie było widać powierzchnie rajów! Krótkie wymiany ognia i pancerniki zdmuchnęło! Potężna flota Imperium została anihilowana w błyskach eksplozji!

Prad zamrugął.

Niemożliwe.

To niemożliwe.

Miliony pancerników tak wielkich jak jego *Bezlitosny*, tak jak on siejących grozę, najpotężniejszych okrętów WayEmpire po prostu zniknęły! Rozsypały się i teraz leciały w stronę rajów i powierzchni planet w postaci ognistego deszczu.

Mrugnął jeszcze raz.

To było tak... zaskakujące, że zwyczajnie niemożliwe.

Pierwszą fazą emocjonalnego opracowania zmiany jest zaprzeczenie, dopiero potem bunt.

Prad zaprzeczał.

Jego analityczny umysł nie potrafił zaakceptować tak radykalnej i nieodwołalnej... zmiany.

Mimo wszystko komputer jego psyche, półświadomy, analityczny przedział umysłu, zaczął liczyć.

W Macierzy znajdowało się ponad siedemset planet WayEmpire. Rubieże liczyły ich prawie trzysta. Czyli ponad połowa Imperium straciła potencjał bojowy. Sądząc z tempa, w jakim najeźdźcy pozbyli się dotychczas ich sił, i z liczby jednostek przesłaniających planety Imperium, w Rubieżach należało się spodziewać tego samego. Raporty mówiły, że organicy ulegli wirusowej zarazie, której friny nie mogły się przeciwstawić. W dodatku podjęli próbę ataku na dimenów, a gdy ImBu to uniemożliwił, blokując broń, zaczęli się gromadzić, zupełnie jakby czekali na rozkazy. W tym czasie nad powierzchnię planet zleciały miliardy niewielkich statków w kształcie wieńców cierniowych i zaczęły niszczyć populację dimenów, która z oczywistych względów była niewrażliwa na wirusa. Atakowano tę część dimenów, którzy nie zdążyli się zastosować do wymogów trzeciego stopnia wojennego, a to były miliardy Sitów!

Prad widział dzięki TIO, jak odziani w motomby obywatele pędzą powietrznymi traktami ścigani przez dziwaczne aparaty, jak uderzani niewidzialnymi salwami rozpadają się i składają z powrotem, jak dobudowują na ciałach moduły z hipoków i w szalonym rajdzie usiłują zgubić napastników...

Lada moment Rubieże spotka ten sam los.

Jaki pozostał im potencjał? Flota Rubieży, nieliczne Worplany poza obrębem Imperium, floty Terraformerów i Pożeraczy Światów, ukryte

fabryki produkujące armie droidów, no i siły przebywające na obrzeżu Drogi Mlecznej, w pobliżu czarnych dziur. To katastrofa.

To katastrofa.

Prad uczestniczył w Drugiej Wojnie z Thirami. Tam przeciwnik pozornie miał przewagę, lecz tak naprawdę WayEmpire kontrolowało wszystkie ruchy. Ale to...

Naprawdę nie mieli szans.

– *Kapitanie?* – wyrwał go z zamyślenia men od pierwszego oficera, oczywiście drona. Na pancernikach Imperium z reguły było bardzo mało ludzi, a jeszcze mniej organików: kapitan, jeden Charon, jeden inżynier i to wszystko. Owszem, bywały obsady składające się z kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu Sitów, ale to były stare jednostki, z bardziej tradycyjnymi układami. Nowoczesne pancerniki miały na pokładzie trzech ludzi. Te trójki: kapitan, Charon i inżynier, były z reguły doskonale zgrane, połączone inteligencją roju z dronami pełniącymi funkcję załogi. Wszystko funkcjonowało bez słów, w doskonałej harmonii. W trzecim stanie wojennym inteligencja roju obowiązywała nie tylko na pancernikach i wszelkich bojowych jednostkach WayEmpire, ale także między nimi. Dzięki temu ImBu mógł koordynować manewry.

Ledwo Prad zapytał, czego chce pierwszy oficer, ten wyświetlił mu komorę więzienną *Bezlitosnego* zawierającą pojmanyh korsarzy oraz ich dziwny airvill wyglądający jak starożytny żaglowiec.

Kapitan kazał ich wezwać, ale teleportacyjnie, prosto do kabiny dowodzenia, żeby nie tracić czasu.

Obsada *Biegnącej po falach* wyłoniła się z teleporterów w koronie wylądowań i przy akompaniamencie buczenia urządzenia.

Prad wyłączył przyspieszenie, które także obowiązywało podczas trzeciego stopnia.

– Witajcie, korsarze.

Ich kapitan, ubrany w karmazynowo-złoty pancerz, na ułamek cetni stracił rezon. Z pewnością oczekiwał reprimendy, zdania typu „Zwariowaliście?” albo „Wybieracie się na Sofię?”.

– Dzień dobry, kapitanie – odpowiedział miłym barytonem.

– Brawurowy atak, gratuluję odwagi.

– Hm...

– Wiem, jak *Bezlitosny* wygląda dla cywilów. Mało kto potrafi przeciwstawić się naszym upiorom.

Ben Torres uśmiechnął się blado. Reszta załogi miała zapadnięte policzki i błyszczące oczy.

– Jak z pewnością wiecie, wybuchła wojna. Przed chwilą.

– Tak, widzieliśmy podgląd Macierzy.

– To cud – odezwała się stojąca obok niego blondynka – że podjąłeś tę decyzję...

– Jaką decyzję? – spytał kapitan *Bezlitosnego*.

– Żeby lecieć do Rubieży – wyjaśniła kobieta. – Dotąd piraciliśmy w Macierzy, ale Ben uznał, że nie znajduje tam – zerknęła na niego niepewnie – ukojenia, i postanowił szukać mocniejszych wrażeń. A gdzie znajdzie mocniejsze niż tutaj?

Prad przyspieszył i poprosił ImBu o skrócone dossier pojmanyh. Czy naprawdę mam teraz czas się tym zajmować? – pytał siebie w duchu. Jednak nic więcej nie dało się zrobić. Za chwilę padnie sugestia Imperatora, by opuścić Spartę. Za chwilę. I Jason nie przeciwstawi się jej, bo po pierwsze – nie mieli szans, a po drugie – chciał żyć. Pragnął zagłuszyć poczucie winy, więc nie patrząc na pierwszego oficera, zupełnie jakby ten był organikiem, zerknął na raport dotyczący piratów. Ben Torres, absolwent Imperialnej Akademii Soulerów, wykształcony jako Człowiek Brama. Vivien Lacroix,

także po Akademii, uzyskała oficjalny tytuł Imperialnej Soulerki. Pozostali członkowie obsady *Biegnącej po falach* to gracze i gamedecy. Wszyscy przez kilkadziesiąt cykli przebywali w Galaxy Dream, grze opowiadającej o kosmicznej wojnie, aż stwierdzili, że poszukają wrażeń w realium. Pogoń za adrenaliną doprowadziła ich do ataku na *Bezlitosnego*. Piękna historia nierobów. Prad nieraz się zastanawiał, czy Imperator dobrze zrobił, ustanawiając pracę czynnością dobrowolną. Ta decyzja spowodowała, że pracowała jedna osoba na tysiąc, i to wyłącznie robiąc to, co naprawdę kochała. Tak jak Jason.

Zwolnik. Świat wokół niego ożył.

– No cóż – odezwał się – chcieliście wrażeń, to będziecie je mieli. Nie wiem, co z wami zrobić, więc na razie pozostaniecie moimi... gośćmi.

Korsarze spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Nie wyrządziliście *Bezlitosnemu* krzywdy – wyjaśnił. – Nic złego się nie stało. Nie widzę powodu, by was karać.

– Imperium mnie dobija – szepnął Torres.

– Zapewniam cię, kapitanie – rzekł dowódca *Bezlitosnego* – że brak silnych doznań to teraz nasze ostatnie zmartwienie. Nie będę się kontaktował z najbliższym Błogosławionym, żeby zdecydował, co z wami robić. Mam własny rozum...

W tym momencie przyszedł rozkaz Imperatora.

– *Siły Rubieży mają natychmiast skakać poza obszar WayEmpire! Opuścić orbity planet Imperium! Lokacje skoków są już określone przez Buddę. Pożeracze Światów oraz floty Terraformerów mają pozostać na miejscu. Nie wracać, powtarzam: nie wracać nad planety Imperium.*

Prad skontaktował się z Charonem i inżynierem. *Bezlitosny* był gotowy. Kapitan spojrział na planetę, którą kiedyś obiecywał chronić.

– Żegnaj, laleczko.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Dragonia, grunt  
Terytorium High Spire, obszar zachodni  
08 Decimi 232 EI, 17.79 H

Ukryty w załomie skalnym Farin spojrział w nocne niebo rozświetlone gwiazdami, które co chwila przysłaniały czarne obce pojazdy. ImBu opatrywał oznaczeniami każdy zamieszkany przez obywateli WayEmpire system i każdy statek wroga. Suver po raz pierwszy był naprawdę wdzięczny losowi, że Dragonia nie ma rajów. Smoki lubią się konfrontować z przeciwnikiem twarzą w twarz, nie przez poduchy. Dragon wybrał na chybił trafił ledwie widoczną gwiazdę. Tara, pomyślał. Jego wzrok pognał przez przestrzeń i dzięki TIO mógł zobaczyć, co się dzieje na Deenie, planecie, która okrążała to słońce. Panował tam chaos. Dimeni byli ścigani, rozstrzeliwani i rozszarpywani przez nieznane statki. Smok warknął. Przeniósł wzrok na Ruby, gwiazdę na prawo i w górę od Tary. TIO wyświetliło sytuację na Etnie. To samo. Wojna, ofiary, pościgi i strzelaniny. Był tam Smok. Frin odszukał go, a w tym momencie przebywający na Etnie Dragon Riu spojrział w dół i napotkał wzrok Farina. Nie musieli ze sobą rozmawiać. Wymienili kilka telepatycznych przekazów i Farin wiedział już wszystko. Pożegnał się z Riu i życzył mu powodzenia. Sprawdził jeszcze trzy planety. Wszędzie było to samo.

*Zgromadzić się w określonych imperatywem miejscach* – usłyszał w głowie rozkaz, pewnie taki, jaki słyszeli niemal wszyscy obywatele Imperium.

– Pierdol się! – warknął gardłowo.

– *Dobrze mówisz, ojcze* – usłyszał telepatyczny przekaz Irona, swojego syna.

Córka Huna zachichotała, a jego partnerka Nuuma przesłała mu wyrazy troski i obawy.

Odpowiedział wzmacniającym uczuciem. Nic mu nie będzie.

Mieszkańcy Dragonii słyszeli rozkaz raz za razem, zupełnie inny od przekazów telepatycznych swoich braci i sióstr, inny od komunikatów Buddy i Imperatora, niepodobny do totu i rozmów mentalnych. Był nienawistny, pogardliwy i nieznoszący sprzeciwu. Farin wiedział, że organicy nie zdołają mu się oprzeć. Prawdopodobnie dlatego, że zostali zainfekowani jakimś wirusem zmieniającym genotyp. Organizmy Smoków były doskonalsze od powłok Sitów. Frin ostrzegł go o infekcji i razem z jego układem odpornościowym poradził sobie z zarazą, chociaż wirusów było zatrzęsienie. ImBu wypowiedział im wojnę biologiczną i wypuścił do atmosfery Dragonii i wszelkich innych planet googole przeciwciał.

W nocnym powietrzu zamajaczyła czarna sylwetka wrogiego statku.

– *Ssieć!* – warknął Smok i zanurkował pod przęsła wyglądające jak skały.

Wiem, myślał, że Imperator ogłosił trzeci stan wojenny, wiem, że powinienem się znajdować głęboko pod siedzibą, ale nie chce mi się wierzyć, że te bydlęta są takie silne!

– *Uważaj, ojcze, jest za tobą* – ostrzegł go Iron.

Poczuł potworny ból w skrzydle, a po chwili błonę nośną rozerwała eksplozja.

Nuuma wysłała przekaz gniewu i współczucia.

Farin ryknął i rzucił się w dół. Jego zaalarmowany układ nerwowy, współpracując z frinem, natychmiast uśmierzył ból, a niewypowiedziana komenda spowodowała, że wokół barwnego cielska owinął się z sykiem pełny smoczy pancerz. Słyszał za sobą dźwięk silnika, czuł wibrowanie



powietrza, telepatycznym zmysłem wyczuwał dziwnie leniwe, całkowicie obce uczucia.

Jeszcze jeden strzał i po mnie!

Wykonał karkołomny zwrot, podczas którego zawibrowały końcówki skrzydeł, a kolejna salwa chybiła, co raczej wyczuł, niż zobaczył, bo strzały obcych były niewidzialne. Zbliżył się do otwartych wrót swojej siedziby.

Wleciał tam, zaczepił szponami o krawędź ościeżnicy i obrócił się do przeciwnika.

W tym momencie Iron, Nuuma i Huna runęli z góry na obcy pojazd i zaczęli rozrywać szponami jego podobne do korony zwieńczenie. Farin warknął i także rzucił się na wroga. Zaatakował od spodu. Poczul ból w drugim skrzydle. Wbił zęby i szpony w statek.

– *Do środka!* – przekazał telepatycznie. – *Wciągnijmy go!*

Czuł, jak jego pazury gniotą i zabijają żywą tkankę. Iron, Nuuma i Huna rozrywali szczyt statku, odrzucali szponami i zębami całe płaty poszycia skąpane we krwi, trudno powiedzieć – wroga czy ich. Nagle dla wszystkich stało się jasne, że pilot nie żyje. Charakterystyczna wibracja, uczucie, które towarzyszyło mu podczas lotu, zniknęło. Farin znał umieranie. Pamiętał je dobrze z czasów Drugiej Wojny z Thirami. Opadli ze statkiem na taras schronu.

– *Zabiliśmy go, ojcie* – nadał Iron.

– *Praca zespołowa daje dobre rezultaty* – sapnął Farin.

Ciężko dyszał. Nuuma podleciała do niego i z troską spojrzała na jego skrzydła. Sączyła się z nich krew. Iron chwycił wrogą maszynę i zaczął ciągnąć ją do schronu. Dołączyła do niego Huna.

– *Zobaczymy, dziecino, z czego cię zrobiono* – warknęła.

Droga Mleczna  
Rubieże  
Planeta Sparta, wysoka orbita  
08 Decimi 232 EI, 17.72 H

Peter „Crash” Kytes i Konon Eim ukryli się wśród listowia najbardziej odległego tarasu *Teacupa*. Byli połączeni świadomością kolektywną i używali przyspieszenia. Wszystkie skojarzenia i wnioski pojawiały się błyskawicznie, czasami jeden nakładał się na drugi i nie zawsze byli pewni, kto jest autorem której sugestii.

*Zawiadomić Torkila?*

*Jeszcze nie. On ma swoje sprawy na głowie. Poza tym Han nikomu nie zrobił realnej krzywdy.*

*Atakować?*

*Powinniśmy, ale jest trzeci stan wojenny i zalecenie ImBu, żeby skakać do wskazanego punktu. Z każdą cetnią tracimy czas. Flota wroga może się pojawić na orbicie Sparty w każdej chwili.*

*Pertraktować?*

*To niezła myśl, ale najpierw dzielić i potem gadać czy gadać bez bicia?*

*Jeśli go nie dzielimy, drony mogą stanowić problem.*

*Jeśli go dzielimy, mogą stanowić większy. Niedaleko jest pancernik Bezlitosny. Poprosić o pomoc?*

*To jakiś pomysł, ale oni mają własne problemy.*

*Wszyscy mają własne sprawy?*

*Właśnie. My też.*

*Nikt nie ma takich problemów jak my.*

*Prawda. Już dawno nie słyszałem o próbie morderstwa.*

*Ja wcale. Tylko w grach, ale tam każdy wie, że nic się nikomu nie dzieje.*

*Może spróbujemy z chujem pogadać mentalnie?*

*Dobra myśl. Nie wykryje nas.*

*Otóż to. Poza tym Pauline, Harry i Anna dowiedzą się, że nic nam nie jest.*

*I że możemy im pomóc.*

*Tak.*

*Działamy?*

*Okej, Konon, ale ja gadam, ty słuchasz. Nie tworzymy dwugłosu, bo to może być odebrane jako nasza słabość.*

*Zgadzam się.*

*Nie zwalniam. Będziesz mi przesyłał wszelkie sugestie i skojarzenia.*

*Frag, zanudzę się na śmierć.*

*To przyspieszaj na czas, gdy będzie mówić, i zaraz potem zwalniam.*

*Sam na to wpadłem.*

*Jesteś zarozumiała.*

*Tak mnie wychowała mamusia.*

*Dobra, zwalniam.*

*Okej.*

Świat wokół Kytosa ożył. Liście tarasu, widziane na tle gwiazdzistego czarnego nieba, wyglądały egzotycznie. Krzywizna raju Sparty robiła upiorne wrażenie, bo uświadamiała, że naprawdę są w kosmosie. Jak można przebywać wśród roślin, bez żadnych widocznych osłon, w próżni? Można. Od dawna można, bo widoczne osłony przestały być potrzebne. Peter zerknął w kierunku, gdzie pole energetyczne utrzymujące powietrze wokół *Teacupa* powinno się układać pod największym kątem. Tam było je widać. Niebieską, opalizującą mgiełkę. I ta mgiełka opierała się jednej z największych sił w kosmosie – próżni.

Gdy Peter podziwiał najnowszą technologię WayEmpire, Konon wyłączył wspólną świadomość, bo – jak stwierdził przed przerwaniem połączenia –

„znudziły go rozważania starego piernika”. Kytes odgryzł się, już menowo, że Eim sam jest starym piernikiem, bo pamięta Ziemię.

– *Ale nie tak starym jak ty* – odparł syn Pauline i było to zgodne z prawdą.

– *Dobra, cicho, łączę... Han?*

Na trójwymiarowym ekranie, który zamajaczył przed Craschem i Kononem, pojawiła się uśmiechnięta facjata asasyńska.

– *A, jesteście. Już myślałem, żeście spieprzyli.*

– „*Żeście spieprzyli*”? *Co to za składnia?* – przesłał men Konon.

– *Han, słyszałeś zalecenie ImBu? Jest trzeci stan wojenny. Nie ma czasu na bezsensowne gierki. Uwolnij dziewczyny i Harry’ego, a potem leć tam, gdzie sugeruje Budda.*

– *Teraz mnie uwalnicie? Jaka wspaniałomyślność! Nie wiem, czy zauważyłeś, ale sam się uwolniłem. Jako wolny Sit.*

– *Wolny, ale głupi* – rzucił Konon.

– *Ssieć, Konon, przesyłaj mi sensowne uwagi, nie gówniarskie komentarze*

– Peter odparł menem.

– *Han – Peter odezwał się do Fierce’a – nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie dorwałeś dwóch dimenów. Moje zdolności z pewnością znasz z Gladiatorów. Konon jest graczem od ponad dwustu trzydziestu cykli. To Ziemianin i dimen od czasów dzieciństwa. Wcale nie masz tak dużych szans, jak ci się wydaje.*

– *Doprawdy?*

– *Występowanie z pozycji siły jest w twojej sytuacji nierozsądne. W pobliżu stacjonuje Bezlitosny. Słyszałeś o nim, prawda? Przebywasz w airvillu Błogosławionego Anioła Śmierci. Dziwię się, że ImBu nie uznał jeszcze twojego postępowania za Wielkie Zło.*

– *Widać mu się to podoba.*

– *Idziesz po krawędzi.*

– *Tak.*

- *W imię czego?*
- *Obraziliście mnie swoim podłym traktowaniem. Jakbym był idiotą.*
- *Jeśli nie jesteś idiotą, możesz to udowodnić.*
- *Chcesz powiedzieć, że moje postępowanie jest głupie?*
- *Chcę powiedzieć, że twoje postępowanie może jeszcze być mądre.*

*Przeszłość jest już za nami. Liczy się przyszłość.*

Na chwilę zapadła cisza.

- *Nie wiedziałem, Peter, że z ciebie taki negocjator – przekazał Konon.*

Crash wzruszyłby ramionami, ale nawet na to nie miał ochoty. Jak dotąd rady Konona były bezużyteczne.

– *Powiem ci, co zrobię – odezwał się Han. – Wezmę obie cizie na pokład, do siebie. Uwolnię je, jak będę miał ochotę.*

- *Torkil cię dorwie i rozerwie na strzępy – odezwała się mentalnie Pauline.*

– *To prawda – przyznała Anna z filozoficznym spokojem. – Nie wiesz, w co się pakujesz. Zostaw nas w spokoju. Jest wojna, nie dotarło do ciebie?*

– *Gównu mnie wasza wojna obchodzi. Nie zamierzam brać w niej udziału. I zrobię, co będę chciał.*

- *On jest aspołeczny – skwitowała Sokolowsky.*

– *Scenariusze są takie – Peter usłyszał men Konona – zabiera Annę i mamę, skacze do miejsca wskazanego przez ImBu, wojna kończy się naszą wygraną. Razem z wujem Torkilem znajdujemy go i pacyfikujemy. Drugi: skacze w wybrane przez siebie miejsce i do końca życia unika naszej zemsty, czyli czeka go smutny los uciekiniera pozbawionego dostępu do dobrodziejstw WayEmpire. Trzeci: przegrywamy wojnę i wszyscy ginimy, więc nie ma co się droczyć. Czwarty: przegrywamy wojnę, pozostają niedobitki, Han przeżywa. Ma wtedy na pokładzie dwie nienawidzące go kobiety. Piąty: przegrywamy wojnę i ludzkość organizuje wielką karawanę, którą ucieka w kosmos. Wtedy, jeśli Han zechce do niej dołączyć, a zachowa*

*się jakikolwiek ślad jego zbrodni, zostanie osądzony surowiej niż teraz, bo będzie coś w rodzaju prawa wojennego.*

– *Dobra analiza* – odpowiedział Peter i przesłał ją Hanowi i wszystkim uczestniczącym w rozmowie.

Przez chwilę trwała cisza.

ImBu poinformował, że Spartę opuszcza coraz więcej statków. *Bezlitosny* zniknął. Nad rajem zaczęły się mnożyć airville i wszystkie po chwili bytowania w próżni przestawały istnieć. Dzieci Rubieży opuszczały swoją ojczyznę.

Peter walczył ze sobą: odezwać się czy nie? Naciskać? Scenariusze Konona, chociaż były logiczne, miały jedną wadę – stawiały Fierce'a pod ścianą. Nikt tego nie lubi. Co prawda jeśli ktoś chce kogoś do czegoś przekonać, najlepiej obiektywnie przedstawić sytuację, akcentując fakty, i czekać na decyzję, ale Fierce wyglądał na zakompleksionego, a tacy stawiają opór przy najmniejszym podejrzeniu presji. Skąd on się swoją drogą wziął? Kto go wychował?

– *Co ci z tego przyjdzie, Han?* – odezwał się w końcu.

– *Będę miał swoją zemstę.*

– *Pozwól, że ci przypomnę, że to ty chciałeś zabić Torkila.*

– *Moja zemsta ma szerszy kontekst. Poza tym potraktowaliście mnie bardzo źle.*

– *Ciesz się, skurwysynu, że żyjesz* – syknęła Pauline. – *Dość tego pieprzenia! Czas ucieka! Peter, wyrwij mu kutasa z korzeniami, mam dość tego dupka!*

Crash jakby na to czekał.

– *Wujku, co robisz?* – krzyknął za nim Konon.

– *Porządek* – syknął Peter, wywołując z podprzestrzeni dwa mechaniczne miecze.

Eim pokręcił głową.

– *Na Buddę, Dziki Zachód...*

Wszystkie walki, jakie stoczyłem w Goodabads, pomyślał Peter, wszystkie boje w innych grach, wieki doświadczeń na arenach esportowych i ostatnio w Gladiatorach... Jeśli cały ten ogrom nauki miałby przynieść jakikolwiek plon, to jest to chyba odpowiedni moment.

Mężczyzna zatrzymał się przy ścianie airvilla. Przy takiej przewodze luf jedyna rozsądna taktyka to atak z góry, z bezpiecznej snajperskiej pozycji. To oczywiste. Wyeliminować cele jeden po drugim. Peter widział na podglądzie kamer *Teacupa*, jak drony Fierce'a zajmują pozycje bojowe i wypatrują go w wysokich oknach. Ale, analizował Crash, widziałem setki sytuacji, w których taki rozsądny plan spalił na panewce, bo był przewidywalny. Asasyn raczej nie miał taktycznego doświadczenia, niemniej nie był głupi. Dlatego trzeba go było zaskoczyć. Kytes poszybował w dół, ku korzeniom siedziby. Tam znalazł wejście, rzadko używane, ale dobrze mu znane z licznych zabaw strategicznych z Torkilem. Tak, wciąż lubili się bawić w wojenną ciuciubabkę i były to zabawy wielce pouczające. Dimen poszybował tunelem w górę, wydał dyspozycję przyspieszenia, po czym otworzył zdalnie włącz.

Pojawił się dokładnie w środku hallu, w którym były drony i unieruchomieni przez nie więźniowie. Wiedział, gdzie się ustawić, bo kamery podglądu *Teacupa* pokazały, jak roboty są rozmieszczone. Począł ułamek cetni, aż automaty wycelują w niego broń. Wyprysnął w górę dokładnie wtedy, gdy oddały salwy, unieszkodliwiając trzech mechanicznych towarzyszy. Kątem oka widział, jak twarz Hana zaczyna się wykrzywiać w maskę zdziwienia. Dimen zmienił tor lotu i ciął najbliższego robota w szyję, rzucając drugi miecz w automat stojący po prawej. Roboty powoli wypuszczały więźniów, przybierając pozycje strzeleckie, co było

inteligentnym posunięciem. Kytes spodziewał się tego. Schował się za plecy kolejnego drona, gdy automaty oddały gęstą serię strzałów. Robot zwiotczał i zaczął się osuwać, gdy Peter, szybując tuż nad podłogą, przeciął wpół następnego przeciwnika i zbliżył się do kolejnego. W tym czasie wrócił do niego miecz, odcinając głowy jeszcze dwóm oponentom i tnąc w skos tego, przy którym znajdował się Crash. Czempion Gladiatorów chwycił połowę korpusu robota, zasłonił się przed strzałami, po czym rzucił ją w górę, a sam, znowu tuż przy podłodze, dopadł trzy następne drony. Gdy wydawało się, że zaraz spacyfikuje następnego mechanicznego woja, stojącego niedaleko Fierce'a, gwałtownie zawrócił, obleciał masywny stół, który przyjął na siebie zmasowany ostrzał, dopadł Hana od tyłu i ciał w prawą rękę.

Ramię w zwolnionym tempie zaczęło lecieć ku podłodze, a Fierce jęknął i opadł na kolana, sięgając zdrową ręką do chlustającego krwią kikuta. Peter przystawił wirujące ostrze do jego twarzy. Sprawne drony Hana zastygły. Dimen wyłączył przyspieszenie i zmierzył się z krzykiem domowników, szczękami turlających się robocich głów, plaskaniem ręki Fierce'a oraz chrzęstem, z jakim zwały się ostatnie unieszkodliwione roboty. Ubrany w stalowoszary pancerz mężczyzna patrzył to na Petera, to na swoją zdziesiątkowaną obstawę, nie bardzo rozumiejąc, co się stało. Jeszcze przed chwilą oczekiwał ataku z góry, tymczasem nagle coś wyprysnęło spod podłogi, jego drony zaczęły do siebie strzelać, tracić nogi oraz głowy i latać w powietrzu... A potem jego ręka znalazła się na podłodze.

– Ciesz się, skurwysynu, że pomyliłem twojego kutasa z ramieniem – odezwał się grobowym głosem Peter. – To był komplement. A teraz uwolnij ich w ciągu najbliższych pięciu cetni albo pomyle twoje przyrodzenie z łbem. Tym razem komplement to nie będzie.

Wrogie roboty natychmiast odsunęły się od Pauline, Anny i Harry'ego.

– Wuju, ale pokaz! – Crash usłyszał Konona.



Spojrzał w górę. Syn Pauline wychylał się z wysokiego okna.

Drony Torkila gramoliły się i powoli naprawiały. Zawsze mu powtarzał, że powinien z nich zrobić bardziej bojowe jednostki. Te cudaczne gynoidki bardziej przypominające hurysy niż roboty średnio się sprawdziły. Kilka ocalałych robotów Hana czekało na rozkazy.

Przy rannym natychmiast pojawił się medmat. Peter rozpoznał, że pochodzi z airvilla Hana. Miał inny kształt i był mniejszy od należących do Aymore'a. Chwycił przedramię asasyna, wypoziomował broję i zaczął zespalać rękę.

Peter wciąż trzymał miecz przy twarzy Fierce'a.

– Nakaz swoim droidom powrót do macierzystej siedziby.

Han ledwie zauważalnie skinął głową. Automaty pozbierały szczątki mechanicznych braci i wyniosły się. W ciszy słychać było tylko popiskiwanie medmatu i sapanie rannego. Złączenie przeciętej kości, mięśni i ścięgien musiało zająć trochę czasu.

Obok Petera stanęła Pauline.

– Ładne cięcie.

– Rana szarpana – skwitowała Anna. – Papuśna. Zęby twoich mieczy są sexy.

– Jesteś nienormalna. – Kytes spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Mówię, co myślę.

– I to jest straszne.

– No i co? – spytał Harry. – Na co ci to było?

Nagle zdziwili się. Wszyscy. Na twarzy Hana Fierce'a pojawił się wyraz ulgi. Uśmiechnął się w bardzo dziwny sposób.

– No dobra – Pauline strzepnęła z rąk niewidzialny pyłek – ranny opatrzony,

porządek przywrócony. – Spojrzała na Hana. – Przykro mi, ale wciąż jesteś naszym więźniem.

– Rozumiem – odparł Fierce, dziwnie rozluźniony i spokojny.

Pauline wskazała Spartę.

– Na tej planecie praktycznie nikt nie został. Rubieże są puste. Skaczemy.

I to już. Harry, gotowy?

– Tak, księżniczko.

– To się pospiesz.

Ledwie *Teacup* wykonał skok i wraz z *Sokołem*, *Grendelem*, *Walkerem*, *Ulissesem* i *Bashingiem* zniknął z orbity Sparty, pojawiły się nad nią miliardy wrogich statków.

I najeźdźcy zdziwili się, ujrawszy pusty glob.

## Obraz 5

# Inwazja

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Worplan Dharma, orbita  
08 Decimi 232 EI, 18.19 H

Otrzymałmśmy raporty od ImBu. Były przerażające. Laurus, Nexus, Tanya, Angela, Samuel i ja patrzyłmśmy na siebie i szukalimśmy słów, a gdy ich nie znaleźlimśmy, dziwylimśm się, dlaczego, gdy dzieje się coś niespodziewanego, człowiek koniecznie chce to nazwać, jakby zjawisko nienazwane wymykało się kontroli. Zadawałm też sobie pytanie, jaki ma związek flota, która pojawiła się nad planetami WayEmpire, z tą, która była niszczona przez czarne dziury na obwodzie Galaktyki. Dlaczego wróg rozdzielił siły? Czy był to manewr świadomy, czy przypadkowy? Zostali zaskoczeni przez Whale czy od początku taki był plan? Mieli odwrócić naszą uwagę? Ale po co? Są tak potężni, że nie musieli tego robić.

Rozmyślania te były przerywane falami rozpacz, które przetaczały się przeze mnie, ilekroć ginął człowiek. A umierały setki. Każdą śmierć

odczuwałem, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w plecy. Gdy umierasz, kończy się twój świat. Cały świat. Zwycięstwa, porażki, znajomi, ukochani, wszystkie przygody, radości i smutki. Raptem ktoś wyłącza fonię i wizję, a potem nastaje nic i to nic cię obejmuje. Znikasz. Teraz niby nazywamy śmierć wylogowaniem, ale nic nie zmienia faktu, że umieranie jest arcyważnym, absolutnie osobistym i niezaprzeczalnie najważniejszym wydarzeniem w życiu człowieka, jakkolwiek karkołomnie to brzmi. I ja te wszystkie arcyważne wydarzenia czułem. Czułem tę przerażającą powagę momentu. Tę chwilę, gdy kończą się wszelkie żarty, a barwy, nie wiadomo dlaczego, zawężają się do czerni. Jest to moment rozpacz. Egzystencjalnego niemego krzyku. Ludzie wysyłają fragmenty menów do najbliższych lub zastygają w przerażeniu i z nikim się nie kontaktują, chłonąc tę ostatnią chwilę, jakby oglądali najlepszy holm w życiu. Nie chcą uronić ani mikrocetni spektaklu pod tytułem JA UMIERAM i zaczynają się spieszyć. Chcą zawrzeć jak najwięcej myśli przed końcem, pragną „myśleć szybciej”, jak skazaniec przed egzekucją, i panicznie szukają najważniejszych słów, bo przecież nie wypada żegnać się ze światem myślą o ostatnim posiłku czy przelatujących airvillach...

Nic dziwnego, że ImBu obdarował mnie pieczęcią Anioła Śmierci. Czułem, że jakaś niepojęta część mnie, ta, którą widuję pod postacią Anielicy bądź Demona, jest w momentach pożegnań bardzo zajęta. Czułem, że wita się z istnieniami ludzi, których ja nie znam, ale drugi ja, opisany przez Klaudiusza Aeliusa Optimusa jako Omnihomo, zna.

I nie wiedzieć czemu, co chwila ocierałem łzy.

Nexus i Laurus patrzyli na mnie w milczeniu. Tanya „Paula” Kitaro Dex spoglądała ukradkiem na pieczęć Anioła Śmierci. I nagle, zdaje się, dotarło do nich wszystkich, z jakim ciężarem się ona łączy.

Otrzymaliśmy od naszych karawan meny, że na razie są bezpieczne poza

obrębem WayEmpire. Ludzkość się rozproszyła. W każdym razie ta jej część, która mogła to zrobić. Nie było sensu trzymać się planet, które miała spotkać masakra Macierzy. Był to jedyny sensowny ruch. Ewakuacja. Ucieczka. Wróg był zbyt potężny. Mieliśmy co prawda sto czterdzieści Erri, które na razie wydawały się niepokonane, ale to było nic. ImBu cały czas próbował policzyć statki wroga, lecz ze względu na nieustanny ruch jednostek nie było to łatwe. Na każdą planetę wypadało około trzech miliardów dużych statków. Trzy miliardy jednostek o wymiarach kilometr na kilometr na kilometr. Ich pojawienie się naruszyło integralność rajów, zachwiało filarami, wzburzyło oceany, uaktywniło wulkany. To była prawdziwa Apokalipsa.

Tyle cykli. Tyle cykli budowaliśmy WayEmpire, aby przyszła jakaś niepojęta siła i zdmuchnęła wszystko, jakbyśmy się w ogóle nie liczyli.

Sygnał połączenia z Dharmy.

Imperatorka.

Sensowała do nas.

– Nie odbieraj od kurwy, bo znowu się wszyscy zakochamy – ostrzegł Laurus.

– Zgadzam się z RanaRem – odezwała się Stone. – Jeszcze jej nam brakowało.

– *Torkilu* – usłyszałem głos Imperatora – *przyjmijcie to połączenie. Ta kobieta może pomóc.*

– *Dlaczego tak rzadko się odzywasz, panie?* – odpowiedziałem. – *Potrzebujemy cię!*

– *Mylisz się* – rzekł i dodał sygnaturę smutnego uśmiechu. – *Radzicie sobie doskonale.*

– *Doskonale?! Ucieczka to doskonały plan?*

– *We wszechświecie jest tyle galaktyk, że znajdzie się miejsce dla wszystkich. Zbierzemy się i uciekniemy.*

- *Co to za istoty? Dlaczego mają humanoidalny kształt?*
  - *Obserwowałeś społeczności Weenów?*
  - *Drugi Torkil. Tald. Setki. Przesyłał mi paki.*
  - *Czy którakolwiek wytworzyła pojęcie boga?*
  - *Nie.*
  - *Czy którakolwiek populacja Myonów zainteresowała się astronomią, zbudowała obserwatoria, choćby z kamieni?*
  - *Nie. Traktują gwiazdy jako naturalne składniki nieba, podobnie jak słońce, księżyc i chmury. Żeglarze używają ich do nawigacji, ale to raczej prosta odmiana astronomii.*
  - *Patrząc na Myonów, człowiek się dziwi, skąd u naszych przodków obsesja kontaktowania się z bóstwami, które były gdzieś wśród gwiazd, prawda? Czego to dowodzi?*
  - *Ezra, mamy teraz czas na teologiczne pogaduszki?*
  - *Niektórych rzeczy nie da się inaczej ująć. Odpowiedz mi. Czego to dowodzi?*
- Westchnąłem.
- *Że Lama miał rację. Człowiek jest z natury świecki, a pojęcie bóstwa nie jest naturalne.*
  - *Ergo?*
  - *Hm?*
  - *Ergo, cała historia człowieka, cała historia kościołów, wiar w dwanaście bóstw, dwunastu apostołów, dwanaście nadistot olimpijskich to farsa, wcale nie śmieszny eksperyment na naszym gatunku, prawdopodobnie niezamierzony.*
  - *Co masz na myśli?*
  - *Torkil, pojęcie „bóg” jest nienaturalne. Jest kilka rodzajów religii. Animistyczne, w sumie bardzo miłe, mówiące, że w każdym kamieniu jest*

*jakaś dusza. Solarne, traktujące słońce z należytą powagą, i słusznie, bo wszyscy jesteśmy z gwiazd. Wreszcie kłamstwa dla ludzi pozbawionych nadziei, takie jak chrześcijaństwo, czy mniej perfidne, na przykład buddyzm, który mówi, że w niebie czeka nas nieustanny haj. Są też jeszcze religie „kosmiczne”, czyli wszelkie mutacje wierzeń o dwunastu bogach – przybyszach z nieba. Zwolennicy hipotezy, że bogowie przysli z gwiazd, często mówią, że nasi przodkowie pomylili kosmitów z bogami. Nie. „Bóg” to po prostu inna nazwa kosmity, Anunnaki, tego, który przybył z nieba. Pojęcie „bóg” w rozumieniu istoty wyższej zostało przez kogoś zaszczepione.*

*– Przez kogo?*

*– Podejrzewam... że przez naszych gości.*

*– To bogowie?*

*– To nasi ojcowie, Torkilu. Ci, przez których musimy korzystać z exuterów, bo jak w przypadku każdego zwierzęcia hodowlanego, mamy kłopoty z ciężką i porodem. – Westchnął. – Zanim pogrążymy się w nirwanie czy udamy na wygnanie, musimy załatwić jeszcze jedną sprawę. Rodzinną.*

Droga Mleczna

Macierz

Łza Cheronei

Utajniony sektor Nem 01

08 Decimi 232 EI, 18.25 H

Kapitan Hans Colter, dowódca jednostki *Nemesis*, najtajniejszego projektu Imperatora, spojrział na towarzyszące mu Błękitne Żuki, a potem na piętnastu Aniołów Śmierci, których udało mu się zgromadzić podczas błyskawicznego rajdu nad najbliższymi planetami WayEmpire. Mózg statku informował, że

liczne uszkodzenia, jakie *Nemesis* odniósł podczas wyprawy, goją się. Nazwa następnego celu widniała przed jego oczami: „Dharma”.

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Worplan Dharma, orbita  
08 Decimi 232 EI, 18.25 H

Przyjąłem połączenie. Laurus, Angela i Nexus także. Ale Tanya, Samuel, Smoki oraz Lapidoi nie widzieli Imperatorki ani jej nie słyszeli. Dla bezpieczeństwa.

– Dziękuję, Torkilu, że zechciałeś ze mną porozmawiać.

Usłyszałem jej piękny głos, zobaczyłem pełne, ostro wykrojone usta oraz świecące zęby. Jakaż ona piękna! Na granicy świadomości tłukła się myśl, że Torkilowi gamedecowi chyba się nie udało, ale nie było to już takie ważne. To w ogóle nie było ważne.

– Czego chcesz, pani?

– Myślę, że jest tu ktoś, kto chciałby z tobą pomówić...

Na prawo od niej zobaczyłem trójwymiarowy ekran, a na nim... Torkila. Od razu wiedziałem, że to Tald. Siedział w komnacie kojarzącej się z pałacowym wnętrzem. Przed nim tkwiła złota skrzynia przypominająca Arkę Przymierza.

– Torkil? – spytałem.

– Ta...

Musiła zwolnić czas w talizmanie, bo mogłem z nim normalnie rozmawiać.

– Dałeś się złapać?



– Genialna obserwacja.

– Cloe też?

– Jak widzisz.

Kamera wycofała swoje oko i ekran ukazał również moją cyfrową córeczkę. Ślicznie wyglądała w karmazynowej szacie obwieszanej złotem.

Torkil wziął głębszy wdech.

– Oszczędzę ci wypowiedziane kolejnych oczywistych stwierdzeń typu „och”, „ach”, „o rany” tudzież „szkoda” i spróbuję w najprostszy sposób opisać swoje... odkrycia. Jesteśmy w jednym z jej pięćdziesięciu talizmanów. Centralnym, chociaż nie ma to większego znaczenia. Ta kobieta stworzyła tu bardzo silny kult oparty na lęku i podziwie.

– Stara sztuczka. Imperator powinien tego zabronić.

– Powinien. Ale zdaje się, że teraz Imperator to wy, znaczy Błogosławieni, więc bierzcie się do roboty.

– Słusznie. O ile przetrwa nasz świat, co jest mało prawdopodobne, zabierzemy się do tego...

– Okej. Zrobiła coś niedozwolonego.

– Mianowicie?

– W tej skrzyni jest kolejny świat z jej kultem, w którym stoi identyczna skrzynia ze światem z jej kultem, a w nim tkwi taka sama skrzynia z jej światem z jej kultem i tak w nieskończoność. Powtórzę: w nieskończoność.

Dał mi chwilę na przyjęcie tej wiadomości.

– Nie pytaj mnie, jak osiągnięto tę „nieskończoność”, bo to dla mnie zbyt zaawansowana matematyka. Dowiedzieliśmy się, że we wszystkich pozostałych talizmanach jest to samo. Rozumiesz? Milczysz, czyli tak. To czyni ją boginią. Wy macie po dwa, trzy talizmany...

Zerknąłem na swoje kamienie. Nie rozdzieliliśmy ich. Med i Sin zostawili je mnie, czyli Dexowi, podejrzewając, że mogę ich najbardziej potrzebować.

Oczywiście o ile Konon się sprawi i wprowadzi tam mój, tfu, kult.

– Ona ma ich nieskończoność. Moc talizmanów oparta na woli Weenów jest słabiutka. Słabsza od grawitacji. To najbliższa siła w multiwszechświecie. Ale gdy wyznawców są miliardy miliardów miliardów, gdy wszyscy krzyczą „bądź wola Twoja”, staje się najpotężniejszą siłą we wszechświecie. Podejrzewam, że Imperatorka pokazała dotąd tylko część swojej mocy. Mam wrażenie, że z takim wsparciem jest faktycznie wszechmocna.

– To niech wyrzuci agresorów.

– Jednak zaatakowali?

– Nie mamy szans.

– Jest aż tak źle?

– Nigdy nie było gorzej.

– Owszem, Torkilu, jest źle – odezwała się kobieta. – Dlatego naprawdę mogę pomóc. Nam wszystkim. W tej chwili.

Spojrzałem na nią podejrzliwie. Czy możliwe, żeby to wszystko było jej sprawką? ImBu potrafił przeprowadzać manewry na wielką skalę i zaskakiwał WayEmpire sfingowanymi napaściami, ale Budda miał zasoby. Co miała ta kobieta? Praktycznie... nic. No, Worplan. Ale tylko jeden. Nie byłby w stanie wytworzyć takich flot...

– W jaki sposób? – spytałem.

– *Torkil, właśnie wleciał tu jakiś statek* – odezwała się menowo Stone.

– *Obcy?!*

– *Nie, nasz, ale... dziwaczny. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.*

– *Torkilu?* – usłyszałem głos Imperatora i zaświecił się nade mną SaintDroid. – *Ten statek nazywa się Nemezis. To jedyny pojazd w Imperium, który potrafi skakać zarówno w naszej, jak i w innej fizyce. Na jego pokładzie są Błękitne Żuki i piętnastu Aniołów Śmierci. Polecicie do Andromedy.*

Słucham?!

– *Dzięki Imperatorce traficie dokładnie tam, gdzie macie trafić.*

– *Czyli gdzie?*

– *Tego nie wiem. Zrobicie zwiad.*

– *Panie, nie możemy wygrać tej wojny!*

– *Wiem. Dlatego wyznaczycie miejsce, do którego wyślemy...*

– *Co, panie?*

– *CIII.*

– *CIII?*

– *Tak. Właśnie tam teleportujemy Enkidu.*

– *To samobójstwo! CIII uwolnione tak blisko Drogi Mlecznej zniszczy ich i nas.*

– *Unicestwienie WayEmpire jest faktem.*

– *Panie! Nie możesz tak mówić!*

– *Torkilu, przestań wierzyć w cuda. Zniszczymy tę cywilizację. Może uda nam się uciec.*

– *Tak spokojnie to mówisz, panie?*

– *Nie, Torkilu. Ja płaczę.*

\* \* \*

*Na czym polega soulerstwo?*

Imperialna Akademia Soulerów na Gai

Jonasz Juda Grand

Fragment rozdziału *Rozmyślenia o niemożliwym*

„Problemem, który od ponad dwóch stycykli gnębi fizyków i filozofów WayEmpire, jest fenomen soulerstwa. Żebyśmy mogli go zgłębić, ustalmy

jego definicję.

Soulerstwem nazywamy uzdolnienie jednostki ludzkiej lub postludzkiej (Ranowie), którego rdzeniem jest wpływanie na prawdopodobieństwo zdarzeń, przeczuwanie przyszłości, odczuwanie emocji innych ludzi oraz – w przypadku dojrzałych soulerów – kontakt z Omnihomo, czyli dopełnieniem człowieka w innym wymiarze. Omnihomo najczęściej jest jednolity i niewidoczny. Tylko w przypadku Ranów został podzielony na Demona i Anielicę, które to duchy opiekuńcze są najczęściej widziane wyłącznie przez samych zainteresowanych, a w rzadkich przypadkach także przez innych Ranów. Demon i Anielica mają wpływ na realną rzeczywistość – są liczne dokumenty świadczące o tym, że potrafią niszczyć reistyczne obiekty, a także leczyć organizmy.

Skąd się bierze »soulerska moc«? Od ponad wieku badamy kwanty zwane inotronami, które coraz częściej określane są jako »boskie cząstki« (tę nazwę przejęły od bozonu Higgsa). Wydaje się, że – chociaż brzmi to nieprawdopodobnie – to właśnie one są odpowiedzialne za oddziaływanie, jakie zachodzi między myślą soulera a materią *per se*. Wyobraźmy sobie słońce emitujące fale elektromagnetyczne. Fala taka wpływa na obiekty, które znajdują się na jej drodze – popycha je, ogrzewa, napromieniowuje. Jej nośnikiem jest oczywiście foton, emisariusz terażniejszości. Teraz postawmy w miejsce słońca soulera, a dokładniej nie jego ciało, lecz... myśl. Jak wiemy, myśl jest niematerialna, jest czystą informacją. Jako taka, wydawałoby się, nie może mieć wpływu na reistyczną materię, choć – z drugiej strony – gdyby nie było żadnego połączenia między nią i naszym materialnym mózgiem, mogłaby w każdej chwili »odpłynąć«, a tego nie robi. Wydaje się, że to, co łączy myśl z mózgiem, jest tym samym, czym promieniuje dalej – falą inotronów. Myśl soulera, jak słońce, otoczona jest polem tych cząstek. Rzecz jasna myśl nie powinna być nigdzie

zlokalizowana, ale sam fakt przynależenia do danego soulera powoduje, że ogniskiem pola jest mózg lub dibek. Co robią inotrony? Nie ogrzewają, nie popychają, nie napromieniowują materii, jak promienie słońca. One ją... kształtują, i to nie tylko materię, ale czasoprzestrzeń. Można powiedzieć, że boskie cząstki są młotem i kowadłem boga, soulerzy zaś, jeśli przyjąć tę religijną nomenklaturę – czymś w rodzaju aniołów.

Jednak to nie wszystko. Jeśli bowiem czasoprzestrzeń jest plastyczna i »ugina się« pod wpływem myśli, jest jeszcze mniej realna, niż wydawało się dotychczas. Co jest bowiem twardsze: młot i kowadło czy żelazny, rozgrzany do czerwoności miecz przez nie kształtowany?

Nic dziwnego, że godłem soulerów jest narzędzie kowala...”

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Wiz, grunt  
Polia Tris, dystrykt Hook  
08 Decimi 232 EI, 18.58 H

Niebo nad wieżami Tris było ciemnoszafirowe, poprzecinane dziesiątkami niższych i wyższych grafitowych chmur. Na zachodzie królowały odcienie różu zmieszanego z karmazynem, a na wschodzie już było widać świt – bordową lunę. Był to typowy wygląd nocnego nieba planety posiadającej raj. Sam Yon, Sara Bor, Zoe i dimeni, którzy dopiero co uczestniczyli w przyjęciu urządzonym przez rodzinę Starów, tkwili pod jednym z wielu oświetlonych tarasów leniwie okrążających wieżę kotwiczną niedaleko siedziby Dionizego. Platforma co chwila drżała od fal uderzeniowych, które nadciągały z różnych kierunków, niosąc odgłosy gromów. Tłoczyli się

w pobliżu centrum dysku, bojąc się wykrycia. Dzięki minikamerom, które za nich wychylały się poza osłonę, obserwowali, jak organicy wylegali przed airville i gromadzili się na tarasach oświetlonych dryfowymi lampami. Zachowywali się, jakby na coś czekali.

Proporcjami Tris targał nietypowy dla nocnej pory wiatr. Huczał i gwizdał, przelatując przez szczeliny platform. Sporadycznie słyhać było niskie, wibrujące odgłosy, jakby się waliły filary rajy. Przeciągłe rzeżenia dźwigarów polii odbijały się od wież i murów Tris. Komunikaty ImBu informowały, że pojawienie się wielkich mas obcych statków na orbicie powoduje reakcje obronne kompleksów budowlanych. Niektóre bariery grawitacyjne wskutek przeciążeń zostały zerwane i teraz budowle, broniąc się przed dalszymi uszkodzeniami, usiłują się regenerować. Budda uspokoił, że rajowi nie grozi zawalenie, ale odradzał lot na otwartej przestrzeni, bo wiatr i hałas mogą przybrać na sile.

Z analiz Buddy wynikało, że organicy zostali zarażeni wirusem, który zmienił ich genotyp, natomiast atmosferę planety wysycono feromonem wzmacniającym posłuszeństwo. Na pytanie o sposób, w jaki wirus dostał się niezauważony do atmosfery planet WayEmpire, Budda miał tylko jedną odpowiedź: każda drobina została teleportowana osobno.

Tego ani Sam, ani Sara, ani nikt ze zgromadzonych nie potrafił pojąć. Jaką technologią musiała dysponować cywilizacja, którą stać było na takie przedsięwzięcie?

– *No cóż* – odezwał się Sam – *skoro nad każdą planetą naszego Imperium tkwią ponad trzy miliardy pojazdów, ciągle ich przybywa, a wszystkie wyglądają na jednostki bojowe...*

– *Podobno Rubieże się ewakuowały* – rzuciła mentalnie Sara.

– *Szczęściarze* – mruknął, także myślowo, jeden z dimenów.

Woleli nie odzywać się na głos, żeby nie zdradzić swojej pozycji.

– *Poszliśmy na pierwszy ogień* – szepnęła wisząca obok niego dimenka w motombie, który podczas przyjęcia był kanarkowy, a teraz, wskutek zastosowania kamuflażu, ledwie widoczny.

– *My też powinniśmy uciekać...* – rzucił ktoś schowany dalej.

– *Ale jak?* – odezwał się Sam. – *Nie dolecimy do naszego airvilla niezauważeni. Wasze są, zdaje się, jeszcze dalej. Zresztą zaraz tu nas wykryją i zaczną smażyć...*

Zoe delikatnie stuknęła Yona w udowy pancerz.

– *Wujku, ciociu, boję się.*

Sara spojrzała na partnera złym okiem.

– *Cicho, Zoe, wujek żartował.*

– *Na pewno?*

– *Tak.*

– *A co się stało z dziadkiem?*

– *Jest chory. Ale niedługo wyzdrowieje.*

– *Złakrew, jak się stąd wydostać...* – mruknął Sam.

– *O, do diabła!* – Ktoś w głębi się zakrztusił, co było dziwne, bo teoretycznie u dimenów to niemożliwe.

– *W imię Anheli, Diabła i Błogosławionego...*

Sam zerknął w okna podglądu serwowane przez ImBu. Na orbicie Wiz pojawiły się nowe statki. Miały dziesięć kilometrów w każdym kierunku i kształt ciernistych okręgów. Podobne do nich obiekty już wisiały nad planetą, ale żaden nie był tak wielki...

Nagle poczuł w głowie potężny ucisk.

*Słuchajcie mnie i nikogo innego. Nie macie szans. Oddajcie mi cześć.*

Oczywiście nie słyszał tych słów, odczuwał tylko ich znaczenie, które było jednoznaczne, ostateczne i zmuszające do bezwarunkowego poddania. Miał wrażenie, że ten rozkaz gniecie go od środka, wyciska treść z żołądka,

którego w zasadzie nie miał, wypycha powietrze z nieistniejących płuc. Wrażenie potęgowała nocna pora, surrealistyczne cienie rzucone przez budowle, organicy zachowujący się jak zombi... Na Buddę, co za straszna, przemożna siła!

Yon spojrział spanikowanym wzrokiem w kierunku organików zgromadzonych na jednym z odległych tarasów. Jak na komendę upadli na kolana. Sam także czuł nieodpartą chęć poddania się imperatywowi...

– *Yon, czujesz to?* – usłyszał Sarę.

– *Tak.*

– *Nie wytrzymam!*

– *Musisz, nie możemy się poddać!*

– *O rany! Wywaliło łączność podprzestrzenną!* – krzyknął ktoś z grupy.

– *Co to znaczy, wujku?* – zawołała mentalnie Zoe.

Sam spojrział na Sarę, a Sara na Sama.

– *Straciliśmy kontakt z innymi planetami...*

Pustka międzygalaktyczna  
Poblize Ramienia Krzyża Drogi Mlecznej  
Sektor 5857/43278/4235  
08 Decimi 232 EI, 18.60 H

Patrzyliśmy na taniec potężnej floty najeźdźców i Erri Widzących, odbierając coraz więcej danych z Macierzy i Rubieży. Nad prawie wszystkimi planetami pojawiły się floty wroga. Nawet dominium Smoków padło ofiarą inwazji. Ojcowie nie wykryli kilkunastu Worplanów, układu Gilgamesh, Nomorii i Vaporii. Rubieże zdążyły się ewakuować. Niestety, dimeńska populacja Macierzy została poddana bardzo silnemu atakowi, organicy zaś – ci, którzy



nie schronili się w szczelnych pomieszczeniach lub nie uszczelnili na czas pancerzy – odmienieni tak jak Kaliai na Cyklonie, tyle że mocniej i brutalniej. W dodatku poddano ich jakiemuś praniu mózgu, tak zwanym rozkazom, które dla odróżnienia od naszych, zostały nazwane imperatywami. Pancerniki Macierzy zostały zniszczone tak szybko, że zdążyły oddać zaledwie kilka zupełnie nieszkodliwych strzałów. Pojazdów wroga nad planetami przybywało. Teraz nie były to już trzy miliardy na glob, ale sześć miliardów. Ustawiały się w pierścieniach na coraz wyższych orbitach. Okalały nimi całe kule. Przewaga liczebna i technologiczna przeciwnika była tak wielka, że Imperium Tao jawiło się przy najeźdźcach jak bakteria przy słońcu.

Nie mogliśmy wygrać tej walki.

Oddziały zgromadzone przy Whalach uciekły do nas, stwierdziwszy, że nie mają tam co robić i że Eiffle być może same się obronią. Zresztą trudno było sobie wyobrazić zniszczenie takich mas. Podczas ucieczki nasi strasznie oberwali. Inne grupy Ranów, podobne do naszej, także składające się z kilku tysięcy wojowników w Skymourach, czuwały na obrzeżach Drogi Mlecznej w pobliżu cywilów, którzy ewakuowali się z Rubieży. ImBu nie pozwolił łączyć oddziałów w obawie, że skomasowanie pozostałej armii i Maodionów spowoduje w razie kontaktu z wrogiem ich anihilację. My byliśmy najbezpieczniejsi – bronili nas Widzący. Ale reszta? Po prostu nie miała szans.

Czekaliśmy zatem, aż ImBu określi punkt docelowy ewakuacji oraz obmyśli plan ucieczki mieszkańców Macierzy. W Lokalnej Grupie Galaktyk, oprócz Andromedy i Drogi Mlecznej, jest jeszcze galaktyka Trójkąta i pięćdziesiąt mniejszych skupisk. Poza tym mamy mnóstwo galaktyk poza grupą, a Stridery przebyły już tak wielkie odległości, że spokojnie moglibyśmy się osiedlić gdzieś daleko, bardzo daleko...

Im dłużej obserwowałem flotę wroga walczącą z Widzącymi, tym bardziej docierało do mnie, że jej zadaniem było obserwowanie i skanowanie z bliska Drogi Mlecznej, główne siły zaś zostały rzucone od razu w kierunku planet. Wysłałem ten men do Dexa przebywającego nad Dharmą. Podziękował, stwierdziwszy, że ciągle trapił go ten problem. Med siedzący ze mną w Skymourze stwierdził, że cetnię przed otrzymaniem ode mnie paku wpadł na to samo. Nie dziwota – patrzyliśmy na to samo przedstawienie. Wśród walczących pojawiły się jeszcze dwie czarne dziury, bardzo blisko pierwszych kolapsarów. Wciągnęły kolejną część floty wroga i o mało nie rozszarpały kilkunastu Erri. Wtedy Whale dały spokój. Chyba faktycznie uprzędziły atak, a teraz płaciły cenę za swoją szlachetność.

Na szczęście nie wszyscy tylko się zastanawiali, co robić. Imperialni Soulerzy, Narowie i Słuchający Besebu w naszym zgrupowaniu skupili swoje siły na „słuchaniu” przeciwnika, usiłując ustalić jego pochodzenie. I udało im się. Odkryli, że – jak podejrzewaliśmy – Ojcowie zamieszkują Andromedę. Wyczuli, że to piekielnie stara cywilizacja i że jej przedstawiciele zamieszkują nie tysiąc planet, jak my, ale około dwudziestu milionów.

W tym momencie każdy myślący człowiek powinien się zastrzelić albo – ewentualnie – czekać na meteoryt, który z pewnością kiedyś przyleci i roztrzaska mu czerep. Jeśli bowiem jego światu grozi cywilizacja, która opanowała dwukrotnie większą galaktykę, powinien przyznać od razu, że nie ma szans, i – jeśli jednak nie zdecydował się na samobójstwo – podziękować jej, że zamieniła go w niewolnika, zamiast anihilować.

Rany boskie. Dwadzieścia milionów planet zamieszkanych przez humanoidy o naszych rozmiarach może oznaczać dwieście biliardów istnień. Ktoś w ogóle słyszał o takiej liczbie? Jest ich przynajmniej dwadzieścia tysięcy razy więcej od nas, co i tak zdumiewa z uwagi na różnicę wieku cywilizacji. Narowie wyczuli, że to rasa niezwykle długowieczna, co być

może wyjaśnia, dlaczego tak powoli się rozmnażają. Wyczuli też jednoznacznie, że istotnie Ojcowie chcą z nas zrobić to, do czego według nich jesteśmy stworzeni: niewolników. Jak powiedział kiedyś Lama, „pokornych prymitywów”.

Nagle z floty zajętej walką z Erri zniknęło kilka tysięcy statków. Budda poinformował, że pojawiły się na orbitach planet WayEmpire i wzmocniły przekaz, ten swój imperatyw. Wrogowie pozostawili resztki na pożarcie Widzącym. Wynikało z tego, że właśnie ta armada to trzon ich sił. Te cierniste statki. Nie rzucili ich od razu, najpierw chcieli spacyfikować planety. Cholera, gdybyśmy to od razu wiedzieli...

*– Ludzkość ma szansę – odezwał się Imperator. – Tą szansą jest ucieczka. Budda wyznaczył już punkty skoków, najpierw do Trójkąta, potem dalej. Ale przedtem zadamy Ojcom, tym, którzy nas stworzyli, ostatni cios. Wyślemy do nich CIII. Jeden statek dokona zwiadu. Pożeracze Światów i Worplany otrzymają rozkaz przekazania całej materii w miejsce teleportacji. W tymczasem...*

Cisza.

– Panie? – odezwałem się. – Ezra!

Frin poinformował o przerwaniu sieci hiperprzestrzennej.

Imperator przestał nadawać.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem w polu widzenia przekreśloną ikonę założyciela buddyzmu, a obok niej, także przekreślony, złoty symbol Ezry. Spojrzałem na portrety Angeli, Leyi, Laurusa, Nexusa i Kroza, zerknąłem na siedzącą w sterówce Tanyę.

– Co robimy? – spytała.

I znowu cisza. Tak cicho jeszcze w WayEmpire chyba nie było.

A potem zamigotała ikona Buddy, obok niej zaś logo Nemezjusa siedzącego na tronie.

– Witaj, Torkilu – odezwał się Rector Ludens. – Nie jestem już wszechogarniającym. Powstałem w lokalnej sieci stworzonej tutaj przez Maodiony i pancerniki. Opieram się teraz na komunikacji falowej, nie hiperprzestrzennej, więc pracuję dużo wolniej niż zwykle. I nie mam kontaktu z pozostałymi osobowościami.

Mimo wszystko poczułem ulgę.

– Będziesz się umiał z powrotem skleić?

– Być może tak. Nie sądzę jednak, żeby to była miła operacja.

Dostałem przekazy od obecnych we flocie Narów i Imperialnych Soulerów, że usiłują utrzymać łączność, że Charonowie wysilają wszystkie moce, a Ludzie Bramy płaczą, by zachować integralność świata, ale świat nie chce ich słuchać. Rozpadał się, wkraczała w niego inna fizyka, wszystko się rozprzęgało, a Ojcowie, najwyraźniej przystosowani do innych fizycznych praw, tryumfowali.

Nie mieliśmy już wszechmocnego Buddy i Imperatora.

Tak prosto.

– Kurwa – wyrwało się Hawkowi. – Dobierają nam się do dupy, a my nawet dziewczyn i chłopaków nie możemy skrzyknąć, żeby im raz a dobrze dowalić.

– Za pozwoleniem – odezwał się Tell – nie cała łączność padła.

– Co masz na myśli, Smoku?

– Sicie Smoku albo panie Smoku, jeśli łaska. Ja doskonale słyszę moich braci i siostry w całym WayEmpire. Są Suverzy na wielu planetach Imperium. Mam z nimi łączność.

– Na Buddę! Nadaj im zaraz, żeby każdy znalazł sposób na przekazanie informacji dla całej planety, na której się znajduje.

– Jakiej informacji?

– Rozkazu natychmiastowej ewakuacji.

– Z całym szacunkiem, zdaje się, że organicy są uziemieni.

– Tylko ci, którzy nie zachowali się zgodnie z procedurami. Zniewoleni. Inni i dimeni mogą to zrobić.

– A ci... zombifikowani organicy jeszcze nie teraz?

Admirał westchnął.

– Jeszcze nie teraz, Tell. Przekaż swoim braciom i siostram na Dragonii i innych smoczych planetach, że Imperium ich potrzebuje. Niech polecą Szponami na każdy glob, na którym jeszcze ich nie ma, i zrobią to samo: przekażą polecenie ewakuacji. Prześlij im namiary skoków.

– Żeby dobrze zrozumiał: na każdą planetę WayEmp...

– Prześlę ci to pakiem.

Admirał Hawk opisał szczegółowo, jak wyobraża sobie tę akcję: Smoki, koordynując telepatycznie swoje działania, dostaną się na wszystkie planety Imperium. Polecą trójkami, dla większego prawdopodobieństwa powodzenia. Po dotarciu na miejsce dorwą silny nadajnik falowy, najlepiej w jakiejś automatycznej stacji newsów. Takich lata mnóstwo. Tu admirał podał kody umożliwiające nadanie globalnego komunikatu. Potem Smoki miały czekać na rozkaz. Gdy napłynie, przekażą go organicznym mieszkańcom planet i uciekną.

– Wielu Dragonów zginie podczas tej akcji – skomentował Tell. – Przebywanie na otwartej przestrzeni to pewna śmierć, nawet dla Smoka.

– Prawda. Niech szukają stacji nadawczych w budynkach. Masz w załączniku namiary.

– To już lepsze...

– Wiem, że to poświęcenie, Sicie Tellu. I nie mogę obiecać, że w jakikolwiek sposób zostanie nagrodzone.

– Panie admirale? – Tym razem do Hawka odezwał się Trajan Teogenes.

– Tak, Carze?

– *Mój dawny adiutant Farin pokonał wraz z rodziną jeden z pojazdów wroga. Przesłał raport z oględzin, niestety tuż po tym, jak padła komunikacja, więc przekaz był telepatyczny. Spróbuję opowiedzieć, co znalazł, i odtworzyć obrazy.*

Smok uruchomił mnemoprojektor.

Droga Mleczna  
Macierz  
Planeta Dragonia, grunt  
Terytorium High Spire, obszar zachodni  
08 Decimi 232 EI, 18.81 H

Farin, Iron, Huna i Nuuma bacznie przyglądali się wnętrznościom rozdartego przez siebie pojazdu.

– *Bracia i siostry, widzicie to, co ja* – Farin przekazywał telepatycznie. – *Osobnik, którego oglądam, ma zmiażdżoną i w dużej części spaloną głowę, więc trudno powiedzieć, jak wygląda ten czerep.* – Zerknął na Nuumę. Żałowała, że tak go rozszarpała.

– *To ja, ojciec* – nadał Iron. – *Ja tutaj najbardziej grzebałem. Przesadziłem.*

– *Nieważne* – rzucił Farin.

– *Jeśli chodzi o nogi* – powiódł przekaz – *także uległy maceracji, więc o ich budowie też niewiele mogę powiedzieć, ale kształt tułowia i rąk sugeruje, że to jakby ludzie.* – Dragon przełknął ślinę. – *Są ubrani* – stuknął szponem w przedramię humanoida – *w szare kombinezony, rodzaj egzozkieletów, ale odkrywających zaskakująco dużo bladego, umięśnionego ciała...* – Obrócił rękę obcego. – *Mam wrażenie, że ten tutaj gość jest bardzo stary, chociaż skóra i ogólna kondycja raczej na to nie wskazują.*

Wyczuwamy bardzo silne mechanizmy regeneracyjne. Te organizmy to potężne samonaprawiające się fabryki, coś jak ciała Ranów. – Wziął głęboki wdech. – Na szyi, tej części, która ocalała, jest fragment urządzenia, jakby metalowej obroży niepołączonej z egzoszkieletem. Wgłębienia na skórze wskazują, że ten osobnik nosił ją od bardzo dawna i raczej nie zdejmował. Obroża ta kojarzy się z niewolnictwem, chociaż wiem, że nie powinniśmy używać takich porównań. Cały czas unosi się tu... zapach. Myślę, że jest niewyczuwalny przez ludzi. Dochodzi najmocniej z tego modułu, tuż przy twarzy pilota. Ze wstępnych analiz naszych frinów wynika, że to feromon bardzo mocno oddziałujący na układ nerwowy. Mózg naszej siedziby twierdzi, że to coś w rodzaju... „zapachu posłuszeństwa”. Jest bardzo podobny do świństwa, które rozpylają na Dragonii i wszędzie indziej.

Farin przeniósł wzrok na zdewastowane zwieńczenie statku, którego rozchylone kolce przypominały koronę.

– To gówno...

Iron powstrzymał śmiech.

– Przepraszam, to urządzenie według mózgu siedziby emituje fale inotronowe. Bardzo silne promieniowanie, wciąż aktywne. Zdaje się, że obcy pławią się w tych falach. Wszystkie czujniki zanotowały niespotykane natężenia. Serafów jest jak mrówek. Latają teraz wszędzie, nawet tutaj, w apartamencie mojej rodziny. Głównie rogate i zaopatrzone w kopyta... Moim zdaniem mamy do czynienia z niewolnikami. Czuliśmy to bardzo intensywnie. Ten osobnik nawet nie bardzo do mnie celował. Zachowywał się, jakby mu było wszystko jedno, jakby... nie miał nadziei. W ogóle skuteczność ostrzału jest niska. Mógł mnie trafić kilka razy, a zamiast tego popalił mi skrzydła. Na mój gust te obroże są gwarantem wykonania rozkazu. Moduł feromonowy zdaje się to potwierdzać. Zupa inotronowa podpowiada, że są wśród nich potężni soulerzy, pewnie w tych wielkich koronach na orbicie. To

wszystko wskazuje na...

Pustka międzygalaktyczna  
Poblize Ramienia Krzyża Drogi Mlecznej  
Sektor 5857/43278/4235  
08 Decimi 232 EI, 18.83 H

– ...społeczność paranoidalną, w której największą wartość mają posłuszeństwo i zdolności soulerskie. Fakt, że strzelają tylko do dimenów, może świadczyć albo o tym, że nie mogą ich kontrolować, albo też o niechęci do maszyn, sztucznej inteligencji. Zakładam, że główną ich siłą są magicy, a reszta to zniewoleni...

Ekran, który Trajan Teogenes wyświetlał przed sobą, generujący obrazy powstałe w jego myślach, zgasł.

Admirał Hawk zgrzytnął zębami.

– Mości Suverze, przekaz, proszę, tę informację Smokom na wszystkich planetach. Niech postarają się wysłać ją dalej. Sitowie i Smoki WayEmpire powinni mieć wgląd w tę wiedzę.

– Te informacje już zostały Smokom przesłane, admirale.

– Przed chwilą?

– Nie, wcześniej, przez Farina.

– Racja. Nigdy się nie przyzwyczaję do tej waszej telepatii. Podziękuj, proszę, temu Farinowi. Dobrze się spisał.

– Tak.

– Torkil?

– Admirale?

– Czyli twoi Opętani koledzy dobrze robią, dając tamtym łupnia?



- *Myślę, że tak.*
- *Widzisz, tamtych robi się coraz mniej.*
- *Tak.*
- *A nad planetami jest ich coraz więcej.*
- *Zgadza się.*
- *Nawet gdybyśmy nakłonili naszych boskich obrońców, żeby zawrócili i zaczęli oczyszczać kolejne planety, zajęłoby im to mnóstwo czasu, prawda?*
- *Prawda, admirale. Poza tym nie wiem, jaka jest ich kondycja.*
- *Opętanych? Wydaje się, że całkiem niezła. Jak dotąd żaden Errus nie został zniszczony, a obcy stracili pięćdziesiąt pięć statków.*
- *Według ostatnich szacunków ImBu mają ich ponad trzy biliony. Śmiem twierdzić, że szansa powodzenia jest żadna. Jeśli nawet Widzący zaczną walczyć nad planetami, odpowiedź wroga może być straszna...*
- *Zaczną niszczyć globy?*
- *Na przykład.*
- *Czy ktoś ma pomysł, jak bardziej efektywnie wykorzystać naszych kowbojów?*
- *Z całym szacunkiem, sir – odezwała się Lea Stone – gdyby nie oni, już by nas nie było. Jesteśmy jedyną siłą w WayEmpire, która może bezkarnie zbierać dane na temat przeciwnika. To właśnie dzięki Opętanym nasi soulerzy odkryli dom Ojców.*
- *Na Imperatora, świeć Buddo nad jego niebytem, pani generał ma rację!*
- *Przepraszam, czy możemy zmienić tę nazwę? – odezwała się Lea. – Ja szanuję swojego ojca, a tych padalców jakoś nie lubię. Może Waderzy?*
- *Albo Konstruktorzy? – rzucił Nexus.*
- *Waruici – usłyszeliśmy jakiś głos. Należał do Takeshiego Ivamoty, Rana z Trzysta Piątego.*
- *Dlaczego tak, Tomo? – spytał Laurus.*

– *Warui chichioya to po starojapońsku zły ojciec.*  
– *Zły to Warui?*  
– *A chichi to ojciec.*  
– *Czyli Waruici – skonstatował RanaR. – Dobrze. Warczące i jakieś takie... paskudne.*

Arealium  
Gra Redland  
Wyżyny Greenlandu  
Ćwiartka Północna  
Czas realium:  
08 Decimi 232 EI, 18.88 H

Sprite, Tarik i Edson w milczeniu oglądali sytuację na powierzchni planety. Edson, nie zwracając uwagi na to, że dziwacznie to wygląda, popłakiwał. Rude, poplamione krwią włosy zakrywały jego nieogoloną twarz, a łzy spływały po szczeciniastym podbródku. Jego rodzice zamienili się, jak twierdził, w „zombi”. Nie zdążyli do siedziby Sprite’a, a pancerze mieli rozszczelnione. Rodzice Tarika także zamilkli. Tylko opiekunowie Sprite’a uniknęli tego strasznego losu. Przebywali razem z nimi, w tajnej komnacie, również w stanie dewitalizacji. Też używali arealium, ale w celu zdalnego zawiadywania Inbamami. Na razie drony te czuwały w domu. Rodzice bali się wychodzić z nimi na zewnątrz. Młodych wojowników, co zrozumiało, zupełnie już nie interesowała bitwa o Greenhorn.

Wiał coraz silniejszy wiatr. Chmury, jakich od dawna nie widzieli nad Tris, zasłaniały jedną trzecią nieba. Przeskakiwały między nimi błyskawice. Czasami wyładowanie pędziło wzdłuż wieży kotwicznej albo pioruny

strzelały między chaotycznie żeglującymi airvillami. Ciągłe huczało i grzmiało. Sprite miał nadzieję, że raj się nie zawali. Obserwował filary znajdujące się najbliżej Tris. Dotychczas się trzymały. Gdyby coś im się stało, zostaliby zmiażdżeni samym powietrzem, o konstrukcjach tworzących raj nie wspominając.

Grupy organicznych „zombi” zbierały się na tarasach, a tymczasem dimeni uciekali przed statkami wroga. W pewnym momencie do jednej z grup organików podleciało kilkadziesiąt wrogich jednostek innego typu. Nie miały korony, lecz coś w rodzaju pojedynczej anteny. Jeden z ludzi bezwiednie podszedł do pojazdu i zniknął we włązie, a obiekt ruszył i... zaczął strzelać! Tym razem jednak nie niewidzialnymi salwami, ale zielonymi, rozmytymi smugami. Grupa dimenów, którzy właśnie usiłowali przedostać się do niższych części Tris, została ostrzelana. Jedna dimenka, trafiona, rozpadła się na kilkanaście części, które szczęśliwie z powrotem się poskładały.

– Widziałeś to, Tarik?!

Chwilę później nie było już cywilów, ale szwadron zakończonych anteną pojazdów.

Wrogów.

W polu widzenia pojawiła się ikona ważnej informacji. Sprite natychmiast ją uruchomił. Ukazała się... gęba Smoka. Gad był pokrwawiony. Ciężko dyszał.

– *Do wszystkich Sitów Wiz... tych, którzy mnie widzą i słyszą. W tej chwili komunikacja podprzestrzenna jest wyłączona przez wroga, więc polegamy jedynie na telepatii Suverów. Oto, czego się dowiedziałem od Cara, Trajana Teogenesa...*

Sprite, Tarik i Edson odbierali pak w napięciu, nie śmiąc wydobyć głosu, żeby nie przegapić żadnej informacji. Kosmici wyglądali jak ludzie. Byli tylko potężniejsi, bledsi, szersi w ramionach i biodrach. Dragon był w stanie

zniszczyć ich mały statek, oczywiście o ile udałoby mu się zmniejszyć dystans.

Gdy Smok skończył przekazywać wyniki oględzin Farina oraz relacje Imperatora, dodał:

*– Ponadto admirał Hawk oraz RanaR Laurus Wilehad zalecają natychmiastową ewakuację wszystkich planet Macierzy. Wiemy, że wielu organików nie może tego zrobić. Wiemy, że nierzadko zostały rozdzielone rodziny. Mimo to, dla zminimalizowania liczby ofiar, wy, którzy możecie, jak najszybciej opuśćcie Wiz i kierujcie się na podany w załączniku obszar poza WayEmpire. Opuśćcie ten glob. Macie pozwolenie na skoki w obrębie atmosfery. Uciekajcie czym prędzej...*

W tym momencie ściana za Smokiem została rozbita, a Suver rozszarpany przez nieznaną broń wroga. Krew obryzgała wizjer kamery.

– Co robimy? – spytał Sprite.

– Synku – na tle zbrojnych towarzyszy zobaczył twarz mamy – słyszałeś wiadomości?

– Podane przez tego Smoka? Tak, mammo.

– Musimy uciekać. Zabierzemy was wszystkich. Nie ruszajcie się. Ojciec będzie zdalnie kierował airvillem.

– Dobrze, mammo.

Matka Sprite'a spojrzała na Edsona.

– Nie płacz, Ed. Może twoim rodzicom nic nie będzie.

Chłopak popatrzył na nią. Starał się powstrzymać drżenie kącików ust i podbródka.

– Dobrze, Siti – powiedział niskim głosem.

– I ty też, Tarik. Budda na pewno im pomoże.

Tarik wyglądał gorzej od Eda, chociaż nie płakał. Jego okolona czarnymi włosami twarz była blada, policzki zapadnięte, oczy dziwnie martwe. Sprite

nigdy go takiego nie widział, nawet w grze.

– Chciałbym z nimi zostać – powiedział bezbarwnym głosem.

Matka Sprite'a przełknęła ślinę. Zaciśnęła usta.

– To bezcelowe, Tarik. – Pokręciła głową, jakby przepraszała za to obcesowe zdanie. – Nie pomożesz im, a sam... – Zagryzła wargę.

– Mamo – odezwał się Sprite – zanim odlecimy...

– Tak?

– Pozwól, że przyłożymy tym chamom.

Kobieta otworzyła szerzej oczy. Wydawało się, że z ulgą zmienia temat.

– Jak, synku?

– Pozwolisz nam zdalnie pokierować trzema strażnikami?

– Dobrze, synku, ale tylko wtedy, gdy zostaniemy zaatakowani.

Wódz Armii Wygnańców spojrział na towarzyszy broni.

– Chłopaki, wychodzimy z Redlandu.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz, grunt

Polia Tris, dystrykt Hook

08 Decimi 232 EI, 18.88 H

Sam Yon, Sara Bor, Zoe Star i reszta dimenów, którzy ciągle kryli się pod dryfującym tarasem, obserwowali nowe szwadrony śmierci – wąskie, pionowe pojazdy zaopatrzone w pojedynczą antenę. Oświetlone przez wielobarwne lampiony Tris wyglądały jak postawione na sztorc sztylety. Zataczały kręgi niebezpiecznie blisko ich kryjówek. Niestety, okazały się o wiele skuteczniejsze od myśliwców zwieńczonych cierniami, zupełnie

jakby ludzkie zmysły były sprawniejsze od zmysłów obcych. Na oczach Sama i Sary kilku dimenów rozprysło się na tak drobne fragmenty, że z pewnością dibeki także zostały zniszczone. Mieli nadzieję, że aruny nie zostały anihilowane i zdołały uratować dusze. Ale czy miały gdzie je przetransportować?

– *Sam, masz pomysł, jak dotrzeć do naszego airvilla? Bo chyba jesteśmy wszyscy zgodni, że powinniśmy uciekać?* – odezwała się mentalnie Sara.

Pozostali dimeni przytaknęli.

Nagle dotarł do nich niski, wibrujący dźwięk, a pobliska wieża zadrżała.

– *Co to?* – krzyknęła mentalnie Sara.

Lokalny ImBu, już nie tak potężny jak imperialny i nie tak szybki, ale wciąż zadziwiająco sprawny, poinformował, że na Wiz dochodzi do licznych trzęsień ziemi. Ich przyczyną są siły pływowe generowane przez przybywające na orbitach statki. Było ich teraz nad planetą około dziesięciu miliardów i liczba ta wciąż rosła.

Zoe zaszlochała.

– *Ciociu, czy my tutaj umrzemy?*

Sara spojrzała na jej pancerzyk, już nie w kwiatki i motylki, ale ledwie widoczny dzięki maskowaniu. Widziała ją wyraźnie tylko dlatego, że frin nakładał na jej sylwetkę zielone kontury.

– *Nie, kochanie, nie umrzemy. Uciekniemy.*

– *Nie chcę zostawiać dziadka, rodziców, Berta, Hanno, Tamary...*

– *Córeczko, spotkamy ich znowu, tylko na razie musimy odlecieć...*

Dziewczynka zmarszczyła mechaniczne brwi. Wyglądała jak postać z kreskówki dla dzieci.

– *Kłamiesz.*

– *Nie, Zoe.*

– *Kłamiesz. Nie jestem głupia. Świat się rozpada.*

– *Zobaczcie! Tamten airvill odlatuje!* – krzyknął któryś z dimenów.

Rzeczywiście, nad tarasy wznosiła się siedziba podobna do bajkowego zielonego zamku oświetlonego złotymi lampionami. Natychmiast zwróciły się ku niej statki z pojedynczymi antenami, a także kilkanaście pojazdów z koronami. Otworzyły ogień. Wieżyczki obronne airvilla zaczęły strzelać, a z trzech wejść wypadły duże drony bojowe i otworzyły ogień. Siedziba zamieniła się w latającą fortecę. Zasłoniły ją dymy i ściegi strzałów. Dimeni z zapartym tchem obserwowali całe starcie. Silniki podprzestrzenne airvilla już przygotowywały się do skoku, gdy duża część podstawy domostwa wybuchła trafiona niewidzialną palbą. Trupi niebieski blask eksplozji oświetlił pobliską wieżę. Airvill zaczął się przechylać. Trzy drony bojowe ostrzeliwały się zajadle, ale po chwili jeden z nich wybuchł, a drugi stracił rękę. Domostwo znowu się przechyliło, trafione w podstawę.

– *Nie dadzą rady...*

Na tle odległego purpurowego nieba, ledwie widocznego filaru rajy i wielokolorowych wież Tris widać było inne domostwa, które unosiły się i znikały. Do dimenów dotarły echa gromów – znikając w atmosferze, domy generowały silne uderzenia soniczne.

Airvill znowu otrzymał serię trafień, zatrzymał się, zachwiał i, jakby w zwolnionym tempie, zaczął lecieć w dół.

– *Cholera.*

– *Nie!* – krzyknęła Zoe i złożyła ręczki, jakby czarowała.

Od okolicznych wież i tarasów oderwały się części i poszybowały w stronę wrogich pojazdów. Te – trafione – zachwiały się i przestały strzelać.

– *Zoe, przestań!* – krzyknęła Sara.

Ale było za późno. Przeciwnik ich zauważył.

– *Do airvilla!* – krzyknął Sam. – *Sara, włączaj systemy, pozostali rozproszyć się! Wlatujemy tymi wejściami!* – Zaznaczył kilka dużych okien

siedziby. – *Włączam odliczanie! Gdy dojdzie do zera, skaczemy! Nie czekamy na resztę!*

– *Ta mała ma zdolności?* – spytał ktoś.

– *Przecież ImBu je zablokował!* – rzucił ktoś inny.

– *Może tylko u organików!*

Jeden z dimenów wyciągnął przeziernie ręce i wytrysnęły z nich błyskawice rozświetlające mrok. Od okolicznych budowli oderwało się mnóstwo odłamków, które poszybowały, nabierając szybkości, i uderzyły w statki wroga.

– *Ale ImBu nie żyje!*

– *Głupi jesteście! Wystarczy mu jedna planeta, żeby się pozbiierać!*

– *Skąd ty to wiesz?*

– *Jestem, kurwa, inżynierem!*

– *To może i Imperator?!*

– *Może! Skończcie gadki!* – wrzasnął Sam. – *Sara, gotowa?*

– *Tak!*

– *Lećcie po torach!*

– *Walimy w nie!*

Od dimenów oderwały się animowane wstęgi, błyski i promienie. Statki wrogów znowu oberwały odłamkami budowli. Jeden z biesiadników stęknął i rozpadł się na małe kawałki, które w tym momencie przestały być przeziernie, ale chwilę później się złączyły i mężczyzna znowu stał się praktycznie niewidzialny.

– *To jest pomysł!* – krzyknął Sam. – *Pewnie i tak nas widzą, więc kamuflaż na niewiele się zda, ale rozpadnijmy się na małe moduły! Będzie im trudniej nas trafić!*

– *To odsłoni sejfy z dibekami!*

– *Róbcie, co chcecie!*



Mimo ryzyka większość dimenów zamieniła się w grad modułów, który – niczym inteligentny rój zaczął – lecieć w kierunku airvilla Yona i Bor.

- *Wujku, jak to się robi?!*
- *Ty, Zoe, po prostu leć! Może cię nie zobaczą!*
- *Wujku, ja nie chcę!*
- *Zoe, musisz!*
- *Chcę do dziadka!*
- *Nie płacz! Wrócimy po dziadka!*
- *Obiecujesz?!*

Rój zaczął wpadać do airvilla przez okna i drzwi. Zoe zatrzymała się tuż przed oknem. Gromada kawałków, najprawdopodobniej należących do Sary, wepchnęła ją do środka.

- *Zoe, nie rób głupstw!*
- *Wskakujemy! Sara, start!*
- *Jeszcze pole siłowe!*
- *Na Buddę, szybciej!*

Pustka międzygalaktyczna  
Poblże Ramienia Krzyża Drogi Mlecznej  
Sektor 5857/43278/4235  
08 Decimi 232 EI, 18.95 H

- *Suverzy giną, admirale – odezwał się Car.*
- *Bardzo mi przykro, Trajanie.*
- *Nie czuję tego.*
- *Bo jestem odrętwiała. Nie potrafię wykrzesać żadnych emocji.*
- *Zgadza się.*

- Trajan, błagam.
- Udało im się dotrzeć do centrów medialnych na pięciuset czterdziestu dwóch planetach. Podczas tej akcji zginęło stu czterdziestu trzech Suverów. Każdą śmierć poczułem osobiście.
- Cześć ich pamięci.
- Admirale, czy to nie dziwne, że małe statki wciąż mogą się poruszać w podprzestrzeni?
- To rzeczywiście dziwne.
- Sądzę, że wkrótce inna fizyka to uniemożliwi.
- Tak, są coraz większe trudności.
- Ten bąbel rośnie.
- Dwa bąble, Carze.
- Istotnie. Czy wiadomo, kiedy dotrą do miejsc poza Macierzą i Rubieżami?
- To kwestia kilku hekt – odpowiedział admirał.
- Hm. Mam wrażenie, że unieruchomienie generatorów Mirova dużych statków nie było tylko wynikiem czegoś działającego „w aurze”, ale celowych posunięć.
- Zgadza się.
- I przez dłuższy czas nie mieli tych „luf” dostatecznie dużo, by zablokować wszystko.
- Tak.
- Podejrzewam te wielkie korony.

## Obraz 6

# Nemesis

Droga Mleczna  
Obszar poza Macierzą  
Worplan Dharma, orbita  
08 Decimi 232 EI, 18.97 H

Alphtrans *Nemesis* (Altered Physics Travelling Nonorthodox Spaceship, jak uprzejmie poinformował frin, dla przyjaciół „Alfik”) przypominał z zewnątrz dziurawy latający talerz, na którym wylądował mechaniczny żuk – miał wycięte koło w masywnej dolnej części i drobną górę, gdzie znajdował się mostek. Był mocno spłaszczony i dość szeroki. Gdyby nie złote zdobienia odcinające się od niebieskiego poszycia i niewielki emblemat Błękitnych Żuków na dachu mostka, raczej nie kojarzyłby się z żadnymi ludzkimi statkami. Gdy z Samuelem, Laurusem, Nexusem, Angelą, Tanyą i Quai przepłynęliśmy przez śluzy, mogliśmy się przyjrzeć wewnętrznej strukturze. Powitały nas, jak na Imperium, względna prostota i minimalizm. Sporo było elementów stylizowanych na polerowaną stal, sporo ciemnej szarości, a jeśli pojawiały się ornamenty, to raczej roślinne plecionki, głównie srebrne

i platynowe.

Do sterówki doprowadził nas dron, a tam, w bardzo dużym pomieszczeniu z panoramicznymi oknami, przywitał nas kapitan Hans Colter – dimen o kwadratowej oliwkowej gębie i potrójnych zielonych ślepiach. Otaczała go aura seledynowych promieni.

Gdy wymieniliśmy, jak zwykle w Imperium, dosyć złożone, ale szybkie uprzejmości, zwróciłem wzrok na piętnastu Aniołów Śmierci otoczonych wstęgami *Księgi Słowa*.

– Cześć, Primus – przywitał mnie Felix Duran, jedyny Żywy Święty Imperium. Wyglądał jak dawniej – płowowłosy cherub ubrany w srebrzyste pióra.

Wokół jego głowy unosiło się nie proste pojedyncze halo, jak wokół mojej czaszki i czerepu Nexusa, ale koło przekreślone dwoma krzyżującymi się promieniami.

Zerknąłem na Laurusa. Jak na niego zareaguje? RanaR ledwie zauważalnie przełknął ślinę. Nie był Aniołem, Błogosławionym ani tym bardziej Świętym.

– *No tak, kochany, nie można mieć wszystkiego* – przesłałem mu men.

Zacisnął szczęki.

– *Aż tak to widać?* – spytał totowo.

– *Trochę.*

– *Jestem beznadziejny.*

– *Nie tak znowu bardzo. I tak nami dowodzisz.*

– *O tym akurat pamiętam.*

– *Dzień dobry, bracia* – odpowiedziałem na głos.

Wykonaliśmy z namaszczeniem salut Ranów, dzięki czemu w pomieszczeniu zrobiło się czerwono, a potem, zgodnie ze zwyczajem Angeli Mortis, stuknęliśmy palcami w pieczęć Anioła Śmierci, co wywołało

głęboki, dudniący dźwięk, od którego zatrzęsło się wyposażenie *Nemesis*.

Po oficjalnej części wymieniliśmy totowe powitania. Znałem ich wszystkich. Trzech wchodziło w skład Toy Soldiers. Byli to: Diego Frost, grubiej ciosana wersja Laurusa w zielonych kwadratowych łuskach, Kaj Mbele, czarnoskóry człowiek-komputer, którego Coremour był ozdobiony czarno-czerwonymi meandrami, i Achilles Barlaam, olbrzym o mocnej, sinej szczęce, błękitnych oczach i ciężkich wałach brwiowych, którego jasnozłota zbroja przywoływała skojarzenia z mitycznym Thorem. Pozostali byli wybrańcami z innych Maodionów: szczerząca zęby Etna Wright z Szesnastego, obcięta krótko blondynka o wesołym, zaczepnym spojrzeniu, a przy tym znakomita pilotka nosząca zwyczajowo pancerz utrzymany w barwach obronnych, i Ramona Yu z Siedemdziesiątego Drugiego wyglądająca jak niebieska, metaliczna elfica w pancerzu z licznymi skrzydlatymi wstawkami. Obok niej lewitowała Gida Agatangelo z Siódmego, znakomita medyczka, w której spuchniętych łydkach, udach i przedramionach znajdowały się moduły lekarskie. Nieco za nią dryfowała Asmodea Tyr z Trzysta Trzeciego w Coremourze, który na pierwszy rzut oka przypominał ubranie jakiejś afrykańskiej bogini, co nieźle się zgrywało z jej indiańskimi rysami, ciemnymi oczami i karminowymi ustami. Do jej ucha właśnie szeptał coś Septimus Prime (jego ojciec miał poczucie humoru) z Dwieście Czwartego, przypominający Juliusza Cezara szatyn o myślącym spojrzeniu. Na jego zbroi, zgodnie z imieniem i nazwiskiem, mieniły się jasnobłękitne i złote cyfry jeden i siedem. Podejrzliwie przyglądała mu się Uria Par, także z Dwieście Czwartego, brunetka o mocnych ustach i mrocznych oczach nosząca prawie regulaminowy Coremour Wzór X. Pod tą skromną fasadą kryła jednak zdolności Człowieka Bramy. Na prawo od niej wisiała Iana Ohm z Czterysta Ósmego, dimenka w srebrno-czarnym motombie z licznymi szachownicami, doskonała wojowniczką i, jak o sobie

mówiła, filozofka od siedmiu boleści. Dalej pólleżał Logan Khaan z Drugiego, potężny mężczyzna z czarnymi bokobrodami trzymający cygaro w mocnych zębach. Prawdziwe zwierzę w ludzkim ciele – naprawdę nie wiem, jakim cudem na jego piersi pojawiła się pieczęć Angeli Mortis. Tuż przy nim udawał, że drzemie, Xavier Bald z Siódmego, łysy, milczący, wyglądający na starszego od reszty Ranów. Był to człowiek, który gdyby nie został Ranem, z pewnością byłby Auduxem, miał bowiem znakomite ucho do planet. Na prawo od niego w ekrany *Nemesis* patrzyła Martina Gunnar z Czterdziestego, wesoła i ładna blondynka o długich włosach, znana z tego, że jej Coremour był zawsze bardzo kolorowy, przeważnie z wizerunkami półnagich mężczyzn. Towarzyszył jej czarnobrody Bonaventura Vijanor, były lider Klanu Wesołe Chłopaki, teraz Błogosławiony i centurion Osiemdziesiątego. Nosił pancerz ozdobiony z przodu i z tyłu wielką uśmiechniętą gębą na pamiątkę swojego Reoru, który podczas Drugiej Wojny z Thirami został zdziesiątkowany.

Taak... Większość Aniołów Śmierci stanowiły kobiety. Hansowi Colterowi tylko przypadkiem udało się zebrać grupę, w której było aż tylu mężczyzn. Kobiety bardziej się wczuwają, mają więcej czasu dla drugiego człowieka, tak są skonstruowane, że naprawdę im zależy, by innym było dobrze – w przeciwieństwie do statystycznych mężczyzn, których w zbyt dużej mierze pochłania to, jacy są fantastyczni i niecodzienni. Mamy to w genach. Nawet Nexus nie dochrapał się pieczęci, chociaż jest empatyczny. Ale on był i jest zbyt delikatny. Anioł Śmierci nie może taki być, bo myśląc, że go boli, zapomina o drugim człowieku. Dlaczego Laurus nie otrzymał złotej pieczęci, nie muszę chyba mówić. Dlaczego ja ją otrzymałem? Cóż, zawsze czułem się trochę jak kobieta. Można powiedzieć: lesbijka w męskim ciele. Może dlatego mnie odrzuca od typowo męskich preferencji seksualnych i zamiast na pupy wolę patrzeć na brzuchy, a zamiast na biusty –

powiedzmy na ramiona.

Otrząsnąłem się z zamyślenia, dość dziwnego jak na taki moment.

– *Efendi, jestem pod wrażeniem* – nadał Tell.

– *Zajmij się swoimi sprawami. Zdaje się, że masz ich dużo po drugiej stronie Galaktyki?*

– *Słusznie. Ver'n'out.*

Odetchnąłem i zerknąłem na wiszące na prawo od Aniołów Błękitne Żuki, a wśród nich Kyle'a. Ledwie zauważalnie skinął do mnie jednym z manipulatorów zwisających z prawej ręki.

– Witamy Żuki.

– Czołem, Błogosławiony – odparł Giorgio Garibaldi, głównodowodzący.

Podlecieliśmy do siebie i wymieniliśmy uścisk dłoni. Nie za mocny. Nasze pancerze mogły sobie nawzajem zaszkodzić.

– Jak wam się podoba nasz statek? – spytał.

– Robi wrażenie. To o nim Kyle nie umiał milczeć?

Garibaldi uśmiechnął się i być może myślał, że w ten sposób nie udziela odpowiedzi. Oczywiście już ją znałem. Mój syn konstruował ten niezwykle pojazd. No, no, Kyle, jestem pod wrażeniem.

– Zdaje się – odezwał się kapitan Colter – że mamy wziąć jeszcze kogoś na pokład?

– Tak – rzekł Laurus. – Pewną kobietę, która, i tutaj proszę się nie śmiać, każe się nazywać Imperatorką.

Hans Colter lekko pochylił swoje mechaniczne oliwkowe ciało. Błysnęło środkowe, zielone oko umieszczone powyżej dwóch standardowych. W ten sposób, zdaje się, powstrzymywał chichot.

– Słyszałem to określenie od ImBu, nim zniknęła jego globalna forma.

Kapitan zamilkł. Widziałem, że dostał przekaz mentalny.

– Zdaje się – podjął – że statek z tą... kobietą jest już na orbicie.

Podejmiemy go.

Kilka mon później do sterówki *Nemesis* wpłynęła Imperatorka wraz ze świtą – inżynierami z Akademii, którzy doglądali jej talizmanów i byli osobistymi ochroniarzami, chociaż trudno było zrozumieć, po co jej dodatkowa ochrona ponad tę, którą sama sobie fundowała. Na przedzie dumnie unosił się Gustav Aard, główny programista talizmanów, przybrany w barwy Akademii Nauk – błękit i oranż. Na prawo i na lewo od niego frunęli inni, bladzi i poważni adepci sztuki programingu.

Zdałem sobie sprawę, że razem z nią przybyli cyfrowy Torkil oraz Cloe, wciąż uwięzieni w klejnocie na jej szyi. W schizofrenicznych światach Imperatorki było też zamkniętych dziewięćdziesięciu sześciu innych Taldów.

– Witam na pokładzie – odezwał się kapitan Colter.

Ładnie ominął kwestię tytułu. Przecież nie powie do niej „O, pani”.

– Dzień dobry, kapitanie. Piękny statek.

– To dzieło Błękitnych Żuków.

Imperatorka obróciła się w stronę lewitujących inżynierów.

– O, tak. Słyszałam o was wiele razy. To dzieło sztuki.

– Dziękuję, pani. – Garibaldi skinął głową.

Cholera, już sobie wszystkich owija wokół palca!

– *Colter, do rzeczy, jeśli łaska* – wysłałem men do kapitana. – *Ona zaczyna tutaj swój teatr.*

– *Ależ...*

– *Do rzeczy, jasna cholera!*

– *Słusznie, słusznie...* – Dimen odchrząknął. – Dokąd lecimy, Błogosławieni? – Wreszcie spojrzał na mnie, Nexusa i Bonaventure, nie zaś na nią.



Podrapałem się w głowę.

– Tego właśnie nie wiemy.

– Możesz, kapitanie, podać mózgowi statku cel... niesprecyzowany? – spytała Imperatorka mszystym głosem, a animacje wokół jej ciała rozbłysły.

– Nie. Będzie prosił o konkretne namiary.

– Możesz wyznaczyć kilkadziesiąt milionów celów?

– Tak, ale statek będzie musiał któryś wybrać.

– Czy mózg może oznaczyć wszystkie miejsca w Andromedzie, w które da się skoczyć?

– To będzie co najmniej dwieście miliardów lokacji...

– Nie uwzględniłeś pustki międzygwiazdnej.

– Siti, jeśli uwzględnię także to, liczba wzrośnie do wartości, którą trudno objąć. To będą biliardy biliardów możliwości...

– Trochę jeszcze mało, ale już lepiej. – Uśmiechnęła się, a z tym uśmiechem wybuchły animacje otaczające jej pierścienie, bransolety, paznokcie i naszyjniki. Pomieszczenie wypełnił słodki muzyczny akord.

– Siti? – odezwałem się, by przerwać miłosne świergotanie Coltera i kobiety. – Czy mogę prosić o uwolnienie Taldów, którzy przebywają w twych talizmanach?

Kobieta obróciła się do mnie i zawirował cały otaczający ją animowany zgiełk. Inżynierowie Akademii Nauk zmierz yli mnie uważnym spojrzeniem. Szczególnie nieprzyjemny był wzrok Gustava Aarda.

– Ależ tak. – Uśmiechnęła się, a mi zmiękły kolana. Spojrzała na Gustava i skinęła głową. Ten otworzył małe puzderko i wypuścił z niego rój entopterów. – Gdzie prezimują? – spytała. – Bo chyba nie w tych pojazdach? – Wskazała moje talizmany palcem zwieńczonym długim, animowanym paznokciem. Unosił się nad nim miraż skradającego się tygrysa. – Tu? – spytała.

Nie to miałem na myśli, ale że było to wyjście względnie szybkie i sensowne... Na RanStone, ta kobieta strasznie miesza w głowie.

– *Kolego, trzymaj się* – usłyszałem głos Tella.

– *Tell, zajmij się sobą.*

– *Ty to ja, ja to ty.*

– *Dobra, wracaj do tamtego Torkila.*

– *Pax.*

– Widzę, że tak – podjęła Imperatorka i zerknęła na Aarda.

Mężczyzna ledwie zauważalnie mrugnął, a otaczające go symbole Akademii na chwilę pojaśniały.

Entoptery podleciały do klejnotów Imperatorki i chwilę później otrzymałem z pojazdów potwierdzenia, że gamedecy już się w nich znajdują. Zaprosiłem ich do swoich talizmanów. Pszczołopodobne drony odwróciły pyszczki w stronę mojej piersi.

– *Torkil.* – RanaR zmierzył mnie tym wszystkowiedzącym wzrokiem i uśmiechnął się. Tylko oczami.

– *Hm?*

– *Do mojego wyślij Torkila. Tylko jego.*

– *Tori?* – W kabinie entoptera pojawiła się trójwymiarowa twarz Błogosławionego Aymore'a, którego realną wielkość mogliśmy podziwiać tuż przed szybą enta.

– *Tak?*

– *Wejź do topazowego sam.*

– *Dlaczego? Tak ciężko tam jest?*

– *Nie mam pojęcia. Jego wysokość RanaR tak zasugerował.*

– *Okej...*

Komunikator zamknął okno. Uniosłem brwi i spojrzałem na Cloe. Ta wzruszyła ramionami.

- Wystrzelę się do szafirowego. Razem z Hermanem.
- Uważaj na siebie, córeczko.
- Ty też.

Pojazdy wypuły swój ładunek, po czym zatoczyły krąg i odleciały do najbliższego gniazda minidronów na ścianie.

– *Ech, ten RanaR, wciąż taki sam* – usłyszałem telepatyczny szept Tella. – *Tajemnice, niespodzianki, próby i wyzwania. Założę się, że stworzył tam jakiś tor przeszkód. Znaczący w żółciutkim kamyczku.*

- *Tell, już ci mówiłem. Nie masz ważniejszych spraw do załatwienia?*
- *Nie mam. Zerknij przez okienko. Delegacja przyleciała.*

Kapitan Colter mrugnął górnym okiem, a w sterówce zamajaczyły dwa nowe ślepe serafy.

- Na orbicie właśnie pojawiły się...

Wywołałem podgląd radaru statku. Jego trójwymiarowy ekran wyświetlił mi się wprost przed oczami, przysyłając Coltera oraz Imperatorkę i jej świtę. Odczytałem sygnatury obiektów otaczających *Nemesis*: dwie Angele, dwóch RanaRów, dwóch Mariów Taylorów i dwóch Torkili z Tanyą.

– Tak zdecydowaliśmy – usłyszałem swój głos i zobaczyłem swoją głowę na oknie podglądu w prawym górnym rogu pola widzenia. – Mieliśmy też poparcie lokalnego ImBu. Po pierwsze, jeśli ginąć, to razem, po drugie, musimy mieć co najmniej jednego Smoka, żeby utrzymać łączność z resztą świata.

– Ale Torkil, co ty pieprzysz? Właśnie jak ginąć, to osobno, wtedy jest większe prawdopodobieństwo, że ktoś przetrwa. Poza tym jednego Dragona,

czyli Quai, już mamy – odparłem.

– Tylko jednego. Mało.

– *Właśnie* – potwierdził Tell.

– ImBu – ciągnął tamten – sugerował, że w misji *Nemesis* będziemy potrzebni z maksymalnym potencjałem. Wóz albo przewóz.

– Co to w ogóle znaczy?

– Żebym ja wiedział.

Ledwo nowi goście wladowali się na statek, otrzymaliśmy przekaz od lokalnego ImBu, że wróg najprawdopodobniej unieruchomił już napędy wszystkich statków w obrębie Macierzy i na Rubieżach. Quai i Tell potwierdzili te przypuszczenia. Siły w okolicach Ramienia Krzyża wciąż były mobilne, ale pozostawały na miejscu. Car przekazał ustami Quai, że nie zamierzają się nigdzie ruszać – dopóki chronili ich Opętani, byli bezpieczni, poza tym wciąż zbierali dane. Oba bąble innej fizyki – jeden w centrum, we Łzie Cheronei, drugi w Omerlee, jednej z planet Rubieży – puchły, ale tempo wzrostu, zdaje się, malało. Być może najeźdźcy nie mieli dostatecznej mocy, by spacyfikować całą Galaktykę, albo uznali, że już nas unieruchomili. Mylili się, bo mieliśmy trochę miejsc poza głównymi skupiskami, ale de facto nie dawało nam to jakichś wielkich korzyści. Oczywiście wyjątkiem było CIII... Co do komunikacji, mieliśmy Smoki, które dostały się na większość planet Macierzy i krwawiąc, czekały na dalsze rozkazy. Nie potrzebowałem ich pośrednictwa, by czuć, że ginie coraz więcej dimenów. Dreszcz śmierci przechodził mnie cetnia za cetnią. Globy spływały lawą, płakały wulkanami, drżały trzęsieniami ziemi, aury soulerskie zaginały czasoprzestrzeń. Wróg okazał się gniewem bogów, apokalipsą rodzaju ludzkiego. Tak jak było napisane w księgach: kiedyś wróci Mesjasz i zrobi rozpierduchę. Wrócił.

Nasz ojciec, stwórca, nieomal pankreator, wrócił i mścił się za to, że istniejemy. I zapewne biblijne wizje Sądu Ostatecznego były pikusiem, opowiastką o lokalnych porachunkach w porównaniu z tą galaktyczną hekatombą.

– Jak się czujesz? – spytałem jednego z Laurusów wiszących obok mnie.

Wilehad spojrział na mnie jasnymi oczami. Twarz miał jak zawsze szczupłą, ostrą, zdecydowaną. Nie wiem, jak on to robił, ale jego oczy stawały się czasami prostokątne i były wtedy groźne pod ściągniętymi, niskimi brwiami.

Uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Jak się czuję, przyjacielu?

– Jak milion dolarów – wszedł mu w słowo Nexus. – Było kiedyś takie powiedzenie.

Zerknąłem na jedną z Angel. Miała uniesioną głowę i dumnie patrzyła to na mnie, to na resztę towarzystwa. Te jej wielkie ciemnoniebieskie oczy, burza włosów, gładka cera. Uśmiechnęła się.

– Kocham cię, zwierzaku. – Pokazała mocne kły.

– Ja ciebie też, tygrysico.

– Kapitanie? – Laurus popatrzył na Hansa Coltera, który unosił się przed swoją konsolą.

– Jesteśmy prawie gotowi – odparł kapitan. – Mózg statku otrzymał osiemset siedemdziesiąt dwa septyliony lokacji w Andromedzie.

– Ona dość szybko zbliża się do naszej galaktyki, nieprawdaż? Będziemy w stanie wyhamować, gdy tam dotrzemy?

Colter wyszczerzył metalowe zęby i błysnął wszystkimi trzema oczami.

– Alfik to wyjątkowa maszyna. Trochę technologii ze Striderów i multum ulepszeń.

– *Wiem coś o tym* – mruknął menowo Kyle.

– Dobrze – odparł RanaR. – W takim razie czekamy na sygnał...  
Imperatorki?

Kapitan skinął metalową głową.

– Czy dobrze rozumiem? – podjął Laurus. – Skoczymy całkowicie losowo w jedno z miejsc wybranych przez mózg statku?

– Nie do końca – odezwała się Imperatorka wisząca blisko kapitana. – Postaram się, żeby było to miejsce kluczowe. Serce ich królestwa.

– A jeśli tych serc jest więcej?

– Spróbujemy odnaleźć najważniejsze.

– Jeśli mają strukturę społeczną podobną do naszej, czyli rozproszoną, serca nie będzie – odezwałem się cicho.

– Nie mają – rzekł Tell. – Przekaz od Farina był jednoznaczny. To społeczeństwo kastowe, niewolnicze. Wszystko wskazuje na to, że jest serce. Jest król. Myślę, że Siti dobrze określiła ich świat.

– Królestwo Ojców? – spytałem.

– Waruitów. Włada nim lęk. Wzajemny – szepnęła Quai. – Podwładni boją się króla, król boi się podwładnych.

– Dlaczego?

– Każdy władca boi się tylko jednego – oznajmiła Lea.

– Buntu – weszła jej w słowo milcząca do tej pory Tanya „Paula” Kitaro Dexi.

Tell powoli kiwnął wielkim łbem.

– Moi bracia i siostry przebywający na setkach planet zbierają coraz więcej informacji. Podwładni króla są w dużym stopniu pozbawieni chęci do działania, ich czyny nie mają w sobie pasji typowej dla rodzaju ludzkiego, a tym bardziej dla jedynych w swoim rodzaju, pełnych fantazji i niezwykłej koloratury Smoków.

Kroz nie wytrzymał i parsknął. Widać, że rzadko przebywał z Suverami.

– Stąd te obroże i moduły z feromonem posłuszeństwa – skończył Tell.

– To nie za daleko idące wnioski? – spytał jak zwykle sceptyczny Dominic.

– Dobra – uciał Laurus. – Starczy tych pogaduszek. Lecimy wreszcie?

Felix Duran, oficjalny przywódca Aniołów Śmierci, łagodnie się uśmiechnął.

– Możemy – zwrócił się do kapitana – rozpocząć procedurę skoku?

– Żuki, pełna gotowość! – warknął Georgio Garibaldi.

Zasyczały serwomechanizmy Technetów Wzór X, inżynierowie usadowili się w fotelach, które po chwili stworzyły sfery, ustawiając się wnętrzami do środka. Pojawiły się dziesiątki trójwymiarowych ekranów. Ruchy pancerzy i to, że zasłonili twarze przyłbicami, świadczyły, że przeszli dewitalizację i przyspieszyli. Teraz już ich nie usłyszymy.

– Siti? – kapitan Colter zwrócił się do Imperatorki.

– Daj mi chwilę, kapitanie. Poproszę wszystkich, choć zabrzmie to dziwnie, o zainkantowanie jednej prostej modlitwy.

– Hymnu Ranów? – spytał Tell.

– Nie. Słowa są proste. „Bądź wola Twoja”.

W tym momencie skontaktował się ze mną Torkil Tald.

– *Właśnie to skandują na jej światach.* – Widziałem jego bladą twarz na tle czarnego pomieszczenia. – *Swoją drogą masz tu bardzo dziwne menu. Trochę... nietypowe.*

– *Wszystko w porządku?*

– *Wiesz, że to głupie pytanie.*

– *Ale dasz radę?*

Uśmiechnął się.

– *Świetnie.* – Zacisnąłem usta. – *Teraz rozumiesz mnie...*

– *Masz pozdrowienia od córki i pozostałych. Wypada podziękować tej pani*

za uwolnienie...

– Przekażę. Ver'n'out.

– Pax.

– Bądź wola Twoja – zaczął cicho Gustav Aard.

– Bądź wola Twoja – dołączyli inżynierowie z Akademii Nauk.

Laurus, zamiast inkantacji, zaczął cicho mrużyć:

Jeśli chcesz zwyciężać innych,

porzuć to marzenie.

Masz zwyciężać tylko siebie.

Wznieś się ponad cienie.

To był nieoficjalny hymn Ranów. Ułożył go Diego Frost po jakiejś nieliczej bibie.

– Bądź wola Twoja. Bądź wola Twoja – szeptali inżynierowie.

Ku mojemu zdziwieniu dołączył do nich kapitan Colter.

Kiedy patrzysz w otchłań czarną,

ona patrzy w ciebie.

Lecz nie znajdziesz tam potworów,

tylko widmo siebie.

– Bądź wola Twoja. Bądź wola Twoja – do inkantacji dołączyło się kilkoro Aniołów Śmierci.

To jest gra, przez którą w końcu

każdy z nas przechodzi.

Jeśli chcesz Maodem zostać,



musisz się odrodzić.

Do basu Laurusa dołączył lekko metaliczny głos Nexusa.

– Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja! – Głosy skandujących zaczęły się nasilać. Byli też wśród nich niektórzy Angeli Mortis.

Tam w Dominium Libri Mundi

Ślepną aniołowie.

My żyjemy, oni trwają,

pijmy za ich zdrowie!

– Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja! – skandowali wszyscy oprócz mnie, Laurusa, Nexusa i... Angeli. Ona także śpiewała hymn. Dołączyłem do nich.

W śmierci czyha anielica,

która leczy rany.

Zmartwychwstanie to domena

wszystkich Maod-Anów!

Potem zwierzę zbudzisz w sobie,

jeśli ci się uda.

Tak przechodzisz trzecie stadium,

To ostatnia próba!

I zostajesz jednym z Ranów,

lecz nie koniec drogi.

Odtąd służysz innym, Bracie,

Stajesz się ubogi.

Tam w Dominium Libri Mundi

Ślepną aniołowie.

My żyjemy, oni trwają,

pijmy za ich zdrowie!

– Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja! – inżynierowie Imperatorki wołali jeszcze głośniej.

Kobieta wzniosła ręce. Biły od niej światła i animacje aniołów, demonów, serafów i impów wszelkich kultur i okresów. W pomieszczeniu zatańczyły barwy tęczy. Nasze zbroje podchwyciły podniosły nastrój, bo iluzje wokół nich się nasiliły. Ruszyły w tan wstęgi, światła, anioły i potwory. Sterówkę wypełniły ślepe bodhisattwy.

Jak najwięcej być, mówimy,

I najmniej posiadać.

Ćwiczyć mądrość, wgląd, widzenie,

Na laurach nie osiadać!

Diego bronił się, słysząc, że ten fragment napisał, by zażartować z Laurusa. RanaR zawsze twierdził, że przy tej zwrotce wyobraża sobie, że Tomo siadają mu na gębie.

Jeśli w sercu chowasz trwogę,

Nie idź w Maodiony.

Zostań Narem, niańcz dzieciarnię,

Pędź w szczęśliwe strony.

Maodionów są tysiące!  
To jest Tomonari!  
Nasza krew jest dla was, za was,  
Chwytaj broń i zarycz!

– Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja!

Wszyscy w sterówce krzyczą i podnoszą ręce. Wiedzą, że ich wola wespół z wolą nieskończonych społeczności talizmanów Imperatorki czyni z niej prawdziwą boginię. Wokół kobiety zaczyna się uginać przestrzeń, zupełnie jak wokół Ranów, gdy przywołują duchy opiekuńcze. Sterówka trzeszczy, między urządzeniami przeskakują iskry, słyszę głęboki, wibrujący basowy pomruk.

Jak na komendę nad wszystkimi Maod-Anami pojawiają się anielice i demony. W przypadku kobiet często obraz jest odwrócony – są to diabllice i anioły. *Nemesis* się odkształca, przestrzeń staje się ukośna, skrzydła duchów przebijają strop sterówki, kapitan patrzy skonsternowany na Imperatorkę. Ta spogląda na niego kamiennym wzrokiem i sygnalizuje, że jeszcze chwila, jeszcze moment...

Tam w Dominium Libri Mundi  
Ślepną aniołowie.  
My żyjemy, oni trwają,  
Pijmy...

– *Teraz!!!* – krzyczy Imperatorka, a jej krzyk jest jak grom.

Kapitan wydaje mentalne polecenie. Przestrzeń drga, ale inaczej niż zazwyczaj podczas skoku. Wszystko się wydłuża... a potem skraca. Chwilę

później za oknami widzę dziwną, wielobarwną mgłę.

Napięcie spada, sterówka przybiera normalne kształty.

Uspokaja się.

Nasze duchy znikają.

Przestrzeń znowu jest prosta.

Oddycham.

– Kapitanie? – odzywam się zachrypniętym głosem. – Skoczyliśmy?

Colter lekko przekrzywia mechaniczną szczękę.

– Jesteśmy... w trakcie.

– To nie jest podróż bezczasowa?

– Jest. Wyłonimy się w wybranym przez mózg *Nemesis* punkcie docelowym bez upływu czasu. Ale czekają nas mniej więcej dwie hekty podróży. To cena, jaką Alfik płaci za to, żeby po dotarciu na miejsce nie zaczął się od niego oddalać z prędkością, z jaką Andromeda zbliża się do Drogi Mlecznej. Teraz pędzimy po jednej z kart Libri Mundi.

– Pan wie, o czym mówi? – Uniosłem brwi.

– Nie bardzo. – Hans Colter uśmiechnął się i znowu poruszył na boki mechaniczną szczękę. – Lepiej wytłumaczyliby to inżynierowie, ale oni, jak widzimy, są zajęci. – Chrząknął. – Mózg statku wytyczył wam szlaki do kabin.

Rzeczywiście, zobaczyłem animowaną niebieską wstęgę ciągnącą się od mojej zbroi do wyjścia ze sterówki.

– Znajdziecie tam hiperbosy ze swoimi pozostałymi ciałami, zapasowe pancerze, broń, wszystko, co może się przydać.

– Świetnie – rzekł Laurus. – Proponuję rozejść się do kajut, przyjrzeć, co mamy, i spróbować skupić przed akcją.

– Laurus, ale jaki cel ma ta akcja? – spytałem.

Westchnął.

– Jeśli Imperatorce się udało, wylądujemy w sercu królestwa Ojców. Proponuję je zbadać, uzgodnić, czy to dobre miejsce do teleportowania CIII, rozpierdolić, co się da, wrócić do układu Gilgamesh, który wysłał do serca Enkidu, i – jeśli los pozwoli – spieprzyć do innej galaktyki.

– Nie trzeba lecieć do Enkidu – odezwał się Tell. – Jest tam Smok. Aleph. Przekażę mu zamiary telepatycznie. Suwerzy zgromadzili się też przy Worplanach i Pożeraczach Światów, żeby, gdy już wyślemy ten cholerny glob, dostarczyć CIII maksymalnie dużo materii.

– Skąd wiedzieli, dokąd lecieć? Przecież to tajne lokacje!

– Stanowimy pamięć WayEmpire, RanaRze. My w zasadzie... wiemy wszystko. Tylko się do tego nie przyznajemy.

– Ożeż w mordę...

# Spis treści

## GAMEDEC. OBRAZKI Z IMPERIUM. Część 1

Książki o Gamedecu:

Podziękowania

Do beta readerów

Dedykacja

## Prolog

## Panorama 1. Niezbadane są ścieżki ImBu

Obraz 1. Przedszkole

Obraz 2. Wspomnienia

Obraz 3. Gniew aniołów

Obraz 4. Przyjaciele

Obraz 5. Pożeracze Światów

Obraz 6. Drużyna

## **Panorama 2. Osobliwość**

[Obraz 1. Znamię](#)

[Obraz 2. Zaraza](#)

[Obraz 3. Łza Cheronei](#)

[Obraz 4. CIII](#)

[Obraz 5. Generatory Mirova](#)

[Obraz 6. Worplan](#)

[Obraz 7. Taldowie](#)

[Obraz 8. Miasto Boga](#)

## **Panorama 3. Ojcowie**

[Obraz 1. Whale](#)

[Obraz 2. Exutery](#)

[Obraz 3. Czarne dziury](#)

[Obraz 4. Sitizeni](#)

[Obraz 5. Inwazja](#)

[Obraz 6. Nemezis](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Text copyright © by Marcin Sergiusz Przybyłek 2015  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by  
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation  
(<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Błażej Kemnitz

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book  
(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Gamedec. Obrazki z Imperium*. Część 1, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-947-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

e-Book: Sławomir Folkman / [www.kaladan.pl](http://www.kaladan.pl)